

Najnowszy bestseller

# ROBERT LUDLUM

OTWIERA Tajne Archiwa



## KOD ALTMANA

ROBERT LUDLUM & GAYLE LYND'S

**ROBERT  
LUDLUM**

**KOD  
ALTMANA**

**PRZEKŁAD: JAN KRAŚKO**

# Spis treści

[Spis treści 2](#)

[Prolog 3](#)

[Część 1 5](#)

[Rozdział 1 6](#)

[Rozdział 2 12](#)

[Rozdział 3 19](#)

[Rozdział 4 25](#)

[Rozdział 5 33](#)

[Rozdział 6 41](#)

[Rozdział 7 49](#)

[Rozdział 8 55](#)

[Rozdział 9 61](#)

[Rozdział 10 69](#)

[Rozdział 11 76](#)

[Rozdział 12 81](#)

[Rozdział 13 88](#)

[Część 2 95](#)

[Rozdział 14 96](#)

[Rozdział 15 101](#)

[Rozdział 16 106](#)

[Rozdział 17 112](#)

[Rozdział 18 118](#)

[Rozdział 19 124](#)

[Rozdział 20 130](#)

[Rozdział 21 137](#)

[Rozdział 22 143](#)

[Rozdział 23 149](#)

[Rozdział 24 155](#)

[Rozdział 25 161](#)

[Rozdział 26 167](#)

[Rozdział 27 173](#)

[Rozdział 28 179](#)

[Część 3 184](#)

[Rozdział 29 185](#)

[Rozdział 30 189](#)

[Rozdział 31 195](#)

[Rozdział 32 201](#)

[Rozdział 33 207](#)

[Rozdział 34 213](#)

[Rozdział 35 218](#)

[Rozdział 36 223](#)

[Rozdział 37 228](#)

[Rozdział 39 235](#)

[Rozdział 39 240](#)

[Rozdział 40 246](#)

[Rozdział 41 251](#)

[Rozdział 42 257](#)

[Rozdział 43 265](#)

[Epilog 272](#)

# Prolog

**1 września 2002, piątek**

**Szanghaj, Chiny**

Gigantyczne reflektory na północnym brzegu rzeki Huangpu oświetlały portowe doki, zmieniając noc w dzień. Gromady dokerów rozładowywały ciężarówki i ustawiały długie, stalowe kontenery pod dźwigami. Pośród pisku i zgrzytu metalu ocierającego się o metal potężne żurawie podnosiły je hen, wysoko, ku rozgwieżdżonemu niebu, i opuszczały do ładowni frachtowców z całego świata. Do tego najważniejszego portu na wschodnim wybrzeżu Chin, niemal w połowie drogi między Pekinem i najnowszym nabytkiem Chińczyków Hongkongiem, codziennie wpływały ich setki.

Na południe od doków jarzyły się światła miasta i nowej dzielnicy Pudong, a na spienionych brązowych wodach rzeki, od brzegu do brzegu, panował ruch jak na paryskim bulwarze. Frachtowce, dżonki, małe sampany i długie rzędy spiętych ze sobą, niepomalowanych drewnianych barek walczyły o miejsce.

Nabrzeże za wschodnim krańcem doków, gdzie rzeka skręcała ostro na północ, było oświetlone nieco słabiej. Cumował tu tylko jeden frachtowiec, załadowywany przez samotny dźwig i nie więcej jak dwudziestu dokerów. Na pawęży statku widniał napis Cesarzowa, a jego portem macierzystym był Hongkong. Wszechobecnej straży portowej tu nie było.

Tyłem do burty stały dwie duże ciężarówki. Złani potem dokerzy wyładowywali z nich metalowe beczki, toczyli je po deskach i ustawiali na siatce ładunkowej. Gdy siatka się wypełniała, zawisało nad nią ramię żurawia, a z ramienia spuszczała się lina. Dokerzy podczepiali siatkę do haka, ramię wędrowało do góry, dźwig okręcał się zwinnie i prznosił beczki na statek, gdzie robotnicy opuszczali je do otwartej ładowni.

Kierowcy, dokerzy, operator dźwigu i robotnicy pokładowi pracowali szybko i po cichu, jednak stanowczo za wolno dla rosnącego mężczyzny stojącego po prawej stronie ciężarówek, który czujnym wzrokiem omiatał teren między nabrzeżem i rzeką. Jak na Chińczyka miał niezwykle jasną skórę i jeszcze niezwyklejsze, bo rudo-siwe włosy.

Spojrzał na zegarek i ledwo słyszalnym głosem przemówił do brygadzysty:

- Skończycie za trzydzieści sześć minut.

To nie było pytanie. Brygadzysta odwrócił głowę tak gwałtownie, jakby go zaatakowano. Patrzył na mężczyznę tylko chwilę, po czym spuścił oczy i szybko odszedł, pokrzykując na podwładnych. Praca nabrała tempa, lecz on nie popuścił, zmuszając robotników do jeszcze większego wysiłku. Rudowłosy, człowiek, którego tak bardzo się bał, wciąż tu był, wciąż przerażał swoją obecnością.

Za zwoje grubej liny okrętowej w jednym z mrocznych zakamarków doku wślizgnął się ukradkiem szczupły Chińczyk w reebokach, zachodnich džinsach i czarnej kurtce a la Mao. Zastygł

bez ruchu i prawie niewidoczny w panujących tam ciemnościach przyglądał się beczkom, które dokerzy wtaczali na sieć i załadowywali na pokład „Cesarzowej”. Z kurtki wyjął mały, skomplikowany aparat fotograficzny i fotografował wszystko i wszystkich, dopóki ostatnia beczka nie zniknęła w ładowni, dopóki na nabrzeżu nie została ostatnia, pusta już ciężarówka.

Odwróciwszy się po cichu, schował aparat, wycofał się ostrożnie poza tonący w świetle dok, znowu zniknął w mroku i nisko pochyłony ruszył truchtem po drewnianym pomoście w stronę najbliższej szopy i drogi do miasta. W górze gwizdał ciepły wiatr, niosąc ze sobą ciężki zapach mulistej rzeki. Ale on tego nie zauważał. Cieszył się, ponieważ wracał z ważnymi informacjami. Cieszył się i denerwował zarazem. Nie, tych ludzi nie można było lekceważyć.

Gdy usłyszał ciche kroki, był już niemal na końcu nabrzeża, w miejscu gdzie ląd spotykał się z morzem. Był już niemal bezpieczny.

Rudowłosy zbliżał się do niego bezszelestnie, biegnąc między magazynami i składnicami, trasą równoległą do jego trasy. Spokojny i opanowany, widział, jak uciekinier nagle sztywnieje, zwalnia i zaraz znowu gwałtownie przyspiesza.

Rudowłosy błyskawicznie zlustrował najbliższą okolicę. Po lewej stronie miał opuszczoną i zapuszczoną część doku, raj dla mew, po prawej - drogę dla pojazdów kursujących między miastem i portem. Jechała nią ciężarówka, ta ostatnia, ta pusta. Światła jej reflektorów żłobiły długie leje w mroku nocy. Tak, zaraz minie go i przystanie. Gdy uciekinier smyrgnął za wysoki zwój lin po lewej stronie, rudowłosy wyjął garotę, doskoczył, zarzucił mu ją na szyję, szarpnął i zacisnął.

Przez długą chwilą ofiara konwulsyjnie zaciskała szponiaste palce. Agonalnie wykręcała rękę. Rzuciła się i szarpała. Wreszcie zwiotczała i bezwładnie zwiesiła głowę.

Zadrżał drewniany pomost - minęła ich ciężarówka. Ukryty za stertą lin zabójca ułożył trupa na ziemi, zdjął garotę, obmacał ciało i znalazł aparat. Potem niespiesznie odszedł, by zaraz wrócić z dwoma wielkimi hakami do podwieszania ładunku. Ukląkł, z pochwy na łydce wyjął nóż, rozciął zabitemu brzuch, wepchnął do rany końce stalowych haków i owinał trupa liną, żeby nie wypadły. Następnie wstał, przetoczył ciało i zepchnął je do ciemnej wody. Rozległ się cichy plusk - zwłoki poszły na dno. Zatonęły i już nigdy nie wypłyną.

Rudowłosy podszedł do ciężarówki, która zgodnie z rozkazem czekała na niego na drodze. Gdy odjechali szybko w kierunku miasta, marynarze podnieśli trap, rzucili cumy i „Cesarzowa” odbiła od brzegu. Holownik wyprowadził ją na środek rzeki i tam skręciła, biorąc kurs na Jangcy i na otwarte morze.



# Część 1

# Rozdział 1

**12 września, wtorek**

**Waszyngton**

W stolicy krążyło powiedzenie, że Waszyngtonem rządzą prawnicy, a prawnikami szpiecy. Miasto było oplecione pajęczyną agencji wywiadowczych wszelkiej maści, takich jak legendarne CIA czy FBI, te raniej znane, jak choćby NRO, Narodowe Biuro Rozpoznania, oraz dziesiątkami zupełnie nieznanymi, które zapuściły korzenie dosłownie we wszystkich organizacjach wojskowych i rządowych, łącznie ze znamienitym Departamentem Stanu i Departamentem Sprawiedliwości. Prezydent Samuel Adams Castilla uważał, że jest ich za dużo. Że działają zbyt jawnie. Notorycznie ze sobą rywalizowały, co było nie lada problemem. Jeszcze większym problemem było jednak to, że wymieniały się informacjami, które często zawierały błędne dane. No i ta ich niebezpieczna opieszałość, jakże charakterystyczna dla każdej biurokratycznej maszyny...

Myślał o tym, jadąc wąskimi bocznymi drogami na północnym brzegu rzeki Anacostia. O tym i o kolejnym międzynarodowym kryzysie, który się właśnie kłui. Z cicho mruczącym silnikiem czarna limuzyna lincoln towncar o przyciemnionych szybach minęła gęsty las, kilka jasno oświetlonych przystani jachtowych, zadygotała, przejeżdżając przez zardzewiałe tory, wreszcie skrzyła w prawo, by wjechać do małego, ruchliwego, całkowicie ogrodzonego portu. Na stojącej przy bramie tablicy widniał napis:

Prywatny klub jachtowy Anacostia

Wstęp tylko dla członków

Port, a raczej przystań, wyglądał identycznie jak inne przystanie wzdłuż brzegu rzeki na wschód od waszyngtońskiego portu marynarki wojennej. Dochodziła jedenasta w nocy.

Tu, ledwie kilka kilometrów od miejsca, gdzie Anacostia łączyła się z szerokim Potomakiem, cumowały potężne łodzie motorowe, pełnomorskie jachty oraz jednostki nieco mniejsze, weekendowo-spacerowe. Prezydent patrzył na mola i wcinające się w mroczne morze pomosty. Właśnie dobijało do nich kilka jachtów o pokrytych solą burtach. Ich załogi były w sztormiakach i kombinezonach. Na terenie portu stało pięć oświetlonych budynków różnej wielkości. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak mu opisano.

Lincoln zwolnił i przystanął za największym z nich, za hangarem niewidocznym od strony nabrzeża i przesłoniętym gęstym lasem od strony drogi. Z samochodu wysiadło czterech towarzyszących prezydentowi mężczyzn. W garniturach, z małymi pistoletami maszynowymi w rękę, błyskawicznie otoczyli limuzynę, wyregulowali noktowizory i zlustrowali tonący w mroku teren. W końcu jeden z nich odwrócił się do samochodu i energicznie kiwnął głową.

Piąty mężczyzna, ten, który siedział obok prezydenta, też był w garniturze, lecz zamiast broni maszynowej trzymał w ręku sig sauera kaliber 9 milimetrów. W odpowiedzi na sygnał wziął od prezydenta klucz, szybko wysiadł i podbiegł do ledwo widocznych drzwi. Włożył klucz do ukrytego zamka, pociągnął za klamkę, odwrócił się i znieruchomiał z szeroko rozstawionymi nogami i gotową do strzału bronią. Wtedy otworzyły się drzwiczki lincolna, te od strony hangaru. Powietrze, chłodne i rześkie, lekko pachniało spalinami. Castilla wysiadł. Wysoki i tęgi, miał na sobie luźne bawełniane spodnie i sportową marynarkę. Jak na mężczyznę tak rosłego, poruszał się zwinnie i szybko. Wysiadł i zniknął za drzwiami hangaru.

Czuwający przed nimi ochroniarz rozejrzał się po raz ostatni i wraz z dwoma kolegami ruszył za nim. Dwóch pozostało, by pilnować lincolna i drzwi.

Nathaniel Frederick „Fred” Klein, wiecznie rozczochrany i zaniedbany szef Tajnej Jedyńki, siedział za zawalonym papierami metalowym biurkiem w ciasnym hangarowym biurze. Była to jego nowa kwatery główna, nowe centrum decyzyjne. Początkowo, ledwie przed czterema laty, Tajna Jedyńka była organizacją nieformalną i niesformalizowaną - nie miała kwatery głównej i nie zatrudniała żadnych urzędników ani agentów, przynajmniej oficjalnie. Tworzyła ją luźna grupa ekspertów z różnych dziedzin, ludzi z doświadczeniem w tajnych operacjach wywiadowczych, w większości byłych wojskowych, mężczyzn i kobiet niezwiązanych z nikim emocjonalnie, nie mających rodziny, domu i zobowiązań, stałych ani nawet tymczasowych.

Ale teraz, gdy trzy wielkie międzynarodowe kryzysy nadszarpnęły zasoby elitarnej Jedyńki, eksploatując je do granic możliwości i wytrzymałości, prezydent Castilla uznał, że jego supertajna organizacja potrzebuje więcej ludzi oraz stałej bazy, oddalonej od oczu wścibskich urzędników z Pennsylvania Avenue i Pentagonu. I tak właśnie powstał ów „prywatny klub jachtowy”.

„Klub” miał wszystko, co niezbędne do tego rodzaju pracy: był miejscem publicznym i otwartym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, miejscem gdzie o każdej porze trwał sporadyczny, nieregularny, lecz stały ruch zarówno na lądzie, jak i na morzu. W pobliżu drogi i torów, lecz wciąż na terenie portu urządzono lądowisko dla śmigłowców, które wyglądało jak zarośnięte chwastami pole. Zainstalowano tu również najnowocześniejszy sprzęt telekomunikacyjny i niemal niewidoczny, lecz wyrafinowany system bezpieczeństwa. Bez uaktywnienia się co najmniej jednego czujnika na teren bazy nie przedostałaby się nawet ważka.

Siedząc samotnie w biurowej klitce i wsłuchując się w przytłumione odgłosy pracującej za ścianą garstki ludzi z nocnej zmiany, Klein zamknął oczy i potarł nasadę swego długiego nosa. Jego oprawione w druciane oprawki okulary leżały na biurku. Miał sześćdziesiąt lat i tego wieczoru dokładnie na tyle wyglądał. Na jego enigmatycznej twarzy wykwitły nowe zmarszczki, powiększyły mu się zakola. Groził kolejny kryzys.

Gdy ból głowy nieco zelżał, Klein usiadł prosto, otworzył oczy, włożył okulary i energicznie pyknął z fajki, z którą nigdy się nie rozstawał. Pomieszczenie wypełniło się kłębam dymu, który zniknął niemal tak szybko, jak się pojawił, wyssany przez specjalnie zaprojektowany potężny system wentylacyjny.

Na biurku leżały otwarte akta, lecz on na nie nie patrzył. Palił fajkę, postukiwał nogą w podłogę i

co kilka sekund spoglądał na okrętowy zegar na ścianie. Wreszcie otworzyły się drzwi, te pod zegarem, i w progu stanął rostry mężczyzna z sig sauerem w ręku. Rozejrzał się, podszedł do drzwi po drugiej stronie biura, zamknął je na klucz, odwrócił się i zastygł bez ruchu.

Kilka sekund później wszedł prezydent Castilla. Usiadł w skórzanym fotelu naprzeciwko biurka.

- Dziękuję, Barney - powiedział. - Wezwę cię, jeśli będziesz potrzebny.
- Ale, panie prezydencie...
- - Wyjdź - rozkazał stanowczo Castilla. - Zaczekaj na zewnątrz. To prywatna rozmowa między starymi przyjaciółmi. - Nie skłamał. Znali się z Kleinem od studiów. Ochroniarz powoli wyszedł, każdym krokiem podkreślając niechęć, z jaką to robi. Gdy drzwi się zamknęły, Klein wypuścił kolejny kłęb dymu.
- Mógłbym przyjechać do pana, panie prezydencie, jak zwykle...
- Nie. - Castilla pokręcił głową. W tytanowych oprawkach jego okularów odbijało się ostre światło górnej lampy. - Dopóki nie powiesz mi dokładnie, czym grozi nam ten chiński frachtowiec - „Cesarzowa”, tak? - wszystko zostanie między nami i agentami, którzy się tym zajmą.
- Znowu przecieki? - spytał Klein. - Jest aż tak źle?
- Gorzej niż źle - odrzekł Castilla. - Biały Dom zmienił się w sito. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem. Dopóki moi ludzie nie znajdą ich źródła, będziemy spotykali się tutaj. - Na jego pociągłej twarzy malował się wyraz głębokiego niepokoju. - Myślisz, że to kolejny „Yinhe”?
- Klein natychmiast cofnął się myślami w przeszłość: rok 1993, groźba paskudnego międzynarodowego incydentu i sromotna porażka Amerykanów. Chiński frachtowiec „Yinhe” płynął z Chin do Iranu. Amerykański wywiad wojskowy otrzymał meldunek, że statek przewozi chemikalia, z których można wyprodukować broń chemiczną. Ponieważ interwencja zwykłymi kanałami dyplomatycznymi zawiodła, prezydent Bill Clinton rozkazał okrętom marynarki wojennej płynąć za frachtowcem, uniemożliwiając mu dobiec do brzegu, dopóki nie znajdzie się jakieś rozwiązanie. Rozwścieczone Chiny odrzuciły oskarżenia. Wybitni przywódcy światowi zaczęli wywierać nacisk. Państwa sprzymierzone zaatakowały Pekin zarzutami, argumentami i kontrargumentami. Doszło do sytuacji patowej. Krzyczały o tym wszystkie media na całym świecie. Impas trwał dwadzieścia nieskończenie długich dni. Gdy Chiny zaczęły butnie protestować i grozić, amerykańska marynarka wojenna zatrzymała statek na otwartym morzu i na jego pokład weszli inspektorzy. Ku wielkiemu zakłopotaniu amerykańskiego rządu odkryli tam jedynie narzędzia i sprzęt rolniczy, pługi, koparki i małe traktory. Doniesienia wywiadu okazały się fałszywe. Klein wykrzywił twarz. Pamiętał to aż za dobrze. Amerykanie wyszli wtedy na bandytów. Stosunki dyplomatyczne z Chinami, a nawet z najbliższymi sojusznikami, były napięte przez wiele lat. Posępnie pyknął z fajki, odpędzając ręką dym od twarzy prezydenta.
- Czy to kolejny „Yinhe”? - powtórzył. - Możliwe.

- „Możliwe”, czyli niewykluczone, czy „możliwe”, czyli bardzo prawdopodobne? - spytał Castilla. - Lepiej powiedz mi wszystko ze szczegółami.
- Klein wystukał popiół z fajki.
- Jeden z naszych agentów jest sinologiem i od dziesięciu lat pracuje w Szanghaju dla konsorcjum amerykańskich firm, które próbują się tam zahaczyć. Nazywa się Avery Mondragon. Zainteresował nas informacją, że „Cesarzowa” przewozi dziesiątki ton tiodiglikolu używanego do produkcji wojskowych gazów i cieczy pryszczących oraz chlorku tionylu, substancji używanej do wytwarzania broni chemicznej działającej na system nerwowy. Frachtowiec załadowano w Szanghaju. Jest teraz na pełnym morzu i płynie kursem na Irak. Tak, oczywiście, obie substancje stosuje się również w rolnictwie, ale jak dla kraju wielkości Iraku jest to ilość zbyt duża.
- Fred, czy tym razem to pewna informacja? Pewna na sto procent? Na dziewięćdziesiąt?
- Nie widziałem raportu - odrzekł spokojnie Klein, wypuszczając chmurę dymu i zapominając ją rozpędzić. - Ale Mondragon twierdzi, że ma dowody: oryginalny manifest okrętowy.
- Boże świąty... - Masywny korpus i szerokie ramiona Castilli zeszytywniały. - Nie wiem, czy wiesz, ale Chiny są sygnatariuszem międzynarodowego traktatu zabraniającego prac nad bronią chemiczną, jej produkcji, składowania i stosowania. Nie pozwolą, żeby ich przejrzano i zdemaskowano, bo spowolniłoby to ich dalszy rozwój, którego celem jest coraz większy udział w światowej gospodarce.
- Cholernie delikatna sytuacja.
- Cena za kolejny błąd byłaby bardzo wysoka i dla Ameryki. Zwłaszcza teraz, gdy Chiny są o krok od podpisania układu o przestrzeganiu praw człowieka, który otworzy ich więzienia i sądy kryminalne przed amerykańskimi inspektorami i przed inspektorami ONZ, który zbliży je do standardów zachodnich i uwolni długoletnich więźniów politycznych. Od czasów Nixona podpisanie tego układu było najważniejszym celem wszystkich amerykańskich prezydentów.
- Sam Castilla nie chciał, żeby coś temu przeszkodziło. Zarówno ze względów osobistych, jak i ze względu na prawa człowieka jako takie, było to i jego marzenie.- Sytuacja jest cholernie niebezpieczna - kontynuował. - Nie możemy pozwolić, żeby ten statek.. jak mu tam? „Cesarzowa”? Klein kiwnął głową.- Żeby ta przekłeta „Cesarzowa” wpłynęła do Basry z chemikaliami do wytwarzania groźnej broni. To kwestia zasadnicza, najważniejsza. Kropka. - Prezydent wstał i zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem. - Jeśli twoje doniesienia okażą się prawdziwe i wkroczymy do akcji, jak zareagują Chińczycy? - Machnął ręką. - Nie, nie, nie o to chodzi, prawda? Wiemy, jak by zareagowali. Zaczęliby wszystkiemu zaprzeczać i przybierać groźne pozy. Nie, pytanie powinno brzmieć inaczej: Co tak naprawdę zrobią? - Popatrzył na Kleina. - Zwłaszcza jeśli pomylimy się po raz drugi.
- Nikt nie potrafi tego przewidzieć, panie prezydencie. Z drugiej strony żaden kraj nie utrzyma potężnego arsenału broni nuklearnej, nigdzie jej nie używając. Kiedyś musi jej użyć, choćby tylko po to, żeby usprawiedliwić koszty jej wytworzenia.
- Nie zgadzam się. Jeśli gospodarka kraju stoi na wysokim poziomie, jeśli jego mieszkańcy są

szczęśliwi, przywódcy są w stanie utrzymać armię bez konieczności posyłania jej do walki.

- Tak, oczywiście - ciągnął Klein. - Jeśli Chiny zechcą wykorzystać ten incydent jako pretekst, mogą zaatakować Tajwan. Zamierzają to zrobić od lat.
- Jeżeli uznają, że na to nie zareagujemy, tak, masz rację. Poza tym jest jeszcze Azja Środkowa. Rosja przestała być groźna, przynajmniej w tym rejonie...
- Szef Tajnej Jedyńki wypowiedział słowa, o których żaden z nich wolał nawet nie myśleć:- Dysponują nuklearnymi pociskami dalekiego zasięgu. Możemy być ich celem tak samo jak każdy inny kraj.Castilla zadrżał. Klein zdjął okulary i rozmasował sobie skronie. Zamilkli. Prezydent westchnął. Podjął decyzję.
- Dobrze. Każę Brose'owi wysłać tam jakiś okręt. Niech namierzy ten frachtowiec i go obserwuje. Oficjalnie potraktujemy to jako rutynową misję rozpoznawczą. Jej prawdziwy cel będziemy znali tylko my i on.
- Chińczycy nas wykryją.
- Zagramy na zwłokę. Problem w tym, że nie wiem, jak długo będzie uchodzić nam to na sucho. - Castilla podszedł do drzwi i przystanął. Był poważny, spięty. - Muszę mieć dowód, Fred. Muszę mieć go już teraz. Zdobądź ten manifest.
- Zdobędę, Sam.
- Prezydent ciężko pochylił ramiona, kiwnął głową i wyszedł. Ochroniarz zamknął drzwi.Klein zmarszczył czoło, zastanawiając się nad następnym krokiem. Gdy na dworze zamruczał silnik prezydenckiej limuzyny, podjął decyzję. Odwrócił się z fotelem do małego stolika, na którym stały dwa telefony. Jeden, czerwony, wyposażony w urządzenie szyfrujące, łączył go bezpośrednio z gabinetem Castilli. Drugi był niebieski. Ten też wyposażono w urządzenie szyfrujące. Klein podniósł słuchawkę niebieskiego i wybrał numer.

### **13 września, środa Kaohsiung, Tajwan**

- Zjadłszy średnio wysmażonego hamburgera i wypiwszy butelkę tajwańskiego piwa w Wędzarni Joego przy Chungsiao-1, Jon Smith postanowił złapać taksówkę do portu. Do spotkania w hotelu Grand Hi-Lai, gdzie miał czekać na niego Mike Kerns, stary przyjaciel z Instytutu Pasteura, została mu jeszcze godzina.Był w Kaohsiung - drugim co do wielkości mieście Tajwanu - od prawie tygodnia, ale dopiero tego dnia nadarzyła mu się okazja, żeby trochę pozwiedzać. Na konferencjach naukowych zawsze miał od groma robo-ty. Był lekarzem i biologiem molekularnym, miał stopień podpułkownika i pracował w USAMRIID, Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych. Żeby przyjechać na Tajwan, na konferencję krajów basenu Oceanu Spokojnego poświęconą najnowszym osiągnięciom biologii molekularnej i komórkowej, musiał przerwać prace badawcze nad sposobami obrony przed wąglikiem.Ale tak samo jak ryby i goście, po trzech, czterech dniach wszystkie konferencje naukowe brzydą i tracą świeżość. Bez czapki, w cywilnym ubraniu, szedł nabrzeżem, podziwiając wspaniały port, trzeci po Hongkongu i Singapurze port kontenerowy na świecie. Był tu przed wielu laty, zanim zbudowano tunel i zanim ta rajska wyspa stała się kolejną zatłoczoną częścią zatłoczonego portu. Dzień był jak z pocztówki, dlatego tuż nad południowym

horyzontem bez trudu dostrzegł wyspę Hsiao Liu-chiu. Lekko zamglone słońce, krążące nad głową mewy, dochodzące z portu odgłosy... Spacerował niespiesznie przez kwadrans. Nie było tu żadnych oznak politycznych niesnasek, niepewności jutra, tego, czy Tajwan pozostanie niezależny, podbity czy w jakiś sposób przehandlowany, by stać się częścią Chin, które wciąż rościły sobie do niego prawa. Wreszcie zatrzymał taksówkę i kazał wieźć się do hotelu. Ledwie zdążył dobrze usiąść, gdy w kieszeni sportowej marynarki zawibrował tele-fon komórkowy. Telefon specjalny, wyposażony w szyfrator, ukryty w zmyślnie zamaskowanej kieszeni. - Smith - rzucił cicho do mikrofonu.

- Jak tam konferencja, pułkowniku? - spytał Fred Klein.
- Coraz nudniejsza.
- W takim razie zapewne nie pogardzi pan odrobiną rozrywki. Smith uśmiechnął się w duchu. Był nie tylko naukowcem, ale i tajnym agentem, a godzenie jednego z drugim nie należało do najłatwiejszych. Owszem, „odrobina rozrywki” bardzo by mu się przydała, ale tylko odrobina, nic dużego czy zbyt absorbującego. Naprawdę chciał wrócić na konferencję.
- - Cóż mamy tym razem, Fred? Klein z kwatery głównej Tajnej Jedyńki na brzegu dalekiej rzeki Ana-costia opisał sytuację. Kiedy skończył, Jona przeszedł zimny dreszcz lęku i niecierpliwego oczekiwania. - Co mam robić?
- Dziś wieczorem pojedziesz na Liuchiu. Musisz mieć dużo czasu. W Linyuan wynajmij łódź albo przekup jakiegoś przewoźnika i bądź tam o dziewiątej. Punktualnie o dziesiątej musisz dotrzeć do małej zatoczki na zachodnim brzegu. Dokładne namiary i punkty orientacyjne przefaksowaliśmy do naszego agenta w Instytucie Amerykańskim na Tajwanie. Dostarczy ci je osobiście.
- Co czeka mnie w zatoczce?
- Spotkasz tam Avery'ego Mondragona. Hasło: „orchidea”. Da ci kopertę z manifestem okrętowym „Cesarzowej”, który jest podstawą rachunku dla Irakijczyków. Weźmiesz kopertę i pojedziesz prosto na lotnisko w Kaohsiung. Tam będzie czekał śmigłowiec jednego z naszych krążowników. Kopertę oddasz pilotowi. Ma dotrzeć do Białego Domu. Jasne?
- Hasło takie samo?
- Takie samo.
- Co potem?
- Jon słyszał, jak szef Tajnej Jedyńki pyka z fajki. - Potem możesz wrócić na swoją konferencję. - Klein przerwał połączenie. Smith uśmiechnął się do siebie. Zadanie było proste i nieskomplikowane. Chwilę później taksówka zatrzymała się przed hotelem Hi-Lai. Jon zapłacił za kurs, wszedł do holu i ruszył w stronę stanowiska wynajmu samochodów. Po przybyciu kuriera z Tajpej zamierzał pojechać wybrzeżem do Linyuan, znaleźć rybacką łódź i dopłynąć ukradkiem na Liuchiu. Jeśli nie znajdzie łodzi, na pewno jakąś wynajmie i popłynie sam. Gdy był na środku holu, z fotela zerwał się niski energiczny Chińczyk. Zaszedł mu drogę i wykrzyknął: - Doktor Smith! Czekałem na pana. To zaszczyt poznać pana osobiście. Pański referat na temat

świętej pamięci doktora Chamborda i jego prac nad komputerem molekularnym był znakomity. Doskonała pożywka dla umysłu. Smith przyjął ten komplement z lekkim uśmiechem.

- Pochlebia mi pan, doktorze.
- Bynajmniej. Ja i moi koledzy z Szanghajskiego Instytutu Biomedycznego chcielibyśmy zaprosić pana na kolację i zastanawiam się, czy to możliwe. Bardzo interesują nas prace Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych i Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych, zwłaszcza te nad nowymi wirusami.
- Byłoby mi bardzo miło - odrzekł układnie Smith z nutką żalu w głosie - ale dzisiaj jestem zajęty. Może innym razem?
- W takim razie pozwolę sobie skontaktować się z panem.
- Będzie mi bardzo miło. - Jon odszedł, myśląc już o Liuchiu i o czekającej go wyprawie.
-



# Rozdział 2

## Waszyngton

- 
- 
- Majestatycznie postawny admirał Stevens Brose usiadł na końcu długiego stołu konferencyjnego w Pokoju Sytuacyjnym pod Białym Domem. Zdjął czapkę i przeczesał ręką siwe, na wojskowo ostrzyżone włosy, zdumiony - i zaniepokojony - tym, co zobaczył. Prezydent Castil-la jak zwykle siedział u szczytu stołu. Rzecz w tym, że poza nimi nikogo w sali nie było, tego ranka tylko oni pili tu kawę. Rzędy pustych krzeseł stanowiły widok nader złowieszczy.
- Jakie chemikalia? - spytał Brose. Prezydent powierzył mu również stanowisko przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów.
- Tiodiglikol... Gazy pryszczące. I chlorek tionylu.
- Gazy pryszczące i atakujące system nerwowy. Koszmarne bolesna śmierć, paskudny sposób umierania. - Admirał zacisnął cienkie usta i potężne szczęki. - Ile tego jest?
- Dziesiątki ton. - Castilla patrzył na niego posępnym wzrokiem.
- To niedopuszczalne! Kiedy... - Brose gwałtownie urwał. Zwęziły mu się wyblakłe oczy. Jeszcze raz ogarnął spojrzeniem rząd pustych krzeseł przy długim stole. - Rozumiem. Nie zatrzymamy tego statku, nie przeszukamy. Chce go pan tylko obserwować i utrzymać to w tajemnicy.
- - Chwilowo tak. Nie mamy konkretnego dowodu, tak' samo jak wtedy z „Yinhe”. Nie możemy sobie pozwolić na kolejny międzynarodowy incydent, zwłaszcza że nasi sojusznicy nie są teraz zbyt skłonni do podejmowania akcji zbrojnych, a Chiny są o krok od podpisania układu o przestrzeganiu praw człowieka. Admirał kiwnął głową.
- W takim razie co mam zrobić, panie prezydencie? Wziąć go na muszkę?
- Trzeba wysłać tam jakiś okręt. Niech płynie za nim na tyle blisko, żeby można było natychmiast przystąpić do akcji, i na tyle daleko, żeby go nie dostrzegli.
- Dostrzec, może i nie dostrzegą, ale na pewno go namierzą. Mają radary. Jeżeli przewożą jakąś kontrabandę, ich kapitan na pewno o tym wie. Postawi na nogi całą załogę, będą czujni.
- Nic na to nie poradzimy. Sytuacja jest taka, jaka jest. Wszystko się zmieni, gdy zdobędziemy stuprocentowy dowód. Jeśli dojdzie do czegoś groźnego, mam nadzieję, że pan i pańscy ludzie nie dopuszczą, by sprawa przerodziła się w otwarty konflikt.
- Czy ktoś od nas szuka tego dowodu?
- Mam nadzieję.
- Admirał zmarszczył czoło.

- Statek załadowano w nocy pierwszego września, tak?
- Tak mi doniesiono.
- Brose myślał i kalkulował.- Jeśli znam Chińczyków i Szanghaj, wypłynęli w morze drugiego wczesnym rankiem. - Sięgnął po słuchawkę telefonu i zerknął na prezydenta. - Mogę? Samuel Castilla skinął głową i admirał wybrał numer.- Wcześniej czy późno, nic mnie to nie obchodzi, kapitanie. Proszę to sprawdzić. - Czekał, przeczesując ręką włosy. - Tak, zarejestrowany w Hongkongu. Masowiec. Piętnaście węzłów. Na pewno? Dobrze. - Odłożył słuchawkę. - Przy prędkości piętnastu węzłów podróż do Basry z postojem w Singapurze, zwykle płyną przez Singapur, zajmie im mniej więcej osiemnaście dni. Jeżeli wypłynęli pierwszego o pomocy, dziewiętnaste go rano czasu chińskiego, czyli trzy godziny wcześniej według czasu obowiązującego w Zatoce Perskiej, i osiemnastego wieczorem według czasu wschodnioamerykańskiego powinni być w cieśninie Ormuz. Dzisiaj mamy trzynastego, więc dotrą tam za pięć dni. Cieśnina to ostatnie miejsce, gdzie możemy legalnie wejść na pokład. - Mocno zatroskany admirał podniósł głos. - To tylko pięć dni, panie prezydencie. Tyle mamy, żeby to wszystko rozwikłać.- Dziękuję, Stevens. Przekażę to dalej. Brose wstał.
- Najlepiej nada się do tego jedna z naszych fregat. Ma niezłe uzbrojenie, takie w sam raz. I jest mała, więc są szansę, że jeśli ich radarowiec jest leniem albo śpiochem, przez jakiś czas jej nie zauważy.
- Kiedy może tam być?
- Brose ponownie podniósł słuchawkę telefonu. Ta rozmowa była jeszcze krótsza niż poprzednia.
- Za dziesięć godzin, panie prezydencie.
- Dobrze. Niech płynie.
- 
- 

## **Wyspa Liuchiu, Tajwan**

- Z wojskowego zegarka biła zielonkawa poświata. Trzy minuty po dziesiątej. Mondragon się spóźniał. Jon Smith cicho zaklął. Przycupnął naprzeciwko zwartego rzędu ostrych jak brzytwa koralowców kilkadziesiąt metrów od brzegu samotnej zatoczki. Wytężył słuch, lecz słyszał jedynie łagodny szum fal Morza Połu-dniowochińskiego, które zalewały czarny piasek i cofały się z głośnym sykiem. Cichutko szeptał wiatr. Pachniało morską wodą i rybami. Nieruchome statki i łodzie w odległym porcie księżyc zalewał srebrzystym blaskiem. Ostami turyści odpłynęli na brzeg promem z Penfu. Smith jeszcze raz spojrzął na zegarek. Sześć po. Gdzie ten Mondragon? Przed dwiema godzinami rybacka łódź z Linyuan wysadziła go w Penfu, gdzie wynajął motocykl. Zjechał z głównej drogi i znalazłszy punkt orientacyjny, który opisano mu w rozkazie, ukrył maszynę w krzakach i dotarł na miejsce piechotą. A teraz było już dziesięć minut po dziesiątej i zaczynał się trochę denerwować. Coś poszło nie tak. Już miał wyjść z kryjówki i ostrożnie się rozejrzeć, gdy poczuł, że tuż za nim poruszył się ostry piach. Zacisnął palce na

rękojeści beretty, napiął mięśnie, żeby rzucić się na ziemię i przetoczyć między skały, gdy wtem jego ucho owiał czyjś gorący oddech.- Nie ruszaj się!Smith zamarł.- Niech ci nawet palec nie drgnie. - Cichutki głos, tuż przy uchu. - Orchidea.

- Mondragon?
- A co? Myślałeś, że duch przewodniczącego Mao? Ale kto wie, może gdzieś tu krąży.
- Ktoś cię śledził?
- Chyba tak. Nie jestem pewien. Ale nawet jeśli, to ich zgubiłem.
- Piasek poruszył się znowu i tuż obok Jona zmaterializował się przykucnięty mężczyzna. Ciemnowłosa, niski i szczupły niczym przerośnięty dzokej, miał hardą twarz i drapieżne oczy. Nieustannie omiatał spojrzeniem okolicę, cienisty brzeg zatoki, fosforyzujące fale na plaży i koralowce sterczące z czarnej wody niczym dziwaczne posągi.- Dobra, załatwmy to - rzucił. - Jeśli nie będę w Penfu o wpół do dwunastej, na ląd dotrę dopiero rano, a wtedy moją przykrywkę szlag trafi. - Popatrzył na Jona. - A więc ten pułkownik to ty? Podobno jesteś niezły. Słyszałem plotki. Mam nadzieję, że są chociaż w połowie prawdziwe, bo mam tu coś tak radioaktywnego, że może cię zabić.Pokazał mu zwykłą białą kopertę.- To? - spytał Smith.Mondragon kiwnął głową i schował kopertę do kieszeni.
- Musisz przekazać coś Kleinowi.
- Mów.
- W kopercie jest spis tego, co ten statek tak naprawdę przewozi. Manifest okrętowy, ten, który wysłali do izby handlowej, to zmyłka.
- Skąd wiesz?
- Bo mam tu fakturę ostemplowaną oficjalną pieczęcią prezesa zarządu, oficjalną pieczęcią spółki i wystawioną na firmę w Bagdadzie. Manifest sporządzili w trzech egzemplarzach, tak tu piszą. Drugi egzemplarz jest na pewno w Bagdadzie albo w Basrze, bo na jego podstawie Irakijczycy muszą wypłacić pieniądze. Nie wiem, gdzie jest trzeci.
- Skąd wiesz, że nie ma go w izbie handlowej?
- Bo ten z izby widziałem na własne oczy. To fałszywka. Nie ma na nim pieczęci prezesa zarządu.
- Smith zmarszczył czoło.
- Nie ma też gwarancji, że ten twój jest prawdziwy.
- Gwarancji nie ma nigdy, żadnej. Wszystko można sfałszować i podrobić, choćby pieczęć. A ta bagdadzka firma może być lipna. Ale to, co jest w tej kopercie, ma wszystkie znamiona dokumentu wewnątrz- i międzyfirmowego, wszystkie cechy autentycznej faktury i rachunku. To wystarczy, żeby prezydent miał powód wydać rozkaz zatrzymania statku na pełnym morzu i żeby nasi chłopcy dokładnie go przeszukali. Mamy tu do czynienia z „prawdopodobną przyczyną”, a

to coś więcej niż zwykle pogłoski, choćby takie, jakie krążyły, kiedy Clinton kazał zatrzymać „Yinhe”. Zresztą nawet jeśli manifest jest sfałszowany, będzie to dowód, że ktoś w Chinach chce kłopotów, że coś knuje. Nikt, nawet Pekin, nie oskarży nas o to, że przesadziliśmy ze środkami ostrożności. Jon kiwnął głową.

- Dobra, przekonałeś mnie. Daj...
- Chwila, mam coś jeszcze. - Mondragon po raz kolejny ogarnął wzrokiem cienisty brzeg zatoki. - Jeden z moich ludzi z Szanghaju opowiedział mi coś, co powinienes chyba przekazać Kleinowi. Z oczywistych powodów nie ująłem tego w raporcie. W więzieniu o złagodnym rygorze pod Chongąing przebywa pewien starzec; podczas II wojny światowej, za Czang Kaj-szeka, Chongąing był stolicą Tajwanu; my nazywaliśmy to miasto Chungking. Mój informator twierdzi, że Chińczycy więżą go od 1949, kiedy to komuniści pobili Czang Kaj-szeka i zdobyli władzę. Podobno doskonale zna mandaryński i kilka innych dialektów, ale nie wygląda na Chińczyka. I najważniejsze: z uporem powtarza, że jest Amerykaninem i że nazywa się Thayer, David Thayer. - Mondragon umilkł. Twarz miał nieodgadnioną. - A teraz się trzymaj: mówi, że jest prawdziwym ojcem naszego prezydenta.
- Jon wytrzeszczył oczy.
- Nie żartuj. Wszyscy wiedzą, że jego ojciec, Serge Castilla, nie żyje. Prasa prześwieciła jego rodzinę na wylot.
- Otóż to, właśnie dlatego mnie to zaintrygowało. - Mondragon przedstawił mu dalsze szczegóły. - Ten facet powiedział tak: „prawdziwym ojcem prezydenta”. Dokładnie tak. Gdyby próbował się podszyć, po cholere miałby wymyślać coś, co można łatwo obalić?
- Dobre pytanie.
- Ten twój człowiek jest dobry? Wiarygodny?
- Nigdy dotąd nie wpuścił mnie w maliny ani nie sprzedał mi złej informacji.
- Może to jakaś sztuczka tych z Pekinu? Może próbują w ten sposób zniechęcić prezydenta do podpisania układu o przestrzeganiu praw człowieka?
- Ten starzec utrzymuje, że Chińczycy nie wiedzą nawet, że ma syna, nie wspominając już o tym, że ten syn jest prezydentem USA.
- Jon szybko obliczył i przeliczył lata. Tak, to możliwe, przynajmniej teoretycznie.
- Więc niby gdzie go...
- Padnij! - Mondragon runął na ziemię.
- Z mocno bijącym sercem Smith skoczył za koralowy występ. Po prawej stronie buchnął czyjś gniewny krzyk, huknęła seria wystrzałów z broni automatycznej. Mondragon przetoczył się za występ, przykucnął obok Jona z glockiem w rękę i wymierzył w ciemność, wypatrując nieprzyjaciela.

- Chyba jednak ich nie zgubiłem - mruknął.
- Smith nie tracił czasu na wyrzuty.
- Gdzie oni są? Widzisz coś?
- Ni cholery.
- Jon sięgnął za pazuchę i wyjął noktowizor. Noc prysła, ustępując miejsca bladozielonej poświacie; sterczące z morza koralowce momentalnie nabrały ostrości - tak samo jak sylwetka chudego, półnagiego mężczyzny czającego się za jednym z koralowych słupów. Stał po kolana w wodzie ze starym kałasznikowem w rękach i patrzył w stronę ich kryjówek.- Jednego mam - szepnął Jon. - Szybko, wystaw ramię, jakbyś chciał wyjść. Mondragon wstał i pochylony wyprostował lewą rękę, jakby zamierzał skoczyć w bok. Przyczajony za koralowym słupem Chińczyk otworzył ogień. Jon starannie wymierzył i pociągnął za spust, raz i drugi. Chudzielec podskoczył jak ryba na haczyku i runął twarzą w wodę. Woda poczerniała od krwi. Mondragon zdążył już ponownie przykucnąć i wystrzelić. W ciemności rozległ się przeraźliwy krzyk.- Tam - warknął. - Po prawej. Jest ich więcej. Smith przesunął pistolet w prawo. Od strony morza biegło ku drodze czterech zielonkawych mężczyzn. Piąty leżał płasko za nimi, na plaży. Jon wystrzelił. Mężczyzna biegnący przodem, najwyraźniej dowódca, chwycił się za nogę i upadł, lecz koledzy chwycili go za ręce i pociągnęli za skalny występ.- Otaczają nas! - Jon otarł złane potem czoło. - Wycofujemy się! Wstali i na złamanie karku popędzili w kierunku koralowego grzbietu zamykającego zatokę od południa. Zagrzmiała kolejna salwa, salwa, która zdradziła im, że Chińczyków jest dużo więcej. Jon poczuł się jak po zastrzyku adrenaliny, gdy kula przebiła mu wiatrówkę. Błyskawicznie wspiał się na grzbiet, skoczył w gęste zarośla i zaległ za drzewem. Mondragon powłóczył prawą nogą. Upadł ciężko za sąsiednim. Kolejna salwa i znowu grad kul, które siekły liście i druzgotały cieńsze gałęzie, obsypując ich gęstym, dławiący pyłem. Przywarli do ziemi. Mondragon sięgnął za plecy, wyjął z pochwy nóż, rozciął spodnie i obejrzał ranę.- No i...? - szepnął Smith.- Kości są całe, aorta chyba też, ale nie wiem, jak wytłumaczę to w pracy. Będą musiał wziąć urlop albo powiedzieć, że miałem wypadek. - Wykrzywił usta w bolesnym uśmiechu. - Ale teraz mamy na głowie ważniejsze sprawy. Tamci są już pewnie na drodze i ci z plaży spróbują zepchnąć nas w ich stronę. Musimy iść na południe. Poczołgali się przez zarośla, prac naprzód pod gałęziami drzew spryskanych słoną wodą i pochylonych przez morski wiatr. Przesuwali się powoli, pomagając sobie łokciami i kolanami - w ręku trzymali broń - Jon przodem, Mondragon tuż za nim. Zarośla ustępowały opornie, gałęzie rozdzierały im ubranie, szarpały za włosy, drapały twarz, kaleczyły ramiona i uszy. Wreszcie dotarli do wysokiego urwiska na skraju mniej osłoniętej części wybrzeża, części zbyt otwartej, żeby nazywać ją zatoką. Noc była bezwietrzna i czołgając się w kierunku drogi, słyszeli za sobą głosy. Na brzegu pojawili się ludzie - cztery bezszelestne cienie. Dwóch innych stało po kostki w wodzie. Jeden z tych czterech, najwyższy, dał znak i rozdzielili się, podchodząc bliżej. Po chwili łagodny blask księżyca padł na czterech zakapturzonych, ubranych na czarno mężczyzn. Ich dowódca pochylił głowę i Jon usłyszał jego głęboki, chrapliwy szept. Ten człowiek trzymał w ręku mały nadajnik i wydawał rozkazy.
- To chiński - szepnął Mondragon, wytyżając słuch. Mówił przez zęby, musiało go bardzo boleć. - Nie rozróżniam wszystkich słów, ale to chyba szanghajska odmiana mandaryńskiego. Go

znaczy, że przyleźli tu za mną aż stamtąd. To ich dowódca.

- Myślisz, że ktoś dał im cynk?
- Możliwe. Albo popełniłem jakiś błąd. Mogli też mnie obserwować od wielu dni, nawet od tygodni, cholera ich wie. Tak czy siak, podchodzą coraz bliżej.
- Mondragon był twardy jak smagane morskim wiatrem drzewa. Bardzo cierpiał, mimo to nie rezygnował z walki.
- Moglibyśmy zaryzykować i przedrzeć się do drogi - rzekł Jon. - Dasz radę? Jeśli nie, okopimy się tutaj.
- Zwariowałaś? Tu nas zmasakrują!
- Wczołgali się głębiej w zarośla, aby dalej od brzegu. Pokonali najwyżej sześć metrów, gdy z tyłu dobiegł odgłos kroków ludzi przedzierających się przez gęste chaszczce. Jednocześnie zobaczyli, że ci od strony drogi próbują zepchnąć ich na plażę, do morza. Zostali wzięci w dwa ognie. Smith zaklął. - Usłyszeli nas albo znaleźli nasze ślady. Idź dalej. Kiedy ci na drodze podejda bliżej, spróbuję ich przepłoszyć.
- Nie, lepiej nie - odszepnął Mondragon z nadzieją w głosie. - Tam po lewej jest skała, wygląda na dobrą kryjówkę. Przywarujemy tam i zaczekamy, aż nas miną. Jeśli nie, damy im odpór. Może ktoś usłyszy wystrzały i tu zajrzy.
- Dobra, warto spróbować.
- Tonąca w blasku księżyca skała sterczała z zarośli niczym fragment ruin starożytnego miasta w kambodżańskiej dżungli czy na Jukatanie. Utworzona z kilku zwałów dziwnie ukształtowanych koralowców, przypominała prymitywny fort z czterema murami i otworami, przez które mogli strzelać, gdyby zaszła potrzeba. Pośrodku było zagłębienie, gdzie mogli przypaść do ziemi i zniknąć tamtym z oczu. Zrobili to z ulgą, po czym z gotową do strzału bronią znieruchomieli, wsłuchując się w nocne odgłosy. Jona piekły zadrapania i drobne rany, które zalewał pot. Mondragon próbował ułożyć wygodniej nogę, żeby mniej bolała. Czekali, nasłuchiwali i obserwowali. Atmosfera była coraz bardziej napięta. Na tle nieba błyszcząły światła miasta. Gdzieś daleko zaszczekał pies i wkrótce dołączył do niego inny. Odległą drogą przejechał samochód. Na morzu dudnił silnik zapóźnionej łodzi. Nagle znowu usłyszeli głosy. Tamci mówili po chińsku, tym samym dialektem co przedtem. I byli blisko, coraz bliżej. Trzasnęła gałązka. Za krzakami zamajaczył cień. Ktoś przystanął. Mondragon uniósł broń. Jon chwycił go za rękę i pokręcił głową. Nie. Mężczyzna był rośli i krzepki. Zdjął kaptur. Twarz miał bezbarwną, niemal wypłowiałą, i rudo-słwe włosy. Gdy omiatał wzrokiem ich koralowy fort, wypatrując ruchu i obcych kształtów, oczy błyszcząły mu jak dwa lustra. Smith i Mondragon wstrzymali oddech i jeszcze mocniej przywarli do ziemi. Rudowłosy Chińczyk stał tam przez całe wieki. Jon czuł, jak z pleców i piersi ścieka mu pot. Chińczyk odwrócił się wreszcie i odszedł. - Uff... - Mondragon głośno wypuścił powietrze. - To było... I wtedy noc eksplodowała. Kule grzmotnęły w koral, zaświstały jękliwie między drzewami. Zasypał ich grad odłamków. Zdawało się, że strzela do nich cała ciemność, bo ogniki wystrzałów błyskały z przodu, z tyłu i z boków. Rudowłosy Chińczyk musiał ich dostrzec, lecz nie zrobił nic, dopóki nie uprzedził swoich. Smith

i Mondragon odpowiedzieli ogniem, rozpaczliwie wypatrując nieprzyjaciela między cienistymi drzewami i w zalanych blaskiem księżycza zaroślach. Kryjówka, do niedawna jeszcze tak bezpieczna, zmieniła się w pułapkę. Było ich tylko dwóch przeciw co najmniej siedmiu. Poza tym kończyła im się amunicja. Jon zbliżył usta do ucha Mondragona.

- Musimy wiać - szepnął. - Do drogi. Mam tam motocykl. Damy radę zabrać się we dwóch.
- Z przodu jest ich chyba mniej. Przygwoźdźmy ich do ziemi i chodu. Nie martw się o mnie. Jakoś sobie poradzę.
- Na „trzy” otworzyli ogień, wypadli zza skały i nisko pochyleni popędzili skrajem zarośli i drzew. Chwilę później przedarli się przez krąg napastników. Tak przynajmniej myśleli, bo strzały padały teraz z tyłu, a tuż przed nimi była droga. Mondragon głucho jęknął, potknął się i runął w chaszczę. Smith odruchowo chwycił go za ramię, żeby pomóc mu wstać, lecz agent nie zareagował. Rękę miał miękką i bezwładną. - Avery? Cisza. Jon przysiadł i dotknął jego głowy. Krew. Gorąca krew. Dotknął szyi. Puls? Brak. Głęboko odetchnął, zaklął i przeszukał mu kieszenie. Gdzie ta koperta? Wtedy usłyszał kroki. Nadchodzili tamci. Cicho, ostrożnie, żeby nie potrącić najmniejszej gałązki. Koperty nie było. Gorączkowo przeszukał wszystkie kieszenie. Pomacał po ziemi, wokół ciała, ale nie, koperty nie było. Zaklął w duchu i pobiegł przed siebie. Gęste chmury przesłoniły świecący nad morzem księżyc i gdy dotarł do drogi, półmrok zmienił się w czarną noc. Ciemność - miał przynajmniej odrobinę szczęścia. Nieco spokojniejszy, lecz rozwścieczony śmiercią Mondragona, przebiegł na drugą stronę dwupasmówki i ukrył się w rowie. Ciężko dysząc, mocno ujął broń i wycelował między drzewa. Czekał. I myślał. Mondragon schował kopertę do wewnętrznej kieszeni. Co najmniej dwa razy upadł i mógł ją po prostu zgubić. Mogła też wypaść, gdy czołgali się przez zarośla, a nawet podczas biegu, bo mieli rozpięte kurtki. Mocniej zacisnął palce na rękojeści beretty i niepotrzebnie już Mon-dragonowi glocka. Kilka minut później na skraj drogi ostrożnie wyszedł samotny mężczyzna i z gotowym do strzału kałasznikowem spojrzał w prawo, potem w lewo, wreszcie przed siebie. Smith lekko przesunął broń. Tamten dostrzegł ruch i na oślep wypalił. Jon rzucił glocka, wycelował z beretty i dwa razy pociągnął za spust. Mężczyzna upadł na twarz i znieruchomiał. Smith podniósł glocka i otworzył gwałtowny ogień z obu pistoletów. Po drugiej stronie drogi buchnął przeraźliwy krzyk. Nie czekając, aż ucichnie, Jon wyskoczył z rowu, wpadł między drzewa i popędził w kierunku środka wyspy. Biegł ciężko. Bolały go płuca, zalewał pot. Nie wiedział, jak długo uciekał ani jaką pokonał odległość, lecz nie słyszał już odgłosów pościgu. Ani trzasku pękających pod stopami gałęzi, ani tupotu nóg, ani wystrzałów. Przykucnął za drzewem i odczekał pięć minut. Pięć minut ciągnęło się jak pięć godzin. W uszach dudniła mu krew. Zrezygnowali? Zabił z Mon-dragonem co najmniej trzech, dwóch ranił. Kto wie, może zadali im jeszcze większe straty. Ale straty już się nie liczyły. Jeśli tamci zrezygnowali z pościgu, mogło to oznaczać tylko jedno: dostali to, po co tu przyszli. Znaleźli tajny manifest okrętowy „Cesarzowej”.

# Rozdział 3

## Waszyngton

- 
- 
- Złociste słońce zalewało Ogród Różany i malowało ciepłe prostokąty na podłodze, lecz w chwili, gdy w progu Gabinetu Owального stanął Charles Ouray, szef personelu Białego Domu, prezydent Castilla pomyślał, że tego ranka słoneczny blask ma w sobie coś złowieszczonego. I że Ouray jest ponury. Że wygląda tak, jak on się czuje.
- Siadaj, Charlie. Co się stało?
- Lepiej żeby pan tego nie wiedział, panie prezydencie.
- Te przecieki? Nie udało się?
- Nie. - Ouray pokręcił głową. - Są tak obszerne i dokładne, że tajne służby, FBI, CIA i NSA powinny je wykryć, tym bardziej że trwa to już od roku. Ale nic z tego. Prześwietlili absolutnie wszystkich z Zachodniego Skrzydła, poczynając od pocztowców, na starszych urzędnikach kończąc. Nie odpuścili nawet mnie. Gwarantują, że to żaden z nas, to zawsze coś. Twierdzą, że niżsi urzędnicy, sprzątaczkę i ogrodnicy są na pewno czysti.
- Prezydent zetknął dłonie i popatrzył na czubki palców.- Świetnie, w takim razie kto nam zostaje?Ouray spojrzał na niego niepewnie.
- Kto nam... zostaje? - powtórzył.
- Tak, Charlie, kto zostaje, kogo nie sprawdzili. Czy na pewno prześwietlili wszystkich, którzy mieli dostęp do ściśle tajnych informacji? Te plany, te polityczne decyzje... To były informacje poufne.
- Tak, panie prezydencie, wiem, ale nie bardzo rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć. Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto...
- Czy prześwietlili mnie?
- Ouray roześmiał się nerwowo.
- Nie, panie prezydencie, oczywiście, że nie.
- Dlaczego? Miałem do tych informacji dostęp, chyba że o jakimś przecieku nic nie wiem.
- Nie, panie prezydencie, powiadomiłem pana o wszystkich, ale podejrzewać pana? Przecież to absurd.
- To samo mówili o Nixonie, zanim znaleźli taśmy.
- Panie prezydencie...



- Tak, wiem, myślisz, że najbardziej zaskodziło to mnie. Ale to nieprawda. Największych szkód doznali Amerykanie. Rozumiesz teraz, o co mi chodzi?
- Ouray milczał.- Szukajcie wyżej, Charlie, dobrze się rozejrzyjcie. Członkowie mojego gabinetu. Wiceprezydent, który nie zawsze się ze mną zgadza. Przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, Pentagon, wpływowi lobbyści, z którymi czasem rozmawiamy. Nikt nie powinien być poza podejrzeniami. Ouray pochylił się do przodu.
- Sam - szepnął. - Naprawdę myślisz, że to ktoś z tak wysokiego szczebla?
- Absolutnie. Ten człowiek nas zabija, kimkolwiek jest. Nie chodzi tylko o informacje, o to, że prasa, a nawet nasi nieprzyjaciele znają nasze plany, zanim je ujawnimy. Tak, to żenujące, ale znacznie gorsze jest to, że tracimy do siebie zaufanie, że jest to potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Doszło do tego, że nie mogę na nikim polegać, że w najważniejszych kwestiach nie mogę polegać nawet na tobie.
- Ouray kiwnął głową.
- Wiem, Sam. Ale teraz możesz mi już zaufać. - Uśmiechnął się smutno. - Prześwietlili mnie, jestem czysty. Chyba że nie ufasz też FBI, CIA, NSA i tajnym służbom.
- Widzisz? Do nich też zaczynamy tracić zaufanie, to podświadome.
- Pewnie tak. A Pentagon? Dużo przecieków dotyczyło spraw wojskowych.
- - Decyzje w sprawach wojskowych są decyzjami politycznymi, związanymi z długofalową strategią działania. Ouray pokręcił głową.
- Nie wiem, może mamy tu gdzieś kreta? Może zakamufłował się tak dobrze, że nasi nie potrafią go znaleźć? Może powinni kopać głębiej? Szukać zawodowego szpiega, który przyczał się za którymś z nas?
- Dobrze, niech szukają. Ale nie sędzę, żeby był to szpieg, ktoś obcy czy nasz. Tego człowieka nie interesuje wykradanie tajemnic państwowych. Jego interesuje wpływ na opinię publiczną. Na nasze decyzje. To jest ktoś, kto zyskuje na zmianach naszej polityki.
- Chyba tak - zgodził się z nim z wahaniem Ouray.
- Prezydent spojrział na leżące na biurku dokumenty.
- Znajdź go, Charlie. Znajdź go, zanim ta sytuacja mnie sparaliżuje.
- 
- 

## 14 września, czwartek Kaohsiung, Tajwan

- Z okien pokoju na dziewiętnastym piętrze hotelu Grand Hi-Lai roztaczała się zapierająca dech w piersi nocna panorama miasta, rozciągającego się od horyzontu po horyzont morza światła i gwiazdzistego nieba. Ale tego wieczoru Jon nie miał ochoty oglądać pięknych

widoków. Dotarłszy bezpiecznie do hotelu, trzy razy przejrzał i przeczytał wszystko, co znalazł w portfelu i w notesie Mondragona. Miał nadzieję, że będzie tam coś, co mu powie, w jaki sposób ten biedak wszedł w posiadanie manifestu. Ale jedynym niewytłumaczalnym śladem, na jaki się natknął, była zmięta serwetka koktajlowa z kawiarni Starbucks, na której widniało napisane piórem nazwisko: *Zhao Yanji*. Zawibrowała komórka. Dzwonił Fred Klein. Powitał go pytaniem:

- Dostarczyłeś to na lotnisko?
- Nie - odrzekł Jon. - Mam złe nowiny. Mondragon nie żyje. Zabili go. Cisza na drugim końcu linii przypominała głębokie westchnienie.
- - Bardzo mi przykro. Długo z nim pracowałem. Był dobrym agentem i będzie mi go brakowało. Skontaktuję się z jego rodzicami. Będą wstrząśnięci. Zrozpaczeni. Smith głęboko odetchnął. Raz i drugi.
- Mnie też jest przykro. To dla ciebie cios.
- Powiedz, jak to się stało, Jon.
- Koperta, atak, śmierć Mondragona - Smith zdał mu dokładną relację.
- To byli Chińczycy z Szanghaju. Manifest musiał być prawdziwy. Znalazłem pewien ślad, ale to nic pewnego. - Powiedział mu o serwetce ze Starbucksa.
- Na pewno pochodzi z Szanghaju?
- Czy w ciągu kilku ostatnich miesięcy Mondragon był gdzieś poza Szanghajem?
- Nie, przynajmniej nic o tym nie wiem.
- W takim razie jest to jakiś trop, zresztą nic poza tym nie mam.
- Uda ci się tam dostać?
- Chyba tak. Na konferencji poznałem pewnego Chińczyka, doktora Lianga. Spróbują go namówić, żeby zaprosił mnie do Chin i oprowadził po swoim instytucie. - Opowiedział mu, jak Liang zatrzymał go w holu i zaprosił na kolację. - Są tylko trzy problemy. Nie znam ani słowa po chińsku i nie mam pojęcia, gdzie w Szanghaju są kawiarnie i sklepy Starbucksa. No i moja beretta. Nie przemycę jej przez granicę, odpada.
- Adresy Starbucksa prześlę ci do Tajpej. W Szanghaju będzie czekał na ciebie tłumacz; da ci broń. Hasło: „mała czarna”.
- Jeszcze jedno. - Jon opowiedział mu o starym więźniu, który twierdził, że nazywa się David Thayer, i przekazał szczegóły poznane od Mondragona.
- Thayer? Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś o tym nazwisku miał coś wspólnego z naszym prezydentem. To jakaś sztuczka, podstęp...
- Informator Mondragona utrzymywał, że ten człowiek jest Amerykaninem.
- Ten informator to ktoś wiarygodny?

- Jak każdy informator, przynajmniej według Mondragona.
- Powiem prezydentowi. Bez względu na to, kim ten starzec jest, jeśli to naprawdę Amerykanin, prezydent zechce o tym wiedzieć.
- Dobrze, w takim razie Szanghaj i manifest. Tylko co z pozostałymi egzemplarzami?
- Zajmę się tym z Bagdadu. Przy odrobinie szczęścia trzeci nie będzie już nam potrzebny. - Klein zamilkł. - Musi pan wiedzieć, że krucho stoimy z czasem, pułkownika. Marynarka wojenna daje nam najwyżej pięć dni, może nawet mniej. Potem „Cesarzowa” wpłynie do Zatoki Perskiej.

### 13 września, środa Waszyngton

- Prezydent Castilla zjadł lunch przy ciężkim sosnowym stole, który przywiózł do Białego Domu ze swojej gubernatorskiej rezydencji w Santa Fe. Zarówno tam, jak i tu stół służył mu za biurko. Z uczuciem nostalgii odłożył kanapkę - z serem i chili - i odwrócił się z fotelem, żeby popatrzeć przez okno na soczystozielony trawnik i odległe pomniki, które tak bardzo polubił. Lecz oczy przesłonił mu inny widok: czerwony zachód słońca, bezkresna, jałowa, mimo to wiecznie żywa pustynia, ranczo na granicy z Nowym Meksykiem, gdzie można było spotkać nawet jaguara. Poczul się nagle stary i zmęczony. Chciał wrócić do domu. Rozmyślenia przerwał mu Jeremy, jego osobisty sekretarz.
- Panie prezydencie, pan Klein przyszedł. Chce z panem rozmawiać. Castilla zerknął na zegar na biurku. Która jest teraz w Chinach?
- Żadnych gości ani telefonów, dopóki nie skończymy.
- Tak, panie prezydencie. - Sekretarz otworzył drzwi.
- Fred Klein wszedł spieszenie do gabinetu. Z butonierki jego tweedowej marynarki sterczał ustnik fajki. Gdy zamknęły się drzwi, Castilla wskazał mu angielski fotel, podarunek od królowej. - Mogłem przyjechać do klubu - powiedział. - Nie, to bardzo pilne. Te wszystkie przecieki... Nie ufam nawet nasze mu czerwonemu telefonowi. Castilla kiwnął głową.
- Zdobyłeś ten manifest?
- Klein ciężko westchnął.
- Nie, panie prezydencie. - Streścił mu rozmowę ze Smithem.
- Castilla sposepniał.
- To straszne. Czy powiadomiono już rodzinę Mondragona?
- Oczywiście.
- Zajmiesz się nimi, Fred?

- Tak.
- Prezydent ponownie spojrział w okno.- Myślisz, że chcieliby mnie odwiedzić w tym gabinecie?
- Nie może pan ich zaprosić, panie prezydencie. Tajna Jedyńska nie istnieje. Mondragon był zwykłym przedsiębiorcą, nikim więcej.
- Ta praca jest czasami wyjątkowo ciężka... Dobrze. Nie mamy tego, co musimy mieć. Kiedy to zdobędziemy?
- Smith wpadł na jakiś trop. Chce polecieć do Szanghaju jako gość chińskiego rządu. Już nad tym pracuje; rozmawia z pewnym chińskim mikrobiologiem. Mam ludzi w Pekinie, Hongkongu, Kantonie i w kilku przemysłowych miastach, które powstały tam w ciągu kilku ostatnich lat. Szukają śladów, które mogłyby wskazywać, że to sprawa wyreżyserowana przez Pekin. Śladów i wszelkich informacji o tym frachtowcu; zbierają nawet plotki. Istnieje szansa, że uda nam się znaleźć egzemplarz manifestu w Bagdadzie. Wydałem już polecenia.
- - Dobrze. Marynarka wojenna wysłała tam fregatę. Brose mówi, że mamy najwyżej dziesięć godzin, zanim „Cesarzowa” ją wykryje. Potem dowiedzą się o tym Chiny i reszta świata.
- Pod warunkiem że Chiny tego zechcą - odrzekł z wahaniem Klein. Dziwne. Nie należał do ludzi, którzy się wahają.
- Co cię gryzie, Fred? Jeśli chodzi o te chemikalia, lepiej mi powiedz.
- - Nie, panie prezydencie, nie o chemikalia. - Klein zamilkł, szukając odpowiednich słów. Tym razem Castilla go nie popędzał. Zmarszczył tylko czoło, zastanawiając się, co też mogło zdenerwować zwykle nieporuszonego szefa Jedyńskiej.- Chińczycy więżą pewnego starca, który twierdzi, że jest Amerykaninem. Że dostał się do niewoli po klęsce Czang Kaj-szeka w czterdziestym dziewiątym.Castilla kiwnął głową. Miał poważną twarz.- To się zdarzało, zwłaszcza po II wojnie światowej. Ludzi takich jak on jest zapewne wielu, znacznie więcej, niż podejrzewamy. Niemniej to oburzające i absolutnie niedopuszczalne. Ci, którzy go przetrzymują, nie mają sumienia. Między innymi właśnie dlatego nalegałem, żeby w układzie o przestrzeganiu praw człowieka znalazł się zapis dający inspektorom prawo do zbadania sytuacji jeńców wojennych. Tak czy inaczej, jeśli to prawda, jeśli te doniesienia są wiarygodne, musimy coś z tym zrobić, i to natychmiast. Jak się ten Amerykanin nazywa?Klein uważnie obserwował jego twarz.- David Thayer.Prezydent nie zareagował. Wcale. Jakby go nie usłyszał. Jakby wciąż czekał, aż Klein wymieni jego nazwisko. Potem zamrugał. Odwrócił się z fotelem. Gwałtownie wstał, podszedł do okna za biurkiem i splótł dłonie tak mocno, że zbieleły mu kłykcie.- Panie prezydencie?Plecy Castilla były tak sztywne, jakby ktoś go nagle uderzył.
- Po tylu latach? Jak to możliwe? Przecież on nie żyje, to...
- Panie prezydencie, o czym pan... - Klein nie dokończył. Miał złe przeczucia. Już znał odpowiedź.
- Castilla usiadł, odchylił się do tyłu i popatrzył w dal, w przeszłość.- Zaginął w Chinach,

kiedy zmieniali mi jeszcze pieluchy - powiedział. - Próbował go znaleźć Departament Stanu, wojsko, nawet najbliżsi współpracownicy Trumana, ale komuniści Mao byli wtedy naszymi wrogami i nie pałali do nas miłością. Mimo to z kilku źródeł, naszych, radzieckich i brytyjskich, zdobyliśmy informację, że Thayer nie żyje. Że albo zginął w walce, albo został schwytany i rozstrzelany, albo zamordowany przez ludzi Czang Kaj-szeka za to, że próbował dogadać się z czerwonymi. Przed wyjazdem powiedział mojej matce, że spróbuje. Prezydent głęboko odetchnął i uśmiechnął się blado.- Serge Castilla pracował w Departamencie Stanu i był jego bliskim przyjacielem. Z ramienia departamentu kierował poszukiwaniami, dlatego niemal co tydzień kontaktował się z moją matką. Byłem mały i w żaden sposób nie mogła wytłumaczyć mi, co się dzieje. Zanim skończyłem cztery lata, wszyscy się pogodzili ze śmiercią ojca. A moja matka i Serge? Jedno spotkanie, drugie, trzecie... Pobrali się i Serge mnie adoptował. Zresztą i tak uważałem go za ojca, bo David Thayer był dla mnie tylko nazwiskiem. Gdy skończyłem szesnaście czy siedemnaście lat, matka powiedziała mi, czego się o nim dowiedzieli, a nie dowiedzieli się prawie niczego. Nie widziałem potrzeby, żeby to rozgłaszać, bo ojcem zawsze był dla mnie Serge. Wychował mnie, był przy mnie, kiedy miałem wietrzną ospę, uczył mnie ortografii i bardzo go kochałem. Nosiliśmy to samo nazwisko i nikt nie pytał mnie, czy jest moim biologicznym ojcem.Castilla potrząsnął głową, jakby chciał wrócić do rzeczywistości. Popatrzył Kleinowi w oczy.

- David Thayer jest moim ojcem, ale go nie pamiętam.
- Stawiam tysiąc dolarów do jednego, że to zwykły oportunist, możliwe nawet, że przestępca i bynajmniej nie Amerykanin. Mógł znać Thayera. Siedzi na farmie i prawie go nie pilnują. Mógł usłyszeć o tobie, o twojej walce o poszanowanie praw człowieka w Chinach i dostrzegł swoją szansę.
- Jeśli tak, skąd wiedział, że Thayer miał syna, który został prezydentem USA i nosi zupełnie inne nazwisko?
- Klein zmarszczył czoło.
- Skoro już o tym mowa, skąd mógł wiedzieć o tym prawdziwy Thayer? Wiedział tylko, że ma syna, ale na pewno nie to, że jego była żona wyszła za Serge'a Castillę.
- To proste. Jeżeli ten człowiek jest Thayerem, mógł dodać dwa do dwóch. Miał syna, Samuela Adamsa, i bliskiego przyjaciela, Castillę. To niezbyt popularne nazwisko, zwłaszcza pisane przez dwa „l”. Poza tym mój wiek. Pasuje idealnie.
- - Zgoda, to możliwe - przyznał Klein. - Ale co z tymi przeciekami? Może mamy tu szpiega, który doniósł o tym Pekinowi? Może to jedna z tych pokrętnych chińskich sztuczek?Prezydent spojrzął w okno.
- Nie. Nigdy nie próbowałem ukryć, że Serge mnie adoptował, z drugiej strony nie jest to temat, który porusza się w codziennych rozmowach. Poza moją najbliższą rodziną nikt, nawet Charlie Ouray, nie wie, kim był mój biologiczny ojciec i co się z nim stało. Nie wiedziałeś o tym nawet ty. Nie chciałem grać na niczym współczuciu i wprawiać matki w zakłopotanie.

- Zawsze znajdzie się ktoś, kto wie i pamięta. Kto wyznaczy swoją cenę.
- A ty zawsze jesteś cynikiem.
- Taki mam zawód. - Klein znowu się zawahał. - Powiedzmy, że to możliwe. Że ten człowiek może być twoim ojcem. Jeśli tak, co chcesz w tej sprawie zrobić?
- Prezydent odchylił się w fotelu, zdjął okulary i wielkimi rękami przeczesał sobie włosy. Głośno westchnął.- Chcę go poznać, to oczywiste. Nie potrafię wyobrazić sobie niczego, co sprawiłoby mi większą radość, co poruszyłoby bardziej moje stare, zmęczone serce. Mój ojciec żyje. Wyobrażasz to sobie? Spróbuj. Niesamowite. Kiedy byłem małym chłopcem, często mi się śnił, chociaż bardzo kochałem Serge'a. - Castilla zamilkł i na jego twarzy zagościł wyraz smutku po dawno zapomnianej stracie.Nagle wzruszył ramionami i machnął ręką.- Dobrze, to tylko marzenia. Realia są inne i powinienem zapytać, czego chce prezydent Stanów Zjednoczonych. Tak, chcę go stamtąd wydostać. Jest Amerykaninem, zasługuje na pełne poparcie i pomoc ze strony ojczyzny. Chciałbym go poznać, podziękować mu za odwagę i uścisnąć rękę, jak uściskałbym rękę każdemu innemu rodakowi, który przeszedł tyle co on. Ale na drugiej szali muszę położyć coś innego, coś, co grozi międzynarodowymi konsekwencjami. Ten frachtowiec. Śmiertelnie niebezpieczny ładunek, który wiezie do wrogiego nam kraju.
- Tak, panie prezydencie.
- Jeżeli okaże się, że „Cesarzowa” przewozi chemikalia, i jeżeli będziemy musieli wejść na jej pokład, nie wyobrażam sobie, żeby doszło do podpisania układu. Na pewno nie w tym roku, możliwe, że dopiero za kadencji następnego prezydenta. Upłynie sporo czasu, zanim Pekin wy-bada jego stosunek do Chin. Thayer jest już stary. Prawdopodobnie nigdy się stamtąd nie wydostanie.
- - Prawdopodobnie nie, Sam.Castilla boleśnie wykrzywił twarz, ale głos wciąż miał twardy i nieustępliwy.
- To nie może mieć znaczenia. Żadnego. Ani przez sekundę. Jeśli ten statek przewozi chemikalia do produkcji broni, musimy go zatrzymać, a w razie konieczności zatopić. O Thayerze trzeba chwilowo zapomnieć. Czy to jasne?
- Jak najbardziej, panie prezydencie.
-

# Rozdział 4

## 14 września, czwartek Szanghaj, Chiny

Samolot Chińskich Linii Lotniczych z Tokio przeleciał nad Morzem Wschodniochińskim i zatoczył łuk nad szeroką deltą Jangcy. Jon patrzył przez okno na zielone łąki, na stojące jeden przy drugim budynki i na lekką mgłę, która wisiała nad miastem niczym pierzaste kłębki bawełny. Szanghaj. Jedno z największych, najpotężniejszych azjatyckich miast. Myśląc o zaginionym manifeście okrętowym i zatrważających kosztach, jakie towarzyszyły jego stracie, objął spojrzeniem zatłoczoną rzekę i wyspę Chongming. Punktualnie o trzynastej dwadzieścia dwie samolot wylądował na międzynarodowym lotnisku Pudong, a on nie wymyślił nic. Doszedł do tylko jednego wniosku: skoro sprawą nadrzędną jest podpisanie traktatu o przestrzeganiu praw człowieka, jeszcze ważniejsze jest to, żeby śmiertelne chemikalia nie wpadły w ręce Saddama Husajna. W towarzystwie swoich uśmiechających się grzecznie kolegów doktor Liang Tianning wyprowadził go z samolotu. Terminal, choć wedle zachodnich standardów niezbyt duży, był ultranowoczesny i pełen roślin doniczkowych. Przy kasach biletowych pod wysokim niebieskim sufitem tłoczyli się mężczyźni w eleganckich garniturach, zarówno Chińczycy, jak i Europejczycy, co jednoznacznie wskazywało, że Szanghaj aspiruje do roli Nowego Jorku Azji. Kilku z nich zerknęło na Jona i jego towarzyszy, jednak z ich spojrzeń biła czysta ciekawość, nic więcej. Wśród taksówek przed terminalem czekała czarna limuzyna. Szofer ruszył, gdy tylko wsiedli, o włos omijając trzy samochody i dwóch pieszych, którzy musieli ratować się przed śmiercią szybkim skokiem w bok. Jon odwrócił się, by sprawdzić, czy nic im się nie stało, i stwierdził, że nikt, ale to dosłownie nikt nie zwrócił na to uwagi, co wiele mówiło o zwyczajach, jakie obowiązywały na tutejszych ulicach. Przy okazji zobaczył też mały, granatowy samochód. Volkswagen Jetta. Jeszcze przed chwilą parkował między taksówkami, ale teraz jechał tuż za nimi. Czyżby oczekiwał go tu ktoś jeszcze? Ktoś, kto nie miał nic wspólnego z biologią molekularną i chciał sprawdzić, czy Jon jest na pewno tym, za kogo się podaje? Kierowca Volkswagena mógł być zwykłym mieszkańcem Szanghaju, który czekając na powracającego z zagranicy przyjaciela czy krewnego, omyłkowo zaparkował przed terminalem zamiast w garażu. I przypadkiem odjechał stamtąd dokładnie w tej samej chwili co oni. Jon rozmawiał z doktorem Liangem o wirusach i nie wspominał mu o tym ani słowem. Limuzyna wjechała na drogę przecinającą bagnistą deltę, na drogę, a raczej autostradę, która przez ponad trzydzieści kilometrów ciągnęła się tuż nad poziomem morza. Na horyzoncie pojawiły się drapacze chmur. Nowe miasto, miasto, które zbudowano niemal w całości w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Najpierw zobaczyli Nowy Pudong z ostrym jak igła wieżowcem, Perłą Wschodu, i nieco niższym, bardziej przysadzistym, osiemdziesięcioletnim gmachem Jin Mao. Wszędzie rozmach, luksus i najnowocześniejsza technologia. A jeszcze przed dziesięciu laty były tu tylko moczary i poletka, które zaopatrywały miasto w warzywa. Doktor Liang zmienił temat rozmowy i zaczął doradzać mu, co warto tu zwiedzić i zobaczyć. Jechali dalej, przez Pudong, tunelem pod rzeką Hu-angpu, przez Puxi i Bund, dzielnicę, która jeszcze do 1990 roku była sercem starego Szanghaju. Teraz nad neoklasycznymi biurowcami z okresu kolonialnego górowały błyszczące drapacze chmur. Gdy mijali plac Ludowy, Jon zobaczył setki samochodów, tysiące rowerów i tłoczących się na ulicy ludzi - wyglądało to jak żywe morze. Patrzył na to i

myślał. Wszędzie nowe domy i wieżowce. Wszędzie dowody nieprawdopodobnego bogactwa. Wszędzie masy ludzi. Pod względem liczby mieszkańców Szanghaj był największym miastem Chin, większym nawet od Hongkongu czy Pekinu. Ale Szanghaj chciał czegoś więcej. Szanghaj chciał zdobyć zaszczytne miejsce na gospodarczej arenie świata. Składał niski pokłon przeszłości, lecz patrzył w przyszłość. Gdy skręcili w stronę rzeki, Liang omal nie zaczął załamywać rąk. - Panie doktorze, czy na pewno nie chce pan zatrzymać się w Grand Hyatt w Jin Mao? To nowoczesny hotel, wspaniały. Restauracje i wszelkie udogodnienia są nieporównywalne. Byłoby panu wygodnie, zapewniam. Poza tym bliżej stamtąd do Zhangjiangu, do naszego instytutu, dokąd pojedziemy, gdy tylko się pan rozgości. Hotel Pokój jest zabytkowy, owszem, ale ma ledwie cztery gwiazdki. Spece od rozpoznania powiadomili Jona, że w Szanghaju są tylko trzy sklepy Starbucksa, wszystkie po drugiej stronie rzeki, jeden w Puxi, dwa niedaleko Bundu. - Zawsze chciałem trochę tam pomieszkać - odrzekł z uśmiechem. - To taka zachcianka miłośnika historii. Doktor Liang westchnął. - Cóż, w takim razie oczywiście, naturalnie. Limuzyna skręciła na południe, w malowniczą nadbrzeżną ulicę. Po jednej stronie stały kolonialne budynki Bundu, po drugiej płynęła szeroka Huangpu. Smith przyglądał się rzędom majestatycznych gmachów i biurowców. Byli w samym sercu dawnej brytyjskiej koncesji. W roku 1842, po wojnach opiumowych i po traktacie nankińskim, na mocy którego Szanghaj otwarto dla handlu z zagranicą, przybyli tu Anglicy. Zapуścili korzenie i rozpaczliwie trzymali się władzy prawie przez sto lat, dopóki miasta nie zdobyli Japończycy podczas II wojny światowej. Doktor Liang pochylił się do przodu i wyciągnął rękę.

- Pański hotel - powiedział.
- Tak, widzę. Dziękuję.
- Zwieńczenie w kształcie zielonej piramidy, jedenaście piętér, chicagowska szkoła architektoniczna; zbudował go w roku 1929 Victor Sassoon, słynny Szanghajski multimilioner, zbiwszy fortunę na handlu opium i bronią. Samochód zatrzymał się przed łukowatym wejściem. - Zamelduję pana jako gościa naszego instytutu - powiedział doktor Liang. Smith wysiadł i odruchowo rozejrzał się na wszystkie strony, ale nie dostrzegł granatowego volkswagena, który jechał za nimi z lotniska. Przechodząc przez obrotowe drzwi, zauważył za to, że szofer limuzyny podniósł maskę i uważnie przygląda się silnikowi, który przez całą drogę z Pudong pracował jak szwajcarski zegarek, przynajmniej według Jona. Hol urządzone w stylu art deco - podłogę wyłożono białym włoskim marmurem - i od szalonych lat dwudziestych, które w Szanghaju szalały wyjątkowo intensywnie, niewiele się tu zmieniło. Doktor Liang poprowadził go w lewo, do recepcji. Wyniosły recepcjonista spojrział na niego nonszalancko, a potem z taką samą nonszalancją popatrzył na Jona. Liang zaczął mówić po chińsku, cicho i chrapliwie, i Smith usłyszał coś, co zabrzmiało jak nazwa jego instytutu. W oczach recepcjonisty zagościł strach i jego stosunek do zachodniego gościa stał się natychmiast niemal służalczy. Mimo wolnego kapitalizmu, który rozbudował to miasto, Szanghaj wciąż był w Chinach, a Chiny wciąż były państwem komunistycznym - poza tym wyglądało na to, że doktor Liang ma tu wielkie wpływy, wpływy, którymi nie raczył pochwalić się na konferencji na Tajwanie. Recepcjonista wezwał hotelowego boya, a Liang podał Jonowi klucz.
- Żałuję, że nie mogliśmy zarezerwować apartamentu, ale pański pokój jest bardzo przestronny i wygodny. Chce się pan odświeżyć, zanim pojedziemy do instytutu?



- Już dzisiaj? - spytał z udawanym zdziwieniem Smith. - Boję się, że nie jestem w formie, panie doktorze. Do późnej nocy miałem spotkania i konsultacje. Ale wystarczy mi dzień odpoczynku i z samego rana chętnie spotkam się z pańskimi kolegami.
- Liang był skonsternowany.- Cóż, oczywiście... Każę moim pracownikom zmienić harmonogram. Ale mam nadzieję, że zje pan z nami kolację. Z wielką przyjemnością pokażemy panu nasz piękny Szanghaj nocą.Jon omal mu się nie pokłonił.
- Z prawdziwą rozkoszą, dziękuję. Mam tylko małą prośbę: czy moglibyśmy zacząć nieco później? Powiedzmy o dziewiątej?
- Naturalnie. Przyjedziemy po pana. - Liang skinął z uśmiechem głową. - Nie będziemy pana długo zatrzymywać, obiecuję - dodał z dziwną nutką w głosie.
- Ten uśmiech, te układne słowa - czyżby kryła się za nimi podejrzliwość? A może po prostu Liang był niecierpliwy? Jak na zwykłego naukowca, za bardzo się go tu bano. Jon zdawał sobie sprawę, że mógł wzbudzić w nim wątpliwości, odmawiając spotkania na Tajwanie, by zaraz potem zasugerować, że chętnie odwiedziłby Chiny, w dodatku jak najszybciej. Nie miał jednak wyboru; czas uciekał.Liang odszedł z uśmiechem na twarzy. Jon obserwował go przez przeszklone drzwi. Gdy Chińczyk podszedł do samochodu, jak spod ziemi wyrósł przed nim szofer. Z wyraźnym ożywieniem zamienili ze sobą kilka słów, wsiedli i samochód szybko odjechał.Walizkę zabrał boy. Winda, piętro. Jon znalazł swój pokój, wciąż myśląc o Liangu, o szoferze, o tym, że szofer oglądał pracujący jak marzenie silnik, i o granatowym volkswagenie. Walizka stała na podłodze, boya już nie było; w Chińskiej Republice Ludowej na dawanie napiwków patrzono niezbyt przychylnie, chociaż, jak napisał Szekspir w *Hamlecie*, „znacznie by lepiej uczczono ów zwyczaj, nie ulegając mu, ale go łamiąc”[1].Pokój był dokładnie taki, jak obiecywał Liang. Dorównujący wielkością małemu apartamentowi w luksusowym amerykańskim lub europejskim hotelu, był bardzo nastrojowy, stały w nim duże łóżko i kilka oświetlonych antycznymi lampami stolików w wyłożonych drewnem niszach. Były tam również przytulne miejsce do siedzenia z fotelami i stolikiem do kawy, biurko z obitym skórą blatem, kilka bluszczowatych roślin i dobrze wyposażona łazienka za drewnianymi drzwiami. Stoliczki, drukowane tkaniny bawełniane z lśniącym wykończeniem - pokój był bardzo angielski. Miał duże okna, ale nie roztaczał się z nich widok ani na rzekę, ani na jej dwa wiszące mosty, ani na Bund, tylko na starsze, niższe biurowce, gmachy i domy milionów ludzi, którzy obsługiwali, żywili i utrzymywali to wielkie miasto.Jon sprawdził walizkę. Prawie niewidoczne włókienka, które wetknął do zatrzasku, było całe, co znaczyło, że nikt do niej nie zaglądał. Doszedł do wniosku, że to tylko nerwy, że pewnie przesadził. Mimo to gdzieś tam był prawdziwy manifest okrętowy „Cesarzowej”, lodzie, którzy go spisali, ludzie, którzy ukradli go Mondragonowi. Czy należeli do tej samej grupy? Możliwe, choć niekoniecznie. Tak czy inaczej był pewien, że niektórzy z nich widzieli jego twarz. Mogą go rozpoznać. Niewykluczone, że znali już jego nazwisko.Tymczasem on widział tylko ich postawnego, wysokiego przywódcę -Chińczyka o rzucających się w oczy rudych włosach - i miał tylko nic nie mówiące nazwisko napisane na kawiarnianej serwetce.Właśnie się rozpakowywał, gdy usłyszał kroki na korytarzu. Znieruchomiał. Kroki ucichły przed jego drzwiami. Z mocno bijącym sercem podbiegł do nich na palcach i przywarł do ściany. Czekał.Gdy doktor Liang wszedł do instytutu, sekretarka ruchem głowy wskazała drzwi do jego gabinetu.

- Ktoś na pana czeka. Mówi, że pan do niego dzwonił. Chce porozmawiać. Nie mogłam... Nie mogłam go zatrzymać. - Spuściła głowę, patrząc na złożone na kolanach ręce i zadrżała. Była młoda i wstydliwa; takie lubił. - Nie podoba mi się.
- To ktoś bardzo ważny - upomniał ją Liang. - Podoba ci się czy nie, nie powinnaś tego okazywać. Z nikim mnie nie łącz.
- Sekretarka kiwnęła głową, nie podnosząc wzroku. Mężczyzna opierał się o szafkę na akta naprzeciwko biurka. Uśmiechał się i pogwizdywał jak mały, psotny chłopiec. Liang poczuł się nieswojo.
- Nie wiem, co jeszcze mógłbym dodać do tego, co powiedziałem przez telefon - zaczął.
- Możliwe, że nic. Zaraz się przekonamy.
- Niski i przysadzisty major Pan Aitu miał łagodny głos i dobrotliwy uśmiech. Był w skromnym, szarym, europejskim garniturze, w zapinanej muszce w kwiatki i w okularach w rogowej oprawie. Nie miał w sobie nic przerażającego, dopóki nie spojrzało się mu w oczy. Zupełnie nieruchome. Martwe. Gdy się uśmiechał, one się nie uśmiechały. Nie ożywiały się nawet wtedy, gdy mówił cichym, łagodnym głosem, gdy z kimś rozmawiał. Cały czas obserwowały. Patrzyły na rozmówcę, lecz zamiast jego widziały... Kogo? Co? Właśnie. Tego nie wiedział nikt.
- Proszę mi wyjaśnić, co pana zaniepokoiło - powiedział. – Zadawał panu jakieś pytania?
- Nie, nie, nic z tych rzeczy. - Liang usiadł za biurkiem. - Tylko że na Tajwanie bardzo mu się spieszyło, a kiedy przylecieliśmy tutaj i zaprosiłem go do instytutu, nagle się poczuł zmęczony. Mówi, że jutro, że chce odpocząć.
- Myśli pan, że nie jest zmęczony?
- - Na konferencji nie był. Na lotnisku w Tajpej też nie, wprost przeciwnie. - Proszę mi opisać, co zaszło na Tajwanie. Liang opowiedział mu, jak zaczepił go w hotelowym holu, jak w imieniu swoim i kolegów z instytutu zaprosił go na kolację i jak Smith odmówił, wymawiając się brakiem czasu. - Myśli pan, że był z kimś umówiony? Doktor Liang zastukał zębami o zęby. - Był jakiś taki... Moim zdaniem zrobił unik, to się wyczuwa. Zaskoczyłem go i szybko coś wymyślił, żeby grzecznie odmówić. Major Pan kiwnął głową ni to do siebie, ni to do niego.
- I powiedział mu pan wtedy, że skontaktuje się pan z nim kiedy indziej, tak?
- Tak. - Major Pan miał w sobie coś - może to, że zawsze zdawał się na coś czekać - co zmuszało ludzi do dalszego mówienia. – Chciałem porozmawiać z nim o sprawach naukowych i uznałem, że robię dobrze. Doktor Smith prowadzi ważne badania w Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych. Chcielibyśmy się z nimi zapoznać. Może dzięki nim zdołamy przyspieszyć nasze.
- A więc on naprawdę jest naukowcem?
- Tak, bardzo dobrym.

- I oficerem?
- - Chyba tak. O ile wiem, pułkownikiem.- Podpułkownikiem - poprawił go odruchowo major Pan. Przymknął martwe oczy i pogрузił się w zadumie. - Po pańskim telefonie przejrzałem jego akta. Odkryłem w nich kilka dziwnych faktów.
- Dziwnych? To znaczy?
- Kilka luk. W aktach piszą, że był wtedy na przepustce albo na urlopie. Słowem - na wakacjach. Na jeden z takich urlopów wyjechał po śmierci narzeczonej. Zmarła zarażona wirusem, który badała.
- Tak, znam ten wirus. To straszne. W tym, że wziął urlop po tak tragicznym wypadku, nie ma chyba nic podejrzanego.
- Możliwe. - Major Pan kiwnął głową, jakby dobrze go słyszał, ale widać było, że myśli o czymś innym. - Wczoraj wieczorem go pan nie widział, prawda?
- Nie.
- Ale uczestniczył pan w konferencji, tak?
- Oczywiście, po to tam pojechaliśmy.
- Zatem należałoby się spodziewać, że on też powinien tam być.
- Tak. - Liang zmarszczył czoło. - Zwłaszcza na dwóch sympozjach. Jedno prowadził jego kolega z USA, drugie bliski przyjaciel z Instytutu Pasteura. Ale powiedział mi przecież, że ma kilka spotkań, że będzie zajęty do późnego wieczoru. Sympozjów było wiele, miał z czego wybierać.
- Major Pan myślał przez chwilę.
- O tym, że chciałby przyjechać do Szanghaju i odwiedzić wasz instytut, powiedział panu nagle, rano, tak?
- Może nie ujął tego w ten sposób, ale... Wyraźnie zasugerował, że interesowałby go natychmiastowy przyjazd.
- - Doprawdy? Jak to się stało, że się spotkaliście? Doktor Liang potarł ręką czoło.
- Rano? Przysiadł się do nas podczas śniadania; zwykle jadał ze swoim przyjacielem z Pasteura. Przysiadł się i jakby od niechcienia wspomniął, że chętnie zwiedziłby nasz instytut i opowiedział nam o badaniach w USAMRIID. Gdy powiedziałem, że mógłbym to kiedyś zorganizować, bardzo posmutniał, mówiąc, że to bardzo daleko, co oznaczałoby, że rzadko bywa w Azji. Wtedy zaproponowałem, że skoro jesteśmy już na Tajwanie, może przyjechałby do nas już teraz.
- I co on na to?
- Długo wahał się i opierał, ale widać było, że ta propozycja bardzo mu odpowiada.

- Major ponownie kiwnął głową. Raptem odsunął się od szafki i szybko wyszedł. Doktor Liang patrzył na zamknięte drzwi gabinetu, zastanawiając się, co się stało. Był pewien, że podczas rozmowy telefonicznej z Biurem Bezpieczeństwa złożył dokładny raport, jak po każdym zagranicznym wyjeździe. Po co ten major tu przyszedł i co go tak nagle wypłoszyło? Miał reputację człowieka, który nigdy nie zawodzi tam, gdzie wszyscy inni zawiedli. Liang pokręcił głową, czując, że przechodzi go zimny dreszcz.

## **Pekin, Chiny**

- Pilnie strzeżony kompleks Zhongnanhai rozciągał się w cieniu legendarnego Zakazanego Miasta w śródmieściu Pekinu, gdzie chińscy cesarze i cesarzowe bawili się niegdyś i rządzili. Przez wiele wieków mieścił się tu ich ogród, w którym na zielonych brzegach dwóch jezior organizowano wyścigi konne, polowania i występy dla dworu i arystokracji. Zhongnanhai znaczy po chińsku „środkowe i południowe jezioro”. Po przejęciu władzy w 1949 do Zhongnanhai wprowadzili się komuniści, którzy odnowili i przebudowali zwieńczone jak pagoda gmachy. Dzisiaj miejsce to jest podziwiane i czczone, ale i obrzucane błotem jako siedziba chińskiego rządu, jako nowe Zakazane Miasto. Tutaj, w królewskim luksusie, zbiera się dwudziestopięciosobowe biuro polityczne, ale chociaż oficjalnie ma najwyższą władzę, ta prawdziwa spoczywa w rękach Stałego Komitetu. Jego członkowie to elita elit. Ostatnio powiększono jego skład z siedmiu do dziewięciu członków. Ich decyzje są bezzwłocznie zatwierdzane przez biuro polityczne i wcielane w życie przez ministrów i urzędy niższego szczebla. Wielu członków biura politycznego mieszka z rodzinami na terenie kompleksu, w typowo chińskim osiedlu mieszkaniowym za wysokim ogrodzeniem. Ci najważniejsi i najbardziej wpływowi mieszkają w apartamentach o niebo wygodniejszych niż te dostępne dla zwykłych śmiertelników zza murów Zakazanego Miasta. Mimo to nie był to Biały Dom, Downing Street 10 czy nawet Kreml. Skryty, jak ognia unikający mediów Zhongnanhai zaznaczono na niewielu mapach turystycznych, chociaż adres jego sekretariatu generalnego, Fuyoujie 2, wydrukowano wyraźnie na papeterii Chińskiej Partii Komunistycznej. Otoczony murem cynobrowym jak ten, który niegdyś oddzielał stare Zakazane Miasto od świata, kompleks zbudowano w taki sposób, że nie można do niego zajrzeć z jakiegokolwiek wysoko położonego punktu w Pekinie. Zwykli Chińczycy byli tam niemile widziani. Obcokrajowcy jeszcze mniej, chyba że byli urzędującymi głowami państwa. Niektóre z tych rzeczy sprawiały Niu Jianxingowi przyjemność. Lecz nie wszystkie. Chociaż należał do elity zasiadającej w Stałym Komitecie biura politycznego i pracował w Zhongnanhai, wolał mieszkać w mieście. Miał po sparatańsku urządzone gabinet, którego nie upiększały ani ozdobne zwoje, ani smoki, ani zdjęcia. Wierzył w podstawową socjalistyczną zasadę: każdemu według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb. Potrzeby fizyczne miał proste i niewyrafinowane - w przeciwieństwie do potrzeb intelektualnych. Odchylił się do tyłu za nieuporządkowanym biurkiem, splótł palce, zamknął oczy i znieruchomiał w kręgu światła starej lampy. Jej blask omywał jego zapadnięte policzki i delikatne rysy twarzy, częściowo przesłonięte szylkretowymi okularami. Jaskrawe światło mu nie przeszkadzało, jakby był tak mocno skoncentrowany, że nie wiedział, iż w ogóle się pali, jakby w jego spokojnym, wewnętrznym świetle nie istniało nic, co mogło mu przeszkodzić. Do władzy doszedł ostrożnie, ukradkiem, krok po kroku. Gdy został członkiem partii i rządu, stwierdził, że spokój i odpoczynek bardzo sprzyjają koncentracji i podejmowaniu właściwych decyzji. Jego koledzy myśleli początkowo, że po prostu śpi, i uznali go za słabego przeciwnika, za prowincjusza z Tianjin. Rozmawiali, jakby w ogóle go tam nie było - jakby w ogóle nie

istniał! - dopóki (ku spóźnionemu żalowi dwóch, którzy pozwolili sobie na zbyt wiele) nie okazało się, że słyszy każde słowo, że potrafi rozwiązać lub odrzucić problem, zanim oni zdążą ująć go w słowa. Wielbiciele i poplecznicy nazwali go Sową i dzięki temu chwytliwemu przydomkowi, który szybko rozpowszechnił się w partii, Niu Jianxing stał się kimś, kogo się pamięta. Jako zmyślny polityk i taktyk, odciął z tego pożywny kęs dla siebie. Siedział tak i analizował niepokojące pogłoski, że niektórzy koledzy ze Stałego Komitetu mają wątpliwości co do podpisania układu o przestrzeganiu praw człowieka ze Stanami Zjednoczonymi, który tak usilnie starał się wynegocjować. Za pośrednictwem wiernych mu ludzi przez cały ranek próbował sprawdzić, kim ci zdrajcy są. To dziwne, ale nie dostrzegł żadnych oznak tak poważnego rozłamu. Tym też był bardzo zaniepokojony, ponieważ wskazywało, że w biurze politycznym istnieje zorganizowana opozycja, która czeka na odpowiedni moment, żeby uniemożliwić podpisanie traktatu. Chiny wkraczały do kapitalistycznego świata i nieuniknione było to, że ludzie z pewnych kręgów rządowych zechcą storpedować układ, żeby utrzymać się przy władzy. Z zamyślenia wyrwało go ciche pukanie do drzwi. Gwałtownie otworzył oczy. Okienne były zamknięte i nie wpadało tu dennne światło; nie widział też stąd wspaniałych ogrodów Zhongnanhai. Lata ciężkiej pracy nauczyły go, jak ważne jest takie odosobnienie. Znowu ciche pukanie. Znał je aż za dobrze. Zawsze oznaczało kłopoty. - Proszę wejść, generale. Chu Kuairong, generał - w stanie spoczynku - Chińskiej Ludowej Armii Wyzwoleńczej, wmaszerował do skąpo umeblowanego gabinetu, zdjął czapkę i usiadł na twardym drewnianym krześle naprzeciwko biurka. Miał pooraną bliznami twarz, potężne bary, szeroką pierś, maleńkie, głęboko osadzone oczy i czoło zryte zmarszczkami od wiatru i słońca. Patrzył na Sowę zmrużonymi oczami, jakby stał na surowej pustyni zalanej ostrym blaskiem słońca. W jaskrawym świetle lampy jego ogolona na łyso głowa błyszczała jak wypolerowana stal. W obwieszonym medalami mundurze przypominał starego sowieckiego marszałka, który snuje plany zniszczenia Berlina podczas II wojny światowej. Wrażenie psuło jedynie cienkie cygaro między zębami.

- To szpieg.
- Znowu major Pan? - Sowa z trudem ukrywał zniecierpliwienie.
- Tak. Major uważa, że doktor Liang przesadza, że boi się własnego cienia, ale też ma wątpliwości. - Generał Chu był szefem Biura Bezpieczeństwa Publicznego, jednej z organizacji podlegających Sowie, major Pan zaś jednym z najlepszych agentów generała. - Jest możliwe, że pułkownik Smith pracuje dla obcego wywiadu i że zdobył to zaproszenie dla siebie tylko wiadomych celów. Niewykluczone, że dla celów szpiegowskich.
- Dlaczego major tak uważa?
- Na podstawie dwóch faktów. Po pierwsze, w aktach pułkownika Smitha są dziwne luki. Krótkie, niewyjaśnione okresy, kiedy nagle gdzieś zniknął. Okazuje się, że jest kimś więcej niż tylko lekarzem i naukowcem. Ma większe doświadczenie bojowe i dowódcze niż niejeden wojskowy.
- A po drugie?
- Major Pan ma przeczucia.
- Przeczucia?

- Generał Chu wydmuchał kłęb gęstego dymu i puścił zgrabne kółko.- Siłami bezpieczeństwa dowodzę od wielu lat. Wielokrotnie stwierdziłem, że jego przecucia są oparte na doświadczeniu i jako takie są często trafne. Ze wszystkich podlegających mu agencji Niu najmniej podobało się właśnie Biuro Bezpieczeństwa Publicznego. Ta olbrzymia tajna organizacja wyposażona we własną policję i wywiad była jak ośmiornica z kłami i szponami. Niu uważał się za budowniczego, nie za destruktora. Ale pełnił też urząd ministra i decyzje, które musiał czasem zatwierdzać czy nawet podejmować, bywały obrzydliwe.
- Co proponuje? - spytał.
- Żeby mieć go na oku. Prosi o pozwolenie na obserwację i na zatrzymanie oraz przesłuchanie, gdyby Smith zrobił coś podejrzanego.
- Sowa ponownie zamknął oczy.- Obserwacja tak, to mądre posunięcie. Ale zanim zatwierdzę rozkaz przesłuchania, chcę mieć konkretne dowody. Sytuacja międzynarodowa jest bardzo delikatna. Mamy szczęście, że amerykański rząd jest ku nam wyjątkowo przychylnie usposobiony, że popiera pokój i współpracę. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie wykorzystali tak rzadkiej szansy. Generał Chu wypuścił kolejny kłęb dymu.
- Major Pan sugeruje, że może istnieć związek między tym, że Smith wykazał nagłe zainteresowanie przyjazdem do Szanghaju, a zniknięciem jednego z naszych agentów.
- Wciąż nie wie pan, nad czym ten agent pracował?
- Był na urlopie. Przypuszczamy, że natknął się na coś podejrzanego i próbował to sprawdzić przed złożeniem meldunku.
- Ostatnią rzeczą, jakiej chciał teraz Niu, była konfrontacja ze Stanami Zjednoczonymi. Konfrontacja mogła wywołać zamieszanie w obu krajach, doprowadzić do napięcia między obu rządami, związać ręce prezydentowi Castilli, uniemożliwić podpisanie układu o przestrzeganiu praw człowieka i ośmielić twardogłowych z biura politycznego i Komitetu Centralnego. Ale prestiż i bezpieczeństwo Chin były ważniejsze niż jakikolwiek układ, a szpieg w Szanghaju i zaginiony agent służby bezpieczeństwa to sprawy poważne i wymagające uwagi.- Proszę do mnie przyjść, kiedy dowie się pan czegoś konkretnego - rozkazał. - Do tego czasu major Pan ma pozwolenie na obserwację Smitha. Jeśli uzna, że trzeba go zatrzymać, będzie musiał mnie do tego przekonać. Generałowi rozbłysły oczy. Znowu puścił idealne kółko i się uśmiechnął.- Przekażę mu. Niu nie zastanawiał się, co ten błysk oznacza.- Koniecznie. Zamelduję o jego podejrzeniach członkom komitetu. On i pan, generale, odpowiadacie nie tylko przede mną, ale i przed nimi.

# Rozdział 5

## Szanghaj

- 
- 
- Przestronny pokój stał się nagle klaustrofobicznie mały. Przywarłszy do ściany przy drzwiach, Jon wy tężył słuch, ale zamiast oddalających się kroków usłyszał pukanie. Ciche, równie ciche jak poprzednio kroki. Znieruchomiał. Znowu pukanie, lekkie, lecz tym razem energiczniejsze, bardziej nerwowe. To na pewno nie boy. Ani nie pokojówka. I raptem go olśniło. To na pewno obiecany przez Kleina tłumacz. Otworzył drzwi, zobaczył wysokiego, chudego Chińczyka, chwycił go za przód luźnej skórzanej marynarki i wciągnął do pokoju. Chińczykowi spadła czapka. - Hej! Co pan? Jon złapał czapkę w locie, zamknął nogą drzwi i łypnął na niego spode łba. - Hasło! Chudzielec szarpał się i wyrwał, lecz robił to z pretensją i żalem.

- Mała czarna.

- Chryste, działasz pod przykrywką! Agent pod przykrywką się nie podkrada!

- Jezu, wiem! - zaprotestował tamten po angielsku z czystym amerykańskim akcentem. - Wiem! Niech pan zabierze te łapy!

- Masz szczęście, że cię nie udusiłem. A ty co? Chcesz ściągnąć na mnie uwagę? - Wciąż nachmurzony Jon wreszcie go puścił.

- Nie jestem do tego panu potrzebny. Sam się pan o to postarał. - Oburzony tłumacz poprawił kołnierz za dużej marynarki, strzepnął wyprasowaną niebieską koszulę i wyrwał mu z ręki czapkę a la Mao.

- Smith zaklął. Wreszcie wszystko zrozumiał. - To ty jechałeś tym granatowym volkswagenem. - Dobra, zgoda, zauważył mnie pan na lotnisku. Ale miałem cholerne szczęście, bo gdyby mnie tam nie było, nie wiedziałbym, że za panem łążą. Jon zeszywniał.

- Kto łązi?

- Nie mam pojęcia. W Szanghaju nigdy nic nie wiadomo. Gliny? Bezpieka? Wojsko? Goryle jakiegoś dzianego faceta? Gangsterzy? Może być każdy. Mamy teraz kapitalizm, mniej więcej wolną inicjatywę i o wiele trudniej to wyczuć.

- No to super. - Jon westchnął. Do tej pory tylko go to niepokoiło, teraz wiedział już na pewno, że przecucia go nie myliły. Mała pociecha. - Jaką masz przykrywką?

- Tłumacz i szofer. A myślał pan, że jaką? Na pewno nie kurier, więc niech pan szybko to weźmie. - Podał mu płócienną kaburę z berettą. Zrobił to tak, jakby parzyła go w ręce.

- Nazywasz się jakoś? - Jon wetknął pistolet za pas za plecami i wrzucił kaburę do walizki.

- An Jingshe, ale może pan mówić mi Andy. Tak nazywali mnie nam nowojorskim uniwerku. Tym w Village, nie w centrum. Podobało mi się u was. Od groma babek, duża chata... Jestem

malarzem - dodał z dumą i melancholią w głosie.

- Gratuluję - rzucił oschle Jon. - To jeszcze bardziej niepewny zawód niż szpieg. Dobra, Andy. Idziemy na kawę do Starbucksa. Zobaczmy, może uda nam się rozszyfrować tych, którzy za mną chodzą.
- Włożył włókienko do zatrzasku walizki, a potem rozłożył pod drzwiami cieniutki kawałek przezroczystego plastiku, tak że ktoś, kto wszedłby do pokoju, musiałby nań nastąpić. Powiesił na klamce tabliczkę z napisem Nie przeszkadzać i poszli. Na dół zjechali windą.
- Można tu wyjść przez kuchnię? - spytał w holu.
- Na pewno.
- Sprzątaczkę polerował klamki i wyłożone marmurem ściany w korytarzu łączącym windy z holem. Żyłasty, o pociągłej twarzy, bystrych czarnych oczach, bladobrazowej cerze i opadających wąsach, wyróżniał się wśród innych Chińczyków, nie wspominając już o kręcących się w holu Europejczykach. Pracował bez słowa, ze spuszczoną głową, pozornie skupiony na tym, co robił, lecz widział wszystko i wszystkich. Po wyjściu z windy chudy, wysoki Chińczyk i wysoki, dobrze zbudowany obcokrajowiec przystanęli, żeby zamienić ze sobą kilka słów. Zbyt oddalony, żeby podsłuchać ich cichą rozmowę, polerując mosiężny świecznik, sprzątaczkę otaksował obcokrajowca wprawnym okiem. Smukły, wysportowany, co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary, potężna pierś, zaczesane do tyłu włosy, przystojna twarz, jasne, inteligentne, niebieskie oczy, po amerykańsku skrojony szary garnitur. W sumie nie było w nim nic niezwykłego, ale nie ulegało wątpliwości, że nosi się jak wojskowy, poza tym przyleciał tu z Tajwanu wraz z doktorem Liangiem Tianningiem i jego kolegami naukowcami. Chudy Chińczyk z wysokim obcokrajowcem skręcili i ruszyli w stronę drzwi do kuchni. Gdy za nimi zniknęli, sprzątaczkę zebrał swoje rzeczy i szybko wyszedł na ruchliwą Nanjing Dong Lu, jeden z największych na świecie pasażów handlowych. Przedzierając się przez tłumy kupujących i chmary trąbiących klaksonami pojazdów, potruchtał w kierunku długiego ciągu sklepów. Zanim dotarł do pierwszego skrzyżowania, przystanął naprzeciwko bocznej alejki biegnącej wzdłuż hotelu. Widział stamtąd zarówno boczne, jak i główne wejście, którym przed chwilą wyszedł. Zawsze istniała możliwość, że tamci go zauważyli, i to, że skręcili do kuchni, mogło być tylko zmyłką. Z hotelu nie wyszedł ani jeden, ani drugi, ale sprzątaczkę zauważył coś innego. Nie tylko on obserwował hotel i okolicę. W czarnym samochodzie, który niemal zatarasował wąski chodnik przed obrotowymi drzwiami, rozjarzyły się i przygasły ogniki dwóch papierosów. Biuro Bezpieczeństwa Publicznego, budząca grozę chińska policja i wywiad. Nikt inny nie pozwoliłby sobie na taką arogancję. Długo przyglądał się samochodowi. Gdy przeniósł wzrok na boczną alejkę, Amerykanin i chudy Chińczyk pędzili już w stronę granatowego volkswagena parkującego przodem do skrzyżowania z pasażem. Sprzątaczkę wmieszał się w sunący chodnikiem tłum. Prawe koła volkswagena stały tuż przy ścianie. Chińczyk otworzył drzwiczki, Amerykanin zaś rozejrzał się czujnie, jakby w każdej chwili ktoś mógł ich napaść. Wskoczyli do środka, samochód włączył się do ruchu i skręcił w kierunku pasażu dla pieszych, który ciągnął się aż do Bundu. Ruch kołowy był tam zabroniony. Sprzątaczkę nie tracił czasu i przenikliwie zagwizdał. Kilka sekund później podjechał do niego zdezelowany land-rover. Sprzątaczkę rzucił swoje rzeczy na tylne siedzenie i wskoczył



na fotel obok kierowcy, mężczyzny o skórze-brązowej cerze i okrągłych oczach, bardzo podobnych do jego oczu. Gdy kierowca spytał go o coś w języku, który nie był ani chińskim, ani żadnym językiem europejskim, sprzątacznik odpowiedział mu w tym samym dialekcie, wskazując kciukiem jadącego pół ulicy dalej volkswagena. Kierowca skinął głową i przez gąszcz pojazdów zaczął przebijać się w tamtą stronę. Volkswagen gwałtownie skręcił w lewo. Bluzgając przekleństwami, kierowca zjechał w bok, odbił w prawo, potem w lewo, potem znowu w prawo, lecz gdy dotarli do skrzyżowania, Volkswagen skręcił ponownie, tym razem na zachód, w Jiujiang Lu, by natychmiast skręcić na północ, w kierunku Nanjing Dong Lu, ulicy, z której niedawno wyjechali. Wrzeszcząc i klnąc, kierowca land-rovera próbował go dogonić, lecz drogę zajął mu jakiś samochód. Kierowca ominął go, dodał gazu, skręcił na północ i hen, daleko przed nimi sprzątacznik zdążył jeszcze dostrzec tył volkswagena. Sekundę później wóz zniknął mu z oczu. Przez jakiś czas jechali dalej i zatrzymali się dopiero przed Nanjing Dong Lu, na skrzyżowaniu z wąziutką, ledwie widoczną alejką biegnącą na południe. Sprzątacznik zaklął. Wysoki Chińczyk i Amerykanin o postawie wojskowego musieli ich zauważyć. Skręcili w alejkę i przepadli w tej wiecznie zatłoczonej, tętniącej życiem dzielnicy. Dwie godziny później Andy wyrzucił Jona przed drugim Starbucksem i pojechał zaparkować. Ta kawiarnia mieściła się przy Fixing Dong Lu, kolejnej ruchliwej ulicy nad rzeką w Nanshi, na Szanghajskiej starówce. Pierwszą kawiarnię znaleźli w Lippo Plaza przy Huaihai Zhong Lu, lecz ani wśród tłumu gości, zarówno miejscowych, jak i obcokrajowców, ani w samym pomieszczeniu Jon i Andy nie zauważyli nic, co mogłoby wskazywać, że lokal ten ma jakiś związek z „Cesarzową”. Nic podejrzanego nie dostrzegli też wśród nazw przedsiębiorstw z siedzibami przy okolicznych ulicach, w sklepikach i sklepach. W drugiej kawiarni panował mniejszy tłok. Przy stolikach siedzieli tu tylko Chińczycy i tylko oni kupowali kawę na wynos. Większość z nich była w garniturach, chińskich i zachodnich, i wyglądało na to, że są to miejscowi urzędnicy. Jon usiadł przy oknie z drugą już tego dnia dużą kawą. Zapędzili się do dzielnicy handlowej, co wyjaśniało brak obcokrajowców. Wśród pobliskich budynków dominowały trzy-, cztero- i pięciopiętrowe domy jeszcze z okresu kolonialnego, lecz były tu też nowoczesne wieżowce oraz kilka lśniących wysokościowców ze stali i szkła. Jeden z nich stał dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Jon skupił wzrok na pionowym rzędzie mosiężnych tabliczek przy głównych drzwiach. Nadszedł Andy. - Wezmę sobie mokkę i możemy iść - rzucił. - Stawiasz? Smith dał mu pieniądze. - Obejrzyjmy ten nowy budynek naprzeciwko - powiedział, wstając, gdy Andy wrócił. Ze styropianowymi kubkami w ręku przeszli przez jezdnię, meandrując między rowerami, samochodami i autobusami z wprawą, którą nabyli na Manhattanie. Smith stanął przed rzędem tabliczek. Większość nazw była po chińsku, kilka przetransliterowano fonetycznie na pinyin. Andy zaczął je tłumaczyć.

- Zaczekaj! - przerwał mu Jon przy dziesiątej tabliczce. - Jeszcze raz.
- Latający Smok. Międzynarodowe przedsiębiorstwo handlowo-żeglugowe. Latający smok to u nas symbol nieba - dodał przemądrzale.
- Aha.
- No i cesarza...
- - Wasz cesarz już dawno nie żyje, ale dzięki za wyjaśnienia. Wał dalej. Okazało się, że

Latający Smok jest jedynym przedsiębiorstwem handlowo-żeglugowym. Pijąc kawę, szybko obejrzeni tabliczki z nazwami firm mieszczących się w sąsiednich gmachach i znaleźli jeszcze cztery spółki, które mogły - przynajmniej teoretycznie - zajmować się przewozami morskimi. Potem znaleźli ulicznego sprzedawcę *jianbing*, omletów z zieloną cebulką i sosem chili. Tym razem stawił Andy. Gdy tylko skończyli jeść, Jon kazał mu się zbierać.- Pora na ostatniego Starbucksa.Ostatnia kawiarnia z listy mieściła się w nowej dzielnicy handlowej wokół lotniska Hongqiao, przy ulicy Hongqiao Lu. Ponieważ nie znaleźli tam ani jednej firmy spedycyjnej, Jon kazał Andy'emu wracać do hotelu.

- Dobra, mamy pięć firm - powiedział. - Wszystkie mieszczą się blisko drugiego Starbucksa, więc tam informator mógł przekazać Mondragonowi manifest. Znasz się na komputerach?
- A czy Grant znał się na wojaczce?
- - Wejdź na strony internetowe wszystkich pięciu i na liście pracowników poszukaj nazwiska Zhao Yanji.- Załatwione.Jechali dalej.
- Czy ten hotel ma tylko dwa wejścia, główne i boczne? - spytał Jon, gdy dojeżdżali do Bundu.
- Ma i trzecie. Za rogiem, za skrzyżowaniem z tą boczną uliczką.
- Dobrze, jedź tam.
- Gdy Andy przebijał się przez labirynt ulic, uliczek i wielkich arterii komunikacyjnych, Jon uważnie mu się przyglądał.- Jesteś prawie mojego wzrostu. Spodnie masz dość długie, a ta twoja marynara pasowałaby na słonia. Do tego czapka i mogę uchodzić za miejscowego, chyba że ktoś zobaczy z bliska moją twarz. W moich ciuchach będziesz wyglądał jak strach na wróble, ale nie musisz wkładać marynarki. - Chyba powinienem za to podziękować.Podjechali do hotelu. Jon zaczął się rozbierać, co w ciasnym samochodzie nie było łatwe. Andy wyłączył silnik i poszedł w jego ślady. Smith skończył pierwszy. Skórzana marynarka mniej więcej pasowała. Spodnie były o dwa, trzy centymetry za krótkie, ale cóż. Nasunął czapkę prawie na oczy, wysiadł i nachylił się nad bocznym oknem.
- Zajrzyj do sieci, potem zjedz kolacją i przyjedź po mnie za dwie godziny.
- Za dwie godziny? - Andy'emu pojaśniała twarz. - To za wcześnie na teatr czy klub. Coś się kroi?
- Ty nic nie będziesz kroił. Zaczekasz w samochodzie. Ja pobawię się trochę wytrychami. To, czy będę się bawił długo, zależy od tego, co znajdziesz w sieci.
- Mógłbym pomóc, jestem w tym niezły...
- Innym razem.
- Rozczarowany Andy nachmurzył czoło.
- Nie znoszę czekać, brakuje mi cierpliwości.

- To pracuj nad sobą, pracuj. - Jon uśmiechnął się i odszedł. Andy bardzo mu się podobał.
- Ulice były jak zwykle zatłoczone i hałaśliwe. Nie zauważył, żeby ktoś go śledził, ale nie chciał ryzykować. Wmieszał się w tłum i dał mu się ponieść. Przed wejściem do hotelu szybko odbił w prawo i zniknął za drzwiami. Dwie godziny później Szanghaj utonął w purpurowym świetle zmierzchu i rozbuchane piękno Azji złagodziło wystrzępione kształty wieżowców rysujących się na tle nieba. Andy An wysadził Smitha ulicę przed siedzibą Latającego Smoka. Ponieważ nocne życie przeniosło się już na starówkę, do Dzielnicy Francuskiej i nad Huangpu, ulice były teraz na wpół opustoszałe. Internetowe poszukiwania Andy'ego okazały się skuteczne. Zhao Yanji był skarbnikiem Latającego Smoka, firmy z siedzibą naprzeciwko kawiarni Starbucks, którą odwiedzili jako drugą. Wszystko pasowało. Handlowiec sprzedający na lewo nielegalny towar, w dodatku sprzedający go podczas oficjalnych godzin pracy, nie chce wychodzić z biura na długo i jeśli już wychodzi, to pod dobrym pretekstem, choćby takim jak kawa na wynos z pobliskiej kawiarni. Jeśli handlowcem tym był Zhao Yanji, wiecznie zatłoczony Starbucks był dla niego znakomitym punktem kontaktowym. Jon uznał, że jeżeli wszystko się uda, na pewno zdąży na dziewiątą na kolację z doktorem Liangiem i jego kolegami. Jeśli nie, cóż, będzie musiał jakoś sobie poradzić. Gdy volkswagen Andy'ego zniknął w mroku, ruszył w stronę wieżowca, ukradkiem obserwując wszystkich i wszystko. Był w czarnym swetrze, czarnych dżinsach i w miękkich butach na gumowej podeszwie; miał lekki czarny plecak. Zadarł głowę. W wieżowcu paliły się wszystkie światła, co jeszcze bardziej wzbogacało już i tak oszałamiającą nocną panoramę miasta. Naprzeciwko był wciąż otwarty Starbucks, a w nim gromadka kawoszy przy małych stolikach: żywy obraz, wizja godna obrazu Edwarda Hoppera. Jak w każdym wielkim mieście, powietrze pachniało spalinami, ale tu czuć też było lekki aromat azjatyckich przypraw i czosnku. Przez panoramiczne okno Jon dostrzegł umundurowanego strażnika drzemącego za biurkiem w recepcji. Mógłby obok niego przemknąć, lecz naraziłby się na niepotrzebne ryzyko. Nie, tak nowoczesny gmach musiał mieć też inne wejścia. Minął zjazd do oświetlonego, lecz zamkniętego garażu. Trzy metry za zjazdem były drzwi na schody ewakuacyjne. Tego właśnie szukał. Nacisnął klamkę. Nic z tego, drzwi otwierały się od środka. Wyjął z apteczki komplet wytrychów, które nosił tam opakowane jak narzędzia chirurgiczne. Zamek ustąpił za czwartą próbą. Wślizgnął się do środka, cicho zamknął drzwi, schował apteczkę do plecaka i wytężył słuch. Schody. Znikały w górze. Odczekał dwie minuty. Pierwszy stopień, drugi... W miękkich butach szedł niemal bezszelestnie. Siedziba Latającego Smoka mieściła się na siódmym piętrze. Dwa razy zastygał bez ruchu, bo gdzieś nad nim otworzyły się drzwi i zabrzmiały czyjeś kroki. Na siódmym piętrze wyjął z plecaka stetoskop i upewniwszy się, że po drugiej stronie drzwi nikogo nie ma, otworzył je i wszedł do wyłożonej zieloną wykładziną poczekalni o białych ścianach, pomieszczenia ozdobionego ultranowoczesnym chromem, szkłem i zamszem. Szeroki korytarz - znowu białe ściany i zielona wykładzina na podłodze - przecinał się z innym, poprzecznym, pełnym podwójnych drzwi z drewna i szkła. Siedziba Latającego Smoka mieściła się za trzecimi po lewej. Idąc, Smith zerknął na nie niby od niechcienia. Ciemny sekretariat, za sekretariatem duża, jasno oświetlona sala z długimi rzędami pustych biurków i przeszklona ściana za biurkami. Po lewej i prawej stronie solidne drzwi. Przeszedł korytarzem dwa razy. Za trzecim razem zaryzykował i przekręcił klamkę. Drzwi do sekretariatu były otwarte. Zachęcony tym, lecz wciąż nieufny, wsunął się do środka i przeszedłszy bezszelestnie między biurkami, stanął przed drzwiami w rogu sali. Widniał na nich sporządzony złotymi literami napis po chińsku i angielsku: Yu Yongfu, prezes i

przewodniczący zarządu. Jon zerknął w dół. Szpara między drzwiami a podłogą była ciemna. Wślizgnął się do gabinetu, w smudze wpadającego z sali światła podszedł do dużego biurka i zapalił stojącą na nim lampę. W jej żółtawym blasku pomieszczenie wyglądało dość upiornie, lecz na pewno nie było widoczne z ulicy. Zamknął drzwi i rozejrzał się wokoło. Nie był to co prawda narożny gabinet, tak ceniony przez ważnych dyrektorów i prezesów, lecz nadrabiał to swym ogromem. Roztaczający się z panoramicznego okna widok też był prestiżowy: rzeka, drapacze chmur w Pudongu, historyczny Bund, północno-wschodni Szanghaj i znowu skręcająca na wschód i płynąca aż do Jangcy rzeka. Jon był pod wrażeniem. Najważniejszym dla niego meblem była szafka na akta; miała trzy szuflady i stała przy ścianie po lewej stronie. Ale były tam również komplet z białego zamszu, sofa i fotele, szklany stolik do kawy od Noguchiego, wypełniona oprawionymi w skórę książkami wielka półka, oryginalne obrazy Jaspera Johnsa i Andy'ego Warhola i panoramiczne zdjęcie brytyjskiego Szanghaju z przełomu wieków. Mahoniowe biurko też było olbrzymie, lecz tu, w tym gabinecie robiło wrażenie małego. Wszystko to razem mówiło dużo o jego właścicielu - Yu Yongfu, prezes i przewodniczący zarządu spółki, człowiek o nieco jarmarcznych gustach, zbił w nowych Chinach wielką fortunę i chciał, żeby wiedział o tym cały świat. Jon podszedł do szafki. Była zamknięta, lecz dzięki wytrychom szybko się z nią uporał. Otworzył górną szufladę. Akta ułożono alfabetycznie i oznakowano po angielsku tudzież po chińsku - cóż za pretensjonalność, cóż za poza! Gdy znalazł teczkę „Cesarzowej”, cicho wypuścił powietrze. Nie zdawał sobie sprawy, że przez cały czas wstrzymywał oddech. Teczka otworzyła natychmiast, tam, na szafce, lecz znalazł w niej tylko bezwartościowe okólniki i stare manifesty okrętowe. Z narastającym niepokojem przeglądał papiery dalej. Wreszcie, w ostatnim pliku, znalazł to, czego szukał: aktualny manifest frachtowca. Zaczął go czytać i podniecenie powoli opadło. Daty się zgadzały, port macierzysty - Szanghaj - i docelowy - Basra - też. Ale nie zgadzał się ładunek, lista przewożonych przez statek towarów. Radioodbiorniki, odtwarzacze CD, czarna herbata, surowy jedwab. Była to kopia oficjalnego manifestu z izby handlowej. Zmyłka. Zasłona dymna. Gniewnie zajrzał do szafki, przeszukał pozostałe szuflady, ale nie znalazł w nich nic, co miałoby związek z „Cesarzową”. Zamknął szuflady wytrychem i wykrzywił usta. Nie, nie zrezygnuje. W gabinecie musi być sejf. Potoczył wokoło wzrokiem, zastanawiając się, jakiego rodzaju człowiek mógłby zasiadać w tak urządzonym pomieszczeniu. Próżny, zadowolony z siebie, łatwy do rozszyfrowania. Oczywiście. Łatwy do rozszyfrowania. Ponownie popatrzył na szafkę. Wisiało nad nią stare zdjęcie Szanghaju. Odchylił je lekko, no i proszę. Sejf. Prosty ścienny sejf bez czasowego zamka i wyrafinowanej elektroniki. Wystarczyło sięgnąć po wytrychy i... - Kim pan jest? - zapytał ktoś silnie akcentowaną angielszczyzną. Jan odwrócił się powoli i spokojnie, żeby go nie sprowokować. W smudze szarego światła bijącego od drzwi stał krępy, otyły Chińczyk w okularach bez oprawek. W ręku trzymał sig sauera i celował mu w brzuch.

## Pekin

- Noc to w Pekinie najlepsza i najciekawsza pora, gdyż na ulice wyjeżdżają wtedy luksusowe limuzyny napędzane paliwem bezołowiowym i straszliwe zanieczyszczone powietrze robi się czystsze; gęsty, nieprzenikniony smog znika, pod rozgwieżdżonym niebem widać wreszcie, jak szara socjalistyczna rzeczywistość czmycha przed wesołą zabawą. Słychać dźwięki karaoke i muzyki poważnej. Ożywają dyskoteki, puby, kluby i restauracje, wszędzie je się dobre jedzenie i pije dobre trunki. W Pekinie wciąż panuje surowy komunizm, jednak coraz częściej widać tam

oznaki kuszącego kapitalizmu. Miasto pragnie dostatku i zrzuca z siebie siermiężny całun. Ale wbrew zapewnieniom chińskiego biura politycznego Pekin nie jest jeszcze gospodarczym rajem. Wielu zwyczajnych mieszkańców przegrywa walkę o lepszy status i nie radząc sobie z kosztami utrzymania, musi wyprowadzić się na wieś. To ciemna strona chińskiego nowego dnia. Strona, która bardzo niepokoiła Sowę i niektórych członków Stałego Komite-i tu. Niu dokładnie przeanalizował przyczyny klęski Jelcyna w walce z zachłannymi oligarchami, która omal nie doprowadziła do krachu rosyjskiej gospodarki. Tak, Chiny potrzebowały bardziej wyważonego podejścia do problemu restrukturyzacji. Ale teraz najważniejszy był układ o przestrzeganiu praw człowieka, traktat ze Stanami Zjednoczonymi. Jego podpisanie miało rozstrzygające znaczenie dla planów, jakie snuł dla dobra demokratycznych, społecznie świadomych Chin. Trwało właśnie specjalne posiedzenie Stałego Komitetu. Niu spod przymkniętych powiek uważnie obserwował twarze ośmiu kolegów zasiadających przy starym, cesarskim stole w sali konferencyjnej w Zhongnan-; hai. Który z nich przysporzy mu kłopotów? W partii, a tym samym w rządzie, plotka nie była jedynie zwykłą plotką: była wezwaniem o poparcie. Co oznaczało, że jeden z nich, z tych poważnych starców i uśmiechniętych młodzików, spróbuje wpłynąć na jego stanowisko względem traktatu z USA. Uznał, że jest mało prawdopodobne, żeby plotki te rozpowszechniał ich wyniosły przywódca, na wpół ślepy sekretarz generalny. Sekretarz nie musiał się do tego uciekać, przecież nikt by mu się nie przeciwstawił, przynajmniej otwarcie. Nie, jeszcze nie teraz, nie w tym roku. W którąkolwiek stronę by się zwrócił, poszedłby za nim jego najzagorzalszy zwolennik z dawnych Szanghajskich czasów. Miał twarz kata i był za stary, zbyt mu oddany, żeby wysadzić go ze stołka i zostać sekretarzem generalnym. Nie, nie miał żadnego powodu, żeby podważać zasadność układu. A więc może to któryś z tych czterech młodszych? Każdy z nich zabiegał o poparcie, lecz wszyscy byli ludźmi nowoczesnymi i jako tacy należeli do gorących zwolenników dobrych stosunków z Zachodem. Ponieważ układ miał też wielkie znaczenie dla obecnego prezydenta USA, namówienie ich do zmiany zdania byłoby trudne. Pozostawało zatem dwóch: Shi Jingnu o tłustej, wiecznie uśmiechniętej twarzy sprzedawcy jedwabiu - uśmiechał się i uśmiechał, lecz był łajdakiem, jak powiedziałyby Szekspir - i łysy, wiecznie ponury Wei Gaofan o oczach jak malutkie szparki, który jako młody żołnierz rozmawiał raz z niezrównanym Chu Tehem i do tej pory żył jedynie tamtą chwilą. Niu uśmiechnął się sennie i powoli skinął głową. Tak, to jeden z tych dwóch. Obydwaj należeli do starej gwardii, obydwaj walczyli o władzę, czując na swych skórzastych, pomarszczonych karkach zimny oddech niebytu.

- Jianxing, nie masz uwag do wystąpienia Shi Jingnu? - spytał z uśmiechem sekretarz generalny, doskonale wiedząc, że Sowa nie śpi.
- Nie, towarzyszu sekretarzu.
- Rozumiem, że chcesz zawiadomić nas o czymś, co ma związek z kwestią bezpieczeństwa publicznego.
- Tak. Ta sprawa wypłynęła dopiero dzisiaj. Doktor Liang Tianning, dyrektor Instytutu Biomedycznego w Szanghaju, zaprosił do Chin wybitnego amerykańskiego mikrobiologa, podpułkownika Jona Smitha. Pułkownik Smith ma spotkać się z naszymi badaczami...
- Odkąd to Amerykanie nadają naukowcom stopnie wojskowe? - przerwał mu Wei Gaofan. - Czyżby znowu podżegali świat do wojny? Czy znowu...

- Pułkownik Smith - warknął Niu -jest lekarzem i pracuje w słynnym Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych, odpowiedniku naszych instytutów badawczych w Pekinie i Szanghaju.
- Znam doktora Lianga ze starych szanghajskich czasów - wsparł Sową sekretarz generalny. - Na pewno wie, z kim jego podwładni chcieliby porozmawiać. Możemy mu zaufać.
- Właśnie - kontynuował Niu. - Tak się składa, że doktor Liang ma co do niego pewne wątpliwości. - Powtórzył im to, czego dowiedział się od generała Chu Kuaironga. - Ale zgadzam się z majorem Panem. Doktor Liang ma w sobie coś ze starego szmaciarza, który boi się własnego cienia.
- Zbyt lekko do tego podchodzisz, Niu - zganił go Shi Jingnu. – Ten Amerykanin może być szpiegiem.
- W tej wypowiedzi najważniejszym słowem jest „może” – odparł Sowa, nawet na niego nie spojrzawszy. - Może, ale nie musi. Nie powinniśmy ślepo wierzyć przeczuciom majora Pana. Wystarczy, że wierzy w nie dyrektor Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Niech on ściga się z cienia mi. To nie nasze zadanie.
- Cóż więc postanowiłeś? - spytał wierny uczeń sekretarza generalnego go.
- Poleciałem generałowi Chu, żeby major Pan obserwował pułkownika Smitha. Nie wyraziłem zgody na ewentualne aresztowanie i przesłuchanie. Wyrażę ją, jeśli przedstawią mi konkretne, jednoznacznie obciążające dowody. Sytuacja międzynarodowa jest bardzo delikatna, zwłaszcza że amerykański rząd jest tak przychylnie nastawiony do kwestii pokoju i współpracy.
- Nie wspomniał o agencie, który zaginął w Szanghaju. Nie miał nic więcej do powiedzenia, poza tym nie chciał dawać broni tym, którzy knuli spisek. Członkowie biura pokiwali głowami. Swoją aprobatę wyrazili nawet Shi Jingnu i Wei Gaofan, co oznaczało, że autor czy autorzy spisku nie są jeszcze gotowi do otwartej konfrontacji. Jednakże Wei nie mógł oprzeć się pokusie. Chciał mieć ostatnie słowo i przestrzegł ich z oczami jak szparki:- Nie powinniśmy stwarzać wrażenia, że jesteśmy zbyt skłonni do współpracy z Amerykanami. Pamiętajcie, w cieniu może kryć się niebezpieczeństwo.

# Rozdział 6

## Szanghaj

- 
- 
- Zmierzch przeszedł w noc. Yu Yongfu stanął w przeszklonych drzwiach i spojrzął na ogród. Poczł zapach świeżo skoszonej trawy. Starannie dobrane drzewa i krzewy były oświetlone reflektorami, tu i ówdzie z góry, tu i ówdzie od dołu. Ten angielski ogród był wierną kopią ogrodu pewnego brytyjskiego potentata handlu herbatą z początku XX wieku, którego rezydencję już dawno zburzono. Yu kupił plany i teraz z radością pokazywał swe dzieło gościom z Zachodu. Ale tej nocy nie znalazł w nim ukojenia. Co kilka minut zerkał na swego roleksa. Miał trzydzieści cztery lata, ale wyglądał młodziej. Szczupły i wysportowany, codziennie ćwiczył w ekskluzywnym klubie niedaleko siedziby Latającego Smoka. Dbał o figurę i każdego dnia obserwował wskazania wagi z takim samym napięciem, z jakim śledził kurs akcji na międzynarodowych giełdach, spadek i przyrost wartości obcych walut i towarów. Ubierał się w obcisłe garnitury, które szyto mu na miarę w Rzymie. Nosił eleganckie krawaty i wysokie do kostki buty szyte ręcznie w Anglii. Szyte w Paryżu koszule, szyte, w Dublinie bieliznę i piżamy. Rzadkie w Chinach bogactwo zdobył w ciągu ostatnich siedmiu lat. Ale cóż, żył w nowym, butnym i rozpustnym kraju. Żył w zamerykanizowanych czasach i dostosowywał do nich swoje poglądy, sposoby prowadzenia interesów oraz ambicje. Co bynajmniej go nie pocieszyło, gdy poprzedniego dnia Feng Dun przekazał mu telefonicznie wiadomość o Mondragonie i o zaginionym manifeście okrętowym. Przedsięwzięcie było ryzykowne, od początku zdawał sobie z tego sprawę, ale cóż znaczy ryzyko w porównaniu z wprost astronomicznym zyskiem? Poza tym czekała go *guanxi*, bardzo wysoka nagroda, ponieważ rejs „Cesarzowej” miał błogosławieństwo samego Wei Gaofana, znamienitego członka Stałego Komitetu biura politycznego. Rzecz w tym, że coś musiało pójść nie tak. Gdzie był ten przeklęty Feng? Gdzie był manifest? Zdrajcę, który sprzedał go Amerykanom, należało naciąć w dziesięciu tysiącach miejsc i zaczekać, aż łajdak zdechnie!- Czy coś się stało, mężu? Kuonyi. Yu odwrócił się na pięcie, chcąc na nią warknąć, lecz się powstrzymał. Nie, nie była typową chińską żoną i nigdy nią nie będzie. Chlubili się tym, że ich małżeństwo jest małżeństwem nowoczesnym, zachodnim.- To ten przeklęty Feng - odrzekł, z trudem panując nad głosem. - Powinien już wrócić.

- Manifest?
- Kiwnął głową.
- Na pewno go zdobędzie - powiedziała,
- Yongfu zaczął nerwowo krążyć po pokoju.
- Skąd ta pewność?
- Feng potrafiłby odebrać widły samemu diabłu. Jest bezcenny, ale i niebezpieczny. Nigdy mu nie ufaj.

- Dam sobie z nim radę.
- Kuonyi znieruchomiła, Yu gwałtownie przystanął. Na podjazd przed domem wjechał duży samochód.
- To on - rzucił Yongfu.
- Zaczekam na górze.
- Dobrze.
- Mimo zatwierdzonego przez partię prawa, które mówiło, że kobieta jest równa mężczyźnie, traktowanie żony jak partnerki wciąż uchodziło w Chinach za oznakę słabości. Yu usiadł za biurkiem. Słyszając, że pokojówka otwiera drzwi, przybrał spokojny wyraz twarzy. Usłyszał równe kroki i w otwartych drzwiach gabinetu stanął postawny mężczyzna. Miał niezwykle jasną cerę i krótko ostrzyżone rudosiwe włosy. Był wysoki - mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt - potężnie zbudowany, lecz nie otyły. Ważył co najmniej dziewięćdziesiąt kilo i Yu Yongfu wyglądał przy nim jak karzełek. - Masz to? - Jak na ważnego przedsiębiorcę i chlebobawcę przystało, Yu zadał to pytanie surowym, a nawet srogim głosem. Feng Dun tylko się uśmiechnął. Lekko, leciutko, uśmiechem drewnianej marionetki. Podszedł do skórzanego fotela i bezszelestnie usiadł. - Mam - odrzekł niemal szeptem. Yu z ulgą odetchnął; nie potrafił się powstrzymać. Wyciągnął rękę. - Daj - rozkazał tym samym tonem. Feng pochylił się i podał mu kopertę. Yu rozerwał ją i zajrzał do środka. Feng zauważył, że trzęsą mu się ręce. - To prawdziwy - powiedział. Miał jasnobrażowe, niemal bezbarwne i puste oczy, które ściemniały, gdy skupił wzrok na twarzy Yu. Niewielu potrafiło wytrzymać to spojrzenie. A już na pewno nie Yongfu. - Schowam go w sejfie na górze - rzekł, szybko odwracając głowę. - Dobra robota. Dostaniesz premię. - Wstał. Feng też. Dobijał pięćdziesiątki i kiedyś był żołnierzem, a potem oficerem, obserwatorem podczas wojny, którą Amerykanie toczyli z Wietnamem Północnym i z byłym Związkiem Radzieckim. Zrezygnował z tej funkcji, gdy po upadku ZSRR zdał sobie sprawę, że znacznie więcej może zarobić jako zawodowy najemnik w dopiero co powstających armiach niespokojnych państw Azji Środkowej. Znał się na ludziach, umiał ocenić sytuację i zaimponowało mu to, co dostrzegł w Yu Yongfu. - Powinien pan go spalić - powiedział. - Nikt go wtedy nie ukradnie. To jeszcze nie koniec. Yu szarpnął się jak pies na smyczy.
- Co to znaczy?
- Powinien pan chyba wiedzieć, co zaszło na Tajwanie.
- Mów - rzucił z wahaniem Yu, stojąc w drzwiach z jedną nogą za progiem, jakby szykował się do ucieczki.
- Zabiliśmy tego amerykańskiego agenta, zabraliśmy manifest...
- Yu był tak zdenerwowany, że omal nie krzyknął. To jeszcze nie koniec? Dlaczego? O czym on, do diabła, mówi?
- Wiem! Jeśli to...
- ...ale Mondragon nie był sam. Na plaży czekał ktoś jeszcze. Ktoś przebiegły i dobrze



wyszkolony. Niemal na pewno drugi amerykański szpieg, który po powrocie Mondragona do Szanghaju miał dostarczyć manifest do Waszyngtonu. Plaża była tylko ich punktem kontaktowym. Ponieważ był dobrze wyszkolony i zdołał uciec, innego logicznego wytłumaczenia nie ma.

- Yu z trudem zwalczył atak paniki. No to co? Amerykanie przegrali. Manifest spoczywa bezpiecznie w jego kieszeni.- Uciekł, ale bez manifestu - odparł. - Manifest mam ja i...- On jest teraz tutaj, w Szanghaju. - Feng obserwował każdy jego ruch, drgnięcie każdego mięśnia. - Wątpię, czy przyjechał tu na urlop. Yu poczuł, że do gardła podchodzi mu coś kwaśnego.
- W Szanghaju? Jak to? Śledził was? I ty mu na to pozwoliłeś? Jak mogłeś być tak głupi? - Uświadomił sobie, że histerycznie podniósł głos, i natychmiast zamilkł.
- Nie mógł nas śledzić - odparł Feng. - Musiał dowiedzieć się czegoś od Mondragona albo znalazł przy jego zwłokach coś, co naprowadziło go na nasz ślad. Tak trafił do Szanghaju.
- Yu omal nie wyszedł z siebie.- Ale jakim cudem udało mu się wjechać do Chin?
- Oto pytanie, prawda? Okazuje się, że ten człowiek jest znanym mikrobiologiem, lekarzem, a także wojskowym. To badacz i naukowiec, podpułkownik Jon Smith. Jego nazwisko nie figuruje na liście płac żadnej znanej nam amerykańskiej agencji wywiadowczej, ale właśnie on spotkał się z Mondragonem na plaży. I właśnie on wprosił się tutaj, do Chin.
- Wprosił się?
- Nasz wybitny naukowiec, doktor Liang Tianning, chciał spotkać się z nim na Tajwanie. Smith odmówił. Nazajutrz rano zmienił zdanie. Dał Liangowi jednoznacznie do zrozumienia, że chciałby zaszczyścić nas swoją obecnością i wykładem w Szanghajskim Instytucie Mikrobiologii. Ale zaraz po przyjeździe do hotelu oznajmił, że jest zmęczony. Że chce побыć trochę sam. Doktor Liang był zaskoczony. Oczywiście podzielił się swymi podejrzeniami z policją. Pułkownik Smith jest już obserwowany.
- Skąd wiesz?
- Po prostu wiem. Dobrze mi pan za to płaci.
- I rzeczywiście. Yu uważał, że płaci mu czasem więcej, niż sam zarabia, co mogło Fenga rozzuchwalić. Musiał mu nieustannie przypominać, kto tu jest szefem.
- Płacę ci za pracę, za nic więcej. Dlaczego ten Amerykanin jeszcze żyje?
- Niełatwo go podejść, poza tym musimy zachować ostrożność. Jak już mówiłem, obserwują go ci z Zhongnanhai.
- Yu poczuł w ustach smak żółci.- Tak, tak, oczywiście. Ale trzeba go zabić. I to szybko. Dowiedziałeś się, od kogo Mondragon dostał manifest?- Jeszcze nie.- To się dowiedz. A kiedy się dowiesz, zabij go. Feng wykrzywił usta w uśmiechu.- Naturalnie. W słabym świetle lampy Smith zobaczył niskiego, przysadzistego Chińczyka, który patrzył na szafkę z aktami, na leżącą na niej wciąż otwartą teczkę. Chińczyk przeniósł wzrok na sejf i pistolet zadrżał mu w mięsistej dłoni. Nie spytał: Co pan robi? Ani: Co się tu dzieje? Spytał: Kim pan jest? Musiał wiedzieć,

co Jon robi w gabinecie Yu Yongfu, prezesa i przewodniczącego zarządu Latającego Smoka.- Pan Zhao Yanji, prawda? To pan dał manifest Avery'emu Mondragonowi. Lufa się sauera zdrząła jeszcze mocniej.

- Skąd pan...
- Od Avery'ego. Zabili go, zanim zdążył dać go mnie.
- Kto go teraz ma?
- Oni.
- Pistolet dygotał tak mocno, że Zhao Yanji musiał przytrzymać go drugą ręką.
- Skąd mam wiedzieć, że pan nie kłamie?
- Bo wiem o Mondragonie. Bo znam pańskie nazwisko. Bo ja też szukam tego manifestu.
- Zhao zamrugał, bezwładnie opuścił broń, ze skrzyżowanymi nogami osunął się na podłogę i ukrył twarz w dłoniach.- Już po mnie...Smith wyjął mu z ręki pistolet. Schował berettę do kieszeni, wetknął się sauera za pasek spodni i spojrzał na Chińczyka. Zhao miał odsłonięty kark, jakby czekał na cios katowskiego topora.- Mogą dojść do tego, że to pan mu go dał? Zhao kiwnął głową.
- Może jeszcze nie dzisiaj. Nie jutro. Ale w końcu dojdą. Feng to czarnoksiężnik. Widzi przez ściany.
- Feng?
- Feng Dun. Szef służby bezpieczeństwa Yu Yongfu.
- Jon zmarszczył czoło.
- Jak on wygląda?
- Wzrost, atletyczna budowa ciała, rudobrunatne włosy, wyjątkowa dzikość i zawziętość pod maską pozornego spokoju - Zhao opisał go bardzo dokładnie.- Widział go pan?- Tak, widziałem - odrzekł bez zdziwienia Jon. Przynajmniej znał już jego nazwisko. - Zaczniemy od początku. Dlaczego pan to zrobił? Chińczyk podniósł wzrok. Przerazenie nagle minęło, ustępując miejsca gniewowi.- Bo Yu Yongfu to zachłanna świnia ! To przez niego dałem manifest Mondragonowi! Czcigodny dziadek mojego przyjaciela Bei Ruitiao założył Latającego Smoka, kiedy panowali tu jeszcze Anglicy i Amerykanie. Nasza firma była szanowaną spółką...Słuchając jego tyrady, Jon ułożył w myśli historię, która w nowej Chińskiej Republice Ludowej była aż zbyt powszechna. Latający Smok był małą, konserwatywną firmą zajmującą się głównie transportem towarów po Jangcy i morskimi przewozami przybrzeżnymi w okolicy wyspy Hainan. Bei Ruitiao pełnił funkcję jej prezesa do chwili, gdy wykorzystując dojścia w partii i belgijskie źródła finansowe, przejął ją w mafijnym stylu Yu Yongfu, który mianował się prezesem i przewodniczącym zarządu i z pomocą belgijskich firm spedycyjnych poszerzył zakres działalności spółki o przewozy pełnomorskie. Cały czas balansował przy tym na pograniczu prawa, zarówno

chińskiego, jak i międzynarodowego. Głos Zhao drżał z emocji.

- Yu zrujnował mojego przyjaciela. Dałem manifest Mondragonowi, żeby go zdemaskować, żeby się na nim zemścić! - Jego brawura zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. - Ale mi się nie udało. Już po mnie.
- Jak zdołał pan go wykraść?
- Ruchem głowy Chińczyk wskazał sejf nad szafką.- Yu schował go w tajnych aktach. Jestem skarbnikiem firmy. Gdy przejął Latającego Smoka, udałem, że się z tego cieszę, i popełnił błąd, zatrzymując mnie w pracy. Pewnego dnia zapomniał, że wyjął akta z sejfu, i tak je znalazłem. Zabrałem manifest, a pozostałe dokumenty odłożyłem na miejsce. Nie pamięta, że je zostawił. Ale teraz sobie przypomniał. - Zhao skulił się żałośnie.- Jak pan myśli, gdzie ten manifest teraz jest? Znowu w sejfie? Chińczyk pokręcił głową.
- Nie. Yu bałby się go tam zostawiać. Na pewno zabrał go do domu. Tam też ma sejf.
- Gdzie mieszka?
- - Daleko za lotniskiem Hongqiao. W wielkim, obrzydliwie bogatym domu, który zawstydziłby nawet wysokiego urzędnika z dynastii Yuan. - Podał adres, który Jonowi nic nie mówił, ale od czego był Andy?- Mondragon powiedział, że są trzy kopie. To prawda?- Tak, trzy.- Gdzie są dwie pozostałe?- Jedna pewnie w Basrze albo w Bagdadzie, u odbiorcy. Odbiorca musi mieć egzemplarz dla siebie, zawsze tak jest. Nie wiem, co zrobili z trzecią.- Mogę wywieźć pana z kraju - powiedział Jon. Chińczyk ciężko westchnął. - I dokąd bym pojechał? Chiny są moim domem. - Niezdarnie wstał, przeszedł na drugą stronę gabinetu i opadł na zamszowy fotel Yu Yongfu. - Może się nie dowiedzą. - To może i we.- Zwróci mi pan pistolet? Smith zawahał się, odciągnął zamek sig sauera, zajrzał do komory, wyjął magazynek i podał mu broń.- Magazynek położę przy drzwiach. I zostawił go tam siedzącego w fotelu, zapatrzonego w szanghajską noc. Feng Dun siedział cierpliwie w fordzie eskortie w czarnym cieniu rozłożystego płatanu i wdychając niesiony wiatrem słodki zapach kwitnącego jaśminu, który wpadał przez opuszczoną szybę samochodu, uważnie obserwował ciemne sylwetki mężczyzny i kobiety poruszające się za zasłonami w oknach domu Yu Yongfu. Zasłony były zachodnie, tak samo jak wielki dom, wierna kopia królewskiej rezydencji herbacianych magnatów i handlujących jedwabiem tajpanów z okresu brytyjskiej i francuskiej koncesji. I on, i ona gestykulowali. On chodził nerwowo po pokoju i wymachiwał rękami, ona stała w miejscu, od czasu do czasu wykonując gwałtowne gesty. To Li Kuonyi, żona Yu. Była pewniejsza siebie, bardziej stanowcza od męża i Yongfu zawsze traktował ją z szacunkiem. Sam tracił głowę, gdy sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli, tak więc oboje mieli pecha, że nie ona tu rządziła. Feng zobaczył już to, co chciał zobaczyć. Muskając palcami jednej ręki swego starego tokariewa, kciukiem drugiej wybrał numer z pamięci telefonu komórkowego i zaczekał, aż ucichnie seria sygnałów skomplikowanego systemu elektronicznego, broniącego dostępu do człowieka, do którego dzwonił. Odebrał jakiś mężczyzna.
- Tak?
- Muszę z nim porozmawiać.

- Mężczyzna natychmiast go rozpoznał.
- Oczywiście.
- Feng nie odrywał wzroku od okna domu. Yu Yongfu siedział bezwładnie w fotelu. Li Kuonyi stała z ręką na jego ramieniu, najpewniej próbując go pocieszyć.
- Co z tym Amerykaninem? - warknął chrapliwie Wei Gaofan z dalekiego Pekinu.
- Według ostatnich doniesień wciąż jest w hotelu. Obserwuje go bezpieka. Moi ludzie też, na wypadek gdyby chciał odzyskać manifest. Podejrzewamy, że próbuje.
- W którym hotelu?
- W Pokoju.
- Hm, ciekawy wybór jak na amerykańskiego mikrobiologa, który interesuje się podobno wynikami badań instytutu w Zhangjiang. Teraz wiemy już chyba wszystko, nie uważasz?
- Tak, chodzi mu nie tylko o badania.
- W takim razie kontynuuj obserwację.
- Oczywiście. - Feng zrobił krótką pauzę. - Mamy pewien problem. Yu Yongfu nie wytrzyma.
- Jesteś pewien?
- Pęknie. Już pęka. Jeśli wyjdzie na jaw choćby najmniejszy szczegół, załamie się i wszystko wygada. Może zrobić to nawet wcześniej. Nie możemy mu dłużej ufać - dodał stanowczo.
- Dobrze, zajmę się tym. Ty zlikwiduj Amerykanina. - Wei Gaofan zamilkł. - Jak to się stało, Feng? Chcieliśmy tylko, żeby dowiedzieli się o tym Amerykanie. Nie było mowy o żadnych dowodach.
- Nie wiem, panie Wei. Zgodnie z rozkazem dopilnowałem, żeby Mondragon wyłapał przeciek o ładunku. Nie mam pojęcia, kto znalazł i wykradł ten manifest, ale na pewno się dowiem.
- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. - Wei Gaofan odłożył słuchawkę.
- Feng siedział tam jeszcze przez jakiś czas. Wszystkie okna domu były już ciemne, z wyjątkiem okien sypialni na piętrze. Za zasłonami nie poruszały się żadne cienie. Feng uśmiechnął się enigmatycznie i wyobraził sobie żonę Yongfu. Zawsze mu się podobała. Roześmiał się krótko, wzruszył ramionami i ponownie sięgnął po telefon.

## **Hongkong**

- Hongkong, ten do niedawna ostatni okupowany przez Brytyjczyków skrawek Chin, stracił nieco ze swego krzykliwego blichtru, odkąd w 1997 roku ponownie stał się administracyjną częścią Chińskiej Republiki Ludowej. Pekin uważał się za przyszłą stolicę Azji, Szanghaj za wschodni odpowiednik Nowego Jorku, a Hongkong chciał jedynie pozostać Hongkongiem, miastem bogatym, beztroskim i radośnie ekscytującym, zupełnie innym niż metropolie współczesnych Chin. Z balkonu luksusowego apartamentu na najwyższym piętrze gmachu Grupy

Altmana rozciągał się widok na ciągnące się aż po horyzont morze mrugających światełek, dowód wigoru i dynamiki, z jakimi miasto rozwijało się i rozrastało. W wyłożonej tekową boazerią jadalni dobiegała końca kolacja. Pomieszczenie wypełniał zapach wykwintnych mięs i francuskich sosów. Ralph McDermid -jowialny gospodarz domu, założyciel i prezes zarządu Grupy Altmana - zabawiał ostatnich gości. Był średniego wzrostu, nijaki, nie rzucał się w oczy twarzy. Miał sześćdziesiąt kilka lat i lekką nadwagę. - Przyszłość światowego handlu - mówił - to kraje basenu Oceanu Spokojnego, przede wszystkim Chiny, które wraz ze Stanami Zjednoczonymi będą jego finansowymi filarami i głównymi rynkami zbytu. Jestem przekonany, że Chiny rozumieją to równie dobrze, jak USA. Bez względu na to, czy podoba im się wasza połowiczna niezależność, czy też nie, będą musiały z tym żyć. Jego goście, dwoje Chińczyków z Hongkongu, byli potentatami miejscowej finansjery. Poważnie pokiwali głowami, lecz nie mieli na to praktycznie żadnego wpływu, ponieważ wszystkim biznesmenom ze specjalnej strefy administracyjnej nieustannie groziła ciężka pięść Pekinu. Jednakże słowa człowieka tej rangi co Ralph McDermid napełniły ich dumą i ożywiły w nich nadzieję, zwłaszcza że padły po sutej, zakrapianej winem kolacji w tym luksusowym, zachodnim apartamencie na szczycie najdroższego wieżowca przy Repulse Bay Road. Rozmawiając, Chińczycy coraz to zerkali w okna, żeby podziwiać widok, za który McDermid musiał zapłacić wiele milionów dolarów. Gdzieś w głębi mieszkania zadzwonił telefon. - Pańskie poglądy niezmiernie nas cieszą - odrzekł biznesmen - i mamy nadzieję, że przedstawi je pan burmistrzowi. Poparcie Stanów Zjednoczonych jest kluczowe dla naszych stosunków z Pekinem. McDermid uśmiechnął się układnie. - Myślę, że Pekin doskonale zdaje sobie sprawę... Jego osobisty sekretarz, który wszedł bezszelestnie do jadalni, szepnął mu coś do ucha. McDermid nie okazał zainteresowania, jakby go nie słyszał, jednak urwał i uprzejmie przeprosił gości.

- Bardzo żałuję, ale mam pilny telefon. To był wspaniały wieczór. Dużo się nauczyłem i świetnie się bawiłem. Dziękuję, że zechcieli państwo przyjść. Mam nadzieję, że spotkamy się ponownie, żeby kontynuować wymianę poglądów.
- Z wielką przyjemnością - odrzekła Chinka. - Koniecznie musi pan nas odwiedzić. Mogę obiecać, że wieczór będzie ciekawy, chociaż wątpię, czy uda nam się ugościć pana tak wystawną kolacją. Wino było wyborne.
- To tylko zwykłe amerykańskie wino, nic więcej, trunek niewątpliwie szlachetny, acz goście tacy jak państwo zasługują na znacznie lepszy. Lawrence poda państwu płaszcze i odprowadzi do drzwi. Jeszcze raz dziękuję, że zechcieli państwo przyjść. To dla mnie zaszczyt.
- Raczy pan przyjąć podziękowania od dwojga zawsze pokornych sklepikarzy.
- Wymieniwszy tradycyjne komplementy, McDermid szybko wszedł do gabinetu. Już się nie uśmiechał.
- Mów - warknął do słuchawki.
- Wszystko poszło dobrze - zameldował Feng Dun. - Tak jak pan przewidywał, na wyspie był jeszcze jeden amerykański agent. Zabiliśmy Mondragona, odzyskaliśmy manifest i pozwoliliśmy szpiegowi uciec. Teraz zaniepokoją się na całego.
- Znakomicie.

- Jest lepiej, niż myśleliśmy - kontynuował Feng. - Ten agent, podpułkownik Smith, jest również mikrobiologiem i pracuje w Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych.
- Co w tym dobrego?
- - To, że jego nazwisko nie figuruje na liście żadnej amerykańskiej agencji wywiadowczej. McDermid w zamyśleniu kiwnął głową.
- Ciekawe...
- Jest teraz w Szanghaju, co bardzo nam odpowiada. Zajmę się nim. Ale pojawił się inny problem, dużo większy. Problem, którego nie oczekiwaliśmy.
- Kto? - rzucił McDermid. - Co?
- Yu Yongfu. Udaje lisa, ale jest wystraszonym królikiem. Królik, który wpadł w sidła, może odgryźć sobie łapę i zdechnąć. Yu jest przerażony. Zniszczy i siebie, i nas.
- McDermid zmarszczył czoło.- Masz rację. Nie możemy ryzykować. Pozbądź się go.Odłożył słuchawkę, lecz wiadomość o amerykańskim agencie wciąż nie dawała mu spokoju. Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi.
- Tak?
- Przyszła panna Sun, panie prezesie.
- - Dziękuję, Lawrence. Podaj jej coś do picia. Zaraz przyjdę. Rozważał to wszystko i analizował jeszcze przez chwilę, a potem wstał.Sun Liuxia była córką ważnego urzędnika i nie chciał jej obrazić. Była też oszałamiająco piękna i młoda.Z uśmiechem odświeżył się i przebrał w smoking. Było jeszcze wczesnie. Morze mrugających świateł Hongkongu rozciągało się za oknami, jakby należał do niego cały świat. Wszedł do salonu. Znowu miał dobry humor.

## Szanghaj

- Siedząc w egzotycznym fotelu, Zhao Yanji ciężko westchnął. Nieszczęśliwy i załamany, patrzył na leżący na kolanach pistolet. Może ten Amerykanin rzeczywiście mógłby mu pomóc. Może powinien wreszcie wyjechać z Szanghaju. Albo podnieść z podłogi magazynek, przytknąć do głowy lufę i pociągnąć za spust.Patrzył w zadumie na pistolet, sunąc po nim palcem. Wyobraził sobie, jak pocisk opuszcza komorę nabożową, wylatuje z hukiem z lufy, przebija czaszkę i miękką tkankę mózgu. Nawet nie zadrżał. Przeciwnie, na chwilę ogarnął go błogi spokój. Walka nareszcie dobiegłaby końca, nareszcie zrzuciłby z ramion straszliwe brzemie dyshonoru.Rozejrzał się po gabinecie. Tak dobrze go znał. Jako skarbnik Latającego Smoka spędził tu niemal całe życie, próbując doksztalcić tego samolubnego pseudobiznesmena i uratować firmę. Głęboko odetchnął i potrząsnął głową. Zalała go fala żalu, buntu i determinacji. Nie, nie pora umierać. Trzeba walczyć dalej. Firmę da się jeszcze uratować.Powinien stąd wyjść, zanim ktoś go zobaczy. Wstał, czując, że mu ulżyło. Podjęcie decyzji daje nadzieję na przyszłość.Wtem usłyszał cichy dźwięk. Coś, co przypominało suchy trzask.Odwrócił się zaskoczony. Drzwi były otwarte. W smudze wpadającego do gabinetu światła ktoś stał. Zanim Zhao zdążył otworzyć usta, rozległo się głośne „puff!” Poczerniało mu przed oczami, jakby

stracił wzrok, mimo to wiedział, co to jest. Wystrzał. Wystrzał z zaopatrzonego w tłumik pistoletu. Serce rozerwał mu straszliwy ból. Ból tak silny, że Zhao nie poczuł nawet, iż upadł na twarz i leży na dywanie.

# Rozdział 7

## Szanghaj

- 
- 
- Yu Yongfu i jego rodzinę odwiedził ważny gość. Ta wizyta bardzo ich zaskoczyła. Gość był stary, gruby, miał kilka podbródków i zasiadł za wielkim biurkiem Yu jak za własnym. Yu milczał, próbując zdusić w sobie złość, że ma tak wścibskiego teścia. Dobrze przynajmniej, że manifest okrętowy „Cesarzowej” spoczywał bezpiecznie w sejfie, że do załatwienia pozostała jedynie sprawa tego amerykańskiego szpiega. Wierzył - musiał wierzyć - że Feng go zlikwiduje. Z dumą patrzył, jak otyły starzec rozpromienia się na widok małego chłopca, który nieśmiało do niego podszedł. Chłopiec był w zachodniej piżamie z twarzą Batmana na piersi. Jak na swój wiek był dość niski i pachniał masłem orzechowym. Starzec - Li Aorong - poklepał go dobrotliwie po głowie.
- Ile masz już lat, Peiheng?
- Siedem, czcigodny dziadku. - Peiheng zerknął na matkę. - No prawie, za miesiąc skończę. Chodzę do amerykańskiej szkoły - dodał z dumą.
- Lubisz chodzić do szkoły z dziećmi z Zachodu? - spytał ze śmiechem Li Aorong.
- Tato mówi, że dzięki temu będę kiedyś ważny.
- Li spojrział na zięcia siedzącego sztywno w fotelu. Yu, choć wyraźnie był zdenerwowany, uśmiechał się do syna.
- Twój tato jest bardzo inteligentny.
- Masz też i wnuczkę, ojcze - wtrąciła od drzwi Li Kuonyi.
- Pamiętam, córko, pamiętam. - Li Aorong ponownie się uśmiechnął.
- - Jest śliczna. Podejdź bliżej, dziecko, stań obok brata. Powiedz, ty też chodzisz do amerykańskiej szkoły? - Tak, dziadku. Jestem dwie klasy wyżej od niego. Li udał zdumionego.
- Jesteś tylko o rok starsza i prześcignęłaś go aż o dwie klasy? Musisz mieć to po mamie. Mama też była mądrzejsza od swoich braci.
- Peiheng świetnie rachuje - rzucił ostro Yu Yongfu.
- Kolejny biznesmen. - Li Aorong zachichotał i pogłaskał dzieci po twarzy tak ostrożnie, jakby dotykał rzadkiej, delikatnej wazy. - Daleko zajdą oboje. Ale chyba powinni być już w łóżku, hę? - Popatrzył na Yu, potem na córkę i z powagą skłonił głowę: - To miło, że pozwoliliście im zostać trochę dłużej.
- Za rzadko na odwiedzasz, ojcze - odrzekła z lekkim wyrzutem Kuonyi.
- Jestem już stary, a w Szanghaju wciąż wiele spraw.



- Ale dzisiaj przyszedłeś, i to o tak późnej porze - nie ustępowała Kuonyi.
- Ojciec i córka mierzyli się wzrokiem. Spojrzenie córki było równie twarde i odważne, jak spojrzenie jej potężnego ojca. Kuonyi chciała wiedzieć, domagała się wyjaśnień.- Dzieci powinny być już w łóżku - powtórzył Li Aorong. Kuonyi wzięła je za rękę i ruszyła do drzwi.- Zaraz wrócimy.- Yongfu zostanie - odparł Li Aorong. - Musimy porozmawiać. Sami - dodał z naciskiem. Kuonyi zawahała się, wyprostowała i wyprowadziła dzieci. Nad kominkiem cicho tykał wiktoriański zegar. Yongfu i Li Aorong milczeli. Li przesywał zięcia wzrokiem i Yu wreszcie nie wytrzymał.
- Dawno cię u nas nie było, czcigodny teściu - powiedział. - Brakowało nam twoich mądrych rad.
- Najważniejszym obowiązkiem mężczyzny jest dbanie o rodzinę - rzekł Li Aorong. - Prawda?
- - Pisano o tym już przed wiekami. Li znowu umilkł. Yu czekał. Starzec chciał mu coś powiedzieć, może zaproponować ważne stanowisko? Może bał się, że władze uznają to za oznakę faworyzowania najbliższej rodziny i chciał się przekonać, czy Yu da sobie radę? Tego wieczoru nic nie ucieszyłoby go bardziej niż dobra wiadomość. Cały czas dręczyła go sprawa „Cesarzowej”.- Mężczyzna nie może okryć jej złą sławą - dodał Yu.
- Złą sławą? - Starzec podniósł głowę i powtórzył to niemal w zadziwieniu. - Masz żonę i dwoje dzieci.
- Bóg mnie pobłogosławił, są moją duszą.
- A ja mam córkę i dwoje wnuków.
- Yu szybko zamrugał. Co się stało? Co miał na to odpowiedzieć? Zaszło mu w ustach, poczuł się nagle jak na pustyni Xinjiang, bo wyczuł, że w pokoju coś się nagle zmieniło. Zesztywniał, ogarnięty strachem. Nie patrzył już w oczy dobrotliwemu dziadkowi - patrzył w okrutne, bezlitosne oczy wysokiemu urzędnikowi Szanghajskiej specjalnej strefy administracyjnej, politykowi siedzącemu w kieszeni wszechpotężnego Wei Gaofana.- Popeliłeś wielki błąd, błąd nie do naprawienia - powiedział beznamiętnym głosem Li Aorong. Jego tłusta, nalana twarz przypominała nieruchomy pysk czyhającego węża. - Kradzież prawdziwego manifestu „Cesarzowej” naraża nas na wielkie niebezpieczeństwo. Naraża nas wszystkich. Yu poczuł, że rozpada się ze strachu.
- Już ten błąd naprawiłem - odparł. - Nie stało się nic złego. Manifest jest w moim sejfie, tu, na górze, i...
- Amerykanie wiedzą, co „Cesarzowa” przewozi. Węszy tu amerykański szpieg. Nie można się go pozbyć, bo pojawiłoby się za dużo pytań. Naraziłeś mnie na wielkie niebezpieczeństwo i, co gorsza, naraziłeś Wei Gaofana. To, co było tajemnicą, tajemnicą już nie jest, a to, co nie jest tajemnicą, może dotrzeć do uszu jego wrogów w Komitecie Centralnym, biurze politycznym, a nawet w Stałym Komitecie.
- Feng się go pozbędzie! Ten Amerykanin...

- To, co dotrze do uszu członków biura politycznego, zostanie dokładnie sprawdzone. Ciebie też sprawdzą. Przesłuchają i prześwietlą.
- Yu Yongfu wpadł w rozpacz.
- Niczego sianie dowiedzą...
- Dowiedzą się wszystkiego. Nie umiesz się zawziąć, nie potrafisz. - Starcowi złagodniał głos. - To smutne, ale prawdziwe. Powiesz im wszystko i jeśli nawet przeżyjesz, będziesz zrujnowany. Ty i my wszyscy. Wszyscy, rozumiesz? Twoja rodzina i moja.
- Nie! - Yu zadrzał. Ścisnęło go w żołądku. Prawie nie mógł oddychać. - Odejdę. Tak, odejdę i...
- Li Aorong pogardliwie machnął ręką.
- To już postanowione.
- Ale...
- Pytanie tylko, jak to zrobić. Tu wybór należy do ciebie. Czy pójdziesz w niesławie do więzienia, rujnując naszą rodzinę? Czy będziesz odpowiadał na pytania, narażając nas wszystkich na utratę łask Wei Gaofana? Bez wielkiego Weia moje dzieci i ich rodziny nie będą miały przyszłości. Co ważniejsze, przyszłości nie będą miały twoje dzieci.
- Yu zadrzał.
- Ale...
- Ale masz rację, nie musi tak być. Jest jeszcze wyjście honorowe, wyjście, które może nas ocalić. Cała odpowiedzialność skończy się na tobie. Gdy cię nie będzie, gdy umrzesz niebudzącą podejrzeń śmiercią, nic ani nikt nie doprowadzi ich do mnie i do Wei Gaofana. Nic też nie zagrozi mojej pozycji, ponieważ Wei nadal będzie darzył mnie swymi łaskami. A przed twoją żoną i dziećmi stanie otworem jasna przyszłość.
- Yu Yongfu otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie wydał żadnego dźwięku. Oczami wyobraźni zobaczył, jak popełnia samobójstwo, i sparaliżował go strach. Daleko na zachód od śródmieścia Szanghaju, za ekspresową obwodnicą, Andy wyłączył silnik samochodu i powoli wyhamował na wysadzonej drzewami uliczce. Nie było tu latarni. W oknach domów nie paliło się światło. Cała okolica zastygła bez ruchu w stalowobłękitnych promieniach księżyca. Jon spojrzął na zegarek. Było po dziewiątej. Przed spotkaniem z Andym zadzwonił do doktora Lianga i na automatycznej sekretarce zostawił wiadomość, że jest niedysponowany i nie może pójść na kolację z nim i jego kolegami. Miał nadzieję, że to wystarczy. Teraz martwiło go coś dużo ważniejszego. Wytężył słuch, ale doszedł go jedynie słaby szum samochodów na obwodnicy. Ulica, bogate domy - coś mu tu nie grało. Rozejrzył się i... omal nie parsknął śmiechem. Tak długo żył na zupełnie innym wybrzeżu, że zakorzeniły się w nim zupełnie inne nawyki kulturowe. Coś tu nie grało? Owszem - na ulicy nie parkował ani jeden samochód.
- To tam. - Andy wskazał ręką. - Dom Yu Yongfu.

- Domy nie były oznaczone numerami.
- Skąd wiesz?
- Andy rozciągnął usta w uśmiechu.- W Szanghaju takie rzeczy po prostu się wie.Jon tylko chrząknął. Skrajem ciemnej ulicy biegł długi, gruby, wysoki mur. Kończył się dopiero tuż przed następnym skrzyżowaniem i przez pręty stalowej bramy widać było olbrzymią posiadłość zaprojektowaną na wzór posiadłości należących niegdyś do bogatych właścicieli ziemskich. Stojącego w głębi domu nie było prawie widać. W przeciwieństwie do innych domów, które Jon widywał w tej azjatyckiej metropolii, rezydencja Yu zdawała się należeć do przedstawicieli ostatniej cesarskiej dynastii.Smith przytknął do oczu noktowizor, wyostrzył obraz i przeżył szok. To był amerykański dom, mniej więcej z 1900 roku, wielki, długi i przestronny. Jedynym śladem starych Chin był jak dotąd mur.Podał noktowizor Andy'emu, który był równie zdziwiony, jak on.
- Jak dom opiumowego tajpana z początku XIX wieku. Wie pan, taka z okresu brytyjskiej czy francuskiej koncesji. Ci faceci mieli w ręku cały handel, zbudowali Bund i zbili ciężkie miliony, wymieniając hinduskie opium na chińską herbatę i jedwab.
- Yu chciałby pewnie za takiego uchodzić - odrzekł Jon. - Sądząc po tym, co widziałem w jego gabinecie, i po tym, co mówiłeś, uważa się za współczesnego tajpana.
- Cały czas obserwował pograżoną w ciszy posiadłość. W oknach domu nie paliło się światło. Nie dostrzegł ochroniarzy za murem. To też go zdziwiło. Chociaż komunistyczny rząd nie pozwoliłby na pewno na zainstalowanie prywatnego elektronicznego systemu bezpieczeństwa, który mógłby strzec domu przed policją, taniej siły roboczej było w Chinach pod dostatkiem.- Dobra, Andy, idę tam. Daj mi dwie godziny. Jeśli do tej pory nie wrócę, zwiewaj. Lepiej daj mi mój garnitur, bo możemy się rozdzielić.Andy podał mu ciasno zwinięty, przewiązany paskiem pakunek.
- A jeśli wcześniej ktoś nadejdzie?
- Zmiataj. Niech nikt cię tu nie widzi. Ukryj samochód, wróc piechotą i przy waruj. Ale nie czekaj dłużej niż dwie godziny. Jeżeli mnie nie będzie, to już pewnie nie wrócę. Powiadom swego szefa i powiedz mu o Latającym Smoku i Yu Yongfu.
- Jezu Chryste, niech mnie pan nie straszy, i tak już trzęsę portkami. I powiadom szefową. To ona, nie on.
- No więc powiadom ją.
- Andy głośno przełknął ślinę i kiwnął głową. Jon wysiadł i wziął plecak; miał w nim narzędzia. Ubrany na czarno, potruchtał w noc, w stronę muru.O panującym w okolicy spokoju i ciszy przypominał mu jedynie szum odległej obwodnicy.W rogu ogrodu rośnie drzewo o grubych gałęziach. Zapewne władze miasta zabroniły je przycinać, tak samo jak nie pozwoliły Yu zainstalować elektronicznego systemu bezpieczeństwa. Jon chwycił się najniższej gałęzi, podciągnął się i stanął na murze. Tu chwilę odczekał. Pachniało jaśminem. Drzewa i krzewy były tak gęste, że miał wrażenie, iż jest na skraju lasu. Skoczył w dół, na suche liście.

Zaszeleściły pod stopami. Przykucnął z nadzieją, że nikt tego nie słyszał. Wciąż ani śladu ochroniarzy. Poczł się nieswojo. Człowiek tak ambitny i lubiący rzucać się w oczy musiał mieć ochronę, co najmniej hordeę goryli. Podbiegł w stronę domu i gdy tylko wychyłał się pomiędzy drzew, stanął jak wryty. Znalazł się w wykwinnym dziewiętnastowiecznym ogrodzie z wąskimi ścieżkami wijącymi się między krzakami róż, nienagannie utrzymanymi klombami, przyciętymi ozdobnie żywopłotami, zacisznymi ławeczkami i altankami - był tam nawet trawnik do gry w krykieta i kręgle. Pachniało świeżo skoszoną trawą. Jon wyobraził sobie herbacianego potentata, Anglika, który szuka tu ukojenia, tęskniąc za domem. Tonący w upiornym świetle księżycy ogród nie dawał dobrego schronienia, lecz Jon starał się kryć w groteskowych cieniach za żywopłotami i krzewami. Wkrótce dotarł do kępy drzew tuż przed domem. Obszedł dom i w bocznym garażu na sześć samochodów zobaczył jedynie dwa wozy: wielkiego czarnego mercedesa i srebrzystego jaguara XJR. Nie dostrzegł w domu ani jednego światła, ani jednego otwartego okna. Ponownie skrył się w kępie drzew od frontu. Bogato rzeźbione drzwi tonęły w cieniu. W świetle księżycy lśniła jedynie duża mosiężna kołatka. Jon wyteżył wzrok. Drzwi nie były osadzone w niszy - promienie księżycy padały bezpośrednio na nie. Tego rodzaju światło spłyca i zniekształca perspektywę, ale nie, drzwi nie powinny być w cieniu. W takim razie skąd się ów cień tam wziął? Znikąd. Drzwi były lekko uchylone i to, co wziął za cień, było w rzeczywistości mrocznym wnętrzem domu. Pułapka? Obserwowano go, deptano mu po piętach, ale jadąc tutaj, przedsięwziął liczne środki ostrożności. Wszystko wskazywało na to, że nikogo tam nie ma, lecz zawsze mógł coś przeoczyć. Coś lub kogoś. Wyjął berettę, zatoczył łuk w lewo i podszedł do drzwi. Wyteżył słuch. Cisza. Spokój. Z pistoletem w obu rękach, czubkiem sportowego buta otworzył drzwi trochę szerzej. Zawiasy były dobrze naoliwione i nie zaskrzypiały. Gdzie są służący, którzy powinni tu być? Otworzył drzwi na oścież. Do środka wpadły ołowiane promienie księżycy i w ich świetle zobaczył przestronny korytarz wyłożony boazerią od podłogi po sufit. I eleganckie, kręte schody. Bezszelestnie zrobił kilka kroków. Przystanął, żeby zajrzeć do pokoju po lewej. Była to wiktoriańska, lecz urządzona po chińsku jadalnia z rzeźbionym stołem i chińskimi parawanami w kątach. Na palcach ruszył w prawo. Łukowate przejście prowadziło do salonu dwa razy większego niż jadalnia, ciemnego i cichego. Zastygł bez ruchu i zmarszczył brwi. Doszło go czyjeś ciche łkanie.

## ● **Bagdad, Irak**

- Jedynym względnie tanim towarem, którego w Bagdadzie nie brakowało, była benzyna. O piątej po południu na wszystkich większych ulicach tej starożytnej metropolii jak zwykle panował duży ruch. Siedząc za kierownicą lśniącego mercedesa i sunąc powoli w leniwej rzece pojazdów w kierunku handlowego centrum miasta, doktor Husajn Kamil rozmyślał z goryczą o towarach, które jego kraj musiał nieustannie importować. Miał do wypełnienia przerażające zadanie. Jego pacjenci nie przeżyliby bez ratujących życie lekarstw pochodzących spoza Iraku. Od tych lekarstw zależało jego bogactwo, przywileje i przyszłość jego rodziny. Pacjenci, których leczył, należeli do elity, więc gdyby nie udało mu się zdobyć antybiotyków, środków uspokajających, antydepresantów oraz innych zachodnich medykamentów, poszliby do kogoś innego albo... Nie, wołał o tym nie myśleć. Nie miał pojęcia, skąd ta elegancka Francuzka wiedziała, jakim sposobem zdobywa przemycańcy z zagranicy leki. Ale wiedziała, znała wszystkie nazwiska i adresy, znała wszystkich pośredników, szczegóły każdej nielegalnej transakcji, namiary każdej skrzynki kontaktowej. Gdyby do uszu kogoś z rządu albo Gwardii Republikańskiej doszło choć pół słowa na ten temat, natychmiast by go zabili. Ze strachu

zaszło mu w gardle. Zaparkował w garażu pod strzelistym wysokościewcem zbudowanym w lepszych czasach i wjechał windą na piętro, gdzie mieściła się siedziba Tigris Export-Import Ltd., firmy handlującej rolniczymi środkami chemicznymi. Krążyły plotki, że jest to jedna z tysięcy fasadowych spółek należących do prezydenta i jego rodziny. Czekala na niego zdenerwowana Nadia, sekretarka.

- Przed chwilą zasłabł - powiedziała, załamując ręce. - Nagle, bez ostrzeżenia. Był zupełnie...
- Stracił przytomność?
- Tak. Jesteśmy przerażeni.
- Truchtem minęli rząd pograżonych w posępnej ciszy boksów, w których pracownicy szykowali się do wyjścia do domu, i weszli do dużego, zaciszego gabinetu prezesa Nassera Faidhiego, jego pacjenta. Widok z okien, na miasto i pustynię za Tygrysem i Eufratem, zapierał dech w piersi, lecz doktor Kamil tylko zerknął w tamtą stronę, po czym podbiegł do leżącego na skórzanej sofie Faidhiego i sprawdził mu puls. - Czy on umrze? - szepnęła Nadia. Doktor Kamil nie miał pojęcia, jak Francuzka to zrobiła, lecz wiedział, że to na pewno ona, ponieważ uprzedziła go, że zadzwonią do niego dokładnie za kwadrans piąta. Wątpił, żeby chciała Faidhiego uśmiercić, bo wówczas rozpoczęto by oficjalne śledztwo. Nie, serce biło mocno, puls był równy, barwa skóry normalna. Faidhi tylko stracił przytomność. Musiano mu podać szybko działający, lecz nieszkodliwy narkotyk. - Nie, ale muszę zrobić kilka testów - odrzekł. - Muszę go rozebrać. Rozumie pani? Nadia poczerwieniała.
- Oczywiście, panie doktorze.
- Dziękuję. Proszę dopilnować, żeby nikt mi nie przeszkadzał.
- Nikt by nie śmiał. - Wyszła. Kamil wiedział, że będzie strzegła drzwi niczym ziejąca ogniem bestia.
- Zostawszy sam na sam z nieprzytomnym biznesmenem, szybko podszedł do szafki na akta i wyjął z niej teczkę, którą opisała mu Francuzka: Latający Smok z Szanghaju. Były w niej cztery kartki. Cztery listy. Dwa z przedstawicielstwa firmy w Basrze, opisujące przebieg negocjacji z niejakim Yu Yongfu, prezesem Latającego Smoka, i zawierające spis zamówi onych towarów - narzędzi i chemikaliów rolniczych oraz sprzętu elektronicznego - które miały zostać przywiezione chińskim statkiem o nazwie „Cesarzowa”. Pozostałe dwa listy napisał Faidhi, zawierały wskazówki i polecenia dla handlowców z przedstawicielstwa w Basrze. W tezcze nie było nic więcej. Serce doktora Kamila zabiło szybko i radośnie. Manifest okrętowy, którego poszukiwała Francuzka, albo nie istniał, albo był w Basrze. Odłożył teczkę na miejsce, zamknął szufladę i wrócił do nieprzytomnego pacjenta. Dwadzieścia minut później prezes Faidhi cicho zakaszłał, westchnął i zatrzepotał powiekami. Kamil podszedł do drzwi, otworzył je i uśmiechnął się do zdenerwowanej sekretarki, która chodziła tam i z powrotem po korytarzu.
- Może pani wejść, Nadiu. Odzyskał przytomność i nic mu już nie grozi.
- Allah jest wielki!
- O tak - odrzekł z powagą Kamil. - Muszę przeprowadzić dokładniejsze badania. Proszę do

mnie zadzwonić i umówić wizytę.

- Ponownie się uśmiechnął. Czekало go wysokie honorarium - prezes Faidhi na pewno zechce mu się odwdzięczyć. A jeśli tej Francuzce tak bardzo zależało na manifeście okrętowym „Cesarzowej”, będzie musiała pojechać do Basry, dokąd on pojechać rzecz jasna nie mógł, gdyż wzbudziłoby to podejrzenia władz. Tak jak tego oczekiwał, wszystko skończyło się dobrze.

# Rozdział 8

## Szanghaj

- 
- 
- W ciemnym salonie, pośród ciężkich antycznych mebli siedziała piękna kobieta. Siedziała samotnie, z podkurczonymi nogami, w wielkim fotelu z ciemnobrązowej skóry. Drobną i szczupłą, o lśniących włosach spiętych w prosty kucyk, trzymała w ręku kieliszek. Na chromowo--mahoniowym stoliku stała otwarta butelka remy martin. Z kosztownej, długiej na pół olbrzymiego salonu sofya obserwował ją wielki kot. Zdawało się, że kobieta nie zwraca uwagi ani na Smitha, ani na kota, ani w ogóle na nic. Drobną i kruchą wśród wielkich mebli, patrzyła tępo w dal. Jon rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy na pewno jest sama. W domu panowała martwa cisza. Z pistoletem w ręku ostrożnie wszedł do środka. Kobieta podniosła kieliszek do ust i opróżniła go jednym haustem. Sięgnęła po butelkę, napełniła go do połowy, odstawiała butelkę na stolik i ponownie zapatrzyła się w dal. Poruszała się jak robot. Z wymierzonym i odbezpieczonym pistoletem Jon podszedł po cichu bliżej. Raptem spojrzała prosto na niego i zdał sobie sprawę, że skądś ją zna, że gdzieś ją widział. Że widział przynajmniej tę twarz, tę chińską suknię z wysoką stójką, tę wyniosłą minę... Tak, oczywiście, widział ją w kinie. Znał ją z chińskiego filmu. Była aktorką. Aktorką i żoną Yu Yongfu, taką na pokaz? Nieważne. Patrzyła prosto na niego, nie zwracając uwagi na pistolet.

- Pan jest tym amerykańskim szpiegiem. - To nie było pytanie, to było stwierdzenie. Mówiała płynną angielszczyzną.

- Tak?

- Mąż mi powiedział.

- Mąż tu jest?

- Odwróciła głowę i znowu spojrzała w dal.

- Mój mąż nie żyje.

- Nie żyje? Jak umarł? Kiedy?

- Zrobiła coś bardzo dziwnego. Spojrzała na zegarek.- Dziesięć, piętnaście minut temu. Jak? Nie wiem. Pewnie miał pistolet, taki jak ten. Czy wszyscy mężczyźni lubią broń? Ten rzeczowy, beznamiętny głos, ten makabryczny spokój - Jona przeszedł zimny dreszcz. Poczuli się tak, jakby w salonie powiał nagle ostry wiatr znad lodowca.- To przez pana - rzuciła. - Oni się pana bali. Tego, że pan tu jest. Chcieli uniknąć niewygodnych pytań.- Kto?

- Wypiła koniak.- Ci, którzy zmusili męża do samobójstwa. Powiedzieli, że to dla dobra mojego i moich dzieci. Dla dobra rodziny. - I nagle wybuchła głośnym, przerażającym śmiechem, który przypominał szczekanie psa, śmiechem smutnym i pełnym gorzkości. - Odebrali mu życie, żeby się ratować, żeby uciec. Nie przed realnym niebezpieczeństwem. Przed niebezpieczeństwem potencjalnym. - Uśmiechnęła się szyderczo. - No i proszę, jest pan. Szuka pan mojego męża, tak jak mówili. Oni zawsze wiedzą, kiedy coś zagraża ich interesom. Smith natychmiast wykorzystał

tę zjadliwość.- Jeśli chce go pani pomścić, proszę pomóc mi ich pokonać. Szukam pewnego dokumentu, miał go pani mąż. Zdemaskuję ich, udowodnię, że są przestępcami. Zawahała się. W jej oczach dostrzegł niepewność i podejrzliwość. Badała wzrokiem jego twarz, szukając w niej oznak jakiegoś podstępu. Nagle wzruszyła ramionami, wzięła butelkę, nalała sobie do pełna i ponownie zapatrzyła się w dal.- Jest na górze - rzekła drewnianym głosem. - W sejfie w sypialni. Więcej na niego nie spojrzała. Sączyła koniak i patrzyła w pustkę nad głową, jakby krążyło tam setki odpowiedzi, których nie mogła w pełni zrozumieć. Smith nie odrywał od niej wzroku. Czy to podstęp? Chce zwabić go na górę, żeby wpadł w pułapkę? Nieważne. Musiał zdobyć ten dokument. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę. Omiatając lufą pistoletu salon i ciemny hol, powoli się stamtąd wycofał. W domu wciąż panowała grobowa cisza. Wszedł schodami na półpiętro, gdzie nie było okien i gdzie zalegał gęstszy cień. Nie wyczuł zapachu prochu, nie zobaczył żadnych zwłok. Jedyne dźwięki - brzęk kieliszka - dochodziły z dołu, z rozbrzmiewającego echem salonu, gdzie pogrążona w smutku kobieta opłakiwała męża. Sypialnia mieściła się na końcu korytarza. Wielkości dwóch normalnych sypialni, była urządzona całkowicie po chińsku. Stało w niej wielkie łóżko z baldachimem z końca dynastii Ming, dwie sofy, też z dynastii Ming, szafa, toaletka, krzesła i niskie stoliki z różnych epok. Wszystkie meble były bogato rzeźbione. Ze ścian i baldachimu zwisały płachty jedwabiu i brokatu, w kątach stały parawany. Sejf był ukryty za obrazem przedstawiającym bitwę z czasów chana Kubilaja. Jon wyjął wytrychy, ułożył je na szafce pod obrazem i obejrzał zamek. Chwycił za pokrętło - drzwiczki drgnęły. Pełen złych przeczuć pociągnął mocniej i w chwili gdy drzwiczki otworzyły się na oścież, przed domem ryknął silnik samochodu. Smith podbiegł do okna wychodzącego na garaż i zdążył jeszcze zobaczyć tylne światła jaguara znikające w mroku na długim podjeździe, który biegł w stronę ulicy. Niech to szlag. Wpadł z sypialni i pokonując po dwa stopnie naraz, zbiegł do salonu. Butelka i kieliszek wciąż stały na stoliku, lecz kobiety już tam nie było. Wrobili go? Wciągnęli w zasadzkę? Gorzka opowieść o samobójstwie męża miała go zdekoncentrować? Wyteżył słuch, ale nie, od ulicy nie nadjeżdżał żaden samochód. Popędził z powrotem na górę, wbiegł do jednego z pokojów od frontu - do pokoju jakiegoś chłopca - dopadł do okna. Ponad ogrodem i drzewami spojrzał w stronę muru. Nie, na ulicy wciąż panował spokój, w ogrodzie też. Może się jednak mylił. Może naprawdę była zrozpaczona i na wpół pijana, uciekła od koszmaru, żeby poszukać jakiegoś schronienia. Albo pójść za mężem. Nie mógł ryzykować. Wbiegł do sypialni Yu Yongfu i opróżnił sejf, rzucając zawartość na sofę. Biżuteria, listy, dokumenty. Ani pieniędzy, ani manifestu. Rozczarowany, gniewnie potrząsnął głową. Klnąc w duchu, dwa razy przejrzał wszystkie papiery. Nie, manifestu na pewno wśród nich nie było. Jego uwagę przykuł list na firmowym papierze belgijskiej firmy o nazwie Donk LaPierre S.A. z siedzibami w Amsterdamie i Hongkongu. Był napisany na maszynie, po francusku, i zaadresowany do Yu Yongfu z Latającego Smoka. Zapewniano w nim, że towar zostanie dostarczony do Szanghaju dwudziestego czwartego sierpnia, tak że „Cesarzowa” na pewno zdąży. Jan Donk, którego podpis figurował pod spodem wraz z numerem telefonu w Hongkongu, wyrażał też nadzieję, że ich „wspólne przedsięwzięcie” zostanie uwieńczone sukcesem. Ucieszony, że nareszcie znalazł coś konkretnego, Jon schował list do plecaka i wybiegł z sypialni. Był na szczycie schodów, gdy smugę księżycowego światła, wpadającego przez okna po obu stronach drzwi, przeciął, jakiś cień. Smith znieruchomiał i z mocno bijącym sercem wyteżył słuch. Doszedł go odgłos szybkich kroków. Tam, w mroku przed domem. Jak po zastrzyku adrenaliny popędził z powrotem do sypialni i wyjrzał przez okno na ogród. Nikogo tam nie zobaczył, lecz w pobliżu nie rosło ani jedno drzewo, więc musiałby



skakać.Przebiegł na drugą stronę pokoju i wyjrzał przez okno na podjazd i garaż. Tonący w blasku księżycy starannie wypielęgnowany trawnik miał barwę miedzi. Tu drzewa rosły, owszem, ale za daleko. Była za to rynna biegnąca od krawędzi dachu do samej ziemi.Gdy się jej przyglądał, zza domu wychynęło dwóch ludzi. Idąc tuż przy ścianie, sprawdzali każde okno - chcieli wejść do środka.Jeśli nawet nie zastawiono na niego pułapki przedtem, gdy tu przyszedł, na pewno próbowano zastawić ją teraz. Frontowe drzwi wciąż były otwarte i jeżeli jeszcze tego nie odkryli, za chwilę bez wątpienia odkryją. Miał najwyżej kilkadziesiąt sekund, żeby wydostać się z domu, zanim wejdą na górę i go znajdą.Odczekawszy, aż znikną za domem, otworzył okno, usiadł na parapecie z nogami na zewnątrz, przytrzymał się blaszanej rynny, mocno przytwierdzonej do ściany, i skoczył. Rynna jęknęła, lecz wytrzymała. Zszedł na dół i gdy tylko stanął na ziemi, puścił się pędem przez zalany blaskiem księżycy trawnik w kierunku kępy drzew, gdzie znalazł schronienie przedtem.Z okien sypialni buchnął gniewny krzyk. Tamci znaleźli otwarty sejf. Wiedzieli już, że przyszli za późno.Jon wpadł między drzewa i zanurkował w ciemność, omijając krzewy i żywopłoty. Wciąż słyszał krzyki, które raptownie ucichły, gdy rozległ się głęboki, chrapliwy szept człowieka wydającego rozkazy niczym sierżant próbujący uspokoić spanikowanych żołnierzy. Jon znał ten głos, słyszał go już wcześniej. Był to głos przywódcy napastników, którzy zaatakowali ich na Liuchiu. Głos rosłego Chińczyka o rudosiwych włosach. Skarbnik Latającego Smoka powiedział, że ten człowiek nazywa się Feng Dun.Nagle zapadła złowieszcza cisza. Smith domyślił się, że tamci się rozdzielili, żeby dopaść go tuż przy bramie. Za bramą, już na ulicy, na pewno czekali inni. Wzięli go w kleszcze, tak samo jak na Liuchiu. Ludzie myślący po wojskowemu - jak choćby Stonewall Jackson, który kazał żołnierzom maszerować nocami, żeby podejść i otoczyć wroga - mają swoje ulubione taktyki i z upodobaniem je stosują.Jon skręcił i ruszył truchtem w stronę muru. Biegając, wyjął z kieszeni walkie-talkie.

- Andy? Zgłoś się, Andy.
- Cholera jasna, nic panu nie jest?
- Widziałeś ich?
- Pewnie. Trzy gabloty. Od razu dałem nogę.
- Gdzie teraz jesteś?
- Tutaj, na ulicy, tak jak pan kazał. Ukryłem wóz i wróciłem. Stoją tu ich samochody. Są za blisko, cholera, za blisko...
- Zostawili tam kogoś?
- No jasne.
- Ilu?
- Jak dla mnie za wielu. Trzech kierowców siedzi w samochodach. A przed chwilą z bramy wyszło jeszcze pięciu.
- Pewnie chcą nas powitać, ale darujmy to sobie. Wróć do samochodu, zrób kółko i zaczekaj na mnie na rogu tej bocznej uliczki. Zrozumiałeś?
- Tak, na rogu bocznej.

- No to pędź.
- Jon schował nadajnik. Biegł dalej. Już myślał, że ich przechytrzył, gdy wtem usłyszał coś, co mogło oznaczać niebezpieczeństwo. Odwrócił się i przypadł do ziemi z pistoletem w rękę. Znowu - odgłos metalu uderzającego w drewno. I ciche, przytłumione przekleństwo. Wyteżył wzrok. W rosnącym tu lasu zapadła cisza i dochodził go jedynie szelest liści i szum lekkiego wiatru w gałęziach drzew. Po prawej stronie, tuż przy murze, dostrzegł kępę gęstych krzewów. Z wyostrzonymi zmysłami, centymetr po centymetrze doczołgał się do nich, wypełznął między dwa najwyższe i zamarł, próbując oddychać jak najwolniej, jak najpłycej. Czekał. Zobaczył go tylko dlatego, że powiew wiatru poruszył leciutko liściastym baldachimem, pod którym leżał. Mały otwór, światło księżyca, a w świetle tym nisko pochylony mężczyzna z kałasznikowem w rękach. Minął go i zniknął. Jon zwymyślał sobie w duchu. Wiedział już, że popełnił błąd. Założył, że Feng Dun zechce wziąć go w kleszcze, tymczasem on wysłał większość swoich ludzi na ulicę, a sam został tu z nadzieją, że go zaskoczy. Kilku z jego podwładnych na pewno czaiło się gdzieś z przodu. Zajęli pozycję i czekali. Jon wypełznął zza krzaków. Cierniste gałęzie pokaleczyły mu ręce i głowę, ale prawie tego nie czuł. Wstał i pobiegł w lewo, do graniczącego z boczną ulicą muru. Nie rosło tam ani jedno drzewo, znalazł za to dużo śmieci i połamanych gałęzi, które utworzyły dość duży stos. Widać było, że Yu Yongfu przedkłada pozory nad istotę rzeczy, że dbanie o las w miejscu niewidocznym dla innych zupełnie go nie interesuje. A raczej - jeśli jego żona mówiła prawdę - nie interesowało. Jon wziął rozpęd, wskoczył na stos, odbił się, chwycił krawędzi muru, podciągnął się, usiadł na nim okrakiem i spojrzał na ulicę. Na rogu po drugiej stronie stał volkswagen Andy'ego. - Andy? - szepnął do walkie-talkie. - Roi się tu od naszych przyjaciół. Nie dam rady podejść bliżej. Zrób kółko, wjedź w uliczkę i zwolnij. Kiedy wskoczę, daj czadu. Andy milczał. Wyłączył odbiornik?

- Andy? Jesteś tam?
- Cisza.
- Andy?
- Ze strachu ścisnęło go w żołądku. Przeszedł go zimny dreszcz. Wygrzebał z plecaka noktowizor i skierował go na volkswagena. Andy siedział nieruchomo za kierownicą i obserwował ulicę. Oprócz niego w samochodzie nie było nikogo. Przypatrując się uważnie volkswagenowi i zielonkawej poświacie, która go otaczała, Jon zmarszczył czoło. Andy wciąż nie wykonał najmniejszego ruchu. Smith obserwował go przez wlokące się w nieskończoność dwie minuty. Nic się nie zmieniło. Andy siedział jak kukła. Nie mrugnął nawet okiem. Nie drgnął mu żaden mięsień. Jon ciężko westchnął. Andy nie żył. Zdjęli go. Schował noktowizor, zeskoczył z muru, przebiegł przez jezdnię, wpadł między domy po drugiej stronie ulicy i puścił się pędem przez podwórza i ogrody. Nie słyszał żadnych krzyków. Tam ci czekali na niego przy volkswagenie. Wściekły i zmęczony, trochę zwolnił. Biegł uliczkami wzdłuż ogrodów, płotów i murów otaczających małe, ekskluzywne osiedla dla zagranicznych biznesmenów, którzy przyjeżdżali chmarami do Chińskiej Republiki Ludowej, żeby zainwestować tu swoje miliony. Wreszcie dotarł do głównej ulicy. Ociekając potem, zatrzymał taksówkę.

- W salonie największego domu w zbudowanym wokół dziedzińca staromodnym kompleksie na skraju Xicheng, jednej z najstarszych dzielnic miasta, zadzwonił telefon. Sowa, Niu Jianxing, uważał się za plebejusza. Nie chciał pójść w ślady wielu członków Komitetu Centralnego, którzy zbudowali kosztowne rezydencje w Chaoyang na przedmieściach Pekinu. Jego dom, choć duży i wygodny, nie rzucał się w oczy. Z żoną i synem oglądał na wideo amerykański film, dramat sądowy, dlatego dźwięk dzwonka go zirytował. Po trosze dlatego, że ktoś śmiał zabierać mu czas przeznaczony dla rodziny, czas, który bardzo sobie cenił i którego miał coraz mniej, odkąd wyniesiono go na stanowisko członka Stałego Komitetu. Ale jeszcze bardziej zirykowało go to, że ktoś przerwał mu oglądanie fascynującego studium amerykańskiej koncepcji przestępstwa, prawa, społeczeństwa i jednostki. Z drugiej strony nikt nie odważyłby się zadzwonić do niego o tak późnej porze, gdyby sprawa była błaha. Przeprosił żonę i syna, wszedł do gabinetu i zamknął drzwi. Ich wesołe głosy i dźwięki z telewizora natychmiast ucichły. Podniósł słuchawkę telefonu. - Tak? Generał Chu Kuairong nie tracił czasu na wstępy. - Nasz przyjaciel naukowiec, doktor Liang donosi, że Jon Smith nie przyszedł na umówioną kolację. Zostawił wiadomość na sekretarce. Doktor Liang pojechał do niego do hotelu, chcąc go namówić. Ponieważ w pokoju nikt nie odpowiadał, przestraszył się i poprosił kierownika o otwarcie drzwi. Smitha nie było. Nie wyprowadził się i nie zabrał swoich rzeczy, ale go nie było. Niu bardzo się to nie podobało.

- Co na to major Pan?
- Jego ludzie nie widzieli, żeby Smith wychodził z hotelu.
- Niu wiedział, że szef bezpieczeństwa cieszy się z żenującej porażki Pana. Ale przecież nie o to chodziło.
- Smith musiał zwietrzyć, że Liang coś podejrzewa. Wiedział, że go obserwujemy, i się wam wymknął.
- Najwyraźniej. - W głosie generała zabrzmiała leciutka nutka sarkazmu.
- Niu stłumił irytację.
- Czy Smith był już kiedyś w Szanghaju?
- Nic nam o tym nie wiadomo.
- -. Mówi po chińsku? Ma tu jakichś przyjaciół czy współpracowników?
- Nic w jego aktach na to nie wskazuje.
- W takim razie jak daje sobie radę? - spytał Niu i odpowiedział na to sam: - Ktoś musi mu pomagać.
- Generał spoważniał; zdążył się już ubawić. - Na pewno jakiś Chińczyk - spekulował. - Ktoś, kto mówi po angielsku albo w innym języku znanym Smithowi. Ktoś, kto ma samochód i dobrze zna miasto. Najbardziej zaskakujące jest to, że w ogóle o tym Smithu nie słyszeliśmy, a jednak wyraźnie widać, że ma tu współnika. Może kogoś, kogo zrekrutowano przed laty, żeby nas

szpiegował. Niu pomyślał o swoich własnych szpiegach. W świecie chińskiej polityki byłby bez nich jak ślepy.

- Tak czy inaczej, w tej sytuacji musimy go zatrzymać i przesłuchać. Proszę przekazać majorowi, żeby natychmiast to zrobił.
- Jego ludzie przeszukują już Szanghaj.
- Kiedy go znajdziecie, dajcie mi znać. Sam z nim porozmawiam. - Nachmurzony Niu odłożył słuchawkę. Rodzina i amerykański film przestały go nagle interesować.
- Po co Amerykanie mieliby przysyłać tu agenta? W tej niepewnej sytuacji politycznej? I pozwolili mu działać, wiedząc, że jest już spalony? Chcieli przekreślić szanse podpisania własnego traktatu? Usiadł w fotelu, odchylił do tyłu głowę i zamknął oczy, uciekając myślami do swego cichego zakątka, gdzie zawsze czuł się tak, jakby lewitował, gdzie nie ciążyły mu ani ciało, ani umysł. Mijały minuty. Minęła godzina. Niezbędna była cierpliwość. Wreszcie, w gwałtownej eksplozji olśnienia, ujrzał odpowiedź: musiała tego chcieć jakaś frakcja w amerykańskim rządzie. A więc tam też...

-

# Rozdział 9

## Waszyngton

- 
- 
- W dużej sali konferencyjnej obok Gabinetu Owального panowała atmosfera oczekiwania. Wszystkie krzesła wokół długiego stołu były zajęte, tak samo jak krzesła pod ścianami, gdzie siedzieli i stali asystenci, doradcy i analitycy, czekając, aż szefowie podejmą ostateczne decyzje i poproszą ich o radę. Ta tłumna narada była jedynie naradą wstępną, niemniej bardzo ważną, gdyż dotyczyła projektu wielomiliardowego budżetu wojskowego. Zwołał ją Henry Stanton, nowy sekretarz obrony, który siedział po prawej stronie prezydenta. Stanton miał pięćdziesiąt kilka lat i był porywczym mężczyzną średniego wzrostu. Od łysiejącej głowy poczynając, na ruchliwych rękach kończąc, emanował energią i wdziękiem osobistym. Wraz z wiekiem ostre rysy jego twarzy nieco złagodniały i wyglądał teraz niemal dobrodusznie - wykorzystywał to umiejętnie na konferencjach prasowych. Ale tu, w Białym Domu, poza zasięgiem mikrofonów i kamer, był stanowczy i treściwy. - Panie prezydencie, panowie i pani - kontynuował bezceremonialnie, skłaniając się lekko w stronę Emily Powell-Hill, prezydenckiej doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego, jedynej kobiety przy stole. - O wojsku trzeba myśleć jak o nałogowym alkoholiku, bo jeśli ma przetrwać - i armia, i nasz naród - musi całkowicie zerwać z przeszłością. Cichy pomruk głosów, posępnie zaciśnięte zęby - siedzący po drugiej stronie stołu generałowie i dowódcy byli zirytowani. Alkoholik? Alkoholik! Jak on śmie! Nawet prezydent Castilla uniósł brew.
- Pan sekretarz prosi nas o opinię - wtrąciła szybko Emily Powell-Hill, żeby ułagodzić ich urażone ego. - Nas, ekspertów, naszych sojuszników...
- Pan sekretarz o nic nie prosi - warknął Stanton. - Pan sekretarz mówi wam, jak jest. Nastął nowy dzień, nowy dzień w zupełnie nowym świecie. Musimy wreszcie przestać przygotowywać się do zeszłorocznej wojny!
- Te wypowiedzi i analogie dobrze wyglądają na pierwszych stronach gazet, gdzie sekretarz obrony bardzo chce trafić - burknął admirał Stevens Brose, przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, który siedział naprzeciwko prezydenta i Stantona. - Ale na polu walki jego kanapowe poglądy nie są warte funta kłaków. - Był tak zde gustowany, że zjeżyły mu się krótko ostrzyżone siwe włosy. Siedział niezgrabnie ze skrzyżowanymi w kostkach nogami, wysuwając do przodu wielki, mocno zarysowany podbródek.
- Wypraszam sobie takie sugestie - odpalił momentalnie Stanton. - Poza tym...
- To nie są sugestie, panie sekretarzu - rzucił beznamiętnie Brose. - To są fakty.
- Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Stanton, były szef i twórca imperium General Electric, nowy człowiek w rządzie, wreszcie spuścił wzrok i popatrzył na swoje notatki. Niewielu mogło wytrzymać spojrzenie nieugiętego admirała, nie wytrzymał więc i on, przynajmniej tego dnia. Mimo to nie ustąpił nawet na pół kroku. - Świetnie. Skoro chce pan iść na noże... Admirał tylko się uśmiechnął. Stanton poczerwieniał. Niełatwo zmieniał poglądy.

- Powiedzmy, że przykułem pańską uwagę, panie admirale - powiedział. - To najważniejsze.
- Spóźnił się pan - zadudnił Brose. - Moją uwagę przykuła już sytuacja międzynarodowa. Trafiła mnie między oczy jak dobrze rzucona kotwica.
- Prezydent podniósł rękę.- Panowie, panowie! Proponuję rozejm. Harry, objaśnij nas, biednych laików. Powiedz, co dokładnie sugerujesz. Stanton, nawykły do zastraszania członków każdego zarządu każdej firmy, którzy w ciemno zatwierdzali wszystkie jego zachcianki i kaprysy, zrobił dla efektu pauzę i swoim analitycznym spojrzeniem objął generałów i sekretarzy.- Przez ponad pół wieku Ameryka zbroiła się do krótkiej, bardzo gwałtownej wojny w Europie albo w byłym Związku Radzieckim, do wojny prowadzonej z dużych, stałych baz położonych względnie blisko pola walki. Cele znajdowały się w zasięgu stacjonujących na lotniskowcach samolotów szturmowych i myśliwskich oraz olbrzymich bombowców, które mogły startować z terytorium USA. Żeby zapobiec wojnie, polegaliśmy na zasadzie powstrzymywania i odstraszenia. To wszystko musi się radykalnie zmienić. Musi zmienić się już teraz. Admirał Brose kiwnął głową.- Jeśli sugeruje pan odchudzenie naszej armii, w pełni się z panem zgadzam. Armia musi szybko reagować. Równie szybki musi być proces jej dyslokacji, przerzucenia jej do każdego punktu na kuli ziemskiej o każdej porze nocy i dnia. Musi być wyposażona w lżejsze, mniejsze, niewidoczne dla radarów i dające się szybko zastąpić systemy uzbrojenia.  
Marynarka wojenna wciela już w życie projekt „ulicznego wojownika”, pomysł budowy małych lotniskowców, fregat rakietowych i okrętów pod wodnych zdolnych do walki na płytkich wodach przybrzeżnych. Mamy nadzieję, że na tym nie poprzestaniemy. Obok admirała miejsce zajmował generał sił powietrznych Bruce Kelly. O rumianej twarzy i czystych, wyrachowanych oczach, w nienagannie leżącym mundurze siedział jak zwykle sztywno wyprostowany. Jego przeciwnicy narzekali, że jest jak bezduszna maszyna, zwolennicy zaś twierdzili, że jest najbystrzejszym intelektualistą, jakiego wojsko kiedykolwiek miało.
- Rozumiem, że pan sekretarz obrony nie sugeruje, byśmy zrezygnowali z doktryny odstraszenia - powiedział łagodnie. - Nasze pociski nuklearne, długiego i krótkiego zasięgu, mają kluczowe znaczenie.
- To prawda. - Stanton posłał mu czarujący uśmiech, bo on i Kelly zasadniczo się ze sobą zgadzali. - Ale powinniśmy rozważyć możliwość zmniejszenia ich liczby i ograniczenia badań nad większymi i „lepszymi” bombami oraz wielkimi raketami zdolnymi do ich przenoszenia. Niemądrym posunięciem byłaby również budowa lotniskowców i okrętów pod wodnych w liczbie większej niż absolutnie niezbędna do zastąpienia tych, które obecnie mamy.
- Do rzeczy, Henry - wtrąciła Emily Powell-Hill. - To jest wstępna narada budżetowa. Dokładnie co mielibyśmy budować, a czego nie?
- Jak już mówiłem, niczego nie sugeruję. Mówię wam po prostu, co musimy zrobić, żeby utrzymać naszą przewagę militarną. Trzeba przetrzeć środki finansowe i zamiast gigantycznych lotniskowców, wielkich czołgów i po tężnych myśliwców, budować maszyny małe, lekkie i prawie niewidzialne.
- Daleko po prawej stronie admirała Brose'a siedział szef sztabu wojsk lądowych, generał Tomas Guerrero. Wielkie ręce o kwadratowo zakończonych palcach trzymał splecione na stole.-

Nikt mi nie będzie mówił, że nie potrzebujemy czołgów, ciężkiej artylerii i dużej liczby wojsk, żeby walczyć w wielkich wojnach. Za oceanem wciąż są Rosja i Chiny, panie sekretarzu. Zapomina pan o nich. Mają potężną armię, gigantyczne terytorium, a także broń nuklearną. Są też Indie i Pakistan, jest zjednoczona Europa. Europa już teraz jest naszym przeciwnikiem gospodarczym. Stanton nie zamierzał się wycofywać.

- Właśnie o tym mówię, panie generale.
- Wątpię, czy ktoś wierzy lub chce wierzyć - wtrąciła Powell-Hill – że powinniśmy zredukować nasze siły zbrojne, panie sekretarzu. Jeśli dobrze rozumiem, uważa pan, że trzeba zintensyfikować prace nad mniejszymi systemami uzbrojenia i środkami przenoszenia.
- Chciałem.,. - zaczął Stanton.
- Wszyscy w tej sali zgadzają się z koncepcją armii mniejszej i skuteczniejszej. - Admirał Brose wykorzystał swój dudniący głos, żeby mu przerwać. - Do diaska, przecież pracujemy nad nią od wojny w Zatoce Perskiej! Po prostu nie zdążyliśmy jej jeszcze zrealizować.
- Popieram - wtrącił basem generał Oda, dowódca piechoty morskiej. - Lekkość i szybkość, oto czego chcą moi żołnierze.
- Siedzący przy stole pokiwali głowami. Nie zareagował jedynie prezydent Castilla, który zwykle brał czynny udział w każdej poważnej dyskusji na temat wojska. Był zamyślony i wydawało się, że czeka, aż ktoś poruszy inny temat. Sekretarz obrony zerknął na niego, wyczuwając, że się waha. Zerknął i odważnie mówił dalej: - Cieszę się, że pod tym względem zgadzacie się państwo z moimi analizami. Ale mam wrażenie, że ciągle mówicie o dniu jutrzejszym. To za mało. Musimy zacząć już dzisiaj. Teraz. W tej chwili trwają prace nad kilkoma rodzajami nowej broni. Prace te są w różnych fazach zaawansowania: testujemy myśliwiec krótkiego zasięgu F-22, pancernik nowej generacji DD-21, kilka lotniskowców oraz dalekosiężny pancerny system artyleryjski Protektor. Maszyny te są za duże. Wszystkie. To są słonie, a my potrzebujemy jaguarów. W wojnach, jakie czekają nas w przyszłości, będą całkowicie bezużyteczne. Zanim chór wzburzonych głosów zdążył przybrać na sile, Brose gwałtownie podniósł rękę. Gdy głosy przeszły w gniewny pomruk, admirał powiedział:
- Dobrze. Załatwmy to po kolei. Bruce, opowiedz nam o F-22.
- Powiem krótko - rzekł generał Kelly. - F-16 się starzeje. F-22 to wielozadaniowy samolot myśliwski, który zapewni nam całkowite panowanie w przestrzeni powietrznej nad każdym polem walki. Pierwszy widzę, pierwszy strzelam, pierwszy zabijam; to jego najkrótsza charakterystyka. To maszyna o obniżonej wykrywalności przez radary wroga. Jest potężniejsza, znacznie szybsza i zwrotniejsza.
- Bardzo zwięźle pan to ujął, generale - pochwalił go Stanton. - Postaram się pójść w pańskie ślady. Żaden kraj nie dysponuje siłami powietrznymi, które mogłyby nam dorównać. Większość państw buduje systemy uzbrojenia względnie tanie i potężne. Problem w tym, że wiele z tych systemów skończy w rękach terrorystów. F-22 jako jedyny istniejący samolot potrafi osiągnąć prędkość ponaddźwiękową bez użycia dopalaczy, to prawda. Niemniej jest to myśliwiec krótkiego zasięgu, co oznacza, że musi stacjonować w bazach położonych niedaleko pola walki. Co będzie, jeśli nieprzyjaciel te bazy zniszczy? Nasz nowy i kosztowny samolot stanie się

kompletnie bezużyteczny.

- Mówię w imieniu marynarki wojennej - powiedział admirał Brose. - Zmieniamy koncepcję funkcjonalności naszych lotniskowców oraz innych okrętów nawodnych. W wąskich cieśninach czy na wodach przybrzeżnych okręty te są łatwym celem i nieprzyjaciel będzie strzelał do nich jak do siedzących kaczek. W przypadku konfliktu wojennego w głębi kontynentu żaden okręt ani samolot krótkiego zasięgu nie będzie w stanie dotrzeć na pole walki.
- Pozostaje zatem armia i Protektor - odezwał się Jasper Kott, sekretarz armii, elegancki, o nienagannyh manierach. Mimo łagodnej twarzy, gładkich policzków i wyrazistych oczu, w żadnej sytuacji nie tracił pewności siebie. - Myślę, że sekretarz obrony zgodzi się ze mną, gdy powiem, że potrzebujemy armii reagującej szybko i skutecznie. Gdyby w Kosowie wybuchła wojna, nasze czołgi potrzebowałyby kilku miesięcy, żeby tam dotrzeć i gdyby nawet tam dotarły, pod ciężarem siedemdziesięcotonowych abramsów zawałiłoby się dziesięć z dwunastu mostów, które maszyny te napotkałyby między portem i polem walki. Właśnie dlatego szkolimy brygady tymczasowe, przejściowe. Zostaną wyposażone w nowe pojazdy opancerzone, dużo mniejsze od abramsów, które będziemy mogli przewozić drogą powietrzną.
- W takim razie po co nam Protektor, panie sekretarzu? – zaatakował go Stanton.
- Protektor jest nam potrzebny. - Nieporuszony Kott powiedział to grzecznie, niemal obojętnie. - Tak jak zauważył generał Guerrero, wciąż mamy kilku potencjalnie groźnych przeciwników. Chiny, Rosja, Serbia, Indie, Pakistan oraz - proszę o nich nie zapominać - Iran i Irak. Nasze bombowce dalekiego zasięgu są potężne, lecz nie zawsze dokładne. Kluczem do wygrania dużej bitwy wciąż jest artyleria. Protektor podoba nam się dlatego, że jest o wiele skuteczniejszy niż obecnie używana opancerzona haubica samobieżną Paladyn. Podziela odstrasza na wroga, zapewniając nam tym samym przewagę bojową. Jest też na tyle lekki, że można go przewozić drogą powietrzną.
- Tak, ale tylko dlatego, że zdarliście z niego część pancerza i waży teraz czterdzieści dwie tony. Zrobiliście to bardzo niechętnie i wszyscy wiedzą, że przy pierwszej okazji założycie ten pancerz z powrotem. A wtedy to bydlę będzie za ciężkie i nigdzie nie polecą.
- Polecą, polecą - odparł generał Guerrero.
- Wątpię, panie generale. Wojsko uwielbia maszyny mocno opancerzone. Gdy tylko rząd zatwierdzi budowę Protektora, znajdziecie jakiś sposób, żeby powrócił do dawnej wagi. Pamiętajcie tylko o tym, czego Niemcy dowiedzieli się w Rosji i w Ardenach podczas II wojny światowej: złe drogi, górzysty teren, stare mosty i wąskie tunele mogą przekreślić każdą przewagę, jaką zapewniają ciężkie czołgi i artyleria. Dodać do tego złą pogodę i od razu możemy kopać sobie grób.
- - Ale z drugiej strony - zauważył sekretarz Kott - lekkie siły pancerne zawsze przegrywają z siłami ciężkimi, osłanianymi przez liczną armię. Nie sposób temu zaprzeczyć. To, co pan proponuje, to przepis na klęskę. Siedzący przy stole generałowie znowu się najeżyli, lecz zanim wybuchła kolejna kłótnia, głos zabrał admirał Brose. - Myślę, że każdy z nas określił już swoje stanowisko. Fundusze nie są niewyczerpane, prawda, Emily? Prezydencka doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego z powagą kiwnęła głową.



- Niestety.
- Dlatego w tej kwestii biorę stronę sekretarza obrony – kontynuował admirał. - Naszym priorytetem powinno być stworzenie sił zbrojnych reagujących szybko i sprawnie, a dowodem na to, że ich potrzebujemy, są nasze doświadczenia z Somalii. Musimy również ograniczyć się do tego, co mamy, i uważnie śledzić militarne poczynania naszych potencjalnych przeciwników. - Popatrz na Castillę. - Co pan na to, panie prezydencie?
- Castilla kiwnął głową. Chociaż do tej pory prawie się nie odzywał, było powszechnie wiadomo, że popiera koncepcję mniej licznych sił zbrojnych.- Każdy z was przedstawił przekonujące argumenty i trzeba je rozważyć. Potrzeba stworzenia sił szybko reagujących, tudzież wystarczająco dużych i potężnych, żeby zapewnić nam zwycięstwo w każdej wojnie lokalnej, zapobiec III wojnie światowej, żeby chronić naszych obywateli i bronić naszych interesów w krajach rozwijających się, jest oczywista. Somalia nie może się powtórzyć. Jednocześnie nie wolno nam więcej liczyć na brak reakcji krajów, na granicy których Ameryka koncentruje swoje wojska. Nie zapominajmy o Saddampie Husajnie i o wojnie w zatoce.Castilla spojrział na admirała Brose'a i sekretarza Stanton.- Panowie generałowie i sekretarz Kott chcą nam uświadomić, że w przyszłości możemy być zmuszeni do wzięcia udziału w wojnie na wielką skalę, w wojnie z potężnym przeciwnikiem dysponującym bronią nuklearną, że będziemy musieli walczyć na rozległym terenie, gdzie lekkie siły zbrojne nie wystarczą. - Prezydent umilkł i ponownie pogrążył się w zamyśleniu. W końcu oznajmił: - Niewykluczone, że będziemy musieli przyznać wojsku budżet większy, niż oczekiwaliśmy.Zaskoczeni generałowie, sekretarze i doradcy popatrzyli po sobie i przenieśli wzrok z powrotem na Castillę. Castilla wyraźnie się wahał, co u niego, człowieka tak stanowczego i szybko podejmującego decyzje, było niezwykle rzadkie. Jedynie admirał Brose domyślał się, co może być tego przyczyną: „Cesarzowa" i jej związek ze strategicznymi interesami Chin.Prezydent wstał.- Wkrótce spotkamy się ponownie, żeby to przedyskutować. Emily, muszę z tobą porozmawiać. Z tobą i Charliem.Marszcząc czoło i wymieniając dwuznaczne uwagi na temat nieudanej w ich mniemaniu narady, generałowie, ministrowie, ich asystenci i doradcy ruszyli do drzwi. Prezydent Castilla patrzył za nimi z posępną miną.

## Szanghaj

- 
- W taksówce włożył marynarkę i krawat od biednego Andy'ego. Co chwila spoglądał przez ramię na przesuwane się to w lewo, to w prawo światła jadących za nimi samochodów. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś go śledzi. I cały czas prześladował go widok twarzy Andy'ego Ana i Avery'ego Mondragona. Czy było coś, co mógł, co powinien był zrobić, żeby uratować im życie?Przebiegł myślą wydarzenia ostatnich dwóch dni w poszukiwaniu czegoś, co mógł przeoczyć. W poszukiwaniu decyzji, która wszystko by odmieniła. Znowu ogarnął go gniew. Znowu stężały mu mięśnie. Z wściekłości rozboleła go pierś. Kim byli ludzie, którzy potrafili zabijać z taką łatwością?Wreszcie się z tego otrząsnął. Gniew zaciemnia umysł, a on potrzebował teraz myśleć jasno i szybko, żeby znaleźć manifest okrętowy „Cesarzowej". To było najistotniejsze.Czarne ubranie schował do plecaka. Miał coś do zrobienia. Coś tym ważniejszego, że zginęli przez to Andy i Mondragon.Wysiadł na drugim skrzyżowaniu w Bundzie i wmieszał się w tłum ludzi, którzy wyszli na wieczorny spacer nabrzeżem rzeki. Dotarłszy do rogu ulicy naprzeciwko hotelu Pokój, skręcił w Nanjing Dong Lu, gdzie osławiony pasaż handlowy przechodził w wąską, cuchnącą i zatłoczoną ulicę, którą był, zanim zbudowano

tu wielkie sklepy i centra handlowe. Na chodniku panował tak wielki ścisk, że szło się tam ramię przy ramieniu. Przystanął w zaułku naprzeciwko obrotowych drzwi hotelu i skupił na nich wzrok z nadzieją, że wypatrzy rudowłosego Fenga. Ten kramarz... Tak, jeden z ulicznych kramarzy, którzy zaczepiali każdego, kto wchodził lub wychodził z hotelu. Mógł go widzieć w rezydencji Yu Yongfu. Na pewno widział sprzedawcę pączków stojącego obok kadzi z wrzącym tłuszczem - był jednym z dwóch, którzy przeszli pod oknami sypialni w domu Yu. Wyglądali jak prawdziwi, jednak można było zauważyć w nich coś, co mówiło, że się tu na kogoś zasadzili: nie interesowało ich to, co sprzedawali, nie patrzyli na ludzi, którzy przystawali, żeby obejrzyć ich towary, nie pokrzykiwali, nie próbowali nikogo zbajerować. Za to uważnie obserwowali każdego, kto wchodził lub wychodził z hotelu. Sprawdzić boczne drzwi? Bez sensu. Boczne też obstawili, na pewno. Byli dobrze zorganizowani i sprawni. Musiał odwrócić ich uwagę albo ich stamtąd odciągnąć. Pokazać się im? Zbyt ryzykowne. To było ich miasto, a on nie mówił ani słowa po chińsku. Wszedł w tłum ludzi idących w stronę Bundu, znalazł budkę telefoniczną, wyjął z kieszeni kartę telefoniczną z chipem, którą dał mu doktor Liang, i wybrał numer hotelu. Recepcjonista odpowiedział po chińsku, lecz gdy Smith podał mu swoje nazwisko, natychmiast przeszedł na angielski.

- Tak, słucham? W czym mogę pomóc?
- To trochę krępujące, ale mam mały kłopot. Przed południem miałem nieprzyjemną scysję z dwoma ulicznymi sprzedawcami. Niestety są tu znowu. Wrócili i obserwują drzwi do hotelu. Czuję się niepewnie, boję się. Właściwie dlaczego oni tam są?
- Zajmę się tym, panie doktorze. Może ich pan opisać? W tej części Nanjing Dong Lu jest ich bardzo dużo.
- Jeden sprzedaje podrobia roleksów, drugi szanghajskie pączki.
- To wystarczy.
- Dziękuję. Już czuję się bezpieczniej. - Jon odwiesił słuchawkę, ponownie wmieszał się w tłum i przystanął za gazonem, skąd dobrze widział cały hotel.
- Niecałe dwie minuty później przez sznur samochodów na ulicy przebił się radiowóz policji miejskiej. Zatrąbił klaksonem i stanął przed wejściem. Gdy wyskoczyło zeń dwóch policjantów w granatowych spodniach i jasnoniebieskich koszulach, fałszywi sprzedawcy popełnili błąd: nie wykazali nimi żadnego zainteresowania i policjanci natychmiast zaczęli coś podejrzewać - na ich widok uliczni kramarze zwykle pierzchali. Kilka sekund później wybuchła głośna awantura. Jon czekał. Niebawem otworzyły się drzwiczki dużej czarnej limuzyny parkującej po drugiej stronie ulicy. Wsiadło z niej dwóch mężczyzn, którzy zaczęli przepychać się przez tłum w stronę wejścia do hotelu. Ludzie cofali się przed nimi, szybko schodzili im z drogi. Tajniacy. Biuro Bezpieczeństwa Publicznego. Dołączyli do policjantów. Jeden z nich powiedział coś głośno i stanowczo. Policjanci i sprzedawcy natychmiast wybuchli krzykiem, przedstawiając im swoje racje. Sprzedawcy wymachiwali pozwoleniami na uliczny handel. Policjanci wskazywali drzwi. Tajniacy odpowiadali krzykiem na krzyk. Gdy z wielkiego czarnego lincolna, który zatrzymał się przed hotelem, wysiadło trzech europejskich biznesmenów i trzy młode Chinki w wydekoltowanych sukienkach, Smith szybko do nich dołączył. Śmiejąc się wesoło, weszli razem do holu, podczas gdy stojących na ulicy policjantów i tajniaków otaczał coraz gęstszy

tłum. Wszedł do pokoju, wyjął komórkę i znieruchomiał. Nie było cieniutkiego kawałka przezroczystego plastiku, który rozłożył na wykładzinie. Schował telefon do kieszeni, wyjął pistolet i jeszcze raz spojrzął na podłogę. Nie musiał daleko szukać. Zmięty plastik leżał pod ścianą, ledwie o krok od drzwi. Ktoś tu wszedł, nadepnął na folię i niczego nie podejrzewając, odsunął ją nogą na bok. Jon wyszedł na korytarz, zdjął z klamki tabliczkę z napisem Nie przeszkadzać i obejrzał zamek. Był nietknięty. Zamknął drzwi i sprawdził walizkę. Cieniutkie włókienko tkwiło na swoim miejscu. Był tu ktoś, kto miał klucz. Ktoś, kto nie zwrócił uwagi na przezroczysty plastik i kogo nie interesowała walizka. To na pewno ani nie Biuro Bezpieczeństwa Publicznego, ani policja, ani złodziej. Raczej ktoś z hotelowego personelu. Jon zmarszczył czoło. Przecież na klamce wisiała tabliczka. Czyżby ktoś - niekoniecznie pracownik hotelu - chciał sprawdzić, czy Smith jest w pokoju? Nie, nie mógł ryzykować. Włączył telewizor, podkręcił głośność, wszedł do łazienki i puścił wodę z kranów nad wanną. Gdy hałas był już wystarczająco duży, usiadł na muszli klozetowej, ponownie wyjął komórkę i wybrał służbowy numer Freda Kleina.

- Gdzie ty, do diabła, jesteś? Co to za hałas?
- Nie chcę, żeby ktoś mnie podsłuchał - odrzekł Jon. - Tu mogą być pluskwy.
- Cudownie. Ma pan coś dla mnie, pułkowniku?
- Chciałbym. Dowiedziałem się tylko, kto jest właścicielem „Cesarzowej”: chińska firma przewozowa Latający Smok, tak się nazywa. Jej prezesem i przewodniczącym zarządu jest, a raczej był szanghajski biznesmen Yu Yongfu, ale prawdziwego manifestu okrętowego „Cesarzowej” w jego sejfie nie ma. - Opowiedział Kleinowi o Zhao Yanjim, skarbniku Latającego Smoka, i przekazał mu wszystko to, czego się od niego dowiedział. - Potem pojechałem do domu Youngfu... - Streścił mu rozmowę z jego żoną. - Mogła grać, ale niekoniecznie. Jest aktorką, jak pamiętam, cholernie dobrą. Ale myślę, że nie udawała. Ktoś zmusił Yongfu do popełnienia samobójstwa. Ktoś, kto ma ten manifest.
- Słyszał, jak Klein zajadle pyka z fajki.
- Od samego początku są krok przed nami.
- Jest jeszcze gorzej. Zabili Andy'ego Ana.
- Tego tłumacza? Nie znałem go, co nie znaczy, że mi go nie żal. Do śmieci trudno przywyknąć, pułkowniku.
- - Wiem. Zamilkli.
- Opowiedz mi o ataku na ten dom. Dlaczego uważasz, że to nie była zasadzka?
- Bo czułem, że nie jest. Musieli mnie obserwować i kiedy żona Yu wyjechała, postanowili w końcu wkroczyć do akcji. Nie spodziewali się, że frontowe drzwi będą otwarte, to było widać.
- Bezpieka?
- Nie, robili to niezdarnie, za bardzo rzucali się w oczy. Moim zdaniem to banda wynajętych zbirów.

- Zbirów, którzy zmusili tego człowieka do samobójstwa i odebrali mu manifest?
- - Jeśli tak, po co tam wrócili? Mówi coś panu nazwisko Feng Dun? Klein odrzekł, że nie, i Jon opowiedział mu o swoich spotkaniach z rudowłosym Chińczykiem.- Moi ludzie go sprawdzą.Klein znowu zamilkł i Jon niemal widział, jak w klubie jachtowym na brzegu dalekiej Anacostii zamysłony szef Tajnej Jedyunki marszczy czoło.
- A więc człowiek, który wiedział najwięcej, nie żyje, a manifest „Cesarzowej” przepadł. Co nam pozostało, pułkowniku? Mogę pana ewakuować i spróbuje pan z innej strony.
- Mogę próbować z każdej, ale nie chcę teraz rezygnować. Może uda mi się wpaść na trop tych z domu Yongfu. No i jest jeszcze ten starzec, ojciec prezydenta. Trzeba go sprawdzić.
- Czego jeszcze się pan dowiedział?
- Czegoś bardzo ważnego. W sprawę „Cesarzowej” jest zamieszany Latający Smok, ale nie tylko. Część, jeśli nie całość ładunku dostarczyła belgijska firma Donk LaPierre S.A. z filią w Hongkongu. Skoro tak, muszą mieć kopię manifestu, to byłoby logiczne.
- Dobry pomysł. Niech pan jedzie do Hongkongu. Ja wyślę kogoś do Belgii. Mają siedzibę w Hongkongu i gdzie?
- - W Antwerpii. Rozumiem, że w Bagdadzie nie wypaliło.- Nie wypaliło. Mam w Basrze agenta. Jest bardziej wiarygodny i dokładnie to sprawdzi.
- Dobra. Znajdę jakąś wymówkę, zadzwonią do Lianga i złapię pierwszy samolot do Hongkongu.
- Ale najpierw...
- Pukanie do drzwi? Szumiała woda, w pokoju ryczał telewizor, więc ledwo je słyszał.
- Chwileczkę, Fred. - Jon wyjął pistolet i podszedł do drzwi. – Kto tam?
- Kelner.
- Niczego nie zamawiałem.
- - Doktor Smith? Włochate kraby i porter z restauracji Smok-Feniks?Włochate kraby były w Szanghaju wysoko cenionym przysmakiem, a restauracja Smok-Feniks mieściła się w hotelu, co nie zmieniało faktu, że Jon niczego nie zamawiał. Przytknął komórkę do ucha i powiedział Kleinowi, że się odezwie.
- Co się tam dzieje? - spytał Fred. - Coś się stało?
- Przekaż to Potusowi. Może jednak pójdę do tego dentysty. - Jon schował telefon do kieszeni i odbezpieczył berettę. Potem uchylił drzwi.
- Obok przykrytego białym obrusem wózka stał kelner. Z naczyń bił zapach gorących owoców morza. Kelner - Smith go nie znał - był niski, bardzo szczupły, lecz dobrze umięśniony - ścięgnię szejne miał grube jak liny. Spięty, zdecydowany i stanowczy, przypominał zwiniętą sprężynę.

Był śniady, jakby pokrywała go zbrązowiała od słońca niegarbowana skóra. Mógł mieć najwyżej czterdzieści lat, lecz jego twarz była poorana głębokimi zmarszczkami. Nosił też elegancki wąsik. Jon doszedł do wniosku, że kimkolwiek ten człowiek jest, na pewno nie jest zwykłym Chińczykiem. Zanim zdążył szerzej otworzyć drzwi, kelner wepchnął wózek do pokoju. - Dobry wieczór, panie doktorze - powiedział głośno po angielsku z silnym kantońskim akcentem. Korytarzem szła trzymająca się za ręce para. Minęli jego drzwi i poszli dalej. - Kim pan jest? - spytał Jon. Kelner spojrzał na beretkę i nieporuszony tym widokiem zamknął nogą drzwi. - Proszę nie robić zamieszania, panie pułkowniku - rzucił, błyskając czarnymi oczami. Obcy akcent zniknął i Chińczyk mówił teraz znakomitym brytyjskim angielskim. - Proszę. - Sięgnął pod blat wózka i rzucił mu zwinięte w kłębek ubranie. - Zechce pan to włożyć. Szybko. Szukają pana, są na dole. Nie pora na dekonspirację. Jon chwycił ubranie lewą ręką, nie wypuszczając beretty z prawej.

- Kim pan, do cholery, jest? I kim są oni, ci, co niby mnie szukają?
- Tajniacy z Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Ja nazywam się Asgar Mahmout alias Xing Bao. Tego drugiego nazwiska używam tutaj, w Chińskiej Republice Ludowej. - Wciąż nie zwracał uwagi na beretkę. - To ja jestem „informatorem”, który powiedział Mondragonowi o starcu przetrzymywanym w jednym z chińskich więzień.

-

# Rozdział 10

## Waszyngton

- 
- 
- Sekretarz armii Jasper Kott i generał Tomas Guerrero rozstali się na korytarzu w Pentagonie, niedaleko swoich gabinetów. Zastanawiali się wspólnie, jak zdobyć poparcie rządu i wojska, jak rozpropagować ich strategię i przekonać do niej społeczeństwo. Kott szedł przed siebie, dopóki generał nie zniknął mu z oczu. Wtedy szybko skręcił do męskiej toalety. W toalecie nie było nikogo, wszedł więc do kabiny, zamknął drzwi, usiadł na muszli, wyjął telefon i wybrał numer. Po długiej chwili odpowiedział mu silny, stanowczy głos:
  - No i,..?
  - Chyba zadziałało. Prezydent się waha.
  - To do niego niepodobne. Co dokładnie robi?
  - Wiesz, jaki z niego buldog, a dzisiaj prawie się nie odzywał. Santon wsiadł na swego konia i pojechał, ale jechał sam, nie licząc Brose'a i Ody oczywiście. Ale tego się spodziewaliśmy.
  - Chcę znać szczegóły.
- Kott opisał przebieg wstępnej narady budżetowej.- Nikt nie wiedział, dlaczego prezydent jest w tak złym humorze, dlaczego jest taki zamyślony, zaaferowany. Może tylko Brose. Widziałem, jak na siebie patrzą. W słuchawce telefonu zabrzmiał gorzki śmiech.
  - Wierzę. Musimy o tym porozmawiać.
  - W każdej chwili. Umówimy się na telefon.
  - Nie. Osobiście. W cztery oczy. Za dużo jest do omówienia, to zbyt ważne.
  - Kott zmarszczył czoło.
  - Dobrze. I tak muszę zwizytować nasze azjatyckie bazy.
  - Świetnie. Zatem do zobaczenia.
- Kott schował telefon do kieszeni, spuścił wodę i wyszedł. Prezydent Castilla często odnosił wrażenie, że Fred Klein żyje w wiecznym półmroku. Ciężkie kotary w oknach Prywatnego Klubu Jachtowego Anacostia nie przepuszczały ani porannego słońca, ani odgłosów dochodzących z ruchliwej przystani, ani dudnienia łodzi na rzece, ani śpiewu ptaków. Castilla siedział naprzeciwko Kleina, Klein zaś za biurkiem, z rękami w świetle lampy i z głową w mroku. Szef Tajnej Jedyńki powtórzył prezydentowi to, czego dowiedział się przed chwilą od Smitha.
  - Niewykluczone, że będziemy musieli szybko go stamtąd ewakuować. - Smith przerwał rozmowę, mówiąc: „Przełącz to Potusowi. Może jednak pójdę do tego dentysty”. Potus to

prezydent, wizyta u dentysty to ekstrakcja. Ekstrakcja to ewakuacja.

- Postarajmy się nie stracić i jego. - Zafrasowany Castilla powoli pokręcił głową. - Wciąż nie mamy tego manifestu. Wciąż nie wiemy, gdzie jest i kto go ma.
- Smith uważa, że jeden egzemplarz może być w Belgii, w tej firmie.
- Tylko może?
- Moi ludzie próbują ustalić, kto go zaatakował. Szukają też w Iraku. Uruchomię agentów w Antwerpii; może znajdą trzeci egzemplarz. Ale jeśli nie znajdziemy tego manifestu w Szanghaju, w Basrze czy w Antwerpii, pozostanie nam tylko Hongkong.
- Prezydent kiwnął głową.- Dobrze. Wierzę w ciebie. Mamy kilka dni, potem „Cesarzowa” dopłynie do Iraku. - Zawahał się i wykrzywił twarz. - Muszę zdecydować, co zrobimy, jeśli nie znajdziemy ani jednego egzemplarza. Nie mogę pozwolić, żeby te chemikalia wpadły w ręce Irakijczyków. Koniec końców, pozostanie nam tylko jedno: zatrzymać statek i wejść na pokład, a to grozi konsekwencjami, na które muszę się przygotować.- Zbrojna konfrontacja z Ghanami?
- Konfrontacja jest bardzo realną i przerażającą możliwością.
- Sam na sam, bez sojuszników?
- Jeśli zajdzie taka konieczność... Jeżeli poprosimy o wsparcie, zażądają dowodów, a bez dowodów...
- Rozumiem. Lepiej zdobądźmy ten manifest.
- Wolę nie myśleć, co musielibyśmy zrobić, gdyby Chiny były na tyle głupie, żeby rzucić nam wyzwanie. - Castilla pokręcił głową. Na jego szerokiej twarzy malowały się niewypowiedziane troski. - I pomyśleć tylko, że walczyłem o to stanowisko. Harowałem jak wół, żeby je zdobyć. - Pochylił się do przodu. - Co z Davidem Thayerem? - spytał cicho.
- - Gdy tylko ustalimy, gdzie jest ta więzienna farma, wyślę agenta, żeby nawiązał z nim kontakt i sprawdził jego wiarygodność.Castilla westchnął.
- Wiesz, myślałem, co będzie, jeśli nie podpiszemy tego układu z Chinami. Bardzo mi się to nie podoba.
- Jeśli do tego dojdzie, trzeba będzie rozważyć możliwość zorganizowania misji ratunkowej.
- Konkretnie jakiej?
- Mały oddział. Dokładnie jaki, z kogo złożony i jak wyposażony, będzie zależało od położenia farmy i od tego, jak dobrze go pilnują.
- Dostaniesz, co zechcesz.
- Pograżony w mroku Klein długo przyglądał się swemu staremu przyjacielowi.
- Panie prezydencie, czy mam przez to rozumieć, że jest pan gotów wyrazić zgodę na tego rodzaju akcję?

- Powiedzmy, że tego nie wykluczam. - Castilla zamknął oczy i po smutniał. Ale tylko na chwilę. Wstał. - Odezwiij się, Fred. Bez względu na porę nocy i dnia.
- Gdy tylko się czegoś dowiem.
- Dobrze. - Prezydent otworzył drzwi, wyprostował się godnie i wyszedł. Natychmiast otoczyło go trzech agentów, którzy poprowadzili go do zewnętrznych drzwi.
- Gdy zawarczał silnik lincolna, gdy pod kołami zachrzęścił żwir, Klein wstał, podszedł do dużego ekranu na ścianie i zatroskany, myśląc o stu rzeczach naraz, nacisnął guzik. Ekran ożył. Wyświetliła się na nim szczegółowa mapa Chin. Klein splótł z tyłu ręce i wbił w nią wzrok.

## Szanghaj

- Smith wciąż celował w mężczyznę przebranego za kelnera.
- Kto to jest Mondragon i co mnie obchodzi jakiś starzec?
- Nie czas na uniki, panie pułkowniku. - Kelner ściągnął białą marynarkę i luźne spodnie. Pod spodem miał wszechobecną w Szanghaju białą koszulę, tanie, niewymagające prasowania granatowe spodnie i granatową kurtkę. - Wysłaliśmy kogoś, żeby go śledził. Chcieliśmy mieć pewność, że przekaże tę wiadomość jankesom. Wyspa Liuchiu. Zasadzka. Pamiętapan? Mondragon tam był. Pan wrócił potem do Kaohsiung. Nie spuszczaaliśmy pana z oka. Wystarczy? Jon wciąż nie odkładał broni.
- Niby dlaczego miałyoby interesować się mną Biuro Bezpieczeństwa Publicznego?
- Cholera jasna, niech pan wreszcie przestanie! David Thayer może być naszym biletem na świat, bo dzięki niemu wszyscy dowiedzą się, co się tu dzieje. Bezpieka ściga pana ze swoich powodów, nie z naszych!
- - To wy byliście w tym land-roverze? Asgar teatralnie westchnął. - Na pewno nie królowa Elżbieta. Proszę się przebrać, zanim powiesz nas obu za... gonady. Asgar Mahmout. To nie chińskie nazwisko. I te ciemne, okrągłe oczy. Nie, nie wyglądał na Chińczyka. I cały czas mówił: „my”. „Wysłaliśmy kogoś, żeby go śledził”. „My” i „nasz”. „David Thayer może być naszym biletem na świat”. Dysydenci? Jakieś podziemne ugrupowanie? Pytania musiały poczekać, bo to, co mówił, było logiczne: jeżeli śledzili go od spotkania z Mondragonem na Liuchiu, rzeczywiście mogli go namierzyć. Co oznaczało, że na dole czekają tajniacy z Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Jon położył pistolet na stoliku do kawy, zdjął garnitur i szybko włożył granatową kurtkę a la Mao, czapkę Ludowej Armii Wyzwoleńczej, błękitną koszulę z brudnym kołnierzykiem i chińskie sandały. - Niech pan weźmie tylko najpotrzebniejsze rzeczy. - Mahmout zawrócił wózek i ustawił go przodem do drzwi. Potem przekreślił klamkę. Smith chwycił plecak, wepchnął do kieszeni pistolet i pobiegł za nim pustym korytarzem. Mahmout skręcił w prawo i zamiast do windy pasażerskiej, popędził za róg, do towarowej. Kabina była otwarta. - Mamy trochę szczęścia - rzucił z aprobatą. Wprowadził wózek do środka. Jon wszedł tuż za nim. Gdy zamykały się drzwi, usłyszeli, jak z głośnym westchnieniem otwierają się drzwi windy pasażerskiej, ktoś z niej wysiada i biegnie korytarzem. Po chwili dobiegło ich niecierpliwe pukanie do drzwi i rozkazy wydawane po chińsku tak głośno, że słycać je było przez ścianę. - Są chyba w pana pokoju - powiedział Asgar. Jon kiwnął głową, zastanawiając się,



ile czasu upłynie, zanim tajniacy odkryją, co zaszło i dokąd uciekł. Pierwsze piętro. Wysiedli.- Można wyjść przez kuchnię - rzekł Smith.- Wiem. Wszedł pan tędy z tym młodym Chińczykiem. Kto to jest? I gdzie się podział?- Tłumacz. - Jon zniżył głos. - On też nie żyje. Mahmout pokręcił głową i zacisnął zęby.

- Przynosi pan szczęście, pułkowniku, jak maskotka. Będę musiał uważać nie tylko na pana, ale i na siebie. Kto go zabił?
- Myślę, że Feng Dun i jego ludzie.
- Feng? Nie znam. - W korytarzach za kuchnią unosiły się aromatyczne zapachy. Spiesznie podeszli do wyjścia dla personelu, tu Mahmout zostawił wózek. Ostrożnie otworzyli drzwi i natychmiast ogłuszył ich uliczny hałas. Ciemny zaułek. Po lewej stronie ciągnęła się zatłoczona Nanjing Dong Lu, po prawej uliczka za hotelem.
- Ma pan wóz?
- Czy pan zwariował? Nie tutaj.
- Krzyk buchnął nie z lewej i nie z prawej strony, tylko z tyłu, z korytarza prowadzącego do kuchni. Tajniacy namierzili ich szybciej, niż Jon oczekiwał.- Chodu! - wrzasnął Mahmout i jak chart popędził w prawo. Smith biegł tuż obok niego. Wielojęzyczny gwar dochodzący z Nanjing Dong Lu powoli ucichł. Gdy dotarli na róg ulicy, ponownie usłyszeli krzyk i tupot nóg. Skręcili w lewo i oddalając się od Bundu i rzeki, przecięli wąską boczną uliczkę, wbiegli w szerszą i znowu skręcili. Biegając, co chwilę zerkali za siebie. Kolejna ulica. Mahmout narzucił mordercze tempo, gnał przed siebie jak maszyna. Złany potem i skonsternowany Smith nie miał pojęcia, gdzie są. Kluczeli skomplikowanym labiryntem bocznych ulic i zaułków bez nazwy. Nieustannie wyprzedzali i potracali klnących gniewnie przechodniów, omijali stojące na chodniku rowery, place budowy, porozrzucane śmieci, ulicznych handlarzy, parkujące przy krawężniku samochody, samochody przejeżdżające skrzyżowanie na czerwonym świetle, nieraczące nawet przyhamować. W nozdrza biło im setki ohydnych zapachów, uszy puchły od zgiełku. Nurkowali pod rozwieszonym na sznurach praniem, przeskakiwali nad stojącymi na ogniu kociołkami, ślizgali się na śmieciach, omijali rowery i motocykle, których kierowcy nie odróżniali jezdni od chodnika. I cały czas towarzyszył im tupot nóg ścigających ich ludzi, który to się oddalał, to przybliżał, jednak nie chciał umilknąć, nie chciał zniknąć jak zły sen. Dwa razy Mahmout musiał gwałtownie skręcić, bo tamci przecięli im nagle drogę. Raz z piskiem opon zahamował tuż przed nimi samochód. Wpadli do jakiegoś domu, wybiegli na podwórze, z podwórza ponownie na ulicę. Tamci nie ustępowali. Nie było czasu na rozmowę czy pytania. Nie było czasu na odpoczynek, na chwilę wytchnienia. Jon stracił poczucie kierunku, lecz wiedział, że przebiegli wiele kilometrów. Bolały go mięśnie, płuca paliły. Musieli być w starym Szanghaju, w Dzielnicy Francuskiej. I nagle znowu wypadli na Nanjing Dong Lu, gdzie roiło się kupujących, drobnych pijaczków, turystów, złodziei, kieszonkowców i podrywaczy, którzy pojawili się tu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy tylko uznano, że nowym celem socjalizmu jest „wolny” rynek.- Metro! Tam! Szybciej, staruszkule! - Mahmout zbiegł na dół, wsunął kartę do czytnika i podał ją Smithowi. Wpadli na dobrze oświetlony peron z tablicą He Nan Lu. O tej porze było tu niewielu ludzi. Złani potem, lecz wciąż czujni, uważnie obserwowali wszystkie wejścia. Gdy wreszcie nadjechał pociąg, wskoczyli do prawie pustego wagonu. Peron został w

tyle i Smith wziął głęboki oddech.- Dobra robota - wysapał. - Ale przewodnik z pana do bani. Nie daje pan czasu na podziwianie widoków. Lśniaca od potu twarz Mahmouta była jak zwykle ni to ponura, ni to obojętna. Nagle wykwitł na niej sardoniczny uśmiech i wesoło rozblęły oczy.

- Widzę, że nic pan nie rozumie, pułkowniku. - Chińczyk, który nie był pewnie Chińczykiem, mówiący nienaganną angielszczyzną... Jon nie mógł do tego przywyknąć. - Moich turystów bardziej interesuje wytrzymałość i wytrwałość niż fotografowanie widoków. Zresztą żeby zostać przewodnikiem, trzeba mieć pozwolenie. Ja go nie dostanę.
- Nie?
- Nie, bo musiałbym pójść na policję, a policja lubi mnie ścigać.
- Często się to panu przydarza?
- Jak pan myśli, dlaczego jestem w tak dobrej formie? Mieszkam w Chinach, tak, ale mówię otwarcie o partii, rządzie i mniejszościach narodowych. Bandziory wynajęte przez tych z góry raczej za mną nie przepadają.
- Metro było szybkie, czyste i wygodne. Gdy dojechali do stacji, Mahmout wysiadł, rozejrzał się po peronie, wsiadł i pokręcił głową.
- Kłopoty?
- Policja obstawiła wyjścia, czyli bezpieczeństwa zwęszyła już, że tu jesteśmy.
- Ale skąd wiedzą, dokąd jedziemy?
- Nie wiedzą. Gdyby wiedzieli, zamiast policji kręciliby się tu tajniacy. Ci z bezpieczki czekają, aż wypatrzą nas gliniarze.
- Nie podoba mi się to.
- A mnie tak. Mamy nad nimi małą przewagę. Policja nas nie aresztuje. Zaczekają na tajniaków.
- Pociąg ruszył. Przejechali dwie stacje.
- Teraz będzie Jing An; to taka świątynia - powiedział Mahmout. - Wsiądziemy. Nie znają mojej twarzy, a w tym ubraniu mogę uchodzić za każdego. Pana na stacji nie zatrzymają, chociaż nie jestem tego pewien. Powiem panu, którędy wyjść, i wmiesza się pan w tłum. Gdyby pana zauważyli, będę z tyłu.
- A potem?
- Potem damy nogę.
- Super. Nie mogę się już doczekać.
- Mahmout uśmiechnął się szeroko, demonstrując rząd równych białych zębów pod czarnym wąsikiem. Gdy pociąg wjechał na staję i zahamował, wyrzwał przez okno.- Niech pan wsiądzie razem z innymi i skręci w lewo. Po drodze zobaczy pan trzy wyjścia. Pana interesuje

środkowe. Zahurkotały drzwi.- Rozumiem. - Smith wysiadł i dołączył do tych, którzy skręcili w lewo. Środkowe wyjście wybrało niewielu z nich. Szedł, nie śmiąc spojrzeć przez ramię i sprawdzić, czy Mahmoud idzie za nim. Stojący u stóp schodów policjanci uważnie przyglądali się każdemu pasażerowi. Pierwszy ominął go wzrokiem, drugi tylko na niego zerknął i odwrócił głowę, lecz nagle odwrócił ją ponownie i tym razem spojrzał mu prosto w twarz. Smith przyspieszył kroku i zerknął za siebie. Policjant mówił coś do mikrofonu nadajnika. Jon był już prawie na schodach, gdy z tyłu buchnął krzyk, najpierw po chińsku, potem po angielsku.

- Stać! Ty, wysoki Europejczyk! Stać!
- Ktoś pchnął go do przodu.
- Pędź, staruszk, pędź jak wiatr!
- Smith wskoczył na schody i pokonując po trzy stopnie naraz, wypadł na ulicę. Wyprzedził go Mahmoud.- Za mną! Rozbrzmiewające w ciemności krzyki zagłuszały nawet uliczny hałas.- Stać! Pułkowniku Smith! Stój, bo będę strzelał! Nadciągali tajniacy z Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Rozbłyły światła samochodowych reflektorów, zaryczały motocyklowe silniki.- Zatrzymajcie ich, kretyni! - wrzasnął ktoś piękną angielszczyzną. Jon pędził za Mahmoudem w świetle reflektorów, które namierzyły ich, jak szperacz namierza dwie antylopy na afrykańskiej sawannie. Nie mogli się nigdzie ukryć. Ulica była szeroka i prosta.- Nie damy rady! - rzucił Jon.- Nie musimy. - Mahmoud skręcił pod kątem prostym w prawo i zanurkował w czarną jak atrament alejkę. Minęli okazały europejski dom z początku XIX wieku i Smith zrozumiał, że wreszcie dotarli do Dzielnicy Francuskiej. Znowu wpadli w smugę ostrego światła. Mahmoud ponownie skręcił, w uliczkę jeszcze węższą i ciemniejszą, zabudowaną rzędem domów przypominających stykające się ze sobą wille otoczone murami w stylu, który zupełnie do nich nie pasował. Zanim zza rogu zdążyło wystrzelić światło reflektora, otworzył furtkę w murze. Wpadł do środka, stanął z boku, zczekał na Jona, zatrzasnął drzwiczki i puścili się pędem wzdłuż rzędu ceglanych domów. Z dość szerokiej alejki skręcili w labirynt przejść i przesmyków, z których każdy był węższy od poprzedniego i w każdym było mnóstwo drzwi. Na sznurach między oknami, na wysokości drugiego, trzeciego piętra wisiało pranie schnące na ciepłym, wieczornym wietrze. Niczym prostokątne narośle, z okien sterczały zardzewiałe klimatyzatory. Wszędzie cuchnęło tłustą smażeniną.- Tamta furtka to jedyne wyjście? - spytał Jon.- Zwykle jedyne - odrzekł Mahmoud. - Chodźmy. To tutaj. Wszedł do domu stojącego przy najwęższym przejściu, jakie Smith dotąd widział. Jeden pokój, drugi, trzeci - we wszystkich roilo się od mężczyzn o ciemnych, pociągłych twarzach, takich jak twarz Mahmouda, którzy siedzieli na krzesłach lub leżeli na dywanikach i poduszkach w białych i kolorowych czapczkach na głowie. Większość z nich spała, ale pozostali przypatrywali mu się ciekawie i bez strachu. Po cichu, niemal na palcach Mahmoud szedł w stronę nieregularnego otworu w ścianie. Wczołgał się do środka i rzucił:
- Proszę za mną, pułkowniku. Niech się pan nie ociąga.
- Co to jest?
- To? To jest bezpieczeństwo.

- Znalezli się w sąsiednim pomieszczeniu, gdzie stały łóżka, krzesła, stoliki i lampy. Byli sami.- Jesteśmy w Dzielnicy Francuskiej, ale gdzie? - spytał Jon. Był spocony, serce wciąż waliło mu jak młotem.Twarz Mahmouta też lśniła od potu i była mocno zaczerwieniona.
- W *longtang* - odrzekł, ocierając ręką czoło.
- Co to jest?
- Ceglane budynki w zachodnim stylu z końca XIX wieku. Zwarte grupy domów otoczonych murem. Zbudowano je według starego chińskiego schematu: za każdym murem kilka stojących obok siebie domów połączonych przejściami. Europejczycy zdali sobie sprawę, że tracą pieniądze, nie dopuszczając Chińczyków do koncesji. Zaczęli więc budować *longtang* i wynajmować je najbogatszym szanghajczykom. Czterdzieści procent rodowitych mieszkańców Szanghaju mieszka w nich .do dziś.Najwięcej tutaj, w Dzielnicy Francuskiej. W takim miniosiedlu zamieszkują czasem całe rodziny, grupy przyjaciół czy wieśników z jednej wsi.
- Doszedł ich jakiś hałas. Jon spojrzał w lewo i zobaczył, jak otwór, którym tu weszli, znika za fragmentem ceglanej ściany.
- Z tamtej strony prawie go teraz nie widać - powiedział Mahmout.
- Jon był pod wrażeniem.
- Gdzie my, do diabła, jesteśmy?
- W dobrej kryjówce. Głodny?
- Zjadłbym cesarski pałac.
- - Szkoda tych krabów. - Mahmout otworzył drzwi i weszli do sąsiedniego pokoju. Stały tam długi stół, kuchenka i lodówka. Mahmout już miał ją otworzyć, lecz jego ręka zawisła w powietrzu.Jon też to usłyszał.Zza ściany dobiegł odgłos ciężkich kroków i męskie głosy. Ktoś się tam z kimś sprzeczał, ktoś z kimś rozmawiał. Tajniacy. Tuż obok, ledwie kilka kroków od nich.Mahmout wzruszył ramionami.- Nie znajdują przejścia. Przywyknie pan. Są daleko, w sąsiednim *longtang*. Gdy przeszliśmy przez ten otwór...Urwał i gwałtownie odwrócił głowę. Jon zeszywniał. Usłyszeli nowe głosy, ale te nie dochodziły zza ściany. Dochodziły z podwórza.- Co to...Ktoś załomotał do drzwi ledwie sześć metrów dalej. Asgar Mahmout zachichotał bezgłośnie i otworzył lodówkę.- Nich pan usiądzie, pułkowniku. Nie znajdują nas.Znowu głosy i ciężkie kroki na drewnianej podłodze. Brzmiało to tak, jakby tamci byli tuż obok, w sąsiednim pokoju. Ale Mahmout przestał się tym interesować.- Znaleźliby nas tylko wtedy, gdyby odkryli przejście w ścianie - powiedział. - A przejścia nie odkrywają. - Wiedział już, gdzie są tajniacy, i wierzył, że nic im tu nie grozi. Wyjął z lodówki jedzenie, włożył je do dwóch mikrofalówek. Postawił na stole dwie butelki piwa, usiadł i wskazał Jonowi krzesło.- Proszę mi zaufać, pułkowniku.Dochodzące zza ściany odgłosy nie cichły, ale wciąż nikt do nich nie zaglądał, a Smith umierał z głodu. Usiadł naprzeciwko Mahmouta, który otworzył piwo - ciemne, ale z Newcastle - i rozlał je do wielkich szklaneczek ozdobionych angielskimi koronami i herbami.- Za naszą kryjówkę. - Podniósł szklankę jak do toastu i przekrzywił na bok głowę, jakby zdenerwowanie Jona bardzo go bawiło.Smith wzruszył ramionami. Od tego biegania

zaszło mu w gardle.- A co tam - mruknął. - Do dna. - I pociągnął potężny łyk.



# Rozdział 11

## Szanghaj

- 
- 
- Mahmout odstawił szklankę i otarł pianę z wąsów. - Powinien pan bardziej nam ufać. Ta kryjówka nie jest wcale gorsza od tych, które ma CIA.
- Warn? To znaczy komu? I dlaczemu ma pan dwa nazwiska, jedno chińskie, drugie nie wiem jakie?
- Ponieważ Chińczycy chcą, żebyśmy mieszkali w Chinach, muszę być Chińczykiem i mieć chińskie nazwisko. My, to znaczy Ujgurzy. Jestem Ujgurem z Xinjiang. Właściwie półkrwi Ujgurem, ale to jest ważne tylko dla moich rodziców. Nazywam się Asgar Mahmout; to moje prawdziwe nazwisko. Policjanci z metra krzykali do pana: „pułkownik”, więc jest pan zapewne wojskowym. Pan też ma dwa nazwiska?
- Nie. Nazywam się Smith, Jon Smith. Jestem lekarzem, naukowcem i oficerem. Ujgurzy? Nigdy o was nie słyszałem.
- Mahmout pociągnął łyk piwa i uśmiechnął się drwiąco.- Ach, ci Amerykanie... Tak mało wiecie o świecie, tak słabo znacie historię, nawet, co smutne, historię własnego kraju. Czarujący, energiczni ignoranci. To wy, jankesi. Pozwolę sobie pana oświecić. Teraz z kolei uśmiechnął się Smith. Wypił łyk piwa i odrzekł:
- Wyteżam słuch, jak powiadają jankesi.
- I džentelmeni - dodał Mahmout i z dumy podniósł głos. - Ujgurzy to starożytny turecki lud. Mieszkaliśmy w górach, na pustyniach i stepach Azji Środkowej na długo przed waszym Chrystusem. I na długo przed tym, gdy Chińczycy zebrali się na odwagę, żeby opuścić żyzne doliny rzek na wschodzie. Jesteśmy dalekimi kuzynami Mongołów i bliskimi kuzynami Turków, Uzbeków, Kirgizów i Kazachów. Kiedyś mieliśmy wielkie królestwa, imperia, o jakich marzą dzisiaj Amerykanie. - Podniósł rękę i zatoczył nad głową szeroki łuk, jakby dzierżył w niej miecz. -Walczyliśmy u boku wielkiego Czyngis-chana i u boku legendarnego Timura. Panowaliśmy w Kaszgarze, należał do nas słynny Jedwabny Szlak,
- o którym z takim zachwytem opowiadał Marco Polo wnukowi Czyngis-chana. A ten wnuk pobił nadętych Hanów, Chińczyków, i zajął Państwo Środka. Dopił piwo i ponurym głosem mówił dalej:- Teraz to my jesteśmy niewolnikami, ale nasz los jest znacznie gorszy. Chińczycy zmuszają nas do przyjęcia chińskich nazwisk, do mówienia ich językiem, do przyjmowania stylu ich życia. Zasiedlają nasze miasta milionami swoich, niszczą naszą kulturę, wypędzają nas z farm na pustynię, na step i jeśli chcemy przetrwać jako naród, musimy tam iść. My i Kazachowie. Nie pozwalają nam modlić się do Allacha, burzą nasze historyczne meczety. Próbują wytepić nasz język, nasze zwyczaje, naszą literaturę. Mój ojciec był Hanem. Olśnił moją matkę pieniędzmi, pozycją i wykształceniem. Ale kiedy powiedziała, że nie porzuci islamu, że nie wychowa mnie i mojej siostry na Hanów, że nie opuści Kaszgaru i nie wyjedzie

ani nad Jangcy, gdzie panoszyła się zaraza, ani na bagna Kantonu, bez wahania nas zostawił.

- Musiało być wam ciężko.
- Koszmarnie. - Mahmoud otworzył lodówkę, wyjął kolejne piwo i spojrzał pytająco.
- Jon kiwnął głową.
- Skąd ten brytyjski akcent?
- Wysłano mnie do Anglii. - Mahmoud rozlał piwo do szklanek. - Ojciec mojej matki uważał, że przyda nam się ktoś wykształcony na Zachodzie. Ilekroć mnie aresztują, moi ludzie wpadają w rozpacz. – Wzruszył ramionami.
- Studiował pan w Londynie?
- Tak, w końcu tam trafiłem. Kilka prywatnych szkół, wreszcie London School of Economics. Ale moje wykształcenie raczej się tu nie przydaje.
- Zabrzęczał dzwonek mikrofalówki; jedzenie było gotowe. Mahmoud postawił na stole kilka parujących talerzy i misek i usiadł.- Chcą, żeby pan nimi pokierował, kiedy odzyskacie wolność – rzekł Jon. - Rozumiem, że nie tylko pana wysłano na studia.
- Nie. Oczywiście, że nie. Przez te wszystkie lata studiowało nas kilkudziesięciu, łącznie z moją siostrą.
- Czy świat o was wie? Słyszała o was ONZ?
- Asgar nałożył sobie baranich klopsików, cebuli, papryki, imbiru, marchewki, buraków i pomidorów. Jon poszedł w jego ślady. Z dużej miski nabierali ręką gruboziarnisty ryż z marchwią i cebulą: Asgar maczał go w miseczce z ciemnym sosem, wkładał sobie do ust i zagryzał chrupkim racuchem, który trzymał jak kromkę chleba. Jon zaczął go naśladować i szybko stwierdził, że jedzenie jest pikantne i bardzo smaczne.
- ONZ? - mruknął Asgar z pełnymi ustami. - Oczywiście wie o nas. Nie mamy jednak żadnego poparcia. Ale Chiny muszą się przez nas wstydzić, to już coś. My chcemy ziemi, żeby ją uprawiać i paść bydło. Oni, bo jest bogata. Ropa naftowa. Gaz. Minerale... Smakuje panu baranina?
- Pyszna. Jak nazywacie to coś, ten chleb?
- *Nang.*
- A ryż?
- Asgar zachichotał. Jak na kogoś, kto mówił z taką goryczą, śmiał się bardzo często.- „Ryż, który je się rękami”. - Westchnął. - Dla ludów Azji Środkowej zawsze było tak samo. Parliśmy na zachód, bo byliśmy biedni i szukaliśmy lepszej ziemi, szerszych możliwości. Byliśmy bezwzględni i zawzięci, bo mieliśmy wspaniałych przywódców. Ale z biegiem stuleci nasz czas minął. Było za dużo kłótni, za dużo podziałów, za dużo królestewek rządzonych przez drobnych władców o tycich umysłach. W końcu, w XIX wieku, los się od nas

odwrócił, jak wcześniej czy później odwraca się od wszystkich ludów i narodów. - Spojrzał znad szklanki na Jona. - Pamiętaj o tym, Amerykaninie. Smith bez słowa kiwnął głową. - Najpierw przyszli Rosjanie. - Asgar niespiesznie wypił łyk piwa. - Chodziło im o Indie, ale po drodze zahaczyli o nas. Potem Chińczycy, bo twierdzili, że to ich ziemia. W końcu Anglicy, żeby bronić „swoich” Indii. Nazywali to wielką grą, a wy znowu ją rozpoczynacie. Jediną różnicą dla nas i dla większości świata jest to, że zamiast Anglików mamy na karku Amerykanów.

- A wy, Ujgurzy, co robicie?
- Ha! Zadał pan bardzo ważne pytanie. Oczywiście próbujemy odzyskać swój kraj. A raczej ziemię, bo nigdy nie mieliśmy kraju w europejskim słowa tego znaczeniu. Zawsze byliśmy tylko ludem, narodem.
- Stworzyliście podziemny ruch oporu?
- - Coś w tym rodzaju. Niewielu do niego należy, ale z każdym dniem jest nas więcej. W Xinjiang, w Kazachstanie, w innych miejscach też. Ale, niestety, próbujemy tylko stawiać opór, sprawiać im kłopoty. Jesteśmy sabotażystami i bandytami. Nękamy Hanów. Chińczycy twierdzą, że jest nas tylko siedem, osiem milionów. My twierdzimy, że jest nas trzydzieści milionów. Cóż, nawet trzydzieści milionów na koniach i półciężarówkach nie zdziała wiele przeciwko miliardowi uzbrojonemu w czołgi. Ale musimy walczyć dalej. Zresztą mamy to we krwi. W rezultacie staliśmy się tak zwanym regionem autonomicznym. Na tle ogólnego obrotu to oczywiście bez znaczenia, zwłaszcza że Urumqi jest już chińskim miastem, ale przynajmniej zasłaliśmy im za skórę na tyle, że próbują nas przekupić. Jon wziął sobie dokładkę. - To dlatego powiedział pan Mondragonowi o tym starcu, ojcu naszego go prezydenta? Asgar kiwnął głową.
- Kto wie, kim on naprawdę jest. Ale na pewno jest Amerykaninem, którego Hanowie więżą w tajemnicy od prawie sześćdziesięciu lat. Może ta sprawa zwróci uwagę świata na to, że Chiny nie przestrzegają praw człowieka, że realizują plan systematycznego wyniszczenia mniejszości narodowych, zwłaszcza tych nie chińskich. A nam bliżej do Kabulu i Nowego Delhi niż do Pekinu.
- Wasze nadzieje mogą się spełnić, jeśli ten starzec jest naprawdę ojcem prezydenta.
- Właśnie. - Asgar uśmiechnął się, błyskając zębami.
- Jon odsunął pusty talerz i podniósł szklankę.
- Proszę mi o nim opowiedzieć. Gdzie go przetrzymują?
- W więzieniu pod Dazu. Sto kilkanaście kilometrów na północny wschód od Chongqing.
- Co to za więzienie?
- Więzienna farma. Siedzą tam głównie więźniowie polityczni, których Chińczycy „reedukują”, drobni przestępcy i niedołężni starcy, którzy i tak nie mieliby siły uciec.



- Jest dobrze strzeżona?
- Według chińskich standardów nie. Jest ogrodzona, pełno tam wartowników, ale więźniowie mieszkają w barakach, nie w celach. Prawie nie utrzymują kontaktów ze światem zewnętrznym, mało kto ich odwiedza. Ten starzec ma pewne przywileje: dwuosobowy pokój w baraku, pozwolenie na czytanie książek i gazet, lepsze jedzenie. Ale to wszystko.
- Jak pan się o nim dowiedział?
- Przebywa tam dużo więźniów politycznych. Są wśród nich Ujgurzy, którzy utworzyli sieć informacyjną, żeby wiedzieć, co dzieje się na świecie. Thayer usłyszał o traktacie o przestrzeganiu praw człowieka i wiedząc, że Ujgurzy nienawidzą Chińczyków, powiedział im, kim jest.
- Co o nim wiadomo?
- Niewiele. Nasi mówią, że jest skryty i mało mówi o sobie, zwłaszcza o swojej przeszłości. Pewnie dlatego, że gdyby zaczął, miałby duże kłopoty. Ale z tego, co im powiedział, wynika, że zależnie od wyniku politycznych walk wewnętrznych w Pekinie i od kolejnych teorii „reedukacyjnych”, przez te wszystkie lata zaliczył wiele różnych więzień, od tych o zastrzyżonym rygorze poczynając, na farmach, takich jak ta pod Dazu, kończąc. Moim zdaniem przerzucali Thayera z miejsca na miejsce, żeby odizolować go i ukryć.
- Brzmiało to całkiem logicznie i Jon postanowił zawiadomić o tym Kleina, gdy tylko wydobędzie się z Chin. Jednakże brak znajomości chińskiego nie dawał mu prawie żadnego wyboru. Bez pomocy mógł wyjechać stąd tylko tak, jak wyjeżdżali wszyscy obcokrajowcy: samolotem międzynarodowych linii lotniczych, statkiem, kilkoma pociągami. Ale ponieważ szukali go tajniacy z Biura Bezpieczeństwa Publicznego i tajemnicza grupa z wyspy Liuchiu, lotniska, porty i dworce na pewno były obstawione i pilnowane jak skarbiec. Asgar nie odrywał od niego oczu.
- Jak pan myśli, co wasz rząd z tym zrobi?
- To zależy od prezydenta. A prezydent? Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że nic, bo ma podpisać ten traktat. Podpisze go, a potem przedstawi sprawę chińskim przywódcom.
- A może da cynk prasie, żeby wyrzeć nacisk na Pekin?
- Możliwe. - Jon popatrzył na Asgara. - Tego chcecie, prawda? Rozgłosu.
- Oczywiście. Musimy wreszcie zaistnieć na arenie światowej, dołączyć do innych. A jeśli traktat nie zostanie podpisany?
- Dlaczego pan tak myśli?
- To logiczne. Mondragon nie musiał przyplęwać ukradkiem na Liuchiu, żeby powiedzieć panu o Thayerze. Nie, miał coś panu przekazać, prawda? A pan miał to coś odebrać. Ale zabili go i musiał pan uciekać. Uciekł pan i przyjechał prosto do Szanghaju. Wynika z tego, że napastnicy odebrali wam jakąś przesyłkę i próbuje pan ją teraz odzyskać. Wszystko to razem bardzo cuchnie, a jeśli dodać do tego sprawę traktatu, smród bije aż pod niebo. Traktat jest

ostatecznie najważniejszy i dla USA, i dla Chin.

- Powiedzmy, że ma pan częściowo rację. Jeśli tak... jeśli nasz prezydent dojdzie do wniosku, że z traktatu nici, może wysłać do Chin ludzi, żeby ewakuowali Thayera.
- Rozwścieczeni Chińczycy i rozwścieczeni Amerykanie... media by oszalały.
- Ale jeżeli nie przekażę dokładnych zamiarów Thayera, nic z tego nie wyjdzie i ani pan, ani pańscy rodacy niczego nie zyskają. Można stąd bezpiecznie zatelefonować?
- Nie, to kiepski pomysł. Ubecy na pewno ściągnęli tu namierniki. We wszystkich *longtang* jest tak mało telefonów komórkowych, że opłaca im się podsłuchiwać każdą rozmowę, zwłaszcza że tak bardzo chcą pana dopaść.
- Smith podrapał się w policzek.
- Wystarczyłby zwykły telefon, gdyby tylko mógł pan to jakoś załatwić. Nie powiem nic, co mogłoby nas zdradzić.
- Spróbuję. Ma pan jakiś plan?
- Chiny to rejon działania 7. Floty. Co oznacza, że będę potrzebował waszej pomocy, żeby dotrzeć na wybrzeże.
- Asgar patrzył na niego przez chwilę, potem ściągnął usta, bez słowa zebrał brudne naczynia i zaniósł je do zlewu. Jon wziął kilka talerzy i stanął obok niego.
- Czy wasz rząd zagwarantuje nam, że historia Davida Thayera zostanie w jakiś sposób upubliczniona? - spytał wreszcie Asgar.
- Wątpię. Zrobi to, co będzie leżało w interesie USA.
- A w interesie międzynarodowym leży to, żeby pokazać światu prawdziwe oblicze Chin. Żeby wszyscy wiedzieli, co to oznacza dla Hongkongu i Tajwanu, dla Urumqi i Kaszgaru.
- Jeśli tak, na pewno puszczą tę wiadomość w świat, ale gwarancji nie dadzą, nie z góry. Z drugiej strony, jeżeli nie przekażę mojemu szefowi tego, czego się dowiedziałem, nic z tego nie będzie.
- Asgar przeszył go wzrokiem. Oczy miał jak z czarnego marmuru.- Wątpię. Nie jest pan aż tak ważny. Żaden agent nie ma tak dużych wpływów. Ale może jest pan na tyle ważny, że jeśli nie skontaktuje się pan z szefem, zaczną pana szukać, zamiast dalej negocjować traktat z Chinami. A tego bardzo byśmy nie chcieli. Jon wytrzymał jego spojrzenie.- Rozumiem. Asgar wciąż badał go wzrokiem, jakby chciał sprawdzić, co w nim siedzi, jakim jest człowiekiem. Wreszcie odwrócił się, wlał do zlewu płyn do zmywania naczyń i puścił gorącą wodę, patrząc na rosnącą pianę.
- To nie będzie łatwe, panie pułkowniku. Chiny są krajem bardzo zwartym, homogenicznym, zwłaszcza tu, na wschodzie. Na wsi jest jeszcze gorzej. Tam rzadko kiedy widują obcokrajowców, Ujgurów, a nawet prywatne samochody. Wystarczy byle land-rover i od razu

go zauważą.

- Zauważyłem, że pan świetnie daje sobie radę.
- Bo jesteśmy w Szanghaju. Szanghaj jest inny. Inny nawet od Pekinu. Szanghajczycy bardziej przypominają mieszkańców Zachodu; zawsze tacy byli. Mało co zwraca ich uwagę. Ale na wsi samochód pełen Ujgurów to gwarantowane zbiegowisko. A jeśli zobaczą Ujgurów z białym, od razu zawiadomią policję, może nawet bezpiekę.
- Więc co zrobimy?
- Asgar zmarszczył czoło.
- Ujgura. Zrobimy z pana Ujgura.
- Jestem za wysoki. Moje oczy mają zły kształt i kolor.
- Dorośli Ujgurzy prawie nie przypominają mieszkańców Wschodu. Jesteśmy spokrewnieni z Turkami. - Asgar otaksował go krytycznym spojrzeniem. - Fakt, jest pan wysoki i dobrze zbudowany. Pewnie dzięki temu zdrowemu amerykańskiemu jedzeniu. Ale możemy przyciemnić panu skórę i dodać kilka zmarszczek. No i będzie pan musiał ciągle mrużyć oczy. Przebierze się pan w tradycyjne ujgurskie ubranie, usiądzie wśród nas i trochę się zgarbi. Jeżeli nikt nie będzie się panu za bardzo przyglądał, powinno wypalić.
- Może. Gdzie pan chce jechać?
- Gdzieś na południe, niedaleko.
- Muszę mieć dokładne namiary, inaczej mnie nie znajdą.
- Wiem, ale najpierw muszę porozmawiać z moimi ludźmi. Trzeba ustalić, ilu pojedzie, jakim samochodem, wybrać najbezpieczniejsze miejsce i najlepszą trasę.
- Kiedy wyruszymy?
- Dziś wieczorem. Im szybciej, tym lepiej, bo ci z bezpieki konsultują się jeszcze z władzami, kręcą się, kotłują i gadają.
- Jestem gotowy.
- Jeszcze nie. Najpierw nasze kobiety zrobią z pana Ujgura, a ja i moi ludzie opracujemy plan działania. Niech pan tu zaczeka. Zaraz wracam.
- Gdy Asgar wyszedł, Jon rozejrzał się po ich małej, czteropokojowej kryjówce. Było tam dwanaście sienników, łazienka, cztery kuchenki mikrofalowe i dwie lodówki, duże, wygodne i dobrze zaopatrzone. Chodząc po pomieszczeniach, zdał sobie sprawę, że głosy i kroki, które jeszcze przed godziną dochodziły z tak małej odległości, wreszcie umilkły. Tajniacy odeszli, przynajmniej na razie. Panowała cisza. Wszędzie, zarówno za ścianami, jak i w pozbawionych okien pokojach. Co bardzo mu się nie podobało. Bezpieka zrezygnowała za szybko, za łatwo. Dlaczego? Albo kazano im traktować jego obecność w Chinach jako sprawę delikatną, sprawę, która może wywołać międzynarodowe komplikacje - co oznaczałoby, że chociaż go podejrzewają, nie mają całkowitej pewności, że jest kimś więcej niż tylko zwykłym naukowcem

-albo po prostu czekają na ulicy z nadzieją, że w końcu się pokaże. Albo... albo urządzili mu tylko przedstawienie, bo już go mają. Przecież Asgar Mahmout - i jego domniemani Ujgurzy - mógł pracować dla bezpieki, co tłumaczyłoby jego zainteresowanie traktatem. Jeśli tak, czy ta zamknięta, dobrze zamaskowana kryjówka była pułapką, z której nie miał już wyjść, czy też zamierzali ciągnąć go na wybrzeże, żeby dowiedzieć się wreszcie, co tu tak naprawdę robi? Zamyślony Jon przystanął. Nie. Jednak nie. Uznał, że będą dalej udawali, ponieważ bez mocnych dowodów na to, że jest amerykańskim szpiegiem, jego aresztowanie rzeczywiście doprowadziłoby do międzynarodowego incydentu. Ale jeżeli bawili się z nim w kotka i myszkę, miał jeszcze szansę.

•

# Rozdział 12

**15 września, piątek**

- 
- 
- Siedząc za biurkiem w ciasnym gabinecie w komendzie głównej policji przy Hankou Lu 210, niedaleko Bundu, nachmurzony major Pan Aitu czytał akta, coraz to poprawiając rogowe okulary. Nie żeby w aktach pospolitego przestępcy, zwykłego ulicznika było coś złego czy niezwykłego - po prostu miał taką minę, ilekroć zostawał sam. Łagodny głos i dobrotliwy uśmiech były czymś pod publiczność, podobnie jak konserwatywny garnitur i wesoła muszka; ubierał się tak, uśmiechał i mówił tylko po to, żeby zahipnotyzować siedzącą przed nim mysz. Jowialność też była na pokaz. Pod warstwą tłuszczu na jego ciele były mięśnie, twarde i dobrze wyćwiczone. W czarnej skórzanej kurtce, w brązowej koszuli safari i czarnych dżinsach miał w sobie coś ze złowieszczonego karła, który trafił tu z głębi ziemi. Wciąż pochylał się nad aktami, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zapukał tylko raz, co oznaczało, że w progu stanie zaraz generał Chu Kuairong. - Znaleźliście tego Amerykanina?
- Tak i zgubiliśmy go - odrzekł zde gustowany major. – Spapraliśmy to, bez dwóch zdań. Potrzeba nam lepiej wyszkolonych ludzi, panie generale. Mój zespół obstawił tylko główne wejście do hotelu. Założyli, że ten człowiek czuje się tu obco, że nie zna miasta, że jest idiotą. Musiał wejść i wyjść z hotelu innymi drzwiami.
- Był już kiedyś w Szanghaju? - spytał poirytowany generał. – Nic w aktach na to nie wskazuje.
- Major pokręcił głową.
- Ktoś mu musiał pomagać.
- Ktoś? Jakiś Chińczyk? Wykluczone.
- To jedyne wytłumaczenie - odparł stanowczo major. - Ktoś, kogo najprawdopodobniej zwerbowali. Kiedy dostaliśmy rozkaz aresztowania, kiedy moi ludzie wreszcie poszli po rozum do głowy i obstawili wszystkie wejścia i wyjścia, nawet wtedy nie zdołali go wypatrzeć. Na szczęście mieliśmy kogoś w hotelu i on go zauważył.
- Sfrustrowany generał ciężko westchnął, myśląc -jak zawsze w takich przypadkach - że budżet na rekrutację i szkolenie agentów jest o wiele za mały. Pochylił się na krześle, górując nad biurkiem jak wielki drapieżny ptak. Jego łysina zaśniła w świetle lampy, a spojrzenie małych, głęboko osadzonych oczu przeszło majora jak świder. - Zgubili go? Znowu? Major Pan zdał mu relację ze wszystkiego, co wydarzyło się od chwili, gdy agenci weszli do pokoju Smitha, by stwierdzić, że zostawił tam swoje rzeczy, łącznie z ubraniami, i by następnie ścigać go aż do *longtang* w Dzielnicy Francuskiej. Generał uważnie słuchał i zamyślił się głęboko, gdy opowieść dobiegła końca.
- Wciąż nie wiecie, po co ten niby-naukowiec przyjechał do Szanghaju?

- Nie ma wątpliwości, że Smith jest naukowcem. Jest tym, za kogo się podaje. Nie wiemy tylko, czy nie jest przypadkiem kimś jeszcze. Mimo to nasuwa się kilka logicznych wniosków.
- - Jakich?- Mam na myśli łańcuch wydarzeń, które według mnie tworzą jedno znaczny wzór i skłaniają do tego rodzaju konkluzji. - Major podniósł rękę, wyprostował kołkowane palce i zaczął wyliczać. - Po pierwsze, zniknął niejaki Avery Mondragon, znany amerykański sinolog, który pracował w Szanghaju od kilku lat jako przedstawiciel wielu amerykańskich firm handlowych. Jego współpracownicy twierdzą, że nie ma go od środy. Generał Chu nachylił się jeszcze bardziej. - A w czwartek do Szanghaju przyjechał Smith, tak? Major lekko pochylił głowę.
- Ciekawy zbieg okoliczności, prawda? Po drugie, sprzątaczką pracującą w jednym z gmachów w śródmieściu odkryła zwłoki człowieka w gabinecie Yu Yongfu, prezesa i przewodniczącego zarządu Latającego Smoka, międzynarodowej firmy spedycyjnej z filiami w Antwerpii i Hongkongu. Po trzecie, zniknął sam Yu Yongfu i jego żona. Nie ma ich w domu, a garaż jest pusty.
- Co o nim wiemy?
- Major wskazał otwartą teczkę na biurku.
- Mam tu jego akta. To młody człowiek, który daleko zaszedł i szybko zbił fortunę. Jest zięciem Li Aorong, co dużo tłumaczy. Li jest wysokim urzędnikiem i...
- Osobiście znam i jego, i jego córkę - przerwał mu generał. – To stary, zasłużony członek partii, więc chyba nie sugeruje pan, że...
- Niemniej jego córka i zięć zniknęli, a skarbnik firmy zięcia nie żyje. Został zastrzelony. Czy to kolejny zbieg okoliczności?
- Chu usiadł prosto.
- To był skarbnik? Rozumiem. Interesujące... Szukamy już tego Yongfu i jego żony?
- Oczywiście.
- A jej ojciec?
- Li Aorong zostanie przesłuchany jutro rano.
- Generał kiwnął głową.
- Coś jeszcze?
- W samochodzie na lotnisku Hongqiao znaleziono kolejnego trupa. Młody mężczyzna, pracował jako tłumacz i szofer. Co ciekawe, przez wiele lat studiował w Stanach Zjednoczonych.
- Sugeruje pan, że mógł pomagać pułkownikowi Smithowi?
- Pracownicy hotelu Pokój rozpoznali go na podstawie zdjęcia. Widzieli go w holu zaraz po

przyjeździe Smitha. Podsumowując: znika przedstawiciel amerykańskich firm handlowych. Nazajutrz przyjeżdża pułkownik Smith, ginie skarbnik Latającego Smoka, znikają prezes firmy i jego żona, a wieczorem tego samego dnia na lotnisku znajdujemy zwłoki wykształconego w USA tłumacza i szofera.

- Ma pan jakąś teorię?
- Raczej coś w rodzaju scenariusza wydarzeń - odrzekł ostrożnie major. - Mondragon dowiedział się o Latającym Smoku czegoś, co uznał za ważne dla Amerykanów. Amerykanie przysłali tu Smitha, żeby nawiązał z nim kontakt. Coś poszło nie tak. A ten z lotniska został przydzielony lub zatrudniony przez Smitha jako tłumacz.
- - Jeśli ma pan rację, oznaczałoby to, że... że jest w tym kraju ktoś, kto nie chce, żeby Amerykanie dowiedzieli się o odkryciu Mondragona. Major Pan skinął głową. - Otóż to. Generał sięgnął za pazuchę kurtki w stylu Mao, którą tego dnia nosił, i wyjął długie, cienkie cygaro. Odgryzł koniuszek, przypalił je, powoli obracając i wydmuchał kilka kółek dymu.
- Czy Smith zdobył to, co chciał zdobyć?
- Tego nie wiemy.
- I właśnie tego musimy się dowiedzieć.
- Tak jest.
- Chu wydmuchnął kolejne kółko.
- Jeśli już to zdobył, spróbuje wyjechać z kraju.
- Wszystkie lotniska i porty są obstawione.
- Wątpię. Nasze wybrzeże jest bardzo długie, majorze.
- Smith jest gdzieś tutaj, nie na wybrzeżu.
- W takim razie wie pan, co robić. - Kolejne kółko dymu; tym razem generał wypuścił je szybciej i energiczniej.
- A jeśli tego nie zdobył?
- - Zostanie w Szanghaju i będzie szukał. Chu Kuairong długo myślał. - Nie. Spróbuje wyjechać. Jest spalony, dalszy pobyt byłby bezsensowny. Jest za inteligentny, żeby korzystać ze środków transportu publicznego. Skoro tak, ewakuuje się z wybrzeża prywatną łodzią. Musimy tylko go wytropić, zgarnąć amerykańskich informatorów i agentów, którzy mu pomagają, zatrzymać go, zanim wejdzie na pokład łodzi i – przy odrobinie szczęścia - aresztować tych, którzy pospieszyli mu na pomoc. - Generał wydmuchnął kłęb dymu i wreszcie się uśmiechnął. - Tak, tak będzie najlepiej. Szczegóły pozostawiam panu, majorze. Niech pan to zorganizuje. Poruszył się fragment ściany, Przebrawszy się ponownie w czarny sweter, czarne dżinsy i miękkie czarne buty, Jon patrzył, jak ktoś z zewnątrz odsłania wejście do kryjówki. Czekał. Za plecami trzymał berettę. Do środka wszedł Asgar. Wszedł i odwrócił się, żeby pomóc trzem kobietom o poważnych twarzach. Były w nierzucającym się w oczy ubraniu - luźne

spodnie, dzinsy, koszula, bluzka, sweter, podkoszulek, lekka marynarka. Dwie z nich niosły kufarki z przyborami do makijażu, a trzecia jakieś zawiniątko. Były dość wysokie i szczupłe i miały gęste, lśniące, czarne włosy. Najwyższa była ta z zawiniątkiem. Pociągnęła twarz, związane na karku włosy, dołeczek w podbródku, lekki uśmiech na ustach, pięknie rzeźbione policzki - wiedziała, że jest śliczna, i zdawało się, że bardzo ją to bawi. Tuż za nimi weszli dwaj mężczyźni. Asgar zerknął na nich i powitał Smitha skinieniem głowy.

- Widzę, że przebrał się pan w robocze ubranie.
- Pomyślałem, że tak będzie lepiej - odrzekł Jon.
- Ta wysoka i piękna miała na sobie dzinsy, podkoszulek i marynarkę. Otaksowała go spojrzeniem, uśmiechnęła się jeszcze szerzej i płynną amerykańszczyzną spytała:
  - Czy tak ubierają się teraz wszyscy mężczyźni w Waszyngtonie? To najnowsza moda?
  - Tak, ale tylko wśród agentów - odparł z uśmiechem Jon.
  - Jeden z mężczyzn powiedział coś do Asgara w języku podobnym do języka Uzbeków z Sojuszu Pomocnego w Afganistanie. Asgar odpowiedział i przetłumaczył to Smithowi.
  - Toktufan spytał, gdzie pan ukrył pistolet. Powiedziałem, że pewnie za paskiem, z tyłu, pod swetrem, że nóż ma pan w pochwie na nodze.
  - Ciepło. Bardzo ciepło.
  - Ten drugi to Mierkanmilia. A ta wysoka dziewczyna, która mówi jak rodowita jankeska, to Alani, moja siostra. Ona i jej przyjaciółki zrobią z pana Ujgura. Przyniosły też ubranie.
  - A co wy będziecie robić?
  - Myśleć, jaką wybrać trasę, jak zorganizować transport i jak stać się na powrót Ujgurami. - Dał znak kolegom. - Zostawiamy pana we wprawnych rękach Alani. - Wyszli. Fragment ściany wrócił na miejsce.
  - Kobiety zaczęły się naradzać. Dwie, których imienia Jon nie znał, zasypywały Alani gradem pytań. W końcu Alani spojrzała na Smitha. - Niech pan usiądzie, pułkowniku. - Wskazała mu krzesło. - I zdejmie sweter. Jon ściągnął sweter. Pod spodem miał czarny bawełniany golf. - Nie za ciepło panu? - prychnęła Alani. - Czy muszę prowadzić pana za rączkę? Jon wybuchnął śmiechem. Ku jego zaskoczeniu, ona też i zrozumiał, że naśladuje amerykańską nauczycielkę. Był to taki mały, prywatny żart. Żart w tej sytuacji niezwykle, bo ryzykowała dla niego życie. Zdjął golf i gdy spojrzała na jego nagą pierś, zobaczył błysk zainteresowania w jej oczach. - Różnicie się od waszych rodaków - rzucił z uśmiechem. - Pani i pani brat. Roześmiała się cicho i dała znak koleżankom, które też śmiały się, szeptały do siebie i zasłaniając sobie usta rękami, patrzyły, jak Jon się rozbiera. Szybko podeszły bliżej i zaczęły pokrywać mu twarz jasnobrązowym podkładem.
  - Dlatego że mówimy po angielsku? - Alani stanęła z boku i przyjrzała mu się krytycznie.
  - Tym też. I zagranicznym wykształceniem. Mówi to dużo o waszej historii i o planach na



przyszłość.

- Wie pan, że naszym ojcem był Chińczyk?
- Tak. Ale zdaje się, że niewiele to dla was znaczy.
- Fakt, tyle tylko, że pochodzenie daje nam pewną przewagę nad innymi Ujgurami. Ale są i minusy, bo przecież mogliśmy to wykorzystać. Nigdy tego nie zrobiliśmy, a oni nigdy nie sugerowali tego na głos, lecz podświadomie tak myślą.
- Między jej koleżankami, które wymachiwały długimi, wąsko zakończonymi pędzelkami, wskazując jego oczy i brwi, wybuchła sprzeczka, mimo to dotyk pędzelków wciąż był delikatny, przypominał laskotliwe muskanie. Alani rzuciła coś głośno i gniewnie. Kobiety błyskawicznie zripostowały, przestały zwracać na nią uwagę i powróciły do zażartej dyskusji na temat technik i estetyki makijażu. Poirytowana Alani pokręciła głową i spojrzała na zegarek. - Jaką daje wam to przewagę? - spytał Jon. Alani wciąż patrzyła na kłócące się koleżanki i zdawało się, że go nie usłyszała. - Nasza matka jest córką jednego z przywódców ujgurskiego rządu na uchodźstwie - mają siedzibę w Kazachstanie - dlatego Ujgurzy traktują nas jak kogoś bardzo ważnego. Właśnie nasz dziadek wysłał nas na studia. Warknęła na koleżanki i postukała w zegarek. Dziewczyny wreszcie zaczęły malować mu oczy. - Ponieważ cieszymy się wśród Ujgurów poważaniem i ponieważ nasz ojciec jest Hanem, Chińczykiem? ci z Pekinu wykombinowali sobie, że przydalibyśmy się im jako pożyteczni przywódcy i apologety, że mogliśmy namówić nasz lud do pogodzenia się z losem, do asymilacji, do rezygnacji z naszego dziedzictwa. Dopóki myślą, że idziemy na wspólną pracę, możemy cieszyć się różnymi przywilejami. To dobra przykrywka. Mamy chińskie dokumenty, możemy podróżować po całym kraju, a nawet mieszkać na terenach zdominowanych przez Hanów. Oczywiście obserwują nas, tak, ale dopóki na niczym nas nie nakryją, prawie całe Chiny stoją przed nami otworem. - Asgar mówi, że bywa na policji częstym gościem. Alani kiwnęła głową.
- I bardzo nas to martwi. Brat jest dobrym człowiekiem i jak dotąd nie wpadł jeszcze w poważne kłopoty. Trzymamy za niego kciuki.
- Próbuję umiejscowić pani akcent. Gdzie pani studiowała?
- Mieszkałam u rodziny w New Jersey. Chodziłam tam do prywatnej szkoły, potem studiowałam na uniwersytecie w Omaha w Nebrasce. Wschodnie Wybrzeże i środkowy zachód: to cała ja, mieszanka doskonała. Mogłam spokojnie studiować i nauki polityczne, i rolnictwo.
- I zostać dobrą przywódczynią ludu żyjącego z uprawy roli. Jej dziadek umiał myśleć perspektywicznie.
- A jako kierunek pomocniczy wybrała pani taktykę wojny partyzanckiej?
- Ja nie. Asgar - odrzekła z uśmiechem. - Kiedy w Afganistanie siedzieli Rosjanie, wasza CIA chętnie szkoliła każdego muzułmanina, który chciał z nimi walczyć i wstąpić do Sojuszu Północnego. Nie odróżniali jednego od drugiego, brali nawet Tadżyków.
- Kobiety wreszcie skończyły. Głośno cmokając z zachwytem nad swoim dziełem, cofnęły się o krok, uśmiechnęły do Alani i zaczęły pakować tubki, butelki, słoiczki i pędzle. Potem,

odwracając się co krok, żeby jeszcze raz popatrzeć na Jona, podeszły do ściany i jedna z nich zastukała w nią ręką sztyletu, który wydobyła spod ubrania. Alani sięgnęła po lusterko. - Niech się pan przejrzy. Nowa, trochę lepka i bardzo niewygodna maska wywarła na nim duże wrażenie. Oczy miał teraz głębiej osadzone, skórę jasnobrązową i poorly zmarszczkami od wiatru i słońca. Tak, gdyby jeszcze zmrużył oczy, w ciemności mógł uchodzić za Ujgura.

- Kiedy usiądzie pan wśród nas, nikt pana nie rozpozna.
- Miejmy nadzieję, że nas nie zatrzymają.
- Zatrzymają, na sto procent. Ale mamy Asgara, moje dokumenty i fałszywe papiery dla całej grupy, więc nie powinno być kłopotów. Oby tylko nie kazali nam wysiąść z samochodu. - Ponownie zerknęła na zegarek. - Zaraz wróć. Niech pan się przebierze. - Powiedziała a to z nutką niecierpliwości w głosie, jakby czas płynął za szybko, a tamci się spóźniali.
- Jej zniecierpliwienie było zaraźliwe.
- Co pani robi w Szanghaju? - spytał. - To znaczy oficjalnie.
- Uczymy się, żeby potem nauczać nauczycieli. Ale tylko Asgar i ja. Inni szkolą się na sołtysów, na agentów Pekinu. Pozostali działają w podziemnym ruchu oporu.
- Jon wyjął z zawiniątka luźne sztruksowe spodnie i włożył je na dzinsy.
- To niebezpieczna gra, Alani. Dla was wszystkich.
- Wiemy, co nam grozi. Aresztowano już tysiące Ujgurów, ponad stu z nich stracono. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Gra? Może dla pana i dla CIA, ale nie dla nas.
- Znoszona, wygnieciona, biała koszula była trochę za mała, zwłaszcza że miał na sobie sweter, ale ta, którą włożył na wierzch, trochę większa, flanelowa, pasowała w sam raz.
- Nie pracuję w CIA - odparł. - I nigdy nie było to dla mnie grą.
- Alani przekrzywiła głowę.
- Nie, chyba nie - odrzekła.
- Nie spytaliście mnie nawet, dlaczego tu jestem, po co przyjechałem. Wprawdzie nie zamierzam wam powiedzieć, ale...
- Tego, czego nie wiemy, nikt z nas nie wyciągnie. Jest pan przeciwko Chińczykom albo pomaga pan doprowadzić do podpisania układu o przestrzeganiu praw człowieka. To nam wystarczy.
- Rozmowę przerwał im głośny chrobot cegły pocieranej o cegłę. Asgar precyzyjnie się do środka, zanim przejście całkowicie się otworzyło. Był w grubym ubraniu wieśniaka i wysokich pasterskich butach. Pod słomkowym kapeluszem miał ozdobną białą czapkę. Przyjrzał się Jonowi z daleka, potem podszedł bliżej.

- W kiepskim świetle może być. - Spojrzał na siostrę. - Jesteśmy gotowi.
- Dokąd jedziemy?-spytał Smith.
- Asgar stanął przy stole, przy którym jedli kolację. Rozłożył na nim mapę okolic Szanghaju i wskazał punkt na południe od miasta.
- Między Jinshan i Zhapu zatoka Huangzhou jest trochę szersza. Nad zatoką jest wzgórze, a na wzgórzu opuszczona pagoda. Wybrzeże kamieniste, lecz są tam i ładne plaże. Też kamieniste, ale całkiem niezłe. Nas interesuje ta tutaj. Jest dłuższa i szersza od pozostałych.
- Jak tam głęboko?
- Nie wiem, ale Toktufan mówi, że mała łódź na pewno dobije. Kiedyś tam łowił.
- Dobra. - Jon wyjął z plecaka czarną plastikową torebkę, a z torebki szczegółową mapę okolic miasta naniesioną na zdjęcie satelitarne. Sprawdził głębokość wody, kazał Asgarowi wskazać plażę i pagodę, i zapisał współrzędne w małym wodoodpornym notesie. Skończywszy, zwinął i schował mapę.
- - Niech pan nie zapomni o kapeluszu - przypomniała mu Alani. Smith włożył białą obcisłą czapkę i słomkowy kapelusz z rondem. Kobiety podeszły do otworu w ścianie. Jon ruszył za nimi. - Nie - zatrzymał go Asgar. - My wyjdziemy innym wyjściem. Gdy zostali sami i fragment ściany wrócił na miejsce, przeszli do ostatniego pokoju. Asgar odepchnął łóżko i podniósł linoleum, odsłaniając wąski otwór.
- Tędy.
- Zmieszczę się? - spytał niepewnie Jon.
- Na dole się rozszerza. Chyba nie ma pan klaustrofobii.
- Nie.
- - Pójdę przodem. Spokojnie, staruszk, to bułka z masłem. - Asgar usiadł, spuścił nogi do otworu i skoczył. Smith poszedł w jego ślady, z trudem przeciskając się przez otwór. W nozdrza uderzył go stęchły odór ziemi i kamieni - cuchnęło tam jak w grobie. Ocierając sobie ramiona, ześlizgnął się na dno ciemnego, wilgotnego, zabezpieczonego drewnem tunelu i w miejscu, gdzie tunel ponownie się zwężał, zobaczył światło latarki i stopy Asgara. - Przechodzili tędy grubszy od pana - dobiegł go przytłumiony głos. - Niech pan patrzy na światło i moje nogi. To tylko dwadzieścia pięć metrów. Światło zaczęło się oddalać, nogi zniknęły w zapyłonym mroku. Smith po raz pierwszy w życiu zrozumiał, czym jest klaustrofobia, co znaczy oddychać, gdy ma się wrażenie, że oddychać nie ma czym, że za chwilę wszystko się zawali i pogrzebie go żywcem. Ścisnęło go w płucach, w głowie zadudniła krew. Zmusił się do oddychania i pływania. Oddychać i pływać za nogami Asgara. Zdawało się, że czarny tunel połyka go i pożera. Czas stanął w miejscu. Wreszcie zmieniło się powietrze. Było teraz gęste i smrodliwe. Zaczął się dusić, dyszeć jak wyrzucona na brzeg ryba. - Szybko - ponaglił go Asgar i wstał. Byli w ciemnej studziennie na końcu cuchnącej alejki - Jon nie pamiętał piękniejszego widoku. Asgar

potruchtał przodem, a on - ciężko sapiąc - pobiegł chwiejnie za nim. Otwarta żelazna brama, ulica i dwa land-rovery. Ktoś wciągnął go do tego drugiego i posadził na podłodze; z samochodu wyjęto tylne fotele. Tuż obok wcisnęło się trzech mężczyzn i dwie kobiety. Rozpoznał Toktufana, Mierkanmilię i specjalistki od makijażu. Pozostałych nie znał. Wszyscy byli w tradycyjnych ujgurskich ubraniach. Alani siedziała na fotelu pasażera, Asgar prowadził.

- Po co dwa samochody? - szepnął.
- Dla zmyłki. Na wypadek gdyby obserwowala nas policja.
- Pierwszy land-rover, z podobnym kompletem pasażerów, odpalił silnik i odjechał. Oni czekali. Ruszyli dopiero pięć minut później i pokonawszy labirynt mrocznych o tej porze ulic, dotarli do dobrze oświetlonej drogi, gdzie ruch był nieco większy. Asgar zerknął przez ramię. - Pojedziemy autostradą Huhang. Będziemy rzucać się w oczy jak Murzyn na śniegu: ośmioro kmiotków z Xinjiang w drodze na południe. Ha! Będziemy jak ci z Oklahomy w latach trzydziestych. Oby wzięli nas za idiotów, nie za bandytów. Jeśli nie śledzi nas bezpieka albo jeśli pojechali za tamtym land-roverem, może nam się udać.

# Rozdział 13

## **Autostrada Huhang, Chiny**

- 
- 
- Pod czarnym niebem krajobraz był pełen cieni i rozchwianych mgieł. Zatrzymali się w Gubei w dzielnicy Changning, skąd Jon zatelefonował do przedstawiciela pewnej firmy handlowej w Hongkongu i po francusku omówił z nim szczegóły kontraktu - kontraktu jak najbardziej prawdziwego, gdyby ktoś chciał to sprawdzić. W rozmowie przemycił szereg niewinnie brzmiących słów, układających się w zakodowane żądanie natychmiastowej ewakuacji i podających dokładne współrzędne geograficzne. Człowiek, z którym rozmawiał, miał przekazać tę wiadomość Fredowi Kleinowi.
- Linia była chyba czysta, bez podsłuchu - rzucił, gdy land-rover ponownie wjechał na wyboistą drogę przez pagórkowaty, skalisty teren.
- Nie - odrzekł Asgar. - Podsłuchiwali was. Podsłuchują każdą za miejscową, zwłaszcza do Hongkongu. Dobrze tylko, że siedzą tam zwykle urzędnicy, że to dla nich rutyna. Rzadko kiedy kogoś łapią, chyba że facet gada, co mu ślina na język przyniesie. Ci z bezpieki wiedzą, że pan tu jest, i tym razem na pewno ogłosili alarm. Ale jeśli pański kontakt ma dobrą, solidną przykrywkę, może się panu udać.
- Jon aż się skrzywił.- Wielkie dzięki.Zanim wyjechali z miasta, dwukrotnie zatrzymywano ich do rutynowej kontroli. Za każdym razem ich widok wywoływał rozbawienie wśród policjantów, za każdym razem przepuszczano ich dalej. Jon zaczynał się powoli odprężyć. Pół godziny później, pokonawszy mniej więcej połowę drogi do Hangzhou, byli już na autostradzie, gdzie o tej porze panował mały ruch. Po kilku kilometrach, pod Jiaying, skręcili w dwupasmówkę biegnącą na południowy wschód, do wybrzeża Morza Wschodniochińskiego.Ruch nie ustawał tu nawet o tej najczarniejszej godzinie, tuż przed świtem: samochodów osobowych było niewiele, za to ciągnął sznur półciężarówek wyładowanych niebezpiecznie wysokimi stosami produktów. Drobniejsi handlarze jechali rowerami, ciągnąc za sobą wózki z towarami do sprzedania w Szanghaju.Asgar prowadził pewnie, lecz powoli, nie chcąc zwracać na siebie uwagi.- Jeśli nas obserwują, zaczekają, aż dojedziemy na plażę i rozpocznie my akcję. Zechcą schwytać i nas, i tych, co po pana przyplyną. Ale mamy czas, nie warto pędzić i ryzykować. Zresztą kto wie, może nikt za nami nie jedzie.Jon usiadł wygodniej i zamknął oczy. Wszyscy oprócz Asgara drzemali, budząc się od czasu do czasu. Czuć było zapach morza i kwaśny odór bijący z bagien.W Zhapu skręcili na północny zachód, na Jinshan. Tu, na wybrzeżu, ciężarówki i rowery jechały w obu kierunkach naraz, na północ do Szanghaju i na południe do Hangzhou. Wyprzedziło ich kilka radiowozów, lecz policjanci nie zwracali na nich uwagi, uśmiechając się tylko na widok grupy biednie ubranych ówków.Wreszcie zjechali na pobocze, żeby Asgar i Alani mogli ustalić, gdzie są. Zaświecili latarkami i przez chwilę patrzyli na mapę. Alani obejrzała się, powiedziała coś po ujgursku i usiadł między nimi Toktufan. Rozgorzała ożywiona dyskusja: Toktufan pokazywał to na mapę, to przed siebie, Alani chyba próbowała wypytać go o dokładne położenie pagody.Podała mu ołówek. Toktufan wzruszył ramionami, machnął ręką i ponownie wskazał przed

siebie, Najwyraźniej tylko on wiedział, dokąd jada, lecz drogę znał na pamięć i nie potrafił wskazać jej na mapie, co bynajmniej nie podniosło Jona na duchu. Ani Jona, ani Asgara i jego siostry. Klnąc pod nosem po ujugursku, Asgar włączył się do ruchu i pojechali dalej. Toktufan siedział między nimi i patrzył w mrok.

- Na pewno znajdzie tę plażę? - spytał Smith.
- Znajdzie - odrzekła Alani. - Pytanie tylko kiedy.
- Wkrótce świt.
- Odwróciła się do niego z kpiącym uśmiechem na ustach.- Chyba nie chce pan, żeby zrobiło się nagle nudno. Prawda, panie pułkowniku? Nie ma to jak podniecenie i przygoda. Dlatego został pan agentem? A propos, jeśli nie pracuje pan w CIA, to gdzie? Jon omal nie zaklął. Po cholerę jej o tym wspominał?
- W Departamencie Stanu.
- Doprawdy? - Badała go wzrokiem, jakby dobrze wiedziała, jak taki agent wygląda. Zresztą może i wiedziała.
- Uwaga! - wychrypiał nagle Asgar.
- Daleko przed nimi pojawili się mundurowi. Blokada. Kolejny punkt kontrolny.- Toktufan, do tyłu! - warknął Asgar. Zwolnili. Toktufan przecisnął się między fotelami i ponownie usiadł na podłodze. Land-rover sunął powoli za długim, wijącym się jak wąż rzędem półciężarówek, starych samochodów osobowych i rowerów. Wszyscy kierowcy okazywali dokumenty policjantom na początku kolejki. Dowodzący nimi oficer opierał się sennie o maskę radiowożu, ziewał i od czasu do czasu wydawał szczepliwie jakieś rozkazy. Lecz jego podwładni nie próżnowali. Sprawdzali papiery i bez względu na to, czy przewożony ładunek był mały, czy duży, zaglądali pod okrywającą go płachtę. Gdy stanął przed nimi land-rover, dowódcę zatkało. Wyprostował się czujnie i coś powiedział. Policjanci wybałuszyli oczy, gapiąc się na siedzących w samochodzie ośmioro ludzi. Jeden zaczął oglądać dokumenty, które podała mu Alani, drugi uśmiechnął się z rozbawieniem. Oficer zagadał coś do niego, podszedł bliżej, odebrał mu papiery i zaczął je przeglądać, zerkając to na Alani, to na Asgara. Alani posłała mu uśmiech. Zalotny, niemal uwodzicielski. Chińczyk szybko zamrugał i wytrzeszczył oczy. Jon skulił się jeszcze bardziej, żeby się nie wyróżniać wzrostem i budową ciała. Ujgurzy natarli na niego ze wszystkich stron, próbując go zasłonić. Jeden z policjantów powiódł światłem latarki po ich twarzach i powiedział coś po chińsku. Ujgurzy. Dowódca, który wciąż nie mógł oderwać wzroku od Alani, kiwnął głową, wydał rozkaz i jego podwładni zajęli się czekającymi z tyłu rowerzystami. Oficer uśmiechnął się i dał ręką znak. Mogli jechać dalej. Gdy ruszyli, Smith z trudem powstrzymał się od zerknięcia za siebie. Wszystkim ulżyło, wszyscy głęboko odetchnęli. Noc ponownie otuliła samochód całunem anonimowości, mogli się więc uśmiechnąć i trochę między sobą poszeptać. Ale Jon nie uśmiechał się ani nie szeptał.
- Oni tak często? - spytał.
- Czasem odbija im w mieście, tutaj raczej nie.

- Bezpieka kazała im kogoś szukać.
- Asgar kiwnął głową.
- Ale nie Ujgurów.
- Amerykanina - dodał Jon. - Kogoś takiego jak ja.
- Co znaczy, że nie wiedzą, gdzie i z kim pan teraz jest i co pan zamierza. Gdyby wiedzieli, obstawiliby już całe wybrzeże.
- Pewnie myślą, że chcę stąd zwać, inaczej nie wysłaliby policji tak daleko od Szanghaju.
- - Nic dziwnego. Każdy spalony agent robi wszystko, żeby dać nogę. Jon pokręcił głową. Ktoś z Biura Bezpieczeństwa Publicznego rozgryzł jego plany i wokół miasta zaroilo się od policji. Niewykluczone, że w pogotowiu czekały łodzie patrolowe i myśliwce. Łodzie specjalnie go nie martwiły, ale myśliwce to zupełnie inna sprawa. Jednakże już po chwili musiał pomyśleć o czymś innym. Toktufan pochylił się do przodu, powiedział coś i energicznie wskazał ręką w lewo. Jon wyteżył wzrok i za głowami siedzących wokół niego Ujgurów mignął mu wąski budynek na szczycie wysokiego wzgórza. Miał podkręcony dach tak jak chińska pagoda. Grupa natychmiast się ożywiła. Asgar gwałtownie skręcił w stronę morza. Land-rover zjechał z turkotem do niewidocznego od drogi parowu i stanął pod rozłożystą wierzbą. Zgasł silnik, zapadła głucha cisza. Przez chwilę siedzieli nieruchomo, wsłuchując się w nią, jakby zaskoczeni, że hałas nagle ustał. Potem, oszołomieni długą, męczącą podróżą, wysiedli sztywno i przykucnęli wokół Asgara i Toktufana. Zewsząd otaczały ich drzewa i krzewy zalane bladym światłem księżyca. Asgar mówił po ujgursku, Toktufan przerywał mu od czasu do czasu, wtrącając jakąś uwagę i pokazując ręką to tu, to tam. Gdy skończyli, jedna z kobiet wstała i ruszyła przez chaszczę w kierunku drogi nad parowem. - Asgar wysłał Fatimę do pagody - powiedziała Alani. - Fatima ma lampę z osłoną. Postawi ją w oknie, tak że światło widać będzie tylko od morza. - Ruchem głowy wskazała wybrzeże. - Plaża jest jakieś pięćset metrów w prostej linii od pagody. Zwykle nikogo tam nie ma, zwłaszcza o tej porze, ale czasami łowią tu nocą ryby i kraby. Poza tym policja może obserwować teren przez noktowizory.
- W takim razie powinniśmy wyruszyć dopiero w ostatniej chwili.
- Tak, kiedy Fatima zapali lampę. Mamy broń.
- Czekali w grupie, przycupnąwszy pod wysokimi, gęstymi drzewami. Każda sekunda wlokła się jak minuta, każda minuta jak godzina. Słysząc było tylko przytłumiony szept zdenerwowanych, śmiertelnie poważnych Ujgurów. Zajęta własnymi myślami Alani milczała. Raptem na tle nocnego nieba rozbłysło małe światełko. Jak spod ziemi wyrósł przed nimi Asgar. Powiedział coś cicho po ujgursku i spojrzał na Jona.
- Już pora. Nie jestem pewien, ale chyba słyszałem coś, przechodząc przez drogę. Nic nie widziałem, mam nadzieję, że się mylę. Nie warto ryzykować. Nie wiemy, jak daleko od brzegu są pańscy ludzie i czy w ogóle tam są. Mimo to lepiej się pospieszmy.
- Są tam - odparł Smith. - Już czas.

- Toktufan potruchtał przodem, przemykając między krzewami jak zjawa. Tuż za nim biegli uzbrojeni Ujgurzy, za nimi zaś Jon z berettą w rękę. Asgar i Alani ubezpieczali ich od tyłu. Zdawało się, że płyną w powietrzu, unoszą się nad chaszczami jak mgła, jak duchy. Jon usłyszał wreszcie szum łamiących się fal. W twarz powiała mu słona bryza. Za skrajem linii drzew i krzewów była niska, porośnięta kępami trawy skarpa, za którą ciągnęła się wąska, kamienista plaża. Przykucnęli w chaszczach. Czekali. Księżyc tonął w czarnym morzu, malując na wodzie srebrzysty szlak. Lekko kołysały się drzewa, szumiały liście. Wtem na morzu błysnęło światło. Raz, drugi i trzeci. Znowu zapadła ciemność i raptem z ciemności tej doszedł jakiś dźwięk. Jakby ktoś się potknął. Tak, ktoś gniewnie mruknął, potem zaklął. - Na dół! - szepnął Smith i stoczył się ze skarpy. Alani wydała rozkaz Ujgurom. Zanurkowali w dół, zalegli pod skarpą i w tej samej chwili spomiędzy drzew gruchnęły pierwsze wystrzały. Kule ryły piach, siekały fale. - Czekaście! - krzyknął Jon. - Niech wyjdą zza drzew! Alani przetłumaczyła to na ujgurski. Nikt nie wpadł w panikę. Czekali spokojnie, z chłodnym poczuciem nieuchronności. Gruchnęła kolejna salwa i Smith dostrzegł jakiś ruch między drzewami po lewej stronie. Wycelował i wypalił. Z ciemności buchnął krzyk. Trafił, tylko kogo? Wystrzelił któryś z Ujгурów, potem ktoś jeszcze i zapadła cisza. Nie słychać było ani krzyku, ani tupotu nóg, ani trzasku gałęzi. Asgar zaklął po ujgursku i wydał gniewny okrzyk. Spomiędzy drzew naprzeciwko znowu padły strzały, tym razem mniej liczne, bardziej chaotyczne, i Jon zobaczył, że tamci wybiegają na otwartą przestrzeń, że pędzą w stronę wysokich traw na brzegu. - Zachodzą nas z lewej! - Czy to ci, którzy napadli ich na Liuchiu? Którzy nakryli go w domu Yu Yongfu? Znowu Feng Dun i jego ulubiona taktyka? Nie miał czasu na dalsze analizy. Bez względu na to, kim ci ludzie byli, przewyższali ich liczebnością i podchodzili coraz bliżej. Widział ich coraz wyraźniej, coraz lepiej, widział, jak wychodzą zza drzew. Musieli dostrzec ich i Ujgurzy, bo otworzyli celny, śmiertelnie skuteczny ogień, który przygnoił napastników do ziemi. Przycupnął przy nim Asgar.
- Przez jakiś czas damy radę ich powstrzymać - szepnął mu do ucha zdenerwowany i zdyszany. - Ale jeśli jest ich więcej i ruszą na nas z lewej, będziemy musieli wiać, zanim odetną nam drogę.
- Słusznie - odrzekł Smith. - Dużo dla mnie zrobiliście, dzięki. Mam u was wielki dług. Kiedy będziecie musieli, natychmiast ruszajcie.
- A pan?
- Nie mam pojęcia, kto to jest, ale chodzi im tylko o mnie.
- Myśli pan, że to niebezpieka?
- Nie wiem, ale wszystko jedno.
- Dla nas nie.
- Jon zrozumiał.
- Jeśli to bezpieczka, spróbuję ich zatrzymać, dopóki...
- Kolejna salwa, ponownie z lewej strony. Ujgurzy przywarli do ziemi i odpowiedzieli ogniem, lecz strzelając w lewo, odsłonili się od przodu. Zatupotały ciężkie buciory - tamci



wypadli z za drzew i już pędzili przez piach w kierunku skarpy. Jon, Asgar, Alani i pozostali byli otoczeni.

- Uciekajcie! - warknął Smith. - Poddam się.
- Asgar się wahał, nie wiedział, co robić.
- Nie możemy go tak zostawić! - krzyknęła Alani.
- Chodź z nami, Jon! - szepnął jej brat.
- Ale zanim Smith zdążył podjąć decyzję, ponownie rozpętała się strzelanina i pasmo wysokiej trawy między skarpy i linią drzew skosił grad kul. Z ciemności buchnął ścinający krew w żyłach krzyk. Jon i Asgar odwrócili się i ujrzeli czarne sylwetki ośmiu żołnierzy, którzy szli od brzegu równą tyralierą, prując nad ich głowami z automatów. - Cholera, to nasi, to oddział SEAL! - rzucił z uśmiechem Smith. - Najlepsi z najlepszych! Alani podała tę wiadomość dalej. Ujgurzy ponownie otworzyli ogień, mierząc w tych, którzy próbowali zająć ich z flanki, i już po chwili napastnicy wycofali się, wrzeszcząc i klnąc. Jeden z żołnierzy wybiegł z wody i przykucnął obok Jona. Muskularny, o szerokich barach, twarz miał pokrytą czarnym, tłustym smarem.
- Orchidea.
- Miło, że wpadliście - odrzekł Smith.
- Porucznik Gordon Whelan. Cieszę się, że zdążyliśmy. Lepiej się pospieszmy. Widzieliśmy łódź patrolową, pewnie jest ich więcej. Wiedzą już, że coś się święci. Czy pańscy ludzie sobie poradzą?
- Asgar kiwnął głową.
- Bez problemu, jeśli tylko dacie nam osłonę.
- Nie ma sprawy. Ruszajcie.
- Asgar zwołał Ujgurów. Nie czekając na pożegnanie, nisko pochyleni wycofali się plażą w prawo i zniknęli w ciemności. Żołnierze osłaniali ich tak gęstym ogniem, że przygniecenii do ziemi napastnicy nawet tego nie zauważyli. - Niech pan wsiada, panie pułkowniku - rzucił porucznik. - Musi pan wiać, i to szybko. Jon podbiegł do czekającego na brzegu pontonu. Wokoło szumiały wzburzone fale. Gdy wsiadł, czterech żołnierzy załogi poszło w ciemność kilka krótkich serii, odepchnęło ponton, wskoczyło nań, chwyciło wiosła i wprawnie odpłynęło. Pozostali czterej, łącznie z porucznikiem Whelanem, wciąż osłaniali ich z brzegu. Potem zapadła cisza. Łąd powoli zniknął w ciemności. Widać było jedynie kilka mrocznych sylwetek ludzi, którzy stali nad wodą z opuszczoną bronią, spoglądając bezradnie na morze. Jon wsłuchiwał się w cichy szum fal omywających rozkołysany ponton. Serce wciąż waliło mu jak po ciężkim biegu. Płynęli. Byli coraz dalej od brzegu. Żołnierze milczeli. Wiedział, że myślą o kolegach. Że się o nich martwią. Martwił się o nich i on. Wreszcie, gdy pokonali mniej więcej czterysta metrów, z wody wychyły nagle cztery czarne kształty. Burt pontonu uczepliły się ręce.

Żołnierze rzucili wiosła i wciągnęli kolegów na pokład. Porucznik Whelan wdrapał się jako ostatni. Przeliczył podwładnych i kiwnął głową.- Wszyscy. Dobra robota, chłopcy. Nie powiedział nic więcej. Odezwał się dopiero kilkadziesiąt metrów dalej, gdy czarne morze na północ od nich przecięła smuga jaskrawego światła. Omiatała wodę ponad dwie mile dalej, ale szybko się zbliżała.- Zaraz macz zauważą. Mechanik, odpalaj. Jeden z żołnierzy włączył zewnętrzny silnik i ponton wystrzelił przed siebie, podskakując na falach jak dziecięca zabawka. Smith przytrzymał się burty. Rozbryzgi wody mile chłodziły mu spoconą twarz, mimo to nie odrywał wzroku od nadpływającej łodzi. Była coraz bliżej i bliżej, wyraźnie szukała celu. Szperacz jeszcze ich nie wymacał, ale kiedy tylko wymaca...I nagle zobaczył wielki, czarny kształt leżący na wodzie jak morski potwór. Okręt podwodny. Dzięki Bogu, że amerykański. Szperacz namierzył ich w chwili, gdy dobijali do burty. Gruchnęła seria wystrzałów i kule rozsiekały ponton na strzępy. Ale żołnierze byli już na pokładzie, już ciągnęli Jona w stronę włazu.- Na dół! - ryknął ktoś z mostka. - Opuścić pokład! Reflektor łodzi patrolowej wymacał ich i znieruchomiał, przeraźliwie zawyła syrena. Okręt zaczynał się zanurzać. Żołnierze dopadli włazu, wpełchnęli doń Jona, wskoczyli do środka i zatrzasnęli pokrywę, którą już zalewały fale. Na pokładzie łodzi zadudnił ciężki karabin maszynowy, lecz kule odbijały się od stali jak groch. Gdy mostek zniknął pod powierzchnią wody, łódź - niczym sfrustrowany myśliwy - zatoczyła bezradnie jeden krąg, potem drugi i trzeci. Zdobycz umknęła. Kiedy zaprowadzono go do maleńkiej kabiny, żeby mógł umyć się i odpocząć, doszedł do wniosku, że napastnicy, którzy zaatakowali ich na plaży, nie należeli do chińskich sił bezpieczeństwa wewnętrznego. Gdyby tak było, nastaliby na nich nie jedną, ale kilka łodzi. Nie, na pewno nie. Ludzi tych ktoś wynajął.

## Pekin

- 
- Jako jeden z najstarszych członków Stałego Komitetu, Wei Gaofan mieszkał oczywiście w Zhongnanhai, w pięknej, otoczonej murem rezydencji nad porośniętym lotosami brzegiem Nanhai, Południowego Jeziora. Na jego dziedzińcu rosła starannie przyszczyżona płacząca wierzba, która kołysała się łagodnie na porannym wietrze, muskając gęstą trawę ciemnozielonymi gałązkami. Wzdłuż kamiennych ścieżek, prowadzących do czterech stojących wokół dziedzińca domów, rosły kwitnące drzewka i kwiaty. Uwieńczone zakrzywionymi do góry dachami domy ozdobiono kolumnami z rzeźbionymi smokami, obłokami i żurawiami symbolizującymi szczęście i długowieczność. W największym domu mieszkał Wei z żoną. Ich córka, jej dziecko i niania mieszkali dokładnie naprzeciwko. W trzecim domu Gaofan miał swój gabinet, a czwarty był domem gościnnym. Gdy do gabinetu, gdzie Wei zgromadził małe, acz bezcenne skarby ze wszystkich chińskich dynastii, wpuszczono wreszcie Fenga, słońce świeciło już od ponad godziny. Gaofan, koneser herbaty, siedział przy stole, pijąc longjing. W powietrzu unosił się jej subtelny zapach. W przeciwieństwie do wina, które nabiera smaku wraz z wiekiem, herbata jest najbardziej aromatyczna - i najkosztowniejsza - w roku, w którym ją zebrano. Jego longjing miała ledwie sześć miesięcy. Pochodziła z Hangzhou i była najlepszą, najdelikatniejszą chińską herbatą. Wei nie poczęstował nią Fenga, nie ukrywał też gniewu.
- A więc uciekł wam.
- Funkcjonariuszom Biura Bezpieczeństwa Publicznego też - zauważył Feng. Nie poproszono go, by usiadł, więc wciąż stał, patrząc z góry na łysinę Weia, na jego wąskie oczy, tęgi korpus i patykowate nogi.

- Gaofan przeszył go wzrokiem.
- Twoje szczęście.
- Nasze szczęście - odparł Feng, wytrzymując spojrzenie wszechpotężnego członka Stałego Komitetu.
- Wei wypił łyk herbaty.- Ale generał Chu i major Pan coś podejrzewają.
- Możliwe, ale nic nie wiedzą i niczego się nie dowiedzą.
- Wei nachmurzył czoło.
- Jest jeszcze żona tego Yu Yongfu. Podobno zniknęła.
- Feng wzruszył ramionami.
- Żona nic nie robi. Zniszczyłaby swego ojca, a jest na to zbyt inteligentna. Pańskie poparcie może ułatwić mu życie, jemu i jego dzieciom.
- To prawda - odrzekł Gaofan, lecz jego oczy wciąż przesłaniał cień niepewności. - A więc ten amerykański szpieg był naprawdę taki dobry? Jak udało mu się uciec?
- Tak, jest dobry, ale to za mało, żeby odzyskać manifest. A jeśli chodzi o te wcześniejsze ucieczki, ktoś mu pomagał.
- Kto?
- Najpierw pewien tłumacz i agent CIA; już nie żyje. Potem Ujgurzy, ich podziemna komórka. Zawieźli go do punktu ewakuacyjnego. Ci głupi policjanci niczego nie podejrzewali. Śmiali się z nich i przepuszczali dalej. Kretyni.
- Zidentyfikowaliście tych Ujgurów?
- Byli za daleko, dobrze znali miasto i okolice. Potem nadpłynęli Amerykanie, oddział SEAL. Ubezpieczali ich odwrót.
- Zadowolony Wei Gaofan pokiwał głową.- SEAL. Okręt podwodny... Amerykanom bardzo zależy, żeby nie wywołać żadnego incydentu. Nasz plan działa. Dobrze się sprawiłeś, Feng.Feng skromnie pochylił głowę, choć w duchu wciąż kipiał gniewem, bo Wei nie poczęstował go herbatą. Jednakże wiedział, że nagroda go nie minie, że dostanie ją, gdy Gaofan zacznie odgrywać jeszcze większą rolę i poprowadzi Chiny ku swemu przeznaczeniu.
- Manifest zniszczony?
- Spalony.
- Na pewno?
- Byłem z Yu, gdy go palił. Spalił go, wziął pistolet i odjechał. Oczywiście pojechałem za nim.

- Policja nie znalazła ciała.
- I pewnie nigdy nie znajdzie.
- Widziałeś, jak się zabił? Na własne oczy?
- Właśnie po to za nim pojechałem. Zastrzelił się i wpadł do Jangcy. Tak chciał.
- Wei rozciągnął usta w uśmiechu. - A więc nie mamy już żadnych zmartwień, podczas gdy Amerykanie mają ich aż za dużo... Napijesz się ze mną herbaty, Feng?
-

# Część 2

•

# Rozdział 14

## Ocean Indyjski

- 
- 
- Fregata raketowa USS „John Crowe” powoli zajęła pozycję. Od południowego zachodu po szarym, spokojnym oceanie sunęły łagodne fale. Nad horyzontem za rufą wstawał już świt, a na zachodzie wciąż panowała noc, czarna i nieprzenikniona. Przed godziną radar namierzył cel, lecz cel ów był wciąż niewidoczny. Stojący na mostku komandor porucznik James S. Chervenko omiół lornetką horyzont, ale nic nie zobaczył. Barczysty i muskularny, miał mocno zarysowaną twarz i oczy zwężone po wielu latach służby na morzu.
- Na pewno jest sam? - spytał pierwszego oficera, komandora podporucznika Franka Bienasa.
- Radar wychwycił tylko jego, sonar też. - Bienas, młody, przystojny mężczyzna o wdzięku i gibkości boksera, miał w sobie coś z podrywacza.
- Dobrze. Kiedy wstanie świt i go zobaczymy, wycofamy się i pójdziemy dalej tylko na radarze. Będę u siebie.
- Tak jest.
- Kapitan zszedł z mostka. Admirał Brose wyraźnie podkreślił wagę tej misji, ale nie musiał, ani on, ani nikt inny. Komandor doskonale pamiętał incydent z „Yinhe”. A dzisiaj, gdy Chiny były silniejsze, stabilniejsze i ważniejsze dla utrzymania światowej równowagi, sytuacja groziła znacznie groźniejszymi konsekwencjami. Jednocześnie nie można było dopuścić do tego, żeby Irak wyprodukował broń biologiczną czy chemiczną. Nigdy. To po prostu nie wchodziło w grę. Zszedłszy na dół, połączył się bezpośrednio z admirałem Brose'em, pomijając - zgodnie z rozkazem - dowództwo grupy bojowej i floty.
- Panie admirale, komandor porucznik Chervenko melduje, że USS „Crowe” jest na pozycji.
- Dziękuję, komandorze. - Brose powiedział to tak, jakby właśnie odciągnięto go od kolacyjnego stołu w Waszyngtonie, gdzie wciąż był czwartek wieczorem. - Jak wygląda sytuacja?
- Jak dotąd rutynowo. Radar nie wychwycił żadnego innego okrętu, ani nawodnego, ani podwodnego, a ich radio milczy. Gdy zacznie świtać, wycofamy się za horyzont i pójdziemy za nimi tylko na radarze.
- Monitorujcie ich ruch radiowy, wszystkie komunikaty, wychodzące i przychodzące. Macie na pokładzie tłumacza?
- Tak jest.
- Dobrze. Ma pan na imię Jim, prawda?
- Tak, panie admirale.
- Jim, niech pan melduje mi o wszystkim, co się tam dzieje. Natychmiast, chyba że narazi to na

szwank naszą misję lub zagrozi waszemu bezpieczeństwu. O wszystkim, rozumiemy się?

- Tak jest, panie admirale.
- Cieszę się, że to pan tam dowodzi.
- Dziękuję, panie admirale.
- Komandor porucznik Chervpnko odchylił się w fotelu i wbił wzrok w sufit kabiny. To nie była zwyczajna misja, jedna z tych, jakie kapitanowie fregat wykonują niemal codziennie. Ta była piekielnie ryzykowna, groziła bezpośrednim starciem i utratą okrętu. Ale dostrzegł w niej i swoją szansę. Wiedział, że w marynarce wojennej grą o najwyższą stawkę jest gra o przetrwanie w bitwie. Że sukces w obliczu wysokiego ryzyka może zagwarantować karierę. Albo ją zniszczyć.

## **Morze Wschodniochińskie**

- Siedział w swojej tymczasowej kabinie, czekając na połączenie z Waszyngtonem. Pulsowanie gigantycznych silników wprawiało w drgania i kadłub lotniskowca, i jego kości. Wrażenie było miłe i kojące, zwłaszcza że zaraz miał rozmawiać z Fredem Kleinem. Znał jego zwyczaje. Kolację -jeśli tylko o niej nie zapomniał - zawsze jadał w swoim zagraconym gabinecie w porcie jachtowym. Okręt podwodny podrzucił go na północ od Tajwanu, na pływący pod eskortą zaciemniony lotniskowiec. Wyraźnie czuł, że kapitan i dowódca floty uważają, iż tak potężny okręt nie powinien wypełniać zadań tak przyziemnych jak ewakuacja tajnego agenta, że to czysta strata czasu. Po kawie z komandorem porucznikiem, który miał się nim zająć, od razu zaprowadzono go tutaj, do kabiny. Wziął prysznic, ogolił się i poprosiło połączenie z Waszyngtonem. Czekając, myślał o Ujgurach, zwłaszcza o Alani. Miał nadzieję, że udało im się uciec. Gdy zadzwonił telefon, szybko podniósł słuchawkę.
- Wyszedł pan z tego w jednym kawałku, pułkowniku? – Beznamiętny głos Kleina dodał mu otuchy.
- Tak, dzięki panu, naszej marynarce wojennej i kilku miejscowym. - Opowiedział mu, co wydarzyło się od ich ostatniej rozmowy, od chwili gdy dzwonił do niego z hotelu Pokój. - Ujgurzy chcą uniezależnić się od Chin, ale mają złudne wrażenie, że dojdzie do tego lada dzień. Moim zdaniem zadowolą się prawem do zachowania własnej tożsamości i kultury. Traktat o przestrzeganiu praw człowieka może im w tym pomóc. A przynajmniej przyspieszyć sprawę.
- Kolejny powód, żeby go podpisać - odrzekł Klein. - A więc Asgar Mahmout był informatorem Mondragona?
- Myślałem, że zechce pan o tym wiedzieć.
- Słusznie. A manifest? Jest coś nowego?
- Jeśli są mądrzy, pewnie już go zniszczyli. Przynajmniej ten egzemplarz.
- Tak. - Klein pykał z fajki tak głośno i energicznie, że Jon wyraźnie to słyszał. - Mimo to uważasz, że to oni przyjechali za wami na tę plażę. Jeżeli zniszczyli manifest, po co mieliby cię zabijać? To lekka przesada. A już na pewno niepotrzebne ryzyko. Jesteś pewien, że to nie była

policja czy bezpieka?

- Prawie na sto procent.
- Znowu seria szybkich pyknięć z fajki.- W takim razie dzieje się tam coś innego. Nie chcą, żeby manifest wpadł w nasze ręce, to oczywiste. Z drugiej strony, mieli mnóstwo czasu i mogli przeprowadzić to tak, żeby nie wpadł już w niczyje. Mimo to próbowali cię zlikwidować. Sami, bez pomocy policji...Jon drgnął. Serce zabiło mu szybciej. Zrozumiał, do czego Klein zmierza.- Nie chcą, żeby chińskie służby bezpieczeństwa dowiedziały się, że ten manifest w ogóle istniał i że szukał go amerykański agent. Ci z Biura Bezpieczeństwa Publicznego wiedzieli, że tam jestem, że jestem kimś więcej niż tylko zwykłym naukowcem, ale nie mogli wyczuć, po co tak naprawdę przyjechałem. A ten, kto zmusił Yu Yongfu do popełnienia samobójstwa, nie chce, żeby się tego dowiedzieli. - Jon intensywnie myślał. - Czyżby w Pekinie toczyła się... wewnętrzna walka o władzę?
- A może to jakiś ichni potentat, jego podejrzanе interesy?
- W Chinach to jedno i to samo.
- Klein przestał pykać z fajki. Zapadła cisza. Stężałe powietrze było jak próżnia.
- Boże - powiedział nagle z nabożnym lękiem. - Chiński rząd nie wie, co „Cesarzowa” przewozi. Tak, to musi być to!
- Jakim cudem? W Chinach? Tam wszystko robi się grupowo, kolektywnie. Pewnie nawet do kibla nie chodzą sami.
- To jedyne logiczne wytłumaczenie. Ktoś bardzo wysoko postawiony próbuje nas poróżnić. Tak, to walka o władzę, ale na skalę międzynarodową.
- Jon zaklął.- Chiny mają broń nuklearną. Pewnie o wiele potężniejszą, niż myślimy.Ponownie zapadła cisza, tym razem posępna i złowieszcza.
- Jon, jeśli mamy rację, sytuacja jest o wiele groźniejsza, niż przypuszczaliśmy. Prezydent musi, musi mieć namacalny dowód, że „Cesarzowa” przewozi niebezpieczny ładunek, zanim podejmie jakiegokolwiek kroki. Każę tym z marynarki przerzucić cię natychmiast do Tajpej. Stamtąd złapiesz pierwszy samolot do Hongkongu.
- Pod jaką przykrywką?
- Przeświatliliśmy tę firmę, Donk LaPierre. To międzynarodowy holding spedycyjno-elektroniczny. Dla ciebie idealne jest to, że zajmują się również biotechnologią.
- Nie mogę tam lecieć jako ja.
- Fakt, już nie. Ale polecisz jako ktoś, kogo dobrze znasz: jako major Kenneth St. Germain z Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych.
- Jesteśmy do siebie trochę podobni, ale jeżeli sprawdzą i odkryją, że go tam nie ma...
- Niczego nie odkryją. Major przyjął zaproszenie na wyprawę górską do Chile.



- Smith kiwnął głową.
- Tak, z czegoś takiego Ken nigdy by nie zrezygnował. Dobra robota. Cóż, w takim razie musi pan jeszcze umówić majora z szefami filii Donk LaPierre w Hongkongu, żebyśmy mogli pogadać o badaniach nad wirusami.
- Załatwione.
- Dowiedział się pan czegoś o tym Fengu?
- Jeszcze nie, ciągle sprawdzamy. Jedź do Tajpej, ja pojedą do prezydenta. Raczej się z tego nie ucieszy.
- Przy okazji niech pan przekaże mu najnowsze wiadomości o tym Amerykaninie.
- O tym niby-Thayerze? Masz coś nowego?
- Smith streścił mu to, czego dowiedział się od Asgara.
- Farma jest pod Dazu, sto kilkanaście kilometrów na pomocny wschód od Chongqing. Mohmout twierdzi, że jest słabo strzeżona, przynajmniej według chińskich standardów.
- Dobrze, to już coś. Trzeba nad tym popracować na wypadek, gdybyśmy musieli go ewakuować. Zwykle ogrodzenie nas nie powstrzyma, strażnicy też nie. Dobrze, że traktują go ulgowo i przydzielili mu dwuosobową celę. Gdyby przy okazji udało nam się wyprowadzić stamtąd kilku innych więźniów politycznych, mielibyśmy świetne wytłumaczenie nie tylko w sprawie Thayera, ale i dla całej misji. Nie podoba mi się ta lokalizacja; to gęsto zaludniony obszar. I to, że tak często go przenoszą. Zanim coś postanowimy, może go już tam nie być.
- Z tego, co mówi Asgar, wynika, że Thayer przebywa tam już od jakiegoś czasu i nic nie wskazuje na to, że chcą go ponownie przenieść.
- Pyk, pyk, pyk, Klein myślał.
- Dobrze, mogło być gorzej. Z Dazu jest tylko parę kroków do granicy z Birmą i Indiami, to już coś.
- Trochę więcej niż parę.
- No więc czeka nas trochę więcej pracy. I tak musimy to zrobić. Chcę mieć ten manifest, panie pułkowniku.
- 
- 

## **Ocean Indyjski**

- W centrum dowodzenia i łączności na pokładzie USS „John Crowe” komandor podporucznik Bienas pochylił się nad ramieniem operatora i wbił wzrok w ekran radaru.
- Ile razy zmienili kurs?

- Trzy razy, panie komandorze. - Operator podniósł głowę.
- A dokładniej?
- Najpierw zrobili zwrot o czterdzieści pięć stopni na południe. Potem...
- Długo szli na południe? Ile przepłynęli?
- Mniej więcej godzinę, około dwudziestu mil.
- Dobra, co dalej?
- Wrócili na pierwotny kurs i płynęli tak z godzinę. Potem poszli na północ i po godzinie znowu wrócili na kurs.
- Więc płyną teraz tak, jak płynęli?
- Tak jest, mniej więcej.
- My też za każdym razem zmienialiśmy kurs?
- Tak. Meldowałem na mostek o każdej odchyłce.
- Dobrze. Dobra robota, Billy.
- Dziękuję, panie komandorze - odrzekł z uśmiechem operator.
- Ale Bienas się nie uśmiechnął. Wszedł i labiryntem korytarzy dotarł do kabiny kapitana. Zapukał do drzwi.- Wejść.Komandor porucznik Chervenko spojrział na niego znad dokumentów i natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak.
- Co się stało, Frank?
- Chyba nas zauważyli, panie kapitanie. - Bienas zameldował mu o rozmowie z operatorem radaru.
- Za każdym razem zmienialiśmy kurs?
- - Boję się, że tak. Na mostku był Canfield. Jest nowy, cholera... Chervenko kiwnął głową.
- Lepiej by było, gdyby namierzyli nas później, ale i tak wiedzieliśmy, że w końcu do tego dojdzie. Zauważyliście zwiększoną częstotliwość...
- Tu centrum dowodzenia - zaskrzeczał interkom.- Panie kapitanie, aktywność radiowa statku gwałtownie rośnie.
- O wilku mowa - mruknął Chervenko, nachylając się do mikrofonu. - Ściągnij na mostek porucznika Wao. Pędem.
- Rozkaz.
- I zwiększcie prędkość. Pójdziemy na całość. - Kapitan wstał. - Chodźmy.
- Gdy dotarli na mostek, czekał już tam na nich porucznik Wao, tłumacz.

- Wykryli nas - zameldował. - Wpadli w panikę i gadają teraz z Pekinem i Hongkongiem.
- Wpadli w panikę? - Chervenko zmarszczył brwi.
- Tak jest. To zabawne. Wiedzą, kim jesteś my. To znaczy wiedzą, że płynie za nimi amerykańska fregata.
- Muszą mieć na pokładzie... wojskowego operatora - powiedział zdumiony Bienas.
- Kapitan ponuro kiwnął głową.- Dajcie pełną naprzód - rozkazał. - Nie ma sensu dłużej się ukrywać. Zobaczmy, co tam robią. - Skierował lornetkę na horyzont. Dzień był jasny i słoneczny, morze spokojne, widzialność prawie nieograniczona. Płynęli z prędkością dwudziestu ośmiu węzłów i niebawem dokładnie na wprost dziobu ujrzeli „Cesarzową”. Komandor podporucznik Bienas też sięgnął po lornetkę.- Frank, widzisz to co ja? Bienas kiwnął głową. Na pokładzie „Cesarzowej” roіło się od marynarzy. Wszyscy pokazywali za rufę i wymachiwali rękami. Na przybudówce stał oficer i coś do nich krzyczał, ale nie zwracali na niego uwagi.
- Boją się - mruknął Bienas. - Boją się jak jasna cholera.
- Na to wygląda - odparł Chervenko. - Są zaskoczeni, nikt ich nie uprzedził, że tu jesteśmy. Ktoś jednak się nas spodziewał. Nas albo kogoś innego.
- Inaczej nie zabraliby ze sobą wojskowego operatora.
- Właśnie. Przejmij mostek, Frank. Uważaj na nich. Tam się coś smaży.
- - Jak pan myśli, co zrobią? Chervenko ruszył do wyjścia, żeby złożyć meldunek admirałowi.- Nie mam pojęcia - rzucił przez ramię. - Ale wiem, że już niedługo będzie martwić się tym połowa Waszyngtonu.

# Rozdział 15

## 14 września, czwartek Waszyngton

- 
- 
- Prezydent Castilla pólleżał w fotelu, próbując czytać, lecz cały czas myślał o Chinach, o układzie o przestrzeganiu praw człowieka, o swoim ojcu, którego nie znał i nie pamiętał, a który musiał tyle wycierpieć. Tęsknił też za pierwszą damą. Nie mógł się skupić, zdania mieszały się ze sobą i zlewały. Położył książkę na kolanach i przetaił oczy. Tak, brakowało mu zażartych partyjek pokera z Cassie, tych nocnych pojedynków, do których stawali, ilekroć nie mogli zasnąć, chociaż zawsze ogrywała go, jak chciała - na dziesięć partii osiem miał zwykle do tyłu. Ale Cassie była teraz w Ameryce Środkowej, gdzie w otoczeniu prasy oddawała się działalności dobroczynnej i zawierała nowe przyjaźnie. Żałował, że nie ma jej w domu. Że nie oddaje się jemu. Zaczął snuć plany na przyszłość, myśleć, jak będzie wyglądało ich życie, gdy wreszcie opuszczą Biały Dom... Wtem do drzwi cicho zapukał Jeremy.

- Co znowu? - syknął Castilla i zaraz pożałował, że okazał irytację.
- Przyszedł pan Klein, panie prezydencie.
- Castilla usiadł.
- Niech wejdzie. I przepraszam. Nie powinienem był tak warczeć. Chyba tęsknię za żoną.
- Wszyscy za nią tęsknimy, panie prezydencie.
- Czyżby Jeremy uśmiechnął się leciutko, żeby nie wnikać w specyficzne powody tejże tęsknoty? Castilla chciał odpowiedzieć mu uśmiechem, lecz tylko zmarszczył czoło. Jeremy wpuścił do środka Kleina, wyszedł i zamknął drzwi. Fred płynie przez świat jak mgła, pomyślał prezydent. Jak cicha, nieprzenikniona mgła. Czy to Carl Sandburg napisał, że... Tak, to Sandburg. „Nadeszła mgła na małych, kocich łapkach...” Nie, Klein ma za duże stopy.- Siadaj, Fred. Klein usiadł na brzeżku fotela. Jego niespokojne ręce natychmiast powędrowały do kieszeni, potem do butonierki, potem znowu do kieszeni, jakby szukały tam zagubionego klejnotu.- Pogryź sobie to świństwo, bo zaraz zacznę pić - burknął Castilla. Klein spojrział na niego nieśmiało, wyjął fajkę i z wyraźną ulgą zagryzł ustnik.- Dziękuję, panie prezydencie.
- Mam tylko nadzieję, że palenie nie zabije cię przed końcem mojej kadencji. Dobra. Co złego stało się tym razem?
- Nie wiem, czy to coś złego, czy dobrego. Zależy, jak potoczy się afera z „Cesarzową”.
- Bardzo mnie pocieszyłeś.
- Niestety. - Nie wchodząc w szczegóły, Klein streścił mu ostatnią rozmowę ze Smithem. - Jesteśmy niemal pewni, że oryginał manifestu został zniszczony. Moi ludzie z Iraku niczego jak dotąd nie znaleźli. Pułkownik Smith jest w drodze do Hongkongu. Ma nadzieję, że znajdzie egzemplarz w firmie Donk LaPierre.

- Castilla pokręcił głową..
- Czasami żałuję, że dopuściliśmy do powstania tych wszystkich wielonarodowych korporacji i holdingów.
- Nie tylko pan, rządy innych krajów też. Jesteśmy w większości.
- A nasi agenci w Chinach? Znaleźli coś?
- - Nic, najmniejszego śladu. Nikt z chińskiego rządu i partii nie słyszał ani o „Cesarzowej”, ani o jej ładunku.Castilla ścisnął grzbiet nosa i zmrużył oczy.
- To dziwne, prawda? W Pekinie zwykle aż huczy od plotek i spekulacji.
- Doszliśmy z pułkownikiem Smithem do wniosku, że Pekin, może o tym nie wiedzieć.
- Prezydent uniósł brwi.
- Chcesz powiedzieć, że to przedsięwzięcie... prywatne? Lukratywna transakcja?
- Z pewnymi komplikacjami. Uważamy, że zamieszany jest w nią wy soki urzędnik pekiński, może nawet ktoś z biura politycznego.
- Castilla gorączkowo myślał.
- Korupcja? Kolejny Chen Xitong?
- Tak, to możliwe. Możliwe jest również, że to rezultat wewnętrznej walki o władzę, co...
- Niekoniecznie musi być dla nas korzystne.
- Właśnie, panie prezydencie.
- Castilla zamilkł i pogrążył się w zadumie. Klein też. Bawiąc się fajką, nieświadomie wyjął kapciuch i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, co robi. Szybko schował go do kieszeni.Prezydent dźwignął się wreszcie z wygodnego fotela i zaczął krążyć po pokoju, plaskając kapciami o dywan.- Pekin o tym wie czy nie wie, wątpię, czy to jakaś różnica. Zareagują tak samo. Bez względu na ładunek „Cesarzowej” powiedzą, że ich statki mają pływać, gdzie chcą, i przewozić, co im się żywnie podoba. Wciąż jest tylko jeden sposób, żeby uniemożliwić Chińczykom dostarczenie tych chemikaliów do Iraku bez międzynarodowej konfrontacji i wynikających z niej skutków.- Wiem, panie prezydencie. Musimy mieć ten manifest, żeby udowodnić światu - i Chinom - że nie działamy pośpiesznie. Ale jeżeli Pekin nie jest w to zamieszany i nie wie, co przewozi „Cesarzowa”, gdy już zdobędziemy manifest, Chińczycy powinni pójść z nami na współpracę. Zechcą pokazać wszystkim, że są odpowiedzialni, że zależy im na międzynarodowym pokoju jak każdemu innemu państwu. Przynajmniej mam taką nadzieję. - Castilla wciąż chodził nerwowo tam i z powrotem, jak człowiek zaplątany w niewidzialną sieć. Klein uważnie go obserwował. - Czy to dobry moment na najnowsze doniesienia o Davidzie Thayerze?Castilla gwałtownie przystanął.
- Tak, oczywiście. Wiesz coś nowego?

- Według jednego z moich chińskich agentów, ta więzienna farma jest słabo strzeżona. Możliwe, że uda nam się przemycić tam kogoś, kto na wiąże z nim kontakt, sprawdzi, w jakim jest stanie i czego chce.
- Dobrze - odrzekł ostrożnie prezydent. Nie zaczął ponownie chodzić.
- Wciąż stał w miejscu. Klein wyczuł, że się waha.
- Czy rozważa pan możliwość przeprowadzenia akcji ratunkowej?
- Jak sam wspomniałeś, jeśli Pekin nie ma nic wspólnego z wysłaniem „Cesarzowej” do Iraku i jeśli zdobędziemy niepodważalny dowód, że statek ten przewozi to, co przewozi, niewykluczone, że Chińczycy zechcą z nami współpracować. Ale tajna operacja ratunkowa, której rezultatem będzie potępienie ich przed całym światem, doprowadzi Pekin do szału.
- Tak, to fakt - przyznał Klein.
- Nie mogę narażać na niebezpieczeństwo ani kraju, ani układu z Chinami.
- Nie będzie pan musiał. Możemy wysłać tam oddział cywilny, złożony z samych ochotników. Gdy tylko uznają, że grozi im wpadka, przerwą misję. Dzięki temu będzie pan mógł wszystkiemu zaprzeczyć.
- Dasz radę zebrać tylu dobrze wyszkolonych cywilów?
- Ilu pan tylko zechce.
- Castilla opadł ciężko na fotel. Założył nogę na nogę i potarł podbródek.
- Sam nie wiem. Historia nie jest łaskawa dla tego rodzaju wypraw.
- To ryzykowne, przyznaję, ale znacznie mniej ryzykowne niż operacja wojskowa.
- Zdawało się, że prezydent zaczyna się z tym zgadzać.
- A więc najpierw wysłałbyś tam kogoś, żeby nawiązał kontakt z Thayerem, tak? Trzeba sprawdzić, czy ten człowiek w ogóle chce, żeby go ewakuowano. Może wolałby zaczekać, aż podpiszemy układ?
- Tak, to też, poza tym musielibyśmy przeprowadzić dokładne rozpoznanie wojskowo-terenowo-lokalizacyjne, poznać wszystkie szczegóły.
- - Dobrze, masz moją zgodę. Ale bez dalszych konsultacji nie rób nic więcej.
- To oczywiste, panie prezydencie - odrzekł Klein.
- Tak. - Castilla spojrział na niego z powagą. - Pewnie już przed laty stracił nadzieję, że wróci do domu. Że kiedykolwiek zobaczy ojczyznę. Tak, bardzo bym chciał go stamtąd wydostać. Sprawić, żeby swoje ostatnie lata spędził spokojnie i wygodnie. W domu. - Prezydent ominął Kleina wzrokiem i popatrzył w dal. - Byłoby miło spotkać w końcu swego ojca.
- - Wiem, Sam. Wymienili spojrzenia. Takie ponad przepaścią lat, jak bliscy

przyjaciele. Prezydent westchnął i ponownie przetaił oczy. Klein wstał i cicho wyszedł.

## 15 września, piątek Hongkong

- Azjatycka siedziba Donk LaPierre S.A. zajmowała trzy piętra nowego, czterdziestojednopiętrowego wieżowca w Centrum, głównej dzielnicy handlowej Hongkongu. Dwie pozostałe dzielnice śródmieścia były Admiralty i Wanchai, niegdyś dzielnica domów publicznych. Większość drapaczy chmur zbudowano w ostatnich latach właśnie tam, w Centrum i Admiralty, natomiast na zachód od Centrum wznoszono budynki niższe i nieustannie modernizowano starsze. Po drugiej stronie najwyższego przesmyku w porcie Victoria, już na stałym lądzie, był Kowloon, dzielnica zawsze ruchliwa i tętniąca życiem. Punktualnie o dwunastej w południe w gabinecie Claude'a Marichala zadzwonił telefon. Ale nie był to telefon stojący na jego biurku ani ten na stoliku przy fotelu dla ważnych interesantów - rozmowy z tych aparatów zawsze przechodziły przez centralę. Zadzwonił telefon wewnętrzny, taki bez tarczy. Stał na trzyczęstowej półce na książki pod oknem za biurkiem. Zaskoczony Marichal upuścił pióro, zaklął, zrobiwszy kleksa na jakimś dokumencie, odwrócił się z fotelem i podniósł słuchawkę.
- Tak? Czy mogę w czymś pomóc?
- Owszem, jeśli rozmawiam z panem Jonem Donkiem.
- Słuchawka omal nie wypadła mu z ręki.
- Słucham? Tak. Ależ tak, tak, oczywiście. - Wstrząśnięty Marichal wziął głęboki oddech. - Proszę chwileczkę... Zaraz go poproszę. - Położył słuchawkę na półce i... ponownie ją podniósł. - To może trochę potrwać, proszę zaczekać.
- Zaczekam, ile będę mógł.
- Marichal odwrócił się nieprzytomnie, chwycił słuchawkę telefonu na biurku i wybrał numer. - Panie dyrektorze? Ktoś dzwoni na prywatną linię i pyta o pana Donka.
- O Donka?
- Tak, o Donka.
- To nie Yongfu ani McDermid?
- Nie, absolutnie.
- Niech pan go zagada i przetrzyma.
- Spróbuję. - Marichal odłożył słuchawkę i ponownie sięgnął po słuchawkę telefonu na półce. - Bardzo mi przykro, ale nie możemy go znaleźć. - Powiedział to lekko, przyjaźnie i usłużnie, a przynajmniej próbował. - Ale może ja będę mógł w czymś pomóc. Gdyby pan zechciał przedstawić mi sprawę...
- Nie, dziękuję.
- Do gabinetu ktoś wszedł. Cicho, na palcach, z palcem przytkniętym do ust i pytająco

uniesionymi brwiami. Marichal energicznie kiwnął głową, zastanawiając się gorączkowo, jak zagadać rozmówcę.

- Mógł wyjść już na lunch, to znaczy pan Donk... I chyba wyszedł, bo nie ma go w budynku, ale jeśli poda mi pan swoje nazwisko i numer telefonu, na pewno oddzwoni, gdy tylko wróci. A może mam mu coś przekazać? Wiem, że nie chciałby... Halo? Halo? Proszę pana?
- Co się stało?
- Marichal odłożył słuchawkę na widełki.- Rozłączył się. Chyba się domyślił.Charles-Marie Cruyff kiwnął głową. Podniósł słuchawkę i spytał:
- Namierzyliście go?
- Dzwonił z budki w Kowloonie.
- Podaj numer i adres - rzucił Cruyff i sięgnął po kartkę.
- 
- 

## **Kowloon**

- Popęłnił błąd. Wiedział już, że popełnił błąd. Trzasnął słuchawką. Tak, albo numer był zastrzeżony, albo Jon Donk w ogóle nie istniał. Albo i to, i to. Ten, kto z nim rozmawiał, wpadł w popłoch, zdawszy sobie sprawę, że mówiący płynną amerykańszczyzną człowiek zna ich zastrzeżony numer. Pytanie tylko, czy zdążyli go namierzyć. Odpowiedz nasuwała się sama: musiał założyć, że tak.Jako major Kenneth St. Germain, w długiej ciemnoblonde peruce, która miała upodobnić go do podstarzałego hippisa i wybitnego mikrobiologa z Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych, dwie godziny wcześniej wylądował na międzynarodowym lotnisku na wyspie Lantau, przeszedł przez odprawę paszportową i szybkim wahadłowcem dojechał do hotelu Shangri-la w Kowloonie. W pokoju nie tracił czasu. Spytał o drogę, do Donk LaPierre, schował perukę do kieszeni, włożył nowy letni garnitur i wyszedł.Tego dnia, co niezwykle na połowę września, miasto okrywał wilgotny, gorący całun. Wyjście na dwór było jak zderzenie ze ścianą samochodowych spalin i morskiego powietrza, przyprawionego smrodem pieczonego mięsa i ryby. Pochłonął go tłum, zewsząd otoczyły go hordy samochodów i autobusów, których było tu - choć trudno w to uwierzyć -jeszcze więcej niż w Szanghaju. Przepychając się, klucząc, uskakując i wpadając na przechodniów, dotarł do Star Ferry, gdzie znalazł budkę telefoniczną.Teraz spiesznie stamtąd zmykał, żeby poszukać schronienia w tłumach na portowej promenadzie. Wypatrzył stoisko z gorącymi przekąskami, skąd dobrze widział budkę. Miejsce to dawało mu jedną przewagę: wysoki mężczyzna w zachodnim ubraniu na ulicach Hongkongu był tylko jednym z tysiąca mężczyzn, którzy w oczach Chińczyków wyglądali prawie identycznie.Zjadł ledwie trzy krewetki, gdy nadjechały dwa czarne, nieoznakowane mercedesy. Wysiadło z nich sześciu Chińczyków w garniturach. Pozornie obojętnym krokiem, uważnie przypatrując się twarzom przechodniów, podeszli do budki z kilku stron naraz. Broni niby nie mieli, mieli za to charakterystycznie zapięte i podejrzanie wybrzuszone marynarki. Poza tym emanował z nich dziwny niepokój, gniewna nerwowość.Nie, to nie byli tajniacy ani policja. To był ktoś inny.Jak dotąd żaden z nich nie spojrzał w stronę stoiska. Jon nie chciał przeciągać struny. Poza tym dowiedział się już



wszystkiego, czego chciał się dowiedzieć. Wrzucił tłuste krewetki do kosza na śmieci i odszedł, zataczając szeroki łuk. Najbliższy prom na wyspę odpływał za trzy minuty. Smith kupił bilet. Wszedł na pokład i stanął na dziobie, myśląc o tamtych sześciu, zapamiętując ich twarze. Czy to znowu ludzie rudowłosego Fenga? Przypomniawszy sobie, że ma odgrywać rolę zwykłego turysty, podniósł wzrok i spojrzał na drugi brzeg kanału. Widok ten zawsze zaskakiwał i zapierał dech w piersi, bez względu na to, ile razy widziało się go na zdjęciach. Tak rozległy, że nie można objąć go wzrokiem. Najpierw zobaczył statki, barki, pełnomorskie jachty, zielone sampany i promy. Potem pomosty i mola, cumujące przy nich okręty oraz domy na obrzeżach wyspy. Za domami strzelały w niebo drapacze chmur, małe, duże i gigantyczne, stojące blisko siebie niczym grupa szykujących się do ataku tytanów w hełmach zdobnych w olbrzymie neony. A na samym końcu, hen, daleko za nimi, widniały spowite chmurami góry, błogie, kojące i ponadczasowe. Panorama Hongkongu była równie oszałamiająca jak panorama Nowego Jorku. Prom odbił od brzegu i wszystko to ruszyło nagle w jego stronę - wrażenie było niesamowite. Jon wstrzymał oddech, odwrócił głowę i... zobaczył dwóch z tamtych sześciu. Ich ręce wędrowały nerwowo po marynarkach, jakby sprawdzali, czy zdążą dobrać broni. Przebijali się przez tłum. Szli w jego stronę.

-

# Rozdział 16

## Manila, Filipiny

- 
- 
- Punktualnie o czternastej na międzynarodowym lotnisku Ninoy Aquino pod szklistym, rozpalonym niebem Filipin wylądował zmodyfikowany C-130. Pokołował w kierunku odległego, stojącego na uboczu hangaru, w którym czekały pomalowany w barwy ochronne wóz dowódcy i uzbrojony terenowy samochód wojskowy. Gdy zamknęły się drzwi i z ładowni samolotu spuszczone rozkładane schody, z wozu szybko wysiadł umundurowany kierowca. Obszedł go i otworzył drzwi od strony pasażera. Niewidoczny dla postronnych obserwatorów, schodami zszedł sekretarz armii Jasper Kott wraz czterema doradcami. Jego gładką twarz przesłaniały duże czarne okulary. Kierowca stanął na baczność. Jak zwykle elegancki w nienagannie dopasowanym trzyczęściowym garniturze, Kott skinął mu głową i wsiadł. Doradcy wsiedli do terenówki. W samochodzie dowódczym ktoś już czekał - oficer ze srebrzystą gwiazdką na pagonach, generał brygady Emmanuel „Manny” Rose. Siedział przy oknie, wydmuchując aromatyczny dym z grubego cygara.
- Nie przeszkadza panu, że palę, panie sekretarzu?
- Nie, jeśli tylko pomaga to panu w myśleniu. - Ruszyli. Kott opuścił szybę.
- Podniosły się boczne drzwi i z cienistego hangaru wyjechali na filipiński upał. - Cygaro dodaje mi cierpliwości. - Opony samochodu zapiszczały na asfalcie. Rose wydmuchał obłok dymu - A teraz bardzo jej potrzebuję. Ci ludzie są nie do zniesienia. Aż trudno uwierzyć.
- Ja wierzę. Niech pan nie zapomina, że pracują w Waszyngtonie. - Kott zerknął na palmy i tropikalną roślinność za oknem. Upał mu nie przeszkadzał. W oddali rósł gąszcz mangowców. Między gałęziami kalistemonów i hibiskusów fruwały kolorowe ptaki. Nad chodnikami falowało rozpalone powietrze. Było co najmniej kilkanaście stopni cieplej niż w Waszyngtonie. Królowały upał, wilgoć i bujna zieleń.
- Racja - mruknął generał.
- Myśli pan, że tym razem trafili? Że ten al-Sayed jest naprawdę przywódcą islamskich partyzantów z Mindanao?
- Na to wygląda.
- Tak? Dlatego że nas do niego nie dopuszczają? Że próbują przypisać sobie całą zasługę? I właściwie kim są ci „oni”?
- To ci, którzy nie chcą przybić go gwoździami do ściany i obdrzeć żywcem ze skóry. No i ci, którzy nie chcą się szybko dogadać i wypuścić go, żeby trzymał język za zębami.
- - Powiedział im pan, że chcemy być na przesłuchaniu? Generał kiwnął głową i zacisnął zęby. Był wściekły.

- Oczywiście. Jeśli się nie zgodzą, przestaniemy im pomagać i ich szkolić. Pilnują go Filipińczycy, ale na wszelki wypadek postawiłem tam i moich ludzi.
- Bardzo dobrze.
- Generał zamilkł. Palił i patrzył na ulicę, lecz chyba nie dostrzegł tam niczego niepokojącego. Spojrzał na sekretarza.
- Przywiózł pan ekipę?
- Eksperta od przesłuchań z CIA i kapitana lotnictwa, który zna Moro. - Kott nie raczył wspomnieć, że przywiózł również swego kucharza. - Jadą za nami. Dobrze. Jutro spróbujemy z nim pogadać.
- Niedługo potem wjechali na teren dużej wiejskiej rezydencji, gdzie dzięki uprzejmości filipińskiego rządu mieściła się tymczasowa kwatera dowódcza amerykańskiej misji wojskowej. Gadając o niczym - ktoś mógł ich podsłuchać - generał Rose odprowadził sekretarza do klimatyzowanego apartamentu, żeby mógł się odświeżyć i odpocząć przed niezmiernie ważną kolacją z filipińskimi politykami i generałami.
- Zatem do wieczora, generale. - Kott wyciągnął rękę.
- Rose uścisnął ją i nie wyjmując cygara z ust, burknął:
- Będę gotowy. Niech się pan zdrzemnie. Dobrze to panu robi.
- W pokoju cichutko gwizdał klimatyzator. Kott zamknął drzwi, odczekał jeszcze pięć minut, otworzył je i wyrztał na zewnątrz. Korytarz był pusty. Szczupła kobieta w mundurze kapitana Amerykańskich Sił Powietrznych, która kuciała pod oknem, przytknęła do ściany czujnik mikrofonu kontaktowego. Przyleciała do Manili z sekretarzem armii. Kott chodził. Słyszała jego kroki. Potem usłyszała kilka kliknięć - wciskał klawisze tarczy telefonu - i odgłos podnoszonej słuchawki. - Już jestem. Tak. O szóstej muszę być z powrotem. Za dwie godziny? Dobrze. Gdzie? W Corregidor Club? Dobrze. Będę. Cichy trzask odkładanej słuchawki, skrzypnięcie drewnianego krzesła, znowu kroki, stukot spadających na podłogę butów, jęklive westchnienie sprężyn łóżka. Kott odpoczywał przed spotkaniem z kimś, z kim przed chwilą rozmawiał. Pewnie leżał, gapiąc się w sufit, gdzie gromada dziwacznych owadów sposobiła się do ataku na moskitierę. Pani kapitan była jego tłumaczką. Na jej identyfikatorze widniał napis: Kapitan Vanessa Lim. Odeszła od okna. Ale nie skręciła do swojej kwatery, żeby odpocząć po podróży. Nie nazywała się też Vanessa Lim.

## **Hongkong**

- Dla każdego tajnego agenta najtrudniejsza jest całkowita, choć tylko pozorna beczynność. Smith stał na dziobie promu, udając, że rozkoszuje się panoramą miasta. Chociaż włoski na karku stanęły mu dęba, nie odwrócił głowy, żeby ponownie zerknąć na dwóch mężczyzn, którzy szli przez tłum, przypatrując się uważnie twarzom ludzi, ich ubraniu, badając reakcję każdego, kogo mijali. Oczywiście nie mogli wiedzieć - bo i skąd? - jak wygląda człowiek, który zadzwonił do firmy Donk LaPierre. Mało tego, istniało jedynie minimalne

prawdopodobieństwo, że Feng Dun czy ktokolwiek inny w Chinach wiedział, iż podpułkownik Jon Smith jest teraz w Hongkongu. Jednakże minimalne prawdopodobieństwo to zawsze prawdopodobieństwo. Owszem, mogli o tym wiedzieć, ale raczej nie wiedzieli. Jak powiedział kiedyś Damon Runyon: „Wyścig nie zawsze wygrywa najlepszy, a bitwę najsilniejszy. Ale tak trzeba zakładać”. Bo jest jeszcze kwestia szczęścia. Dlatego Jon stał na pozór spokojnie i nic nie wskazywało na to, że zdaje sobie sprawę, iż na promie dzieje się coś niezwykłego. Robił wrażenie turysty zafascynowanego egzotycznym widokiem. Dobijali do brzegu. Gdy prom otarł się z głuchym stukotem o pale, kilku ubranych w niebieskie mundury pokładowych przyciągnęło go do pomostu. Pasażerowie napaarli na drzwiczki, jakby chcieli się wzajemnie stratować, gdy tylko się otworzą. W górze krążyły rozkrzyczane mewy, narastało zniecierpliwienie. Wreszcie drzwiczki się otworzyły i tłum ruszył w dół drewnianą rampą, porywając ze sobą Jona. Rampa drewniana, potem betonowa - gdy spojrzał za siebie, tamtych dwóch już nie było.

## Manila

- Sekretarz Jasper Kott przebrał się w luźną niebieską koszulę, lekką lnianą marynarkę, brązowe spodnie i buty koloru kości słoniowej. Odświeżony i odprężony siedział w strumieniu chłodnego powietrza z klimatyzatora, analizując raport sił specjalnych opisujący błyskawiczny atak islamskich partyzantów na filipiński garnizon wojskowy w pomocnej części Mindanao. Usłyszawszy pukanie do drzwi, zaznaczył ołówkiem miejsce, gdzie skończył czytać, odłożył raport na stolik obok fotela i poszedł otworzyć. W progu stał sierżant sił specjalnych, który ich tu przywiózł.
- Dobry wieczór, panie sekretarzu.
- Wszystko załatwione?
- Tak jest. Większość Filipińczyków ma teraz sjęstę. Nasi antyterrorysty się szkolą. Samochód czeka przed bocznymi drzwiami. Na bramie stoją moi ludzie.
- Bardzo dobrze. I dyskretnie. Dziękuję za pomoc, sierżancie.
- Wszyscy czasem potrzebujemy odpoczynku, panie sekretarzu - odrzekł Reno.
- Wymienili znaczące uśmiechy, jak mężczyzna z mężczyzną. - W takim razie chodźmy. Wyszli na pusty korytarz; sierżant trzymał się z szacunkiem trzy kroki za sekretarzem. Przed drzwiami czekał samochód z włączonym silnikiem. Kott kiwnął głową. Bardzo dobrze. Cicho mrużący silnik zwraca o wiele mniejszą uwagę niż silnik, który nagle odpala. Usiadł z tyłu. Sierżant zamknął drzwiczki, wskoczył za kierownicę i ruszyli. Znudzony widokiem biedy za oknem, Kott zastanawiał się, jak pograć z Filipińczykami. Kiedyś odnosił wielkie sukcesy jako dyrektor kilku prywatnych firm, a tuż zanim został politykiem, pełnił funkcję prezesa zarządu Kowalski Kott - KK - spółki zaopatrującej wytwórców broni z całego świata w zawieszania, lawety i mocowania artyleryjskie. To prawda, że dorobił się fortuny i miał wielkie wpływy, wpływy znacznie większe, niż myśleli jego rywale. Mimo to liczby były jedynie miernikiem majątku, nie satysfakcji. Był człowiekiem ze wszech miar skrupulatnym, pedantycznym i w nawykach, i układach towarzyskich, i w interesach. Skrupulatnością tą rozbrajał przeciwników. Między korporacjami nieustannie trwała zażarta walka, a on uchodził za mięczaka. Któż podejrzewałby go o tak rozbuchane ambicje? Któż podejrzewałby go o tak wyrachowaną bezwzględność, dzięki

której mógł minimalizować straty i przeciw naprzód, nie oglądając się za siebie? Podczas gdy inni mieli go za słabego, niewartego zainteresowania niedołęgę, on cały czas rósł w siłę i zanim się spostrzegli, zostawił ich daleko w tyle. Teraz nie mogli już ani go powstrzymać, ani mu zaszkodzić. Nigdy dotąd nie trafił mu się interes równie dobry jak ten. Cóż za rozkoszna myśl: nietykalne bogactwo, niewyobrażalna władza... I gwarancja dalszych, jeszcze większych, jeszcze bardziej lukratywnych interesów. Skręcili w cichą uliczkę w jednej z lepszych dzielnic Manili i stanęli przed pięknym wielkim domem. Całą posiadłość otaczał wysoki żywopłot. Na rozległym, pagórkowatym trawniku rosły majestatyczne palmy, a pod białymi ścianami domu kolorowe jak tęcza tropikalne kwiaty. Była to hacjenda z hiszpańskich czasów, okazała i odosobniona. Kott pochylił się do przodu i rzekł:

- Za kilka godzin, dobrze? Ma pan telefon?
- Tak jest. - Sierżant Reno poklepał się po kieszeni. - Proszę się nie spieszyć.
- Wyłożona terakotą ścieżka prowadziła do długiego ganku. Drzwi były masywne, z litego mahoni, a zawiasy, klamkę i ozdobną kołatkę w kształcie węża zrobiono z mosiądzu. Kott zapukał i po chwili wyczuł, że ktoś przypatruje mu się przez judasz. Otworzyła mu z ukłonem drobniutka Filipinka. Miała najwyżej szesnaście lat i była naga, tylko w fioletowych bucikach na wysokich obcasach i fioletowej, koronkowej podwiązce, której nie mogła już nosić wyżej. Kott nawet nie mrugnął. Filipinka wprowadziła go do umeblowanego ciężkimi meblami salonu, gdzie stało, siedziało i leżało dwadzieścia kobiet w różnym stadium roznegliżowania. Przy ścianie był dobrze zaopatrzony barek. Gdy szedł za dziewczyną, śledziło go dwadzieścia par oczu, uważnie i taksujące. Weszli na szerokie schody, które mogły być schodami w domu madryckiego szlachcica. Na pierwszym piętrze skręcili w wyłożony brązową wykładziną korytarz i zatrzymali się przed ostatnimi drzwiami. Naga dziewczyna otworzyła je i z uśmiechem stanęła z boku. Kott wszedł do środka. Przestronny pokój, brązowa tapeta w złociste płatki, wygodna skórzana sofa, kilka skórzanych foteli, mały barek i gigantyczne łóżko z baldachimem. Dziewczyna bez słowa zamknęła drzwi i jej kroki ucichły na korytarzu.
- Podobała ci się nasza hostessa? - rzucił z fotela Ralph McDermid i uśmiechnął się jowialnie od ucha do ucha, jak to on. Pulchne ciało, pulchna, okrągła twarz - robił wrażenie całkowicie odprężonego.
- Ralph, na miłość boską, ona jest w wieku mojej córki - odparł z naganą Kott. - Musimy spotykać się w takim miejscu?
- To świetna przykrywka - odrzekł szef Grupy Altmana. - Znają mnie tu. I chronią. Poza tym podoba mi się towarzystwo, towar i obsługa.
- Są gusta i guściki - mruknął sekretarz.
- Cóż za tolerancja, cóż za egalitaryzm! Usiądź. Siadaj, do cholery, i napij się czegoś. Wyluzuj, brachu. Obydwaj wiemy, że nie jesteś starym dziadkiem, za jakiego chcesz uchodzić. Opowiedz mi o tym Smisie.
- O kim?
- O podpułkowniku doktorze Jonie Smisie. - McDermid wcisnął guzik na stoliku przy fotelu i

za barową ladą zmaterializował się ubrany na biało kelner.

- Podpułkownik? Oficer? - Kott pokręcił głową. - Nigdy o nim nie słyszałem. Dlaczego? Co ma z nami wspólnego jakiś Smith? – Spojrzał na barmana. - Martini z wódką i z plasterkiem cytryny.
- Jest niebezpieczny. I ważny. Jest ważny dlatego, że... – McDermid streścił mu przebieg wydarzeń od chwili śmierci Mondragona do ewakuacji Smitha z Chin.
- I ma ten manifest? Ten prawdziwy? Cholera jasna...
- Nie - przerwał mu McDermid. - Mało brakowało i by go miał, ale pokrzyżowaliśmy mu plany. Nie wiem, czy go widział, a jeśli tak, czy zrozumiał, co czyta. Ale Mondragon na pewno o wszystkim wiedział, chociaż to już nie ma znaczenia, bo skurwiel nie żyje. Mimo to wciąż balansujemy na linie jak w cyrku. Chcemy, żeby dowiedzieli się, co przewozi „Cesarzowa”, ale żeby nie mogli tego udowodnić.
- Nadszedł kelner ze srebrną tacą. Kott wypił łyk martini i z uznaniem kiwnął głową.
- A więc nie ma problemu. Mamy zielone światło.
- Światło jest zielone, ale nie powiedziałbym, że nie ma problemu. - McDermid pokazał pustą szklankę kelnerowi, który natychmiast zabrał się do pracy. - Wątpię, czy Smith lub ludzie, którzy go zaangażowali, tak łatwo zrezygnują.
- „Ludzie, którzy go zaangażowali”? Co to znaczy? Facet musi być z CIA. Oni biorą czasem wojskowych.
- Wiem, co mówię. Według moich ludzi, i według chińskich służb bezpieczeństwa, Smith nie jest agentem CIA ani żadnej innej amerykańskiej agencji wywiadowczej.
- Kott nachmurzył czoło.
- Mówiłeś, że pracuje w USAMRIID, że pod tą przykrywką przyjechał do Chin... Nie, moim zdaniem to CIA. Zwerbowali go na jedną akcję, ale zawalił. Wyjechał i pewnie mamy go z głowy.
- Może. Ale moi twierdzą, że jest świetnie wyszkolony i nie wygląda na takiego, co pracuje dorywczo.
- Tym razem Kott wypił większy łyk.
- A może któryś z twoich rywali chce ci zrobić kuku?
- Tak, to możliwe. Były agent. Może z FBI? FBI schodzi na psy. Tak czy inaczej musimy zachować niezwykłą ostrożność... z wielu powodów.
- Naturalnie. - Sekretarz dopił martini i odstawił kieliszek. - Ale narazie wszystko idzie zgodnie z planem?
- McDermid kiwnął głową.

- „Crowe" już za nimi płynie. Są na Oceanie Indyjskim.
- Znakomicie.
- Opowiedz mi teraz o tej naradzie.
- Kott przedstawił mu szczegóły wstępnej narady budżetowej u prezydenta.
- Jak już mówiłem, tylko Brose i Oda byli skłonni całkowicie poprzeć Stantona, a Oda się nie liczy. Wszyscy pozostali pracują nad czymś, z czego za nic nie chcą zrezygnować. Było gorąco.
- A prezydent?
- Martwi się i dobrze wiemy dlaczego, prawda? Niepokoi go „Cesarzowa" i groźba konfliktu z Chinami. Jeśli do niego dojdzie, będzie musiał rzucić na front wszystko co ma, czy to w arsenałach, czy na deskach kreślarskich. Jeśli uruchomimy produkcję broni na wielką wojnę na wielkim obszarze, Chińczycy zrobią ze strachu w portki. - Kott uśmiechnął się i usiadł wygodniej. - Wszystko idzie jak po maśle, prawda?
- Mimo to musimy zachować ostrożność. Jeżeli gołębie z Zhongnanhai coś zwietrzą i zgadają się z Castillą, będzie po nas. Manifest nie może wpaść w ich ręce.
- Kott zaczął tracić cierpliwość.- No więc zniszczcie go. Zniszczcie wszystkie egzemplarze.- To nie takie łatwe. Ten szanghajski, ten z Latającego Smoka, mamy z głowy. Ale jeden egzemplarz jest w Basrze. Irakijczycy uważają, że nikt nie wykiwa ich bezpieczeństwa i nie chcą go spalić. Myślą, że jak go spalą, nie dostarczymy im towaru. Mimo to są całkowicie przekonani, że „Cesarzowa" bezpiecznie dopłynie do portu. Trzeci egzemplarz był w Hongkongu, ale kazałem go zniszczyć.
- „Cesarzowa" nie przepłynie cieśniny Ormuz. Co cię gryzie?
- Yu Yongfu, prezes Latającego Smoka . Był próżny, ambitny, nieprzewidywalny, nerwowy i na pewno by pękł. Znasz ten typ. Sny o potędze i kręgosłup z plasteliny.
- Był próżny i ambitny? - wtrącił Kott. - Był? Już nie jest?
- Nie, bo nie żyje. Kiedy dowiedział się, że Smith jest w Szanghaju, zupełnie wymiękł. Przycisnęliśmy go trochę i palnął sobie w łeb.
- Cholera jasna! - nie wytrzymał Kott. - Kolejne dwa trupy! W ten sposób nie da się utrzymać tego w tajemnicy. Morderstwo wszystko komplikuje!
- McDermid wzruszył ramionami.
- Nie mieliśmy wyboru. Ze Smithem też nie mamy. - Uśmiechnął się i podniósł szklankę jak do toastu. - Korzystajmy z uciech tego domu. Jest jeszcze czas.
- Niech cię szlag. Ona mogłaby być moją córką! Nie ma w tobie ani krzty przyzwoitości? - Kott zadrzał.
- McDermid wybuchnął głośnym śmiechem.- Jest przyzwoitość i przyzwoitość. Ja też mam dwie córki w jej wieku. I nadzieję, że bawią się tak dobrze jak ja!Kott wstał.- Nie widziałeś ich

od dziesięciu lat. Została mi jeszcze godzina. Jest tu gdzieś telefon? Mam robotę. McDermid wcisnął guzik, ponownie wzywając kelnera, i spojrzał z fotela na zniecierpliwionego sekretarza. Rozbawiony uśmiechał się szeroko, lecz oczy miał zimne.- Cokolwiek sobie zażyczysz.



# Rozdział 17

## Hongkong

- 
- Zbudowany ze stali, szkła i płytek łupkowych wieżowiec, w którym mieściła się siedziba firmy Donk LaPierre, był popisem nowoczesności. Sądząc po wyrafinowanych szczegółach architektonicznych i międzynarodowej sławie projektanta - jego nazwisko wyryto na płycie z czarnego szkła przy głównym wejściu - wynajęcie powierzchni biurowej było tu oszałamiająco kosztowne, ale czego nie robi się dla tak prestiżowego adresu. Ponownie w blond peruce - i ponownie jako major Kenneth St. Germain - Jon przystanął na chwilę, żeby zlustrować ruchliwą ulicę. Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, obrotowymi drzwiami wszedł do holu i wyłożoną łupkiem podłogą ruszył do obitych nierdzewną stalą wind. Krążące tu powietrze przefiltrowano tyle razy, że pewnie nie było w nim ani jednego wirusa. Wszystko wyglądało tu sterylnie jak w szpitalu. Wirusy. No właśnie. Natychmiast pomyślał o najnowszych pracach Kena i zaczął się w niego wcielać. Doktor Kenneth St. Germain, jeden z najwybitniejszych naukowców Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych, uległ fascynacji wirusem odkrytym niedawno w północnym Zimbabwe. Owo wciąż nienazwane maleństwo przypominało wirusy ze szczepu Machupo, pochodzące aż z Ameryki Południowej. Eksperymentując na myszach, Ken próbował dowieść, że chociaż Zimbabwe dzieli od Ameryki Południowej tysiące kilometrów oceanu, wirus ten jest w rzeczywistości odmianą wirusa ze szczepu Machupo. Zanim wysiadł z windy i przeszklonymi drzwiami wszedł do recepcji, nabrał jeszcze większej ochoty, żeby poprosić o radę Charlesa-Marie Cruyffa, głównego dyrektora azjatyckiej filii Donk LaPierre, który mógł pomóc mu w dalszych badaniach. Oczywiście był jeszcze inny powód, ten prawdziwy...
- Major Kenneth St. Germain do pana Cruyffa - przedstawił się recepcjonistce, bardziej przypominającej modelkę z okładki czasopisma niż sekretarkę. - Dzwoniliśmy, jestem umówiony.
- Oczywiście, panie majorze. Monsieur Cruyff już czeka. – Miała uśmiech za milion dolarów, idealną, złocistą cerę i odrobinę makijażu, który delikatnie podkreślał jej naturalne przymioty.
- Sekretarka czy asystentka, która wprowadziła go do gabinetu, była już zupełnie inna. Kamienna twarz, mocno kręcone blond włosy, luźny, niemodny kostium - typowa pani Donk, na pewno nie LaPierre. - Proszę za mną, panie majorze. - Mówiła barytonem, wagnerowską angielszczyzną. Błękitny dywan, hebanowe drzwi. Zapukała i nacisnęła klamkę. - Pan major St. Germain z USA - zaanonsowała z pokorą. Człowiek, któremu okazywała tyle szacunku, miał uda zawodowego cyklisty. Niski, barczysty i muskularny, był w kosztownym beżowym garniturze i chodził tak, jakby z trudem zginał nogi w kolanach. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Aaa, doktor St. Germain. Bardzo mi miło. Amerykański Wojskowy Instytut Chorób Zakaźnych, prawda? Moi ludzie są zachwyceni wynikią mi waszych badań. - To oznaczało, że dokładnie go sprawdzili. Na razie bez żadnych niespodzianek. Uścisnęli sobie ręce.
- Pochlebia mi pan, panie dyrektorze.
- Proszę, niech pan spocznie.

- Dziękuję.
- Jon wybrał ultranowoczesną sofę z chromowanymi nogami i zdejmowanymi poduszkami. Odwracając się w jej stronę, ukradkiem wyjął z kieszeni scyzoryk, ukrył go w dłoni i usiadł na styku dwóch poduszek. Spojrzał na Cruyffa. Dyrektor wrócił za biurko, lecz nie spuszczał go z oka. Smith jeszcze mocniej zacisnął palce na scyzoryku. - Zapewne pan wie, że nie jestem naukowcem. - Cruyff usiadł. - I będę z panem szczerzy: niestety, nie mam dzisiaj zbyt dużo czasu. Mam nadzieję, że się pan nie pogniewa. - Zatoczył ręką szeroki łuk, wskazując ściany obwieszane zdjęciami ważnych osobistości, podziękowaniami za dary na rzecz instytucji charytatywnych, dyplomami uznania. Na biurku piętrzył się stos dokumentów. - Nie nadażam z pracą, ale chętnie poświęcę panu choć kilka minut. - Założył ręce na piersi i odchylił się do tyłu, badając wzrokiem jego twarz, Jon chciał wcisnąć scyzoryk między poduszki, ale nie mógł tego zrobić, nie odwróciwszy przedtem jego uwagi.
- Naturalnie, panie dyrektorze, rozumiem. Dziękuję, że w ogóle zechciał pan mnie przyjąć. - Zapoznał go pobieżnie z wynikami pracy Kennetha. - Rzecz w tym, że badania postępują bardzo wolno. Stanowczo za wolno, przynajmniej w naszym instytucie. W Zimbabwie umierają ludzie. Przy dzisiejszej mobilności i łatwości przemieszczania się z kraju do kraju i z kontynentu na kontynent kto wie, gdzie wirus zaatakuje ponownie? Może zaatakować nawet tutaj, w Hongkongu.
- Hm... Tak, Hongkong jest bardzo gęsto zaludniony, to byłaby katastrofa. Ale nie bardzo rozumiem, jak mógłbym wam pomóc. - Cruyff wciąż przeszywał go wzrokiem.
- Głęboko zatroskany Jon pochylił się do przodu.
- Jedno z waszych przedsiębiorstw farmakologicznych pracuje nad hantawirusami i...
- BioMed et Cie jest w Belgii, panie majorze - przerwał mu niecierpliwie Cruyff. - Tysiące kilometrów stąd. Tu, w Hongkongu, zajmujemy się głównie marketingiem. Boję się, że nie będę mógł...
- Teraz z kolei przerwał mu Jon:
- Wiem, że BioMed jest w Belgii, panie dyrektorze, ale Donk La Pierre ma laboratorium mikrobiologiczne w Chinach i chodzi mi właśnie o to laboratorium, o ten instytut. O ile wiem, pracują tam nad azjatycką odmianą hantawirusa, a nasze badania skłaniają mnie do przypuszczeń, że wirus ten może być przenoszony przez myszy, a konkretnie przez ich odchody, które wysychają, unoszą się w powietrze w postaci drobnego pyłu i zarażają ludzi dokładnie tak samo jak wirus ze szczepu Machuro w Boliwii i w innych krajach Ameryki Południowej. Oczywiście hantawirus, nad którym pracują wasi naukowcy, przenosi się w taki sam sposób. Na pewno zna pan wyniki tych badań - zakończył z prostodusznym uśmiechem.
- Naturalnie. - Cruyff powiedział to tak, jakby naprawdę je znał i nie próbował niczego ukrywać. - Konkretnie czego chciałby się pan dowiedzieć? Chętnie odpowiem, jeśli tylko nie jest to informacja poufna, oczywiście.

- Oczywiście - zawtórował mu jak echo Jon. - Otóż niewykluczone, że wasi naukowcy pracują już nad szczepionką. Jeśli tak, zapoznawszy się z wynikami ich badań, mógłbym pójść inną drogą, zmienić kierunek swoich.
- Nie pracujemy nad szczepionką, panie doktorze. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Z drugiej strony, to interes jak każdy inny i dyrektor instytutu zawiadomiłby nas o tym dopiero wtedy, gdyby doszedł do wniosku, że istnieją potencjalne szanse na komercjalizację, na wypracowanie zysku. Możliwe, że rozważają to czysto teoretycznie, ale wątpię, czy pracują nad szczepionką przeciwko tej odmianie wirusa.
- Naprawdę? Dlaczego?
- Epidemie wirusowej gorączki krwotocznej wybuchają tylko w krajach biednych - odrzekł z protekcyjnym uśmiechem Cruyff. – Prace badawczo-rozwojowe i wyprodukowanie szczepionki pochłaniają astronomiczne sumy, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Trzeciego Świata po prostu na to nie stać, prawda?
- Może i nie, ale...
- Gdzie zwrot nakładów, panie doktorze? Co stałoby się z naszymi akcjami, gdybyśmy poszli na taką donkiszoterię? Odpowiadamy przed naszymi udziałowcami.
- Rozumiem. A więc szczepionka odpada... - skonstatawał Jon z nutką rozczarowania w głosie. I nagle się rozpromienił. - Mimo to macie tam bardzo dobrych naukowców. Może pracują nad czymś nowym i ciekawym. Rzadko kiedy bywam w Azji, dlatego zaryzykuję... mam nadzieję, że nie obrazi się pan, jeśli poproszę o pozwolenie na zwiedzenie instytutu. My, naukowcy, lubimy dzielić się poglądami. Może ja też mógłbym im jakoś pomóc. Cruyff uniósł brwi.
- - Cóż, nie widzę przeszkód. Oczywiście dokumenty podrózne będzie musiał pan załatwić we własnym zakresie, ale moja sekretarka napisze list polecający; przyślemy go do hotelu. Proszę tylko podać jej szczegóły. Mam nadzieję, że to pomoże i Chińczycy nie będą robić żadnych trudności.- Dziękuję. Z listem polecającym od pana na pewno nie. Scyzoryk coraz bardziej ciążył mu w rękę. Wizyta dobiegała końca, a on wciąż nie miał okazji, żeby wcisnąć go między poduszki. Walcząc ze zdenerwowaniem, uśmiechnął się i ruchem głowy wskazał dwa modele statków na biurku Cruyffa. W szklanych gablotach na ścianie stały jeszcze cztery.- Podziwiam pańskie modele, monsieur - powiedział. - Są piękne. Sam pan je robił? To pańskie hobby? Cruyff roześmiał się i machnął ręką.
- Nie, nie. To dzieło zawodowca. Modele naszych najlepszych statków. Cóż, jak pan wie, Donk LaPierre jest przede wszystkim przedsiębiorstwem okrętowym. - Wciąż obserwował Smitha jak przez mikroskop, nawet nie zerknął w stronę gablot.
- Widzę, że współpracujecie głównie z chińskimi firmami - rzucił niewinnie Jon.
- Cruyff zmarszczył brwi.
- Z chińskimi? Nie, ależ skąd.
- Przepraszam, to przez te nazwy. Większość jest po chińsku i w alfabecie łacińskim.

- Cruyff spojrział w lewo, ale nie na modele, tylko na sejf przy ścianie. Zrobił to nagle, odruchowo. Jon tylko na to czekał. Z ulgą rozluźnił palce i kciukiem wcisnął scyzoryk między poduszki. Cruyff szybko przeniósł wzrok z powrotem na niego.
- Nie, nie - powiedział. - Nazwy wszystkich statków zarejestrowanych w Hongkongu muszą być przetransliterowane na nasz alfabet.
- Naturalnie. - Smith szybko wstał. - Wolno dziś myślę., Cóż, nie zabieram więcej czasu. Bardzo dziękuję, że zechciał pan mnie przyjąć. Jeszcze bardziej cieszę się z tego, że będę mógł odwiedzić wasz instytut. Dziękuję.
- Nie ma za co, panie doktorze.
- Uśmiechając się i kłaniając, Jon ruszył do drzwi. Podał swój adres czyhającej w sekretariacie Walkirii, posłał uśmiech oszłamiającej recepcjonistce, pchnął szklane drzwi... I serce podeszło mu do gardła. Goniec. Szedł w jego stronę. Ale nie, minął drzwi i poszedł dalej. Gdy tylko zniknął mu z oczu, Smith szybko skręcił do toalety. Zamknął się w kabynie, wyjął z kieszeni małą słuchawkę i wetknął ją do lewego ucha; słuchawka, najnowszy wynalazek techników z wywiadu, była wielkości żelatynowego cukierka w kształcie fasolki. Musiał teraz wejść w kolejną rolę. Z poirytowaną twarzą wypadł z toalety, ponownie pchnął szklane drzwi, spieszenie minął piękną recepcjonistkę, jakby jego nagły powrót był nie tylko zaplanowany, ale i konieczny, rozkojarzony machnął ręką przed nosem oniemiałej ze zdumienia Brunhildzie i nie zwalniając kroku, dopadł drzwi do gabinetu Cruyffa. - Zgubiłem scyzoryk - mruknął i nacisnął kłamek. Cruyff wciąż siedział za biurkiem i przyciszonym głosem rozmawiał przez telefon. Zaskoczony, poderwał wzrok.
- Co jest? - warknął.
- Cholera jasna... - wymamrotał Jon. - Bardzo przepraszam. Zgubiłem gdzieś scyzoryk. Zaraz, stałem tutaj, a potem... - Przystanął przed biurkiem, rozglądając się po gabinecie, jakby próbował przypomnieć sobie, co potem zrobił.
- Mam ważny telefon, panie doktorze - rzucił gniewnie Cruyff. - Proszę się pospieszyć. - Zasłonił ręką słuchawkę.
- Czują mikrofon w uchu Smitha wychwycił końcówkę rozmowy. - ...Nie, nie przypuszczam. Nie, wypytywał mnie o badania nad hantawirusem i o szczepionkę. Chce pojechać do naszego instytutu w Chinach... Co? Tak, jak najbardziej. Pracuje w USAMRIID, tak. Moim zdaniem to zwykły zbieg okoliczności. Dziwnych? Może tylko... Nie wiem, spytał mnie, czy współpracujemy z chińskimi firmami przewozowymi. Zobaczył moje modele i... Jon spojrział na sofę.
- No jasne, to na pewno tam! - Usiadł i zaczął szperać między poduszkami.
- Jestem pewien, że pan się myli... - Nachmurzony Cruyff nie przestawał go obserwować. - Lekko ponad metr osiemdziesiąt, tak, i...
- Smith usłyszał wystarczająco dużo. Musiał stąd wiać, zanim Cruyff zacznie coś podejrzewać. Uśmiechnął się z ulgą, wstał i pokazał mu scyzoryk. - Jest. Musiał wypaść mi z

kieszeni. Przepraszam za najście i jeszcze raz dziękuję. Wybiegł z gabinetu, potrącając rozwścieczoną Walkirię, która przyszła sprawdzić, czy wszystko w porządku. Kilka sekund później lekkim truchtem biegł do windy. Drzwi jednej z nich właśnie się zamykały. Przyspieszył kroku i w ostatniej chwili wcisnął się do środka. Teraz na dół. A więc jest ktoś jeszcze, pomyślał z ponurym uśmiechem. Ktoś znacznie ważniejszy od dyrektora naczelnego ich azjatyckiej filii, ktoś na tyle ważny, że Cruyff musiał natychmiast powiadomić go o jego wizycie, ktoś, kto chciał wiedzieć, czy major Kenneth St. Germain naprawdę pracuje w Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych, jak wygląda, czy przypadkiem nie zadawał dziwnych pytań. I to płochliwe spojrzenie na sejf. Mimowolne reakcje na pytanie, czy współpracują z chińskimi firmami... Co to znaczy?

## Manila

- - Co jeszcze? - warknął do słuchawki Ralph McDermid, leżąc pod jedwabnym prześcieradłem w wielkim łóżu z baldachimem w okazałej komnacie, gdzie bawili niegdyś hiszpańscy grandowie. Miła ocieężałość już dawno minęła, dobry humor też. Charles-Marie Cruyff opisał mu dokładnie wygląd człowieka, który przyleciał do Hongkongu, żeby spytać go o coś, o co mógł spytać przez telefon albo Internet, i który wypytywał go również o współpracę z Chińczykami.
- Ma czterdzieści kilka lat - mówił. - Szczupły i wysportowany, jakby dużo ćwiczył.
- Włosy? Ciemne, zaczesane do tyłu?
- Nie, raczej blond, takie z przedziałkiem. To na pewno,...
- Dobrze. Mieszka w Shangri-la? W Kowloonie?
- Tam mamy wysłać list.
- Nie, niech pan wstrzyma się do mojego powrotu.
- Dobrze, ale jestem przekonany, że pod nikogo się nie podszywa. Ta wizyta była zapowiedziana i uzgodniona, przecież ci z USAMRIID dzwoniłi do Antwerpii.
- Możliwe, że ma pan rację, Charles-Marie. Może zależało mu tylko na kontakcie z waszymi naukowcami. Porozmawiamy, kiedy wrócę. Tym czasem proszę zająć się tym, o czym mówiliśmy. To pilne.
- - Oczywiście. McDermid odłożył słuchawkę, wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy. Dobry humor wciąż nie powracał. Gdy z łazienki wyszła wyperfumowana, cudownie naga dziewczyna, odprawił ją krótkim machnięciem ręki, podniósł słuchawkę i wybrał numer.
- Tak? - odpowiedział natychmiast wytworny głos po drugiej stronie linii.
- To ja. Myślę, że to jednak nie koniec kłopotów. - Opisał Kennetha St. Germaina i opowiedział o jego wizycie w siedzibie Donk LaPierre. Rozmówca uważnie słuchał, zadając wnikliwe, inteligentne pytania.
- McDermid mówił i mówił. I w miarę upływu czasu coraz bardziej się uspokajał. Człowiek

o cichym, wytwornym głosie był kluczem do jego przyszłości. Grupa Altmana zaszła bardzo wysoko, ale teraz miał tego człowieka w kieszeni i mogła zejść jeszcze wyżej. Tak, rozciągały się przed nim nieograniczone perspektywy. Gdy skończyli rozmawiać, na jego ustach ponownie zagościł uśmiech.

## Basra, Irak

- 
- Przyjmując zlecenia od Amerykanina, Ghassan często powracał myślą do Bagdadu, do dnia, kiedy to pogodziwszy się ze śmiercią, ocalał, uratowany nie przez Allacha, tylko przez żołnierzy z Gwardii Republikańskiej, a dokładniej mówiąc, przez ich próżność. Broniąc doktora Mahuka, wpadł w pułapkę i nie miał szans na przeżycie. I wtedy ścigający bezbronnego doktora żołnierze popędzili dalej. Nie zauważyli go, chyba o nim zapomnieli, bo każdy z nich chciał dopaść Mahuka pierwszy. Ghassan wyczołgał się na ulicę, zostawiając za sobą krwawy ślad. Pomagało mu wielu, wielu go ukrywało. Od tamtej pory lekko kulał, od tamtej pory zapomniał o strachu, żeby poświęcić życie wyzwoleniu ojczyzny. Za pośrednictwem doktora Mahuka ponownie nawiązał kontakt z pułkownikiem Smithem i zaczął pomagać Amerykanom. Tej nocy miał do wykonania kolejne zadanie. Ubrany na czarno, przycupnął na dachu domu tuż obok budynku, do którego miał wejść, czteropiętrowej kamienicy pocętkowanej kulami i szrapnelami Amerykanów i gwardzistów. Mieściły się tam teraz biura Tigris Export-Import Ltd, spółki handlującej rolniczymi środkami chemicznymi, jednej znielicznych firm, które miały prawo utrzymywać kontakty z zagranicą. Parę ulic dalej stały wielkie posągi stu jeden męczenników, którzy oddali życie w świętej wojnie z Iranem. Ich sylwetki majaczyły na tle promenady nad kanałem, który po latach bezczynności znowu ożył. Teraz rojło się tam od statków i kutrów rybackich pływających w górą i w dół rzeki Szatt al-Arab. Ich mrugające w ciemności światełka dodawały mu otuchy. Wreszcie usłyszał jakiś hałas przed wejściem. Wyjrzał zza krawędzi dachu. Sprzątaczkę. Już wychodziły; ich szef zamknął drzwi na klucz i też odszedł. A więc nadeszła pora. Przypiął do upręży cienką linę, wziął głęboki oddech, powoli zsunął się z dachu, zawisł na wysokości pierwszego rzędu okien i za pomocą ssawki oraz diamentu wyciął kawałek szyby. Wsunął rękę, otworzył stare okno i wpełznął do środka. Dziura w oknie nie miała znaczenia. Najważniejsze było to, żeby nikt go tu nie nakrył. Szybko i bezszelestnie przemknął korytarzem do sąsiedniego budynku i minawszy kilkoro drzwi, stanął przed biurem kierownika Tigris Export-Import. Wszedł, zapalił małą latorę, przeszukał kilka szuflad szafki na akta i wreszcie znalazł. Teczka Latającego Smoka z Szanghaju. Przeglądał jej zawartość o wiele wolniej, niżby chciał, ponieważ wszystkie listy z i do Chin były napisane po angielsku. Jest! Nareszcie. Piąty dokument, licząc od tego na wierzchu. Manifest okrętowy. Mozolnie porównał angielską listę z listą od Amerykanina. Gdy w końcu ustalił, że są identyczne, ucieszył się jak dziecko. Tak, to ten manifest. Po chwili uniesienia schował dokument do plastikowej koperty pod koszulą, odłożył teczkę na miejsce i szybko wrócił do okna. Ponownie przypiął linę i już kilka sekund później stanął na dachu. Tu wpełznął uprząż do małego plecaka, po czym zbiegł schodami na dół. Na ulicy przystanął w mroku i czujnie się rozejrzał. Powoli minął go patrol Gwardii Republikańskiej. Gdy tylko zniknęli za rogiem, popędził przed siebie. W drodze do domu musiał schodzić im z oczu jeszcze dwa razy. W końcu, gdy nad Szatt al-Arab wstawało już słońce, wszedł do swego małego mieszkania. Wciąż podekscytowany wyprawą, otworzył skrytkę w podłodze, wyjął z niej telefon komórkowy i wybrał numer. Nie wiedział, gdzie Amerykanin mieszka. Nigdy go o to nie pytał, a on nigdy mu tego nie zdradził. - A więc to tak odbierasz rozkazy, Ghassan? Amerykanie są

bardzo

zmyślni. Cóż, z drugiej strony mają wiele rzeczy, których my nie mamy. Gwałtownie się odwrócił. Twarz intruza tonęła w cieniu i widać było jedynie pistolet lśniący w pierwszych promieniach słońca.- Daj mi telefon i dokument. Wpadki bał się codziennie i był na nią dobrze przygotowany. Nie pozwalając sobie nawet na odrobinę żalu, rozgryzł ukrytą w zębie kapsułkę z cyjankiem, upuścił telefon i zmiażdżył go obcasem. Pierś przeszył mu rozdzierający ból i poczuł, że spada w czarną otchłań. Wijąc się w agonii na podłodze, myślał tylko o jednym, o tym, że śmierć jest niczym w porównaniu z porażką. A on poniósł porażkę.

•

# Rozdział 18

## Waszyngton

- 
- 
- Charles Ouray, szef sztabu Białego Domu, chodził nerwowo po pustym salonie. Wstawał świt i przez okna wpadało już blade światło dnia. Ouray coraz to sięgał do kieszeni po papierosa, chociaż przed dziewiętnastu laty złożył uroczystą przysięgę, że rzuci palenie. Miał posępną twarz i chaotyczne ruchy. Był bardzo spięty. Co pięć minut spoglądał na zegarek. Gdy usłyszał, że otwierają się drzwi, niespokojnie odwrócił się w tamtą stronę. Z sypialni wyszedł rześko prezydent Castilla. Wysoki, postawny i nieco za tęgi, w starannie dopasowanym garniturze wyglądał znacznie szczuplej.
- Kiedy przyjeżdża? - rzucił.
- Za dwadzieścia minut, panie prezydencie - odrzekł Ouray. - Był zdenerwowany. Bardzo zdenerwowany. Podkreślił, że sprawa jest niezwykle ważna, i powiedział, że na pewno pan wie, o co chodzi. Poprosił o natychmiastowe spotkanie. Nie, on tego spotkania zażądał.
- Powiedział, że na pewno wiem?
- Ouray nie dał się zbyć.
- A wie pan?
- Ale co?
- Co go tak przypiliło.
- Wiem.
- A ja nie wiem?
- Castilla poczuł się nieswojo, mimo to nie odpowiedział. Ouray sondował go wzrokiem. Wyciągnięcie informacji od prezydenta było równie trudne jak włamanie do Fort Knox.- Przez te przecieki wszyscy, popadamy w paranoję - dodał w zamyśleniu. - Ta narada budżetowa... nie powiedziałem o niej mojemu asystentowi. Clarence pracuje u mnie od dwudziestu lat. Wiem, że mogę powierzyć mu życie. Castilla ciężko westchnął.- Masz rację. Powinienem być cię uprzedzić. - Zawahał się lekko, jakby wciąż nie mógł się zdecydować. - Chodzi o „Cesarzową”; to chiński statek handlowy. Na początku miesiąca wypłynął z Szanghaju i wziął kurs na Basrę. Mamy niepotwierdzone doniesienia z bardzo wiarygodnych źródeł, że przewozi dziesiątki ton chlorku tionylu i tiodiglikolu. Ouray wytrzeszczył oczy.
- Chemikalia do produkcji gazów bojowych? - spytał podniesionym głosem. - Kolejny „Yinhe”...
- Rzecz w tym, że od zimnej wojny świat stał się bardziej skomplikowany, dwuznaczny i niebezpieczny. Coraz częściej odczuwam nostalgiczną tęsknotę za tymi strasznymi czasami,



kiedy to na ubitej ziemi stawało naprzeciwko siebie dwóch włochatych wielkoludów z maczugami w ręku. Może nie był to świat piękny, ale na pewno dużo prostszy. Bo teraz mamy jednego wielkoluda silnego i zdrowego, jednego chorego, jednego śpiącego i tysiące wilków, które podgryzają nam pięty i w każdej chwili są gotowe skoczyć nam do gardła.

- Ale co go tak poruszyło?
- Ambasadora? Pewnie odkryli, że za „Cesarzową” płynie nasza fregata. - Prezydent spoważniał jeszcze bardziej. - Miałem nadzieję, że zdążymy... - Zamilkł. - Są powody, by przypuszczać, że Pekin nic nie wie albo nie wiedział o tym ładunku. Że to prywatne przedsięwzięcie. Ale to w sumie bez znaczenia, prawda?
- Chyba że zdołamy to udowodnić.
- To prawda.
- A możemy? - spytał z nadzieją Ouray.
- Jeszcze nie. Jeszcze nie.
- Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc na czubki swoich wypolerowanych butów. Castilla zbierał siły. Zaraz miał zacząć tańczyć taniec, którego nie znosił. Te pozy, te groźby, te próby pojednania, zażegnania konfliktu, ta słowna szermierka, te perfidne kłamstwa. To granie na czas. Ten śmiertelnie niebezpieczny dyplomatyczny balet. Wreszcie westchnął, rozpiął marynarkę i podciągnął spodnie.- Cóż, chodźmy porozmawiać z jego ekscelencją. - Zatarł ręce. – Do boju, Charles!Gdy do Gabinetu Owального wszedł Wu Bangtiao, ambasador Chińskiej Republiki Ludowej, czekali grzecznie przed biurkiem. Ambasador, mężczyzna niski i drobny, był kiedyś słynnym międzynarodowym piłkarzem i jak na piłkarza przystało, chodził krokiem szybkim i zwinnym. Przyszedł w granatowym garniturze a la Mao, a więc w stroju dość wyzywającym, lecz jego uśmiech, choć nikły, był uśmiechem przyjaznym, może nawet przyjacielskim. Prezydent zauważył to i kątem oka spojrział na Ouraya. Jego stary druh też się leciutko uśmiechał, a więc wszystko zrozumiał. Dobrze.
- Bardzo dziękuję, że zechciał pan przyjąć mnie bez uprzedzenia, panie prezydencie - zaczął Wu z lekkim kantońskim akcentem, chociaż przez wiele lat studiował w Christ Church na Uniwersytecie Londyńskim i mówił doskonałą angielszczyzną. - Na pewno domyśla się pan powodu mojego nagłego najścia. - Mimo uśmiechu nie wyciągnął do prezydenta ręki.
- Zna pan Charlesa Ouraya, szefa mojego personelu, prawda? – spytał Castilla.
- Tak, miałem tę przyjemność, i to wiele razy - odparł Wu Bangtiao z nutką rozdrażnienia w głosie, by dać do zrozumienia, że nie chce zmieniać tematu.
- - W takim razie może usiądziemy? - rzekł serdecznie prezydent. Wskazał mu wygodny, skórzany fotel naprzeciwko biurka i usiadł na swoim. Ouray zajął miejsce nieco z boku, na krześle przy ścianie. Stopy ambasadora ledwo dotykały podłogi; fotel zrobiono dla rośłych meksykańskich ranczerów i oczywiście właśnie dlatego Castilla tam gościa posadził. Prezydent odchylił się do tyłu i ukrywając uśmiech, powiedział:- Jeśli chodzi o powód pańskiej wizyty, panie ambasadorze, naprawdę się go nie domyślam. Mam nadzieję, że wszystko nam pan wyjaśni. Wu zmrużył oczy i

spoważniał.

- Doniesiono nam, że amerykańska fregata USS „John Crowe” śledzi jeden z naszych masowców na pełnym morzu.
- Jest pan pewien, że nie płynie po prostu tym samym kursem? - spytał Ouray.
- Ambasador przeszył go lodowatym wzrokiem.
- Ponieważ wasza fregata jest o wiele szybsza niż zwykły statek handlowy i ponieważ mimo to od wielu godzin utrzymuje tę samą pozycję, wniosek może być tylko jeden: „Crowe” śledzi „Cesarzową”.
- Nie powiedziałbym, że tylko jeden - odparł spokojnie Castilla. - Czy mogę spytać, gdzie ta „Cesarzowa” teraz jest?
- Na Oceanie Indyjskim. -Ambasador zerknął na zegarek. - Albo już na Morzu Arabskim.
- Aha. A jej portem docelowym jest...
- Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale to nieistotne. Statek jest na pełnym morzu, a na pełnym morzu statek każdego suwerennego kraju ma prawo płynąć dokąd chce.
- Panie ambasadorze, obydwaj wiemy, że to bzdura. Każdy kraj broni własnych interesów. Bronią go Chiny, bronimy i my.
- Panie prezydencie, czy można wiedzieć, jakiego interesu bronią Stany Zjednoczone, niepokojąc nieuzbrojony statek handlowy na wodach międzynarodowych?
- Właśnie próbuję to panu wytłumaczyć, panie ambasadorze. Ponieważ o niczym mnie nie poinformowano, nie znam żadnych szczegółów i nie wiem nawet, czy wasz statek rzeczywiście znalazł się w pobliżu naszej fregaty. Jeśli to jednak prawda, myślę, że cała sytuacja jest wynikiem tego, że nasza marynarka wojenna odbywa w tym rejonie rutynowe ćwiczenia.
- Czy mam przez to rozumieć, że amerykańska marynarka wojenna rutynowo śledzi chińskie statki handlowe?
- Niech pan nie wygaduje bzdur! - wybuchnął Castilla. - Dobrze pan wie, że to nieprawda. Nie wiem, dlaczego „Crowe” płynie za tym statkiem, ale się dowiem. Czy to wszystko, panie ambasadorze?
- Wu Bangtiao nawet nie mrugnął. Szybko wstał.- Tak, panie prezydencie. Pragnę tylko przekazać, że rząd Chińskiej Republiki Ludowej zrobi wszystko, by chronić nasze prawo do swobodnej żeglugi na wodach międzynarodowych. Nie powstrzyma nas nawet ingerencja czy atak ze strony USA.Castilla wstał jeszcze szybciej.
- Proszę przekazać pańskiemu rządowi, że jeśli wasz statek naruszy prawo międzynarodowe, jego przepisy, uregulowania tudzież określone przepisami ograniczenia, Stany Zjednoczone zastrzegają sobie prawo do interwencji, by temu zapobiec.
- Przedstawię pański pogląd mojemu rządowi. - Wu uklonił się, skinął głową Ourayowi, odwrócił się z wdziękiem i sztywnym krokiem wymaszerował z gabinetu.

- Castilla długo patrzył na drzwi. Patrzył, lecz ich nie widział, podobnie jak Ouray.
- Oni nie wiedzą - powiedział w końcu prezydent. - Nie wiedzą, co przewozi „Cesarzowa”.
- Nie. Ale czy to coś zmienia?
- W normalnych okolicznościach powiedziałbym, że nie. – Castilla potarł policzek. - Tylko że są bardziej powściągliwi, niż się spodziewałem. Nie uważasz?
- Ouray splótł dłonie między nogami, zmarszczył czoło i pochylił się do przodu.- Nie jestem pewny. Moim zdaniem to wyglądało na typowe ostrzeżenie, na zwykłą pozę.
- Pro forma. Należało tego oczekiwać. Ale Wu jest wytrawnym mistrzem niuansu i miałem wrażenie, że tym razem robi to rzeczywiście pro forma. Co więcej, myślę, że celowo chciał nam pokazać, że to tylko poza.
- Może. Ale wie, że kłamaliśmy.
- Oczywiście, że wie, lecz nie próbował nam tego udowodnić. Niczego nie kwestionował, nie złożył oficjalnego protestu i zareagował dopiero wtedy, kiedy go odprawiłem. Nie miał wyboru: musiał to zrobić albo wyszedłby z pustymi rękami.
- Fakt, spluwy przy sobie nie miał, to pewne. Włożył za to garniturek a la Mao, a to jego zbroja.
- Mówił niejasno i dwuznacznie - podsumował prezydent. - Tak, o to im chodziło. Pekin, a przynajmniej większość członków Stałego Komitetu nic nie wie. Mimo to, bez względu na okoliczności, nie mogą sobie pozwolić, żeby ktoś robił z Chin popychadło na oczach całego świata. Z drugiej strony nie dążą do konfrontacji. I nie chcą tego upubliczniać, przynajmniej jeszcze nie teraz. Dają nam trochę luzu. I czasu.
- Tak, tylko ile?
- Musi go starczyć przynajmniej na tyle, żebyśmy zdążyli wykonać jakiś ruch, zanim „Cesarzowa” dopłynie do Basry. - Castilla ze smutkiem pokręcił głową. - Albo zanim wszystko przecieknie do prasy, wybuchnie i się rozleci.
- W takim razie trzeba utrzymać to w tajemnicy, wszelkim kosztem.
- I zdobyć dowód.
- Tak, ale... mam propozycję.
- Jaka?
- Ouray wciąż siedział skulony, jakby męczył go ostry ból brzucha. Drżały mu mięśnie twarzy.
- Wysłuchawszy pańskiej rozmowy z Wu, aż za dobrze rozumiem konieczność zachowania jak najściślejszej tajemnicy. Mimo to myślę, że pora wprowadzić w sprawę sekretarza obrony Stantona, sekretarza stanu Padgetta i wiceprezydenta Eriksona. Chińczycy zainterweniowali, Stanton i Padgett muszą być przygotowani. A gdyby, co nie daj Boże, przydarzyło się panu coś złego, wszystko spadnie na wiceprezydenta. Musimy go wprowadzić, i to szybko. Może

zabraknąć czasu.

- A Połączone Kolegium Szefów Sztabów? - spytał Castilla po chwili zastanowienia.
- Wie o tym Brose, to na razie wystarczy. Pozostali mogą zacząć szaleć, od razu sięgną po broń, a to by wszystko skomplikowało.
- Dobrze, zgoda. Zorganizuj spotkanie. I zaprosz Brose'a.
- Zostawszy sam, Castilla odwrócił się z fotelem do okna. Oczami wyobraźni przez kilka sekund widział małego chłopca. Uśmiechnął się. Chłopiec był dokładnie taki sam jak on przed laty; duży jak na swój wiek, taki z rozwichrzoną czupryną jasnych jak len włosów. Wyciągał ręce do jakiegoś mężczyzny. Mężczyzna nachylił się, żeby go podnieść, lecz jego twarz była zamazana, nieostra i chłopiec jej nie widział. Nie widział swojego ojca.

## Hongkong

- Jon przebił się przez tłum na chodniku, przeszedł na drugą stronę ruchliwej Stanley Street i skręcił do ogródka ulicznej lodziarni. Zewsząd dobiegały trąbienie klaksonów i przekleństwa chińskich kierowców. Zamówił kawę i z filiżanką w ręku uważnie obserwował wejście do gmachu, w którym mieściła się siedziba azjatyckiej filii Donk LaPierre. Ponieważ nie wybiegli stamtąd ani umundurowani ochroniarze, ani cywile, ponieważ nikt go nerwowo nie wypatrywał, dopił kawę, wezwał taksówkę i kazał wieźć się do hotelu. Wciąż zachowując czujność, rozglądał się na wszystkie strony, gdy jechali zatłoczonymi ulicami, a potem podmorskim tunelem do Kowloonu, by wreszcie stanąć przed Shangri-la. Wszedł do pokoju, padł na łóżko i wyjął telefon, żeby złożyć meldunek Kleinowi. Klein siedział jak zwykle za biurkiem w prywatnej przystani jachtowej nad brzegiem Anacostii. - Fred, czy ty kiedykolwiek bywasz w domu? - Jon wyobraził go sobie w mrocznym gabinecie z zaciągniętymi zasłonami i zamkniętymi okiennicami, gdzie zamiast dnia panowała wieczna noc. Klein puścił to pytanie mimo uszu.
- Rozumiem, że bezpiecznie dotarłeś na miejsce.
- Tak, ale... - Smith zawahał się, czując kwaśny smak w ustach. - Ale popełniłem błąd.
- Duży?
- Trudno powiedzieć. - Wyjaśnił mu, co się działo. - Albo Jan Donk nie istnieje, albo zadzwoniłem pod zastrzeżony numer, albo jedno i drugie. Może to jakiś specjalny numer, który znał tylko Yu Yongfu.
- Albo taki, pod który dzwonią tylko w sprawie „Cesarzowej”.
- Tak czy inaczej tamci wiedzą już, że ktoś go zna, że ten ktoś jest w Hongkongu i że może interesować go „Cesarzowa”. Przestraszyli się tak bardzo, że wysłali uzbrojonych goryli do budki telefonicznej. Co łączy się z kolejnym problemem...
- Nie mogę już się doczekać - mruknął Klein zmęczonym, zirytowanym głosem. - Na pewno pan z tym sobie poradzi, pułkowniku?
- Jeśli chce pan ściągnąć mnie do domu, chętnie wrócę w każdej chwili - warknął Jon.
- Zaskoczony Klein umilkł. Zapadła cisza.

- Przepraszam, Jon. Chciałem tylko rozładować atmosferę, bo tu jest dość ponuro.
- Też kłopoty?
- Chińczycy zauważyli, że za „Cesarzową” płynie nasza fregata. Ich ambasador przyszedł zrobić tu burzę na morzu, jeśli wybaczysz mi tę morską metaforę.
- Wkurzyli się?
- Prezydent uważa, że jeszcze nie, nie do końca. Jak dotąd interesuje ich tylko gra wstępna. Obydwaj wiemy, że szybko im się znudzi. Powiesz mi coś pocieszającego, zanim dobijesz mnie ostatecznie? Dowiedziałeś się czegoś u tego Donka?
- Trzech rzeczy. Cruyff, ich dyrektor, ma w sejfie coś, co go niepokoi, poza tym denerwują go pytania o współpracę z Chińczykami.
- To dwie.
- Trzecia jest najciekawsza. W tę sprawę zamieszany jest ktoś znacznie ważniejszy, ktoś, komu Cruyff składa meldunki, kto wie, jak wyglądam i że byłem w Szanghaju. - Smith opisał przebieg rozmowy z Cruyffem i swój nagły powrót do gabinetu po „zgubiony” scyzoryk.
- Zidentyfikowanie jego rozmówcy nie powinno być trudne. Mam ludzi w Antwerpii.
- Cruyff mówił po angielsku. Nie po francusku czy flamandzku, tylko po angielsku, dlatego nie przypuszczam, żeby rozmawiał z Antwerpią. Nie, myślę, że jego szef jest tutaj, w Hongkongu. Byłem w peruce i to ich trochę spowolniło, ale jestem przekonany, że wcześniej czy później przyślą kogoś do hotelu. Muszę wiedzieć, kto to jest, żeby opracować jakiś plan.
- W dzisiejszych czasach, królują międzynarodowe korporacje i holdingi, dlatego nie można wykluczyć, że belgijscy szefowie Cruyffa nie są Anglikami albo Amerykanami. Ale dobrze, zaraz się do tego zabiorę. Co teraz zamierzasz?
- Idę coś zjeść. Coś porządnego, tak dla odmiany. Potem chciałbym się trochę przespać. Miło by było choć raz spędzić w łóżku całą noc.
- Ja też nie śpię. Ani prezydent.
- U was jest rano.
- - To tylko szczegół techniczny. Śpij z komórką i pistoletem pod poduszką. Zadzwoń. Słodkich snów, pułkowniku.

## **W drodze do Hongkongu**

- Ralph McDermid uważał, że ich najnowocześniejszy samolot - zmodyfikowana wersja 757 z kuchnią, salą konferencyjną wyłożoną czereśniową boazerią i z sypialnią - jest jego prywatnym środkiem transportu. Zresztą miał pełne prawo korzystać z niego ile dusza zapagnie. Zapisano to w jego czterdziestostronicowej umowie o pracę, wraz z pakietem akcji, premią motywacyjną, sutą odprawą, ubezpieczeniem, członkostwem klubu oraz z prawem do korzystania ze służbowych samochodów, domów i apartamentów na całym świecie. Siedział wygodnie z nogami na oparciu fotela, wsłuchując się w usypiający pomruk silników, gdy zadzwonił telefon.

Feng Dun.McDermid momentalnie się ocknął.

- Gdzieś ty, do diabła, był? - warknął. - Dzwoniłem trzy razy!
- Szukałem, tajpanie - odparł zimno Feng.
- Tajpan, stara forma grzecznościowa, podkreślająca wyższy status rozmówcy - McDermid nie był tak do końca pewien, czy Feng nie chce go tym obrazić. Podejrzewał, że chce. W XIX wieku Chińczycy nazywali tak europejskich i amerykańskich grabieżców, którzy zbijali w Chinach i Hongkongu fortunę, nie dając prawie nic w zamian. Ale cóż, potrzebował Fenga, więc ograniczył się tylko do krótkiego pytania:
  - Czego się dowiedziałeś?
  - Li Kuonyi zniknęła. Była w domu ojca, a teraz jej nie ma. Nikt nie wie, gdzie przepadła. Ani jej służba, ani nikt z Latającego Smoka.
  - McDermid zmarszczył czoło. Niepokojąca wiadomość. Yu Yongfu palnął sobie w łeb i j ego żona mogła stać się niebezpieczna. Wszystko zależało od tego, jak bardzo przeżywa jego śmierć i jak bardzo kocha swoje dzieci.
    - Jej ojciec też nie wie?
    - Mówi, że nie. Dzieci są z nim. Cały czas mam ich na oku.
    - Nie. Zleć to swoim najlepszym ludziom. Chcę, żebyś zajął się kimś innym. Osobiście.
    - Kimś innym?
    - Jonem Smithem. Możliwe, że jest w Hongkongu.
  - Feng zacisnął szczęki. Bardzo go to zainteresowało.- Ten człowiek jest jak wąż o północy. Ciągłe pojawia się tam, gdzie się go najmniej spodziewamy. Nie uprzedził mnie pan, że ma taki talent.McDermid zmełł w ustach przekleństwo.- Podejrzewam, że szuka trzeciego egzemplarza manifestu. Wiem, za kogo się podaje i gdzie się zatrzymał. Kiedy możesz być w Hongkongu, żeby go zabić?
  -

# Rozdział 19

## 16 września, sobota Hongkong

- 
- 
- Do świtu została jeszcze godzina, gdy szczupły Chińczyk sięgnął do kieszeni fartucha martwej pokojówki, wyjął z niej klucz uniwersalny i zaciągnął zwłoki do pakamery na hotelową bieliznę. Pokojówka. Jej miękkie, wiotkie ciało miało w sobie coś ohydneho, było jak worek z ryżem, z którego wysypała się połowa zawartości. Chińczyk wepchnął je do środka i zamknął drzwi na klucz. Nazywał się Cho. Miał dwadzieścia kilka lat, wyglądał dużo młodziej i serce waliło mu jak młotem. Chociaż był doświadczonym zawodowcem, w takich sytuacjach strach nigdy go nie opuszczał, lecz dzięki swemu wyglądowi mógł wejść tam, gdzie starsi nie daliby rady. Dlatego nie narzekał na brak lukratywnych zleceń, które zawsze wypełniał. Biegł korytarzem, aż znalazł właściwe drzwi. Przekręcił klucz w zamku i ostrożnie je pchnął. Gdy oparły się o łańcuch, wytężył słuch.
- Cisza. Ciemność. Lekko przyciągnął drzwi do siebie, włożył do szpary długie narzędzie własnej roboty i wprawnym ruchem wysunął łańcuch z uchwytu. Schował narzędzie do specjalnej kieszeni w czarnych džinsach, powoli wszedł do środka, bezszelestnie zamknął drzwi i przesunął się w lewo.
- Przywarł plecami do ściany i zastygł bez ruchu, czekając, aż oczy przywykną do ciemności. Czuł ciepłą wilgoć w powietrzu - jego ofiara była w pokoju, głęboko oddychała. Spała. Przez zaciągnięte zasłony dochodziły przytłumione odgłosy ruchu ulicznego. Oprócz nich nie było słyhać nic. Chińczyk ostrożnie ruszył przed siebie. Szedł bezszelestnie - był w mięciutkich pantoflach, a na podłodze leżał gruby, miękki dywan. Łóżko. Mężczyzna leżał na plecach. Oddychał głęboko i rytmicznie, nie zdając sobie sprawy, że za kilka sekund pierś przestanie mu się podnosić i opadać już na wieki. Był tylko jeden problem: mężczyzna leżał pod prześcieradłem i kocem. Cho zawahał się. Zadać cios przez koc, nie znając dokładnego ułożenia ciała, czy spróbować odkryć nagą, bezbronną pierś? Wtedy zobaczył rękę. Prawą. Wystawała spod koca i zwisała nad brzegiem łóżka. Była równie bezwładna jak ręce martwej pokojówki. Raptem lekko drgnęła. Cho przesunął po niej wzrokiem: dłoń, przedramię, ukryte pod kocem ramiona, wreszcie pierś. Uśmiechnął się do siebie, wyjął zza paska sztylet, skierował go ostrzem w dół, zacisnął palce na rękojeści i wziął zamach. Jon patrzył, jak Cruyff sunie ku niemu przez lepką mgłę z okrutnym uśmiechem na ustach i ostrym nożem w zębach. Za Cruyffem płynęła amerykańska fregata, ale Jon czuł, że już za późno, że nie zdąży mu pomóc. Uśmiechnięty Cruyff miał zawiązaną na szyi piracką czerwoną bandanę, która opasywała mu czoło i głowę. Dotarł do łóżka i... Smith uchylił powieki. Tylko odrobinę, poza tym ani drgnął. Śnił mu się Cruyff, lecz majaczący nad łóżkiem cień nie był cieniem Cruyffa. I nie był to sen. W smużce słabego światła, sączącego się z korytarza, ledwie o krok od łóżka dostrzegł sylwetkę szczupłego mężczyzny. I uniesioną rękę. Mężczyzna trzymał w niej coś błyszczącego. Sztylet. Ręka błyskawicznie opadła. W tej samej chwili Jon chwycił ją za nadgarstek - tak cienki, że zdawało się, iż zaraz pęknie. Ale nie, drzemała w nim potężna siła. Cień stanął dęba jak przerażone dzikie zwierzę, szarpnął się wściekle, próbując uwolnić rękę z uchwytu. Jon zacisnął palce jeszcze mocniej i gwałtownym ruchem przyciągnął nadgarstek bliżej, żeby wytrącić

napastnikowi sztylet z ręki. Ale sztylet wciąż w niej tkwił. Palce nie chciały się rozluźnić. Smith szarpnął się, dźwignął z łóżka, napał na mordercę całym ciałem, ale Chińczyk runął do tyłu, pociągając go za sobą. Jon przygniótł go swym ciężarem. I nagle napastnik znieruchomiał. Ciężko dysząc, półnagi Smith poczuł, że w pokoju jest chłodno. Usłyszał przytłumiony szum samochodów na ulicy. Napastnik wciąż leżał bez ruchu. Nie zwalniając ucisku, wolną ręką Jon szukał sztyletu. Dłoń Chińczyka była pusta. Szybko pomacał po dywanie. Tam też go nie znalazł. Wtedy poczuł na piersi coś gorącego i lepkiego, poczuł słaby, metaliczny zapach świeżej krwi. Sprawdził mordercy puls. Pulsu nie było. Jon zerwał się z podłogi, zapalił światło i gwałtownie wciągnął powietrze. Rękojeść sztyletu sterczała Chińczykowi z piersi. Musiał nadzieć się na ostrze, gdy upadli. Na czarnej koszuli widniała mała mokra plama. Smith wziął głęboki oddech. Podszedł do telefonu i... znieruchomiał. Nie, nie mógł zadzwonić na policję, to wykluczone. Zadawaliiby zbyt wiele pytań. Krew nie zdążyła jeszcze spłynąć na dywan. Schylił się i podniósł trupa z podłogi. Chińczyk był lekki jak dziecko. Zaniósł go do łazienki, włożył do wanny, cofnął się o krok i... Odwrócił się raptownie, słysząc przenikliwy dzwonek telefonu. Wpadł do pokoju i wyjął komórkę spod poduszki.

- Fred? Właśnie...
- Mam dwóch kandydatów - przerwał mu Klein, chcąc jak najszybciej przekazać dobrą nowinę. - Chodzi o tego tajemniczego faceta, z którym rozmawiał Cruyff. Jeden to czysty domysł, rutynowy strzał w ciemno, ale drugi rokuje duże nadzieje.
- Ale Jon prawie go nie słyszał.
- - Fred, właśnie kogoś... zabiłem. Mały, niski, wyglądał na niedożywionego trzynastolatka. Gdybym nie zapalił światła, nigdy bym się nie domyślił, że to dorosły mężczyzna.
- Zaszokowany Klein zamilkł, ale szok trwał tylko ułamek sekundy.
- - Ale dlaczego...? Gdzie?
- Nasłali go, chciał mnie zabić. Chińczyk. Tutaj, w hotelu.
- Szok ustąpił miejsca zaniepokojeniu.
- Ciało wciąż tam jest?
- W wannie. Na dywanie nie ma krwi. Mieliśmy szczęście, co? Ja miałem szczęście. Prawie mu się udało. Jakiś wygłodniały biedak potrzebował kasy i te sukinsyny mu ją daty. On miał pecha, ja fart i...
- Niech się pan uspokoi, pułkowniku - warknął Klein i niemal łagodnie dodał: - Przykro mi, Jon.
- Smith wziął głęboki oddech. Przez chwilę czuł do siebie odrazę, że tak chętnie wyruszył na poszukiwanie „przygód”, żeby przerwać monotonię konferencji na Tajwanie.
- - Dobrze - powiedział. - Przeniosę ciało gdzie indziej. Nie znajdą tu ani śladu.
- Dopiero wtedy dotarły do niego słowa Kleina: „Mam dwóch kandydatów... Jeden to czysty



domysł, rutynowy strzał w ciemno, ale drugi rokuje duże nadzieje".Poczuł, że zaczyna dochodzić do siebie. Po fali wściekłości przysłała tępa świadomość, że trzeba się z tym pogodzić. Po raz pierwszy zrozumiał, jak ważne jest to, by wierzyć, że robi się coś dobrego. Gdyby nie wiara, czyż mógłby wykonywać tę pracę?

- Niech pan zacznie od tego „rutynowego” - rzucił krótko.
- To Louis LaPierre - odrzekł Klein. - Przewodniczący zarządu i dyrektor naczelny firmy Donk LaPierre. Mieszka w Antwerpii, mówi po angielsku, ale jest belgijskim Walończykiem. Jego pierwszym językiem jest na pewno francuski, drugim flamandzki. Mało prawdopodobne, żeby rozmawiał z Cruyffem po angielsku.
- W Hongkongu prawie wszyscy mówią po angielsku. Może nie chcieli, żeby podsłuchał ich ktoś w Antwerpii?
- Też przyszło mi to do głowy.
- A drugi kandydat?
- Tu zaczyna robić się ciekawie. Moi eksperci odkryli wielki labirynt fasadowych firm, filii i zagranicznych przedstawicielstw, które miały za maskować prawdziwych właścicieli Donk LaPierre. Ustalili, że ten międzynarodowy gigant jest częścią jeszcze większego molocha, z którego pochodzi mój kandydat numer dwa. Ten moloch to Grupa Altmana.
- Nigdy o niej nie słyszałem.
- Pewnie słyszałeś, ale jak większość z nas nie miałaś powodu, żeby zwrócić na nią uwagę. Altman zatrudnia sztab speców, którzy robią wszystko, żeby firma nie trafiła na pierwsze strony gazet. Ale w kręgach międzynarodowej finansjery jest słynny, niemal legendarny...
- Słucham, słucham, niech pan mówi dalej.
- To wielobranżowy, wielonarodowy konglomerat i jednocześnie największy na świecie holding rewindykacyjny. Codziennie doprowadzają do bankructwa dziesiątki firm, codziennie zbijają olbrzymią fortunę. Spójrz teraz na skład ich zarządu. Zasiadają w nim ludzie blisko związani z administracją naszych czterech ostatnich prezydentów, łącznie z byłym prezydentem, byłym sekretarzem obrony i byłym dyrektorem CIA. To jeszcze nie wszystko. Grupą Altmana kieruje były brytyjski premier, a jego zastępcą jest były minister finansów Niemiec. Na czele azjatyckiej filii Altmana stoi były prezydent Filipin.
- Jon cicho zagwizdał.
- - Rolodex przy nich wysiada.
- Nigdy dotąd nie słyszałem o firmie, która miałaby na liście płac tylu znanych polityków. Ich siedziba główna mieści się w Waszyngtonie, w czym nie ma nic niezwykłego. Za to jej adres zwala z nóg: Pennsylvania Avenue, w połowie drogi między Białym Domem a Kapitołem, ledwie kwadrans w jedną i drugą stronę.
- I o rzut kamieniem od Gmachu Hoovera - dodał Jon, odtwarzając w pamięci plan miasta. - Sam środek Waszyngtonu, dosłownie i w przenośni.

- Właśnie.
- Jak to możliwe, że o nich nie słyszałem?
- Już ci mówiłem, mają żelazną rękę i robią wszystko, żeby nie trafić do mediów.
- Imponujące. Skąd o tym wszystkim wiesz?
- To informacje ogólnie dostępne, ale ponieważ Altman trzyma się w cieniu, niewielu to interesuje. Firma powstała w 1987 roku, kiedy to pewien ambitny pracownik państwowy rzucił pracę, pożyczył sto tysięcy dolarów i kupił swego pierwszego politycznego gwiazdora, byłego senatora. Z jego nazwiskiem na afiszach firma zaczęła się rozwijać, kupować inne firmy. Jedne zatrzymywała, inne sprzedawała, zawsze z przyzwoitym, czasem z obrzydliwie dużym zyskiem. Przy czym cały czas zabiegała o kolejne nazwiska, o coraz większe znakomitości, tak że dzisiaj stoją przed nią otworem niemal wszystkie drzwi. To imperium warte trzynaście miliardów dolarów, imperium, które inwestuje na całym świecie. Nie zdziwiłbym się, gdyby pakowali pieniądze w lód na Antarktydzie. Nieźle, co?
- A więc Altman to gigantyczny holding finansowy... - Smith próbował dopasować to do układanki. - Siedziba ich azjatyckiego przedstawicielstwa jest tutaj, w Hongkongu?
- Tak.
- Czy ten filipiński prezydent zna tylko angielski i tagalog?
- Nie, mówi płynnie co najmniej sześcioma językami, w tym po francusku i holendersku. Ale teraz go tam nie ma, i to od kilku miesięcy. Jest w Szwecji, w uzdrowisku. Od wielu tygodni nie dzwonił do Hongkongu, już to sprawdziliśmy.
- W takim razie kto jest tym drugim kandydatem?
- Ralph McDermid, ich inwestycyjny guru i założyciel firmy.
- McDermid? W takim razie skąd wzięła się nazwa „Altman”?
- Tak miał na imię jego ojciec, Altman McDermid. Był biznesmenem i splajtował. Podczas wielkiego kryzysu stracił nowiutką drogerię. Doszedł do siebie, odbudował firmę, ale stracił ją ponownie w latach sześćdziesiątych, kiedy w ich małym miasteczku w Tennessee otwarto supermarket. Wtedy przestał pracować. Rodzinę utrzymywała żona. Była sprzątaczką. Jon kiwnął głową.
- Może Ralph McDermid próbuje zrekompensować sobie to, co spotkało jego ojca. Albo boi się, że spotka go to samo i chce zabezpieczyć się na przyszłość.
- Albo jest finansowym geniuszem i nie potrafi się powstrzymać. Jest teraz w Hongkongu. To Amerykanin, mówi tylko po angielsku.
- Smith trawił to przez chwilę.
- Dobra, wszystko rozumiem, ale co McDermid może mieć wspólnego z „Cesarzową”? Przecież to tylko jeden statek. Dla takiego giganta jak Altman to drobiazg bez znaczenia.
- Fakt, ale nasze informacje są pewne: Grupa Altmana jest właścicielem Donk LaPierre, a

Donk LaPierre właścicielem Latającego Smoka, „Cesarzowej” i jej ładunku. Od ciebie chcę tylko jednego, i to natychmiast: manifestu. Sprawdź McDermida. Wybadaj, czy można go w jakiś sposób powiązać z „Cesarzową”. I czy ma ten przeklęty manifest.

## 15 września, piątek Waszyngton

- 
- 
- Prezydent Castilla szukał słów, które mogłyby zarówno oddać powagę tego, co miał im za chwilę powiedzieć, jak i usprawiedliwić jego dotychczasowe milczenie. Powiódł wzrokiem po twarzach pięciu mężczyzn siedzących po obu stronach stołu konferencyjnego w Pokoju Sytuacyjnym w podziemiach Białego Domu. Na trzech z nich malował się wyraz lekkiego zaskoczenia.
- Ponieważ spotykamy się w rym miejscu - zaczął - pewnie domyślacie się, że sytuacja jest poważna. Zanim przejdę do rzeczy, chcę przeprosić trzech z was za to, że mówię o tym dopiero teraz, a potem wyjaśnić, dlaczego nie muszę nikogo przeproszać.
- Jesteśmy do pańskiej dyspozycji, panie prezydencie - odrzekł wiceprezydent Brandon Erikson, i dodał: - Jak zawsze. - Silny i dobrze zbudowany, miał czarne włosy, regularne rysy twarzy i urok Johna Kenne-dy'ego, którym rozbierał wyborców. Był młody - niedawno skończył czterdzieści lat - i sływał ze swego dynamizmu, lecz jego prawdziwym atutem była błyskotliwa inteligencja, pod którą krył się zmysł polityczny wykraczający daleko poza zdobyte przez lata doświadczenie.
- Jaka sytuacja? - rzucił podejrzliwie sekretarz obrony Stanton. Popatrzył po twarzach kolegów i jego łysina zaślniła w padającym z góry świetle.
- Czy mam rozumieć, że admirał Brose i pan Ouray już o tym wiedzą? - Sekretarz stanu Abner Padgett zadał to pytanie zładnie spokojnym głosem, lecz jego oczy zdradzały głęboką urazę. Siedział w fotelu, wielki i tęgi, nieświadomie emanując wrodzoną pewnością siebie, którą Castilla wielokrotnie wykorzystywał, wysyłając go do najgorętszych i najbardziej zapalnych punktów na kuli ziemskiej, żeby dobił z kimś targu czy załagodził sytuację. W delikatnych misjach dyplomatycznych Padgett był świetny, w domu zaś wyjątkowo wrażliwy i wybuchowy.
- Admirał Brose musiał o tym wiedzieć. - Prezydent przeszył ich wzrokiem. - Charliemu powiedziałem dopiero dziś rano, żeby mógł zwołać tę naradę. Wasze reakcje mówią same za siebie, dlatego nie muszę nikogo przeproszać. W tej ekipie jest za dużo rozbuchanych ego, za dużo prywatnych ambicji i osobistych interesów. Co gorsza - dobrze wiecie, że to szczerą prawdą - niektórzy z was gadają z ludźmi, z którymi nie powinni gadać, o sprawach, które powinny pozostać tylko między nami. Czy wyrażam się jasno?
- Ma pan na myśli te przecieki? - Henry Stanton poczerwieniał jak burak. - Mam nadzieję, że nie odnosi się to do mnie.
- Tak, mam na myśli przecieki i odnosi się to do wszystkich tu obecnych. - Wbił wzrok w Stantona. - Postanowiłem, że w tej sytuacji każdy będzie dysponował tylko takimi informacjami, jakie są mu absolutnie niezbędne do działania. I że to ja uznam, czy taka to a taka informacja jest niezbędna. Ja. Nie wy ani nikt inny. I zamierzam się tego trzymać. - Zacisnął szczęki. Spojrzenie

miął tak twarde, minę tak srogą, że jego twarz była jak wykuta z kamienia w Monument Valley.

- Myślę, że wszyscy to rozumiemy, panie prezydencie - łagodził Erikson. - Tego rodzaju decyzje są trudne, ale właśnie dlatego pana wybraliśmy. Wiemy, że można panu zaufać. - Spojrzał na Stantona i Padgetta. - Prawda, panowie?
- Sekretarz obrony odchrząknął.
- Oczywiście, panie prezydencie - odrzekł z pokorą.
- Absolutnie - dodał szybko sekretarz stanu. - Fakty przede wszystkim.
- Tak, Abner, twarde fakty, a ja je znam. I właśnie uznałem, że pora was z nimi zapoznać. - Castilla pochylił się nad stołem i splótł ręce. - Grozi nam powtórka fiaska z „Yinhe”.
- Oni siedzieli jak przykuci do foteli i z narastającym niepokojem słuchali, a on opowiadał o „Cesarzowej”, nie wspominając ani słowem o Tajnej Jedyńce ani o swoim domniemanym ojcu. Mówiąc, wyraźnie widział, że niektórzy z nich zastanawiają się już, jak może to wpłynąć na sytuację w ich departamentach i na zakres ich obowiązków. Skończył. Skinął głową wiceprezydentowi.
- Przepraszam cię, Brandon. Powinienem był wprowadzić cię wcześniej, na wypadek gdyby przytrafiło mi się coś złego.
- Tak byłoby lepiej, panie prezydencie, ale rozumiem. Przez te przecieki staliśmy się nieufni. W tych okolicznościach, gdy najistotniejsze jest zachowanie ścisłej tajemnicy, prawdopodobnie postąpiłbym tak samo.
- Dziękuję, Brandon, bardzo to doceniam. A teraz pomówmy o tym, co każdy z nas powinien zrobić, gdyby doszło do eskalacji konfliktu i gdybyśmy musieli zatrzymać „Cesarzową” na otwartym morzu, nie dysponując konkretnymi dowodami.
- Jako pierwszy głos zabrał admirał Brose:
- Chińczycy wiedzą już o naszej fregacie i musimy się zastanowić, jak mogą zareagować. Musimy też przewidzieć skalę ewentualnego konfliktu i w kalkulować to w nasze plany operacyjne.
- Tak, musimy pomyśleć nie tylko o konflikcie z Chinami - zgodził się z nim sekretarz stanu Padgett - ale i o tym, co zrobić, żeby podziałać odstrasząco na przeciwnika.
- Powrót do zimnej wojny? - myślał na głos wiceprezydent. - To była by tragedia. - Ze smutkiem wzruszył ramionami. - Ale w tej chwili nie widzę wyboru.
- Sprawa nie może wyjść poza ściany tej sali - przestrzegł ich Ouray. - Czy to jasne? Jeśli dojdzie do kolejnego przecieku, będziemy wiedzieli, że to jeden z nas.
- Z powagą pokiwali głowami i podjęli dyskusję. Oni mówili, a Castilla liczył: dwoje, czworo, jedno, dwoje, dwoje, jedno. Mieli w sumie dwanaścioro dzieci. Dokładnie wiedział, kto ma ile. Niesamowite. Mało tego, pamiętał nawet ich imiona. Nie znał tylko imienia

najmłodszego syna Abnera. Doskonale pamiętał dzieci większości swoich dawnych współpracowników, ich imiona też. Ciekawe, co to mogło znaczyć. Myślał o tym przez chwilę i raptem go olśniło, i raptem znowu zobaczył małego chłopca, który wyciągał ręce do nieznanego mężczyzny bez twarzy. W sali zaległa cisza i zdał sobie sprawę, że powinien coś powiedzieć, że na niego czekają. - Nasza dyplomacja musi wrzucić wyższy bieg. Obrona pomyśleć, czym możemy odstraszyć Chińczyków. Marynarka wojenna musi się zastanowić, jak zatrzymać „Cesarzową”, wejść na jej pokład i przeprowadzić inspekcję. Chcę mieć kilka wariantów tej operacji. - Uderzył ręką w stół i wstał. - Koniec dyskusji. To wszystko, panowie. Dziękuję za przybycie.

-

# Rozdział 20

16 września, sobota Kowloon

Jon włożył rękawiczki, obszukał zwłoki i znalazł w kieszeniach klucz uniwersalny, kilka monet oraz paczkę gumy do żucia. Schował to wszystko tam, gdzie było - nie zabrał nawet klucza - i sprawdził korytarz. Pusty. Dźwignął ciało i wyniósł je na podest schodów ewakuacyjnych. Biegły w górę i w dół, panowała na nich cisza. Jon wszedł dwa piętra wyżej i oparł ciało o ścianę. Z wątej piersi Chińczyka wciąż sterczał sztylet. Jon wyciągnął go, rana się otworzyła i krew popłynęła z niej jak wody Jangcy. Smith westchnął i zostawiwszy nóż obok zabójcy, zszedł na dół. Wrócił do pokoju i zablokował drzwi krzesłem, na wypadek gdyby zechciał go odwiedzić kolejny intruz z kluczem uniwersalnym i wajchą do zdejmowania łańcucha. Potem wyszorował wannę i uważnie sprawdził podłogę oraz meble, łącznie z łóżkiem. Nie znalazł ani śladów krwi, ani niczego, co napastnik mógłby niechcący upuścić. Z ulgą wszedł pod prysznic i wyszorował się dokładnie w strumieniu gorącej wody. Próbował nie myśleć o martwym Chińczyku. Musiał myśleć, co robić dalej, i wycierając się ręcznikiem, układał plan za planem. Wreszcie wrócił do łóżka, ale długo nie mógł zasnąć. Żeby się wyciszyć, wsłuchiwał się w odgłosy uspiętego hotelu, w odgłosy ruchu ulicznego, w żałobne porykiwanie syren statków i łodzi w porcie. W dźwięki ruchliwego miasta na ruchliwej planecie w ruchliwej galaktyce ruchliwego wszechświata. Miasta równie obojętne, jak cała planeta, galaktyka i wszechświat. Wsłuchiwał się w bicie swego serca. W wymaginowany szum krwi płynącej żyłami i tętnicami. W odgłosy istniejące jedynie w wyobraźni. Usnął dopiero przed świtem... Tylko po to, żeby znowu się obudzić. Gwałtownie usiadł na łóżku. Na korytarzu zapiszczały kółka - kelner wiozł komuś wczesne śniadanie. Zza kotar przebijały pierwsze promienie słońca, narastał hałas i uliczny szum. Jon wyskoczył z łóżka i szybko się ubrał. Chińczyk zniknął - bez względu na to, czy policja znalazła już zwłoki, czy nie, dla zlecniodawców zniknął na dobre - a skoro tak, mógł pojawić się tu kolejny zabójca. Włożył ten sam garnitur, świeżą koszulę i nowy krawat, po czym otworzył walizkę. Plecak, szare spodnie, krzykliwa hawajska koszula, sportowa marynarka z marszczoną bawełny, płócienne buty do biegania, składana panama; czarny kombinezon był już w plecaku - spakował to wszystko, łącznie ze składaną dyplomatką. W końcu włożył perukę i poprawił ją w lustrze. Znowu był majorem Kennethem St. Germainem. Po raz ostami sprawdził pokój i wyszedł z walizką w rękę i plecakiem na ramieniu. Korytarz wciąż był pusty, ale za niektórymi drzwiami grały już telewizory i krzatali się ludzie. Zjechał windą na pierwsze piętro i zszedł na parter. Stanąwszy za drzwiami, dokładnie zlustrował hol. Nie dostrzegł ani policji, ani nikogo, kto zachowywałby się jak policjant, ani żadnego z zabójców z poprzedniego dnia. Nie dostrzegł też nikogo, kogo znałby z Szanghaju. Mimo to nie było żadnej gwarancji, że ktoś tam nie czyha. Odczekał w ukryciu jeszcze dziesięć minut. Wreszcie podszedł do recepcji. Gdyby wyjechał, nie płacąc, recepcja powiadomiłaby policję, zwłaszcza że lada chwila mogli znaleźć zwłoki Chińczyka na schodach. Czekając na rachunek, poprosił portiera o przywołanie taksówki z mówiącym po angielsku kierowcą. Kurs? Lotnisko. Gdy hotel zniknął za rogiem ulicy, Smith nachylił się w

stronę przedniego fotela i rzucił:- Zmiana planów. Pojedziemy na Queensway 88. Do hotelu Conrad Intercontinental.

## Dazu, Chiny

- 
- Przed tysiącem lat bogobojni artyści rzeźbili i malowali kamienne posągi w górach, jaskiniach i grotach wokół małej wsi a nazwie Dazu. Dzisiaj Dazu liczy ponad osiemset tysięcy mieszkańców i jest metropolią, gdzie widzi się zarówno wieżowce, starannie utrzymane tarasowate poletka ryżowe, małe domki między drzewami, jak i wielkie rezydencje na rozległych połaciach sztucznie ukształtowanego terenu. Tutejszy klimat i ziemia sprzyjają ogrodnikom - tym z miasta i tym z przedmieść - którzy wykorzystując metody pracy swoich przodków, potrafią zebrać do trzech plonów rocznie. Więzienna farma leżała niecałe osiem kilometrów od gigantycznego Śpiącego Buddy, posągu z Baodingshan. Było to zbiorowisko baraków, szeroko rozrzuconych, połączonych ze sobą chodnikami i ogrodzonych wysoką stalową siatką, w której rogach zbudowano podwyższenia na platformy obserwacyjne dla uzbrojonych strażników. Prowadzącą do niej bitą drogą nie jeździli ani turyści, ani mieszkańcy Dazu. Więźniowie, którzy pracowali na rządowych poletkach ryżowych, należących do dalekiego Pekinu, chodzili do pracy pod strażą i nie utrzymywali prawie żadnych kontaktów z miejscowymi. Chociaż warunki odbywania kary były na pierwszy rzut oka dość lekkie, a środki bezpieczeństwa łagodne, Chiny nie rozpieszczały tych, których ochrzcili mianem przestępców. Starzec był jednym z nielicznych, których zwolniono z porannych marszów i z pracy na polu. Dano mu nawet pewne przywileje, takie jak choćby cela - wyglądała prawie jak zwyczajny pokój - którą dzielił tylko z jednym współwięźniem. Przystępstwo popełnił tak dawno temu, że ani strażnicy, ani zarządca farmy, nie pamiętali już, co tak naprawdę zrobił. Ponieważ tego nie pamiętali, nie mieli za co potępiać go i nienawidzić, tak samo jak nie mieli powodu, żeby się go bać czy karać i cieszyć się, że sprawiedliwości dzieje się zadość. Dlatego często traktowali go jak starego dziadka, zwłaszcza że naprawdę był stary. Wstawili mu kuchenkę do celi, dawali książki, gazety, ołówki i papier do pisania. Robili to nielegalnie, ale zarządca farmy, były pułkownik Ludowej Armii Wyzwoleńczej, o wszystkim wiedział i przymykał na to oko. Dlatego starzec zaniepokoił się, gdy tego dnia - wczesnym rankiem, jeszcze przed śniadaniem - jego chiński towarzysz niedoli nagle zniknął i zastąpił go mężczyzna dużo młodszy, w dodatku nie-Chińczyk. Przyprawiono go o świecie i od tamtej pory nie ruszył się z siennika. Po prostu leżał, prawie cały czas z zamkniętymi oczami. A jeśli już je otwierał, to tylko po to, żeby gapić się w nie pomalowany sufit baraku. I w ogóle się nie odzywał. Nachmurzony starzec robił swoje, nie chcąc, żeby to odstępstwo od rutyny zaburzyło utarty porządek dnia. Był wysoki i szczupły, może trochę za chudy. Miał wyrazistą, niegdyś bardzo ładną twarz - teraz mocno poorly zmarszczkami - zapadnięte policzki i głęboko osadzone oczy. Z oczu biła inteligencja, dlatego rzadko kiedy podnosił wzrok. Tak było bezpieczniej. Tego ranka poszedł jak zwykle do biura zarządcy, gdzie pracował jako kancelista, na obiad zaś wrócił do celi. Otworzył puszkę zachodniej soczewicy, podgrzał ją i zasiadł samotnie przy zbitym z desek stole. Nowy więzień - miał około pięćdziesięciu lat - nie ruszył się z barłogu. Wciąż miał zamknięte oczy. Mimo to emanował z niego dziwny niepokój. Zdawało się, że jego silne, muskularne ciało jest w ciągłym ruchu. Nagle zerwał się na równe nogi i - jakby płynął w powietrzu - lekkim krokiem podszedł do drzwi. Miał stalowoszare włosy i policzki porośnięte siwą szczeciną. Otworzył drzwi i zajrzał do sąsiedniej sali, o tej porze zupełnie pustej, ponieważ więźniowie byli jeszcze w polu. Zamknął je i ponownie legł na

sienniku, jakby w ogóle się stamtąd nie ruszał. Starzec obserwował go z podziwem i żalem. On też był kiedyś sprawny fizycznie i wiedział, że czasy te już nie wrócą. - Pański syn nie wierzy, że pan żyje. Chce pana zobaczyć. Starzec upuścił łyżkę. Ten nowy mówił łagodnie i bardzo cicho, lecz nie wiedzieć czemu, on słyszał go doskonale. Nowy spokojnie patrzył w sufit. Nie poruszał nawet ustami.

- Co... co takiego?
- Niech pan je - odparł współwięzień. - Pański syn chce, żeby wrócił pan do domu.
- Mimo upływu lat David Thayer nie stracił dawnych odruchów. Pochylił się nad talerzem i z łyżką przy ustach spytał: - Kim pan jest? - Wysłannikiem. Thayer wypił łyk zupy.
- Dlaczego mam panu zaufać? Nieraz mnie podpuszczano. Robią to, ilekroć chcą podwyższyć mi wyrok. Będą mnie tu trzymali aż do śmierci. A potem powiedzą, że nic takiego się nie stało, że nigdy nie istniałem...
- Ostatnim podarkiem, jaki od pana dostał, był pluszowy piesek z oklapłymi uszami. Miał na imię Paddy.
- Starzec poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Ale minęło tyle lat, tyle razy go okłamywano...
- Ten pies miał i nazwisko.
- Reilly - odrzekł mężczyzna.
- Thayer odłożył powyginaną łyżkę. Przetarł rękawem twarz. Przez chwilę siedział nieruchomo. Nieznajomy milczał. Thayer pochylił głowę, zasłaniając usta przed wzrokiem ewentualnych obserwatorów. - Jak pan się tu dostał? I jak pan się nazywa?
- Pieniądze czynią cuda. Kapitan Chiavelli. Proszę mi mówić Dennis.
- Starzec zmusił się do jedzenia.
- Chce pan trochę zupy?
- Potem. Proszę mi powiedzieć, jaka jest sytuacja. Dalej nie domyślają się, kim pan jest?
- Niby skąd? Nie wiedziałem, że Maria ponownie wyszła za mąż. Nie wiedziałem nawet, czy ona i Sam żyją. Teraz już wiem, że umarła. To straszne.
- Jak się pan tego dowiedział?
- W zeszłym roku Sam był w Pekinie. Dają mi tu gazetę i...
- Tak dobrze zna pan chiński?
- Mandaryński. Gdybym nie znał, Waszyngton by mnie tu nie przysłał. - Thayer uśmiechnął się słabo. - A w ciągu sześćdziesięciu lat nabrałem biegłości. Znam też wiele dialektów, zwłaszcza kantoński.



- Tak, oczywiście, nie pomyślałem. Przepraszam, panie doktorze.
- Kiedy przeczytałem o wizycie Sama, w oczy rzuciło mi się jego nazwisko. Serge Castilla był moim najbliższym przyjacielem z Departamentu Stanu. Wiedziałem też, że pomagał w poszukiwaniach. Dodałem dwa do dwóch i wyszło cztery. Przede wszystkim wiek prezydenta. Pasował idealnie. W gazecie napisali, że jego ojciec miał na imię Serge, a matka Maria. Po prostu musiał być moim synem.
- Chiavelli pokręcił głową tak leciutko, że niemal niewidocznie.- Niekoniecznie. To mógł być zbieg okoliczności.
- A niby co miałem do stracenia?
- Chiavelli zastanawiał się przez chwilę.
- W takim razie dlaczego pan tak długo milczał? Czekał pan cały rok.
- Nie było szans, żebym stąd wyszedł, więc po co miałem stawiać go w niezręcznej sytuacji? I po co miałem ryzykować, że o wszystkim dowiedzą się ci z Pekinu? Gdyby się dowiedzieli, zniknąłbym na dobre.
- A potem przeczytał pan o traktacie z Chinami?
- Nie. Chińczycy ogłoszą to w gazetach dopiero wtedy, kiedy zostanie podpisany. Nie, o traktacie powiedział mi jeden z ujgurskich więźniów politycznych. - Thayer odsunął talerz. - Wtedy pozwoliłem sobie na odrobinę nadziei. Pomyślałem, że może jednak jest jakaś szansa, może zaczną się masowe zwolnienia i przypadkowo mnie wypuszczą? - Wstał i podszedł do kuchenki.
- Chiavelli obserwował go spod przymkniętych powiek. Mimo wieku -według Kleina musiał mieć co najmniej osiemdziesiąt dwa lata - starzec chodził krokiem energicznym, pewnym, równym i sprężystym. Był wyprostowany, lecz wyraźnie odprężony, jakby przez kwadrans rozmowy ubyło mu lat. To ważne. Bardzo ważne. Thayer nie zwariował tylko dzięki rutynie. Wziął poobijany emaliowany czajnik, zaniósł go do poobijanego zlewu, napełnił wodą i postawił na kuchence. Z małej szafki wyjął dwa wyszczerbione kubki i blaszaną puszkę. Jego sposób parzenia herbaty był niezwykłą mieszaniną tradycyjnego sposobu angielskiego i chińskiego. Wyparzył czajnik, odmierzył cztery łyżeczki czarnej herbaty, natychmiast zalał ją wrzątkiem i odczekał niecałą minutę. Napar był bladożółcistobrązowy. Po pokoju rozszedł się silny, aromatyczny zapach.- Pijemy to bez cukru i mleka. - Starzec podał kubek Chiavellemu. Agent usiadł i oparł się o ścianę. Thayer wrócił do stołu. Ciężko westchnął.- Teraz myślę, że niepotrzebnie uwierzyłem w ten traktat, że to tylko mrzonki starego człowieka. Za długo mnie tu więżą, żeby nagle się do tego przyznać. Lista ich przestępstw naruszających prawa człowieka wydłużyłaby się jeszcze bardziej, wyszliby na ostatnich łajdaków. Chiavelli wypił łyk herbaty. Jak na jego włosko-amerykańskie podniebienie, była trochę za lekka i za łagodna, ale przynajmniej gorąca - w niedogrzanym baraku panował chłód.- Proszę mi opowiedzieć, jak to się stało. Dlaczego pana aresztowano? Thayer odstawił kubek, zajrzał doń, jakby widział tam przeszłość, i podniósł wzrok.

- Byłem łącznikiem Czang Kaj-szeka. Kazali mi doprowadzić do odprężenia między nacjonalistami i komunistami, więc pomyślałem, że dobrze by było, gdybym pojechał do Mao i osobiście z nim porozmawiał. - Uśmiechnął się do siebie z politowaniem. - Jakie to było niedorzeczne. Jakie naiwne. Oczywiście nie miałem zielonego pojęcia, że prawdziwym celem mojej misji jest utrzymanie Czang Kaj-szeka przy władzy. Miałem organizować spotkania, zawierać układy i grać na zwłokę, dopóki Czang nie będzie w stanie zniszczyć i Mao Zedonga, i komunistów. Wizyta u Mao była zwykłą donkiszoterią, gestem niedoświadczonego intelektualisty, który wierzy, że ludzie potrafią ze sobą racjonalnie rozmawiać mimo konfliktu interesów, wartości, kultur, idei i klas, mimo że jedni mają coś, czego nie mają drudzy, mimo że reprezentują różne sfery geopolityczne i różne strefy wpływów.
- I naprawdę pan tam pojechał? Rozmawiał pan z Mao Zedongiem? Osobiście? - Chiavelli był zarówno rozbawiony, jak i przerażony.
- Thayer uśmiechnął się blado.
- Próbowałem. Ale nie dopuścili mnie do niego. Jego żołdacy uznali, że jestem szpiegiem, zachodnim albo Czang Kaj-szeka, albo jednym i drugim. Gdyby nie interwencja chińskich polityków - miałem status dyplomaty - pewnie by mnie rozstrzelali. Przez te wszystkie lata często żałowałem, że nie rozwalili mnie na miejscu.
- Ale dlaczego ogłosili, że pan nie żyje, chociaż przetrzymywali pana jak Rosjanie Wallenberga?
- Raula Wallenberga? To znaczy, że on naprawdę był u ruskich?
- Sowietom temu zaprzeczali, i to przez pięćdziesiąt lat, ale tak, więzili go. Zmarł w niewoli, niedługo po zatrzymaniu.
- Thayer jakby zapadł się w siebie.
- Myślę, że ze mną było tak jak z nim. Nie mogli uwierzyć, że Wallenberg był tylko Wallenbergiem, nikim więcej. To bezpośredni rezultat paranoi ogarniającej wszystkich tych, którzy kneblują usta komuś, kto śmie mówić głośno i otwarcie. Gdy mnie schwytano, w Chinach wrzała rewolucja, panował chaos. Ciągłe zmieniali się dowódcy, przychodziły coraz to nowe rozkazy, ogłaszano coraz to nowe, często sprzeczne ze sobą proklamacje. Urzędnicy nie wiedzieli, co się dzieje i chyba zgubili mnie w swoich aktach. Zanim wszystko się ustabilizowało, było już za późno, bo gdyby odesłali mnie do domu, doszłoby do międzynarodowego incydentu i straciliby twarz. - Thayer obracał dłońmi ciepły kubek. Miał sękaty palec. - No i trzymają mnie tutaj. I będą tak trzymać aż do śmierci.
- Nie - odparł stanowczo Chiavelli. - Nie będzie drugiego Wallenberga. Nie umrze pan w niewoli. Kiedy podpiszą traktat, Chiny zwolnią wszystkich więźniów politycznych. Prezydent przedstawi pańską sprawę Niu Jianxingowi i pozostałym członkom Stałego Komitetu. Słyszałem, że Jianxinga nazywają Sową, że to mądry człowiek.
- Thayer pokręcił głową. - Nie, panie kapitanie. Kiedy mój syn i sekretarz generalny podpiszą traktat, ja znowu zniknę, bo tak będzie wygodniej. A jeśli mój syn zacznie napierać, tym razem

już nikt mnie nie znajdzie. Przyprawdzą wam stu starców, którzy zeznają, że przed pół wiekiem byli świadkami mojej śmierci. Przedstawią wam dowody, może pokażą wam nawet zdjęcie mojego grobu, który - jakże nam przykro - jest teraz na dnie sztucznego jeziora za nową chińską tamą. - Starzec wzruszył ramionami z rezygnacją. Chiavelli nieustannie go obserwował. Był agentem Tajnej Jedyńki, a przedtem, jako kapitan sił specjalnych, działał w Somalii i Sudanie. Niedawno wrócił do czynnej służby i przez jakiś czas walczył w dolinach, jaskiniach i górach wschodniego i północnego Afganistanu. Teraz przydzielono mu kolejne zadanie: Davida Thayera. Najpierw musiał sprawdzić, czy da się go stąd ewakuować. Zbadał już najbliższą okolicę i stwierdził, że nie jest źle. Zapadła, odizolowana od świata wieś - fakt, wieś dość ludna, ale nie licząc Xinjiang, Gansu i Mongolii Wewnętrznej, gęsto zaludnione były całe Chiny - kiepskie drogi, zwłaszcza za Chongqing, odległe, szeroko rozrzucone bazy wojskowe, prymitywne lotniska. A na północ od Dazu nie ma już praktycznie ani dróg, ani niczego. Na szczęście. Strażnicy byli dobrze uzbrojeni, ale brakowało im dyscypliny. Gdyby udało się zgromadzić ciężki sprzęt i przeprowadzić szybki atak, prawdopodobnie nie stawialiby silnego oporu. Mając do pomocy kogoś z wewnątrz - a on zamierzał tę pomoc zorganizować - doświadczeni żołnierze mogliby wejść i wyjść stąd w dziesięć minut, a dwadzieścia minut później byłiby już w powietrzu, w połowie drogi do granicy - Chińczycy nie zdążyliby nawet poderwać swoich ludzi. Najważniejszą kwestią było teraz, czy Thayer by to zniósł, czy wytrzymałby fizycznie. Jak dotąd wszystko wskazywało na to, że tak, że mimo podeszłego wieku jest w dobrej formie.

- Jak pańskie zdrowie, doktorze?
- A jakie ma być? Tu i tam mnie pobolewa, tu i tam coś uciska i strzyka. Ot, starcze dolegliwości. Nie zamierzam skakać z dachu drapacza chmur ani wspinać się na Mount Everest, ale nie powiem, dbają o naszą ciężyznę. Poletek tu pod dostatkiem.
- Gimnastyka, biegi, spacer, ćwiczenia?
- Kiedy pogoda jest dobra, rano i wieczorem gimnastyka i biegi. Kiedy pada, gimnastykujemy się trochę w barakach. Nie możemy nic nie robić, zarządca tego nie lubi. Nie chce, żebyśmy siedzieli, gadali, knuli coś czy się sprzeczali. Człowiek beczynny zaczyna myśleć i staje się niespokojny. Dla więźnia to bardzo niebezpieczna kombinacja. Oczywiście ja pracuję w kancelarii... - Thayer zawahał się i wyprostował. Zmrużył wyblakłe oczy i spojrzał na Chiavellego. - Chcecie mnie stąd... wydostać?
- To zależy od wielu czynników. Są pewne ograniczenia. Nie chodzi tylko o pańskie zdrowie, ale i o to, co powie mój szef, co może, a czego nie może zrobić prezydent. Rozumie pan?
- Tak. Takie było moje życie. Polityka. Interesy. Dyplomacja, Te siły nigdy nie słabną, prawda? W czterdziestym ósmym owe tajemnicze „czynniki” tak bardzo wpłynęły na tych z Departamentu Stanu, że nie chcieli mi nawet powiedzieć, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi. Ślepo ta i naiwność... dlatego tu jestem.
- - Jeśli postawię na swoim, a myślę, że postawię, długo pan tu nie pobędzie. Thayer kiwnął głową i wstał.

- Muszę wracać do pracy. Dzisiaj dadzą panu spokój. Jutro rano pójdzie pan na pole.
- Podobno. Moi przyjaciele strażnicy już mnie uprzedzili.
- Co pan teraz zamierza?
- Złożyć meldunek.

## Hongkong

- W luksusowym hotelowym butiku Smith kupił biały kowbojski kapelusz. Zapłacił kartą kredytową na nazwisko niejakiego Rossa Sidora z Tucson w stanie Arizona i jako świeżo upieczony pan Sidor włożył go na głowę, wynajął pokój i dał suty napiwek portierowi, żeby dobrze go zapamiętał. Gdy tylko został sam, zabrał się do pracy. Najpierw włożył szare spodnie i jaskrawą hawajską koszulę z plecaka, a na to garnitur, który miał na sobie podczas wizyty w Donk LaPierre. Ubranie było trochę przyciasne, lecz dawało się nosić. Potem włożył jasną perukę i wetknął beretkę za pasek spodni. Na koniec, tuż przed wyjściem, spakował do dyplomatki sportową marynarkę z marszczoną bawełny, płócienne buty do biegania, panamę i plecak. Potem wyszedł. W holu nie zauważył nikogo podejrzanego. Ruszył Queensway w kierunku śródmieścia wraz z tłumami przechodniów, którzy - tak się przynajmniej wydawało - całe życie spędzali na ulicy. Przeszedłszy ledwie kilkadziesiąt metrów, wypatrzył trzech uzbrojonych goryli, którzy poprzedniego dnia szukali go przy budce telefonicznej w Kowloonie. Oni też go dostrzegli i natychmiast się rozdzielili, zygzakując między przechodniami i pojazdami. Nie próbowali podejść bliżej. On nie próbował im uciec. Nie ukrywał też, dokąd idzie. Jeśli wzięli go za majora Kennetha St. Germania, byli pewnie zaskoczeni i - taką miał nadzieję - zdezorientowani, odkrywszy, że ponownie zmierza prosto do wieżowca, w którym mieściła się siedziba Donk LaPierre. Przepchnął się przez tłum do wejścia. Gdy wszedł do środka, tamci zajęli pozycję po drugiej stronie ulicy - jeden z nich gorączkowo rozmawiał z kimś przez telefon. Jon uśmiechnął się do siebie i poszedł do wind. Siedziba azjatyckiej filii Grupy Altmana, Altman Azja, zajmowała ostatnich dziesięć pięter wieżowca. Szefem filii był Ferdinand Aguinaldo, były prezydent Filipin. Jego biuro mieściło się jeszcze wyżej, w luksusowej przybudówce na dachu. W poczekalni stały zielone bambusy, wysokie rzeźbione stoły, krzesła z wysokimi oparciami i sofy.
- Czym mogę panu służyć? - spytała z uśmiechem recepcjonistka.
- Doktor Kenneth St. Germain do pana Aguinaldo.
- Jego ekscelencji nie ma w Hongkongu. Czy można wiedzieć, w jakiej sprawie chce pan z nim rozmawiać?
- Przyjechałem tu z upoważnienia ministra zdrowia Stanów Zjednoczonych. Prowadzę badania nad hantawirusami i chciałbym odwiedzić laboratorium biomedyczne Donk LaPierre w Chinach. - Pokazał jej służbową legitymację USAMRIID i fałszywy list rekomendacyjny z Ministerstwa Zdrowia. - Pan Cruyff, ten z dołu, przysłał mnie tu na rozmowę z panem Aguinaldo.

- Filipinka uniosła brwi. Była pod wrażeniem. Przyjrzała się ministerialnej pieczęci i podniosła wzrok,
- Bardzo mi przykro, że pan prezydent wyjechał. Ale może zechce pan porozmawiać z panem McDermidem? To przewodniczący zarządu i dyrektor naczelny Grupy Altmana, bardzo ważna osobistość. Może załatwi pan to z nim?
- On tu jest? - Jon zadał to pytanie tak, jakby osobiście go znał.
- Tak, przyjechał z coroczną wizytą - odrzekła z dumą recepcjonistka.
- - Cóż, może być McDermid. Dobrze, porozmawiam z nim. Filipinka uśmiechnęła się jeszcze piękniej i wcisnęła przycisk interkomu. Do eleganckiego gabinetu Ferdinanda Aguinaldo, szefa filii Altmana w Azji, zajrzał Lawrence Wood. - O co chodzi, Lawrence? - Siedzący za biurkiem McDermid przeciągnął się i ziewnął. - Recepcjonistka mówi, że jest u niej jakiś Kenneth St. Germain z listem od ministra zdrowia USA. Chce się widzieć z Aguinaldo i twierdzi, że przysłał go Cruyff z Donk LaPierre. Ma doskonałe referencje i recepcjonistka pyta, czy go pan przyjmie.
- Powiedz jej, że za kwadrans będę wolny.
- Wood lekko się zawahał.
- Przecież Cruyff nie mógł go tu przysłać.
- Wiem, po prostu przekaz jej to i tyle. Albo nie. Sam jej powiem.
- - Jak pan sobie życzy. - Wood zmarszczył brwi i wrócił do sekretariatu. McDermid wcisnął guzik. Od razu poweselał. Jon Smith u niego w biurze - cóż za niespodzianka. Sprawa nabierała rumieńców.
- Z przyjemnością przyjmę pana doktora - rzucił do mikrofonu. - Proszę go poprosić, żeby zaczekał. Za kwadrans będę na dole. - Odpowiedziała jak zwykle, krótko i zwięźle, a wówczas przerwał połączenie, podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Fenga Duna.
- Gdzie teraz jesteś?
- Tu, na ulicy. - Feng jeszcze raz przeklął Cho, zabójcę, któremu zlecił nocną robotę. Nie zlikwidował Smitha, a gdy znaleziono jego zwłoki, było już za późno, żeby wysłać kogoś innego. - Moi ludzie widzieli, jak tam wchodził. Znowu jest u Donka?
- Nie. Jest tutaj, na samej górze. Chce się ze mną widzieć.
- Z panem? - Feng był wstrząśnięty. - Skąd w ogóle wie, że jest pan w Hongkongu?
- Ciekawe, prawda? Fascynujące. Chyba to dobrze, że nie dopadli go twoi goryle. Chcę się dowiedzieć, skąd pan doktor czerpie te wszystkie informacje...
-



# Rozdział 21

## Pekin

- 
- 
- Major Pan Aitu uznał, że gabinet Niu Jianxinga - legendarnego Sowy - jest bardzo intrygujący. Ascetycznie urządzony - pod tym względem przypominał mniszą celę - miał gołe ściany, gołą, zniszczoną podłogę i szczelne okiennice w oknach. Stało tu tylko proste studenckie biurko, krzesło, na którym zasiadał Sowa, oraz dwa drewniane krzesła dla gości. I na biurku, i niemal na całej podłodze piętrzyły się stosy akt i dokumentów, stały cuchnące popielniczki, pełne długich na półtora centymetra niedopałków angielskich papierosów, jedynej słabostki Niu, brudne filiżanki po herbacie, oblepione resztkami jedzenia papierowe talerze, słowem wałały się tu rzeczy i śmieci wskazujące na to, że Sowa lubi pracować długo i intensywnie. Jako wieloletni agent służb wywiadowczych major Pan doskonale znał zawilóści ludzkiej psychiki i podczas gdy Niu Jianxing dalej czytał raport - czytał go już wtedy, gdy major tu przyszedł - on pozwolił sobie na przeprowadzenie krótkiej analizy jego osobowości. Panującą w gabinecie ciszę przerywał jedynie szelest przewracanych kartek. Major doszedł do wniosku, że wewnątrz gabinetu odzwierciedla zarówno spokój, tudzież pogodę ducha samotnego myśliciela, jak i rozedrgany chaos charakterystyczny dla człowieka czynu. A więc myśliciel i człowiek czynu w jednej osobie. Tak, Sowa przypominał gigantów, którzy stworzywszy podwaliny pod rewolucję, rewolucją tą przewodzili. Poetów i nauczycieli, którzy zostawali generałami. Filozofów zmuszonych koniecznością historii do politycznych awantur i zabijania. Pan poznał tylko jednego z tych najbardziej czczonych: samego Denga Xiaopinga, gdy ten był już bardzo, bardzo stary. Major Pan nie przepadał za ludźmi i niewielu z nich lubił. Uważał, że to strata czasu. Ale Niu Jianxing miał w sobie coś, co mu się podobało. Zgodnie z dobrymi obyczajami, rozmowę rozpoczął gospodarz.
- Generał Chu chciał, żebym przyjął pana osobiście - rzekł z nutką zniecierpliwienia w głosie, nie podnosząc wzroku znad papierów. - Podobno ma mi pan coś do powiedzenia.
- Tak jest. Prosił pan o informację na temat tego statku, dlatego uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.
- Na temat „Cesarzowej”, tak. - Niu ruchem głowy wskazał dokumenty na biurku. - Dowiedział się pan czegoś konkretnego?
- Niewykluczone, że tak - odrzekł ostrożnie major Pan. Nauczył się już, że składając zapewnienia i obietnice przywódcom rządu, a zwłaszcza członkom Stałego Komitetu, trzeba zachowywać nadzwyczajną ostrożność.
- Niu Jianxing poderwał wzrok. Jego zdecydowanie przytomne, bynajmniej nie rozespiane oczy były jak dwa twarde węgielki za okularami w szylkretowych oprawkach. Na jego delikatnej twarzy o zapadłych policzkach malował się wyraz niezadowolenia. - Niewykluczone? Nie jest pan pewien? Major Pan poczuł, że ma w głowie pustkę, ale szybko doszedł do siebie. - Jestem pewien, panie ministrze. Niu usiadł wygodniej, oceniając małe dłonie, łagodny głos i dobrotliwy uśmiech przysadzistego majora. Pan jak zwykle miał na sobie skromny zachodni

garnitur. Był agentem doskonałym: śliskim jak wąż, nierzucającym się w oczy, sprytnym i oddanym. Mimo to był również produktem rewolucji kulturalnej i placu Tiananmen, produktem zbyt rygorystycznego systemu politycznego, w którym jednostka nie miała dużo miejsca dla siebie. Nie bez wpływu była też licząca pięć tysięcy lat historia Chin, która ceniła jednostkę jeszcze mniej. Gdyby Niu zaczął napierać, żądając odpowiedzi „tak” lub „nie”, zamiast odpowiedzi twierdzącej, którą można by poczytać za deklarację sukcesu, major odpowiedziałby raczej „nie”. Jeśli miał poznać prawdę przed dzisiejszym posiedzeniem Stałego Komitetu, będzie musiał pozwolić mu opowiedzieć wszystko wedle jego uznania. Sfrustrowany stłumił westchnienie.

- Niech pan mówi, majorze.
- Dziękuję, panie ministrze. - Pan wyjaśnił mi, kim był Mondragon, i opisał jego zniknięcie w przededniu przyjazdu Smitha do Szanghaju.
- Myśli pan, że ten Mondragon jest... był agentem amerykańskich służb wywiadowczych?
- Major kiwnął głową.
- Tak, lecz agentem dość niezwykłym. Niezwykły jest również sposób działania wszystkich uwikłanych w tę sprawę Amerykanów. Zachowują się jak tajni agenci, ale nimi nie są. A przynajmniej nie mają nic wspólnego ze znanymi nam amerykańskimi agencjami wywiadowczymi.
- Odnosi się to również do tego naukowca, pułkownika Smitha?
- Moim zdaniem tak. On nikogo nie udaje. Naprawdę jest lekarzem i naukowcem, ale uważam, że wykorzystuje to jako przykrywkę.
- Ciekawe... Czy ci Amerykanie nie są przypadkiem prywatnymi agentami? Może ktoś ich wynajął, jakaś firma czy ktoś taki?
- Całkiem możliwe. Sprawdzę to w dalszym śledztwie.
- Niu skinął głową.
- To chyba mało istotne. Zobaczymy. Niech pan mówi dalej.
- Major wyraźnie się ożywił.
- W gabinecie prezesa spółki Latający Smok w śródmieściu Szanghaju sprzątaczką znalazła zwłoki człowieka nazwiskiem Zhao Yanji. Latający Smok to międzynarodowa firma przewozowa utrzymująca kontakty z Hongkongiem i Antwerpią.
- Kim był ten Yanji?
- Skarbnikiem spółki. On nie żyje, a prezes firmy, niejaki Yu Yongfu, zniknął. Zniknęła również jego żona, Li Kuonyi.
- Ta piękna aktorka?



- Tak, panie ministrze. - Major opisał przebieg błyskawicznej kariery jej męża, którą ten musiał zrobić dzięki pomocy teścia, wpływowego Li Aoronga.
- Sowa nie znał Li Aoronga osobiście, lecz o nim słyszał.
- Tak, oczywiście. Li jest wysokim urzędnikiem miejskim w Szanghaju... - Nie dodał tylko, że jest również protegowanym Wei Gaofana, jednego z twardogłowych członków Stałego Komitetu. Wei był najpotężniejszym z nich, a Li Aorong wyznawał poglądy całkowicie zbieżne z jego poglądami.
- Tak - dodał major. - Rozmawialiśmy z nim. Nie potrafi wyjaśnić ani tego morderstwa, ani zniknięcia córki i zięcia. Ale... - Pan przesunął się na sam brzeg krzesła i opowiedział Niu o Andym Jingshe, młodym, wykształconym w Ameryce tłumaczu, którego widziano w towarzystwie pułkownika Smitha, a potem znaleziono martwego w samochodzie. – Jak dotąd nie dowiedzieliśmy się niczego więcej.
- Sowa spochmurniał.- W Szanghaju znika Amerykanin. Nazajutrz przyjeżdża pułkownik Smith. Ginie skarbnik okrętowej firmy przewozowej. Prezes tejże firmy i jego żona znikają. A w nocy ktoś zabija młodego, wykształconego w Ameryce tłumacza. Czy to już koniec pańskich doniesień?
- Warto jeszcze dodać, że kiedy w końcu namierzyliśmy pułkownika Smitha, umknął nam i prawdopodobnie uciekł z Chin.
- O tym porozmawiamy później. Jak moja prośba o informacje na temat „Cesarzowej” ma się do pańskiego raportu?
- Major Pan drgnął. Poczul się skarcony.
- Właścicielem „Cesarzowej” jest Latający Smok. -Powinien był wspomnieć o tym wcześniej.
- Aha. - Niu wyprostował się sztywno. A więc to tak... - Ma pan zda nie na temat tych wydarzeń?
- Myślę, że gdy Yu Yongfu przejął L atającego Smoka, skarbnik firmy odkrył coś, co mu się nie podobało, coś, co zaniepokoiło Stany Zjednoczone. Yongfu powiedział o tym Mondragonowi, który z kolei przekazał tę informację Amerykanom. A przynajmniej próbował ją przekazać, najpewniej wraz z jakimiś dokumentami. Coś poszło nie tak. Mondragon został prawdopodobnie zabity, a dokumenty przepadły. Smith przyjechał je odzyskać. Poza tym wygląda na to, że ten młody Jingshe był amerykańskim agentem, którego przydzielono do pomocy Smithowi jako tłumacza i przewodnika.
- Zamyślony Niu ściągnął usta.- A więc są w naszym kraju ludzie, ludzie niezwiązani z siłami bezpieczeństwa, zdecydowani zrobić wszystko, żeby Amerykanów powstrzymać, żeby utrudnić im poszukiwania bez względu na cel. Odkryte przez skarbnika dokumenty, które Smith próbuje teraz odzyskać, doprowadziły do śmierci tegoż skarbnika, do zniknięcia Yu Yongfu i jego żony oraz do zabójstwa młodego tłumacza.- Na to wygląda, panie ministrze, tak.Niu miał coraz gorsze przeczucia.

- Ten skarbnik znalazł coś, co wywołało groźne poruszenie. Jak pan sądzi, co to mogło być? - Sięgnął po papierosa.
- Nie myślałem o tym, dopóki nie poprosił pan o informacje na temat „Cesarzowej”. Właśnie wtedy dowiedziałem się, że statek ten należy do Latającego Smoka. Nie wiem, dlaczego pan o to pytał, ale związek tej sprawy ze sprawą pułkownika Smitha nie może być dziełem przypadku.
- Poprosiłem o informację na temat samego statku, jego kursu i ładunku. To znaczy na temat wszystkiego, co trzeba wiedzieć.
- Tak, panie ministrze.
- Sowa przypalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.
- Czego się pan dowiedział?
- „Cesarzowa” płynie do Basry. Za mniej więcej trzy dni ma wejść do zatoki.
- Irak... - Niu pokręcił głową. Bardzo mu się to nie podobało. – Co przewozi?
- Według manifestu okrętowego odtwarzacze DVD, ubrania, różnego rodzaju produkty przemysłowe, sprzęt i narzędzia rolnicze, a więc ładunek, jakiego należałoby się spodziewać, nic specjalnego. A już na pewno nie przewozi czegoś, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie Amerykanów. - Major spojrzał na Niu z niemym pytaniem w oczach.
- Mimo to Amerykanie się tym interesują, i to bardzo... - odbił piłeczkę Niu. Nie miał zamiaru mówić majorowi o napiętej atmosferze, jaka zaczynała tworzyć się wokół statku. Jak dotąd wiedzieli o tym tylko członkowie Stałego Komitetu i ambasador Wu w Waszyngtonie. Niu miał nadzieję, że uda mu się ją rozładować, zanim konflikt przerodzi się w otwarty kryzys. - Myślał pan o tym, majorze?
- Jeśli, jak podejrzewam, chodzi im o „Cesarzową”, to tylko ze względu na jej ładunek.
- Dlatego uważa pan, że oficjalny manifest okrętowy, wystawiony przez Latającego Smoka, jest fałszywy i Amerykanie o tym wiedzą.
- Czyż można wysnuć inny wniosek?
- Sowa zaciągnął się i wypuścił dym. -
- Czy pułkownik Smith zdobył to, po co tu przyjechał?
- Tego nie wiemy.
- I właśnie tego musimy się tego dowiedzieć, majorze. Natychmiast.
- - Znajdziemy Yu Yongfu, przesłuchamy jego teścia i przeprowadzimy śledztwo w sprawie Latającego Smoka. Niu kiwnął głową.
- A teraz proszą mi powiedzieć, jak ten pułkownik wam umknął, nie znając naszego języka i będąc tu pierwszy raz? Jak zdołał zbiec z Chin po śmierci tego tłumacza?
- Uważamy, że pomogli mu Ujgurzy z ruchu oporu. Moi ludzie ich szukają, ale łatwiej już

złapać szczura w kanale niż Ujgura w starych *longtang*. Policja traktuje ich z przymrużeniem oka, bo Ujgurów jest nie wielu. Skutek? Praktycznie nikt ich nie kontroluje. Jak te szczury, są przebiegli, zdeterminowani i łatwo się przystosowują.

- Najwyraźniej jest ich jednak więcej, niż byśmy chcieli - odrzekł Niu.
- Jak mu pomogli?
- Ukryli go w *longtang* i jakoś go stamtąd wywieźli. Co zrobili potem, możemy się tylko domyślać, bo doniesienia są bardzo skąpe. Policjanci z blokady drogowej pamiętają, że przepuścili kilkoro Ujgurów w land-roverze. Dwoje z nich było zameldowanych na stałe w Szanghaju, a każdy, kto ma takie dokumenty, może swobodnie podróżować. Nieco później słyszano liczne wystrzały w zatoce Huangzhou między Jinshan i Zhapu. A dziś rano jeden z naszych kutrów patrolowych zameldował, że wkrótce po tym, gdy wystrzały ucichły, niedaleko brzegu wynurzył się amerykański okręt podwodny.
- Niu milczał. Palił. Wreszcie kiwnął głową.- Dziękuję, panie majorze. Proszę kontynuować śledztwo. Ma absolutny priorytet.Major Pan nie miał ochoty wychodzić, wolałby rozwikłać te wszystkie zagadki już teraz i tutaj, ale cóż, ostatecznie był dobrze wyszkolonym urzędnikiem rządowym. Poprawił garnitur i stanął na baczność.- Tak jest, panie ministrze.Gdy zamknęły się drzwi, Sowa zgasił papierosa. Usiadł wygodniej, odchylił się do tyłu i zakołysał na tylnych nogach krzesła. Myślał. Co mogło być aż tak ważne, że Amerykanie nie tylko przysłali tu okręt podwodny, który wynurzył się na powierzchnię ledwie kilka kilometrów od wybrzeża Chin, ale i śledzili „Cesarzową” z pokładu fregaty uzbrojonej w pociski rakietowe? Dlaczego aż tak bardzo ryzykowali? Coś tu nieznośnie cuchnęło.Zaniepokojony pokręcił głową. Pomyślał o strzelaniu na plaży i o ambitnym Li Aorongu, który najwyraźniej pomógł zięciowi w osiągnięciu sukcesu w interesach. Potem pomyślał o tym, czego nie mógł powiedzieć ani majorowi Panowi, ani generałowi Chu Kuairongowi, ani żadnemu członkowi rządu czy partii: że potajemnie robi wszystko, żeby otworzyć Chiny na świat, na jego nieskończone możliwości.Ogarnęła go melancholia. Był wtedy młodzieńcem, ale doskonale pamiętał, jak przewodniczący Mao z tęsknotą wspominał te piękne, proste czasy przed rokiem czterdziestym dziewiątym, kiedy to musiał tylko pisać wiersze i walczyć z wrogami Chin. Potem wpadł w pułapkę brudnych, pokrętnych i zakamuflowanych machinacji w kręgach ludzi walczących o władzę.To, czego Sowa w tej chwili pragnął - podpisania traktatu o prawach człowieka - mogło zapewnić ludziom lepsze życie. A jednak podejrzewał, że traktat ten ma w sektorze państwowym więcej przeciwników niż zwolenników. Ale było tak dlatego, że występowało przeciwko niemu wielu wysokich dygnitarzy, i to po obu brzegach oceanu...

## **Hongkong**

- 
- Z grzecznym uśmiechem usiadł na krześle w recepcji. Słyszał, jak Ralph McDermid mówi sekretarce, że go przyjmie. Czekał, trzasnął zamkiem dyplomatki, jakby chciał zajrzeć do notatek.Otworzył ją, gwałtownie zamknął i zerwał się na równe nogi.- Cholera jasna! Przepraszam panią, wypsnęło mi się. Zostawiłem mój notebook w Donk LaPierre. - Zerknął na zegarek, a potem na wysoki zegar w rogu pokoju. - McDermid przyjdzie za piętnaście minut. Ja będę za dziesięć.Zanim Filipinka zdążyła zareagować, pobiegł do windy. Wcisnął guzik i wszedł do pustej kabiny. Gdy drzwi zaczęły się zamykać, pomachał z uśmiechem zdezorientowanej sekretarce. Miał mało czasu i w duchu ponaglał windę do szybszej jazdy.

Wysiadł dwa piętra niżej, przebiegł korytarzem i wpadł do ubikacji. W kabinie ściągnął garnitur, włożył sportową marynarkę z marszczoną bawełny, niebieskie płócienne buty i panamę. Do tego luźne szare spodnie, krzykliwa hawajska koszula - wyglądał w tym jak amerykański turysta, który ma więcej pieniędzy niż gustu. Garnitur spakował do dyplomatkę, dyplomatkę wepchnął do plecaka, po czym ostrożnie wyszedł na korytarz. Zastanawiając się, co zaraz będzie, wsiadł do innej windy i stanął z tyłu, ustępując miejsca urzędnikom, którzy wsiadali i wysiadali na różnych piętrach w drodze na dół. Przepchnął się do drzwi dopiero wtedy, gdy winda dojechała do antresoli nad parterem. Wysiadł. Od wewnątrz cała antresola była zabudowana kosztownymi butikami, biurami podróży i sklepami. Od zewnątrz nie miała ścian. Zamiast nich biegło tam coś w rodzaju wysokiego do pasa marmurowego parapetu, z którego wznosiły się podtrzymujące strop kolumny. Zza parapetu rozciągał się dobry widok na wielki hol. Jon stanął za kolumną. Widział stamtąd marmurowe schody prowadzące na antresolę, windy i główne wejście. Stał i niecierpliwie czekał. Nagle dostrzegł człowieka, którego spodziewał się tu zobaczyć: potężnie zbudowanego Chińczyka, tego z Szanghaju. Feng Dun. Przepychał się w stronę przeszklonych drzwi w holu, a za nim biegło trzech innych, których Smith też rozpoznał. Po raz pierwszy mógł się mu spokojnie przyjrzeć. Chińczyk był tak blady, jakby cierpiał na anemię. Miał krótko ostrzyżone rudosiwe włosy. W ciemności, gdy Smith widział go ostatni raz, wydawał się trochę wyższy. Mimo to jak na Chińczyka był wysoki, bo mierzył co najmniej metr osiemdziesiąt pięć i ważył ponad dziewięćdziesiąt kilo. Przystanął w drzwiach, jakby czegoś szukał. Czegoś lub kogoś. Ralph McDermid wysiadł z prywatnej windy z zastrzeżonym na takie okazje przyjaznym uśmiechem na twarzy. Wysiadł i rozejrzał się w poszukiwaniu doktora Kennetha St. Germaina. Ale w luksusowo urządzonej recepcji nie było nikogo prócz sekretarki. McDermid zmarszczył brwi.

- Gdzie on jest?
- Bardzo mi przykro, panie dyrektorze, ale doktor St. Germain zostawił na dole notebook. Jest w Donk LaPierre, zaraz wróci. – Spojrzała na zegar. - Ojej. Powiedział, że potrwa to najwyżej dziesięć minut, a minęło już piętnaście. Mam do nich zadzwonić?
- Tak, ale proszę tylko spytać, czy tam jest lub był, to wszystko. Niech pani z nim nie rozmawia ani nie zaprasza go na górę. - Z jakiegoś powodu Smith mógł tam naprawdę pójść.
- Sekretarka podniosła słuchawkę telefonu, zadała, kilka pytań i spojrzała na niego skonsternowana. - Mówią, że nie ma go i nie było. Ani teraz, ani przedtem. Otworzyły się drzwi windy i wysiadł z niej Feng. Wielki glock wyglądał w jego ręku jak mała zabawka. Sekretarka wytrzeszczyła oczy. Przerażona zatrzymała spojrzenie na pistolecie. - Gdzie on? - szepnął Feng.
- Zniknął - odrzekł zdeglustowany McDermid. - Wyszedł kwadranstemu.
- Jest w budynku - powiedział bezbarwnym głosem Feng. - Obserwowaliśmy go. Nie mógł uciec. Jest w potrzasku.
- Smith zaczynał się denerwować. Stężały mu ramiona, mięśnie rwały się do walki. Mimo to wciąż stał za kolumną na antresoli, obserwując hol. Wydawszy rozkazy swoim ludziom, Feng wsiadł do windy. Migające nad drzwiami cyferki wskazywały, że pojechał na samą górę, do przybudówki na dachu wieżowca. Jon był wstrząśnięty, chociaż domyślał się tego wcześniej.

Coraz więcej faktów wskazywało na to, że Ralph McDermid próbował zatrzymać go w recepcji, żeby wezwać Fenga i jego zabójców. Co oznaczało, że przewodniczący zarządu i prezes Grupy Altmana ma nie tylko dużo wspólnego ze sprawą „Cesarzowej”, ale jest także zamieszany w jej najbardziej krwawe aspekty. Trzech myśliwych Fenga stało na dole i nie rzucając się w oczy, obserwoowało wszystkie wyjścia. Feng wrócił, lecz nie wysiadł z windy, tylko pojawił się w holu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Prawie niewidoczny gest ręką na wysokości pasa i cała czwórka przystanęła za rzędem palm doniczkowych. Naradzając się, nieustannie zerkali na wszystkich, którzy ich mijali. W pewnym momencie Feng podniósł wzrok i zdawało się, że patrzy na antresolę, na kolumnę, w cieniu której stał Jon. Smith powoli się cofnął. Jeszcze raz sprawdził swoje przebranie, od hawajskiej koszuli poczynając, na niebieskich butach do biegania kończąc. Nasunął panamę głębiej na czoło, ukrył pistolet za paskiem na plecach i obciągnął marynarkę. Ruszając w stronę schodów, lekko ugiął kolana i skierował stopy do środka, dzięki czemu szedł krokiem sztywnym i napuszczonym. Nie patrzył na tamtych, chociaż każdy z nich zerknął na niego. Był bardzo spięty i tylko czekał, aż Feng dojdzie do wniosku, że warto go zatrzymać. Mijając palmy i popychając skrzydło szklanych drzwi, czuł na sobie czyjś wzrok i był pewien, że zaraz go dopadną. Ale nie, nikt go nie zatrzymał. Ogarnęły go ulga i zdziwienie. Przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął w cieniu. Czekał.

# Rozdział 22

## Hongkong

- 
- 
- Było już prawie ciemno, gdy McDermid wyszedł wreszcie bocznymi drzwiami; Feng Dun i jego ludzie wybyli jeden po drugim wiele godzin wcześniej, jakby przydzielono im kolejne zadanie. Ponieważ zbliżała się godzina wieczornego szczytu, Jon nie zwlekał. Po południu wilgotność znacznie spadła i łatwiej było przedzierać się przez tłum. Sfrustrowany i zaniepokojony nie spuszczał McDermida z oczu, ale ten doszedł tylko do najbliższej stacji MTR, tutejszego metra. Jon odczekał dwadzieścia sekund, kupił bilet i zbiegł na dół. Na peronie stało niewielu pasażerów, dlatego łatwo mu było sprawdzić, czy nikt za McDermidem nie idzie, czy nie towarzyszy mu ukradkiem goryl z obstawy. Nadjechał pociąg i McDermid wsiadł. Wsiadł i on, tyle że drugimi drzwiami. McDermid przeszedł kilka kroków i wreszcie znalazł miejsce, które najwyraźniej przypadło mu do gustu. Usiadł na stalowej ławce i zapatrzył się w dal, nie nawiązując kontaktu wzrokowego ze znużonymi pasażerami ani nie zwracając uwagi na upstrzone chińskimi hieroglifami kolorowe reklamy, jakże inne od tych, które widywało się tu, zanim Hongkong wrócił do Chin i zanim zniknęły z nich angielskie napisy. Smith poszedł w przeciwną stronę. Przytrzymał się słupka i stanąwszy tyłem, obserwował McDermida w oknie. Dlaczego człowiek tak bogaty i zajmujący tak wysokie stanowisko jedzie metrem? - myślał. Bo ma niedaleko? Bo nie chce korzystać z samochodu i szofera firmy należącej do podwładnego? Bo zmęczyły go tłumy i panujący na ulicy harmider? Bo tak jest taniej? A może, co bardziej prawdopodobne, nie chce, żeby ktokolwiek wiedział, dokąd się wybiera? Metro było niezwykle ciche i szybkie. McDermid ani razu się nie rozejrzał, jakby nie obchodziło go, czy go ktoś śledzi. Wysiadł dwa przystanki dalej, na stacji Wanchai. Smith odczekał do ostatniej chwili i wyskoczył zamykającymi się drzwiami, gdy McDermid był już na peronie, kilkanaście metrów dalej. Hennessy Road. McDermid szedł przed siebie krokiem luźnym i swobodnym. Byli w Wanchai, dawnej dzielnicy czerwonych latami. Kiedyś sprzedawano tu seks i narkotyki, ale teraz nadeszły ciężkie czasy i burdele musiały ustąpić pod naporem rozrastającej się dzielnicy finansowej. Wszędzie strzelały w niebo wieżowce, wszędzie wyrastały hotele, w których pokój kosztował ponad trzy tysiące dolarów za noc. Z rękami w kieszeniach McDermid skręcił w rozświetloną neonami Lockhart Road, gdzie jeszcze kwitł handel seksem. Dopiero tutaj Wanchai odzyskiwała swoją wątpliwą reputację. W drzwiach barów stały grupki dziewcząt, które zaczepiały potencjalnych klientów. Roilo się tu od nocnych klubów, barów topless, dyskotek i od hałaśliwych angielskich i irlandzkich pubów. Szyldy, naganiacze, neony, wabiki i triki - wszystko było tu głośnie i jaskrawe, wszystko zachęcało do rozkoszy dla wygłodniałych i samotnych. Ale serca w tym już nie było. Ani Smith, ani McDermid nie zerknęli nawet na te mocno już zmatowiałe przybytki. Jon zastanawiał się nieustannie, dokąd McDermid idzie. Dokąd i po co. Wreszcie szef Grupy Altmana skręcił w boczną uliczkę i wszedł do starego ceglanego biurowca, stojącego w cieniu biurowca nowego, znacznie wyższego, lśniącego od stali i szkła. Uliczka była wąska. Kramarze już zwijali interes. Kilka sklepików zapraszało na peep show i porno, zachęcało do tatuaży i zabawek dla dorosłych. Jednocześnie z ceglanego wieżowca płynął nieprzerwany strumień urzędników i kierowników niższego szczebla, którzy wracali do swoich domów na przedmieściach i na tonących w coraz głębszej ciemności

wzgórzach, odzwierciedlając kulturową schizofrenię, w jaką popadła Wanchai. Z narastającą ciekawością Jon wmieszał się w tłum i wszedł do środka. Ralph McDermid stał w marmurowym holu przed rzędem kunsztownie zdobionych wind. Gdy z kabiny wypłynęła rzeczka pasażerów, wsiadł i jako jedyny pojechał na górę. Smith spojrzął na rząd cyferek nad drzwiami. Winda zatrzymała się na dziewiątym piętrze i wróciła na dół. Jon wsiadł do sąsiedniej i wcisnął guzik. Wysiadł na dziesiątym piętrze, pokonując po dwa stopnie naraz, zbiegł na dziewiąte i wyrzwał na pustą, wyłożony marmurem korytarz. Gdzie ten McDermid? Gdzie się podział? Szybko zrobił krok do tyłu. Z biura wyszły trzy kobiety i paplając po chińsku, skręciły do windy. Przywarłszy do ściany, zaskoczony Smith wyteżył słuch, żałując, że nie zna ich języka. Zanim zdążył ponownie wyrzeć, na marmurowej posadzce zaklekotały obcasy butów i ktoś dołączył do czekających na windę kobiet. Otworzyły się i zamknęły jakieś drzwi, w korytarzu zapadła cisza... jeśli nie liczyć prawie niesłyszalnego szelestu tuż za drzwiami, za którymi stał. Jon uchylił je leciutko i zobaczył ubraną na czarno Chinkę w słomkowym kapeluszu, która właśnie zniknęła na końcu korytarza. Ale gdzie był McDermid? Wtem usłyszał jego głos. Dochodził z prawej strony, jakby zza wind. Smith uśmiechnął się ponuro, wyjął pistolet i ostrożnie potruczał przed siebie. Przystawał przed każdymi drzwiami. Przystawał i nadśluchiwał. Wszystkie były identyczne, tanie, puste w środku, ze stalowymi szczelinami na listy i tabliczkami, na których wypisano nazwy chyba wszystkich możliwych branż i zawodów, od księgowego i dentysty poczynając, na firmach internetowych i usługach sekretarskich kończąc. Zza kilku dochodziły przytłumione głosy, za jednymi grało radio. Już zaczynał się martwić, że gdzieś go zgubił, gdy wtem... Zwolnił. Głos dochodził zza drzwi z tabliczką: Dr James Chou, akupunktura shiatsu. Wyglądało na to, że McDermid przyjechał tu na zabieg i masaż. Tylko dlaczego zadał sobie tyle trudu? Dlaczego wsiadł do metra, a potem odbył tak długi spacer? Przecież był słaby fizycznie. A może przyjechał tu zupełnie po co innego? Może gabinet akupunktury był fasadą starego, dobrego „salonu masażu”? Jon przykucnął i zajrzał do środka przez szczelinę na listy. Poczekalnia była mała i skąpo umeblowana tanimi, plastikowymi krzesłami i stolikami. Stała tam również pokryta tapicerką sofa z bambusowymi podłokietnikami. Na stolikach i na sofie leżały chińskie i angielskie czasopisma. Nie, tu nie było nikogo. Więc skąd ten głos? Czyżby się pomylił? Z pistoletem w rękę przekręcił klamkę i powoli wszedł do środka. Wtedy zobaczył drugie drzwi. Właśnie zza nich dobiegał głos McDermida. Smith już wykrzywił usta w uśmiechu, gdy wtem głos umilkł i zapadła kompletna cisza. Rozmowa ustała. Przecież gdyby tam byli, McDermid i lekarz, musiałby ich słyszeć, musiałby... Ścisnęło go w piersi. Chryste, McDermid mógł wybrać metro z zupełnie innego powodu. Mógł wyczuć, że ktoś będzie go śledził. Mógł się go spodziewać. Niemiła prawda była taka, że zwabił go tu i wciągnął w pułapkę. Jon rzucił się na podłogę i wciąż z bronią w rękę, wczołgał się za sofę. Ktoś wyważył drzwi, te na korytarz. Pękła zasuwą, wyleciały zawiasy, posypały się drzazgi i do poczekalni wpadło dwóch goryli z grupy Fenga. Smith oddał dwa strzały. Jeden z Chińczyków runął na twarz i przetoczył się po linoleum, zostawiając za sobą krwawy ślad. Drugi błyskawicznie zszedł z linii strzału i wycofał się na korytarz. Kula nawet go nie drasnęła. Jon podczołgał się do przodu. Chińczyk wyskoczył zza drzwi, mierząc w sofę, ale on był już w połowie drogi do ściany. Pociągnął za spust. Głuchy jęk, przekleństwo i Chińczyk zniknął za ścianą. Smith przykucnął tuż za roztrzaskanymi drzwiami, skąd widział pół korytarza w stronę wind. Widział też i drugie drzwi, ale każdy, kto chciałby zobaczyć i zaatakować jego, musiałby najpierw wejść nimi do środka. Dwóch Chińczyków pochylało się w korytarzu nad trzecim, który siedział pod ścianą w kałuży krwi. Od czasu do czasu wszyscy trzej

zerkali gniewnie w stronę poczekalni. Jon nie zwlekał. Wstał, podbiegł do sofę, przewrócił ją, dopchnął do drzwi, żeby osłaniała go z boku i ponownie legł na podłodze. Po chwili doszedł go odgłos cichych kroków. Myśliwi wyruszali na łów. Wciąż leżał, ani drgnął. Czekał. Odliczył dziesięć sekund, szybko wstał i trafił jednego w chwili, gdy ten, nisko pochylony, wbiegał do poczekalni. Kiedy w marmurowym korytarzu przebrzmiało echo bolesnego krzyku, otworzyły się na oścież drzwi wewnętrzne i w sofę zastukał grad kul. Jon przywarł do podłogi. Znowu czekał. Słyszał bicie własnego serca. Wreszcie, gdy jeden z napastników wpadł do środka z małym pistoletem maszynowym w rękę, błyskawicznie wstał i wypalił. Siła uderzenia pocisku rzuciła Chińczyka na wielkie okno. Roztrzaskał je i przeraźliwie wrzeszcząc, spadł. Smith wyjrzał zza sofę. Nadchodzili, tym razem we trzech. Wypalił dwa razy i ponownie zanurkował za sofę. Dał im odpór, tylko na jak długo? Wiedział, że spróbują ponownie z sąsiedniego pokoju. Miał jeszcze jeden magazynek, ale gdy tamci lepiej skoordynują atak, gdy uderzą z dwóch stron jednocześnie, będzie po nim. Zabiją go albo schwytają. Nie wiedział, czego chcą. Na czoło wystąpił mu pot. Przyklął na jedno kolano i czekał na atak z sąsiedniego pokoju. Wpadli bez ostrzeżenia. Teraz było ich dwóch, tym razem działali szybciej i zmyślniej - jeden skoczył w lewo, drugi w prawo, podczas gdy on musiał nieustannie obserwować korytarz, na wypadek gdyby chcieli go wziąć z dwóch stron. Opróżnił magazynek, siekąc kulami krzesła, stoliki i ścianę. Wetknął do rękojeści zapasowy, trzasnął zamkiem, lecz tamci... zniknęli. Zniknęli? Nie. Znowu gruchnęły wystrzały, znowu zatrzęśły się ściany. Ale skąd strzelali? I w kogo? W sofę, za którą kuczał, nie trafiła ani jedna kula, nikt też nie wpadł do poczekalni. Zaleć czy przykleknąć? Kolejna seria, tym razem na korytarzu. Na pewno na korytarzu, dziwne tylko było to, że nie strzelali do niego. Ostrożnie wyjrzał. Było ich czterech, łącznie z dwoma, którzy zaatakowali go z sąsiedniego pokoju. Piąty i szósty - obydwaj ranni - leżeli w otwartej i zablokowanej windzie. Tak, strzelali w przeciwną stronę, mierzyli w kogoś na końcu korytarza. Jeden odwrócił się gwałtownie i posłał mu kulę. Wychylając się i chowając za sofę, odpowiedział ogniem. Raptem wybuchło jakieś poruszenie. Ktoś zaklął i trzasnął drzwiami, zatupotały kroki. Wytężył słuch. Ruszyła winda. Na korytarzu i w pokoju obok zapadła głucha cisza. Uciekli? Czy to tylko kolejna sztuczka? Zaciekawiony wyjrzał ponownie. Korytarz był pusty. Stary budynek cicho pojękiwał. Gdzieś na wyższym piętrze zaszumiała woda w muszli klozetowej. Smith odetchnął. Przetarł rękawem czoło i spojrzał na Chińczyka leżącego nieruchomo na podłodze. Podeszedł do niego na czworakach i obszukał, ale nie znalazł niczego, co pomogłoby go zidentyfikować. Rozczarowany wpadł do sąsiedniego pokoju. Stół do masażu, szafka, krzesło, przenośny odtwarzacz CD. Wszystko posiekane kulami. Za wybitym oknem, przez które wypadł jeden z napastników, gwizdał wiatr. Na dole wyły syreny. Nadjeżdżała policja. Tu też były drzwi. I też wychodziły na korytarz. Podbiegł do nich i ostrożnie wyjrzał. Pusto. Nic, tylko łuski i ślady krwi - prowadziły do windy. Ruszył w tamtą stronę, omiatając pistoletem korytarz, wreszcie dotarł do ostatnich drzwi, jedynych - nie licząc poczekalni i sąsiadującego z nią pomieszczenia - które były otwarte. Szybko stanął w progu i wymierzył. Na muszce miał chińską wieśniaczkę, którą widział z klatki schodowej. Wciąż w słomkowym kapeluszu, siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, opierając się o żaluzjowe biurko. Tuż przy niej leżał telefon komórkowy. W obu rękach ścisnęła paskudnie wyglądającego glocka kaliber 9 milimetrów. - Ty kto? - warknął Jon. Chinka nie opuściła broni.

- Już wszystko wiem. - Mówiła idealną amerykańszczyzną. Była zirytowana, mimo to na jej ustach błędził lekki uśmiech. - Masz w życiu tylko jeden cel: pojawiać się w najgorszym



momencie i spieprzyć mi każdą operację.

- Randi?
- - Witaj, żołnierzyku. - Dopiero teraz opuściła broń. Jon wytrzeszczył oczy i opuścił swoją. - Nie do wiary. Cóż za przebranie, CIA jest coraz lepsza. - A więc to stąd padły strzały. Randi odwróciła ich uwagę i dzięki temu ocalał. Płynnym, sprężystym ruchem wyprostowała nogi i wstała.
- Czyżbym słyszała syreny?
- Owszem. Lepiej stąd zjeżdżajmy.
- 
- 

## **Pekin**

- Z bujnego, pięknie utrzymanego ogrodu w Zhongnanhai dochodził zapach kamelii. Niu Jianxing odchylił się do tyłu i westchnął. Przysłuchiwał się gniewnie dyskusji na specjalnym posiedzeniu Stałego Komitetu biura politycznego. Musiał wyteńczyć cały intelekt, żeby kontynuować swój program w obliczu kryzysu, do którego mogło dojść w związku z „Cesarzową”. Musiał być opanowany, nie mógł sobie pozwolić na wybuch gniewu.
- Najpierw ucieka nam amerykański szpieg - mówił Wei Gaofan, szczerząc zęby jak strzegący świątyni pies, dzięki czemu jego zwykle ponura twarz była teraz niemal łagodna. - A zaraz potem amerykański okręt wojenny... jak mu tam? „John Crowe”, tak? Amerykański okręt wojenny, który narusza nasze prawo do żeglugi na otwartym morzu! To oburzające! - Twardogłowy. Czysta klasyka.
- Właściwie jak ten pułkownik nam uciekł? - spytał Song Riuyu, jeden z młodszych członków komitetu.
- Moi ludzie prowadzą w tej sprawie śledztwo - odrzekł spokojnie Niu.
- Jak je prowadzą? - warknął Gaofan. - Tworząc setki zupełnie bezsensownych komisji i podkomisji, jak Europejczycy?
- Czyżby chciał pan zostać członkiem takiej komisji? - spytał ostro Niu. - Jeśli tak, w każdej chwili mogę ją stworzyć i wciągnąć pana na listę. Byłby to dla mnie prawdziwy zaszczyt.
- Ma pan nasze całkowite zaufanie, Niu - wymruczał korpulentny Shi Jingnu miękkim głosem handlarza jedwabiu.
- Te sprawy niepokoją nas wszystkich - przerwał im sekretarz generalny. - Chciałbym poznać odpowiedź na oba pytania. Czy Amerykanie wymachują tylko wielką pałką Roosevelta, czy ostrzą miecze Kennedy'ego?
- Pełny raport w sprawie ucieczki pułkownika Smitha trafi do pańskich rąk już jutro - obiecał Niu.
- A ta fregata, która płynie za naszym statkiem? - Sekretarz generalny spojrzał na leżące przed nim dokumenty. - Za „Cesarzową”, tak?

- Sowa kiwnął głową.- Tak, za „Cesarzową”. Jej właścicielem jest firma o nazwie Latający Smok.Kątem oka zerknął na Gaofana - prezesem Latającego Smoka był zięć jego najbliższego protegowanego. Ale Wei nie wykazał tym większego zainteresowania, zupełnie nie zareagował.
- Statek jest zarejestrowany w Hongkongu - kontynuował Niu. - Przeprowadziliśmy śledztwo i stwierdziliśmy, że właścicielem Latającego Smoka jest niejaki Yu Yongfu z Szanghaju i że „Cesarzowa” płynie do Basry w Iraku. - Gaofan wciąż nie reagował. Skoro już nie raczył powiadomić ich, że znał Yongfu, powinien chociaż jakoś to skomentować.
- Do Iraku? - powtórzył z nagłym niepokojem Pao Peng, stary towarzysz sekretarza generalnego z Szanghajskich czasów.
- Co przewozi? - spytał Han Mengsu, jeden z jego młodszych kolegów.
- Co do tego mamy pewne wątpliwości - odrzekł Niu i wyjaśnił, na czym polega prawdopodobny związek pułkownika Smitha z „Cesarzową”. - Smith był w Szanghaju, bo czegoś szukał.
- A manifest okrętowy? - spytał Gaofan. - Co mówi manifest?
- Niu przedstawił im spis niewinnych towarów z oficjalnej listy przewozowej.
- No i proszę! - rzucił gniewnie Gaofan. - Amerykańscy tyrani jak zwykle wymachują kijem, żeby zaimponować swoim, Europie i słabszym krajom. Wszystko jest jasne: to kolejny „Yinhe” i tym razem nie możemy pozwolić, żeby weszli na pokład. Jesteśmy silnym, niezależnym krajem, krajem większym niż Stany Zjednoczone i musimy położyć kres ich polityce wiecznego podżegania!
- Tym razem - podkreślił z naciskiem Niu - możemy mieć do czynienia z prawdziwą kontrabandą. Czy chcemy, żeby dotarła do Iraku, zwłaszcza za naszą wiedzą i przyzwoleniem? - Nieustannie obserwował Gaofana, nie chcąc, żeby ten domyślił się, że wie o jego związkach z Latającym Smokiem. Ta informacja na pewno mu się przyda. Ale nie teraz. Sowa doskonale wiedział, że kluczem do wszelkiego sukcesu jest cierpliwość i umiejętność działania w odpowiedniej chwili.
- Na jakiej podstawie opiera pan swoje domysły? - Z głosu Shi Jingnu zniknęła cała obłuda.
- To niezwykle, że jako agenta Amerykanie przysłali tu pułkownika Smitha. Zapewne zrobili to tylko dlatego, że akurat był na Tajwanie i ja ko jeden z nielicznych Amerykanów mógł swobodnie - i szybko - wjechać do Chin. Musiało go tu sprowadzić coś bardzo ważnego i nadzwyczaj pilnego.
- Sekretarz generalny popadł w zadumę.- I sugeruje pan, że chciał sprawdzić, co naprawdę przewozi „Cesarzowa”?- To by pasowało.
- Więc tym bardziej nie powinniśmy do tego dopuścić - oznajmił Gaofan. - Jeśli zarzuty się potwierdzą, dowie się o tym cały świat.
- Nawet jeśli jesteśmy niewinni, bo nic o tym nie wiedzieliśmy? - spytał Sowa.
- Kto by nam uwierzył? - spytał Shi Jingnu. - A nawet jeśli, czyż nie uznano by nas za słabych

i bezbronnych? Za niezdolnych do sprawowania władzy i wymagających amerykańskiego nadzoru?

- Song Riuyu sposepniał.- Tym razem musimy zademonstrować naszą potęgę - powiedział. Pao Peng kiwnął głową, jednym okiem spoglądając na sekretarza generalnego.
- A przynajmniej odpowiedzieć groźbą na groźbę.
- A więc impas? - myślał na głos sekretarz. - Może i macie rację. Kto jest za?
- Spod na wpół przymkniętych oczu Niu Jianxing policzył ręce. Siedem. Dwie były podniesione nieco niżej, mniej pewnie niż te Wei Gaofana, Shi Jingnu i Pao Penga. Sekretarz generalny ręki nie podniósł, lecz nie miało to żadnego znaczenia. Gdyby był przeciw, nie zarządziłby głosowania. Jeśli Niu miał uratować traktat o prawach człowieka, czekało go wielkie, budzące grozę zadanie. Wolał nie myśleć, co jeszcze trzeba by było ratować, gdyby podczas kryzysu ktoś pociągnął za spust.

# Rozdział 23

## Morze Arabskie

- 
- 
- Minął ranek. Powietrze było przejrzyste i powoli zaczynał narastać upał. Porucznik Moses Canfield opierał się o reling na rufie, ciesząc się świeżym powietrzem przed wachtą w mrocznym centrum telekomunikacyjnym. „Cesarzowa”, za którą płynęli od prawie dwudziestu czterech godzin, majaczyła na horyzoncie i wciąż utrzymywała kurs na Basrę. Tylko starsi oficerowie wiedzieli, dokąd płynie i co ponoć przewozi, ale zakazano im o tym mówić. Konieczność zachowania tajemnicy jeszcze bardziej go wykończyła. Źle sypiał. A teraz nie miał ochoty wracać na dół. Zawsze cierpiał na swoisty rodzaj klaustrofobii, co zniechęciło go do służby na okrętach podwodnych, poza tym miał bujną wyobraźnię. Wyobrażał sobie, że otrzymawszy bezpośrednie trafienie pociskiem raketowym, „Crowe” błyskawicznie idzie na dno i wraz z nim na dno idą wszyscy uwięzieni pod pokładem, w tym on. Zadrżał w upale i postanowił wziąć się w garść. Nie uspokoił go również wykład kapitana Chervenki, który kazał mu zachować czujność i cierpliwie czekać do chwili, gdy nabierze całkowitej pewności, że „Cesarzowa” rzeczywiście zmieniła kurs i że nie jest to tylko kolejny zygzak.
- Nigdy nie wolno wyciągać pochopnych wniosków co do działań przeciwnika, poruczniku - mówił Chervenko. - Zanim rzuci się okręt do akcji, trzeba jak najwięcej wiedzieć. Trzeba pomyśleć, jak zareagowałoby się na ich miejscu. I wreszcie nigdy nie wolno zapominać o dobrym rozpoznaniu.
- Tak jest, panie kapitanie - odrzekł Canfield. Był zażenowany i trochę zły.
- Ta odrobina złości przywróciła mu zdolność koncentracji i - przynajmniej tymczasem - odpędziła poczucie klaustrofobii. Spojrzał na zegarek, oderwał się od relingu, zbiegł na dół i zajął swoje miejsce w ciasnym centrum telekomunikacyjnym. Operator radaru, Fred Baum, siedział spokojnie w fotelu, pijąc colę bez cukru. Od poprzedniego dnia wieczorem na ekranie nie było nic oprócz „Cesarzowej”. „Crowe” wreszcie wkroczył do akcji i podniecenie, które utrzymywało ich na nogach przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, już minęło. Teraz czekał ich kolejny dzień z pojedynczym punkcikiem na ekranie radaru i zamazaną sylwetką statku na horyzoncie. Wkradała się nuda, a nuda bywa niebezpieczna. Canfield postanowił dać im wykład podobny do tego, jaki dostał od Chervenki. - Dobra, panowie, podsumujmy sytuację - zaczął. - Kapitan „Cesarzowej” może znowu zmienić kurs. Dobrze uważajcie, ale nigdy nie wyciągajcie pochopnych wniosków co do działań okrętu przeciwnika. Może to być tylko rutynowy skok w bok, ale pamiętajcie też, że w każdej chwili okręt ten może ruszyć do ataku. Nie jesteśmy pewni, co Chińczycy tam wiozą ani co knują. Cholera ich wie, równie dobrze mogą przewozić działa albo pociski raketowe. Zawsze, ale to zawsze starajcie się przewidzieć, co zamierza kapitan nieprzyjacielskiej jednostki. - Tak jest! - Przepraszam, panie poruczniku. Ma pan rację.
- Cholera, mogliby wreszcie coś zrobić.
- Właśnie, właśnie!

- 
- Nie, nie, chciałem powiedzieć, że...
- Hej, czekajcie! - krzyknął operator radaru Baum.
- Przez długą chwilę nikt nie zareagował. Wszyscy myśleli, że to kolejny kamyczek do ogródka, narzekanie znużonego bezczynnością marynarza. Spojrzeli na niego niemal jednocześnie, jak na komendę.
- Melduj! - warknął Canfield.
- Coś mam! - Mat Baum był tak podniecony, że zapomniał o „panie poruczniku”. - To chyba... nieprzyjaciel!
- Spokojnie, Baum. - Canfield nachylił się nad jego ramieniem. - Chyba?
- Mat wskazał maleńki punkcik, który to pokazywał się, to znikał na skraju ekranu za rufą „Crowe'a”. - Piekielnie nisko, tuż nad wodą. Prawie bez przekroju.
- Gdzie?
- Za rufą.
- Daleko?
- Z piętnaście mil.
- Canfield zerknął w lewo.
- Radio?
- Nic, panie poruczniku.
- Canfield pochylił się jeszcze niżej. Punkcik zniknął.- Jest tam?- Jest, ale idzie bardzo nisko i zasłaniają go fale. Ale tak, jest tam i się zbliża. Baum przesuwiał palcem to tu, to tam i Canfield za nim nie nadążał.
- Jesteś pewien, że to nie anomalia pogodowa ani zakłócenia powierzchniowe?
- Nie, panie poruczniku. - Mimo to Baum wyciągnął szyję i pochylił się nad ekranem tak nisko, jakby wciąż nie miał całkowitej pewności. - Jest po prostu cholernie mały...
- Ale się zbliża, tak?
- Tak jest. Płyniemy powoli, bo musimy dostosować prędkość do tej krypy, ale...
- Canfield wiedział, że „Cesarzowa” może wyciągnąć najwyżej piętnaście węzłów, że przy większej prędkości walną kotły.- Niech to szlag! - Baum zmrużył oczy. - Znowu zniknął. - Podniósł głowę. - Ale na pewno go widziałem, panie poruczniku. On tam był, płynął za nami i...- Panie poruczniku! - wrzasnął operator sonaru, technik pierwszej klasy Matthew Hastings.

- Co jest, Hastings?
- Też go mam. Dokładnie za rufą! - Hastings podniósł słuchawki. Canfield chwycił je i przytknął sobie do ucha.
- Daleko?
- Tam gdzie widział go Freddy.
- Canfield spojrział na Bauma.
- Masz coś?
- Nie, ciągle nic.
- Canfield łypnął spode łba na Hastingsa.
- Prędkość?
- Dwadzieścia, może dwadzieścia dwa węzły.
- - Wieloryb? - To było możliwe. Duży wieloryb, na albo tuż pod powierzchnią. Hastings wzruszył ramionami.
- Możliwe, ale wieloryby płyną tak szybko tylko wtedy, kiedy się czegoś boją... Zaraz! - Technik przekrzywił głowę, jakby dzięki temu lepiej słyszał. - Śruby, panie poruczniku. Toto idzie na silniku!
- Na pewno? - spytał podniesionym głosem Canfield.
- Kurczę, panie poruczniku, to okręt podwodny! Zbliża się!
- Wszystkie rozmowy ustały, jakby ktoś wyłączył nagle dźwięk. Centrum telekomunikacyjne otoczył lepki kokon ciszy. Canfield wciąż się wahał. To musiał być ten sam obiekt, obiekt, który wypatrzył na radarze Baum: okręt podwodny z kioskiem nad powierzchnią. Zniknął z radaru, bo się zanurzył. Zanurzyłby się, gdyby nie zamierzał atakować? W uszach pobrzmiwały mu słowa kapitana Chervenki: „Nie atakujcie, dopóki nie będziecie pewni. Absolutnie pewni”.
- Dasz radę go zidentyfikować? - rzucił.
- Nie, panie poruczniku - odrzekł z wahaniem Hastings. – Pojedyncza śruba, tyle wiem. Silnik cichy, ale pracuje tak jakoś... nierówno. Pierwszy raz słyszę taką sygnaturę. - Zamilkł i wyteżył słuch. - To nie nasz, gwarantuję.
- Konwencjonalny czy atomowy?
- Na pewno atomowy, ale nie ruski. To znaczy nie rosyjski. Tych sukinsynów to ja znam na pamięć. Nie, to mały atomowy okręt szturmowy.
- - Może angielski? Hastings pokręcił głową. - Za mały, nie pasuje. - Znowu zerknął na porucznika. - Gdybym miał zgadywać na podstawie tego, czego uczyli nas na szkoleniu, powiedziałbym, że to raczej stara chińska maszyna klasy Han. Teraz pracują nad nowymi, ale

nie słyszałem, żeby jakąś zwodowali. Poza tym wydaje ten sam furkoczący odgłos...Hastings zamilkł i mocniej przytknął słuchawki do uszu. Zapadła jeszcze głębsza cisza.

- Daleko?
- Dziesięć mil.
- Canfield kiwnął głową. Czuł się tak, jakby wyciśnięto mu z płuc całe powietrze. Mimo to zdołał krzyknąć:
  - Sparks! Dzwon na mostek. Szybko!
  - 
  - Przejmij dowodzenie, Frank - rzucił kapitan Chervenko. – Przygotuj okręt do akcji. Wszyscy na stanowiska. Schodzę do centrum.
  - Rozkaz.
  - Chervenko zsunął się schodami na dół, wszedł do centrum telekomunikacyjnego i skinął głową Canfieldowi.- Melduj.Porucznik zapoznał go z rozwojem wydarzeń od chwili, gdy mat Baum zauważył mały, świetlisty punkcik na ekranie radaru.
  - Dobrze. Jesteśmy pewni, że to Chińczyk?
  - Hastings mówi, że to nie może być nic innego.
  - Namierzałem już te maszyny, więc...
  - Hastings gwałtownie poderwał wzrok.
  - Panie kapitanie! On zwalnia!
  - Chervenko podszedł do sonaru.
  - Gdzie jest? Daleko?
  - - Pięć, sześć mil. - Koncentrując wszystkie zmysły, żeby lepiej słyszeć, mat patrzył gdzieś w dal. - Tak, zwalnia, na sto procent.
  - Słysząc oznaki jakiejś aktywności?
  - Hastings zamknął oczy.
  - Nie, nic, tylko śrubę. Idą znacznie wolniej...
  - Równają do nas?
  - Hastings podniósł wzrok. Kapitan wyraźnie mu zaimponował.

- Tak jest, na to wygląda.
- Chervenko kiwnął głową.
- Za cieniem wyrósł cień...
- Technicy wymienili spojrzenia. Poczuli się bardzo nieswojo. Kapitan popatrzył na Canfielda.- Mose, trzymaj rękę na pulsie. Melduj o wszystkim, o najmniejszej drobnostce. Chcę wiedzieć, czy tamci nie dostaną czkawki.- Rozkaz.Chervenko wyszedł z wypełnionego elektroniką pomieszczenia, szybko wrócił do kabiny i podniósł słuchawkę wyposażonego w szyfrator telefonu.
- Brose - zadudnił głos po drugiej stronie.
- Mówi komandor porucznik Chervenko. Mamy towarzystwo, panie admirale. Chyba się to panu nie spodoba.

## Hongkong

- Ilekroć myślał, jak bardzo zmieniło się jego życie, odkąd wirus Hades zabił mu narzeczoną i omal nie doprowadził do ogólnoświatowej pandemii, zawsze uświadamiał sobie, że jedną z nielicznych stałych w tymże życiu jest jej siostra, Randi Russell. Chociaż rzadko ją widywał - zwykle była gdzieś w terenie - czasami spotykali się w Waszyngtonie. Kiedyś ustalili, że będą zostawiać sobie wiadomość na automatycznej sekretarce i gdy przypadkowo zjeżdżali do stolicy w tym samym czasie, szli na drinka, na kolację i na tańce, ale żadne z nich nie zdradziło drugiemu, czym się tak naprawdę zajmuje.Jedynka była organizacją tak tajną, że nie mógł nawet wymówić jej nazwy, ani tym bardziej wspomnieć, że w ogóle istnieje. Natomiast ona nie mogła opowiadać mu o swoich misjach, które rzucały ją po całym świecie. Bywało i tak, że wpadali na siebie w terenie, wykonując identyczne zadanie, jak choćby wtedy, gdy przekonał ją - wraz z Peterem Howellem i Martym Zellerbachem - żeby pomogła mu usunąć straszliwą groźbę, jaka zawisła nad światem w związku z futurystycznym komputerem molekularnym Emila Chamborda.Zamiast wrócić do korytarza, gdzie jeszcze przed chwilą trwała strzelanina, Randi otworzyła wewnętrzne drzwi. Przebiegli przez jakiś magazyn i wypadli na kolejny korytarz. Przede wszystkim musieli wydostać się stąd przed przybyciem policji. Syreny wyły coraz głośniejsze, coraz bliżej.
- Dzięki, że odwróciłaś ich uwagę - rzucił. - Jeszcze trochę i byłoby po mnie.
- Zawsze pomagam przyjaciołom.
- Amerykański akcent i chińska twarz... to go dezorientowało. CIA odwaliała kawał dobrej roboty, przemieniając białą blond mieszcuchę w czarnowłosą chińską wieśniaczkę.
- Gdzie my jesteśmy?
- W tym samym budynku, ale w innym skrzydle. To stary angielski biurowiec. Brytyjczycy nie



lubili zatłoczonych wind i korytarzy.

- Było już po godzinach pracy i wszędzie panowała cisza. Wbiegli do windy, zjechali na parter, a z parteru do piwnicy.- Widzę, że doskonale znasz teren - rzucił Jon. - Jestem pod wrażeniem.Zerknęła na niego z ukosa.
- Nie ma to jak rozpoznanie.
- A więc moja mała potyczka na górze w czymś ci przeszkodziła...
- Ralph McDermid lubi nie tylko akupunkturę - odrzekła niewinnie. - Od dawna wzdycha do pewnej masażystki, specjalistki od shiatsu. Ale tym razem musiało mu chodzić o coś więcej niż tylko o igły i flirt. Czymś go uaktywniłeś. Czyżby kłopoty na szczycie azjatyckiej filii Grupy Altmana?
- Skąd wiesz, że tamci polowali na mnie? Może wpadłem w zasadzkę, którą zastawili na ciebie? CIA nie śledzi prywatnych obywateli dla zabawy. Langley musi podejrzewać, że McDermid knuje coś sprzecznego z naszymi interesami.
- Spojrzeli na drzwi. Winda stanęła i znaleźli się w cuchnącym pleśnią magazynie, skąd dochodził pisk i tupot szurzących łapek.- Po co go, do diabła, śledziłeś? - spytała ni to z rozdrażnieniem, ni z rezygnacją w głosie. Jej chińska twarz była jak z kamienia.Gdyby powiedział jej o „Cesarzowej”, zaczęłaby coś podejrzewać. Nie, musiał wcisnąć jej coś prawdopodobnego. Może w to nie uwierzy, ale nie będzie mogła zarzucić mu kłamstwa. Uznał, że nada się do tego historyjka, którą opowiedział Cruyffowi.Szli labiryntem mrocznych pomieszczeń, a on mówił:- Na konferencji biomedycznej na Tajwanie poznałem faceta z laboratorium firmy Donk LaPierre w Chinach. To, co mi powiedział, tak mnie zaintrygowało, że wsiadłem w pierwszy samolot do Hongkongu; miałem nadzieję, że pozwolą mi tam wpaść i zapoznać się z ich badaniami. Ten gość od laboratoriów, ten cały Cruyff, wysłał mnie do McDermida, bo chyba mu podlega. Nigdzie nie mogłem go złapać, więc przyszedłem za nim aż tutaj, no i wpadłem na gniazdo szerszeni.- Jasne, jasne. - Randi pokręciła głową. - A ja przyszedłam tu na chińskie kluseczki.Chyba zachichotała.- Ale cóż - dodał. - Pokorny naukowiec nie ma prawa wtykać nosa w tajne operacje CIA...- A ilekroć chcesz, żeby kolega po fachu oddał ci jakąś przysługę, zawsze łazisz po antresolach w hawajskiej koszuli, słomkowym kapeluszu i w butach do biegania, tak? I pewnie dlatego nosisz też spluwę z zapasowym magazynkiem. Aha, już wiem! Chciałeś przystawić mu lufę do głowy, żeby był zyczliwszy. Więc albo celowo go obserwowała, albo spotkali się, bo przydzielono im podobne zadanie.- Nie wiem, czy zauważyłaś - odparł beztrąsko - ale w Hongkongu jest koszmarnie gorąco. Oczywiście, że noszę hawajskie koszule. A jeśli chodzi o broń... Nie zapominaj, że miałem jechać do Chin. Dostałem zgodę Pentagonu. Laboratorium jest na odludziu, gdzie roi się od wszelkiej maści bandziorów.Ot, niewinna historyjka. Uspił jej podejrzenia? Ostatecznie wszystko, co powiedział, mogło być prawdą. Ale nie, dobrze ją znał. Wiedział, że Randi nie odpuści, że zaraz zacznie zadawać trudniejsze, bardziej drobiazgowo pytania. Nadeszła pora odwrócić jej uwagę i wreszcie stąd zwiać.Ruchem głowy wskazał betonowe schody.
- Tędy?
- Jakiś ty bystry.

- Znowu poszła przodem, mocno pochylona, żeby nie zawadzić kapeluszem o niski strop. Na szczycie schodów pchnęła klapę wjazdu i wyszła na zewnątrz. On za nią, po cichu zamknął klapę. Randi była już kilkanaście kroków dalej, ale szybko ją dogonił. Zaulek, smród moczu i węgla drzewnego. W oślizgłych ścianach odbijało się światło księżyca. Pięć minut później jechali już taksówką do śródmieścia.
- Dokąd cię podrzucić? - Randi zdjęła kapelusz i perukę, i usiadła wygodniej.
- Do Conrada. Posłuchaj, wszystko, co ci powiedziałem, to prawda, ale jest coś jeszcze....
- - Cóż za niespodzianka. Łypnął na nią kątem oka.- USAMRIID uważa, że w chińskim laboratorium firmy Donk LaPierre dzieje się coś podejrzanego. Nie wiem, może prowadzą eksperymenty, które w Stanach są nielegalne, a pieniądze przeznaczone na podstawowe badania pakują w badania komercyjno-farmakologiczne.- Czegoś takiego się spodziewałam. I co? Wzięłaś się za to? Kiwnął głową.- Nie spytam, dlaczego CIA interesuje się McDermidem, ale może wymienilibyśmy się chociaż informacjami, które tego bezpośrednio nie dotyczą? Randi spojrzała w okno. I się uśmiechnęła. Chociaż od śmierci siostry oboje dźwigali ciężki bagaż różnych doświadczeń, bardzo go lubiła. I lubiła z nim pracować. Wciąż uśmiechnięta odwróciła głowę.
- Dobry pomysł. Niech ci będzie, żołnierzyku. Powiem ci wszystko to, czego nie będę mogła wykorzystać. I vice versa.
- Zgoda.
- Taksówka stanęła przed hotelem.
- Jak cię złapię? - spytał, wysiadając.
- Nie złapiesz. Wiem, gdzie mieszkasz. Jeśli coś się zmieni, zostawię w recepcji wiadomość na nazwisko Joyce Ray.
- Mimo zawartego układu bardzo chciał wiedzieć, dlaczego CIA interesuje się McDermidem i Grupą Altmana. Postanowił poprosić Kleina, żeby sprawdził, co ci z Langley knują. Oznaczało to, że tymczasem musi dostosować się do Randi.- Dobra. Będziemy w kontakcie. Odjechała, wciąż z uśmiechem na ustach.

# Rozdział 24

## Waszyngton

- 
- 
- Prezydent Castilla właśnie zapinał koszulę, gdy do sypialni zapukał Jeremy.- Pani dyrektor Debo, panie prezydencie. Mówi, że to pilne. Odbierze pan? Jeszcze jedna pilna sprawa, tylko tego mu brakowało.- Oczywiście. Przełącz, możesz? - Arlene Debo została dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej za poprzedniej administracji, ale ponieważ jej ufał, zatrzymał ją, chociaż należała do opozycji. Robiła dobrą robotę. Mówiła z nutką niecierpliwości w głosie, jak to ona.
- Panie prezydencie, przeprowadziliśmy badania statystyczne na temat tych przecieków. Większość z nich dotyczy obronności i wojskowości. Wiedział pan o tym?
- Tak. Ale dlaczego pani pyta?
- Ponieważ poleciłam naszym agentom, żeby skupili się na członkach Połączonego Kolegium Szefów Sztabów i trafiliśmy za pierwszym razem.
- Castilla usiadł na brzegu łóżka.
- Kto?
- Sekretarz armii Jasper Kott.
- Kott? Sam Kott? Jest pani pewna? - Prezydent był wstrząśnięty.
- Miał lecieć do Manili w sprawach wojskowych, ale uznaliśmy, że to trochę dziwne, i przydzieliliśmy mu agentkę. Zaraz po przyjeździe wymknął się po cywilnemu do miasta, do burdelu, i nie mogła tam za nim wejść. Ale dziewczyna jest zapobiegliwa, więc zadzwoniła do szefa naszej placówki i poszedł tam ktoś od nas, jako klient. Dowiedział się, że Kott obraził ów zacy przybytek, ponieważ nie odwiedził go dla zabawy. Spotkał się z kimś i streścił mu przebieg pańskiej ostatniej narady budżetowej.
- Castilla zmarszczył czoło.
- Spotkał się z kimś? Z kim?
- Z Ralphem McDermidem, dyrektorem naczelnym Grupy Altmana.
- Z McDermidem? Boże święty! I opowiadał mu o przebiegu dyskusji na naradzie?
- Tak, panie prezydencie.
- Sprzedaje mu tajemnice państwowe?
- Jeszcze tego nie wiemy, ale się dowiemy. Nasza agentka i jej zespół nie odstępują go na krok.
- Proszę mnie informować na bieżąco, Arlene. Dziękuję.

- Oczywiście. Na tym polega moja praca, panie prezydencie.
- Odłożył słuchawkę i skończył się ubierać, prawie zapominając o śniadaniu z wiceprezydentem. Zastanawiał się nad motywami, które mogły doprowadzić do zdrady Kotta i do zaangażowania się McDermida. Czy chodziło tylko o niezwykle zuchwałe szpiegostwo gospodarcze dla zdobycia przewagi w interesach, czy... o coś więcej? Niewielu ludzi wie, że w Białym Domu są dwie rodzinne jadalnie: jedna w północno-zachodnim rogu na parterze, druga w prywatnych apartamentach na górze. W tej drugiej w 1961 urządzono małą kuchnię dla Johna i Jackie Kennedych i tak samo jak John Kennedy, prezydent Castilla bardzo lubił w niej jadać. Siedzieli tam z Cassie, nieuczesani i w szlafrokach, pili kawę i czytali niedzielne gazety, wiedząc, że nikt im nie przeszkodzi, chyba że w wyjątkowo pilnej sprawie. Ale lubił też jadalnię na parterze. Chociaż miała wysoko sklepiony sufit i chociaż umeblowano ją ciężkimi meblami Hepplewhite'a i Sheratona, była zupełnie inna niż pozostałe pokoje, a kominek i żółte ściany nadawały jej intymności i ciepła. Tego ranka wypełniał ją ostry zapach chili i sera. Wiceprezydent Brandon Erikson wybierał się w podróż po Azji i Castilla zaprosił go na śniadanie, żeby o tym porozmawiać. Erikson nabrał na talerze jajecznicy po nowomeksykańsku i z aprobatą kiwnął głową.
- Jak się to nazywa, panie prezydencie? - spytał.
- *Huevos jalapenos*, według jednego z najlepszych przepisów Celedoño - odrzekł Castilla. - I nie musisz być taki oficjalny, Brandon. Po prostujemy razem śniadanie. Jemy śniadanie i rozmawiamy o twojej podróży na wschód. To nie jest odprawa w Gabinetcie Ovalnym.
- W Białym Domu każdy staje się oficjalny. - Erikson często się uśmiechał i miał łagodny głos.
- Niektórzy uważają, że jest jeszcze gorzej. Pamiętam, Harry Truman nazywał go wielkim białym więzieniem, a William Howard Taft powiedział, że jest to najbardziej samotne miejsce pod słońcem. Ale ja zgadzam się z Jerrym Fordem. Mówił, że to najlepszy kwaterunek publiczny, jaki kiedykolwiek widział. Bardzo mi się to podoba.
- Trzeba przyznać, że miejsce to wzbudza podziw i lęk.
- Castilla przyjrzał się jego męskiej twarzy, gładko ogolonym policzkom i gęstym czarnym włosom, dzięki którym wyglądał na trzydzieści lat, chociaż był dziesięć lat starszy. Przypominał hollywoodzkiego gwiazdora, przyciągał kobiety i wzbudzał zaufanie mężczyzn. Ponieważ była to już ich druga kadencja i partia coraz bardziej skupiała się na Eriksonie jako kandydacie na prezydenta, Castilla postanowił się trochę zabawić. - Ty też chciałbyś tu trochę pomieszkać, Brandon? Erikson żuł jajecznicę z zamkniętymi oczami. Otworzył je i z lubością westchnął. - Jest świetna, przepyszna. Proszę przekazać moje gratulacje Celedoño. Oczywiście. Haruję jak wół i miałbym nie chcieć? Byłbym ostatnim głupcem. Widzę, co osiągnęłaś, i chciałbym spróbować na własną rękę. - Znakomicie radziłaś sobie podczas kampanii. Byłaś wszędzie naraz. Partia bardzo to docenia. Zgarniesz mnóstwo dotacji. Erikson uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Zwłaszcza że tyłu twoich kandydatów zwyciężyło. Jestem z tego dumny. Znał się na polityce. Między innymi właśnie dlatego Castilla chciał wystawić go do walki o mandat z listy ich partii. Erikson miał szansę i w pełni na nią zasłużył. - Wystarczy ci pieniędzy? Opozycja zbiera kasę od ośmiu lat i tylko czeka, żeby z hukiem wrócić. Rzucą przeciwko tobie wszystko, co mają, łącznie

z chodnikami Nowego Jorku. I jeśli dobrze wyczuwam, kogo wystawią, będziesz musiał stawić czoło jednej z największych fortun rodzinnych w Stanach. Erikson po raz pierwszy stracił pewność siebie. Koszty prowadzenia i wygrania ogólnokrajowej kampanii były wprost nieprzyzwoicie wysokie. Kandydaci spędzali pół życia przy telefonie i na przeróżnych kwestach, namawiając darczyńców, żeby przestali wreszcie gadać o polityce i opróżnili kieszenie. - Będę gotowy - odrzekł. Na jego twarzy zagościł wyraz nagiej, drapieżnej ambicji, ale po chwili znikł. Sam Castilla wrócił myślą do swoich początków, do czasów, gdy jako młody kongresman z Nowego Meksyku nie miał ani pieniędzy, ani nazwiska, ani znajomości. „Uważaj na swoje marzenia, synu - powiedział mu kiedyś Serge. - Nikt ci ich nie podaruje. Jeżeli marzysz o czymś kosztownym, planuj wszystko tak, żebyś mógł zapłacić za to sam”. Serge. Zawsze nazywał go tatą. Znowu zobaczył, jak uśmiecha się tymi rozbawionymi, wybladłymi od pustynnego słońca oczami, znowu zobaczył jego śniadą, pokrytą pajęczyną zmarszczek twarz. Serge dobrze go rozumiał. Ciekawe, jakiej rady udzieliłby mu David Thayer. Czy był równie mądry i dobry. Jak się zestarzał. Jakim jest teraz człowiekiem. Przez chwilę Castilla był wściekły, że tak podstępnie pozbawiono go biologicznego ojca, lecz zaraz potem ogarnął go głęboki smutek. Pół wieku w niewoli. Pół wieku bez bliskich, odarty z marzeń i ambicji... Boże, co za piekło. Otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości.

- Masz moje pełne poparcie, Brandon. Ale teraz chcę, żebyś dał coś od siebie. O ile dobrze pamiętam, jedziesz do Afganistanu, Pakistanu i Indii.
- Próbuje zachować elastyczność. Sytuacja polityczna w tych rejonach jest tak niepewna, że po drodze wpadnę też chyba do Hongkongu i Arabii Saudyjskiej. Terrorysty szaleją i Departament Stanu wpakował mnie w niezłą kabałę. Będę się musiał nagimnastykować.
- I dobrze. Trzeba działać na wszystkich frontach.
- Właśnie chciałem...
- Otworzyły się drzwi i do jadalni wetknął głowę Jeremy. Nie przerwałby Castilli śniadania z wiceprezydentem, gdyby nie chodziło o coś pilnego. - Admirał Brose, panie prezydencie. Musi natychmiast się z panem zobaczyć. Erikson włożył sobie do ust porcję jajecznic. - Sam - powiedział. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym zostać. Chciałbym być na bieżąco, chociaż na pewno nie będę ci potrzebny. Castilla lekko się zawahał. Podświadomie chciał utrzymać rzecz w tajemnicy, mimo wszystko. Kiwnął głową. - Taktowne i właściwe. Siedź i dolej sobie kawy. Drzwi otworzyły się na oścież i tym razem niemal całkowicie wypełnił je admirał Stevens Brose w galowym mundurze. Zobaczył Eriksona i przystanął. - Wszystko w porządku, Stevens. Wiceprezydent już to i owo słyszał. Domyślam się, że chodzi o „Cesarzową”. Inaczej nie przyszedłbyś tak wcześnie.
- Tak, panie prezydencie. Boję się, że...
- Castilla wskazał mu krzesło.
- Siadaj. Zanim wejdziemy na to bagno, napij się kawy.
- - Dziękuję, panie prezydencie. - Zaskrzypiało krzesło. Szef Połączonego Kolegium Szefów

Sztabów nalał sobie kawy, wypił i powiedział: - Za naszą fregatą płynie chiński okręt podwodny.

- Niech to szlag - zaklął Erikson.
- Castilla krótko kiwnął głową.
- Spodziewaliśmy się tego.
- Tak, panie prezydencie, ale na podstawie tego, co słyszałem o pańskim spotkaniu z chińskim ambasadorem, to krok znacznie zuchwalszy, niż się spodziewałem.
- Zgoda - przyznał Castilla. - Okręt podwodny, który zagraża fregacie, która z kolei zagraża statkowi handlowemu, nie pozostawia nam wiele miejsca na jakikolwiek manewr.
- - Czy Chińczycy mają dobre okręty podwodne? - spytał Erikson. Brose zmarszczył brwi.
- Zależy od klasy. Kapitan Chervenko z „Crowe'a" nieźle się na nich zna, bo służył w 75. Grupie Bojowej 7. Floty w Cieśninie Tajwańskiej. On i jego operator uważają, że to stara maszyna klasy Han. To byłoby logiczne, bo większość ich okrętów nadających się do użytku to właśnie jednostki klasy Han. Ale nie wiem, możliwe, że ta za naszą fregatą to okręt klasy Xia, starszy, ale znacznie potężniejszy. Jeśli tak, musieli go zmodyfikować, unowocześnić... Może nawet potajemnie zwodowali okręt nowej klasy. Wiemy, że projektują coś od lat...
- Ale jaką mają moc? - dążył Erikson.
- Z hanem „Crowe" powinien sobie poradzić, chociaż nigdy nie wiadomo, jak go zmodyfikowali. Ale z xia... nie mam pojęcia. Wiemy o nich tylko tyle, że są zdecydowanie potężniejsze niż jednostki klasy Han. Jeśli mają na stanie coś nowego, „Crowe" gra z nimi w rosyjską ruletkę. Erikson nachmurzył czoło.
- Domyślcie się, dlaczego Chińczycy zareagowali tak gwałtownie? - spytał Castilla.
- Prężą mięśnie i nadymają się, żeby pokazać swoim, na co ich stać. Ale poza tym nie, nie mam pojęcia, panie prezydencie. Może chcą też pokazać nam, że są teraz silniejsi niż za czasów „Yinhe" i że chętnie zmierzą się z nami na arenie międzynarodowej.
- Castilla zmarszczył brwi.
- Domagają się szacunku.
- Właśnie - odrzekł Brose. - Chcą też ostrzec naszych sojuszników.
- I pewnie ostrzegli - mruknął ponuro prezydent. Dopił kawę. - Oczywiście może też być i tak, że ktoś od nich przesadził.
- Przesadził? - powtórzył Erikson. - Popęłnił błąd? To przerażające, Sam.
- A jeśli to celowe działanie? A jeśli jakiś twardogłowy z biura politycznego chce postraszyć swoich, dążąc do konfrontacji?

- Brose wypuścił powietrze.
- To by znaczyło, że za murami Zhongnanhai trwa walka o władzę.
- Jeżeli tak - kontynuował prezydent - niewykluczone, że „Cesarzowa” jest kartą przetargową którejś z frakcji. Z nami pośrodku, sytuacja może doprowadzić do katastrofy.
- Jeżeli położymy palec na guziku atomowym, pośrodku może znaleźć się cały świat. - Zaniepokojony Erikson pokręcił głową. - Pamiętajcie, jak było z Kubą? Rosyjskie łodzie podwodne śledziły nasze okręty z blokady. Jeden z ich dowódców tak się wściekł, że chciał odpalić w nas torpedę, na szczęście wyperswadował mu to inny dowódca. Wszystko wisiało na włosku. Paskudna sytuacja, i dla nas, i dla nich.
- Tak, to się może zdarzyć - przyznał Brose. - Chervenko jest opanowany, ale nigdy nie wiadomo, co człowiek robi w stresie. Szczerze mówiąc, bardziej niepokoi mnie ten Chińczyk. Bóg wie, co teraz myśli.
- Pełni obaw zamilkli. Wreszcie Brose głośno westchnął.
- Co pan chce zrobić, panie prezydencie?
- Czy ten chiński okręt zachowuje się agresywnie?
- Chervenko mówi, że nie.
- W takim razie kontynuujmy to, co robiliśmy do tej pory.
- Nie zostało nam zbyt dużo czasu.
- Wiem.
- - Sytuacja robi się napięta, Sam - powiedział Erikson. - Czy nie pora powiadomić naród? Gabinet? Kongres? Społeczeństwo? Powinni wiedzieć, co ich czeka. Musimy przygotować się na najgorsze. I musimy przygotować ich. Wiceprezydent i admirał patrzyli na Castillę, a on siedział przy stole, patrząc w dal i widząc coś, co widział tylko on. W końcu posepnie kiwnął głową.
- Chyba masz rację. Ale na razie zawiadomimy tylko gabinet i Kongres. Brandon, porozmawiaj z kim trzeba na Kapitolu. Ja zwołam posiedzenie rządu. Kiedy nadejdzie pora powiadomić cały kraj, dam wam znać. Na razie tego nie zrobimy. Jeszcze nie.
- Uważasz, że to rozsądne? - spytał Erikson. - Jeśli dojdzie do otwartego konfliktu, możesz dużo stracić.
- Zanim ktokolwiek wystrzeli, dojdzie do wojny na słowa.
- A jeśli nie? - nie ustępował Erikson.
- To przez kilka nocy nie zasnę, bo będzie bolał mnie brzuch. Właśnie za to mi płacą, Brandon. Za podejmowanie ryzyka. Krzyknę: „Pożar!”, dopiero gdy zobaczę prawdziwe płomienie. Wiem, że ludzie mnie posłuchają.
- Ja też bym to tak rozegrał, panie prezydencie - poparł go admirał Brose. - Lepiej skupić się

na faktach i dowodach.

## Antwerpia, Belgia

- 
- 
- Siedziba główna firmy Donk LaPierre mieściła się w trzypiętrowej kamienicy zbudowanej w 1610 roku w tradycyjnym flamandzkim stylu schodkowym. Ponieważ Dianne Kerr mieszkała stosunkowo blisko - na pomoc od Meir, niedaleko Grote Markt, katedry i nabrzeża Skaldy - postanowiła pójść na spotkanie piechotą. Recepcjonistka natychmiast wysłała ją na najwyższe piętro. Tam podbiegł do niej podekscytowany młody człowiek. - Mademoiselle Kerr, cóż za zaszczyt. Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem pani najnowszą powieść. *Marionetka*, prawda? Jestem osobistym sekretarzem prezesa LaPierre'a. Pan prezes nie może się już doczekać. Proszę tędy. Korytarze były tu wąskie, za to wysokie i Ozdobione wysokimi oknami. Podobnie gabinet prezesa i dyrektora naczelnego, Louisa LaPierre'a. Był dość mały - w XVII wieku ogrzewanie stanowiło nie lada problem - za to wysoki, z wysokimi oknami, eleganckim kominkiem i widokiem na rozległy port. Sam LaPierre, mężczyzna niski i szczupły, nosił się i zachowywał jak dżentelmen ze Starego Świata.
- Aaa, mademoiselle Kerr... tak, tak, czytałem pani powieści - zaczął wystudiowaną angielszczyzną z prawie niesłyszalnym francuskim akcentem. Są... hm... są takie żywe, takie ekscytujące. Tyle w nich przygód, intryg, tyle przebiegłości... Najbardziej podobał mi się *Poniedziałkowy człowiek*. Skąd pani tyle wie o zamachowcach? Czyżby była pani agentką jakiegoś wywiadu?
- Nie, *monsieur director* - odrzekła skromnie, acz kłamliwie. Bo czyż mogła mu powiedzieć, że pracuje dla MI-6? Nie, chociaż ostatnimi laty coraz więcej agentów otwarcie się do tego przyznawało, nawet tych - pozornie - najbardziej zaufanych. Na szczęście większość wciąż przestrzegała tajemnicy. Poza tym pisała powieści przygodowe i lepiej było nie pobudzać spekulacji co do autentyczności poruszanych przez nią wątków.
- Wątpię, bardzo wątpię, mademoiselle - odrzekł ze śmiechem LaPierre. - Proszę, zechce pani spocząć i powiedzieć, co panią do mnie sprowadza.
- Kerr usiadła na obitym brokatem flamandzkim krześle. Było straszliwie niewygodne.
- Krótko mówiąc, materiały. Zbieram materiały.
- Materiały? - LaPierre uniósł brew. - Piszecie pani kolejny thriller? O nas?
- Nie, powieść przygodową. Przełom XVIII i XIX wieku, handel z Chinami. Pomyślałam, że ciekawie będzie napisać dla odmiany coś historycznego. Pańska firma jest bardzo znana. O ile wiem, Jan Donk założył ją jeszcze wcześniej.
- Tak, to prawda. Zatem chciałaby pani przejrzeć nasze archiwa...
- Z pańskim pozwoleniem, naturalnie.
- -. Oczywiście, oczywiście, Nasi dyrektorzy lubią dobrą reklamę. Będą wniebowzięci. - LaPierre uśmiechnął się, lecz nagle zmarszczył czoło, jakby coś go zaniepokoiło. - Czy wie



pani, że nasze archiwa, te najstarsze i te bieżące, znajdują się w tym budynku? Kerr uśmiechnęła się z dumą. - Nie, nie wiedziałam - zełgała, nie mrugnawszy okiem. - Chce pan powiedzieć, że są kompletne i uporządkowane? Że macie nawet dokumenty z XVI wieku? LaPierre skinął głową. - Oczywiście wtedy było ich znacznie mniej niż teraz, bo i handel był mniej rozwinięty. Nie licząc ostatnich pięciu lat, wszystkie dokumenty z XX wieku są na mikrofilmach. Kerr zmarszczyła czoło.

- Więc mamy problem. Przecież nie mogę w nich grzebać, kiedy tu pracujecie.
- Nie, nie, nie o to chodzi. Archiwum mieści się w wydzielonym skrzydle. Nie, rzecz w tym, że nie wpuszczamy tu już niezależnych badaczy. Ostatni raz gościliśmy tu kogoś dziesięć lat temu i człowiek ten nas okłamał. Szukał powiązań między naszą firmą i nazistami...
- I oczywiście ich nie znalazł - wpadła mu w słowo Kerr. - Najmniejszego dowodu.
- Otóż to. Ale gdy rozgłosił wszem wobec, że nas o to podejrzewał... - LaPierre nie dokończył.
- Ucierpiały na tym wasze interesy. Rozumiem. A więc problem polega na tym, że mogłabym poszperać w dokumentach, pod warunkiem że będę mogła powołać się na nie dopiero po napisaniu książki, w której wychwałę waszą firmę, tak?
- Właśnie. Cieszę się, że pani to rozumie. W przeszłości odnosiliśmy sporo sukcesów, wpuszczając tu kilku badaczy, którzy pracowali w archiwum wieczorami. Czy takie rozwiązanie by pani odpowiadało?
- Cóż... - zamyśliła się Kerr. - Miałam pewne plany, ale przypuszczam, że uda mi się je zmienić. Wczesna historia pańskiej firmy mnie wprost fascynuje.
- Świetnie. W takim razie załatwione. Powiadomię ochronę. Ale nie może pani wynosić żadnych dokumentów poza budynek. Nasz archiwista oprowadzi panią i pokaże, jak obchodzić się z najstarszymi materiałami.
- - Bardzo panu dziękuję - odrzekła z uśmiechem Kerr. - Czyż mogłabym odrzucić tak kuszącą propozycję?
- Kiedy chciałaby pani zacząć?
- Mogłabym już dzisiaj?
- Dzisiaj? - Przez twarz LaPierre'a przemknął cień wątpliwości. - Naturalnie. Mój sekretarz wystawi pani przepustkę i wyda identyfikator. I przedstawi panią archiwistce.
- Kerr wstała.
- Jest pan bardzo uprzejmy. Obiecuję, że nie będę państwu przeszkadzała.
- Całkowicie pani ufam.

# Rozdział 25

## Antwerpia

- 
- 
- Stała przed zamkniętymi drzwiami punktualnie o ósmej wieczorem. Była w czarnych dżinsach, czarnym golfie, czarnych bawełnianych skarpetkach, granatowych adidasach i w brązowej skórzanej kurtce. W ręku trzymała małą dyplomatkę. Ochroniarz kiwnął głową.
- Dobry wieczór. *Mevrouw* Kerr, prawda? - Mówił po angielsku z ciężkim holenderskim akcentem.
- Tak, to ja. - Pokazała mu identyfikator i przepustkę.
- Proszę powiesić identyfikator na szyi i otworzyć walizeczkę.
- Kilka żółtych notatników, bloczek samoprzylepnych karteczek, słowniki, francuski i holendersko-flamandzki, najnowszy almanach, kilka długopisów. Ochroniarz kiwnął głową.
- Pisarskie narzędzia, *ja?*
- W tym fachu nic się nie zmienia - odrzekła z uśmiechem Kerr.
- Weszła na trzecie piętro, gdzie mieścił się tylko gabinet dyrektora i archiwum. Przestronne i zastawione szafkami na akta, lekko pachniało środkami odkażającymi. W tle cichutko mruczała klimatyzacja. Archiwista mówił, że jest aż za wydajna i ma specjalne filtry, co stwarza doskonałe warunki do przechowywania starych materiałów. Kerr wyjęła notatnik, wzięła pierwszą teczkę z ręcznie pisanymi dokumentami firmy Jan Donk Imports i położyła ją na wąskim stole z rzędem wysokich drewnianych krzeseł. Papier był kruchy i poszarzały. Przewracając ostrożnie kartkę po kartce, czytała i robiła notatki. Cztery godziny później monsieur LaPierre wreszcie wyszedł, ochroniarz skończył nocny obchód i w budynku zapadła grobowa cisza. Kerr ponownie otworzyła dyplomatkę, wcisnęła mosiężny zawias i z małej wewnętrznej skrytki wyjęła miniaturowy aparat fotograficzny oraz lateksowe rękawiczki. Włożyła je i przeszła na drugi koniec sali, gdzie stała szafka z bieżącą korespondencją, raportami i sprawozdaniami. Szafka była zamknięta na zamek szyfrowy. Kerr przytknęła doń ucho i ostrożnie pokręciła gałką. Wyczuwała go czubkami palców: jedna zapadka, druga, trzecia, czwarta... Serce waliło jej jak młotem. Tak! Zamek ustąpił. Nareszcie. Szybko przejrzała teczkę po teczce, wreszcie zobaczyła to, czego szukała: Latający Smok. Chiny, Szanghaj. Rozejrzała się szybko i nieruchomiejąc na każdy odgłos starego budynku, otworzyła teczkę. Znalazłszy właściwy dokument, manifest okrętowy, uśmiechnęła się z ulgą. Nie miała pojęcia, po co i komu jest potrzebny, chociaż często bywało tak, że dowiadywała się tego po zakończeniu misji. Kto wie, może dzięki temu dokumentowi napisze kolejny thriller. Sfotografowała go, włożyła do teczki, teczkę schowała do szafki, szafkę zamknęła. Zdjęła rękawiczki i szybko wróciła do stołu. Spakowała rzeczy i po raz ostatni rozejrzała się po sali, żeby sprawdzić, czy nie zostawiła jakichś śladów. W końcu zgasła światło i ruszyła do drzwi. Na parterze narobiła trochę hałasu, żeby obudzić ochroniarza.

- Skończyła pani, *Mewouw* Kerr?
- Na dzisiaj tak. Ile można czytać i notować?
- Ochroniarz zachichotał i wskazał palcem dyplomatkę. Gdy Kerr ją otworzyła, przejrzał obfite notatki, sprawdził, czy nie ma wśród nich oryginalnych dokumentów, kiwnął głową i zamknął walizeczkę.
- Wracą pani do domu?
- Tak. Parę piw i spać.
- *Ja, goede nacht.*
- Wyszła. Oczywiście zamierzała wrócić tu jeszcze co najmniej dwa razy, żeby jej uwierzyli. Nie wpadła na piwo. Poszła prostu do domu, do ciemni, gdzie wywołała mikrofilm, zrobiła odbitki i wysłała je faksem do Waszyngtonu. Dobra robota, jak na przykutą do biurka pisarkę, czysta i bardzo dobrze płatna. Do tego podniecająca świadomość, że nazajutrz wieczorem czeka ją kolejna przygoda. Będzie musiała wykraść manifest i zostawić w szafce kopię tak dokładną, że przez lata nikt nie odróżni jej od oryginału.

## Waszyngton

- Fred Klein wszedł do Zachodniego Skrzydła jak zwykle kuchennymi drzwiami i agent tajnych służb zaprowadził go prosto do apartamentów prezydenta. Castilla siedział w Pokoju Traktatowym, posępnie zapatrzony w filiżankę kawy. Gdy otworzyły się drzwi, podniósł wzrok. - Wyglądasz tak, jak ja się czuję - mruknął. - Co z tym faksem? Nie przyszedł? Klein zamknął drzwi. - Gorzej. Przyszedł. To nie to, na co czekaliśmy. Antwerpia też ma fałszywy. Castilla zaklął.
- A już miałem nadzieję... - Pokręcił głową. - A więc ani w Bagdadzie, ani w Basrze, ani w Antwerpii... - Zamyślony przetarł czoło. - Może popełniliśmy jakiś błąd? Dlaczego twój agent miałby wysyłać nam fałszykat? Nie wiedział, że to nie to?
- Agentka - poprawił go Klein. - Nie, panie prezydencie, nie wiedziała. Nie powiedziałem jej, co to jest ani dlaczego tego potrzebujemy, ponieważ jest Europejką i działa w Europie. Gdyby coś poszło nie tak, gdyby na przykład wpadła... istniałoby za duże ryzyko, że ktoś mógłby dowiedzieć się o „Cesarzowej”. W Iraku nie miało to znaczenia. Oni już wiedzą, że szukamy manifestu, ale nic nikomu nie pisną, bo chcą dostać te chemikalia.
- Castilla westchnął. - Bywają takie dni, kiedy wolałbym nie wstawać z łóżka. Jest coraz gorzej, coraz gorzej... Siadaj, Fred. Napij się kawy. Klein usiadł i prezydent podał mu filiżankę.
- Ci z Bethesdy każą mi ograniczyć picie kawy. Nawet Cassie zaczyna na mnie wsiadać. Ale do diabła z nimi wszystkimi. Oni tu nie pracują.
- Słusznie - mruknął Klein, żując ustnik pustej fajki. - Słusznie... Mówił pan, że coś się stało. - Wyjął fajkę z ust tylko po to, żeby wypić łyk kawy i ponownie ją włożyć.
- Castilla też wypił łyk i powiedział: - Tym razem zamiast na słowa, postawili na siłę. Jedną z

ich łodzi podwodnych płynię za „Crowe'em". Klein uniósł brwi.

- Ale nie zaatakowali?
- Nie, my też nie.
- Klein wyjął fajkę z ust i obrócił ją w rękę, zapominając o kawie.- Panie prezydencie, skąd oni ją wytrzasnęli? Skąd się tak szybko tam wzięła? Przecież nie z Cieśniny Tajwańskiej ani z Hongkongu, ani nawet z wyspy Hainan. To za daleko. Nie, ta łódź musiała stacjonować na Oceanie Indyjskim, najpewniej na Morzu Arabskim.Castilla się wyprostował.- Masz rację, ich okręty podwodne muszą obserwować 5. Flotę.Klein kiwnął głową.
- I wysłali jeden z nich, by dać nam do zrozumienia, że ktoś w Pekinie dąży do konfrontacji, do eskalacji zagrożenia.
- Tak. Myślę, że za murami Zhongnanhai trwa walka o władzę.
- To by było logiczne. Ale gdzie? W Stałym Komitecie? W biurze politycznym?
- Szkoda, że tego nie wiemy.
- Z drugiej strony nic na to nie wskazuje, ani doniesienia moich ludzi, ani informatorów. Oczywiście Chińczycy mogą utrzymywać to w tajemnicy, tak samo jak my. W ich prasie nie ma ani słowa na temat „Cesarzowej".
- A więc radzisz szperać, obserwować i czekać? Płynąć za nimi i udawać, że oni za nami nie płyną?
- Na razie tak. Potem dostarczę panu dowód albo złożę rezygnację.
- Castilla przeszył go lodowatym spojrzeniem.
- To za mało, Fred. Zrobiliście jakieś postępy?
- Przykro mi, pewnie już się starzeję. Ta sprawa mnie dobija. Za dużo niewiadomych, za dużo wątków. - Klein skrzyżował ręce. Z zaciśniętej pięści sterczał mu ustnik fajki. - Po pierwsze, jesteśmy pewni, że belgijski współwłaściciel „Cesarzowej" wie o kontrabandzie. Po drugie i na pewno ważniejsze... - Szef Tajnej Jedyńki zawiesił głos, żeby podkreślić wagę tego, co miał za chwilę powiedzieć. - Właścicielem tej belgijskiej firmy jest Grupa Altmana. Wygląda na to, że macza w tym palce jej szef, Ralph McDermid.
- Znowu McDermid? - powtórzył podniesionym głosem Castilla. - McDermid jest nie tylko jej szefem. McDermid to Grupa Altmana. Założył ją i rozbudował. Stworzył największe imperium finansowe na świecie, i to w ciągu niecałych dwudziestu lat. Boże, przecież pracuje u niego jeden z moich poprzedników, sekretarze z czterech ostatnich administracji, byli dyrektorzy FBI i CIA, kongresmani, senatorzy, kilku byłych gubernatorów...
- Klein o tym wszystkim wiedział i niecierpliwie czekał, aż Castilla skończy.- Tak, panie prezydencie, właśnie. Powiedział pan: „Znowu". „Znowu McDermid". Jest zamieszany w coś jeszcze?Castilla zdjął okulary i ścisnął sobie nasadę nosa, jakby miał migrenę.

- Chodzi o te przecieki. - Streścił mu rozmowę z Arlene Debo o potajemnym spotkaniu McDermida z sekretarzem armii Jasperem Kottem w Manili. - Myślisz, że ma to coś wspólnego z „Cesarzową”?
- Lepiej się tego szybko dowiedzmy. Nie rozumiem tylko, dlaczego McDermid zaangażował się w przewóz kontrabandy. Przecież zarabia krocie. Ma obrzydliwie bogatą firmę. Po co miałby aż tak ryzykować? Na pewno dużo zarobi, ale to nic nowego. Nie, to bez sensu.
- Fakt, jeden transport chemikaliów nie jest tego wart - zgodził się z nim prezydent. - Ale może oprócz działalności legalnej prowadzi i nielegalną? Może to jeden z tych, którzy ciągle szukają nowych podniet? Im bardziej zakazany owoc, tym większa satysfakcja.
- Może też być i tak, że jego firma popadła w kłopoty i chce z nich wyjść, prowadząc lewe interesy. Bo od „Cesarzowej” na pewno nie za płaci podatku.
- Zamilkli, próbując to rozgryźć.
- Nie znam żadnej firmy, która dorównałaby Altmanowi liczbą zwerbowanych wyższych urzędników państwowych i osiąganymi dzięki nim zyskami. Ale z drugiej strony interesy i polityka zawsze idą w parze. Dorzucić do tego wojskowość... czy nie przypomina ci to Dwighta Eisenhowera i jego ostrzeżeń, że jeśli przemysł zbrojeniowy zdobędzie za duże wpływy, istnieje wielkie niebezpieczeństwo, że wyrwie się spod kontroli?
- Tak, niestety - westchnął Klein. - Były pracownik Altmana powiedział mojemu agentowi, że kredo ich firmy brzmi tak: „Zawsze łącz interesy z polityką - to się bardzo opłaca”.
- Małe niedomówienie. Ale może to jest nasza odpowiedź. Może właśnie to knuje McDermid. On nie zna granic, nigdy nie będzie miał dosyć. Szybki numer z „Cesarzową” i poszuka kolejnej podniety.

## Hongkong

- Randi kazała taksówkarzowi zatoczyć koło i gdy ponownie znaleźli się przed hotelem, płynną chińszczyzną rzuciła:- Niech pan tu stanie. Jon rozglądał się od niechcienia, jakby sprawdzał, czy nikt go nie śledzi, czy to nie zasadzka. Obserwowała go przez chwilę, wtem Jon, najwyraźniej zadowolony z wyników inspekcji, wszedł do lśniącego hotelowego holu. Randi obserwowała dalej, aż zauważyła ulicznego sprzedawcę, który stał w cieniu ze swoim wózkiem i gorączkowo rozmawiał z kimś przez komórkę - on też obserwował Jona. Właśnie tego się spodziewała. Ludzie McDermida nie odstępowali go na krok. Nie uwierzyła w ani jedno słowo jego historyjki, ale przynajmniej się go pozbyła i miała pewność, że tej nocy nie wejdzie jej już w paradę. Kazała więc się do budynku naprzeciwko siedziby Altmana, wyjęła telefon i wybrała numer.
- Dziki.
- Namierzyliście McDermida? - spytała, zasłaniając ręką słuchawką.

- Jasne. Szliśmy za nim krok w krok, przez te wszystkie burdele, aż wrócił tutaj, do biura. Jest na górze.
- Chłopcy na miejscu?
- Tak jest.
- Już do was jadę.
- Dojechawszy na miejsce, zapłaciła taksówkarzowi i z kapeluszem w ręku podeszła do czarnego buicka. Usiadła obok kierowcy.- Dobra, Dziki, przejmuję pałeczkę. Znajdź go, siądź mu na ogonie i nie odstępuj na krok.Allan Savage, „Dziki”, niski i krępy, nie pasował do obrazu klasycznego agenta CIA, ale działało to na jego korzyść. Kiwnął głową, wysiadł i przeszedł na drugą stronę ulicy. Randi przesunęła się za kierownicę. Czekala.Zapisał telefon. Dziki.
- Już? - spytała.
- McDermid chyba czegoś zapomniał. Wychodzi.
- Randi rozłączyła się i spojrzała na wejście do wieżowca. Gdy McDermid stanął na chodniku, zajęchała jego długa czarna limuzyna. Szofer wysiadł i pobiegł otworzyć tylne drzwiczki. Gdy limuzyna ruszyła, Randi ruszyła za nią.Ulica biegła w kierunku Victoria Peak, wijąc się wśród ciemnych wzgórz. Tu domy były większe i elegantsze, a poniżej mrugały światełka wielkiego portu, pobliskich wysp i olśniewające światła półwyspu Kowloon. Skrzyły się mgliście i dalej, na Nowych Terytoriach, widać je było nawet na stałym lądzie, w Chinach, na samym horyzoncie, gdzie leżało Guangzhou.Limuzyna wjechała na podjazd przed starą chińską rezydencją z widokiem na Repulse Bay. McDermid odprawił ją i z domu wybiegła mu na spotkanie młoda, szczupła kobieta. Ramię w ramię ruszyli w stronę wejścia.Randi kliknęła telefonem.- Chyba poszedł lulu - powiedziała. - Przy odrobinie szczęścia będziemy mieli ze dwie godziny. Daj mi Bergera. Ham? Masz sprzęt?- Jak zwykle, w naszych małych czarnych torebeczkach - odrzekł wesoło Hamilton Berger, spec od elektroniki. - Gdy szefowa wyjdzie, podrzucimy mu kilka pluskiew.
- Tylko ostrożnie. Tym razem to nie byle ambasada.
- W życiu niczego nie znajdzie.
- Dobra. Ja trzymam się McDermida. Zpracowany z niego chłopczyk.
- Przekręcę do ciebie, kiedy skończymy i wyjdziemy.
- Nie mogę się już doczekać. - Randi schowała telefon i wyjęła z kieszeni kanapkę z całkowicie amerykańskim indykiem i serem. Na zasłonach w oknach rezydencji cienie tańczyły lubieżny taniec, a ona jadła i zastanawiała się, czego Jon może chcieć od McDermida.
- Smuga jaskrawego światła padała z korytarza na ciemne, puste biurko, gdzie przedtem siedziała egzotyczna recepcjonistka. Smith zamknął za sobą drzwi i minawszy biurko, stanął przed drzwiami do sekretariatu. Wymknąwszy się z hotelu przez kuchnię, złapał taksówkę i przyjechał tutaj. I teraz, ubrany na czarno, zastygł bez ruchu i wyężył słuch. Ale nie, z mrocznego wnętrza nie dochodził żaden dźwięk. W biurze nie było nikogo.Wszedł do środka,

przebiegł po błękitnym dywanie, przystając przed każdymi drzwiami i nadśluchując, wreszcie dotarł do mahoniowych drzwi gabinetu Charlesa-Marie Cruyffa. To sanktuarium było zabezpieczone dwoma solidnymi zamkami. Po pięciu próbach pięcioma różnymi wytrychami w końcu je otworzył i pchnął drzwi. W kokonie nieprzeniknionej ciszy pstryknął małą latarką. Skierował światło na ultranowoczesną sofę, mahoniowe biurko, stojące na nim modele statków, modele na ścianie, wreszcie na ścienny sejf. Wtedy, podczas rozmowy, spytał Cruyffa o współpracę z Chinami i ten odruchowo spojrział na ten sejf. Oby było w nim coś ważnego, coś dotyczącego „Cesarzowej”. Oby prawdziwy manifest. Sejf był mały i miał prosty zamek szyfrowy. Smith miał od Kleina miniwiertarkę elektryczną. Gdy twarde wiertło wgrzyzało się w stal, burczała cicho i monotennie. Wywiercił cztery otwory, każdy z nich zatkał niewielką ilością plastiku, przeciągnął nad gałką kable i podłączył je do miniaturowego zapalnika. Pracując szybko, lecz ostrożnie, obłożył sejf dźwiękochłonnymi poduszczkami, stanął za biurkiem i ponownie wyteżył słuch. Ale nie, słyszał tylko bicie własnego serca. Przekręcił uchwyt detonatora. Eksplozja była stłumiona, lecz na tyle głośna, że ktoś mógł usłyszeć ją aż w recepcji. Odbezpieczył broń, zastygł bez ruchu i odczekał pięć minut. Potem schował pistolet do kabury i wrócił do sejfu. Między krawędzią drzwiczek i stalową obejmą ziała szeroka na dwa centymetry szpara. Otworzył je na oścież, wyjął dokumenty, położył je na biurku i szybko przejrzał. Drugi, trzeci, piąty i wreszcie... list. List, na który odpowiedź znalazł w domu Yu Yongfu w Szanghaju. Zaadresowany nie do Jana Donka, tylko do dyrektora naczelnego Charlesa-Marie Cruyffa z Hongkongu. Podpis? Yu Yongfu, prezes i przewodniczący zarządu Latającego Smoka. Co więcej, list był przeznaczony do wiadomości Ralpa McDermida, prezesa i dyrektora naczelnego Grupy Altmana. Jon jak zahipnotyzowany czytał dalej. Nie znalazł niczego ciekawego, ale... do kartki była przypięta koperta. Firmowa koperta Donk LaPierre z odręcznym napisem: *Basra. Manifest okrętowy. „Cesarzowa”* Boże, pomyślał. Po tym wszystkim. Musiało zginąć tylu ludzi, żeby... Ale nareszcie jest! Jest! Trzęsącymi się palcami otworzył kopertę, szybko wyjął i rozłożył pojedynczą kartkę, i... Charakter pisma identyczny z tym na kopercie, ale... Nie, to nie był manifest! Ogarnięty wściekłością przeczytał list. *Zmarnowałeś tylko czas, Smith. Chyba nie wierzyłeś, że zostawię tu coś, co mógłbyś tak łatwo znaleźć. Zniszczyłem manifest. Ciebie też zniszczę.* Pod spodem inicjały. R.M. - Ralph McDermid. Bezczelny sukinsyn. Wiedział. Wiedział od samego początku! Ale jakim cudem... Zamarł. Poderwał wzrok. „Ciebie też zniszczę”. - Dobry wieczór, panie pułkowniku. - Szept od drzwi. Zabłyśło światło. W progu stał Feng Dun z lśniącymi w blasku lampy rudymi włosami. Miał ponurą twarz, ale w kącikach jego ust błąkał się uśmiezek nieukrywanej satysfakcji. Celował do niego z uzi. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Feng dał komuś znak. Do gabinetu wpadło czterech uzbrojonych mężczyzn.

# Rozdział 26

**17 września, niedziela Pekin**

- 
- 
- Najpierw rozległo się cichutkie metaliczne kliknięcie, a zaraz potem zegar wybił godzinę. Niu Jianxing rozbieranym wzrokiem ogarnął gabinet w domu na skraju starej dzielnicy Xicheng. Wysłanie okrętu podwodnego „Zhou Enlai” za amerykańską fregatą było krokiem tak kolosalnie głupim, tak karygodnie niebezpiecznym, tak destrukcyjnym dla interesów Chin i samego istnienia Chińskiej Republiki Ludowej, że nie posiadał się z wściekłości i odrazy. Ogień w jego oczach zaszokowałby członków Stałego Komitetu, którzy przywykli, że na wszelkiego rodzaju naradach i odprawach Sowa zawsze śpi. Tymczasem ten Niu, czujny i energiczny, był wściekły. Niczym tygrys krążył po gabinecie, zmagając się z czymś, co właśnie zaczynał rozumieć. Chociaż Wei Gaofan dobrze się zamaskował, nie było już najmniejszych wątpliwości, że to on stał za decyzją o wysłaniu okrętu. To głupie posunięcie nie tylko zdradziło Amerykanom, że chińska marynarka wojenna obserwuje 5. Flotę, ale i wprost astronomicznie zwiększyło prawdopodobieństwo tragicznej konfrontacji w sprawie „Cesarzowej”. Gdy major Pan po raz pierwszy zameldował o swoich podejrzeniach co do pułkownika Smitha, powiązania Li Aoronga ze sprawą „Cesarzowej” skłoniły Niu do przypuszczeń, że Wei Gaofan może być winnym korupcji. Li był jego protegowanym. Li nie chodził spać bez jego błogosławieństwa. Wyglądało na to, że wspólnie zamierzali zbić fortunę na przewożonym przez statek ładunku. Wei nie byłby pierwszym wysokim urzędnikiem, który uległ grzechowi zachłanności. Ale to posunięcie, wysłanie za Amerykanami okrętu podwodnego, przewróciło tę teorię do góry nogami. Była za łatwa, zbyt oczywista. Z mocno splecionymi na plecach rękami, Sowa odwrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem. Przepelniała go wściekłość i odraza. Teraz już wiedział, że to ten wąż Wei zwrócił się przeciwko traktatowi. Że go sabotuje, że - co gorsza - jest to tylko część jego zdrady. Wei Gaofan zamierzał doprowadzić do incydentu ze Stanami Zjednoczonymi, do incydentu tak drastycznego, że groził im powrót do zimnej wojny, do budowy nowych rodzajów broni masowego rażenia, do pełnej kontroli nad społeczeństwem, co z kolei mogło doprowadzić do katastrofy w rodzaju kolejnej rewolucji kulturalnej, do całkowitej izolacji Chin, które zgniłyby w pełnej goryczy izolacji. Tak, Wei do tego właśnie dąży, uznał mocno zaniepokojony i zniesmaczony Niu. To nie jest żądza pieniądza. To jest żądza władzy. Usłyszawszy pukanie do tylnych drzwi, podszedł do nich krokiem tak żwawym, że zadziwiłby nim każdego sześćdziesięciolatka. Nacisnął klamkę i wpuścił do środka majora Pana. - Proszę. Proszę. - Niecierpliwym gestem wskazał mu krzesło naprzeciwko biurka. Zdenerwowany major przysiadł na samym brzeżku, niczym czujny ptak, gotowy w każdej chwili zerwać się do lotu. Wezwanie do Pekinu w samym środku nocy zdenerwowałoby każdego. Zwłaszcza że wezwał go członek Stałego Komitetu. Niu znowu zaczął krążyć po gabinecie.

- Słucham. Jaki postąp zrobiliście w sprawie tego amerykańskiego agenta i „Cesarzowej”?
- Niestety nieduży, panie ministrze. - Major wykręcał szyję, żeby mówić wprost do niego. - Burza minęła, nie zostawiając prawie żadnych śladów. Musieliśmy zwolnić Li Aoronga. Utrzymuje, że nic nie wie ani o interesach zięcia, ani o zniknięciu córki.



- Sowa przystanął.
- Musieliście go zwolnić? Musieliście? Dlaczego? Jeśli są jakieś trudności natury technicznej, mogą...
- Nie, nie, nie o to chodzi.
- To o co?
- Major starannie dobierał słowa.
- Myślę, że ktoś zażądał wyjaśnień od generała Chu. Wyjaśnień co do legalności jego przetrzymywania.
- Podano w wątpliwość zasadność rutynowych działań policyjnych w sprawie zagrażającej bezpieczeństwu narodowemu? To absurd. Ktoś zażądał wyjaśnień od generała? Kto?
- Myślę, że ktoś z Komitetu Centralnego.
- Niu zmarszczył brwi. Generał Chu wpadł na mur - zadarł z komitetem. Kiepska sytuacja. Mimo to powinien był poinformować go o rozkazie. Niu będzie musiał uważnie go obserwować i sprawdzić, po czyjej jest stronie. Stłumiwszy złość i frustrację, wrócił myślami do majora. Zapomniał, że Pan niechętnie zdradza swoje zdanie na temat spraw, które nie są bezpośrednio związane z jego obowiązkami, że zawsze się zabezpiecza - między innymi właśnie dlatego tak długo utrzymał się na stanowisku. Ale Niu nie miał już czasu na delikatność i subtelności. W środę rano „Cesarzowa” miała wpłynąć na irackie wody. A była już niedziela. - Ktoś? - spytał prosto z mostu, - To znaczy Wei Gaofan, tak? Znam moich kolegów, majorze. Proszę mówić. Ta sprawa nie wyjdzie poza ściany tego pokoju. Pan się zawahał. - Myślę, że właśnie to nazwisko wymienił generał Chu - odrzekł w końcu ostrożnie i z nutką nadziei w głosie dodał: - Mam ponownie aresztować Li Aorongę, panie ministrze? Moglibyśmy zastosować areszt domowy. Przynajmniej wiedzielibyśmy, gdzie jest. - Nie! - Niu prawie krzyknął. I natychmiast łagodniejszym tonem dodał: - Niczego byśmy przez to nie osiągnęli. - Nie chciał wzbudzać podejrzeń Gaofana ani sugerować Panowi, że chodzi o coś więcej niż o zwykłe śledztwo. - Tymczasem niech pan dalej go obserwuje. Bo obserwuje go pan, prawda? Patrząc na niego nieufnie, major skinął głową. Skinął tak lekko, tak leciuteńko, jakby miał nadzieję, że Niu tego nie zauważy. Ale Sowa go zrozumiał: Wei Gaofan przycisnął generała znacznie mocniej, co oznaczało, że Pan obserwuje Li Aorongę z własnej inicjatywy. Generał Chu nie chciał o tym wiedzieć, a jednocześnie pragnął, żeby major coś odkrył. Sowa domyślał się, że Pan działa tak od lat, że właśnie dlatego odnosi tak niezwykle sukcesy: nie łamie rozkazów, tylko je nagina. Tak, to musiało przynosić rezultaty. A Sowa bardzo ich teraz potrzebował, dlatego Pan był tak cenny.
- Dobrze. - Znowu ruszył przed siebie. - Niech pan dalej robi swoje.
- Tak, panie ministrze. - Major ponownie skłonił głowę niczym stary mędrzec, doskonale rozumiejąc, że Niu nie chce mieć z tym nic wspólnego, przynajmniej oficjalnie.
- Ma pan dla mnie coś jeszcze?
- Prześledziliśmy działalność finansową, Yu Yongfu i jego firmy, ale nie natrafiliśmy na nic,

co miałyby związek z pułkownikiem Smithem.

- A sam Yongfu i jego żona, ta aktorka? Wpadliście na jakiś trop?
- Jak dotąd nie.
- Niu wrócił za biurko i usiadł.- Kilka razy miałem przyjemność się z nią spotkać. To bardzo inteligentna kobieta i dobra matka. Jeżeli nie można jej znaleźć, niewykluczone, że tego nie chce. Co oznaczałoby, że jej mąż uciekł i się ukrywa.
- Tak, mnie też przyszło to do głowy,
- Jeśli zaś nie, czy to możliwe, że ojciec wywiózł ją ukradkiem, żeby nie mogła z nikim rozmawiać o sprawach jej męża?
- Tak, panie ministrze, to możliwe.
- A może ukrywają ją siły znacznie... potężniejsze?
- Major nie miał ochoty tego rozważać, jednocześnie nie zaprzeczył, że taka możliwość istnieje.- Znaleźliście dowody, że w sprawę „Cesarzowej” zamieszany jest ktoś jeszcze? - drażył Niu.-" Tylko ta belgijska firma, panie ministrze. Donk LaPierre.- Nikt poza tym?
- Nie.
- Ale nie wyklucza pan, że nie są jedyni.
- W śledztwie nie wykluczam niczego, panie ministrze.
- To cecha godna podziwu - pochwalił go Niu.
- Odkąd major Pan wszedł do gabinetu, Sowa nieustannie go sondował, próbując ustalić, jakie ma zdanie w poruszanych przez nich kwestiach, ale jak zwykle stwierdził, że to niemożliwe. Major miał nieprzeniknione oczy i obojętną, poważną twarz. Mimo to, jeśli Niu chciał odkryć prawdę, musiał na nim polegać, po prostu nie miał innego wyjścia.
- Proszę kontynuować śledztwo wedle własnego uznania, ale od tej chwili niech pan melduje o wszystkim najpierw mnie. Muszę wiedzieć, co „Cesarzowa” przewozi. Muszę znać szczegóły tej transakcji i nazwiska zaangażowanych w nią ludzi. I tu, i za granicą.
- Najpierw panu, panie ministrze? Na wypadek gdyby generał Chu chciał mnie o coś spytać, czy mógłbym dostać ten rozkaz na piśmie?
- No i proszę. Pan znowu się zabezpieczał. Sowa omal się nie uśmiechnął. Dzięki daleko posuniętej ostrożności major przetrwał na stanowisku z różnych względów niebezpiecznym i podlegającym wielorakim naciskom. Różnica między doskonałym technikiem, jakim na pewno był, i przywódcą polegała na umiejętności podejmowania dużego ryzyka. Pan nie należał do hazardzistów. Jednocześnie Niu zaczynał dochodzić do wniosku, że jego wieloletnia praca dla Chin, jego pełne uporu zaangażowanie w stworzenie mocarstwa przyjaznego i otwartego na świat znalazło się w niebezpieczeństwie. Żeby uratować swoją wizję i naród, musiał zaryzykować jak nigdy dotąd.- Oczywiście - odrzekł, nie mrugnawszy okiem. - Ale może pan to

ujawnić tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne. Zrozumiano?- Całkowicie, panie ministrze. Bez zbędnych słów Niu napisał list, w którym stwierdzał, że major Pan działa na jego osobisty rozkaz i odpowiada tylko przed nim. Pan obserwował go z dreszczykiem nerwowego podniecenia. Gdy tylko Niu podał mu list, schował go do kieszeni i wymknął się z gabinetu tak, jak tu przyszedł - tylnymi drzwiami. Było po pierwszej. Pan przystanął w ciemności i zadrżał. Nadchodziły pierwsze zimowe chłody. Wciąż nie mógł otrząsnąć się z zaskoczenia. Z jakiegoś powodu Niu Jianxing podejrzewał Wei Gaofana co najmniej o korupcję, a możliwe, że o coś więcej. On też podejrzewał go o związek ze sprawą „Cesarzowej”, dlatego z ulgą przyjął rozkaz Sowy. Nareszcie odpowiadał tylko przed nim. Ale podlegać mu całkowicie? Nie. Ruszył do samochodu. Musiał szybko wrócić do Szanghaju. Czekąco go mnóstwo pracy.

## Hongkong

- Gwałtownie otworzył oczy i ujrzał atramentową ciemność. Cuchnęła zwierzęcymi odchodami i ziemią. Gdzieś w pobliżu przebiegły szczury. Mimowolnie zadrżał, czekając, aż głośno zapiszcza, aż otoczą go całym stadem, chrobocząc ostrymi pazurkami. Ale nie zapiszczały. Nie słyszał żadnych odgłosów, ani ruchu ulicznego, ani pokrzykiwania nocnych ptaków. Niczego. Dokładnie naprzeciwko ukazał się maleńki świetlisty punkcik. Musiał podnieść głowę, żeby go zobaczyć. Punkcik był ciepły, nawet gorący, ale on dobrze wiedział, że to tylko zrodzone z nadziei złudzenie. Złudzenie i przestrzenny miraż wywołany przebywaniem w całkowitej ciemności bez żadnego punktu odniesienia, bez poczucia wymiarów, w ciemności spłaszczonej i niemal doskonałej. Niemal, bo wciąż widział ten maleńki punkcik i koncentrując się na nim, poruszając głową, otwierając i zamykając oczy, w końcu zobaczył... pokój. Siedział na krześle ze związanymi w kostkach nogami. Ktoś związywał mu ręce. Mocno, gwałtownie. Nylonowy sznur wrzynał się w ciało. Świetlisty punkcik nie był szczeliną w murze ani w suficie, tylko refleksem światła odbitego od kantu małej srebrzystej puszki wysoko na ścianie. Światła dochodzącego zza rogu, z lewej strony. Pomieszczenie miało kształt litery L, a on siedział na krześle na końcu jego dłuższej odnogi. Wiedział już, gdzie jest, i poczuł się lepiej. Znowu stał na twardym gruncie, znowu był częścią tego świata i zalała go fala czegoś w rodzaju euforii. Euforia szybko minęła i wróciła przeszłość: podniecenie, że wreszcie *znalazł* manifest, list od R.M., z którego wynikało, że manifestu już nie ma, że założyciel i prezes Grupy Altmana jest człowiekiem butnym i aroganckim, rozbłysk światła, Feng Dun i jego ludzie... Popęłnił jeden z najstarszych błędów w świecie: tak się zapamiętał, że opuścił gardę. Nie przerażała go świadomość, że może umrzeć, gdyż świadomość ta towarzyszyła mu przy każdym zadaniu. Wiedział, że to może się zdarzyć. Że oczywiście się nie zdarzy, ale może. Ale wstrząsnęła nim świadomość porażki. Prezydent Stanów Zjednoczonych został sam i musiał wziąć udział w śmiertelnie niebezpiecznej konfrontacji bez możliwości jakiegokolwiek wyboru. Na końcu pomieszczenia otworzyły się drzwi. Zapłonęło światło i na chwilę go oślepiło. Ktoś wyszedł, ktoś inny wszedł. Gdy oczy mu przywykły do jasności, zobaczył Fenga Dun.
- Przysporzył nam pan dużo kłopotów, panie pułkowniku. A ja nie lubię ludzi, którzy przysparzają mi kłopotów. - Feng Dun mówił niespiesznie, wyważonym, cichym jak szept głosem.
- Dziwne włosy - odparł Jon. - Zwłaszcza jak na Chińczyka. Doprawdy... kuriozalne.
- Uderzenie w twarz obróciło go i rzuciło wraz z krzesłem na podłogę. W ułamku sekundy

przed upadkiem zdał sobie sprawę, że Feng zadał cios tak szybko, iż prawie niezauważalnie. Oszołomiony bólem poczuł na policzku coś gorącego i lepkiego. Przez kilka pełnych dezorientacji sekund miał wrażenie, że wypłynął z pokoju. Gdy ponownie zaczął wyraźnie widzieć i gdy ból ustąpił, dwóch mężczyzn postawiło krzesło na nogi. Kilka centymetrów od twarzy zobaczył twarz Fenga. Oczy miał tak wyblakłe, że wyglądały jak puste oczodoły. - Ten lekki klaps miał tylko zachęcić pana do pełnej koncentracji, pułkowniku. Jest pan inteligentny i dobrze wyszkolony. Proszę nie być głupcem. Nie zamierzam tracić czasu na pytania w stylu, kim pan jest. Interesuje mnie tylko jedno: dla kogo pan pracuje. Jon przełknął ślinę. - Podpułkownik Jon Smith, Amerykański Wojskowy Instytut Chorób Zakaźnych... Drugi cios był czymś więcej niż klapsem. Jonowi głowa odskoczyła na bok jak piłka. Znowu pociekła krew, znowu zadzwoniło mu w uszach. - Pańskie nazwisko nie widnieje na liście pracowników żadnej znanej nam amerykańskiej agencji wywiadowczej. Dlaczego? Pracuje pan w jakiejś tajnej komórce? W CIA? NSA? A może w NRO? Spuchły mu usta i trudno mu było mówić. - Wybierz sobie. Kolejny cios. Pokój zniknął, ale krzesło ani drgnęło. Mgliście zdał sobie sprawę, że Feng ma go bić, a tych dwóch z tyłu przytrzymywać. - Nie jest pan zwykłym agentem - powiedział Feng. - Przed kim pan odpowiada? Nie wyczuwał ruchu swoich ust, nie rozpoznawał swego głosu. - A ty? Nie jesteś z chińskiej bezpieki. I kto powiedział, że nie jestem z CIA albo z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego? McDermid? Macie tam jakąś wtykę? Kogoś, kto... Pięści uderzyły błyskawicznie, jedna po drugiej. Doskonała kombinacja miażdżących ciosów. Znowu zalała go fala palącego, wzbierającego bólu i runął w litościwą otchłań czarnego niebytu. Ostatnią myślą, jaką zarejestrował, było to, że Feng jest znakomitym bokserem, zawodowcem, który bije piekielnie mocno... mocno... mocno... Straszliwie mocno... McDermid podszedł bliżej.

- Cholera jasna, Feng. Jak straci przytomność, nic nam nie powie.
- Jest silny. To kawał chłopca. Jeśli go nie zaboli, jeśli nie będzie się bał, nie tylko bólu i śmierci, ale i mnie, nic z niego nie wyciśniemy.
- Z trupa też nic nie wyciśniesz.
- Feng uśmiechnął się drewnianym uśmiechem. - Na tym polega kruczek, tajpanie. Jeżeli nie uwierzy, że możemy go zabić, nic nie powie. Ale jeśli go zabijemy, nie będzie mógł nic powiedzieć. Dlatego trzeba to wyśrodkować. Muszę przekonać go, że jestem tak okrutny i nierozważny, że mogę zabić go przypadkowo, nie zdając sobie sprawy ze swojej brutalności i dając się ponieść euforii towarzyszącej zadawaniu bólu. Prawda? McDermid drgnął, jakby nagle się przestraszył. - Ty tu jesteś ekspertem. Feng zauważył to i wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.
- Widzi pan? Właśnie taką reakcję chciałbym uzyskać. On powie nam coś dopiero wtedy, kiedy nie będzie mógł poruszać ustami. Kiedy z bólu prawie nie będzie mógł myśleć. Prawie, bo myśleć będzie na tyle, żeby coś nam jednak powiedzieć.
- Nie można by zastosować metod mniej... fizycznych? - spytał McDermid nieswoim głosem.
- Ależ tak, oczywiście. Zastosujemy je, jak najbardziej. Proszę się nie martwić, jeszcze go nie zabiję. Powie nam wszystko, co chce pan wiedzieć.
- McDermid kiwnął głową. Nieprzewidywalność Fenga napawała go lękiem, ale obawiał się go też z innego powodu. Czuł, że ten były żołnierz szydzi z niego tak samo jak szydził ze swego

poprzedniego chlebowodawcy, z Yu Yongfu. Początkowo nie zwracał na to uwagi, ponieważ Feng na Yu donosił, ale potem, gdy Chińczyk udowodnił, że potrafi skłonić kogo trzeba do wysłania w morze uzbrojonego okrętu podwodnego, poważnie się zaniepokoił. To, co do tej pory było mętne i niejasne, stało się oczywiste. Feng miał dojścia do rządu i generalicji, dojścia o wiele lepsze, niż mógł na to wskazywać jego status. Dopóki jednak był posłuszny, McDermid chętnie płacił mu krocie i przymykał oko na jego bezczelność. Ale McDermid nie zdobył pozycji jednego z najbogatszych ludzi w świecie, nie dostrzegając rzeczy oczywistych. Feng miał znajomości. Feng był niebezpieczny. McDermid wciąż miał nad nim władzę, pytanie tylko, jak długo ją utrzyma. I za jaką cenę.

# Rozdział 27

## 16 września, sobota Waszyngton

- 
- 
- Miał za sobą posiedzenie rządu, powiadomił też Kongres o możliwości kryzysu w stosunkach z Chinami. Z kubkiem kawy w ręku siedział teraz u szczytu długiego stołu w Pokoju Sytuacyjnym. Członkowie Połączonego Kolegium Szefów Sztabów i najważniejsi doradcy cywilni szurali krzesłami, szeleścili papierami i przyciszonym głosem rozmawiali ze swymi asystentami. Ale on ledwie ich zauważał. Myślał o milionach niewinnych ludzi w całym kraju, którzy zajmowali się swoimi sprawami i którzy - gdyby doszło do kolejnego przecieku i sprawa wyszła na jaw - usłyszeliby, że grozi im wojna z Chinami. Że nie będzie to tajna wyprawa przeciwko terrorystom czy mały konflikt w małym kraju, gdzie zginęłoby mniej Amerykanów, niż ginie ich co weekend w wypadkach samochodowych. Że nie będzie to byle wojna. Że będzie to wojna prawdziwa, wielka, wojna, która wybuchnie jak wulkan, żeby trwać nieustannie całymi dniami i nocami. Że jej ofiarami będą ich synowie i córki albo ich sąsiedzi, albo oni sami, że wrócą do domu w czarnych plastikowych workach. Stamtąd. Z Chin.- Panie prezydencie? To Charlie Ouray. Castilla zamrugał i po obu stronach stołu ujrzał poważne, gniewne i zniecierpliwione twarze. Patrzyli na niego. Wszyscy.- Przepraszam - powiedział. - Widziałem duchy wojny minionej i tej, do której może kiedyś dojść. Ale nie widziałem duchów wojny, która miałaby toczyć się teraz. A. wy? Twarze po obu stronach stołu wyrażały rozmaite reakcje. Zaszokowanie, że on, ich naczelny dowódca, jest defetystą. Strach przed tym, co może nadejść. Determinacja. Ani gniewna, ani lękliwa, po prostu determinacja. Uroczysta powaga na myśl o wielkim nieznanym, tym bliskim i tym dalszym. Błysk w oku na myśl o bohaterskich czynach, o honorze, medalach i miejscu w historii.
- Nie, panie prezydencie - odrzekł cicho admirał Brose. - Nie widzi ich nikt z nas i mam nadzieję, że nie będzie musiał.
- Amen - zaintonował śpiewnie sekretarz obrony Stanton i z błyszczącymi oczami dodał: - Co powiedziawszy, zaczynamy. Wojna z Chinami. Czy jesteśmy do niej gotowi?
- Głucha cisza, która zapadła w Pokoju Sytuacyjnym, mówiła sama za siebie. Castilla spojrzął na kawę, ale stracił na nią ochotę.
- Jeśli wolno mi zabrać głos w imieniu kolegów z marynarki wojennej i sił powietrznych - zaczął szef sztabu wojsk lądowych, generał Tomas Guerrero - powiedziałbym, że nie. Planowaliśmy, ćwiczyliśmy i przygotowywaliśmy się do czegoś dokładnie odwrotnego. Brakuje nam...
- Z całym szacunkiem, ale się nie zgadzam - przerwał mu generał sił powietrznych Bruce Kelly. - Nie licząc kilku wyjątków, nasze bombowce są przygotowane do każdej wojny. Musimy jeszcze przemyśleć koncepcję wielozadaniowego myśliwca taktycznego, ale jeśli chodzi o najbliższą przyszłość, nie widzę żadnych problemów.
- Nie, do ciężkiej cholery! - skontrował Guerrero. - Nie jesteśmy gotowi. Powtarzałem to

przedtem, powtarzam i teraz. Naszej armii brakuje kośćca i mięśni niezbędnych do długiej, twardej wojny twarzą w twarz z przeciwnikiem. Do wojny na wielkim, gęsto zaludnionym obszarze, do wojny z gigantyczną armią i narodem przepojonym wolą walki.

- Marynarka wojenna... - zaczął admirał Brose.
- Panowie! - zaprotestowała z drugiego końca stołu Emily Powell-Hill, prezydencka doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Nie pora sprzeczać się o szczegóły. Najpierw musimy postawić w stan gotowości to, co mamy, a dopiero potem zastanawiać się, czego potrzebujemy.
- Najpierw musimy zrobić wszystko, żeby zapobiec konfrontacji - powiedział posępnym głosem prezydent i w sali natychmiast zapadła cisza. Castilla powiódł wzrokiem po ich twarzach. Patrzył na nich po kolei, aż zatoczył pełne koło. - Nie będzie żadnej wojny. Kropka. Żadnej. Do tego się to sprowadza. Nie chcemy wojny z Chinami. Jestem przekonany, że ci co trzeźwiej myślący z Pekinu też jej nie chcą. My na pewno nie, więc dajmy im szansę.
- Potoczył wzrokiem w przeciwną stronę, jakby doskonale wiedział, że kilku z nich - oraz wielu ich bogatych wyborców - niczego nie pragnie tak bardzo jak wybuchu kosztownej, ekscytującej wojny, i jakby chciał im powiedzieć - im oraz ich zamożnym wyborcom - że nic z tego.- Ten konflikt musi mieć jakieś rozwiązanie - dodał nieznośnym sprzeciwu głosem. - Słucham. Jakie?Siedzieli tam z głupimi minami jak bogaci nowomeksykańscy ranczerzy, którym kazano właśnie znaleźć sposób na podwojenie zasobów wodnych w rezerwach Indian Navajo i Hopi.- Przypuszczam, że moglibyśmy poprosić o tajne spotkanie na najwyższym szczeblu i przedyskutować sprawę twarzą w twarz - zaproponował sekretarz stanu Padgett.Castilla pokręcił głową.
- Spotkanie z kim, Abner? Chińczycy zechcieliby na pewno przedstawić to tak, jakby nie było o czym mówić. Nie zrobiliby niczego bez zwołania całego Komitetu Centralnego i uzyskania co najmniej ośmiokrotnej większości w Stałym Komitecie.
- W takim razie trzeba wysłać im ostrzeżenie, którego nie mogliby przeoczyć - rzucił generał Guerrero. - Niech pan zatwierdzi budżet na budowę nowego myśliwca dla sił powietrznych, bombowca dalekiego zasięgu i nowego systemu artyleryjskiego Protektor. To na pewno zwróci ich uwagę. Przestraszą się tak, że w trymiga przylecą na szczyt.
- Przez salę przetoczył się pomruk pełnych aprobaty głosów. Nawet sekretarz Stanton nie zaprotestował. Wyraźnie zmartwiony, miał poszarzałą twarz, jakby jego przekonanie o skuteczności mniejszej i szybszej armii zostało nagle poważnie zachwiane.- Nie jestem pewien, czy byłoby to właściwe ostrzeżenie, panie generale - odparł z wahaniem wiceprezydent Erikson. - Mogłoby doprowadzić do eskalacji konfliktu, zamiast do jego spacyfikowania.Stanton odzyskał nieco pewności siebie.- Cokolwiek zrobimy, najprawdopodobniej zaognimy tylko sytuację, nawet jeśli nie zrobimy nic. Zareagujemy za łagodnie, poczytają to za słabość. Zareagujemy za gwałtownie, uznają to za zagrożenie. Myślę, że pokaz siły, zdecydowania i gotowości mógłby sprawić, że zawahaliby się i przestali szarżować.Erikson niechętnie skinął głową.- Może i masz rację, Harry. Może skierowanie do realizacji istniejących już systemów uzbrojenia nie zostanie poczytane za krok zbyt agresywny.- Czy naprawdę chcemy powrócić do polityki wzajemnego odstraszenia? - spytał prezydent. - Do czegoś, co może wlec się łatami i

zahamować wzrost gospodarczy obydwu krajów? Czy naprawdę chcemy zmusić Chiny do ukrycia się za najeżonymi rakietami Wielkim Murem w chwili, gdy postęp jest w zasięgu ręki? W tej geopolitycznej debacie zadudnił głos admirała Brose'a.- Myślę, że panu prezydentowi najbardziej odpowiadałoby rozwiązanie na niniejszą skalę: rozwiązanie doraźnego problemu taktycznego. Jak udowodnić, co przewozi „Cesarzowa”? Na twarze wojskowych i cywilów powrócił wyraz bezradności.

- Właśnie - przyznał łagodnie prezydent Castilla. - To byłoby coś. Masz jakiś pomysł, Stevens?
- Wysłać na pokład „Cesarzowej” oddział SEAL na tajne rozpoznanie.
- Da się to zrobić?- spytał wiceprezydent Erikson. - Na pełnym morzu? Z „Crowe'a”? Z płynącego okrętu na płynący okręt?
- Da się - zapewnił go admirał Brose. - Mamy specjalny sprzęt i wyszkolonych ludzi.
- Czy to bezpieczne? - zaniepokoił się sekretarz Stanton.
- Pewne ryzyko zawsze istnieje.
- Ryzyko niepowodzenia? Z ofiarami? - wtrącił Abner Padgett.
- Tak.
- Ryzyko wykrycia? - drażył Erikson.
- Tak, to też.
- Sekretarz stanu gwałtownie pokręcił głową.- Akt jawnej agresji, inwazji na chińskie terytorium na wodach międzynarodowych? To zaproszenie do wojny. Wszyscy pokiwali głową, jedni poważnie, inni gwałtownie. Castilla zdjął okulary i ścisnął sobie grzbiet nosa.
- O jak wielkim ryzyku mówimy, panie admirale?
- Moim zdaniem o minimalnym, panie prezydencie. Pod warunkiem że wyślemy tam oddział dobrze wyszkolony i dowodzony przez oficera, który rozumie, że absolutnie nie mogą zostać wykryci, i który przy pierwszych oznakach zagrożenia przerwie wykonywanie misji.
- Prezydent milczał, mając przed oczami miliony ludzi w całym kraju, którzy już niebawem mogli nerwowo zerkać na ekran telewizora, jednym uchem słuchając niepokojących wiadomości i żyjąc jednocześnie dalej, życiem zwykłym, lecz na pewno zbyt cennym, by poświęcić je w tej niepotrzebnej wojnie. Wszyscy wojskowi i cywile patrzyli na szefa sztabu Charliego Ouraya, jakby tylko on potrafił czytać Castilli w myślach.- Panie prezydencie? - szepnął Ouray. Castilla lekko kiwnął głową, bardziej do siebie niż do nich.- Wezmę to pod uwagę, Stevens. Zawsze to jakieś rozwiązanie. Tymczasem chciałbym was poinformować, że od kilku dni nasz wywiad prowadzi operację, która może złagodzić ten konflikt. - Wstał. - Dziękuję. Wkrótce spotkamy się ponownie. Do tego czasu chcę, żeby każdy z was dobrze przygotował swój sektor i przedłożył mi raport. Opiszcie w nim, jak waszym zdaniem powinniśmy to załatwić, jakim sposobem i kiedy będziecie całkowicie przygotowani do konfliktu na pełną skalę.

**17 września, niedziela Szanghaj**



- Siedząc na tylnym siedzeniu luksusowej limuzyny, Wei Gaofan rozkoszował się kubańską hawaną i sukcesem w walce z Niu Jinanxingiem. Teraz, gdy „Zhou-Enlai” szykowała torpedy, a „Crowe” polerował rakiety, ten reformator Niu - „reformator”, czyli prowadzący politykę ustępstw rewizjonista i kapitalista - szybko się przekona, jak niewielu członków Komitetu Centralnego patrzy przychylnie na jego traktat o „prawach człowieka”, jak niewielu z nich akceptuje niebezpieczny kierunek, w którym zamierzał pchnąć Chiny. Mercedes parkował w bocznej uliczce w dzielnicy Changning. Oddzielony od ochroniarza kuloodporną szybą, Wei obserwował okolicę, którą oświetlały jedynie światła płonące w oknach domów. Czekał, aż szofer i drugi ochroniarz wrócą z misji. Nie lubił splątanych wątków i nierozwiązanych spraw. Li Aorong i jego córka kombinowali na dwie strony i musiał się ich pozbyć. Dopóki żyli, nie czuł się bezpiecznie. Jego plan był ryzykowny, a chociaż Wei mógł powiedzieć o Niu Jianxingu wiele niemiłych rzeczy, na pewno nie powiedziałby, że jest głupcem. Tak, gdy Sowa na dobre zamilknie, pozostali członkowie Stałego Komitetu szybko otrzeźwieją. Nagle się wyprostował. Z ciemności dobiegł odgłos zbliżających się kroków i po chwili otworzyły się przednie drzwiczki. Szofer, szef ochrony, usiadł za kierownicą, a obok ochroniarz i sięgnął po mikrofon interkomu. Z zamontowanych z tyłu głośników popłynął jego wyraźny głos.

- Pan Li jest w domu, tak jak mówił, ale nie widziałem śladów wskazujących na to, że przebywała tam ostatnio jego córka. Dzieci śpią pod opieką niańki w oddzielnym domku.

- Szukaliście? Wszędzie?

- Daliśmy mu środek nasenny i pan Li mocno zasnął. Dzieci i niańka też już spały. Poza nimi nie ma tam nikogo. Zgodnie z poleceniem, dokładnie wszystko przeszukałem. - Szofer odwrócił głowę, jakby za lustrzaną szybą z kuloodpornego szkła mógł coś zobaczyć. - Jest coś jeszcze.

- Co? - syknął spięty Wei.

- Ludzie z Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Sam major Pan Aitu i jego zespół.

- Gdzie?

- Przed domem. Niektórzy w samochodach. Są bardzo... dyskretni.

- Obserwują dom?

- Albo Li Aoronga.

- Prawdopodobnie i dom, i Aoronga, pomyślał Gaofan. Drgnął nerwowo. Pan nie śmiałby działać wbrew niemu, chyba że... ktoś za nim stał. Niu? Odkrył, że dzięki jego naciskom Biuro Bezpieczeństwa Publicznego zwolniło Li Aoronga? Tak, to możliwe. Wei gniewnie pokręcił głową. Zdecydowanie tak, ten niebezpieczny liberał Niu znowu wtykał nos w nie swoje sprawy. Komórka zapiszczała tak głośno, że zapomniawszy, iż samochód ma kuloodporne szyby, Gaofan pochylił się gwałtownie, jakby ktoś do niego strzelił. Natychmiast się zreflektował i usiadł prosto, zły, że jest tak bardzo spięty. Wcisnął przycisk i warknął: - Wei.

- Mamy Smitha - zameldował Feng.

- Gniew momentalnie wyparował.

- Gdzie?
- W Hongkongu.
- Dla kogo pracuje?
- Nie powiedział. Jeszcze.
- Zdobył ten manifest i wysłał go do Waszyngtonu?
- - Nie ma już ani jednego egzemplarza, więc nic nie mógł wysłać. - Feng opowiedział mu, jak wrzuciwszy manifest do niszcarki, McDermid napisał list i schował go do sejfu, i jak schwytali Smitha. Gaofanowi natychmiast poprawił się humor. Nie lubił teatralnych zniewag McDermida, ale w sumie mu nie przeszkadzały.
- Szybko go przesłuchajcie. Wyciągnijcie z niego, co wiedzą Amerykanie, i zlikwidujcie go.
- Oczywiście.
- Wei wyobraził sobie, jak Feng wykrzywia usta w nieludzkim uśmiechu drewnianego manekina. Był jego człowiekiem, mimo to Gaofan zadrzał, usiadł wygodniej i przeanalizował znaczenie tej wiadomości. Niu Jian-xing, nie mógł już udowodnić, co przewozi „Cesarzowa”. Nie miał nic do przedstawienia członkom Stałego Komitetu, a jego współpraca z Amerykanami była niemożliwa. Tak, zarobi na „Cesarzowej” krocie, tak samo jak zarobił na innych statkach przewożących nielegalne towary... albo dojdzie do czegoś, co zapewni mu jeszcze większy zysk. Splótł palce na brzuchu, zadowolony, jakby zjadł na obiad bażanta w miodzie.

## 16 września, sobota Waszyngton

- Za zamkniętymi drzwiami Pokoju Traktatowego prezydent Castilla i Fred Klein stali ramię w ramię przed oknem, patrząc na ogród przed Białym Domem. Castilla streścił Kleinowi przebieg narady z wojskowymi i cywilnymi doradcami.- Niewykluczone, że będzie pan musiał zaakceptować propozycję admirała Brose'a i wysłać tam oddział SEAL. Prezydent zerknął na swego starego druha i zdawało się, że niczym burza zbierająca się nad White Sands zawisła nad nim wielka czarna chmura.
- Co się stało? - Wypowiedział te słowa ciężko, ze znużeniem, w którym pobrzmiwało brzemienie wydarzeń ostatnich czterech dni. Z rezygnacją. Oczekując najgorszego.
- Prawdopodobnie straciliśmy Smitha.
- Nie. - Castilla gwałtownie wciągnął powietrze. - Jak?
- Jeszcze nie wiemy. Kiedy rozmawiałem z nim ostatni raz, miał włamać się do Donk LaPierre. - McDermid i jego wyprawa metrem do Wanchai, zasadzka w biurówcu, ucieczka z Randi Russell... Klein opisał to wszystko szybko, lecz dokładnie.
- Z Randi Russell? Z tą agentką?
- Tak. Pamięta pan? To właśnie ją Arlene wysłała za Kottem do Manili, gdzie doszło to tego potajemnego spotkania z McDermidem.
- Tak, oczywiście. A potem? Co się stało?

- Jon poprosił o dodatkowy sprzęt, żeby przeszukać biuro Donk LaPierre. Operacja powinna potrwać niecałą godzinę. Góra półtorej. Poszedł tam i przepadł.
- Fred, jeśli w tym biurze był ostami egzemplarz manifestu...
- Tak. Jeżeli go schwytali, manifestu już nie ma. Castilla spojrzął na zegarek.
- Ile mu jeszcze dajesz?
- - Szukają go moi ludzie. Tam, w Hongkongu. Dwie, trzy godziny. Potem przeczeszymy całe miasto, Możliwe, że przetrzymują go i przesłuchują. Że Jon wytrzyma. Że spróbują go uwolnić miejscowi, ale...
- Manifest przepadł tak czy inaczej.
- Tak, Sam. Najprawdopodobniej.
- A pułkownik Smith może już nie żyć.
- Klein spojrzął na czubki swoich butów.
- Tak. Boże, mam nadzieję, że nie, ale tak, może już nie żyć.
- Prezydent kiwnął głową. Ciężko westchnął.
- Dobrze, znajdziemy inny sposób. Zawsze jest jakiś sposób.
- Tak, oczywiście.
- Zmilkli, żeby milczeniem tym pokryć oczywiste kłamstwo.
- Chciałbym wiedzieć wszystko, czego CIA dowiedziała się od Randi Russell i jej ludzi - powiedział w końcu Klein.
- Zadzwońię do Arlene.
- Może rzeczywiście nadszedł czas, żeby wysłać tam SEAL. Jeśli im się uda, jeśli znajdą te chemikalia, przejmą statek i wyrzucą wszystko za burtę, jeśli zrobią to wszystko tak, że nie zauważą tego ci z łodzi... To rozwiązałoby cały problem i nie miałyby już znaczenia, czy...
- Manifest przepadł i pułkownik Smith nie żyje? Co się z tobą stało, Fred? Czy wszyscy z tej branży tak obojętnieją?
- Klein wyglądał jak balon, z którego uszło powietrze. Podniósł głowę. Spojrzenie miał twarde i przenikliwe.
- Miałem na myśli stratę manifestu, panie prezydencie, nie śmierć Jona. Ale tak, myślę, że wcześniej czy później wszyscy tak skończymy.
- Asy wywiadu - mruknął Castilla. - To musi być potworne.
- Przyniosłem złą nowinę. Bardzo mi przykro, Sam.

- Mnie też, Fred, mnie też... Dziękuję, stary druhu. Do widzenia.
- Po wyjściu Kleina prezydent długo stał w milczeniu. Wiedział, co musi zrobić, ale ani tego nie chciał, ani nie czuł się z tym dobrze. Nie lubił rozkazywać ludziom, żeby ryzykowali życie dla kraju, chociaż miał pełną świadomość, że tego oczekują, że po to wstąpili do wojska, że kiedyś, dawno temu, gdy przyszła jego kolej, on też zrobił to, co do niego należało. Walczył na wojnie, chociaż nie zaciągnął się, żeby zginąć. Westchnął. Zabrzmiało to tak, jakby wziął głębszy oddech. Podniósł słuchawkę;
- Panno Pike, proszę mnie połączyć z admirałem Brose'em. Chwilę później zadzwonił telefon.
- Słucham, panie prezydencie - zadudnił głęboki głos admirała.
- Jak długo potrwa przerzucenie oddziału SEAL na pokład „Crowe'a”?
- - Oni już tam są, panie prezydencie. Pozwoliłem sobie przerzucić ich wcześniej.
- Doprawdy? Cóż, chyba nie jest pan pierwszym dowódcą, który uprzedził decyzją niezdecydowanego prezydenta.
- Nie, panie prezydencie, nie przypuszczam. Mogę spytać, czy się pan zdecydował?
- Właśnie dlatego dzwonię.
- Mamy zielone światło?
- Tak.
- Przekażę rozkaz dalej.
- Nie chcesz wiedzieć dlaczego, Stevens?
- To nie moja działka, panie prezydencie.
- Ma pan rację, admirałe - odrzekł z wahaniem Castilla. - Proszę informować mnie na bieżąco.
- To, co będę wiedział ja, będzie wiedział i pan.
- Castilla odłożył słuchawkę i nagle przypomniał mu się fragment biografii Ottona von Bismarcka, którą czytał przed laty. Szło to chyba jakoś tak... Człowiek zyskuje wartość moralną w chwili, gdy jest gotów umrzeć za swoje zasady. On sam życia dla zasad nie ryzykował, ryzykował za to swoją przyszłość, co nie było takie ważne, i przyszłość kraju, co było ważne. Starzy, surowi pruscy ziemianie uznaliby pewnie, że to za mało, lecz on z trudem dźwigał i ten mniejszy, lecz jakże wielki ciężar.

# Rozdział 28

## 17 września, niedziela Morze Arabskie

- 
- 
- Grupce oficerów USS „John Crowe” zaczynało doskwierać napięcie. To nie była zwykła akcja z cyklu poszukiwanie zaginionego samolotu, awaria czy fałszywy alarm. Tym razem jeden błąd mógł kosztować ich życie i wywołać wojnę. W centrum telekomunikacyjnym jak zwykle opanowany kapitan James Chervenko skończył rozmawiać z admirałem Brose'em. Gdy wysłuchiwał rozkazów admirała, jego zwężone oczy zwęziły się jeszcze bardziej i przypominały teraz dysze lasera. Zdjął słuchawki i spojrzał na komandora porucznika Gary'ego Kozloff'a. - Macie zielone światło.
- Tak jest - rzucił Kozloff. Żadna niespodzianka. Tego się spodziewał. - Śmigłowiec przygotowany? - Należał do SEAL, był jednym z tych niezwykłych żołnierzy, o których powiadano, że są to ludzie zbudowani z samych mięśni i mózgu. Wysoki, szczupły i dumny z tego, co robi, emanował poczuciem celu działania. Swą postawą dodawał otuchy wszystkim obecnym.
- Za dziesięć minut.
- Będziemy gotowi.
- Chervenko kiwnął głową, jakby było to zupełnie oczywiste.
- Niech pan pamięta, komandorze - ostrzegł. - Nadrzędną dyrektywą tej misji jest całkowita tajność. Nigdy was tam nie było. Przy najmniejszych podejrzaniach, że może grozić wam wykrycie, wycofujecie się i znikacie.
- Tak jest.
- Będziemy obserwować i łódź, i „Cesarzową”. Jeśli uznamy, że coś jest nie tak, natychmiast wydam rozkaz przerwania akcji.
- Tak jest.
- Powodzenia, Gary.
- Dzięki, Jim. - Kozloff posłał mu lekki uśmiech. - Ładna noc. W sam raz na kąpiel.
- Na ciemnym pokładzie na rozkazy czekało czterech gotowych do akcji żołnierzy. Gdy nadszedł Kozloff, z nadzieją zerwali się na równe nogi. Komandor kiwnął głową i po raz ostatni sprawdzili sprzęt. - Przyssawki - rzucił Kozloff; tej nocy magnetyczne przyssawki miały być niezwykle ważne. Gdy odpowiedział mu zgrany chór czterech głosów - „Tak jest!” - popatrzył na nich jeszcze raz i rozkazał: - Do śmigłowca! Ruszyli na rufę, do Seahawka SH-60. Na tle rozgwieżdżonego nieba śmigłowiec wyglądał jak wielki, groźny ptak. Lekki wiatr niósł zapach ropy i morskiej wody. W ładowni śmigłowca czekał podczepiony do wysięgnika zodiac, gumowy ponton szturmowy. Gdy tylko wsiedli, silnik ryknął na pełnych obrotach i zawirowały

wirniki - wielki śmigłowiec oderwał się od pokładu, natychmiast skręcił w lewo i odlatując bez świateł w kierunku odległej o dziesięć mil „Cesarzowej”, szybko zniknął w ciemności. Powietrze dudniło od ciosów śmigieł. Czekaając, aż uszy przywykną do hałasu, komandor porucznik Kozloff patrzył na falujące w morzu księżyc i gwiazdy. Denerwował się, co było zupełnie do niego niepodobne. Gwarancją sukcesu są intensywne ćwiczenia i pełne zgranie grupy. Ale tym razem mieli użyć nowego, małego pontonu i nowego sprzętu do wspinaczki, specjalnie zaprojektowanego do abordażu, do tajnego ataku i przejęcia okrętu na pełnym morzu. Znali ten sprzęt, lecz nie mieli czasu przećwiczyć różnych wariantów i skomplikowanych scenariuszy operacyjnych. Całkowicie wierzył i w siebie, i w swoich ludzi. W przeciwnym razie nie mógłby być w oddziale SEAL. Mimo to... Skupił uwagę na tym, co działo się na dole. Dolecieli do „Cesarzowej” i zgodnie z planem zawisli nad jej mostkiem. Frachtowiec płynął z prędkością około dziesięciu węzłów. Ładownia, częściowo oświetlony pokład, liny, luki, osprzęt... Na otwartym mostku trzech marynarzy; nie sposób było stwierdzić, czy są to oficerowie. Wszyscy trzej patrzyli gniewnie na śmigłowiec i zaniepokojony Kozloff zmarszczył brwi. Uciekną, gdy ich okręt wypali? Mieli udawać, że przylecieli na rozpoznanie. Że jest to zwykła, niewinna misja. Kozloff czekał, wiedząc, że jego żołnierze też obserwują mostek i zastanawiają się, co robią Chińczycy. Dwóch z nich wciąż zadzierało głowy, trzeci chwycił za mikrofon nadajnika. W odpowiedzi seahawk legł na lewej, a zaraz potem na prawej burcie, jakby chciał im pomachać albo... zagrać im na nosie, Chińczyk odłożył mikrofon nadajnika, coś krzyknął - puścił im pewnie wiązkę przekleństw - i pogroził śmigłowcowi pięścią. Kozloff odetchnął. Kupili to, uznali, że to zwykłe rozpoznanie, że ze strony seahawka nic im nie grozi. Podniesieni na duchu żołnierze zachichotali. Śmigłowiec przyspieszył i przechyliwszy się na burtę, zatoczył tak szeroki łuk, że statek zniknął im z oczu. W słuchawkach zaskrzeczał głos pilota: - Gotowi? Kozloff spojrział na swoich ludzi. Podnieśli do góry kciuki. - Gotowi - rzucił do małego mikrofonu. - Wysadź nas. Seahawk zniżył lot, rozedrgany zawisł tuż nad falami. Żołnierze przysunęli ponton do bocznych drzwi i operator wysięgnika spuścił go na wodę. Komandosi przypięli się do lin, wyskoczyli za burtę. Morze. Kozloff jak zwykle zareagował dwójako: przeżył lekki wstrząs, doświadczywszy nagłego poczucia lekkości i zawieszenia, a zaraz potem ogarnęła go ulga, że nareszcie jest u siebie w domu. Kilkanaście metrów dalej na falach kołysał się zodiak, więc podpłynął do niego szybkim crawl'em, energicznie rozgarniając wodę. Była czarna, nieprzenikniona, lecz on tego nie zauważał. Skupiony na zadaniu, wdrapał się na ponton, a gdy za nim wdrapali się koledzy, uruchomił elektryczny silnik i już niebawem mknęli w kierunku płynącej w ich stronę „Cesarzowej”. Tak było najbezpieczniej, ponieważ unikali w ten sposób niebezpieczeństwa wessania pod kadłub statku. I szybciej, ponieważ „Cesarzowa” sunęła prosto na nich. Gdy ją ujrzeli, nad mostkiem znowu przelatywał śmigłowiec, odwracając uwagę załogi. Kozloff nie odrywał wzroku od statku. Obliczał w myśli kurs i nieustannie manewrował sterem, żeby nie trafić w dziób, żeby płynąć równolegle do „Cesarzowej”. Potem, wykorzystując pozorujące manewry seahawka, pod osłoną ciemności miał gwałtownie skręcić w prawo i za pomocą magnetycznego urządzenia cumującego dobić cicho do burty. Wtedy, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jego ludzie wespną się na ciemny pokład i zaczną przeszukiwać statek. Chervenko patrzył, jak seahawk siada na pokładowym lądowisku. Perfekcyjne przyziemienie. Pochyliwszy głowę pod wirującym rotorem, kapitan podbiegł bliżej.

- Wszystko w porządku?! - krzyknął do pilota.

- Tak jest! Są na miejscu.
- Chervenko krótko skinął głową i ruszył do centrum telekomunikacyjnego. Wszedł tam i natychmiast spojrzął na Freda Baumaną, który nie odrywał oczu od ekranu radaru.
- Widać ponton?
- Nie, panie kapitanie. Jest o wiele za mały.
- Hastings, słyszysz coś?
- Tylko śruby „Cesarzowej” i śruby Chińczyków za nami, panie kapitanie - odrzekł operator sonaru, technik pierwszej klasy Matthew Hastings. - Robią taki hałas, że elektrycznego silnika nikt nie usłyszy.
- Zadowolony Chervenko ściągnął usta.
- Dobrze. Może im się uda. - Już miał wyjść, ale zmienił zamiar. - Uważajcie. Cały czas obserwujcie „Cesarzową” i jeśli zrobi coś dziwnego...
- Panie kapitanie. - Hastings zeszywniał. Podniósł głos. - Ci za nami. Chińczycy przyspieszają! I to jak! Są coraz bliżej!
- Chervenko błyskawicznie włożył słuchawki. Tak, chiński okręt podwodny szedł na nich pełną parą.
- Ktoś ma coś jeszcze?
- Uzbrajają torpedy! - krzyknął inny sonarowiec. - Torpedy na wyrzutniach!
- Chervenko spojrzął na radiooperatora.- Przerwać akcję! Natychmiast przerwać akcję!Radiooperator nachylił się do mikrofonu i wrzasnął:- Przerwać akcję! Przerwać akcję!Fale rzucały pontonem jak łupiną orzecha. Byli ledwie o metr od stalowej burty i stąd, z dołu, statek wyglądał jak drapacz chmur, z tym że drapacz ten się poruszał, a oni musieli nieustannie uważać, żeby nie wessał ich pod kil, żeby turbulencje nie cisnęły ich na burtę. Dezorientacja i nieprzewidywalne morze zabiły już wielu. Ale Kozloff przywykł do dezorientacji, a jego wyćwiczony w ekstremalnych warunkach umysł potrafił wyliczyć, jak podejść do statku najbezpieczniej, nie roztrzaskując się o burtę.Bliżej, jeszcze bliżej. Twarze zbryzgała im zimna piana, doszedł ich ostry zapach ropy i mokrej stali. Nie potrzebując ani rozkazów, ani wskazówek, żołnierz czuwający na dziobie wychylił się mocno i za pierwszym razem przytknął magnetyczną cumę do burty. Zalały ich fale, momentalnie przemokli. Czujka, żołnierz, który miał iść jako pierwszy, uruchomił magnetyczne przyssawki i niczym pająk u stóp gigantycznego monolitu zaczął wspinać się do góry. Dołączył do niego drugi, potem następny.Kozloff obserwował ich z dumą. Ciemna, bezpieczna noc. Hałasujący nad mostkiem śmigłowiec. Niemal idealne cumowanie. Wszystko wskazywało na to, że operacja zakończy się sukcesem.Uruchamiając magnetyczne przyssawki i przytykając je do stalowego poszycia statku, pozwolił sobie na uśmiech. Pstryk, i silne przyciąganie, i poczucie bezpieczeństwa. To cholerstwo naprawdę działało. Ruszył w górę w chwili, gdy szpica zniknęła na pokładzie.I nagle w słuchawkach przeraźliwie zaskrzeczał głos radiooperatora z centrum

telekomunikacyjnego „Crowe'a”:- Przerwać akcję! Przerwać akcję! Przerwać akcję! Kozloff trzasnął przełącznikiem mininadajnika.- Przerwać akcję! Wracać! Wracajcie, do ciężkiej cholery! Dupy w troki i na dół, ale już!Zsunęli się po stalowej ścianie, zmniejszając napięcie prądu w przyssawkach na dłoniach i stopach. Kozloff martwił się o czujkę, o tego idącego na szpicy, który zdążył już zniknąć za relingiem. Zadarł głowę i wstrzymał oddech. Gdzie ten sukinsyn jest?Gdy się wreszcie ukazał, zjechał na dół jak strażak po słupie. Był wkurzony i próbował to ukryć. Gdy tylko dotknął nogami burty pontonu, jeden z kolegów wciągnął go do środka, drugi zwolnił magnetyczną cumę. Kozloff szarpnął sterem i odpłynęli, walcząc z falami i silnym prądem, który próbował wciągnąć ich pod śruby statku.Bez słowa patrzyli na górującą nad nimi „Cesarzową”. Wciąż istniało ryzyko, że ktoś ich zobaczy.Dopiero po chwili, gdy na pokładzie nie zapłonęły reflektory, Kozloff z ulgą odetchnął. Dobre było tylko to, że udało im się wykonać ostatnią część misji: uciekli i nikt ich nie zauważył.Dudniąc silnikami, „Cesarzowa” płynęła dalej, oni zaś kołysali się gwałtownie na jej spienionym kilwaterze. Żołnierze poczuli się bezpiecznie i zaczęli gderać.

- Co się, do diabła, stało?
- To mogło wypalić!
- Kozloff się z nimi zgadzał, ale był też ich dowódcą.- Rozkazy - uciął stanowczo. - Dostaliśmy rozkaz przerwania akcji. Nie nam go kwestionować.Pochylony nad ramieniem Hastingsa Chervenko wsłuchiwał się w szum silników chińskiego okrętu podwodnego. Nagle zeszywniał. Nieprzyjacielski okręt zwolnił. Czy to nie złudzenie?Hastings głośno przełknął ślinę.
- Zwalnia - szepnął. - Powoli zostaje w tyle.
- Mostek melduje, że ponton już wraca! - zawołał radiooperator. - Puścili sygnał z prawej burty. Komandor Bienas zwalnia, żeby ich zabrać.
- Chińczycy też wracają na poprzednią pozycję - dodał z ulgą Hastings.
- Chervenko wziął głęboki oddech. Innych emocji nie okazał - nie przed podwładnymi. Ostatnie godziny kompletnie go wykończyły. Popatrzył po spiętych twarzach techników, wiedząc, że ich dobiły jeszcze bardziej. On miał przynajmniej wiele lat doświadczenia, oni nie.
- Dobra. Spróbujmy ustalić, jakim cudem tamci nas wyczuli. Dlaczego ruszyli do ataku dokładnie w chwili, gdy nasi wchodzili na pokład? Skąd wiedzieli? Hastings?
- Pontonu na pewno nie widzieli. Ani pontonu, ani nawet śmigłowca. Nie na sonarze.
- Ale widzieli go ci z „Cesarzowej”, znaczy się śmigłowiec - spekulował Fred Baum. - Dodali dwa do dwóch, i już.
- Tak, to możliwe - mruknął Chervenko. - Dobra robota, chłopcy. Miejcie oczy i uszy otwarte. Wypatrzycie coś, natychmiast dajcie mi znać.
- Spiesząc do swojej kabiny, żeby przekazać meldunek do Waszyngtonu, doskonale zdawał sobie sprawę, że załoga „Cesarzowej” nie mogła wypatrzeć ani pontonu, ani żołnierzy. Nie z tej



odległości, nie w nocy. Załoga widziała jedynie nękający ich śmigłowiec, to wszystko. Nie, Chińczycy ruszyli do pozorowanego ataku, żeby ostrzec ich i powstrzymać, ponieważ ktoś uprzedził ich o akcji oddziału SEAL. Ponieważ ktoś ich ostrzegł. Tak, ostrzegł ich ktoś z... Waszyngtonu.

## 16 września, sobota Waszyngton

- Prezydent stał tyłem do zdenerwowanego admirała, spoglądając przez okno na Ogród Różany.
- Nie udało się? - spytał.
- Chiński okręt podwodny ruszył do ataku - odrzekł drewnianym głosem Brose. - Załadowali i uzbroili torpedy. Kapitan Chervenko uważa, że wiedzieli o naszej akcji i domyślili się, że manewry śmigłowca to hasło to abordażu.
- Ktoś ich ostrzegł?
- Na to wygląda. - Admirał sugerował, że Castilla może wiedzieć więcej, niż wie. Nie zapoznano go z ostatnimi doniesieniami na temat przecieków. Nie wiedział o nich nikt poza panią dyrektor CIA i Fredem Kleinem.
- Dobrze. Dziękuję, Stevens.
- Admirał wstał, lecz nie wyszedł.
- Co teraz, panie prezydencie?
- Castilla odwrócił się z założonymi do tyłu rękami.
- To samo co poprzednio. Utrzymywać w gotowości wszystkie służby. Demonstrować zdecydowaną obecność na azjatyckich wodach, jakbyśmy byli gotowi do wojny.
- A potem, panie prezydencie?
- Najpierw zobaczymy, co zrobią Chińczycy.
- „Cesarzowa” wpłynie na irackie wody terytorialne w poniedziałek wieczorem naszego czasu, we wtorek rano czasu irackiego. – Admirał przeszył go wzrokiem. - Dzisiaj jest sobota, więc został nam tylko jeden dzień, góra półtora. Było niedobrze już wtedy, gdy mieliśmy do dyspozycji prawie cały tydzień...
- Wiem, panie admirale, wiem.
- Brose usłyszał w tym nutkę krytyki i powoli skinął głową.
- Przepraszam, panie prezydencie,
- Niepotrzebnie, Stevens. Sprawdź, co z naszymi chłopcami. Wrócili cało?
- Nie wiem. Kiedy rozmawiałem z Chervenką, „Crowe” jeszcze ich nie wyłowił. Uznałem, że

zechce pan dowiedzieć się o wszystkim jak najszybciej.

- - I słusznie. Dziękuję. Brose wyszedł, ale Castilla wciąż stał przy oknie. W końcu boleśnie westchnął. Podniósł słuchawkę niebieskiego telefonu i zadzwonił do kwatery głównej Jedynki. Klein odpowiedział natychmiast.
- Tak, panie prezydencie?
- SEAL musiał przerwać akcję. - Castilla streścił mu rozmowę z admirałem. - Chińczyków ktoś ostrzegł. Kapitan Chervenko jest tego pewien.
- Kott?
- Nie. Chciałem, żeby wyjechał z Waszyngtonu, i wysłałem go ze specjalną misją do Meksyku. Nic nie wiedział, poza tym na wszelki wypadek obserwuje go CIA.
- Castilla zamilkł. Znowu ogarnęły go wściekłość i obrzydzenie. Przeklęty Kott. Narobił niepowetowanych szkód i prezydent chciał pociągnąć go do odpowiedzialności. Ale jeszcze nie teraz. Nie, jeszcze za wcześnie.
- Powiem Arlene, że to nie on - kontynuował. - Że powodem przerwanej akcji Chińczyków na „Crowe'a” był przeciek stąd, z Waszyngtonu. Są jakieś wiadomości o Smisie?
- Boję się, że nie. Jeszcze godzina i uruchomię swoich ludzi.
- Módlmy się, żeby znaleźli i jego, i manifest. To nasza ostatnia szansa.
- Rozmawiał pan z Arlene o McDermidzie? Są jakieś wiadomości od agentki Russell?
- Są. Jest bardzo źle, Fred. Randi Russell też zniknęła.

# Część 3

# Rozdział 29

## Hongkong

- 
- 
- Dwóch Chińczyków zawlokło szarpiącą się wieśniaczką do pokoju w kształcie litery L i rzuciło ją na podłogę koło krzesła, na którym siedział bosy, nieprzytomny i zakrwawiony mężczyzna ze związanymi z tyłu rękami. W pomieszczeniu panowała nieznośna duchota.- Przyjrzyj się mu - rzucił jeden z nich po kantońsku. - Kiedy będą cię przesłuchiwać, pamiętaj: jeśli nie odpowiesz, ty też będziesz tak wyglądała. Ubrana na czarno wieśniaczka skuliła się na podłodze i szybko zamrugła jak ktoś, kto nie zrozumiał z tego ani słowa. Chińczyk pokręcił głową. Zaczynał się martwić. Spojrzał na swego partnera i wyszli. Trzasnęła zasława. Randi gniewnie błysnęła oczami, rozglądając się wokół. Dwa duże okna, jedno z tyłu, drugie z przodu, były zasłonięte kotarami. Dochodziły zza nich jedynie cieniutkie smużki porannego słońca. Wciąż ani drgnęła, bojąc się, że ktoś ją obserwuje. Przeniosła wzrok na Jona, na krępujące go więzy i cicho zaklęła. Szlag by to. Jego też; dopadli. I mocno go pobili. Wpadła na coś dużego, na coś znacznie większego, niż przypuszczali jej szefowie. Bez względu na to, co Jon rozpracowywał tym razem, na pewno miało to coś wspólnego z Ralphem McDermidem. Z doświadczenia wiedziała, że szwagier wchodził jej w drogę tylko wtedy, gdy szykowało się coś poważnego. CIA rzadko kiedy wiedziała, co tak naprawdę robi. I chociaż Jon zawsze temu zaprzeczał, ten, dla kogo pracował, musiał działać na najwyższym szczeblu rządowym. Co oznaczało, że zorganizowane przez McDermida przecieki są jedynie czubkiem politycznej i wojskowej góry lodowej. Jeśli miała rację, jej zadanie przybrało zupełnie nowe wymiary, ale musiała to zatrzymać dla siebie, przynajmniej na razie. Miała jedynie nadzieję, że jej ludzie wiedzą już, iż uprowadzono ją, gdy obserwowała McDermida i jego najnowszą zdobycz, i że przyjdą jej z odsieczą. Z drugiej strony nie mogła na to liczyć. Skuliła się jeszcze bardziej, jakby sparaliżował ją strach. Musiała stąd jakoś uciec i jak najszybciej się z nimi skontaktować. Jednocześnie bez względu na okoliczności nie mogła dopuścić, żeby tamci odkryli, że zna Jona, że jest agentką CIA. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i - jakby czytając jej w myślach - do pokoju wkroczył Ralph McDermid. Tuż za nim wszedł Feng Dun, ale nad nią stanął właśnie on, szef Grupy Altmana. - Dlaczego za mną łazisz? - spytał chrapliwie. - Szpiegujesz mnie? Lepiej gadaj, bo zgnijesz w chińskim pierdłu. Randi ani drgnęła. Leżała bez ruchu, jakby nie znała angielskiego i nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Feng kopnął ją w zębra. Zawyla, protestując po mandaryńsku i spojrzała na nich jak prosta, przerażona wieśniaczka. - Ona nie jest stąd - mruknął po angielsku Feng. - Jest z okolic Pekinu albo z pomocy. - Kopnął ją jeszcze raz i przeszedł na mandaryński. - Co robisz tak daleko od domu? Po co przyjechałaś do Hongkongu? Randi ponownie krzyknęła, jak rozzalona, nic nieznająca chłopka, której czepia się potężny pan. - Na ziemi mojego ojca nie ma pracy! - wrzasnęła i ze szlochem dodała: - Jechałam do Guangzhou, ale tu można lepiej zarobić. - Co ona gada? - spytał McDermid. Feng przetłumaczył.

- Pełno ich tu. Wyjeżdżają z kraju milionami i szukają pracy w miastach.
- Ale z tych milionów łąziła za mną tylko ona. Po co mnie szpiegowała? Dla kogo?

- Feng przetłumaczył pytania, dorzucając coś od siebie:- Łaziłaś za panem McDermidem prawie przez cały dzień. Pan McDermid jest bardzo ważnym człowiekiem. Mów, kto ci płaci, bo oddamy cię w ręce policji i resztę życia spędzisz w więzieniu.Odkąd zaskoczył ją pod oknem sypialni McDermida, Randi nieustannie myślała nad jakąś wiarygodną wymówką. Dużo zależało od tego, w jak wielką popadli paranoję. I od tego, co McDermid ukrywał, jak wielu miał wrogów, jak dobrze tych wrogów znali, on i Feng Dun.Postanowiła trochę pozwlekać, zagrać na czas. Zachowywać się jak prosta, przerażona wieśniaczka, a potem opowiedzieć im historyjkę o „tajemniczym panu”.- Ja tylko szukałam pieniędzy - wyszłochała. - Furka do ogrodu była otwarta. Usłyszałam głosy i weszłam poprosić wielmożnego pana o jałmużnę...Feng kopnął ją tak szybko, że nie dostrzegła ruchu jego nogi. Zapiszczała jak prowadzone na rzeź prosię i wijąc się na podłodze, z trudem wykrztusiła:
- Moja rodzina jest biedna! W fabryce zarabiam za mało, żeby coś im wysłać. Muszę mieć więcej. Dlatego... dlatego czasem kradnę. Tamten dom był taki ładny, w takim domu musiało być dużo pieniędzy. I pięknych rzeczy do sprzedania. Sprzedałabym je i...
- Ty głupia babo! - Feng wściekle wykrzywił twarz i poczerwieniał. - Chodziłaś za nim cały dzień. Szpiegowałaś go. Pewnie dłużej niż dzień! Randi dała z siebie wszystko i odegrała rolę przebiegłej, płaszczącej się, proszącej o litość, śmiertelnie wystraszonej chłopki. Chwyciła McDermida za kolana, zadarła głowę i wybełkotała coś, patrząc mu błagalnie w odrażającą twarz.
- Feng zaklął, chwycił ją za kołnierz i cisnął na podłogę.- Przekłęci wieśniacy! Tkniesz ich i udają, że są obdzierani żywcem ze skóry. Ale zaczekaj, zaraz nie będziesz musiała udawać. - Spojrzał na swoich goryli. - Przynieście elektrody i lampę lutowniczą.Mówił w dialekcie szanghajskim, lecz Randi ten dialekt znała. Zakręciło jej się w głowie. Zniosłaby ból, ale nawet gdyby ją potem odbito czy gdyby zdołała uciec, tortury niemal na pewno by ją okaleczyły. Miała jednak w zanadrzu jeszcze jedną historyjkę, historyjkę, w którą powinni uwierzyć: postanowiła wydać im Jona.Jon był ranny. Prawdopodobnie ciężko. Wzięła się w garść i zerknęła na niego kątem oka. Był nieprzytomny, już nawet nie jęczał. Zwisał bezwładnie z krzesła na krępujących go sznurach. Ranna, nie mogłaby nic zrobić. Ani dla siebie, ani dla niego. A już na pewno nie dla Firmy czy kraju.Tak, zaczeka, aż tamci przyniosą elektrody, lampę lutowniczą czy inne narzędzia tortur, które Feng miał na składzie. Jeśli zaczną od elektrod, dozna paskudnego wstrząsu, lecz wstrząs ten nie wywoła w jej organizmie poważniejszych szkód. Wytrzyma jakoś drugi, może i trzeci, i dopiero wtedy zacznie mówić. Im więcej zniesie, tym lepiej, bo może wtedy jej uwierzą, Jeżeli zaś zaczną od lampy, będzie musiała zaryzykować i wydać go wcześniej. Ogień zawsze ją przerażał.Wrócili dwaj siepacze, uśmiechnięci, z lampą lutowniczą i elektrodami. Refleks to fizyczna reakcja organizmu zachodząca bez woli człowieka i dopiero ułamek sekundy po tejże reakcji Randi uświadomiła sobie, że Feng uważnie ją obserwuje.- Zapal lampę - rzucił z uśmiechem. - A ty przynieś drugie krzesło. I zdejmij jej sandały.McDermid głośno przełknął ślinę.
- To naprawdę konieczne?
- Tak, tajpanie - odparł lekko poirytowany Feng. - Gdy sprawa jest ważna, trzeba ubrudzić sobie ręce. Nawet uwalac je krwią.

Przynieśli krzesło. Feng chwycił Randi za ramiona i chociaż zwiśla mu bezwładnie na rękach, dźwignął ją bez wysiłku jak słomianą kukłę i posadził. Jeden z Chińczyków podpalił lampę, drugi ściągnął jej sandały. - Nie! - krzyknęła po mandaryńsku. - Nie! Powiem wam! To on mnie wynajął. - Wskazała wciąż nieruchomego Jona. - Bałam się powiedzieć. Pobilibyście mnie jak jego. Ale... to on! Zapłacił mi, powiedział, żebym szła za tym panem i zapamiętała, dokąd idzie, co robi i z kim rozmawia. To wszystko on, ten zagranicznik! Potrzebowałam pieniędzy. Moja matka i ojciec są starzy. Nie mają lekarstw, nie mają co jeść. Dom też jest stary. Trzeba go ciągle naprawiać. Proszę! Nie róbcie mi krzywdy! Paplała tak, jakby przerażenie rozwiązało jej język. McDermid i trzej pozostali spojrzeli na Jona i przez twarz szefa Grupy Altmana przemknął wyraz zrozumienia. Uwierzył jej. Widziała, jak powtarza sobie w duchu: Tak, oczywiście. Dlaczego nie domyśliłem się tego wcześniej? Ale Feng na niego nie patrzył. Feng patrzył na jej stopy. Podeszedł bliżej, chwycił ją za ręce i odwrócił je wnętrzem dłoni do góry. - Feng? - rzucił zdezorientowany McDermid, któremu wyraźnie ulżyło, że lampa nie będzie konieczna. - Co ty robisz? Chińczyk puścił ręce, chwycił Randi za policzek, zadarł jej głowę i przyjrzał się uważnie jej twarzy, oczom i włosom. Palce miał długie i twarde, a jego paznokcie wpiły się jej w czoło i skronie niczym stalowe szpony. Ścisnęło ją w żołądku. - Boli! - zapiszczała. - Siedź; Nie ruszaj się. Nagle ucisnął jej czoło tuż poniżej linii włosów. Szarpnął i w ręku została mu czarna peruka, spod której wychynał obcisły czepek. - Feng! - krzyknął oszołomiony McDermid. Feng ściągnął czepek i wysypały się spod niego długie blond włosy. Stojący z tyłu Chińczycy głośno sapnęli, jakby zobaczyli cud. - Ona nie jest Chinką! - wykrztusił McDermid. Głupia konstatacja.

- Nie - odrzekł Feng, nie odrywając wzroku od twarzy Randi. – Nie jest.
- Ale jak...
- Jej stopy. Wieśniacy prawie przez całe życie noszą sandały, a ona nie ma przerwy między palcami. - Przyglądał się jej z podziwem. – Ręce postarzano jej po mistrzowsku, pewnie lateksem. Na policzkach też ma lateks, stąd skośne oczy. Nosi szkła kontaktowe i podmałowano jej skórę, pewnie jakimś trwałym barwnikiem. Niezwykłe dzieło techników wywiadu, robota prawdziwych ekspertów.
- Wszyscy patrzyli na Randi, jak patrzy się na egzotyczne zwierzę w zoo. A ją ogarnął strach. Gorączkowo myślała. Już nie uwierzą, że wynajął ją Smith. Feng wydedukował, że pracuje dla agencji wywiadowczej, i nikt go nie przekona, że jest inaczej. Wiedziała, że musi to uwzględnić, cokolwiek teraz wymyśli. Złana potem, analizowała i odrzucała opcję za opcją. Musiała wpaść na coś, w co uwierzy, odegrać wiarygodną scenkę, którą dałaby radę... - A więc cóż - zaczął Feng głosem, który prawie nigdy się nie zmieniał, co sprawiało, że był jeszcze bardziej przerażający. - Nie jesteś Chinką, ale mówisz po mandaryńsku lepiej ode mnie, po kantońsku i w dialekcie Szanghajskim też. Prawda? Jesteś Angielką. Zrozumiałaś każde słowo, które tu wypowiedzieliśmy. Od samego początku miałaś nad nami prze wagę. Jesteś dobrze wykształcona. Pracujesz w dużej organizacji o globalnych interesach, która zatrudnia agentów władających wieloma językami. Bo widzisz, nawet ten tu, nasz amerykański przyjaciel, nie umie mówić po chińsku. Ale on nie pracuje w CIA. Najprawdopodobniej zwerbowano go do specjalnej misji i przydzielono mu do towarzystwa zawodową agentkę. Tak? No i oczywiście agentką tą jesteś ty. Randi podjęła decyzję. Pogardliwie wykrzywiła usta i z

obrzydzeniem w głosie odrzekła: - Nie obrażaj mnie. Mówiła po rosyjsku. McDermid wybałuszył oczy i cofnął się o krok, jakby ktoś dał mu w twarz. Feng zamrugał.

- Masz rację - mówiła dalej. - On nie pracuje w CIA. Kim dokładnie jest, nie mam pojęcia, tak samo jak wy. - Musiała utwierdzić ich w przekonaniu, że słusznie rozumują. To mogło ich zmylić. - Ale tak, chciałabym wiedzieć. Przydałoby mi się. Później.
- Co ona mówi? - wybełkotał McDermid i zmarszczył brwi, gdy Feng przetłumaczył jej słowa na angielski. - Rosjanka? Dlaczego łążą za mną Rosjanie?
- Randi przeszła na silnie akcentowaną angielszczyznę.
- Nie tylko Grupa Altmana handluje bronią.
- A co? - McDermid natychmiast zwietrzył pieniądze. - Rosyjski wywiad chce ubić ze mną jakiś interes? Kreml szuka współników? - Robił już dobre interesy z Rosjanami, ale Moskwa ostatnio spazerniała, żądała za dużej działki.
- - W dzisiejszej Rosji niektórym żyje się dostatnio. McDermid zmrużył oczy. - Ty nie pracujesz dla rządu. Ty pracujesz na własną rękę. Może dla któregoś z waszych oligarchów. Dla kogoś, kto chce się dowiedzieć, jakie prowadzimy tu interesy. Randi powoli kiwnęła głową, jakby nie chciała się do tego przyznać. - Robimy, co się da. Mój ojciec pracuje w GRU. Do wygodnego życia łatwo przywyknąć. GRU, wywiad wojskowy dawnego Związku Radzieckiego. Feng odchrząknął. - Czy ten oligarcha ma jakieś nazwisko? - Możliwe. - Randi uniosła brew i spojrzała na McDermida. Feng poszedł za jej wzrokiem, ale zaraz ponownie spojrzał na nią.
- Nie wierzę ci. Przyjechałaś do Hongkongu, bo pan McDermid załatwia tu coś, co cię interesuje? Jakiś interes? Kontrakt na broń?
- Przestań, Feng. - McDermid miał już tylko dolary w oczach. Rosja wciąż posiadała broń, na którą było duże zapotrzebowanie, zwłaszcza w krajach Trzeciego Świata. I chociaż rosyjscy oligarchowie, ci dyktatorzy i samozwańczy królowie, krzyczeli, że są biedni, zawsze potrafili skądś wytrzasnąć gotówkę, gdy chodziło o broń i amunicję. Jeśli więc ta kobieta miała dostęp do prywatnego magazynu, w którym spoczywał sprzęt zrabowany z topniejących zapasów rządowych... - Musimy pogadać.
- Feng nie odrywał oczu od twarzy Randi, szukając w niej czegoś, czego nie potrafił dokładnie określić. Potem przeniósł wzrok na Smitha. Smith wciąż siedział bezwładnie na krześle. Chińczyk ponownie spojrzał na Randi. - Feng - powtórzył McDermid. Feng zerknął na niego, odwrócił się i ruszył do drzwi. McDermid poszedł za nim, posławszy pełen otuchy uśmiech dorabiającej na boku Rosjance z jakże dobrymi koneksjami.

# Rozdział 30

## Hongkong

- 
- 
- Gdy znaleźli się w sąsiednim pomieszczeniu, zadzwoniła komórka. McDermid wyjął ją z kieszeni i przytknął do ucha.
- McDermid.
- Musimy porozmawiać - powiedział spokojny, wytworny głos.
- McDermid zasłonił ręką słuchawkę i spojrzał na Fenga.
- Mam ważny telefon.
- Dobrze. Moi ludzie i tak muszą coś zjeść.
- - To była ciężka noc. Kupcie coś na dole. Dla mnie białe grzanki i kawę. Z cukrem i ze śmietanką. Duńską, jeśli mają. Potem pogadamy o tej Rosjance. Gdy kroki Fenga i jego ludzi zadudniły na drewnianych schodach, McDermid usiadł na pudle z zabawkami dla dorosłych, które przechowywał tu właściciel sex-shopu na parterze.- Mam dobre nowiny - rzucił.- Tak? Jakie? McDermid streścił pobieżnie przebieg ostatnich wydarzeń, opowiadając o schwytaniu Smitha i rosyjskiej agentki.
- Koniec największych problemów. Wszystkie egzemplarze manifestu zostały zniszczone.
- Znakomicie - odrzekł z ulgą kulturalny głos na drugim końcu linii. - Przekazał pan Fengowi informacje o akcji SEAL?
- Tak, już po wszystkim. Feng zadzwonił do kogo trzeba, a ten ktoś uprzedził kapitana łodzi podwodnej. Nic się jeszcze o tym nie mówi?
- Nie, jeszcze nie. Dlatego z przyjemnością udam, że to dla mnie niespodzianka. Biały Dom już wie, że Chińczycy mają się na baczności i nie będzie więcej próbował. Proszę opowiedzieć mi o tej Rosjance. Mówi pan, że pana szpiegowała? Nie podoba mi się to.
- McDermid rzucił garść szczegółów.
- Może się nam przydać. Potem. Wkrótce będę wiedział coś więcej.
- To interesujące, ale skupmy się lepiej na najważniejszym. Jestem w dość niezręcznej sytuacji. Najpierw doprowadźmy tę sprawę do końca...
- W niezręcznej sytuacji? A ja? Co ja mam powiedzieć?
- Co robi pan ze Smithem?
- - Co będzie trzeba. To działka Fenga. Ale najpierw chcę się dowiedzieć, dla kogo ten



człowiek pracuje.

- Jeśli coś się wydarzy, nic o tym nie wiem.
- Naturalnie. Ani ja.
- Ucieszony postępami ich przedsięwzięcia, McDermid schował telefon do kieszeni, rozmyślając o fortunie, którą może mu przynieść znajomość z Rosjanką. Zależnie od tego, co miała do zaoferowania, liczył na to, że na dłuższą metę będzie to kolejny miliard. Usłyszawszy trzask zamykanych drzwi, Randi włożyła sandały i szeptem tak cichym, że nie było go słychać w drugiej części pomieszczenia, powiedziała:
  - Jon, wyciągnę cię stąd. Słyszysz mnie?
  - Jasne. Nie jestem głuchy. Przynajmniej na razie. - Miał tak spuchnięte wargi, że seplenił. - Świetna robota. Jestem pod wrażeniem – dodał z nutką bolesnej wesołości w głosie.
  - Niech cię szlag - syknęła z ulgą i rozdrażnieniem. - Przez cały czas byłeś przytomny!
  - Spokojnie, tylko spokojnie. - Spróbował dźwignąć głowę. - Nie przez cały. Chciałem...
- Randi przytknęła palec do ust, pokręciła głową i gestem ręki kazała mu ponownie znieruchomieć. Wstała i obesła nagi pokój, przyglądając się podłodze, ścianom i sufitowi. Wyglądało to tak, jakby szukała drugiego wyjścia, tymczasem sprawdzała, czy nie ma tam ukrytych kamer i mikrofonów. Ale nie, żadnych kamer nie znalazła, a ściany były stare, dawno nieodnawiane, więc raczej nie ukryto w nich pluskiew. Nic na nich nie wisiało, nic z nich nie sterczało, a oprócz dwóch krzeseł w pokoju nie było ani jednego mebla. Nie miała całkowitej pewności co do podsłuchu, lecz kamer na pewno tam nie zamontowano. Wróciła do Jona.
- Dobra, nie widzą nas i nie znalazłam żadnych mikrofonów, ale na wszelki wypadek mówmy cicho. Ile słyszałeś?
- Prawie wszystko. Wydałaś mnie. Mistrzowska zagrywka, absolutnie mistrzowska. To chyba jedyna historyjka, w którą prawdopodobnie by uwierzyli. Jako Rosjanka też byłaś świetna, a jako błagająca o litość wieśniaczka przeszłaś samą siebie - Masz talent. Nie wiedziałem, że utniesz się tak płaszczyc.
- Dziękuję, od razu cieplej mi na sercu. Sęk w tym, że to niczego nie zmienia, bo nadal tkwimy tu jak w puszcze. Jeśli nie chcesz, żeby przysmażyli ci stopki, a potem pochowali gdzieś na uboczu, lepiej wymyślmy, co zrobić, kiedy tu wrócą.
- Mam nad tobą małą przewagę. Tak świetnie sobie radziłaś, że mogłem spokojnie wszystko przeanalizować. Co wiesz o tym skośnookim? Tym o zwariowanych włosach.
- O Fengu?
- Właśnie. Ponoć tak się nazywa. Feng Dun.
- Jest z Szanghaju. Były żołnierz, partyzant, poszukiwacz przygód. Mało o nim wiadomo, trzyma się w cieniu. Teraz robi za goryla u boga tych biznesmenów.

- Skąd u niego te włosy?
- Rudowłosych Chińczyków jest dużo. Pewnie mają to po przodkach, po jakiejś mniejszości, z którą się zasymilowali. Siwizna to pewnie oznaka starości, jak u nas. Teraz ty. Co wydumałeś, kiedy wiłam się na tej brudnej podłodze, ratując ci tyłek?
- Rzucimy się na nich, damy im w mordę i zwiejemy.
- Plan był tak zły, tak nieadekwatny do sytuacji, że Randi na chwilę zaniemówiła.
- Żartujesz.
- Nie, pomyśl tylko. - Im dłużej mówił, tym bardziej bolały go zmiażdżone wargi. - Co innego możemy zrobić? Za drzwiami jest ich więcej?
- Nie wiem, założyli mi przepaskę na oczy. Pewnie tak, w dodatku nie wiemy nawet, gdzie jesteśmy.
- Owszem, wiemy. A przynajmniej ja wiem. Nadśluchiwałem i chociaż mnie też założyli przepaskę, kilka rzeczy wydedukowałem. Teraz jest ranek, na pewno nie ma jeszcze dziesiątej. Słyszałem krzyki kramarzy, odgłos opuszczanych markiz, ryk i gwizd syren w porcie. Słyszałem też głuchy łoskot głęboko pod podłogą, coś jakby metro. Myślę, że znowu jesteśmy w Wanchai, w domu przy bocznej uliczce niedaleko portu.
- Sądząc po tej norze, w starym domu - dodała Randi. - Jeśli tak, są tu pewnie tylko jedne schody, jedna droga ucieczki.
- Prawdopodobnie tak. Sama widzisz, że nie mamy wyboru. Musimy zaatakować. Dasz radę McDermidowi?
- Jedną ręką.
- Użyj dwóch. I na wszelki wypadek użyj ich szybko.
- Nie ma sprawy. Trzeba załatwić to błyskawicznie, zanim nadbiegną ich kumple. Dasz radę? Strasznie cię pobili.
- Bywało, że czułem się lepiej. Najważniejsze, że kości mam całe. Nie martw się. Strach przed śmiercią to świetny bodziec, postawi na nogi każdego.
- Przyjrzała mu się uważnie i kiwnęła głową. Dobrze znała tę zawziętą minę.
- Ty tu jesteś lekarzem.
- Poluźnij węzły i sznury, ale tak, żeby wyglądały jak napięte.
- Spieszyła się i palce miała jak z drewna. Ona rozwiązywała węzły, on mówił:- Będą cię wypytywać o kontakty. O to, czego tu szukasz. Co twój handlarz ma do sprzedania, co chce kupić i tak dalej. Musisz przykuć ich uwagę, zwłaszcza Fenga. Skończyła. Sznury wciąż były na miejscu i robiły wrażenie napiętych.
- Dzięki za radę. W życiu bym na to nie wpadła.

- Puścił tę uwagę mimo uszu.
- Feng będzie miał broń. Muszę go zaskoczyć...
- To zaskocz, byle za pierwszym razem.
- Wiem.
- W zamku szczęknął klucz. Jon momentalnie zwiśł na krześle, uważając, żeby nie ujawnić poluzowanych sznurów. Randi usiadła nonszalancko na krześle, gotowa dobić interesu, jeśli McDermid zaproponuje odpowiednią cenę. Jako pierwszy wszedł McDermid. Za nim Feng Dun, niespiesznie, z podejrzliwie pogardliwą miną. Nie podobało mu się, że Rosjanka tak zaciekawiła McDermida. Miał gdzieś jego interesy, poza tym jej nie ufał. Była za bardzo wygadana. No i nie sprawdzili jeszcze, czy jest tą, za którą się podaje. Przeoczenie. Miał zamiar szybko je naprawić. Spod prawie zamkniętych powiek Jon widział jego twarz. Chociaż Chińczyk był trochę rozkojarzony, wciąż zerkał w jego stronę. McDermid podszedł prosto do Randi. - Dobrze, porozmawiajmy o pani znajomych. Chciałbym... - Chwileczkę - przerwał mu Feng. - Najpierw coś sprawdzę. Szarpnął Jona za włosy i podniósł mu głowę. Smith jęknął i z rozchylonych ust pociekła mu ślina. Bez ostrzeżenia Chińczyk uderzył go na odlew w twarz. Jon drgnął i osunął się tak bezwładnie, tak ciężko, że Feng musiał mu podtrzymać głowę, by wolną ręką sprawdzić napięcie sznurów na piersi. Próbuując zachować lekceważącą obojętność, Randi zeszywniała ze strachu. Ale nie, sznury wytrzymały. Owinęła go nimi kilka razy, poza tym Jon napiął pierś, żeby się nie ześlizgnęły. Rozluźniając mięśnie, poluzuje sznury, a wtedy szybko się z nich wypłacie. - Skończyłeś? - spytał niecierpliwie McDermid i nie czekając na odpowiedź, skupił uwagę na Randi. - Chcielibyśmy... Jak pani na imię?
- Ludmiła. Ludmiła Sakkow. - Ruchem głowy wskazała Fenga. - A on?
- Nie musisz tego wiedzieć... Rosjanko. Jeśli w ogóle jesteś Rosjanką. - Feng otaksował ją spojrzeniem od stóp do głowy. - Kiedyś walczyłem z Rosjanami...
- W tym samym momencie krzesło runęło z trzaskiem na podłogę i Jon zaatakował. Poszło mu dużo szybciej, niż się spodziewał: wypuścił powietrze, rozluźnił mięśnie i czując, że sznury puszczają, błyskawicznie wstał i grzmotnął Fenga pięścią w szczękę. Chińczyk głucho stęknął. Głowa odskoczyła mu do tyłu i na bok. Siła uderzenia rzuciła go na McDermida. Byłby na niego wpadł, gdyby McDermid jeszcze tam stał. Ale on leżał już nieprzytomny na podłodze. Powaliły go dwa potężne ciosy karate „Rosjanki”, która wyrosła przed nim jak spod ziemi. Feng potknął się o jego nogi i upadł. - Jon! - krzyknęła Randi. Feng potrząsnął głową i sięgnął pod marynarkę. Oboje spostrzegli, że ma tam pistolet, lecz byli za daleko, żeby wytrącić mu go kopniakiem. Chińczyk przetoczył się na plecy, wycelował z obu rąk i w tym samym momencie za drzwiami zadudniły kroki. Nadciągali jego ludzie. Randi i Jon znaleźli się w pułapce. - Okno! Jon odwrócił się, omal nie upadł z bólu, ruszył biegiem, skoczył na zasłonę i wykorzystując ją jako tarczę, rozbił okno. Z głośnym trzaskiem pękającego drewna i brzękiem szkła wypadł na zewnątrz. Bez chwili namysłu Randi poszła w jego ślady. Pokój mieścił się na drugim piętrze domu z lat trzydziestych. Randi przeraźliwie krzyknęła i runęła w otchłań. Młócili powietrze rękami i nogami, chwytając się po drodze wszystkiego, co tylko mogli złapać. Spadli na grubą płócienną markizę. Nareszcie bezpieczni, spojrzeli na siebie z ulgą, gdy wtem markizą zatrzęszczała. Na

czworakach dopadli stalowej ramy, która wygięła się, lecz wytrzymała. Z okna nad nimi buchnął wrzask i w tym samym momencie płótno pękło. Znowu spadli, ale tuż pod pierwszą markizą była druga, mniejsza i krótsza, osłaniająca okno. Wylądowali na niej, zsunęli się i tym razem trafili na parasol kramarza sprzedającego omlety. Parasol momentalnie pękł. Upadli na chodnik tuż przy wózku. Kramarz zaczął wrzeszczeć, a oni leżeli oszołomieni, niemal półprzytomni. Ludzie szykowali się do nowego dnia pracy. Samochody dostawcze dudniły wąską ulicą, parkowały przy chodniku i blokowały prawie całą jezdnię. Przechodnie przystawali, żeby popatrzeć na dwoje Europejczyków, którzy spadli z nieba, zwłaszcza na nią, na blondynką w chłopskim ubraniu. Wokoło rozbrzmiewał wielojęzyczny gwar - niektórzy pokazywali do góry, próbując wyjaśnić to niezwykle wydarzenie. Jon znowu miał zakrwawione usta i twarz, krew sączyła mu się z wystrzępionej dziury w spodniach. Poruszył rękami i nogami. Bolały go wszystkie mięśnie, ale kości miał całe. Randi wylądowała na plecach. Z trudem łapiąc powietrze, próbując normalnie oddychać, szybko przeprowadziła remanent urazów, ale o dziwo, okazało się, że nie odniosła żadnych. Usiedli niemal jednocześnie. Gdy zamknął się wokół nich krąg gapiów, po raz drugi wymienili pełne ulgi spojrzenia, choć były to spojrzenia ludzi do cna wyczerpanych. Wiedzieli, że to jeszcze nie koniec, że Feng Dun i jego ochroniarze pewnie biegną już na dół. Z trudem wstali. - Tam, do tej uliczki - rzuciła Randi. Jon tylko kiwnął głową; nie mógł mówić. Przepchnęli się przez tłum i pokuśtykali przed siebie. - Randi! Tutaj! - Na zderzaku czarnego buicka stał Allan Savage, Dziki. Zdenerwowany, rozpaczliwie wymachiwał rękami. Dwaj inni członkowie jej zespołu już biegli w ich stronę. Agent Baxter podtrzymał Jona i poprowadził go do samochodu.

- Kto to jest?
- Nie pytaj. Zapakuj go do wozu. Szybko!
- Kątem oka Smith dostrzegł Fenga, który wypadł przed sex-shop, rozglądając się na wszystkie strony. Tuż za nim wybiegli jego ludzie. Wszyscy czterej trzymali w ręku broń. Gapie zobaczyli ich i rozpierzchli się z krzykiem po ulicy. Jon szedł krok za krokiem, ledwo powłóczył nogami. Randi zwała się na tylne siedzenie, Baxter wepchnął Smitha do środka. Huknęło kilka wystrzałów. Przechodnie uciekali szukając schronienia. Siedzący za kierowcą Dziki i tłoczona się obok Randi agentka odpowiedzieli ogniem z uzi. Gdy Feng Dun i jego ludzie wskoczyli do bramy, Dziki wrzucił jedynkę i dał gaz do dechy. Zapiszczały opony. Buick skręcił za róg i już go nie było. Kryjówka CIA mieściła się w trzypiętrowej kamienicy przy Lower Albert Road w śródmieściu. Gdy buick wjechał w alejkę na tyłach domu, rozsunęła się betonowa ściana i samochód zniknął w środku. Cały parter przerobiono na zakamuflowany garaż, a na pierwszym piętrze urządzono biura towarzystwa ubezpieczeniowego, gdzie przez cały dzień było pełno ludzi załatwiających zupełnie legalne interesy. Towarzystwo przynosiło mały dochód, co cieszyło szefową CIA oraz kongresmanów i senatorów z komisji do spraw wywiadu. Na pierwszym piętrze była izba pierwszej pomocy medycznej. Opłacany przez CIA lekarz z Hongkongu, rodowity Amerykanin, zbadał ich, obejrzał rany i prześwietlił przenośnym rentgenem. - Ależ z ciebie farciara, dziewczuszko - powiedział po zbadaniu Randi. Dziki i pozostali członkowie zespołu aż się skrzywili, widząc minę szefowej i oczekując najgorszego - dla lekarza rzecz jasna. Ale ku ich zdumieniu Randi tylko łypnęła na niego spode łba i dała mu spokój. Lekarz, który spodziewał się przynajmniej uśmiechu, popatrzył na nią skonsternowany i szybko zajął się Jonem. A z Jonem było znacznie gorzej.

- Zmasakrowana twarz, posiniaczone boki... - Zrobił mu prześwietlenie i ze zdumieniem stwierdził, że poza siniakami Smith nie odniósł żadnych poważniejszych urazów. - Tylko ta twarz. Mocno pana pobili. Powinien pan pójść na zwolnienie. Na tydzień. Co najmniej na trzy, cztery dni. Otarcia, popękane wargi... Może pan złapać jakąś infekcję.
- Przykro mi, doktorze, ale nic z tego - wyseplenił Jon. - Mam coś do zrobienia. Niech pan mnie opatrzy i naszpikuje jakimś antybiotykiem. Chętnie wziąłbym też coś na ból.
- Po wyjściu lekarza zorganizowali lunch.- Przepraszam, że się spóźniliśmy - powiedział Dziki. - Tommie jechała za wami aż do tej ulicy, ale tam was zgubiła. Nie widziała, dokąd cię zabrali. Właśnie przeczesywaliśmy dom po domu, kiedy nagle wyleciałaś przez okno. Cholernie ryzykowne. Skąd wiedziałaś, na którym piętrze jesteście i co jest pod oknem?- Mnie nie pytaj. - Ruchem głowy wskazała Jona. - To był jego pomysł. Ja tylko za nim pobiegłam. - Włożyła sobie do ust porcję jajecznicy na boczku. Smith wzruszył ramionami.- Domyśliłem się, że to stary, niski dom. Zresztą nie mieliśmy bronii. Feng miał, za drzwiami czekali jego ludzie, więc nie było nawet czasu, żeby zaatakować ich krzesłami. Mieliśmy do wyboru albo okno, albo kulę. Dziki i reszta wymienili spojrzenia.
- Kto to jest, do cholery? - mruknęła Tommie.
- Przedstawiam wam pułkownika Jona Smitha. Jon bez „h”, nie John. Pan pułkownik pracuje w Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych. Co robi poza tym, pozostaje kwestią spekulacji i domysłów. Prawda, kochanie?
- Randi wszędzie wietrzy spisek i znowę. - Jon uśmiechnął się niewinnie. Środki przeciwbólowe zaczynały działać i poczuł się o wiele lepiej. Twarz miał oblepioną plastrami, jego dolna warga wyglądała dość paskudnie, mimo to uznał, że mogło być gorzej. Teraz potrzebował tylko kilku godzin spokojnego snu.
- - My też - odparł Dziki, sondując go wzrokiem. Smith westchnął.- Jestem mikrobiologiem i pracuję w Fort Derick. Czasem wysyłają mnie w teren z misją specjalną. Zwłaszcza kiedy chodzi o nowe wirusy. I na tym poprzestańmy, dobrze? Tommie zmarszczyła brwi i podejrzliwie błysnęła oczami. Miała długie do ramion brązowe włosy i słodką twarz zadziornego urwisa, z której emanowała inteligencja.
- A jakiegoż to wirusa wykryto ostatnio w Hongkongu, panie pułkowniku?
- Żadnego, ale w Chinach tak - zełgał. - Bada go Donk LaPierre. Rząd chce dowiedzieć się czegoś więcej.
- Czyj rząd, panie pułkowniku? - drażyła podejrzliwie Tommie.
- Jednego jestem pewna - przerwała im Randi. - Jon jest po naszej stronie.
- Smith już przygotowywał ciętą ripostę, gdy przez otwarte drzwi zajrzał Baxter.- Odezwała się pluskwa, którą zainstalowaliśmy wczoraj w gabinecie McDermida. Ktoś do niego dzwoni. Zerwali się z krzesel i przebiegli korytarzem do pomieszczenia na zapleczu, ciasnego pokoju zastawionego różnego rodzaju sprzętem elektronicznym, instrumentami i urządzeniami. Randi i Jon przepchnęli się do notebooka, z którego popłynął głos kobiety mówiącej po

angielsku z lekkim akcentem.- Pan McDermid?

# Rozdział 31

## Hongkong

- 
- 
- Od powrotu z miasta McDermid to się martwił, to denerwował. Przeglądając umowę kupna podupadającej azjatyckiej firmy inwestycyjnej, cały czas myślał o porannej klęsce, o ucieczce Smitha i tej kobiety. Był na siebie zły, że tak łatwo dał się jej podpuścić, że nie sprawdził nawet, czy jest Rosjanką, i zły na Fenga, że ten nie docenił Smitha. Mimo to sytuacja była jeszcze do uratowania. To prawda, że oboje uciekli i że Smith był niebezpieczny, ale w sumie nie stało się nic złego. Smith nie udowodni, że „Cesarzowa” przewozi nielegalne chemikalia. Nie, żadnym sposobem. A Feng w końcu dopadnie go i zabije. Miał swoich ludzi nawet tutaj, w Hongkongu. Myśli te podtrzymały McDermida na duchu. Gdy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę i ze zwykłą sobie uprzejmością spytał:
  - Tak, Lawrence?
  - Dzwoni jakaś pani, panie dyrektorze. Na drugiej linii. Chyba młoda i... hm... atrakcyjna.
  - Młoda? I atrakcyjna? Cóż. - Nie spodziewał się żadnych telefonów, ale telefon od młodej, w dodatku atrakcyjnej kobiety natchnął go optymizmem. - Połącz mnie, Lawrence, połącz.
  - Właśnie poprawił krawat, jakby nieznajoma mogła go widzieć, gdy usłyszał jej głos. Mówiła sztywną, wymuskaną angielszczyzną.
  - Pan Ralph McDermid?
  - Winny, moja droga, winny stawianych mu zarzutów. Czy my się znamy?
  - Może. Jest pan prezesem i dyrektorem naczelnym Grupy Altmana?
  - Tak, tak.
  - Donk LaPierre należy do pańskiej korporacji?
  - Jesteśmy holdingiem finansowym i należy do nas wiele firm. Ale dlaczego...
  - Nie znamy się, ale myślę, że niebawem będziemy mieli okazję się poznać, Przynajmniej... hm, w przenośni.
  - McDermid poczuł, że wraca mu zły humor. Ta kobieta proponowała mu potajemną schadzke!- Jeśli dzwoni pani w interesach, proszę zatelefonować do sekretariatu, powiedzieć, o co chodzi, i umówić się na spotkanie. A jeśli sprawa dotyczy firmy Donk LaPierre, proponuję, żeby zwróciła się pani bezpośrednio do niej. Życzę miłego dnia.- Dzwonią w sprawie „Cesarzowej”, panie prezesie. Proszę mi wierzyć, że wolałby pan rozmawiać z nami bez żadnych pośredników. McDermid uniósł brwi. - Co takiego?
  - Na wypadek gdyby pan zapomniał, „Cesarzowa” to nazwa statku. Chińskiego masowca, który płynie teraz do Basry. Przypuszczamy, że jej ładunkiem bardzo interesują się Amerykanie.

Chińczycy prawdopodobnie też.

- Proszę powiedzieć, czego pani chce. Może skorzystamy na tym oboje.
- - Cieszy mnie, że mówi pan o obojmu korzystnych interesach. McDermid stracił cierpliwość.
- Niech pani przestanie mówić zagadkami! Chce pani, żebym pani wysłuchał? To proszę jaśniej. Jeśli nie, niech pani nie zabiera mi czasu! - Z biegiem lat nauczył się, że atak jest najlepszą formą obrony.
- „Cesarzowa” wypłynęła z Szanghaju na początku września. Ma w ładowni wiele ton tioglikolu do produkcji gazów pryszczących i chlorku tonylu do produkcji gazów pryszczących i atakujących system nerwowy. - Kobieta mówiła spokojnie, ze złowieszczą nutką w głosie. - Czy to wystarczy, panie prezesie, dyrektorze naczelny i założycielu Grupy Altmana?
- McDermida zatkąło. Wcisnął przycisk nagrywania. Wcisnął drugi, wezwał Lawrence i ostrożnie spytał: - Dokładnie kogo pani reprezentuje i czego pani chce? Do gabinetu weszła Lawrence. Dał jej znak, żeby kazała namierzyć jego rozmówczynię, i prawie nad sobą nie panując, warknął:
- Kim pani jest, do diabła i właściwie dlaczego muszę z panią rozmawiać?
- Nazywam się Li Kuonyi, panie dyrektorze. Moim mężem jest niejaki Yu Yongfu. Jak pan zapewne pamięta, Yu jest prezesem i przewodniczącym zarządu Latającego Smoka. To bardzo inteligentny człowiek. Tak inteligentny i przewidujący, że zachował egzemplarz manifestu okrętowego „Cesarzowej”. Właśnie mam go przed sobą.
- 
- O cholera! - wykrzyknął znad komputera Jon, zanim zdążył się powstrzymać.
- Baxter, Tommie i cała reszta spojrzeli na niego jak jeden mąż.
- Jon? - spytała Randi. - Coś o tym wiesz?
- Smith machnął ręką.
- Potem. Cicho. Słuchajcie.
- McDermid musiał doznać nie lada wstrząsu, bo długo się nie odzywał. W końcu miał dość.
- Pani mąż spalił manifest i popełnił samobójstwo. To wielka tragedia, jak powiadają. Nie wiem, w co pani gra, ale...
- Powiedziano panu, że mój mąż popełnił samobójstwo, żeby ratować rodzinę, że zrobił to na rozkaz mojego ojca i polityków najwyższego szczebla. Powiedziano panu również, że spalił manifest, strzelił sobie w głowę, i runął do rzeki. To wszystko kłamstwo. Yu spalił bezwartościowy świstek papieru i owszem, wystrzelił, tak. Wpadł też do rzeki, rzecz w tym, że



pistolet był nabity ślepakami. Feng widział zwykłą maskaradę, teatralne przedstawienie. Sama je wyreżyserowałam.

- To niemożliwe!
- Czy znaleziono ciało?
- Z Jangcy nie wyłowiono wielu zwłok.
- Zna pan głos mojego męża?
- Nie.
- Ale Feng Dun zna go na pewno.
- Fenga tu nie ma.
- Naturalnie nagrywa pan naszą rozmowę, prawda?
- McDermid zerknął na telefon.
- Tak - odrzekł po chwili.
- W takim razie proszę posłuchać.
- Odezwał się męski głos:- McDermid? Mówi Yu Yongfu. P rzypomnij temu zdrajcy Fengowi, że kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, zaproponowałem mu premię. Opowiedział mi o śmierci tego amerykańskiego szpiega, Mondragona, na Liuchiu i o drugim Amerykaninie, który uciekł i widziano go potem w Szanghaju. Powiedz Pengowi, że na nieszczęście dla niego Li Kuonyi jest nie tylko moją żoną, ale i współniczką w interesach i że nigdy nie miałem przed nią żadnych tajemnic. Nigdy. To ona doradziła mi, żebym zatrzymał ten manifest, i to ona wyreżyserowała moje samobójstwo. Wszyscy uważają, że, jest inteligentniejsza ode mnie, ale to nieprawda. Ja też jestem inteligentny. Ostatecznie namówiłem ją, żeby za mnie wyszła. Ponownie odezwała się kobieta.
- Niech pan puści to nagranie Fengowi. A teraz porozmawiajmy o interesach.
- Dlaczego nie z pani mężem?
- Dlatego że jako negocjatorka jestem bystrzejsza i twardsza od niego. Yu dobrze o tym wie.
- McDermid chyba się nad czymś zastanawiał, bo długo nie odpowiadał.
- Albo już nie żyje, a pani odegrała mi taśmę z jego głosem. .
- Dobrze pan wie, że tak nie jest. A nawet gdyby, jakie to miałoby znaczenie? Mam manifest okrętowy „Cesarzowej”, a pan go chce.
- A pani? Czego chce pani?
- Pieniędzy na nowe życie daleko od Chin, dla mnie, dla mojego męża i dzieci. Ale nie żądam czegoś, co zabolaloby pana bardziej niż ugryzienie komara. Jestem rozsądna. Wystarczą mi dwa miliony amerykańskich dolarów.

- - Tylko tyle? - spytał z sarkazmem McDermid. Li nie zwróciła na to uwagi. - Dwa miliony dolarów, paszporty, dokumenty podrózne i wizy wyjazdowe. Papiery najlepszej jakości. McDermid ponownie zamilkł, rewidując swoje zastrzeżenia.
- I za to dostanę manifest?
- Tak, już mówiłam.
- A jeśli nie dam pani pieniędzy i dokumentów?
- Zamiast do pana, manifest trafi do Ameryki i do Chin. Osobiście tego dopilnuję, tak jak osobiście zaaranżowałam samobójstwo męża. Oryginał wyślę do Waszyngtonu, kopię do Pekinu.
- Jeśli Yu Yongfu naprawdę żyje - odparł ze śmiechem McDermid - dobrze wie, że to niemożliwe. Że nigdy do tego nie dojdzie. A jeśli jakimś cudem dojdzie, będzie po nim. I po pani.
- Chętnie zaryzykujemy, panie prezesie - odrzekła Li z powagą w głosie. - A pan? Biały Dom i Zhongnanhai otrzymają manifest i dowiedzą się całej prawdy o „Cesarzowej”. Chce pan zaryzykować?
- McDermid znowu się zawahał. Życie jest pełne niespodzianek, w tym nieprzyjemnych. Ta była bardzo nieprzyjemna i najeżona tyłoma niebezpiecznymi reperkusjami, że po prostu nie mógł tej kobiety zbyć.
- Niby jak mielibyśmy skonsumować tę umowę?
- Pan albo pański przedstawiciel dostarczy nam pieniądze i dokumenty. My damy wam w zamian manifest.
- Ma mnie pani za głupca, madame Li? - odparł ze śmiechem McDermid. - Jaką mam gwarancję, że go dostanę, jeśli w ogóle istnieje?
- My też nie jesteśmy głupcami, panie dyrektorze. Tak gdybyśmy spróbowali pana oszukać, na pewno by nas pan ścigał. Ale nie jest pan przestępcą, który wygrywa na strachu. Kiedy dostanie pan manifest, a my wyjedziemy, przestanie panu zależeć na naszej śmierci. Nie będziemy wari ani zachodu, ani pieniędzy, ani czasu, który musiałby pan poświęcić, żeby nas znaleźć i zabić. Lepszy pieniądz wypiera gorszy.
- Musiałbym to dokładnie przemyśleć.
- - Nad czym tu myśleć? Zrobi pan to, i tyle, nie ma pan wyboru.
- Gdzie doszłoby do wymiany?
- Przy Śpiącym Buddzie w Dazu, w prowincji Sichuan.
- Kiedy?
- Jutro o świcie.
- Dzwoni pani z Dazu?

- Myśli pan, że tak od razu bym panu powiedziała? Nieważne, gdzie jesteśmy. Na pewno kazał pan mnie namierzyć i już wkrótce się pan dowie. Niech pan wyrabia w sobie cierpliwość, panie prezesie. To cecha ludów Wschodu, którą wy, ludzie Zachodu, powinniście sobie przyswoić.
- McDermid musiał zagrać na czas. Musiał puścić taśmę Fengowi i kazać mu sprawdzić, czy ludzie ci są tymi, za których się podają. To po pierwsze. Po drugie, jeśli nimi byli, musiał wysłać tam Fenga, żeby spróbował zlikwidować ich przed spotkaniem.- Czy wie pani, która jest teraz godzina? Jeżeli jest pani tak inteligentna, jak pani twierdzi, i jeśli Yu Yongf u jest naprawdę pani mężem, powinna pani wiedzieć, że zebranie dwóch milionów dolarów w gotówce i dojazd z Hongkongu do Dazu musi trochę potrwać. Poza tym chciał bym, żeby Feng to wszystko potwierdził.Dobiegł go cichy szept, odgłosy gorączkowej narady. Ci ludzie byli mniej pewni siebie, niż myślał.- Przyjedzie pan osobiście? Do Chin?Nie zamierzał nigdzie jechać.- Szanowna pani, skoro myśli pani, że powierzyłbym Fengowi dwa miliony dolarów w gotówce, to go pani nie zna.Chwila ciszy.- Dobrze. Dwa miliony dolarów w gotówce, paszporty, papiery podrózne i wizy wyjazdowe. Pojutrze o świcie. Koło Śpiącego Buddy w Dazu. - Li Kuonyi odłożyła słuchawkę.Lawrence wystawiła głowę zza drzwi. Była uśmiechnięta.- Mamy ją. Jest w Urumqi.

## 16 września, sobota Waszyngton

- Była późna noc i przystań na Anacostii już dawno opustoszała. Siedząc w swoim pustelnicznym gabinecie, Fred Klein spojrział na zegar po raz dziesiąty w ciągu ostatniej godziny. Spojrział i szybko obliczył: jeśli tutaj jest północ, w Hongkongu jest już południe nazajutrz.Gdzie, do diabła, przepadł ten Smith? - myślał zdenerwowany. Zahuścił się na krześle. Z wieloletniego doświadczenia wiedział, że powodów jego zniknięcia może być tysiąc, od korków ulicznych poczynając, poprzez awarię metra, na dziwacznych przypadkach czy klęskach żywiołowych kończąc. Ale istniała też możliwość, że nakryto go i zastrzelono. Nie chciał o tym myśleć, lecz nie mógł się powstrzymaćPonownie spojrział na zegar. Gdzie on...Zadzwoił telefon. Niebieski telefon na półce za biurkiem. Klein gwałtownie podniósł słuchawkę.
- Jon?
- Nie, to nie Jon. Nie wiem, kim jest, ale mam nadzieję, że nie zaginał.
- Przepraszam, Wiktorze.
- Klein spróbował ukryć rozczarowanie. Zebrał myśli. Wiktor Agahemian, były radziecki inżynier hydrotechnik, obecnie Ormianin, mieszkał i pracował w Moskwie. Ponieważ jego firma współuczestniczyła w budowie gigantycznej tamy na Jangcy, miał papiery, dzięki którym mógł podróżować po całych Chinach. Był też jednym z pierwszych rekrutów Kleina i jako agent Tajnej Jedyńki działał w Azji, głównie w Chińskiej Republice Ludowej.
- Nawiązałeś kontakt? - spytał Klein.
- Tak. Chiavelli melduje, tu cytat: „Staruszek chyba nie zmyśla. Jest w dobrej formie fizycznej. Okolica wiejska, kiepska infrastruktura, posterunki i bazy wojskowe nieliczne i rozrzucone, prymitywne lotniska. Potencjalny opór od średniego do minimalnego. Szacowany

czas akcji: dziesięć do dwudziestu minut. Rokowania: obiecujące". To tyle, Fred. Zamierzasz go ewakuować?

- Co sądzisz o takiej operacji?
- Trochę rzuciłem tam okiem. Kapitan Chiavelli może mieć rację. Ale cóż, nie widziałem więźnia.
- Dzięki, Wiktorze.
- Zawsze do usług. Pieniądze przyjdą jak zwykle?
- Gdyby coś się zmieniło, na pewno by cię powiadomiono. – Klein znowu myślał o Jonie.
- Wiem, że to chamstwo, przepraszam. Ale wiesz, czasy są tu ciężkie, w Armenii też.
- Rozumiem i jeszcze raz ci dziękuję. Jesteś prawdziwym profesjonalistą, jak zawsze. - Klein odłożył słuchawkę, myśląc, że raport kapitana Chiavellego można by ewentualnie wykorzystać, jeśli... do diabła, gdzie jest ten Smith?!
- Spojrzał na zegar. Znowu. Zdjął okulary, przetarł oczy i popatrzył na niebieski telefon, pragnąc, żeby wreszcie zadzwonił.

## 17 września, niedziela Hongkong

- Jon odwrócił się na pięcie i rzekł:
- Muszę iść.
- Hej, hola, żołnierzyku! - zakrzyknęła Randi. - Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie dowiem się, co jest grane.
- Jon przystanął. Gdyby nic im nie powiedział, zawiadomiliby Langley i zaczęliby kopać. Tylko ile mógł im powiedzieć bez zdradzania wszystkiego? Niewiele i tym razem nie miał żadnej historyjki, żeby ich zmylić. Nagle zmartwychwstała Li Kuonyi, żona Yongfu, dosta rczyła im zbyt wielu szczegółów, powiedziała nawet o nielegalnym ładunku „Cesarzowej”. Gdyby zdradził im coś więcej, domyśliliby się tego, o czym Li Kuonyi nie wspomniała: celu jego misji.
- Dobrze, będę szczery, ale wszystkiego nie powiem, bo nie mogę. Każdy dysponuje takimi informacjami, jakie samu potrzebne do działania, poza tym mam swoje rozkazy. Jest tak: pracuję dla Białego Domu. Przesłali mnie tu, bo tak się przypadkiem zdarzyło, że byłem na Tajwanie i miałem okazję dostać się szybko do Chin. Wykorzystali okazję, i tyle. Kobieta, której głos przed chwilą słyszeliście, jest żoną człowieka nie zwykle ważnego dla całej sytuacji. Zniknęli, ona i jej mąż. Nie wiedzieliśmy, że zaginał. Muszę natychmiast przekazać to mojemu szefowi.
- O co chodzi z tym statkiem i manifestem? - spytała Randi.
- Tego nie mogę powiedzieć.
- Popatrzyła mu w oczy, sprawdzając, czy nie oszukuje, lecz tym razem zobaczyła w nich jedynie niepokój, co ją zmartwiło.

- Czy to, nad czym pracujesz, ma jakiś związek z przeciekami w Białym Domu?
- Z przeciekami? To twoje zadanie? Dlatego śledziłaś McDermida?
- Tak. U ciebie też wyskoczył?
- Tak. Muszę złożyć meldunek, i to długi.
- Tommie, która niedawno wyszła, wpadła do sali, przeklinając i złorzecząc.- Jechali za nami. Jon, jeśli chcesz iść, lepiej wyjdź przez sąsiedni dom. Sąsiedni i ten następny. Wyjdiesz po drugiej stronie ulicy.
- Kręcą się tam? Kto?
- Feng i jego ludzie. Stoją na rogu, obserwują, ale nie wiedzą, gdzie jesteśmy. Dobre i to.
- Widzą stamtąd boczne drzwi? - Żadna kryjówka nie byłaby kryjówką, gdyby nie miała dwóch czy trzech wyjść awaryjnych.
- Widzą, lepiej zaczekaj.
- Wpuście mnie do jakiegoś pokoju? Muszę zadzwonić.
- Na pewno chcesz zaryzykować? - spytała z miażdżącą pogardą Randi. - Może założyliśmy tam podsłuch i Wszystkiego się dowiemy.
- Jon wolałby niczego przed nią nie ukrywać, tak samo jak ona wolałaby wszystko wiedzieć. Ale cóż. Popatrzył na nich i uśmiechnął się swoim najszczerzym uśmiechem.- Ufam wam. Kurczę, ostatecznie uratowaliście mi tyłek. I dziękuję wam za lekarza, za pyszną jajecznicę i za to drugie wyjście. Przy odrobinie szczęścia kiedyś się wam odwdzięczę.Randi popatrzyła na niego wilkiem, ale po chwili pokręciła głową i teatralnie westchnęła. Nie znosiła mu ulegać, kiedy był taki czarujący.- Co ja z tobą mam, Jon. Wieczne utrapienie. Cóż, dobra. Chodź, zaprowadzę cię.

# Rozdział 32

- Byli sami w luksusowym gabinecie McDermida, wśród muzealnych obrazów i waz z dynastii Ming. Feng siedział na krześle naprzeciwko biurka. Miał twarz pozbawioną emocji.- Przywarowali gdzieś. Paru swoim ludziom rozkazał ich ścigać, pozostali mieli zostać i przepytać gapiów. Tym sposobem dowiedział się, że jakiś Amerykanin, w każdym razie mężczyzna mówiący z amerykańskim akcentem, krzyknął coś z czarnego buicka. Krzyknął do tej kobiety, nazywając ją Sandy, Mandy albo Randy.
- Co to znaczy, do diabła? - warknął McDermid, z trudem powstrzymując gniew; zaraz miał puścić mu taśmę, na którą nagrał rozmowę z Li Kuonyi.
- To znaczy, że dojechaliśmy za nimi tylko do Lower Albert Road. Tam zniknęli.
- Zniknęli? Kim oni są? Szamanami?
- Muszą mieć tam kryjówkę z zamaskowanym wejściem. Moi ludzie obserwują ulicę.
- Więc oni są jednak z CIA?
- Co do niego, wciąż nie możemy potwierdzić, że pracuje w którejś ze znanych nam agencji wywiadowczych. Co do niej, znamy tylko jej imię, chociaż może to być również nazwisko. W dodatku nie wiemy, czy świadkowie go nie przekręcili. Skontaktowaliśmy się już z naszymi informatorami, może ją zidentyfikują. Wstępnie zakładam, że to agentka CIA. Kimkolwiek są, na pewno wyjdą z nory.
- McDermid nie spodziewał się aż tylu problemów. Dać mu paru typów spod ciemnej gwiazdy albo nieudacznego ministra bez teki, i był w swoim żywiole. Albo jeszcze lepiej nie mającego nic do roboty polityka czy pokonanego senatora, który zaczyna się nudzić, i natychmiast wykorzystaliby ich do ściągnięcia kasy czy do lobbingu na rzecz takiej czy innej ustawy. To było dla niego dziecinną igraszką. Ale nie ładunek „Cesarzowej”. Ładunek „Cesarzowej” to zupełnie inna sprawa. To gigantyczny interes, ukoronowanie jego kariery. Westchnął w duchu. Kłopoty. Ale „Cesarzowa” była tego warta. - Może i wyjdą. Ale na razie zapomnij o Smisie. Posłuchaj tego. - Gdy nagranie dobiegło końca, jego zwykle uśmiechnięta twarz poczerwieniała z wściekłości. - Czy to głosy Li Kuonyi i Yu Yongfu? Zażenowany Feng Dun uciekł wzrokiem w bok. Kiwnął głową.
- Nabrali mnie.
- Nabrali cię! - wybuchnął McDermid. - Tylko tyle masz do powiedzenia? Ty idioto! Yu żyje i ma ten przekłety manifest! Podmienili dokumenty, żebyś widział, jak coś pali, a jego samobójstwo to zwykła maskarada! Skoczył do rzeki, żeby nikt nie znalazł trupa! I strzelił sobie w łeb ze ślepaka! Jak mogłeś być tak głupi!
- Feng milczał. Spojrzał z odrazą na McDermida, lecz natychmiast się opanował.- To ta kobieta. Powinienem był wiedzieć. W tym domu to ona nosi spodnie.- I co? I to wszystko? - szalał McDermid. - Nic więcej nie powiesz? Feng wzruszył ramionami i uśmiechnął się

drewnianym uśmiechem, jak to on.

- Cóż mogę powiedzieć, tajpanie? Li mnie nabrała. Myślę, że nabrała wielu, łącznie ze swoim ojcem. Uwierzył, że Yu nie żyje, tak samo jak ja. Trzeba zrobić wszystko, żeby nie oszukała nas po raz drugi.
- Trzeba zrobić wszystko, żeby zdobyć ten manifest przed Amerykanami!
- I go zdobędziemy. Zadzwoiła najpierw do pana. To dobry znak. Albo myśli, że Amerykanie jej tyle nie dadzą, albo im nie ufa. Nie skontaktuje się z nimi, chyba że nie będzie miała wyboru.
- Skąd ta pewność?
- Amerykanie chcą dobrych stosunków z Chinami, więc gdyby zdobyli manifest, byłoby po kryzysie. Li jest inteligentna i wie, że gdyby Pekin zażądał ich deportacji, chcąc wymierzyć im karę, Biały Dom dostarczył by ich do Chin jak na tacy. Woli dostać pieniądze od pana niż zakładać, że Waszyngton potraktuje ją ulgowo.
- McDermid przemyślał to i nieco ochłonął.- Może i masz rację. Za bardzo by ryzykowali. Dobrze, kupiłem ci trochę czasu. Jedź do Urumqi i znajdź ich. Mało brakowało i Feng wykrzywiłby pogardliwie twarz.
- Nie, tajpanie, na wyjazd do Urumqi bym nie liczył. Czy wie pan, gdzie to jest?
- Szanghaj, Pekin, Hongkong i Chongqing. Tyle. Reszta waszego zacofanego kraju to dla mnie pustynia.
- Słusznie, sporo w tym racji. - Na drewnianej twarzy Fenga wykwitł wyraz szyderczego podziwu. - Mówiłem, że Li Kuonyi jest inteligentna. Urumqi leży w prowincji Xinjiang, na północnym skraju pustyni Taklamakan. Na północ od Hongkongu w Chinach nie ma prawie nic i dotarlibyśmy tam dopiero jutro wieczorem. Ale oni mogą dojechać stamtąd niemal wszędzie, i to w ciągu kilku godzin. W pobliżu Dazu są dwa większe miasta, Chongqing i Chengdu, i mogą dolecieć tam samolotem. Mogę i ja, ale musiałbym się rozdzielić, a to dość trudne.
- Ale zrobisz to. Prawda, Feng? - To nie było pytanie. To był rozkaz.
- Natychmiast polecę do Chongqingu. Znajdę ich czy nie, na wiele godzin przed świtem będę już przed Śpiącym Buddą.
- Chcesz zastawić zasadzkę?
- Naturalnie.
- McDermid znowu wpadł w furję.
- Przecież ta baba się tego spodziewa!
- Spodziewać się zasadzki to nie to samo, co jej uniknąć. Dobrze wszystko zaplanuję i na pewno do mnie przyjdą. Zresztą nie wiem, może ich zaskoczę.
- Niby dlaczego mieliby z tobą rozmawiać?
- Jeśli mam rację, oni boją się i Waszyngtonu, i Pekinu. Wcześniej czy później wyśledzą ich

major Pan i jego tajniacy. Pan i pańskie pieniądze to dla nich najlepsza gwarancja na życie, jakiego pragną dla siebie i swoich dzieci. Dlatego tak, na pewno będą coś podejrzewali, co oznacza, że spróbują się zabezpieczyć. Ale, jak powiedziała Li Kuonyi, nie mają wyboru.

- Obyś tym razem miał rację.
- Drugi raz mnie nie wykiwają. - Fengowi pociemniały oczy.
- Ta kobieta cały czas cię wyprzedza, od samego Szanghaju.
- Dlatego jest zbyt pewna siebie.
- McDermid przeanalizował całą sytuację. Nie był osiłkiem, ale nie należał też do słabeuszy. Mógł dowlec się jakoś do tego Buddy i umiał strzelać. Przeżył Wietnam. Był porucznikiem, a porucznicy służyli w Wietnamie za karmę dla świń. Pobił tych z Waszyngtonu ich własną bronią, został wtyczką doskonałą. Zważywszy na to wszystko, uznał, że manifest „Cesarzowej” jest zbyt ważny, żeby puścić tam Fenga samego. - Pojedziemy razem - zdecydował. - Ty polecisz dziś wieczorem, ja jutro rano. Kogo masz w Pekinie? - Coraz bardziej chciał poznać nazwisko człowieka wpływowego nie tylko na tyle, żeby wysłać za „Crowe'em” okręt podwodny, ale i żeby zmusić jego kapitana do akcji po otrzymaniu niepotwierdzonej informacji o tajnej próbie przejęcia „Cesarzowej” przez oddział SEAL. Feng uniósł brew.
- Nie płaci mi pan za nazwiska. Płaci mi pan za załatwianie spraw.
- Płacę ci za to, co każę ci robić!
- Nić, tajpanie, tyle nikt mi nigdy nie zapłaci. - W głosie Chińczyka zabrzmiała nutka pogardy.
- McDermid łypnął na niego spode łba, ale Feng miał zupełnie beznamiętną twarz. Jak zwykle. Fengowie tego świata byli dla niego drobnymi płótkami, niezbędnymi, lecz bez większego znaczenia. Agenci specjalsi, płatni zabójcy, którzy wychodzili cało z opresji nie tylko dzięki swoim umiejętnościom i wyszkoleniu, ale i dzięki koneksjom - znajdował ich w podziemiu, wśród najemników na całym świecie i zatrudniał od dwudziestu lat. Jeżeli chcieli dostać kolejną robotę, robili wszystko, żeby nie zepsuć poprzedniej.
- Mamy przedstawicielstwo w Chongqing - powiedział wreszcie, dając temu spokój, przynajmniej na razie. - Niech ten twój z Pekinu załatwi mi papiery na służbowy przelot. Muszę je mieć natychmiast.
- A pieniądze?
- Zostaw to mnie.
- - Da im pan dwa miliony dolarów? - Feng był pod wrażeniem. McDermid kiwnął głową. - Bez tego Li Kuonyi nie da się oszukać. Poza tym dwa miliony to nic w porównaniu z tym, co zarobię.
- Nie boi się pan, że pieniądze skuszą mnie i moich ludzi?
- A powinienem? - McDermid zmrużył oczy. - Gdy będzie po wszystkim, dostaniesz wysoką



premię.

- Zawsze sływał pan z hojności. - Cichy głos Fenga był niemal upiorny. - Przygotuję ludzi i załatwię dokumenty, tajpanie.
- McDermid patrzył, jak Chińczyk wychodzi z gabinetu. „Tajpanie”. Znowu zabrzmiała w tym nutka pogardy.

**Dazu**

- Dennis Chiavelli pocił się w niespotykanym jak na tę porę roku upale, ścinając łądygi bok choy i wrzucając je na taczki, które współwięźniowie pchali wzdłuż długich rzędów poletek warzywnych. Praca była wyczerpująca, lecz niewymagająca myślenia i szybko doszedł do wniosku, że ma szczęście: był żołnierzem działającym na tyłach wroga, a nie wieśniakiem, który haruje w polu. Zdawało mu się, że wraz z leciutkim wiatrem dotarł do jego uszu cichutki szept. Z tym że tego dnia nie było wiatru.

- Przenoszą go.
- Kiedy?
- Jutro - rzucił przechodzący obok strażnik. - Wcześniej.
- Dokąd?
- Nie słyszałem. - Jeszcze krok i znalazł się poza zasięgiem słuchu, idąc przed siebie ze starym karabinem, który zwisał mu z ramienia lufą w dół.

- Co się stało? Popełnił jakiś błąd? Gniewnym ruchem ręki ściął kolejną łądygę. Któryś ze strażników wydał Thayera? Nie, gdyby tak było, Thayera już by zabrali, a jego przesłuchali, może nawet zabili. Nie, dobrze pamiętał jego słowa: „Za długo mnie tu więżą, żeby nagle się do tego przyznać”. Niedługo mieli podpisać układ o prawach człowieka i ktoś mógł nagle zdać sobie sprawę, że mają tu jeszcze co najmniej jednego amerykańskiego jeńca. Pewnie znowu chcieli go ukryć, tym razem gdzieś, gdzie nikt go już nie znajdzie. Trzeba zawiadomić Kleina. Gdy zabrzmiał gong na obiad, więźniowie ustawili się rzędem i strażnicy poprowadzili ich drogą do ciężarówki z jedzeniem. Chiavelli kręcił się i zwlekał, wreszcie znalazł się obok jednego z Ujgurów. - Muszę przekazać wiadomość - szepnął. Ujgur, więzień polityczny, skinął głową, nie podnosząc wzroku. - Powiedz swoim, że jutro rano przenoszą Thayera. Poproś o wskazówki. Ujgur nie zareagował. Bez słowa wziął jedzenie i dołączył do swoich ziomeków na skraju drogi. Chiavelli usiadł samotnie pod grubym dębem. Na farmie było tylko dwóch obcokrajowców i nikt nie chciał z nimi jeść. Wszyscy bali się podejrzeń o uleganie wpływowi zachodniej ideologii. Rozważając niespokojnie opcję za opcją, zmusił się do jedzenia. Wątpił, czy Klein zdąży przygotować operację ratunkową, dlatego nie pozostawało mu nic innego jak wyprowadzić stąd Thayera samemu. Wyprowadzić go i zaryzykować na otwartym terenie, na wsi, gdzie ścigać ich będzie wojsko i gdzie ludzie będą zbyt przerażeni, żeby im pomóc. Szanse przeżycia? Małe, i bardzo mu się to nie podobało.

**Hongkong**

- Zostawszy w pokoju sam, Jon zadzwonił z komórki do Freda Kleina.

- Jezus Maria, Jon, to ty? - Ulga w głosie szefa Tajnej Jedyнки była niemal namacalna.
- Tak. Jeszcze żyję i mam sporo do przekazania.
- No myślę. - Klein oddychał jakoś inaczej. Trochę nierówno, chrapliwie, jakby emocje przeszkadzały mu mówić. Ale szybko doszedł do siebie. - Opowiadaj - rzucił oschle. - Od początku.
- Arogancki list podpisany *R.M.* w sejfie firmy Donk LaPierre, Feng Dun, izba przesłuchań, schwywanie Randi - Smith zrelacjonował mu wszystko po kolei.
- Z Fengiem był McDermid. A nasza ucieczka była bardziej ekstrawagancka, niżbym chciał. - Powiedział mi, że Randi prowadzi śledztwo w sprawie przecieków w Białym Domu, że właśnie dlatego chodziła za McDermidem i że CIA podsłuchiwała rozmowę między nim, Li Kuonyi i Yu Yongfu.
- To oni żyją?!! - ryknął Klein.
- Tak, i mają oryginalny manifest okrętowy „Cesarzowej”.
- Za dwa dni w Dazū? - spytał szef Jedyнки drżącym z podniecenia głosem.
- Tak. McDermid przesunął spotkanie o dzień. Pewnie ma nadzieję, że do tego czasu Feng ich znajdzie i odbierze im manifest.
- Kiedy już zamkniemy go w Leavenworth, przypomnij mi, żebym mu podziękował - zadudnił Klein najgroźniej, jak umiał. - Jego czas się zbliża.
- Zdąży pan przerzucić mnie do Dazū?
- Oczywiście. A jeśli chodzi o te przecieki, właśnie poinformowano mnie o roli, jaką odegrał w nich McDermid. To odrażające, lecz najwyraźniej prawdziwe.
- Ale jak to zrobimy?
- Pytasz o przerzut do Chin? Kiedy ostatni raz skakałeś ze spadochronem?
- Jonowi bardzo się to pytanie nie podobało.
- Cztery, pięć lat temu.
- Z dużej wysokości też?
- Zależy jak dużej.
- Bardzo dużej.
- Zagwiżdże pan i podstawią mi wielki, piękny samolot?
- Pod warunkiem że zdoła wylądować tak, żeby nikt go nie zauważył. Tymczasem zrobmy coś innego. Ponieważ McDermid jest w Hongkongu, postaraj się zdobyć co tylko się da na temat tych przecieków i dowiedz się, dlaczego wszedł w tak szemrany układ jak przemysł chemicznych. Powęsz trochę i sprawdź, co wiedzą o tym ci z CIA. Jeśli dasz radę, możesz ich nawet wykorzystać.

- - Proszę, proszę, współpracuje pan jak nigdy dotąd! Ta uwaga zasłużyła na chrapliwy chichot.- Cieszę się, że wróciłeś, Jon. Brakowało mi naszych ciętych rozmówek. - Klein odłożył słuchawkę. Smith poszedł poszukać Randi. Wiedział, że teraz, gdy McDermid i Feng wzięli na celownik Li Kuonyi i Yu Yongfu, chcąc odzyskać ostatni egzemplarz manifestu, ich zainteresowanie nim i Randi gwałtownie spadnie. Co mógł zrobić? Zachowując ostrożność, mógłby wrócić do hotelu, przebrać się, ucharakteryzować, ponownie wycząć McDermida i łączyć za nim, dopóki nie będzie musiał odświeżyć wiadomości i zaliczyć kolejnego kursu dla skoczków spadochronowych. Randi czekała w sąsiednim pokoju z Tommie Parker.
- Muszę iść - powiedział.
- A Feng i reszta?
- Na pewno już pojechali.
- Pojechali? - Tommie zmarszczyła czoło.
- Do Dazu - odrzekła Randi. - Prawda, żołnierzyku? Przestaliśmy ich obchodzić. Te przecieki, to, nad czym pracujesz, to wszystko ma związek z Dazu. Zgadłam?
- Jon nie chciał z nią się przekomarzać, nie teraz.
- Ciepło, ciepło. Macie u mnie kielicha, ty, Randi, też. Takiego wielkiego, potrójnego. Nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz. Chciałbym powiedzieć wam więcej, ale nie mogę. Rozkaz to rozkaz.
- Będiesz potrzebował pomocy, zadzwoń, i do diabła z szefową. - Randi spojrzała mu prosto w oczy. - Uważaj na siebie. Mówisz, że nic ci nie jest, ale wyglądasz tak, jakbyś zderzył się z ciężarówką.
- Pięknie. - Wykrzywił w uśmiechu spuchnięte usta. - Za to ty wyglądasz prześlicznie.
- Widział w jej oczach niepewność, ale i niepokój. Niepokój o niego.
- Na tym polega moja praca - stwierdziła oschle. - Twarz musi być plastyczna i podatna na zmiany, inaczej ją rozpoznają.
- No proszę, co klasa, to klasa. CIA pełną gębą. Gdzie jest to wyjście?
- Możesz wyjść głównym - odrzekła Tommie, która przysłuchiwała się im z rozbawieniem. - Miałaś rację, już ich nie ma.
- Wyjdę bocznym, na wszelki wypadek. Po co kusić los.
- 
- 

## Waszyngton

- Klein gwałtownie otworzył oczy. Leżał na polowym łóżku w ciemnym gabinecie. Sen momentalnie prysnął. Otulająca przystań noc była grobowo cicha. Ostatnia łódź, dobity trawler z Bermudów, przycumował o jedenastej. Załoga zamocowała osprzęt i już dawno poszła do domu. Znowu ten dzwonek. Właśnie to go obudziło. Skończył rozmawiać z Jonem i natychmiast

zasnął. Szybko usiadł, spuścił nogi na podłogę i wciąż lekko zamroczony pierwszą od trzydziestu godzin drzemką, podbiegł do fotela za biurkiem. Dzwonił niebieski telefon.

- Klein.
- Śpisz tak mocno, że musisz mieć luksusowe biuro. - Wiktor zachichotał. - Dzwonię od dwóch minut, ale wiedziałem, że tam jesteś.
- Znowu Chiavelli? Co się stało?
- No tak. Zapomniałem, że towarzysko raczej nie rozmawiamy. Prawda?
- Nie o trzeciej nad ranem.
- - Celna uwaga. Cóż, nasz kapitan chce ci przekazać, że jutro rano mają przerzucić towar. Nie wie gdzie ani dlaczego, ale uważa, że ma to związek z jego misją.- Niech to szlag! - wybuchnął Klein. - To cała wiadomość?
- Słowo w słowo.
- Dziękuję, Wiktorze. Pieniądze wpłyną jak Zwykle.
- Ani przez sekundę w to nie wątpiłem.
- Klein wcisnął widełki, ale nie odłożył słuchawki. Intensywnie myślał. A więc Chiavelli przypuszcza, że rozkaz przeniesienia Thayera jest albo rutynowy, albo ma związek z układem o prawach człowieka. I że może mieć coś wspólnego z „Cesarzową”. Tak czy inaczej „groziła im katastrofa. Klein żadnym sposobem nie zdążyłby wysłać tam cywilnej ani nawet wojskowej grupy ewakuacyjnej. Nie do rana. Spojrzał na swój okrętowy zegar. Tak, był jeszcze czas na plan zastępczy. Puścił widełki i wybrał numer.

## **Hongkong**

- Jon miał rację. Obserwował hotel wystarczająco długo, by wiedzieć, że nikt go nie obserwuje - chociaż Randi uważała pewnie, że jest ślepy, bo nie zauważył Fenga i jego ludzi obserwujących Lower Albert Road. Musiał jej to oddać. W terenie była czujna i zajadła jak buldog. Miał pozaklejaną plastrami twarz i nie było go przez całą noc, więc personel hotelowy powitał go konspiracyjnymi, acz znaczącymi uśmiezkami. Pozostawiwszy ich samych z domysłami, pojechał na górę, wszedł do łazienki, zerwał plastry i obejrzał w lustrze swoje rany. Bolały przy dotyku, ale były powierzchowne. Miał ochotę na prysznic, lecz uznał, że jacuzzi będzie lepsze. Moczył się spokojnie w wodzie, gdy w kieszeni wiszącego w zasięgu ręki szlafroka zadzwonił telefon. Zostawił go tam przed nocnym wypadem do Donk LaPierre.
- Tak?
- Wyjeżdżasz dziś wieczorem - zaczął bez wstępów Klein.
- I co ja tam będę robił przez półtora dnia? Udawał turystę? Przecież miałem zostać i pokopać trochę w sprawie McDermida.
- To było trzy godziny temu. Zaszło coś ważnego. - Powiedział mu o telefonie od Wiktora

Agejemiana.

- Zdążysz przerzucić tam grupę ewakuacyjną? Tak szybko?
- Właśnie tu na scenę wydarzeń wkracza pan, pułkownik. Pomożesz Chiavellemu wydostać Thayera.
- Tylko on i ja? Ale jak? Zapomniałeś, że nawet nie mówię po chińsku?
- Ale Chiavelli mówi. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Wszystkiego dowiesz się na miejscu. Kiedy możesz wyjechać?
- Siedzę w wannie. Daj mi dwadzieścia minut.
- Niczego nie zabieraj. Przyślą tam kogoś po rzeczy. Na dole będzie czekał samochód; zawiezie cię na lotnisko. W bagażniku znajdziesz ubranie i sprzęt. Odrzutowcem marynarki wojennej dostaniesz się na lotniskowiec. Powodzenia.
- Gdzie...?
- Ale Klein już się rozłączył. Smith jęknął, wziął szybki prysznic, wyszedł z wanny i ostrożnie się wytarł, uważając na poharataną twarz i paskudne siniaki na ciele. Strumienie gorącej wody ukoili ból i poczuł się trochę lepiej. Ubrał się i wyszedł. Ale w windzie zaczął się denerwować. W co go ten Klein wpakował tym razem?

# Rozdział 33

## Hongkong

- 
- 
- Idąc przez tłum elegancko ubranych gości na przyjęciu w brytyjskim konsulacie, przykuwała uwagę każdego mężczyzny i większości kobiet. Miała na sobie swoją najkrótszą, najbardziej obcisłą i wydekoltowaną czarną sukienkę i dla odmiany nie ucharakteryzowała twarzy, zrobiła tylko dyskretny makijaż. Jednakże jej atrybuty fizyczne i długie, elegancko zaczesane do góry włosy przyciągały wzrok, dlatego miała nadzieję, że cel polowania - Ralph McDermid - będzie na tyle rozkojarzony, że jej nie rozpozna. Wzięła kieliszek szampana z tacy przechodzącego kelnera i podeszła do jedynej osoby, którą tu знаła: do dyrektora jednej z brytyjskich firm, która była fasadą MI-6.
- Pracujemy czy balujemy? - spytał z uśmiechem.
- Czy to jakaś różnica, Mal?
- W słowach. Jeśli balujesz, mógłbym do ciebie uderzyć.
- Jesteś słodki - odrzekła. - Ale innym razem.
- Ciężko westchnął.- A więc dzisiaj będę tylko twoim alfonsem. Szkoda. Dobra, kogo chcesz poznać? Aha, i kim jesteś?Gdy wyjaśniła mu w czym rzecz, oprowadził ją po sali. Śledziły ich oczy wszystkich mężczyzn i wkrótce zauważył ją też McDermid. Posłał jej długie spojrzenie. Ona posłała mu odważny uśmiech i powróciła do rozmowy ze starszą Chinką, wpływową członkinią rady miejskiej.- Madame Sun, czy zechce pani przedstawić mnie swojej uroczej przyjaciółce?Zaszedł ją po cichu od tyłu, musnął jej ramię i stanął z boku. Chinka obdarzyła go pobłażliwym uśmiechem.- Ostrożnie, moje dziecko - powiedziała do Randi. - To znany uwodziciel.- Pan McDermid? - odrzekła Randi. - O tak, reputacja go wyprzedza.- Widzę, że poznać się lepiej bez mnie. Zostawiam was samych. McDermid dwornie skłonił głowę, a gdy Chinka odeszła, ponownie spojrzał na Randi i jego oczy przesłonił mroczny cień, jakby nagle wyczuł, że coś jest nie tak. Randi wyduła wargi, żeby zmienić kształt twarzy.- Tak, pańska reputacja pana wyprzedza - powtórzyła. - Mogę mówić ci po imieniu?Cień zniknął, powrócił stary lubieżnik. Pewnie dał się zwieść czystej amerykańszczyźnie, odważnej sukience i europejskiej twarzy.
- A cóż ta reputacja głosi, skarbie?
- Że Ralph McDermid to potężny człowiek. Potężny i wielki, hm... pod każdym względem.
- Oszałamiająco piękna kobieta, jej kokieteria i zalotność - na taką kombinację zareagowałby każdy mężczyzna. McDermid leciutko uniósł brew.
- Jak się nazywasz, skarbie? I kim jesteś?
- Joyce Ray. Pracuję w Imperial Import-Export w San Francisco.

- Pracujesz dla nich, czy oni pracują dla ciebie?
- Nie. Jeszcze nie.
- Brawo, ambitna kobieta. A więc cóż, Joyce. Podobasz mi się. Weźmiemy sobie coś do jedzenia i usiądziemy? Może na zewnątrz?
- 
- Hm... Fakt, tak zgłodniałam, że zjadłabym wszystko.
- McDermid lekko się zaczerwienił. Ryba chwyciła przynętę.
- W takim razie chodźmy. - Podał jej ramię.
- Podeszli do bufetu, nabrali jedzenia i usiedli w zacisznym kąciku na tarasie. Opowiedział jej kilka starannie dobranych anegdot o Grupie Altmana, ona zaś powiedziała mu, że Imperial jest wielką firmą hurtowniczą i że ma klientów oraz filie niemal na całym świecie. Nie omieszkała nadmienić, że jest jej wiceprezeską. Świetnie im się rozmawiało i powoli zmierzała do celu - chciała wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji - gdy wtem McDermid zeszywniał. W wewnętrznej kieszeni jego smokingu coś zawibrowało. Komórka.- Przepraszam na chwilę. - Ani uśmiechu, ani „skarbie”. Wstał i ominąwszy kępę uroczynów i afrykańskich malw, wszedł do ogrodu. Nie poszła za nim. Sprawa byłaby zbyt ryzykowna i oczywista. I w sumie nie miałyby to sensu. Wrócił po niecałych trzydziestu sekundach.- Muszę iść. Kiedy indziej, zgoda? Zadzwoń do ciebie do firmy. Nim zdążyła odpowiedzieć, odszedł. Zaczekała, aż zniknął za drzwiami. Potem go śledziła, pieszo i samochodem, zawsze w dyskretnej odległości. Wreszcie zaparkował przed siedzibą swojej firmy. Znowu chwilę odczekała, zaparkowała sześć samochodów dalej i obserwowała go, jak stoi przed windą, nerwowo postukując nogą. Wszedł do kabiny. Spojrzała na mrugające nad drzwiami cyferki. Pojechał na samą górę. Do gabinetu w przybudówce na dachu. Co przygnało go tu o tak późnej porze? To jej się nie podobało. Ale mogła dowiedzieć się czegoś użytecznego. Pędem wróciła do samochodu, nie zwracając uwagi na sukienkę, która podjechała jej wysoko na uda. Wsiadła, włączyła przenośny odbiornik, nastrojony na częstotliwość mikronadajnika w telefonie McDermida, i usłyszała jego głos.
- Dobra, jestem w biurze.
- Stało się coś aż tak ważnego, że musieliśmy porozmawiać? – Głos jakiegoś mężczyzny. Ale nie wiedziała czyj. - Proszę mi tylko nie mówić, że dopuścił pan do ucieczki Smitha.
- Do niczego nie dopuściłem - warknął McDermid. - Ale tak, uciekli.
- Co znaczy „uciekli”? Kto? - Ten głos. Ani młody, ani stary. Spokojny, dobrze modulowany, silny. Dobrze nawiązujący kontakt ze słuchaczem.
- Pomogła mu jakaś kobieta. Agentka CIA, tak myślę.
- „Tak myślę?” Czarujące.

- Niech pan skończy z tym sarkazmem. Potrzebujemy siebie nawzajem. Jest pan ważnym członkiem zespołu.
- I będę nim dalej, pod warunkiem że pozostanę w cieniu.
- Nie jest tak źle. Ostatecznie nie zaszkadzili ani nam, ani naszym interesom.
- Nie martwi pana, że CIA mogła wziąć pana na celownik? – spytał niepewnie tamten. - Nawet jeśli nie chodzi im o wiadomą sprawę, część z tych przecieków mogła doprowadzić ich do pana. Na pańskim miejscu bardzo by mnie to zaniepokoiło.
- - Bądźmy realistami, te przecieki praktycznie niczym nam nie grożą. Zacznę się nimi przejmować dopiero wtedy, kiedy ktoś odkryje, jakie mnie interesują. Poza tym mamy na głowie o wiele większe problemy.- Tak? Na przykład?McDermid zawahał się lekko i przekazał mu złą nowinę.
- Yu Yongfu żyje. Jego żona też. Co gorsza, mają manifest okrętowy „Cesarzowej”.
- To twoja wina, McDermid! - wybuchnął wściekle tamten. – Gdzie oni są? Gdzie jest ten przeklęty manifest?
- -W Chinach.Zapadła długa chwila ciszy, jakby rozmówca McDermida próbował otrząsnąć się z szoku.- Jakim cudem? Zapewniał mnie pan, że go spalono! McDermid westchnął i zapoznał go ze szczegółami układu.
- Dwa miliony to niedużo, to napiwek, ale i tak im nie zapłacę, chyba że będę musiał.
- Zażądaliby jeszcze więcej, nie mielibyśmy też gwarancji, że oddadzą manifest. - Wstrząs minął i głos ze słuchawki brzmiał teraz niemal kojąco. Ten człowiek musiał być wytrawnym mówcą i umiał błyskawicznie podejmować decyzje. Najprawdopodobniej często występował publicznie. Randi nabierała coraz większego przekonania, że jest politykiem, kimś nawykłym do dyplomatycznych wystąpień, co nic jej w sumienie mówiło i zdradzało jeszcze mniej. Ale na pewno nie był to sekretarz armii Jasper Kott, którego podsłuchiwała w Manili. - Jak pan chce to załatwić?
- Dostosuję się do ich żądań, ale przygotowałem też kilka niespodzianek. Feng powinien być już w Dazu.
- Jeżeli Li Kuonyi jest tak inteligentna, jak pan mówi, na pewno się tego spodziewa. - Przez chwilę się nad tym zastanawiali, a gdy mężczyzna znowu zaczął mówić, Randi uświadomiła sobie, że gdy się tylko odezwał, ogarnęły ją osobliwe przeczucia. Już ten głos gdzieś słyszała, i to niedawno. - Nie jestem pewien, czy dalsze zatrudnianie Fenga jest mądrym posunięciem.
- Nie ma czasu na szukanie kogoś innego. Poza tym Feng nie tylko zna wszystkich zaangażowanych w to ludzi, ale i przeprowadzał w Dazu jakąś operację, spędził tam sporo czasu. Może poruszać się po całym kraju, co dla Europejczyka czy Amerykanina byłoby niemożliwe.



- Mężczyzna zamilkł, lecz jego głos, głos jakże znajomy, wciąż pobrzmiwał jej w uszach. Gdzie go słyszała? Kiedy? Kim ten człowiek był?
- Z Fengiem może być kłopot innego rodzaju - kontynuował McDermid. - I to duży.
- Jaki?
- Nie jestem pewien, ale myślę, że Feng pracuje nie tylko dla nas.
- To znaczy?
- Do niedawna płaciłem mu, żeby pracował dla Yu Yongfu i meldował mi o jego posunięciach... a teraz zaczynam się zastanawiać, czy nie donosi na nas komuś innemu. Może komuś w Pekinie. Ten ktoś musi być albo bardzo bogaty, albo mieć dużą władzę. Inaczej Feng nie zawracałby sobie tym głowy.
- Sprawdzał go pan. - Krótkie warknięcie. Groźne i pełne niepokoju. To nie było pytanie, to było stwierdzenie i w tym momencie Randi zrozumiała jedno: mężczyzna mówił teraz swym zwykłym głosem, oschłym i sarkastycznym. Ona natomiast pamiętała jego głos publiczny, ale znała tylu wysokich urzędników rządowych, że miała przeładowaną pamięć.
- Tak, i to dokładnie - odparł McDermid. - Wiemy, że nie pracuje ani dla bezpieczeństwa, ani dla wojska. Nie, Feng działa na własną rękę.
- I zainteresowała go „Cesarzowa“?
- Tak to odbieram.
- Dobrze. Proszę robić to, co pan musi. Nie chcę znać szczegółów. Najważniejsze, żeby prezydent nie dostał tego manifestu.
- Chce pan mieć zysk, a nie problemy.
- Taka była umowa.
- Ma pan tak samo brudne ręce jak ja - ostrzegł go groźnie McDermid. - Jeśli pójdę na dno, pociągnę pana za sobą. - I trzasnął słuchawką.
- Randi opadła na oparcie fotela i zamknęła oczy, odtwarzając w myśli ten niedający jej spokoju głos. Przymierzała doń różne twarze. Wypróbowywała go w różnych otoczeniach. Po półgodzinie dała sobie spokój. Odpowiedź znajdzie w najmniej spodziewanym momencie, jak zwykle. Miała tylko nadzieję, że szybko. Wyjęła telefon.
- Allan? Słyszałeś to?
- Jasne - odrzekł Dziki.
- Znajomy głos. Rozpoznaliście go?
- Też go gdzieś słyszałem, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć gdzie. Ci tutaj też nie, ale to elektroniczne przygłupy z atrofią systemu pamięci. Nie wiedzą nawet, jak nazywa się szefowa, i myślą, że prezydentem wciąż jest Lincoln.

- Dobra, już rozumiem. Taśma z nagraniem ma trafić do Langley najbliższą pocztą z ambasady. Niech ci z laboratorium porównają ten głos z tym, co mają u siebie na składzie.
- Złożyć meldunek?
- Nie. Jadę tam. - Postanowiła porozmawiać z szefową. Osobiście.

## Pekin

- Noc otuliła gabinet aksamitnym mrokiem. Za murami Zhongnanhai skrzyły się światła Pekinu, w których blasku rozgwieżdżone niebo nabierało świetlistej szarości. Wei Gaofan stał w drzwiach, patrząc na dziedziniec, na pełną wdzięku wierzbę płaczącą i starannie utrzymane kwietniki, których widok zwykle pomagał mu odnaleźć wewnętrzny spokój. Ale tego wieczoru ciążyła mu niepewność i nieufność. Nazywano go twafdogłowym, jakby była to obelga, ale przecież jego wizja była wizją prawdziwie czystą. Sowa i wspierający go liberałowie, ci polityczni ślepcy, nie dostrzegali tego co on. Współczuł im, choć należeli do jego ideologicznych wrogów. Do wrogów Chin. Chcieli zepchnąć kraj na ścieżkę przez bezdroża, która mogła nie tylko obnażyć ich przed światem. Ścieżka ta przenosiła trzy groźne choroby: kapitalizm, religię oraz poczucie indywidualności. Gdy zadzwonił telefon, wrócił do biurka. Prywatna linia, znana jedynie jego najbliższymi towarzyszom, informatorom i protegowanym. Ogarnęły go złe przeczucia. Potwierdził je grobowy głos Fenga Duna.

- Yu żyje. To ta kobieta. Podeszła mnie.
- Wei gwałtownie wciągnął powietrze.
- A manifest?
- - Jest u Li i Yu. Nie spalili go. - Feng opowiedział mu, jak ich oszukali. Gaofan ciężko opadł na fotel. Ścisnęło go w żołądku, mimo to zdołał zapanować nad głosem.
- Gdzie teraz są?
- W Dazu. Już tam jadę. Najpierw do Chongqingu, potem tam.
- Czego chcą?
- Feng zapoznał go ze szczegółami umowy między McDermidem i Li Kuonyi.
- Będę ich miał w niecałe czterdzieści osiem godzin, ich i manifest.
- Na pewno?
- Utopijne mrzonki nie przyniosłyby nam żadnych korzyści. - Znajomy szept, cichy i szeleszczący. Feng znowu mówił swoim normalnym głosem. Ostatnie wydarzenia mocno nim wstrząsnęły, lecz teraz ponownie nabrał pewności siebie. Wei zatrudniał go od wielu lat i przez cały ten czas Feng ani razu nie dał się wytrącić z równowagi. Lecz tym razem nie chodziło o zwykłą drobnostkę, a polityczna złożoność problemu była tak wielka, że wymykała się spod

kontroli najlepszym ekspertem od spraw bezpieczeństwa.

- Ten były najemnik był wobec niego lojalny nawet wtedy, gdy Wei przydzielał go i innym, żeby na nich donosił. Ale z drugiej strony nigdy o nim nie zapominał i wspinając się po szczeblach rządowej kariery, zawsze zabierał go ze sobą. Yu Yongfu nie zdołałby zrobić dla niego tyle co on, Ani Yu, ani żaden Amerykanin, nawet McDermid. Dla kogoś takiego jak Feng bliska współpraca z członkiem Stałego Komitetu stanowiła zaszczyt, wynagrodzenie zaś było więcej niż sowite, zwłaszcza że płacili mu też inni. Kiedy Wei zostanie sekretarzem generalnym, Feng będzie miał zabezpieczoną przyszłość. Ich losy, losy dwóch ambitnych, utalentowanych i potrzebujących się nawzajem ludzi, nierozłącznie się ze sobą spleją.
- Dać ci kogoś do pomocy? Nie pora teraz szaleć jak samotny wilk pustynny..
- Jeśli ma pan kogoś zaufanego w tym rejonie - odrzekł z wahaniem Feng - oddział wojska przydałby się na wypadek, gdyby zatrzymały nas miejscowe władze,
- Dobrze, załatwię to. Aha, pamiętaj, że Li Kuonyi jest przebiegła. To niebezpieczna przeciwniczka.
- Nie musi mnie pan obrażać, panie Wei.
- Bezczelne słowa jak na podwładnego, ale Wei przyjął je z uśmiechem zrozumienia i ołożył słuchawkę. Tak, Feng znowu był sobą, na pewno. Tak jak wilkiem, kierował nim głód, chęć drapieżnej zemsty na ludziach, którzy wystrychnęli go na dudka. A jeszcze bardziej chciał wrócić do domu z tym pojawiającym się i znikającym manifestem. Wei Gaofan znowu popatrzył na ogród. Wciąż nie opuszczały go złe przeczucia. Zaczynał podejrzewać, że śledztwo majora Pana w sprawie pułkownika Smitha, Li Aoronga i „Cesarzowej” wykazało więcej, niż major napisał w oficjalnym raporcie dla generała Chu, więcej niż Niu Jianxing przekazał sekretarzowi generalnemu i członkom Stałego Komitetu. Dlatego po cichu zabiegał o poparcie biura politycznego i Komitetu Centralnego. To wielce niefortunne, lecz istniała też możliwość, że aby zatrzeć ślady swego zaangażowania w spisek „Cesarzowej”, będzie musiał wyeliminować Fenga, Ralpa McDermida, Li Aoronga, jego córkę i zięcia. Gdy Feng poinformował go po raz pierwszy o planach McDermida, uznał, że to uśmiech losu. Ale teraz wietrzył niebezpieczeństwo. Przeżył tyle lat i odniósł tyle sukcesów tylko dzięki temu, że zawsze swym przeczuciom wierzył, że wierząc, potrafił działać szybko i bezwzględnie. Stojący na szczycie drabiny konserwator skończył naprawiać jeden z reflektorów oświetlających ogród Gaofana. Pracując, klął i przeklinał. Ten paranoik Gaofan bał się zamachu do tego stopnia, że w ogrodzie nie mogło być ani odrobiny cienia. Ale tego wieczoru przeciwnik niecierpliwił się bardziej niż zwykle, gdyż był nie tylko konserwatorem, lecz i agentem. Za pomocą mikrofonu kierunkowego, ukrytego w skrzynce z narzędziami, nagrał ostatnią rozmowę telefoniczną tego wybitnego członka Stałego Komitetu i chciał jak najszybciej przekazać taśmę swemu przełożonemu z sekcji kontrwywiadu Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Poza tym przyszedł już jego zmiennik, który grabił teraz grządki pod oknami domu Gaofana. On też ukrył mikrofon w skrzynce z narzędziami, którą ustawił na granitowym gładzie dokładnie naprzeciwko okna gabinetu. Konserwator zszedł z opartej o mur drabiny i zaniósł ją do szopy, którą ukryto za gęstymi krzewami, żeby nie zakłócała estetyki pięknie utrzymanego ogrodu. W szopie otworzył schowek na dnie skrzynki z narzędziami i wyjął stamtąd miniaturową kasetę. Odłożywszy wszystko na miejsce, zadzwonił z

komórki pod znajomy numer.- Mam - zameldował. - Tak, za dziesięć minut. Dobrze, będę.Schowwał telefon, zamknął szpę i zielonym brzegiem jeziora ruszył w kierunku wartowni przed boczną furtką w murze. Używali jej tylko robotnicy, ogrodnicy i mechanicy.Wartownik wypuszczał go co wieczór pod koniec zmiany i dobrze go znał, mimo to zażądał dokumentów.- Późno dziś wychodzisz.- Dostałem osobiście rozkaz od samego mistrza. Wsiadł jeden z tych przeklętych reflektorów i Wei omal nie dostał zawału. Nie mógł zaczekać do rana. - Było w tym trochę prawdy. Reflektor zepsuł on sam, żeby mieć pretekst do dwugodzinnej naprawy na murze, bo jak inaczej nagrałby tę rozmowę? Przełożony mówił, że sytuacja jest niepewna, że w biurze politycznym panuje chaos, dlatego każda rozmowa Gaofana musi zostać zarejestrowana. Jego zadaniem było znalezienie odpowiedniego pretekstu do ich nagrywania.Wartownik przewrócił oczami. Fanaberie Gaofana były powszechnie znane. Konserwator wyszedł na ulicę, oddalając się od placu Tiananmen i omijając tłum turystów, którzy spacerowali po Zakazanym Mieście mimo późnej pory. W końcu stanął w drzwiach starej herbaciarni. Jest. Jego prowadzący czytał gazetę przy stoliku pośrodku sali.Konserwator zamówił dzbanek taniej wu yi i kupił paczkę angielskich ciasteczek; Z ciasteczkami w ręku ruszył do stolika na końcu sali. Mijając prowadzącego, upuścił je, podniósł, poszedł dalej i wreszcie usiadł.Major Pan Aitu bardzo się spieszył. Mimo to przed wyjściem powoli dopił herbatę i złożył gazetę. Samochód zostawił dwie ulice dalej. Wsiadł, wyjął z buta małą kasetę i włożył ją do odtwarzacza. Przesłuchał całą rozmowę, kilka razy zatrzymując taśmę, potem przewinał ją i puścił od początku.Wreszcie odchylił do tyłu głowę i zmarszczył brwi. Sprawa była oczywista: Li Kuonyi i Yu Yongfu nie tylko żyli, ale i mieli manifest okrętowy „Cesarzowej”, którego poszukiwał w Chinach pułkownik Smith. Byli już pewnie w drodze do Dazu, żeby sprzedać dokument działającemu w imieniu McDermida Fengowi. Tak naprawdę jednak Feng działał w imieniu Gaofana: miał go im odebrać, a potem ich zabić.Implicacje wynikające z meldunku Fenga też były jasne i Sowa na pewno by się nimi zainteresował. Wei Gaofan był osobiście zamieszany w przemysł chemikaliów do Iraku.Rozwój wydarzeń osiągnął punkt, w którym major musiał zdecydować, kogo poprzeć, co mu się bardziej opłaca. Po jednej stronie stał Wei Gaofan, ale Wei miał już Fenga i od samego początku maczał palce w sprawie „Cesarzowej”, dlatego najpewniej niechętnie powitałby agenta kontrwywiadu, który tyle wiedział.Po drugiej zaś stronie stał Sowa - Niu Jianxing - zagorzały przeciwnik Gaofana i jego dogmatycznej polityki, który nic o tych wydarzeniach nie wiedział. Tak, Sowa byłby mu wdzięczny.Teraz major Pau musiał jechać do Dazu i czekała go dość długa podróż. Gdy tam dotrze, będzie musiał podjąć ostateczną decyzję. W nowych Chinach powodziło mu się całkiem nieźle i nie chciał, żeby wróciło stare. Współpraca z Sową leżała w jego interesie.

# Rozdział 34

## Nad prowincją Sichuan

- 
- 
- Jon siedział zdenerwowany, opierając się o ściankę działową w hawkeye E-2C, maszynie rozpoznawczej typu AWACS. Dochodziła jedenasta wieczorem. Miał odchyloną do tyłu głowę i w uszach wibrowało mu monotonne buczenie silników odrzutowych. Lecieli bez świateł, jak zwykle podczas tego typu misji. Lecz ta misja zwykłą nie była. Miał na sobie czarne ubranie i beretę w kaburze na plecach. Tuż obok leżał dobrze izolowany czarny kombinezon. Miał skakać z wysokości dziewięciu tysięcy metrów i bez kombinezonu by zamarzł. Zaliczył kilkaset skoków, lecz nigdy z tak dużej wysokości, w dodatku od ostatniego minęło już sporo czasu. Spece z marynarki wojennej zapoznali go na lotniskowcu z podstawami skoków z dużej wysokości i dorzucili parę wskazówek. Dali mu też butlę tlenową i maskę, ponieważ spadochron miał otworzyć dopiero na trzech tysiącach metrów.<sup>1</sup> Na dole nie toczyła się żadna wojna, a przynajmniej nie taka z karabinami i armatami, więc nikt tam na niego nie czyhał - teoretycznie. Strefę zrzutu wybrano starannie na podstawie zdjęć satelitarnych sprzed niecałych dwudziestu czterech godzin. Zachmurzenie miało być średnie. Wiatr umiarkowany. Od strony technicznej pomyślano o każdym szczególe, przedsięwzięto wszystkie możliwe środki ostrożności. Teraz musiał przygotować się psychicznie. Jeszcze raz przeanalizował w myśli każdy krok, szukając błędów i nieprzewidzianych problemów. Co jakiś czas potrzasał rękami i nogami, żeby rozluźnić mięśnie. Wrócił jeden z załogantów.

- Już pora, panie pułkowniku. Niech pan się ubiera.

- Ile mam czasu?

- Dziesięć minut. Kapitan mówi, że wszystko wygląda dobrze. Księżyc wzejdzie dopiero za dwie godziny, pogoda się utrzymuje, nikt nas nie namierzył. Cisza i spokój. Zaraz wrócę sprawdzić pański sprzęt. Niech pan pamięta, żeby nie wyniosło pana w górę, bo ten zwariowany ogon posieka pana jak sałatę.

- Odszedł, chichocząc. Kiepski dowcip, Jon się nie roześmiał. Podczepił MP5K henclera kocha do trzech kółek na wewnętrznej uprząży, która przecinała mu pierś. Poczernił sobie twarz - ostrożnie, żeby nie podrażnić ran - wcisnął się w kombinezon i zaciągnął zamek. Następnie włożył zewnętrzną uprząż i podczepił do niej dwa spadochrony, butlę z tlenem, wysokościomierz, namiernik GPS i trochę innego sprzętu. Był zlany potem. Ważył chyba pół tony. Zastanawiał się przez chwilę, jak radzą sobie żołnierze w pełnym rynsztunku bojowym, jak mogą zrobić w tym wszystkim chociaż jeden krok. Odpowiedź nasunęła się sama: radzą sobie, bo muszą. Jak kiedyś on. Czekał spocony, obciążony sprzętem i miał nadzieję, że to już zaraz. Było mu tak niewygodnie, że chciał mieć to już za sobą. Skok, spadanie, lądowanie. Wszystko było lepsze niż to, nawet spojrzenie w czarną otchłań za burtą samolotu. - No to do roboty. - Wrócił załogant. Zaczął szarpać uprząż na wszystkie strony, sprawdzając, czy wszystko trzyma. Wreszcie klepnął go w plecy. - Niech pan przejdzie na tlen. I patrzy na tę lampkę. Kiedy się zapali, można otwierać drzwi. Powodzenia. Smith kiwnął głową, wbił wzrok w lampkę i po

chwili poczuł, że w kabinie spadło ciśnienie. Gdy zabłyśła lampka, otworzył drzwi. Rozwarła się przed nim czarna przepaść i lekko się zawahał. Wtedy przypomniało mu się to, co dawno temu powiedział mu ojciec. Wszyscy muszą kiedyś umrzeć, dlatego o wiele lepiej jest żyć na całego niż spoglądać za siebie i zastanawiać się, co się straciło. Więc skoczył.

## Waszyngton

- 
- W stolicy dochodziło południe i prezydent Castilla pracował przy biurku w Gabinetcie Owalnym. Członkowie Połączonego Kolegium Szefów Sztabów dostarczyli mu już scenariusze możliwych działań zaczepnych ze strony Chin i już je razem przeanalizowali. Zwykła demonstracja sił przeciwko Tajwanowi, zakrojona na szeroką skalę inwazja - też na Tajwan. Wreszcie coś, co nie mieściło mu się w głowie: atak nuklearny z terytorium Chin na Stany Zjednoczone. Zamknął oczy, przetarł je, nie zdejmując okularów, po czym splótł palce z tyłu głowy. Myślał o wojnie, próbując wyobrazić sobie walkę z narodem liczącym miliard trzysta milionów ludzi - miliard trzysta milionów plus minus, bo kilka milionów mogli gdzieś po drodze zgubić i się ich nie doliczyć. Pomyślał o broni nuklearnej i poczuł, że zaczyna tracić kontrolę nad sytuacją. Walka z małymi, źle uzbrojonymi krajami, z rodzimymi czy obcymi terrorystami, którzy mogli zabić najwyżej kilka tysięcy ludzi, miała się nijak do wojny z narodem o nieograniczonym potencjale broni masowego rażenia. Nie przypuszczał, żeby Chiny pragnęły wojny bardziej niż on, ale jaka jest różnica między kapitanem okrętu podwodnego, który wpada w tak wielki gniew, że każe odpalić torpedę, a wysoko postawionym, rozwścieczonym dogmatykiem, który trzyma palec na atomowym spuście? Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do gabinetu zajrzał Jeremy.
- Fred Klein, panie prezydencie.
- Poproś go, poproś.
- Klein wszedł krokiem zdenerwowanego zalotnika, chętnego, acz pełnego niepokoju. Zaczekali, aż Jeremy wyjdzie.
- Ciekawe dlaczego mam wrażenie, że przynosisz dobrą wiadomość i złą - zaczął Castilla.
- Pewnie dlatego, że tak jest.
- - W takim razie zacznij od dobrej. Mam za sobą ciężki poranek. Klein skulił się w fotelu, układając myśli. - Pułkownik Smith żyje i ma się dobrze. Wypłynął też oryginalny egzemplarz manifestu, który próbował przekazać nam Mondragon. Castilla gwałtownie się wyprostował.
- Masz ten manifest? Kiedy możesz go tu ściągnąć?
- No właśnie, w tym sęk. Manifest jest ciągle w Chinach. - Klein opowiedział mu o schwytaniu Smitha, jego ucieczce i telefonie od Li Kuonyi. - Musiał skłamać tym z CIA. Powiedział, że pracuje dla Białego Domu, ale to wszystko. O Jedynce nie wspomniał ani słowem. Wykonuje jednorazową misję specjalną, to wszystko.
- Dobrze - mruknął niechętnie Castilla i nachmurzył czoło. - Teraz wiemy już na pewno, że Ralph McDermid siedzi w tym po uszy. Ale to ani trochę nie zmniejsza niebezpieczeństwa, jakie

stanowi „Cesarzowa”.

- Nie, panie prezydencie.
- Bez manifestu czeka nas wojna. Li Kuonyi spotyka się z McDermidem jutro rano?
- Nie. Pojutrze, w Dazu.
- Coraz mniej czasu... - Castilla spojrzął na zegar. - Brose mówi, że zostało nam najwyżej czterdzieści osiem godzin. Wojsko czeka w pogotowiu. Robimy coś, żeby odzyskać ten manifest?
- Pułkownik Smith jest już w drodze do Chin. Zna Li Kuonyi z widzenia, a ona wie, kim on jest. Może poprosi o azyl w Stanach i jakoś się dogadają.
- Smith już wyjechał? Mówiłeś, że spotkanie jest pojutrze.
- - Wskoczyło coś jeszcze i wysłałem go dzień wcześniej. Castilla omal nie wybuchnął.- Coś jeszcze? Zmieniłeś priorytety? Do diabła, co może być ważniejsze od manifestu?! Klein zachował spokój.- Chodzi o twego ojca, Sam. I nie, nie zmieniłem priorytetów. Pojawił się pewien problem. Pułkownik Smith spróbuje załatwić dwie sprawy za jednym zamachem.
- O mojego ojca... - powtórzył prezydent. - Jaki problem?
- Doniesiono mi, że go przenoszą, jutro rano ich czasu. Mój informator nie wie dlaczego, ale kiedy zostanie przeniesiony, szansę na jego uwolnienie spadną niemal do zera. Moi ludzie nie zdążyliby na czas, dlatego uruchomiłem plan awaryjny. Rzecz w tym, że jest bardziej ryzykowny. Dobrze w tym zamieszaniu jest tylko to, że miejsce, które wybrała na spotkanie Li Kuonyi, bardzo nam odpowiada ze względu na Thayera, a wysyłając w teren pułkownika Smitha dzień wcześniej, zwiększamy szansę powodzenia akcji.
- .- Ale chyba nie kosztem głównego celu?
- Nie, Sam. Nigdy. Znasz mnie.
- Ciebie tak, ale nie jestem pewny tego Smitha. Pojechał sam?
- Nie, ale nic więcej ci nie powiem, bo niewykluczone, że będziesz musiał dementować jedną pogłoskę po drugiej.
- W takim razie powiedz, co możesz.
- Na farmie mamy Chiavellego i siatkę więźniów politycznych, na zewnątrz Smitha i ludzi, o których wolałbyś raczej nie wiedzieć, zwłaszcza że pomagali mu już wcześniej. Wydałem kupę forsy, więc - zakładając, że nie dojdzie do kolejnej katastrofy - mamy szansę go stamtąd wydostać, Kapitan Chiavelli przerzuci go przez najbliższą granicę, a Smith i reszta przywarują pod Śpiącym Buddą.
- Castilla wciąż miał wątpliwości.
- Dobrze. Smith spędzi tam cały dzień. Ma gdzie się ukryć?
- Tak, panie prezydencie.

- Castilla milczał przez chwilę, myśląc o czymś innym.
- A jeśli to oszustwo? Pułapka? A jeśli tych chemikaliów w ogóle nie ma?
- Zważywszy na to, co wiemy, to mało prawdopodobne.
- Ale możliwe?
- W wywiadzie i polityce międzynarodowej wszystko jest możliwe. I tu, i tu pracują tylko ludzie.
- Castilla wciąż błędził myślami gdzieś daleko.
- Dlaczego ktoś chce tu pracować? Kieruje nami ślepa pycha... - Ponownie spojrzął na Kleina. - Doceniam wasz wysiłek, twój i pułkownika. Nie jest wam łatwo i wątpię, czy będzie łatwiej. Czterdzieści osiem godzin, Fred, a Chiny są daleko stąd.
- Wiem. Damy radę.
- Castilla odruchowo dotknął ręką butonierki i przez kosztowny materiał marynarki wyczuł swój portfel. Oczami wyobraźni znowu zobaczył uśmiechniętego mężczyznę w filcowym kapeluszu z wywiniętym rondem i dostrzegł w jego oczach nieme pytanie. Bardzo pragnął je usłyszeć. Ale nie. Wymazał ten obraz z pamięci.

## **Nad prowincją Sichuan**

- Wystarczyło kilka sekund i potężny strumień powietrza cisnął go daleko od samolotu. Gdyby nie smagający twarz wiatr, miałby wrażenie całkowitego bezruchu. Wrażenie, że nie spada, tymczasem spadał, i to z niewiarygodną wprost prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Musiał wiedzieć, na jakiej jest wysokości, i skorygować tor lotu, żeby nie wyskoczyć ze strefy zrzutu. Zmagając się z prądami powietrza i siłami grawitacji, podniósł prawą rękę, żeby zerknąć na ekranik wysokościomierza wmontowanego w namiernik GPS. Był sześć tysięcy metrów nad ziemią, dokładnie na kursie. Brak wiatru był jego najlepszym sprzymierzeńcem. Na szczęście nie musiał wykonywać skoku na celność, chociaż z drugiej strony, ledwie kilka kilometrów dalej ciągnął się łańcuch gór. Żeby wiedzieć, kiedy otworzyć spadochron, musiał nieustannie spoglądać na wysokościomierz. Wciąż nie było wiatru, więc zachowując prawidłową trajektorię, powinien spaść dokładnie tam, gdzie chciał. Zły dobór słów, pomyślał. Nie spaść, tylko wylądować. Dryfując na powietrznej poduszce, popadł w stan niemal euforycznego uniesienia. Nagle zamrugał wskaźnik GPS. Ostrzeżenie, że zboczył z kursu. Zacisnął szczęki, zmienił ułożenie ciała, a tym samym kształt poduszki, i wykonał powolny skręt. GPS przestał mrugać. Trochę mu ulżyło i już miał ponownie zerknąć na wysokościomierz, gdy zawibrował mu nadgarstek. Alarm. Ostrzeżenie, że zaraz osiągnie pułap krytyczny. Że po jego przekroczeniu nie zdąży otworzyć spadochronu. Serce waliło mu jak młotem. Wyprężył się, wygiął do tyłu i pociągnął za uchwyt wyzwalający. W górze jakby coś zaszepotało - rozwinęła się ciasno złożona czarna czasza. Jon zadarł z nadzieją głowę i raptem poczuł silne szarpnięcie uprzęży. Czasza była otwarta, pasy trzymały, wszystko szło zgodnie z planem. Ryk powietrza gwałtownie ustał. Smith odrzucił niepotrzebny już uchwyt wyzwalający. Kołysząc się łagodnie, spływał w dół. GPS wskazywał lekkie odchylenie od kursu, więc łagodnie skorygował



trajektorie linkami sterującymi; nie mógł robić tego zbyt gwałtownie, bo „przepompowały” czasę. Powróciwszy ma właściwy kurs, spojrzął pod nogi. Światełka były niespodziewanie blisko. Jak podczas każdego skoku. Ziemia pędzi ku skoczkowi znacznie szybciej, niż ten myśli, ponieważ nie ma się wycucia prędkości pionowej. Ponownie spojrzął w dół. Światełka płonęły w oknach domów, w ich szeroko rozrzuconych skupiskach, w osiedlach i małych wioskach. Pośrodku ziała ciemność, wielka, czarna otchłań. To tam. Tam musiało być lądowisko. Nareszcie. Podziękował w duchu za zdjęcia satelitarne okolic Dazu. Podziękował wszystkim tym, którzy ustalali i obliczali współrzędne strefy zrzutu, którzy potrafili przewidzieć, że w chwili skoku nie będzie wiatru. Odczepił od uprząży i wyrzucił, co tylko mógł - butle z tlenem, rękawice, izolowaną kominiarkę. Pędząca ku niemu ziemia była wciąż niewidoczna. Niespokojnie zerknął na wysokościomierz. Trzydzieści metrów. To ledwie kilka sekund. Ujrzawszy ziemię - zaorane pole, tak jak mu powiedziano - poczuł się dużo swobodniej. Teraz wiedział już, co robić. Rozluźnił mięśnie, rozsunął stopy, ugiął nogi w kolanach i wylądował. Gdy buty zapadły się w miękką, pobrużdżoną ziemię, załała go fala tępego bólu, pamiętka po porannym biciu. Ale nie, musiał o tym zapomnieć, i o biciu, i o bólu. Odbił się lekko, opadł, złapał równowagę i stanął prosto. Doszedł go silny zapach czarnoziemiu. Czasza osiadła cicho za nim. Stojąc samotnie pośrodku mrocznego pola, wyteżył słuch, lecz usłyszał tylko ciche brzęczenie owadów. Autostrada z Chongqingu do Chengdu musiała być gdzieś niedaleko, ale w niedzielę w nocy panował na niej mały ruch. W oddali dostrzegł czarne kępy drzew, które strzegły horyzontu niczym wartownicy. Szybko zdjął uprząż, ściągnął kombinezon, zebrał czasę i zakopał to wszystko składaną saperką. Gdy skończył zasypywać dół, usłyszał słaby, odległy odgłos. Jakby ktoś uderzał o siebie dwoma kawałkami metalu. Zamarł. Spięty, wyteżył słuch. Odczekał minutę. I jeszcze jedną. Wokoło panowała cisza. Zdjął szelki, które mocowały pistolet maszynowy podczas skoku, zarzucił broń na ramię, wykopał drugi dół i ukrył w nim szelki wraz z saperką. Otrzeпаł ręce. Zdjął z ramienia pistolet, spojrzął na namiernik GPS, żeby ustalić swoje położenie, przypiął broń do pasa i ruszył w kierunku drzew, ich czarnej, wystrzępionej linii na tle nieco jaśniejszego horyzontu. Jak zwykle rozglądał się wokoło, obserwując okolicę i odległe światełka. Niecałe dwie minuty później dostrzegł jakiś ruch na skraju kępy drzew. Złudzenie? Leżał na brzuchu z pistoletem maszynowym w rękach. Wyjął z pasa noktowizor, włożył go i powiódł wzrokiem po linii drzew. Był tam jakiś budynek, szopa, chata albo dom. Nie miał pewności co, bo zielonkawy obraz rozplýwał się i rozmazywał. Dostrzegł też chyba furmankę i dwukołową taczkę. Stały bez ruchu, i furmanka, i taczka. Nie tylko one, nie poruszało się tam absolutnie nic. Krowa? Pies? Nie, dosłownie nic. Mimo to coś tam przed chwilą było. Było i znikło. Odczekał jeszcze kilką minut. Zdjął noktowizor i schował go za pas. Ponownie zerknął na podświetloną tarczę namiernika GPS, wstał i poszedł dalej. I raptem znowu to usłyszał. Znowu ten sam odgłos. Ścisnęło go w gardle. Doskonale wiedział, co to jest: cichy szczęk odwodzonego kurka. Ruszył biegiem, a wokół niego, jak z rozsianych zębów mitycznego smoka, zaczęły wyrastać sylwetki ludzi. Ludzi z wymierzoną w niego bronią. Przykucnął i odbezpieczył pistolet. Musiał coś zrobić, musiał wykonać jakiś ruch. - Na twoim miejscu bym tego nie robił. Chłopcy są bardzo nerwowi. Rząd sylwetek zafalował. Kto to jest? Mieli poczernione twarze, ale nie byli w mundurach. Luźne cywilne ubranie, obcisłe wełniane czapeczki na głowie i ta angielszczyzna, ten znajomy głos. Nierówny szereg rozstał się i jeden z nich podszedł bliżej.

- Niejaki Fred Klein uprzedził nas, że możesz potrzebować pomocy. - Błysnęły w uśmiechu

białe zęby. Asgar Mahmout ruszył ku niemu z wyciągniętą ręką. Z jego ramienia zwisał ten sam stary kałasznikow.

- Miło cię widzieć, Asgar.
- Uścisnęli sobie dłonie. Ujgurzy otoczyli ich kręgiem, niespokojnie rozglądając się wokoło.- Chryste, człowieku, co z twoją twarzą? - Asgar wytrzeszczył oczy. – Wygląda tak, jakby pies na nią narzygał. Co się stało?

# Rozdział 35

**18 września, poniedziałek Dazū**

- 
- 
- Gdy opowiedział o ucieczce od Fenga i jego zabójców, Asgar ponownie uściskał mu rękę. Towarzyszyło mu dziewiętnastu ludzi. Wszyscy byli w luźnych, kolorowych ubraniach, ujęgurskich i zachodnich, tak samo jak w Szanghaju. Większość nie miała zarostu, kilku nosiło opadające wąsy tak jak Asgar. Milczeli. Słabo mówili po chińsku, żaden nie znał angielskiego. Jon zlustrował okolicę. Asgar strzelił nerwowo ciemnymi oczami.- Lepiej stąd spadajmy.Zagadał coś do swoich ludzi po ujęgursku. Wzięli Jona w środek i ruszyli przed siebie. Po lewej stronie były poletka ryżowe i w stojącej na nich wodzie, niczym w czarnym lustrze, odbijały się gwiazdy. Rysujące się za poletkami góry, łagodne i przysadziste, przypominały rząd fioletowych kleksów na tle nieba. To właśnie tam, w górach wykuto groty i ozdobiono je rzeźbami, w tym posągami Śpiącego Buddy, pod którym Li Kuonyi miała spotkać się z wysłannikiem McDermida, najprawdopodobniej z Fengiem.Asgar szedł tuż obok.- Jest legenda o tych górach - powiedział. - Chińczycy wierzą, że ich szczyty to boginie, które zstąpiły na ziemię i zakochały się tak mocno, że nie chciały powrócić do nieba. Chińczycy nie zawsze są tacy źli. Ale nie mów nikomu, że to powiedziałem.Szli przez ciemną noc.
- Skąd znasz Freda Kleina? - spytał Jon.
- Ja go nie znam, ale wygląda na to, że znam ludzi, którzy z kolei znają jego. Przekazali mi wiadomość i sporo gotówki na zorganizowanie tej akcji.
- Znasz ludzi, którzy znają Kleina? Na przykład kogo?
- Pewnego rosyjskiego emigranta, Wiktora.
- Kontaktuje się z tobą w imieniu Kleina?
- Tak, ale w tym przypadku inicjatywa wyszła ode mnie, bo odezwał się, gdy wysłałem mu wiadomość od kapitana Chiavellego z tej farmy.
- Smith wszystko zrozumiał.
- Masz tam swoich ludzi.
- Chińczycy nazywają ich kryminalistami. My więźniami politycznymi. Tak czy inaczej, w porównaniu z więzionymi tam Chińczykami są drobnymi przestępcami, których ukarano nieproporcjonalnie surowymi wyrokami.
- Ten, kto dla jednych jest patriotą, dla innych jest terrorystą.
- To nie takie proste. - Asgar wyglądał jak turecki zbój, choć połykał końcówki wyrazów jak rodowity Anglik i Jon po raz kolejny stwierdził, że świat stoi tu do góry nogami. - Sedno

problemu sprowadza się do tego, czy bojownik o wolność lub terrorysta działa dla dobra sprawy i swe go ludu. Jeśli nie, jest po prostu patologicznym egotystą, fanatykiem, dla którego „sprawa” liczy się bardziej niż jej cel. Często o tym myślę i prawie zawsze mam wątpliwości, zwłaszcza co do tych, którzy przez całe życie walczą po drugiej stronie granicy o wolny Turkiestan.

- Myślałem, że to zależy od interesów supermocarstw.
- Hm, tak, to też, prawda?
- Naprzeciwko była spora kępa drzew. Gdy tylko do niej dotarli, Ujgurzy skręcili w lewo, na skraj poletka, i zapalili latarki. Smith jak zwykle zlustrował okolicę. Podniósł wzrok i omal nie przystanął. Na konarach drzew zobaczył coś, co wyglądało jak gigantyczne gniazda os lub pszczoł.
- Co to jest? - spytał.
- Wiązki niewymłóconego ryżu. Chłopi przechowują je tam w obawie przed myszami i szczurami.
- Gdy zeszli z miękkiego, zaoranego pola, przyspieszyli kroku i wbiegli w coś, co wyglądało na odnogę lasu. Rosły tu brzozy, sosny i niskie krzewy, które próbowały przebić się przez zwarty baldachim igieł i liści. Kilkaset metrów dalej Asgar wydał szeptem rozkaz i trzech Ujgurów zawróciło, zmierzając tam, skąd właśnie przyszli. Mieli ich ubezpieczać, obstawić teren. Pozostali weszli do kamienistej dolinki, gdzie rozłożyli się z taką swobodą, jakby niedawno robili tu postój. W mroku między drzewami znikło jeszcze trzech, a reszta usiadła, tuląc do siebie broń i zamykając oczy. Asgar dał Jonowi znak. Przycupnęli przy wygasłym ognisku.
- Kiedy cię ewakuowali, zwialiśmy z plaży, ale było jasne, że ci, którzy nas ścigali, skojarzą nas sobie z dwoma 4x4 pełnymi zwariowanymi Ujgurów. Kilku na stałe zameldowanych w Szanghaju odesłałem z powrotem do *longtang*, a z pozostałymi przywarowałem tu, na zachodzie, dopóki się nie uciszyło. Taką mamy taktykę.
- A więc kiedy dostałeś wiadomość od Wiktora, byłeś blisko?
- Tak. Jeden z naszych przysłał z farmy wiadomość, że Wiktor chce przemycić tam Amerykanina nazwiskiem Chiavelli i że ten Chiavelli chce pogadać z Davidem Thayerem.
- Jon kiwnął głową.
- Klein organizuje grupę wypadową, żeby go ewakuować.
- Już nie - odparł Asgar. - Daliśmy kilka dużych łapówek i przemyciliśmy Chiavellego. Zameldował, że sytuacja jest sprzyjająca, że z Thayerem wszystko w porządku. Jest, a raczej było, bo jutro rano mają go gdzieś przenieść. Nie wiemy, czy to zwykły pech, czy władze coś zwietrzyły. Chiavelli przekazał wiadomość naszym, oni przekazali ją mnie, a ja Wiktorowi, który skontaktował się z Kleinem. Wiem, że się skontaktował, bo dostałem wiadomość zwrotną.

- Fred chciał, żebyś wyszedł mi na spotkanie, tak? Stąd nagła zmiana planów.
- Właśnie. Chce, żebyś pomógł ewakuować Thayera i Chiavellego. Dużo rzeczy może pójść nie tak i uważa, że ze swoimi umiejętnościami przydasz się na farmie.
- Na farmie?
- Tak, za drutami. W razie konieczności przemycimy cię tam i wyprowadzisz z Chiavellim Thayera. Jeśli coś pójdzie nie tak - dodał wesoło - będziecie musieli przebić się za ogrodzenie i pewnie dlatego Klein chce, żebyś osłaniał ich ogniem.
- Super - mruknął Jon. - Co może pójść nie tak?
- Na przykład to, że któryś ze strażników okaże się nieprzekupny.
- Smith westchnął.
- Coraz lepiej.
- Spokojnie, brachu, głowa do góry. To betka w porównaniu z tym, co czeka moich ludzi. Widzisz, prawdziwe kłopoty zaczną się dopiero wtedy, kiedy stamtąd wyjdziecie; mam nadzieję, że Chińczycy odkryją to dopiero na porannym apelu.
- Kłopoty z przerzuceniem Thayera i Chiavellego przez granicę?
- Właśnie. To nasze zadanie, piekielnie trudne. Jest takie stare chińskie powiedzenie: „Zamknij oczy, obróć się dokoła i bez względu na to, gdzie jesteś i która jest godzina, gdy ponownie je otworzysz, zobaczysz Chińczyka”. Ludzi tu tyle, że każdy Europejczyk czy Amerykanin rzuca się w oczy jak ryba na pustyni.
- W takim razie lepiej unikać strzelaniny. Mógłbym mieć poważne kłopoty z wykonaniem nadrzędnego zadania.
- Klein o tym wie. Kazał ci przekazać, że jeśli uznasz, że zagrazi to głównej misji, masz z tego zrezygnować.
- Też bierzecie w tym udział?
- Tak, wszyscy. Potem doprowadzimy Thayera do granicy.
- Macie gdzie przechować mnie do jutra?
- Asgar kiwnął głową.
- Będiesz bezpieczny jak mysz w świątyni.
- Kiedy mamy być na farmie?
- Nasi są już gotowi. Godzina zależy od ciebie. Czekają na sygnał.
- W takim razie ruszajmy. To daleko?
- Piętnaście, szesnaście kilometrów.

- Klein przekazał mi jeszcze coś?
- - Nie licząc tego, że twoim nadrzędnym zadaniem jest uratowanie traktatu o prawach człowieka, i tego, że dzięki tej akcji dostaniemy pieniądze i zyskamy wpływy w Waszyngtonie, chyba już nic. - Spokojna twarz Asgara nagle pociemniała. - W Białym Domu jest za dużo ślepców. Myślą tylko o jednym, o tym, żeby doprowadzić do podpisania traktatu przy współpracy Pekinu. Potem nie dostaniemy od nich już nic. Traktują Ujgurów jak kogoś, kogo w każdej chwili można się pozbyć, co nie zachęca nas do niesienia pomocy. Jednocześnie Klein rozumie, że pomoc musimy, że leży to w naszym interesie.- Jeśli Klein ma dobrą wolę teraz, będzie ją miał i potem. Nie zapomni o was i sytuacja geopolityczna na pewno się zmieni. Asgar bez przekonania kiwnął głową.- Najpierw farma, a potem gdzie?
- Śpiący Budda.
- Mahmout miał wątpliwości.
- Z rana zawsze tam tłoczno. Turyści, kramarze, wiesz, jak to jest.
- Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, załatwimy sprawę dużo wcześniej.
- Powiesz mi, co nas tam czeka?
- Zrobimy zasadzkę. To też coś w rodzaju misji ratunkowej.
- Kogo ratujemy?
- Nie kogo, tylko co. Dokument, który chciałem zdobyć w Szanghaju.
- Ważny dla traktatu?
- Tak. Teraz ja mam pytanie... Znasz jakąś trasę, którą potem mógłbym związać z Chin?
- Trasę? Niejedną. Tu nigdy nic nie wiadomo. Dysydenci i rewolucjoniści bez planów ewakuacyjnych to głupcy. Na szczęście dla nas, stawianie oporu nie jest tu w modzie, dlatego Chińczycy nie umieją go zwalczać. Ucieczka ma być szybka?
- Prawdopodobnie tak.
- Zawiadomię, kogo trzeba. - Spojrzał na swoich ludzi. Niektórzy już chrapali. Mądre chłopaki. Dobry partyzant potrafi zasnąć nawet na stojąco. - Chodźmy.
- Obszedł obozowisko, cicho do nich przemawiając. Zbudzili się, sprawdzili broń, z ukrytych pod głazami skrytek wyjęli zapasowe ładownice i przygotowani do wymarszu, przycupnęli pod skałami. Asgar cicho zagwizdał, przywołując sześciu ludzi z pikiety. Zameldowali, że wszędzie panuje spokój. Nad wierzchołkami drzew wisiał księżyc między pierwszą kwadrą i pełnią. Asgar wysłał przodem kilku swoich i dał znak Jonowi. Ujgurzy utworzyli dwie kolumny i weszli do lasu. Dziesięć minut później las się przerzedził. Ujrzeli bitą drogę, gdzie czekały land-rover, stareńki lincoln continental i dobity wojskowy łazik. Smith pytająco uniósł brwi.
- Paraset koni mocy, w dodatku amerykańskich? Nie za dużo jak na tą okolicę?
- Jeden to niechętny dar od pewnego tadżyckiego dziennikarza - odrzekł z uśmiechem Asgar. -

Dwa pozostałe „zarekwirowaliśmy” nocą w Afganistanie. To zdumiewające, co Amerykanie rozdają władcom Sojuszu Północnego i jak potrafią być nierozważni. To co? Na koń?

- Wsiedli i złożony z trzech wozów konwój ruszył wyboistą drogą pod bezkresnym, rozgwieżdżonym niebem. Ujgurzy, choć wyglądali na cywilbandę, zachowywali się jak dobrze wyszkoleni i wysoce zdyscyplinowani żołnierze, co podniosło Jona na duchu. Boczne drogi, wioski, pola, krowy. Asgar powiedział, że w tej części Chin nawet rower jest luksusem. Żeby pohandlować czy zobaczyć się z rodziną, większość ludzi pokonywała duże odległości na piechotę; nie widać tu było samochodów ani na drodze, ani przed domami. Domy stały grupkami, tworząc małe osady, wioski i duże wsie. Od czasu do czasu mijali przydrożne baraki, zakłady fryzjerskie, jadłodajnie i herbaciarnie. Mimo to nikt nie wyszedł, żeby sprawdzić, kto przejeżdża o tak późnej porze. Czy to miasto, czy wieś, w Chinach nie opłacało się być za ostrożnym.- Pewnie by na nas nie donieśli, nawet gdyby wyrzeli przez okno - powiedział Asgar. - Ściągać na siebie uwagę władz? To niezbyt mądre, nawet tutaj. Niecałe trzydzieści minut później Smith dostrzegł w oddali zarys wysokiego płotu i dwie wieże strażnicze. Kierowca zgasił światła. Asgar wydał rozkaz i samochody wjechały w kępę drzew.
- Rząd zakazał budowania domów w promieniu dwóch kilometrów od farmy. Zaparkujemy tutaj. Nie chcę, żeby zobaczył nas czy usłyszał jakiś strażnik.
- A potem?
- Potem? Jak to w wojsku: będziemy czekać.
- 
- 

## **17 września, niedziela Waszyngton**

- Ambasador Chin domagał się natychmiastowego spotkania z prezydentem. Sprawa była pilna, przynajmniej tak twierdził. Szef sztabu Charlie Ouray poszedł na górę, żeby zawiadomić Castillę, który w okularach na czubku nosa siedział w fotelu, pracując nad jakąś ustawą. Charlie zauważył, że prezydent postawił pod lampą oprawione w ramkę zdjęcie. Postawił, a raczej położył. Ouray nigdy go dotąd nie widział - trzynastoletni Castilla w stroju futbolowym, wysoki i tyczkowaty między dumnymi rodzicami. Wszyscy troje obejmowali się i uśmiechali. Kiedyś tworzyli zżytą rodzinę, a teraz Serge i Marian już nie żyli. Charlie spojrział na prezydenta.- Mam powiedzieć ambasadorowi, że go pan nie przyjmie? Mogę to trochę złagodzić. Powiem, że postara się pan wcisnąć go jutro, najlepiej przed wieczorem.Castilla rozważył wszystkie argumenty za i przeciw.
- Nie. Powiedz mu, że tak się przypadkiem składa, że ja też chcę się z nim zobaczyć. Niech się trochę pomartwi, co to może znaczyć.
- Na pewno, panie prezydencie?
- Charlie, nie będzie żadnego precedensu. Pozwolimy mu ochłonąć innym razem. Teraz chcę na niego nawrzeszczyć za „Cesarzową” i delikatnie zasugerować, że mamy dobrą wolę, że w celu uniknięcia konfrontacji chcielibyśmy nawiązać współpracę z pokojowo nastawionymi członkami chińskiego rządu. Ten traktat jest nam potrzebny z bardzo wielu powodów.

- Panie prezydencie, mimo to ambasador nie może pomyśleć...
- Że chcemy uniknąć incydentu? A dlaczego by nie? Jeżeli moja teoria jest poprawna, w Stałym Komitecie jest co najmniej kilku członków, którzy myślą tak samo jak my. Może nasz znakomity ambasador da się przekonać. Może uda nam się wybić mu z głowy konfrontację.
- Cóż...
- Zadzwoń, Charlie. Przecież wiesz, że Wu mnie nie zastraszy. Poza tym mam w zanadrzu kilka ostrych zarzutów. Jeśli nasze domysły są słuszne, jeśli w Pekinie rzeczywiście toczy się walka o władzę, pan ambasador będzie czuł się nieswojo i zachowa taką samą ostrożność jak my.



# Rozdział 36

## Waszyngton

- 
- 
- Pół godziny później do Gabinetu Owального wszedł ambasador Wu Bangtiao. Tym razem był w zwykłym garniturze i miał obojętną twarz, jakby występował w charakterze automatycznej sekretarki, która ma do przekazania nagrany wiadomość. Nadawał te same mieszane sygnały z naciskiem na ledwo tłumioną wściekłość.- Znowu naruszono naszą suwerenność, to jest nie do zniesienia! - wykrzyknął doskonałą angielszczyzną, z trudem powstrzymując gniew.Castilla nie wstał zza biurka.- Panie ambasadorze, zechce pan wyjść i wejść jeszcze raz.- Bardzo pana przepraszam, panie prezydencie - odrzekł Wu z cieniem uśmiechu na ustach. - Jestem tak zdenerwowany, że się zapomniałem.Castilla miał ochotę odparować, że to bzdura, że Wu nigdy się nie zapomina. Ale nie. Dobrze wiedział, że z szorstkością trzeba rozważnie.- Przykro mi to słyszeć, panie ambasadorze. Cóż pana tak zdenerwowało?- Godzinę temu mój rząd powiadomił mnie, że nad prowincją Sichuan namierzono wysoko lecący samolot wojskowy, który nasi eksperci zidentyfikowali jako E-2C Hawkeye AWACS, dokładnie taki sam, jakiego używa amerykańska marynarka wojenna. Dwie godziny wcześniej maszyna ta naruszyła chińską przestrzeń powietrzną. W świetle tego, że amerykańska marynarka wojenna nie przestaje niepokoić naszego statku towarowego na otwartym morzu, mój rząd dostrzega w tym oczywistą taktykę i stanowczo protestuje przeciwko naruszaniu naszych suwerennych praw.Castilla przeszył go wzrokiem.
- Po pierwsze, panie ambasadorze, sprawa „Cesarzowej” nie jest pogwałceniem waszych suwerennych praw.
- A ten samolot? Wie pan coś o tym?
- Nie i jestem przekonany, że nic takiego się nie stało.
- Na pewno, panie prezydencie? Ale nie zaprzeczy pan?
- Zaprzeczanie czemuś, o czym nic nie wiem i co na pewno znalazłoby rozsądne wytłumaczenie, gdyby nawet się stało, byłoby czystą głupotą. Twierdzi pan, że samolot ten zidentyfikowano jako AWACS? Obszar, o którym mówimy, leży bardzo blisko Birmy, gdzie Stany Zjednoczone prowadzą wojskowe operacje prewencyjne. Wierzę, że prowadzą je przy pełnym poparciu Chin...
- Wu lekko skinął głową.
- Rozsądna teoria, panie prezydencie. Istnieją jednak podejrzenia, że mniej więcej w tym samym czasie wylądował tam jakiś spadochroniarz. W pobliżu Dazu. Miejscowe władze prowadzą w tej sprawie śledztwo.
- Interesujące. Życzę sukcesów.
- Dziękuję, panie prezydencie. W takim razie nie będę już pana niepokoił. - Wu, którego nie poproszono, by usiadł, ruszył w stronę drzwi.

- Nie tak szybko, panie ambasadorze. Proszę spocząć. - Castilla powiedział to ze swoim najsurowszym wyrazem twarzy, lecz pod maską srogości wzbierały optymizm i nadzieja, że ryzyko, które właśnie podejmował, się opłaci. Wu Bangtiao nie wspomniał ani słowem o przerwanej akcji SEAL. Mogło to oznaczać tylko jedno: Stały Komitet nic o tej akcji nie wiedział. Kapitana chińskiego okrętu podwodnego uprzedził o niej jeden z jego członków, może jakaś frakcja, ale pozostali wciąż nie mieli o tym pojęcia.
- Wu zawahał się, niepewny, co to zaproszenie oznacza, lecz po chwili uśmiechnął się i usiadł.
- Ma pan do omówienia jeszcze jakąś kwestię, panie prezydencie?
- Tak, kwestię chińskiego okrętu podwodnego, który płynie w niebezpiecznie małej odległości za amerykańską fregatą „Crowe”. Okręt wojenny, który na otwartym morzu zagraża okrętowi wojennemu innego państwa? Prawo międzynarodowe uznałoby, że to klasyczny „incydent”.
- To zwykłe środki ostrożności, panie prezydencie. Próba zrównoważenia sił. Każdy okręt ma prawo być tam, gdzie jest. W tych okolicznościach mój rząd uznał, że nie ma innego wyjścia. - Na twarzy ambasadora wykwitł leciutki uśmiech. - Ostatecznie śledzimy śledzącego. Rutyna.
- Ale zdradziliście przy okazji jedną z waszych tajemnic. Chińskie okręty podwodne obserwują działania 5. Floty. Ocean Indyjski to jedyny akwen, z którego mogliście tak szybko dotrzeć na miejsce. - Krótkie, beznamienne stwierdzenie.
- Czujne oczy Wu leciutko drgnęły. Może ze złości, że jego pozycję negocjacyjną podkopał ktoś z Pekinu. Mimo to milczał. - Tak, oczywiście, zawsze uważaliśmy, że taka możliwość istnieje, ale teraz mamy konkretny dowód. Cóż, co będzie, to będzie. - Castilla machnął ręką. - Zrobię coś niezwykłego. Coś, z czym nie zgadzają się niektórzy z moich doradców. Powiem panu, dlaczego ta fregata tam jest. Otóż kilka dni temu otrzymaliśmy informację, że „Cesarzowa” przewozi znaczne ilości chlorku tonylu i tiodiglikolu. To bezspornie potwierdzony fakt. Nie muszę chyba wyjaśniać, co można z tych chemikaliów wyprodukować. Castilla czekał. Ale Wu milczał. Wyraz jego twarzy nie uległ najmniejszej zmianie. - Ilości tych substancji są znaczne - kontynuował prezydent. - Na tyle znaczne, że mogą służyć tylko do jednego celu. Do produkcji broni chemicznej. Wu zeszywniał. - „Yinhe”? Znowu? Panie prezydencie, doprawdy... Castilla pokręcił głową. - Wtedy wiedzieliście na pewno, że się mylimy. Dzięki temu mogliście zaprzeczać do samego końca i zrobić z nas idiotów. Wygralibyście tak czy inaczej. Gdybyśmy nie weszli na pokład, uznano by, że się przestraszyliśmy i zdobylibyście punkt. Natomiast gdybyśmy weszli, powiedziano by, że jesteśmy nierozważni i arogancy. A ponieważ jednak weszliśmy, zdobyliście nie tylko punkt, ale i dokonaliście niemałego wyczynu na arenie międzynarodowej. Wu robił wrażenie osłupiałego.
- Jestem wstrząśnięty, panie prezydencie. Postępowaliśmy tylko zgodnie z międzynarodowym prawem, wtedy i zawsze.
- Bzdura - odparł przyjaźnie Castilla. - Ale powiedziałem panu o tym nie bez powodu. Widzi pan, uważamy, że tym razem Pekin nie wie i ni gdy nie wiedział, co przewozi „Cesarzowa”.

Uważamy, że wasze naj wyższe władze nie mają z tym nic wspólnego i były bardzo zaskoczone pojawieniem się „Crowe'a”. Co oznacza, że jeśli wejdziemy na pokład „Cesarzowej”, wasz kraj wypadnie bardzo źle w oczach opinii międzynarodowej, zwłaszcza że waszym głównym dalekosiężnym celem jest na wiązanie wymiany handlowej z resztą świata.

- Ambasador Wu Bangtiao długo milczał, wpatrując się w prezydenta i zbierając myśli. Gdy się wreszcie odezwał, tak samo jak podczas poprzedniego spotkania ważne było nie to, co powiedział, tylko to, czego nie powiedział.- Nie moglibyśmy dopuścić do tak rażącego naruszenia prawa, jakim byłoby wejście na pokład statku handlowego pod chińską banderą na otwartym morzu. Żadnych protestów, zaprzeczeń, kręctw czy pogroźek. Castilla usłyszał to, co ambasador przemilczał.- Ani Stany Zjednoczone, ani świat, łącznie z Chinami, nie może ryzykować, że rząd nieodpowiedzialnego państwa wejdzie w posiadanie chemicznej broni masowego rażenia. Ambasador kiwnął głową.
- W takim razie mamy impas, panie prezydencie. Co pan proponuje?
- Może przełamałby go konkretny dowód. Manifest okrętowy waszego statku.
- Taki dowód nie istnieje, ponieważ ładunek, o którym pan wspominał, nie może pochodzić z Chin. Jednakże gdyby istniał, dla dobra międzynarodowego prawa mój rząd musiałby go uwzględnić.
- Gdyby istniał.
- - Choć istnieć nie może. Castilla uśmiechnął się.- Dziękuję, panie ambasadorze. Myślę, że na tym zakończymy nasze spotkanie. Wu wstał, ponownie skłonił głowę i wyszedł z gabinetu. Prezydent śledził go wzrokiem. Potem nacisnął przycisk interkomu.- Panno Pike, proszę wezwać szefa tajnych służb. Castilla siedział w mrocznym gabinecie Freda Kleina.
- Twój AWACS i ten Smith zostali zauważeni w pobliżu Dazu. Chińczycy już go szukają. Tak przynajmniej twierdzi ambasador Wu.
- Niech to szlag - mruknął Klein. - Miałem nadzieję, że go nie narmierzą. Smith ma dość roboty i bez tego.
- Dlaczego nie wsadziłeś go do B-2? Jest niewidzialny dla radarów,
- Nie było czasu na ściągnięcie go z Whiteman. Musiałem skorzystać z tego, czym dysponowała marynarka. Wziąłbym myśliwiec, bo ma wyższy pułap lotu, ale wtedy Smith musiałby się katapultować i Chińczycy mogliby znaleźć fotel. Co jeszcze zauważyli?
- Ambasador wspominał tylko, że wykryto samolot i mają podejrzenia, że pod Dazu wylądował jakiś spadochroniarz.
- Dobrze. To znaczy, że nie są tego pewni, że ani go nie namierzyli, ani nie znaleźli spadochronu. Przy odrobinie szczęścia wszystko pójdzie zgodnie z planem.
- Dzięki pomocy ludzi, którzy mieli go odebrać? Tych, o których nie chciałeś mi powiedzieć?
- Tak, takie są założenia. Chińczycy woleliby już chyba, żeby tę akcję przeprowadzili sami Amerykanie.

- Castilla streścił mu dalszy przebieg spotkania z ambasadorem Wu.
- Mieliśmy rację. Chińczycy dowiedzieli się o „Cesarzowej” dopiero wtedy, gdy pojawił się za nią „Crowe”, i dopiero wtedy zrozumieli, że coś tu nie gra. Gdy wymieniłem nazwy tych chemikaliów, Wu był wstrząśnięty. Zamelduje o wszystkim Pekinowi. Ten manifest, Fred. Jak długo to jeszcze potrwa?
- Smith na razie milczy, ale tak miało być. Jest coś nowego na temat tych przecieków?
- Nie, cholera, nic. Ciągłe szukamy. Ograniczyłem grono wtajemniczonych. Teraz wiedzą o tym tylko ci, którzy muszą.

## 18 września, poniedziałek Dazu

- Czekali, głęboko ukryci w gęstej kępie drzew, gdzie słychać było tylko przytłumiony warkot samochodów na odległej autostradzie. W promieniu trzech, czterech kilometrów wciąż płonęły światełka w oknach nielicznych chat. Oddechy spiętych Ujgurów tworzyły nerwowy rytm, który zakłócało jedynie powolne bicie jego serca. Któryś z nich głucho stęknął, przestępując z nogi na nogę. Poruszył się i Smith; musiał rozprostować kości. Ale z więziennej farmy nie dochodził żaden odgłos. Cisza. Żadnego ruchu. Asgar spojrział na zegarek.
- Tamci powinni już tu być. Coś tu nie gra.
- Jesteś pewien, że byli gotowi do ucieczki?
- Powinni. Trzeba tam pójść i sprawdzić.
- Będą kłopoty.
- Przerywamy akcję?
- Jon zmarszczył czoło. Bardzo chciał ewakuować Thayera, ale bał się, że ściągnie sobie na kark hordy wojska i policji, co odstraszyłoby Li Kuonyi. Z drugiej strony, gdyby zrobili to razem, Asgar, Chiavelli i on, trzech uzbrojonych zawodowców, ich szansę byłyby znacznie większe. W przeciwnym razie Chiavelli zostałby sam, bo Thayer pewnie nie strzelał od pół wieku, jeśli w ogóle kiedykolwiek strzelał. Tak czy inaczej, musieli spróbować jeszcze tej nocy. Gdyby postawili na nogi strażę, naczelnik więzienia natychmiast ściągnąłby tu wojsko. Dlatego musiał im pomóc, żeby uciekli niezauważenie. Tak było najbezpieczniej. - Dobra, poszukajmy ich - zdecydował. Asgar powiadomił swoich, co się dzieje i co zamierza. Wybrał trzech, klepnął ich w ramię i w piątkę wyszli z lasu. Pochyleni, przebiegli cicho przez świeżo obsadzone pole - ziemia była bardzo miękka i obolały Jon z trudem za nimi nadązał - wreszcie wpadli do ciemnego sadu, między obwieszane dojrzewającymi owocami jabłonie, gdzie szło mu się dużo lepiej. Na znak Asgara gwałtownie przystanęli i zalegli w trawie. W lewą stronę i prawą ciągnął się przed nimi pas nagiej ziemi, strefa bezpieczeństwa, za którą ujrzeni wysokie ogrodzenie uwieńczone zwojami drutu kolczastego. Pas miał trzy metry szerokości i pokrywały go grudy suchej ziemi. Nienawodniony, niczym nieobsiany, wyjałowiony i zagrabiony, był jak ziemia niczyja.

- Idę - powiedział Asgar. - Zabiorę ze sobą...
- Mnie - wpadł mu w słowo Jon. - Chcę, żeby Chiavelli i Thayer wiedzieli, że tu jestem, a z twoimi ludźmi się nie dogadam. Zostaną tu i będą nas osłaniali.
- - Dobra, chodź. Nisko pochyleni, popędzili do ogrodzenia. Jona bolały wszystkie mięśnie, zalewał go pot. Gdy dotarli na miejsce, na wieży strażniczej po lewej stronie zapłonął reflektor. Runęli na ziemię i przywarli do siatki. Od pyłu Jonowi zakręciło się w nosie. Omal nie kichnął. Świetlista smuga przesunęła się nad nimi, zawróciła i przesunęła się ponownie. W powietrzu zawibrował cichutki szept Asgara:
  - Do diabła, co się tu dzieje? Nigdy dotąd tak nie wariowali.
  - Coś ich wystraszyło.
  - Chyba tak. Kiedy zgaśnie, idziemy w lewo.
- W baraku panował gęsty mrok. David Thayer siedział przy drewnianym stole, wkładając do saszetki jakieś papiery i rzeczy, które chciał zabrać na pamiątkę. Chiavelli zapalił latarkę, żeby sprawdzić, co starzec robi. Siwe włosy Thayera zaśniły w świetle jak świeży śnieg. - Da pan radę? Może być dużo trudniej, niż się spodziewamy. Mogą pana ranić albo zabić. Jeszcze nie jest za późno. Jeśli się pan rozmyślił, proszę mi powiedzieć. Thayer podniósł głowę. - Zwariował pan? - rzucił z roztańczonymi oczami. - Czekałem na to całe życie. Dosłownie. Znowu zobaczę Amerykę. Znowu zobaczę syna. Chryste, to niemożliwe! Czuję się jak stary głupiec, ale nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. - Z jego pomarszczonej twarzy biła radość. Chiavelli gwałtownie odwrócił głowę i spojrzał w stronę okna.
  - Co to?
  - Nic nie słyszałem.
  - Ale starzec miał już słaby słuch. Chiavelli podszedł do okna.
  - Cholera jasna!
  - Co się stało?
  - Naczelnik. Łazi ze strażnikami. Sprawdzają baraki. Teraz idą do Ujgurów. Potem nasza kolej.
  - Thayer pobladł.
  - Co robimy?
  - Niech pan odłoży wszystko na miejsce. - Chiavelli wrócił biegiem do stołu. - Niech pan się rozbierze i udaje, że śpi. Szybko.
  - Poruszając się z zadziwiającą jak na swoje lata szybkością, Thayer rozpakował saszetkę, zerwał z siebie ubranie i włożył nocną koszulę. Chiavelli - był już w bieliźnie - wskoczył na prycę. Trzasnęły drzwi i chwilę później do pokoju weszło dwóch strażników. - Wstać! Udawali

zaspanych, więc strażnicy brutalnie ściągnęli ich z prycz. Wszedł naczelnik. Łypnął spode łba na Chiavellego.

- Nie tak ostro - rzucił do swoich ludzi i przeniósł wzrok na Thayera, szukając czegoś, co powiedziałoby mu, że starzec udaje..- Spałeś?
- Miałem dobre sny - odparł poirytowany Thayer z przymkniętymi oczami.
- Musimy przeszukać barak.
- Strażnicy zajrzeli do szafki, odsunęli prycze od ściany, wyjrzeni nawet przez okno, żeby sprawdzić, czy nikogo tam nie ma. W prawie nagim pokoju było niewiele kryjówek. Naczelnik powoli chodził tam i z powrotem.- Możecie wracać do łóżek - rzucił wreszcie do Thayera. Gdy wyszli, Chiavelli wyteżył słuch.- Wystawić wartę przed każdym barakiem - mówił naczelnik. – Po jednym strażniku. Co godzina sprawdzać, czy śpią. Od tej chwili obowiązuje całkowita blokada. Jutro nie idą do pracy. Nikt stąd nie wyjdzie, nikt tu nie wejdzie. Absolutnie nikt. Do odwołania.Odszedł. Za nim strażnicy. Ktoś zamknął drzwi. Chiavelli podbiegł do okna. Stał tam przez jakiś czas.
- Wraca do biura, ale bez jednego strażnika. Musiał zostawić go przed naszym barakiem.
- To nie ma znaczenia...
- To nie, ale wprowadzili blokadę i co godzina będą nas sprawdzali. Dzisiaj nic z tego. Nawet gdybyśmy dali radę wyjść za ogrodzenie, nie uszlibyśmy dwóch kilometrów.
- Thayer ciężko usiadł.
- Nie. - Opadły mu ramiona. Był zrozpaczony. - Tak, ma pan rację.
- Dobrze w tym wszystkim jest tylko to, że chyba nas z tym nie łączą i nigdzie pana nie przeniosą. Ta blokada pana uratowała.
- Thayer podniósł wzrok.- A więc będziemy czekać. I mieć nadzieję. Zdążyłem do tego przywyknąć, ale tym razem jest mi dużo trudniej.

# Rozdział 37

**Dazu**

- 
- 
- Nieruchomiejąc, ilekroć przesuwiała się nad nimi smuga światła z reflektora, którym strażnik na chybił trafił omiatał teren, mocno pochyleni Smith i Asgar to czołgali się, to truchtali wzdłuż ogrodzenia. Asgar wiedział, dokąd idą. Wiedział też, kiedy przypaść do ziemi, kiedy pełznąć dalej i kiedy przystanąć. Nagle przykucnął. Jon znieruchomiał i poszedł za jego wzrokiem. Asgar patrzył na niski, kwadratowy budynek dziesięć metrów za ogrodzeniem. Budynek miał z tyłu duże, podwójne drzwi, lecz nie miał okien. Od drzwi biegła dochodząca do drogi ścieżka.
- Tędy mieli wyjść - szepnął Asgar.
- Co to za dom?
- Kuchnia i kantyna. Zostaniemy tutaj. Cholera jasna, mam nadzieję, że nie będziemy musieli się tam przebijać. Tymi drzwiami wnoszą do kuchni zapasy, ale ważne jest to, że między drzwiami i ogrodzeniem jest martwa strefa, trzymetrowej szerokości pas, którego nie widzą ci z wieży.
- Cenna informacja.
- Czekali, leżąc tuż przy ogrodzeniu. Jon nie odrywał oczu od drzwi. Czas stanął w miejscu, pochłonęła ich noc. Ciszę przerwał tupot buciorów na drewnianym chodniku, ciężki i groźny. Smith zmarszczył brwi.
- Co to?
- Idą w kierunku budynku administracyjnego i wartowni. - Asgar szeptał tak cicho, że Jon ledwo go słyszał. - Musieli ogłosić alarm albo naczelnik przeprowadza nagłą inspekcję. Kiepsko to wygląda.
- Blokada?
- Zaraz się przekonamy - odparł posepnie Asgar. Podniósł mały kamyczek i przerzucił go przez siatkę. Kamyczek spadł na ziemię, stuknął cichutko, prawie niesłyszalnie.
- Za ogrodzeniem wciąż panował całkowity bezruch, nie drgnął tam nawet ani jeden cień. I nagle Jon poczuł piekące uderzenie w policzek. Ktoś cisnął w niego kamyczkiem. Asgar kiwnął głową. - To umówiony znak. Wprowadzili blokadę. Będziemy musieli poczekać. Przy odrobinie szczęścia za dwadzieścia cztery godziny wszystko wróci do normy. Dobrze w tym jest tylko to, że nie przeniosą Thayera. Choć blokada może potrwać dłużej, nawet tydzień. - Oby nie. Ze względu na nas, a zwłaszcza na Thayera.

**17 września, niedziela Waszyngton**

- Do Gabinetu Owalnego wszedł cicho Charles Ouray.- Panie prezydencie? Przepraszam, że przeszkadzam.Castilla podniósł wzrok znad codziennego raportu. Przedwieczorne słońce ogrzewało mu kark i zalewało blaskiem cały gabinet.
- Tak?
- Pani dyrektor CIA chciałaby zamienić z panem kilka słów.
- Castilla zdjął okulary.
- Oczywiście, poproś ją, Charlie, poproś.
- Ouray wprowadził do gabinetu kobietę w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Niezbyt wysoka, przysadzista i nieco przy kości, miała krótkie szpakowate włosy, wielkie, budzące respekt piersi i chodziła bardzo stanowczym krokiem. Ci, którzy musieli odpowiadać na jej pytania, porównywali ją do lekkiego czołgu, szybkiego, zwrotnego i potężnego.- Usiądź, Arlene - powiedział Castilla. - Miło panią widzieć, jak zawsze. Co się stało?Zerknęła na Ouraya, który stanął jak zwykle pod ścianą po prawej stronie prezydenta.
- Wszystko w porządku - dodał Castilla. - Charlie już wie.
- Rozumiem. - Skrzyżowała pod krzesłem nogi w kostkach i przez chwilę zbierała myśli. - Panie prezydencie, czy zechciałby pan najpierw zapoznać mnie z najnowszymi doniesieniami na temat Jaspera Kotta i Ralphi McDermida? Jak wygląda sytuacja? Kiedy chce pan to ujawnić?
- Poza CIA pracuje nad tym FBI. Obserwują i zbierają informacje. Problem polega po części na dokładnym ustaleniu zakresu ich przestępstwa. Co z tego, co zrobili, jest niezgodne z prawem? Przekazywanie jawnych informacji na pewno nie. Ale jeśli uda nam się udokumentować ich rolę w sprawie „Cesarzowej”, oskarżymy ich o współudział w przemyśle nielegalnych chemikaliów. Możliwe jednak, że Kott przekazywał McDermidowi tajne informacje. Dobrze pani wie, że każde śledztwo wymaga czasu. Tak czy inaczej potrzebujemy mocnych dowodów, żeby ich skazać, dlatego nie mogą niczego podejrzewać. Dobrze, powiedziałem, co wiem. A pani? Dowiedziała się pani czegoś nowego?
- Arlene z powagą skinęła głową.- Mamy świeży ślad. Niewykluczone, że pozwoli nam zidentyfikować sprawcę. McDermid kontaktuje się z kimś jeszcze. Z kimś stąd, z Waszyngtonu. Ma jeszcze jednego sojusznika. Może nawet współnika. To mężczyzna. Prawdopodobnie ktoś wysoko postawiony. Jak dotąd nie znamy jego personaliów.Rozwścieczony Castilla stłumił przekleństwo.- Skąd o tym wiecie?- Założyliśmy podsłuch w biurze McDermida w Hongkongu.Prezydent uśmiechnął się, pierwszy raz tego dnia.
- Są takie chwile, kiedy przebiegłość CIA bardzo mnie cieszy. Dziękuję, Arlene. Szczerze. Rozumiem, że problem polega na tym, że nie zdołaliście go jeszcze zidentyfikować, tak?
- Tak. Jedna z naszych agentek twierdzi, że zna ten głos, ale nie może go sobie z nikim skojarzyć.
- Pani też go słyszała?



- Tylko przez telefon, a to nie to samo. Ale taśma jest już w drodze do Waszyngtonu. Wiezie ją kurier z Hongkongu.
- - Kiedy już coś ustalicie, proszę dać mi znać. Jeżeli pani ludzie nie zdołają go zidentyfikować, zechce pani przysłać tę taśmę tutaj. Może rozpozna go ktoś z Białego Domu.
- Dobrze, panie prezydencie. - Arlene chciała już wstać.
- Jak przebiega śledztwo w sprawie McDermida? - powstrzymał ją Castilla. - Są jakieś postępy?
- Jak dotąd nie zdołaliśmy ustalić, dlaczego zaangażował się w sprawę „Cesarzowej”, ani on, ani jego firma. Oczywiście nie licząc oczywistego powodu: finansowego zysku ze sprzedaży chemikaliów.
- Dobrze. Dziękuję, Arlene. Świetna robota.
- Robię tylko swoje, panie prezydencie. Oby się to wszystko szybko skończyło. Przypomina to racę, która lada chwila może zmienić się w pocisk nuklearny.
- Właśnie - rzucił od ściany Ouray.
- Udanych łowów - powiedział Castilla. - Proszę informować mnie na bieżąco.
- Oczywiście, panie prezydencie.
- Charlie, odprowadź panią dyrektor. Porozmawiamy później.
- Gdy Ouray i Arlene wyszli, Castilla podniósł słuchawkę niebieskiego telefonu i zaprosił do siebie Kleina. Musiał powiedzieć mu, czego dowiedziała się CIA - i czego się jeszcze nie dowiedziała. Poza tym on też nie chciał ryzykować kolejnego przecieku.

## 18 września, poniedziałek Dazu

- Nad wschodnim horyzontem zawisła cytrynowa mgiełka, co oznaczało, że nadchodzi świt. Wiekowa limuzyna, wojskowy łazik i land-rover przejechały konwojem osiem kilometrów przez lesiste wzgórza i falujące pola. Wreszcie skręcili na podwórze pełne mrocznych, wilgotnych cieni. Rysujące się w oddali fiołkowe wzgórza Baoding Shan zaczynała zalewać blada zieleń. To właśnie tam był Śpiący Budda, to właśnie tam miało dojść do niezwykle ważnego spotkania z Li Kuonyi i jej mężem. Dzień wstawał ciepły, słoneczny. Na podwórzu stał stary rosyjski autobus z pracującym silnikiem.
- Po co to? - spytał Jon, gdy zaparkowali. Pozostałe samochody stanęły obok nich i kierowcy wyłączyli silniki.
- Alani i jej grupa chcieli odwiedzić tym Thayera i Chiavellego do granicy. Mieli udawać Ujgurów wracających do Kaszgaru.
- Ryzykowne. Za dnia rozpoznaliby ich nawet w makijażu.
- Zaczekaj. Coś ci pokażę.

- Asgar przeszedł po klepisku i zagadał do siedzącego za kierownicą Ujgura, który natychmiast wyłączył silnik. Sztywno wysiadł i ruszył za Asgarem w stronę domu.- Chodź, Jon.Gdy weszli do środka, Asgar wskazał dwa obszerne kobiece stroje leżące na drewnianym stole, jeden czarny, drugi brązowy.
- W Xinjiang wiele kobiet nosi woalki, ale te najbardziej ortodoksyjne wolą takie coś. Koszmar, nie? Przebierzemy ich i posadzimy obok Alani, bo jest wysoka. Ugną nogi w kolanach i nikt nic nie zauważy.
- Mogą ukryć pod spodem broń.
- Chata była stara, ze zniszczoną podłogą, sterczącymi ze ścian deskami i odsłoniętymi belkami. W głównej izbie stały ręcznie robiony stół, krzesła, kredens i szafy. Za wąskim, hakowatym przejściem do sypialni widać było łóżko, umywalkę na drewnianym stojaku, glinianą miskę i dzban. Ujgurów tu nie było, nie licząc kierowcy autobusu, który siedział przy stole w kuchni za kolejnym łukowatym przejściem.
- Gdzie mogę się przespać? - spytał Smith. Wiedział już, że musi czekać do północy, i nagle ogarnęło go potworne znużenie. Bolały go wszystkie mięśnie. Swędziała poraniona twarz. Chciał tylko zmyć z niej czernidło, zjeść coś i paść na byle jakie łóżko.
- Mamy tu piwnicę. A za przegrodami w stodole jest kilka ukrytych pomieszczeń. Chcesz iść spać czy najpierw coś zjesz?
- - Nie, najpierw zjem.Weszli do kuchni, gdzie przy drugim stole jadło trzynastu partyzantów. Kobiety gotowały coś i roznosiły pełne talerze. Były wśród nich dwie wesole specjalistki od makijażu z szanghajskiego *longtang*, które zachichotały na jego widok, wskazując mu zlew. Ochlapał twarz zimną wodą i mydłem domowej roboty - zalatywało łojem - zmył z niej tłuste czernidło:Czując się trochę lepiej, usiadł przy stole obok jakiegoś starca. Ten spojrzał na niego pytająco, co ty tu, do diabła, robisz? - po czym wzruszył ramionami i zajął się jedzeniem.Przysiadł się do nich Asgar z miską potrawy, którą poczęstował go w Szanghaju - ryż przyprawiony skrawkami baraniny, marchwią, cebulą, łuskaną fasolą i tłuszczem z baraniego ogona. Postawił ją na stole obok innych misek. Wygłodzony po długiej, pełnej napięcia nocy, Jon nałożył sobie obficie wszystkiego po trochu. Faszzerowane baraniną kluski z cienkiego ciasta były przepyszne. Baranie kiełbaski miały kruchą, chrupiącą skórkę, mięciutkie nadzienie i bynajmniej nie odstręczały zapachem, który wielu Amerykanów uważa za nieprzyjemny.Jadł, a Asgar obserwował go, też jedząc. Chwila ta musiała wzbudzić w nim nostalgiczne wspomnienia.- Na długo zanim osiedliśmy na roli, byliśmy nomadami i paśliśmy owce. Baranina jest dla nas tym, czym ryby dla Japończyków, a wołowina dla Argentynczyków czy Amerykanów. Bardzo mi się podobało, że w Anglii zawsze mogłem kupić dobrą baraninę. Czasem udało mi się zdo być owieczką rasy Southdown... Ach, to było najlepsze mięso, jakie jadłem od wyjazdu z Chin.Smith wytarł talerz chlebem.
- Niewielu lubi angielską kuchnię.
- Ja ją uwielbiałem, staruszk. Prawdziwa angielska kuchnia: dużo łoju w puddingu, kluseczki, pieczone, podroby, gęste sosy i baranina. Może właśnie dlatego, kiedy przyjeżdżało

tu tyłu Anglików, rozumieli nas o wiele lepiej niż Chińczycy i Rosjanie razem wzięci.

- Skończywszy jeść, wyszli na podwórze i Asgar zaprowadził go do małej szopy przy lewej ścianie chaty. W środku, przy wychodzącym na podwórze oknie, stał samotny Ujgur z lufą karabinu wspartą na parapecie.
- Obstawiliśmy dom ze wszystkich stron - powiedział Asgar, gdy go minęli.
- Co będzie, jeśli odwiedzi was policja?
- To wielopokoleniowa rodzina. Pracują na roli. My się tu ukrywamy, a oni przechowują nas i karmią. Wszyscy ich tu znają.
- Zmyślnie ukrytymi schodami zeszli do piwnicy, którą oświetlało kilka nagich żarówek. Na ustawionych w rzędy pryzkach spali mężczyźni i kobiety. Asgar wskazał mu wolną pryzkę, położył się na sąsiedniej i niemal natychmiast zaczął chrapać. Smith wyciągnął się, napinając i rozluźniając mięśnie. Wmówił sobie, że czuje się lepiej. Zresztą był pewien, że będzie tak, gdy się obudzi. Próbował zasnąć, lecz wciąż wracał myślami do niespodziewanych trudności związanych z ewakuacją Davida Thayera. Wiedział, że akcja, do której miało dojść za niecałe dwadzieścia cztery godziny pod posągiem Śpiącego Buddy, grozi licznymi komplikacjami, a nawet klęską. Najmniejszy błąd podczas odbijania Thayera mógł zniweczyć całą misję. Przewrócił się na jeden bok, potem na drugi. Wreszcie zapadł w niespokojny sen.

## **Pekin**

- Było wczesne przedpołudnie i w normalnych okolicznościach Sowa już od kilku godzin siedziałby przy biurku w Zhongnanhai. Ale tego dnia pracował u siebie, w domu. Palił swoje ulubione playersy, stemplując i podpisując dokumenty, gdy żona wprowadziła do gabinetu ambasadora Wu Bangtiao. Niu natychmiast odłożył papierosa i wstał, żeby go powitać. Na jego twarzy zagościł rzadki ostatnio szeroki uśmiech. Byli wiernymi sojusznikami i przyjaciółmi; wpływom oraz dyskretnym namowom Niu ambasador zawdzięczał wyjazd na placówkę w Waszyngtonie.- Witaj, stary przyjacielu - powiedział Niu, gdy zostali sami. Uścisnął drobną dłoń Wu. - To prawdziwa niespodzianka, zważywszy na dzisiejsze trudności w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. O pańskim powrocie dowiedziałem się dopiero dziś rano - dodał z lekką naganą w głosie. Ambasador drgnął.- Ze względu na te trudności przyjechałem po kryjomu, panie ministrze. Musiałem skonsultować się z panem w cztery oczy. Naturalnie przyjechałem tu prosto z lotniska i natychmiast po rozmowie wracam do Ameryki. Niu zeszywniał, wiedząc, że powodem tej długiej i tajnej wyprawy ambasadora musiało być coś niezmiernie ważnego. Mimo to nadał się uśmiechał.- Naturalnie, naturalnie. Usiądź, przyjacielu. Odpręż się. Wu usiadł, ledwo dotykając krzesła. Odprężyć się nawet nie próbował, ale Niu bynajmniej tego nie oczekiwał.
- Dziękuję, panie ministrze. Czy mogę mówić otwarcie?
- Koniecznie. To, co powiemy, pozostanie między nami. - Niu wziął popielniczkę, obszedł biurko i w geście przyjaźni usiadł obok Wu. Ale nie poczęstował go papierosem. Posunąłby się za daleko. - Słucham. - Zaciągnął się dymem.
- Rozmawiałem z amerykańskim prezydentem i przekazałem mu pańską wiadomość dokładnie

tak, jak pan sobie życzył. Oświadczyłem, że stanowczo protestujemy przeciwko tak rażącemu naruszeniu naszych suwerennych praw. Jednocześnie nadmieniałem, że nie chcemy doprowadzić do żadnego incydentu i nie szukamy okazji do konfrontacji, która mogłaby wymknąć się spod kontroli obu zainteresowanych stron.

- Sowa tylko skinął głową. Nawet w rozmowie z dobrym sojusznikiem słów używał jedynie wtedy, gdy było to absolutnie niezbędne. Wu uśmiechnął się leciutko.
- Prezydent powiedział, że to rozumie. Jak już wspomniałem, jak na Amerykanina jest bardzo subtelny. Wychwytuje najdrobniejsze niuanse. Wyczułem, że szczerze martwi go to, iż ta sytuacja może doprowadzić do wojny. Twierdzi, że chce jej uniknąć, i gdyby powiedział to ktoś inny, pewnie bym mu nie uwierzył, ale jemu wierzę. On nie kłamie. Widać to po doborze słów, po nacisku na poszczególne słowa, po jego zachowaniu.
- Imponujące. - Sowa z trudem poskromił niecierpliwość.
- Tak, to niezwyklej ale zrobił coś jeszcze niezwyklejszego: wyjawiał mi, co robi i dlaczego.
- Niu uniósł brwi.- To znaczy? Ambasador zrelacjonował mi przebieg spotkania w Gabinetcie Ovalnym. Sowa uważnie słuchał, intensywnie myśląc. I nagle go olśniło. Wiedział już, co go tak niepokoi; amerykański prezydent nieświadomie podsunął mu odpowiednie pytanie. Skoro Stany Zjednoczone nie chciały konfrontacji i skoro nie chciały jej Chiny, komu mogło na niej zależeć? Dlaczego ku niej zmierzali? W chwili obecnej kryzys był zupełnie niepotrzebny i wyglądało to tak, jakby ktoś nie tylko próbował do niego doprowadzić, ale i celowo podsycił napięcie. Przypomniało mu się to, co usłyszał od majora Pana, i to, o czym mówili na posiedzeniu Stałego Komitetu. Najgroźniejszym jastrzębiem między jastrzębiami był Wei Gaofan. To prawda, że dzięki przymierzu z Li Aorongiem i jego zięciem mógł dużo zarobić na przewożonych przez „Cesarzową” chemikaliach. Niewykluczone, że zarabiał tak już od dłuższego czasu. Ale jaki przyświecał mu cel teraz, gdy wiadomość o statku dotarła do najwyższych władz chińskich i amerykańskich? Nie. Sowa był pewien, że gdyby Gaofan mógł cofnąć Chiny w przeszłość, bez mrugnięcia okiem poświęciłby cały zysk. W głębi serca był ideologiem, twardogłowym komunistą, który nigdy nie zapomniał o Mao, o Chu Teh i o placu Tiananmen. Marzył, żeby tamte dni powróciły. Dowodem było choćby to, że wysłał okręt podwodny za amerykańską fregatą. Żeby postawić na swoim, bez wahania dążył do eskalacji napięcia, do przekształcenia konfrontacji w otwarty konflikt. Żeby zwyciężyć, mógł posunąć się nawet do wojny. Przypomniał mu się Konfucjusz, jego dwie definicje klęski. Jedna mówiła, że klęska to katastrofa, druga, że sposobność. W ujawnieniu prawdy o „Cesarzowej” Gaofan widział nie katastrofę, tylko sposobność do zdobycia czegoś znacznie ważniejszego niż pieniądze.- Prezydent pyta - kontynuował ambasador, jakby czytając w jego myślach - czy konkretny dowód w postaci prawdziwego manifestu okrętowego wystarczyłby nam do rozładowania sytuacji w Stałym Komitecie. Czy komitet pozwoliłby Amerykanom wejść na pokład „Cesarzowej”, być może razem z załogą naszego okrętu podwodnego, czy też byłby skłonny rozwiązać sprawę samodzielnie, każąc zniszczyć chemikalia w taki sposób, żeby Amerykanie mogli to potwierdzić? Krótko mówiąc, czy miałby pan dobrą wolę współpracować ze swoimi ludźmi, tak jak prezydent Castilla współpracuje ze swoimi, żeby wybrnąć z tej niebezpiecznej sytuacji? Niu w zadumie zaciągnął się dymem. Podczas gdy Gaofan widział

przeszłość jako przyszłość, on musiał stawić czoło niewiadomemu, przyszłości opartej na takich ideałach jak demokracja i otwartość. Wybór był prosty: jeśli nie zaryzykuje i nie postawi wszystkiego na jedną kartę, zwycięży Gaofan. Jeśli zaś zaryzykuje i wygra, Gaofan, ten jastrząb nad jastrzębiami, poniesie klęskę, bo zmiążdżą go konsekwencje jego własnych czynów.

- Panie ministrze? - odezwał się Wu, zaniepokojony przedłużającym się milczeniem.
- Ma pan ochotę na papierosa, panie ambasadorze?
- Dziękuję. Tak, bardzo chętnie zapalę. - Zatroskaną twarz ambasadora złagodził wyraz wdzięczności.
- Przez chwilę palili w nieskrępowanej ciszy. Ważnych decyzji nie podejmuje się pośpiesznie.- Dziękuję, że zechciał pan przynieść mi tę wiadomość – powiedział w końcu Niu. - Wybrałem dobrego ambasadora. Proszę bezzwłocznie wrócić do Waszyngtonu i przekazać prezydentowi Castilli, że uważam się za człowieka rozsądnego, co oczywiście w niczym nie zmienia faktu, że każda próba wkroczenia na pokład naszego statku handlowego łączyłaby się z groźnymi konsekwencjami. Wu zgasił papierosa i wstał.- Prezydent na pewno to zrozumie. Przekażę wszystko co do słowa. - Wymienili zdeterminowane spojrzenia i Wu wyszedł, szeleszcząc długim płaszczem.Gorączkowo zaciągając się dymem, Sowa zerwał się z krzesła i zaczął krążyć po pokoju. Było jasne, że Amerykanie nie zdobyli jeszcze dowodu na prawdziwą zawartość ładowni „Cesarzowej”. Bardzo go to niepokoiło. Dowód. Dowód to podstawa. Gwałtownie przystanął, odwrócił się na pięcie i szybko podszedł do telefonu. Wybrał numer. Odebrał major Pan.- Słucham - rzekł Niu. - Czego się pan dowiedział?Bez żadnej zachęty major powiedział mu o podsłuchanej rozmowie telefonicznej między Fengiem i Wei Gaofanem. - Istnieje tylko jeden egzemplarz manifestu - dodał. - Jest w rękach Yu Yongfu i jego żony. Sowa zgasił papierosa.
- Tak. Co jeszcze?
- Ralph McDermid chce go od nich kupić za dwa miliony dolarów - dodał major i opowiedział mu o planach spotkania pod posągiem Śpiącego Buddy.
- Sowa uważnie słuchał i przesłaniająca sytuację mgła zaczęła się powoli rozwiewać. Oto dowód, którego poszukiwali, on i prezydent Stanów Zjednoczonych. Oto obiektywny dowód. Wei Gaofan dobrze o tym wiedział i chciał manifest zniszczyć. Tych dwoje z Szanghaju, Yu i Li, było jedynie pionkami, drobnymi płótkami, które rozpaczliwie walczyły o życie. Był jeszcze ten bogaty amerykański biznesmen, Ralph McDermid, który też parł do konfrontacji, chociaż Niu nie wiedział ani dlaczego, ani jak daleko może się w swych działaniach posunąć. Żeby manifest nie wpadł w obce ręce, był gotów zapłacić fortunę. A szcurem, który biegał między całą trójką, był Feng Dun: udawał, że pracuje dla McDermida i Yu Yongfu, podczas gdy tak naprawdę pracował dla Wei Gaofana.Feng był śmieciem. Ale McDermid i Gaofan byli jeszcze gorsi. Mogli doprowadzić do powrotu zimnej wojny albo wywołać prawdziwą.Intensywnie myśląc, słuchał meldunku majora. To, że Pan niczego przed nim nie ukrywał, oznaczało, że w końcu mu zawierzył, że jest po jego stronie. W ich kulturze był to najwyższy komplement, ale i oznaka całkowitej podległości.Ale czyż Pan mógł postąpić inaczej?

- Rozumiem, majorze. Rozumiem lepiej, niż pan myśli. Dziękuję za pańskie wysiłki.. Jest pan już w drodze do Dazu?
- Mój samolot odlatuje za dwadzieścia minut.
- W takim razie niech pan kontynuuje obserwację i nie wtrąca się, chyba że w ostateczności. - Sowa zawahał się, uzmysławiając sobie olbrzymie znaczenie kroku, jaki zamierzał za chwilę zrobić. - Jeśli będą kłopoty, upoważniam pana do pomocy Li Kuonyi i pułkownikowi Smithowi. Musicie odzyskać ten manifest, albo pan, albo on. To nakaz chwili, majorze.
- W ciszy po drugiej stronie linii słychać było, jak Pan wstrzymuje oddech.
- Czy to rozkaz, panie ministrze?
- Tak. W razie konieczności niech pan pokaże upoważnienie, które panu dałem. Pracuje pan tylko dla mnie i ma pan moje całkowite poparcie.
- No i już. Stało się. Teraz nie było już odwrotu. Albo on, albo Gaofan. Albo naprzód ku przyszłości, albo wstecz ku urojonej przeszłości. Reszta spoczywała w rękach innych. Omal nie zadrżał. Ale stało się. Mądry wie, komu zaufać.

# Rozdział 39

**Dazu**

- 
- 
- Obudził się z poczuciem klaustrofobii, wśród ludzi leżących jeden obok drugiego jak kukurydza w puszcze. Chwycił pistolet, gwałtownie usiadł i w mdławym półmroku zatoczył łufą łuk. Dopiero wtedy przypomniał sobie, gdzie jest. Piwnica. Powietrze było przesycone ciepłymi oddechami i zapachem ciał, chociaż naliczył tylko sześciu Ujgurów. Wszyscy spali. Pozostałych nie było. Nie było i Asgara. Z mocno bijącym sercem opuścił broń i sprawdził czas. Trzy świecące zielonkawo cyferki - 02.06 - powiedziały mu, że spał ponad dziewięć godzin, co go zdumiało. Zwykle wystarczało mu siedem. Ostrożnie wstał i się przeciągnął. Mięśnie trochę protestowały, ale niezbyt głośno. Bolały go żebra, lecz nie był to ból ostry. Twarz? W porządku. Potem będzie go trochę szczypała, zwłaszcza gdy się spoci. W sumie nic groźnego. Wszedł schodami na górę i podniósł klapę. Przy oknie stał już inny wartownik, a w kuchni domu po drugiej stronie podwórza panował ruch. Stłumiwszy poczucie pośpiechu, chęć natychmiastowego działania, powoli, spacerkiem wyszedł na dwór. Spacer. Rzadko kiedy spacerował. Słońce było ciepłe, niebo błękitne jak chińska porcelana, wierzchołkami wierzb i topól poruszał leciutki wiatr. Na matach wokół podwórza suszyła się papryka i wyglądało to tak, jakby na klepisku rozłożono jaskrawoczerwony dywan. Pachniało pieprzem i przypomniał sobie, że jest w prowincji Sichuan, słynącej z pikantnej kuchni. Asgar pił herbatę z mlekiem, po angielsku, jak to on. Zdumiony, podniósł wzrok.
- Zwariowałaś? Dlaczego nie śpisz?
- Na miłość boską, dziewięć godzin chyba wystarczy.
- Dziewięć godzin na pięć dni?
- Kilka razy się zdrzemnąłem.
- Tak, właśnie widzę. Jesteś wypoczęty jak cholera, zwarty i gotowy do działania jak kupka piasku na pustyni. Spójrz w lustro. Z tą twarzą mógłbyś od razu iść na Halloween, nie musiałbyś wkładać maski.
- Jon posłał mu słaby uśmiech.
- Jest tu telefon? Komórkę mogą namierzyć, wolę nie kusić losu.
- Tam, w drugim pokoju.
- Smith wszedł do izby i wykorzystując kartę telefoniczną od Kleina, wybrał numer. Rzykował. Ci z Biura Bezpieczeństwa Publicznego mogli podsłuchiwać i linie naziemne.- Klein. Jon wczuł się w rolę.
- Wuj Fred? - spytał niepewnie po angielsku. - Minęło tyle czasu, a wuj nie dzwoni i nie dzwoni. Co słyhać w Ameryce? Czy cioci Lili się tam podoba? - Ciocia Lili: ostrzeżenie przed

podsluchem.

- U nas wszystko dobrze, siostrzeńcu Mao. Jak tam twoja wyprawa?
- Pierwszy etap musieliśmy odłożyć na potem, ale połączymy go z drugim.
- Szkoda, bardzo mi przykro - odparł Klein z nutką nagany w głosie. - Pamiętaj, że drugi etap jest najważniejszy. - Zaniepokojony Fred dawał mu do zrozumienia, że przy najmniejszych oznakach kłopotów podczas ewakuacji Thayera będą musieli przerwać akcję. Priorytetem wciąż był Śpiący Budda.
- - Mnie też to martwi, wuju. Ale zobaczymy, jak się wszystko ułoży. Chwila ciszy i Klein zmienił biegi.
- Kiedy się czegoś dowiesz, musisz natychmiast do mnie zadzwonić. Nie możemy się już doczekać. Odszukałeś kuzyna Xing Bao?
- Tak, dzwonię z jego domu.
- Co za ulga. Na pewno dobrze się razem bawicie, ale zbyt wiele cię to kosztuje. Obiecuję, że jutro z samego rana napiszę do ciebie długi list.
- Teraz, gdy usłyszałem twój czcigodny głos, będę niecierpliwie czekał, wuju. - Smith odłożył słuchawkę.
- - No i...? - zapytał z kuchni Asgar. Jon wrócił do stołu.
- Priorytety nie uległy zmianie. Gdy tylko zdobędziemy manifest, muszę natychmiast zadzwonić do Kleina.
- Biedny Thayer.
- Nic na to nie poradzimy. Ale zrobimy wszystko, co tylko możliwe, żeby go stamtąd wydostać. Byliście pod Śpiącym Buddą?
- Tak, przeprowadziliśmy dokładny rekonesans. - Asgar położył na stole talię angielskich kart. - Zostawiłem tam dziesięciu najlepszych ludzi. Mają walkie-talkie. Zjedz coś i wszystko ci opowiem. Potem zagramy w pokera. Jeśli nie umiesz, to cię nauczę.
- - Chcesz mnie orżnąć? Asgar uśmiechnął się niewinnie.
- Nauczyłem się w szkole. Ale gram po amatorsku. Miłe zajęcie, kiedy trzeba zabić czas. - Przez jego twarz przemknął wyraz niepokoju i zdenerwowania. Przemknął i znikł.
- Dobra - powiedział Jon. I tak nie mógłby już zasnąć. - Stawka maksymalna: dwa dolary, czy ile tam to jest w waszej walucie. Zwykły poker. Bez dzikich kart. Idę się umyć i gramy.
- Wiedział, że Asgar chce go ograć, ale musieli zrobić coś z czasem. Mieli co najmniej sześć godzin i musieli się czymś zająć, żeby nie zwariować przed nastaniem nocy.

**18 września, poniedziałek Waszyngton**



- Fred Klein gniewnie pykał z fajki - specjalny system wentylacyjny z trudem nadażał z wypompowywaniem dymu - gdy do gabinetu wszedł Castilla. Prezydent usiadł. Miał sztywne ramiona i napięte mięśnie. Jego szczęki wyglądały jak z betonu.- Jest coś nowego? - Ani powitania, ani żadnego wstępu. Klein też był przybity. Odłożył fajkę.
- Posadziłem do tego moich pięciu najlepszych finansistów. Szperali, szperali i wyszperali to: Grupa Altmana jest właścicielem Consolidated Defense, firmy zajmującej się produkcją broni. Tak samo jak wiele innych firm należących do Altmana, ta też jest ukryta pod grubą warstwą fasad. Jest ich tyle, że trudno to ogarnąć. Filie, towarzystwa afiliowane, holdingi, firmy satelitarne, co tylko zechcesz. Prawo własności wije się przez ruchome piaski, ale jest oczywiste, kto za tym stoi.
- Kto?
- Już mówiłem: Grupa Altmana. A McDermid ma w Consolidated większość udziałów i zgarnia tantiemy.
- W sumie to nic nowego. Altman zawsze inwestował w broń. Co nas to obchodzi?
- Pomyślisz, że to dygresja, ale tak nie jest. Porozmawiajmy o ruchomym pancernym systemie artyleryjskim Protektor. Niewiele brakowało i zostałby zatwierdzony. Ale doszedłeś do wniosku, że w świecie terroru i wojen domowych ciężkie systemy artyleryjskie są przestarzałe. Często zupełnie bezużyteczne.
- Protektor jest za ciężki; załamałyby się pod nim wszystkie mosty. Bez wsparcia technicznego nie dałoby się wyciągnąć go z trzęsawiska. I trudno byłoby przewozić go drogą powietrzną. To niewypał albo jeszcze coś gorszego.
- Tak, ale budowa tego niewypału miała kosztować jedenaście miliardów dolarów i kontrakt ten właśnie wyparował. Posłuchaj, według najnowszych obliczeń Grupa Altmana wpakowała w inwestycje dwanaście i pół miliarda. Jak na prywatną firmę to bardzo duże pieniądze. Ale Altman przywykł do zarabiania dużych pieniędzy. Mają ponad trzydzieści cztery procent rocznego zysku, głównie z celnych inwestycji w przemyśle zbrojeniowym, lotniczym i kosmicznym. Pewnego dnia zeszłego roku - tylko jednego dnia! - zgarnęli dwieście trzydzieści siedem milionów. Imponujące, prawda? I brudne. Consolidated Defense to piąty pod względem wielkości kontrahent Pentagonu, ale weszli na giełdę dopiero po atakach z jedenastego września, kiedy Kongres znacznie podniósł nakłady na obronę. I dopiero wtedy, gdy po wielkiej kampanii lobbingowej wstępnie zatwierdził ich przełomowy program zbrojeniowy...
- Castilla patrzył na niego z posępną miną.
- Niech no zgadnę: Protektor.
- Otóż to. Żyłła złota wartości dwustu trzydziestu siedmiu milionów dolarów.
- I...
- - I jeśli ostatecznie zatwierdzicie jego budowę, ty i Kongres, akcje Altmana pójdą w górę jak rakietą, a firma zgarnie miliardy. Prezydent odchylił się na krześle i z odrazą zacisnął usta.

- A to sukinsyn.
- Tak. O to mu właśnie chodziło. Nie ma to żadnego bezpośredniego związku z „Cesarzową”. Cała sprawa jest zmyślnie ukartdwanym podstępem, który ma doprowadzić do wrogiej konfrontacji między dwoma nuklearnymi gigantami. W razie konieczności McDermid jest gotów wmanewrować nas nawet w wojnę, żeby tylko dowieść, że Stany Zjednoczone nie obejdują się bez Protektora. Gdy wejdziemy na pokład tego statku i rozpęta się piekło, i tak postawi na swoim. Kongres będzie błagał o nowy sprzęt i bez wahania da mu jedenaście miliardów.
- Castilla głośno zaklął.
- Nie udało im się tylko tego upublicznić, bo obłożyłem sprawę klauzulą tajności. Ludzie zwariowaliby ze strachu i łatwiej by mu było zdobyć natychmiastowe poparcie.
- Moim zdaniem i tak już je prawie zdobył. Wystarczy, że wejdziemy na pokład „Cesarzowej”, a „Cesarzowa” wpłynie zaraz na irackie wody terytorialne.
- Boże święty... - Castilla ciężko westchnął. - Wszystko zależy teraz od Smitha. Odezwał się?
- Zadzwoił, ale musieliśmy rozmawiać kodem. - Klein odchrząknął.
- - Mam złe wiadomości, Sam. Nie dali rady uwolnić twego ojca. Próbowali wczoraj w nocy i spróbują jeszcze raz. Dzisiaj. Prezydent wykrzywił twarz. Zamknął oczy i zaraz je otworzył.
- A więc jutro rano naszego czasu, tak?
- Tak. Na pewno spróbują.
- Nie podał żadnych szczegółów? Wystarczy mu ludzi? Da radę?
- Nic więcej nie mówił. Bardzo mi przykro.
- Nie mogliście porozmawiać trochę dłużej?
- Bał, się dzwonić z komórki. Co oznacza, że dzwonił z telefonu stacjonarnego, który mógł być na podsłuchu. Tak więc wygląda na to, że na podejrzeniach się skończyło. Że Chińczycy nie znaleźli ani spadochronu, ani innego sprzętu, który mógłby wskazywać na obecność skoczka. Przy odrobinie szczęścia będą co najwyżej sceptyczni.
- - Obyś miał rację, Fred. Tak, odrobina szczęścia... Smith będzie go potrzebował, i to bardzo dużo, my także. - Prezydent spojrział na zegarek. - Jeśli dobrze liczę, za cztery godziny zapadnie tam zmierzch. - Pokręcił głową. - Będą się nam dłużyły. I jemu, i nam.

## 18 września, poniedziałek Hongkong

- Dolores Esteves przecięła główny hol Gmachu Altmana, szklanymi drzwiami wyszła spiesznie na przesycone wilgocią powietrze i natychmiast pochłonął ją rozedrgany tłum przechodniów. Karnawałowa atmosfera Hongkongu zwykle dodawała jej energii. Zwykle, ale nie dziś. Sporo ludzi rozpaczliwie machało na taksówki. Lecz gdy tylko Dolores podniosła rękę, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki taksówka stanęła tuż przed nią. Dziewczyna pomyślała, że Bóg musi mieć jednak słabość do działających w dobrej wierze, choć spóźnionych podróżników. Wsiadła. - Na lotnisko. Szybko! Kierowca ustawił licznik i włączył

się do ruchu. Zderzak za zderzakiem, przejechali kilka ulic, wreszcie taksjarsz gardłowo zaklął i gwałtownie skręcił w wąski zaułek.- Skrót - mruknął po kantońsku.Zanim zdążyła zaprotestować, ostro przyspieszył i wkrótce byli już w połowie uliczki. Dolores nerwowo poprawiła się na siedzeniu. Cóż, może wiedział, co robi. Tak czy inaczej musiała dojechać na lotnisko, gdzie czekał na nią szef szefów, pewnie mocno już wkurzony. Była zarówno przerażona, jak i podekscytowana nowym zadaniem: miała być jego oficjalną tłumaczką w jakimś Dazhu w prowincji Sichuan. Wzięli ją, bo mówiła kilkoma dialektami. Najlepiej czuła się w kantońskim i mandaryń-skim, chociaż przekonała się już, że występ w terenie to nie to samo co zajęcia na uczelni czy rozmowa w chińskiej restauracji w Los Angeles. Denerwowała się też z powodu swojej angielszczyzny. Choćby nie wiem jak próbowała, nie mogła wyzbyć się lekkiego latynoskiego akcentu.Wciąż się tym martwiła, gdy taksówka zatrzymała się z piskiem opon na końcu zaułka. Otworzyły się drzwiczki i Dolores została wyciągnięta z samochodu. Zbyt przerażona, żeby stawiać opór, odniosła dziwne wrażenie, że tuż obok stoi inna Latynoska, kobieta zdumiewająco podobna do niej. Poczowała ostry ból w ramieniu i pochłonęła ją ciemność.Ralph McDermid rozłożył się w fotelu na pokładzie luksusowego odrzutowca, zarezerwowanego do jego osobistego użytku, pociągnął łyk swojej ulubionej jednosłodowej whisky - z lodem i bez wody - i po raz dziesiąty zerknął na zegarek. Gdzie ta przekłeta tłumaczką? Gotując się ze złości, machnął ręką na stewarda, żeby podał mu kolejną whisky, gdy do kabiny wpadła zdyszana kobieta. Rozwścieczony otaksował ją spójrzeniem, lecz wściekłość szybko ustąpiła miejsca podziwowi. Była klasyczną Latynoską, taką o wystających kościach policzkowych, szczupłej, pociągłej twarzy i ognistych azteckich oczach. Sama egzotyka.- Panie dyrektorze... - zaczęła po angielsku z lekkim akcentem południowych dzielnic Los Angeles. Gdyby miał do czynienia z mężczyzną, uznałby to za oznakę braku wykształcenia i ambicji, lecz u kobiety było to doprawdy czarujące. - Dolores Esteves, pańska tłumaczką. Przepraszam za spóźnienie, ale powiadomiono mnie w ostatniej chwili. No i te straszne korki...Leciutko sepleniła. Coraz lepiej. Bez względu na kategorię etniczną, miała wspaniałe ciało. I rozkoszne imię. Dolores. Do-lo-res. Powtórzył je kilka razy w myśli. Hm... gdy wrócą do Hongkongu, na pewno skorzysta z okazji, żeby zadowolić swego szefa.- Całkowicie rozumiem, moja droga. Proszę, zechce pani spocząć. Może tam. - Wskazał wygodny fotel naprzeciwko swego fotela. Dolores uśmiechnęła się, nagle onieśmielona. Odpowiedział jej uśmiechem, lecz po chwili zmarszczył brwi. Było w niej coś...znajomego. Tak, już ją gdzieś widział. I to niedawno..- Czy my się znamy? Spotkaliśmy się w biurze?Skuliła się w fotelu, lecz twarz miała rozpromienioną. Jej nieśmiałość była wielce odświeżająca.

- Tak, kilka razy. Ostatnio wczoraj. - I zdobywszy się na odwagę, dodała: - Myślałam, że mnie pan nie zauważył.
- Ależ oczywiście, że zauważyłem - odparł z uśmiechem, choć wciąż czuł się trochę nieswojo. Czyżby wszystkie kobiety zaczynały wyglądać tak samo?
- Do kabiny zajrzał pilot.
- Czekamy jeszcze na kogoś, panie dyrektorze?
- Nie. Papiery przekazane? Zgłosił pan plan lotu?
- Tak, panie dyrektorze. W powietrzu będziemy około dwóch godzin. Na odprawie trochę

pana przetrzymają, ale dzięki tym dokumentom powinni potraktować pana jak VIP-a. Pogoda przez całą drogę idealna.

- Znakomicie. W takim razie startujemy, Carson.
- Steward przyniósł mu whisky, więc zaproponował drinka tłumaczce. Gdy założyła nogę na nogę, pokazując mu kawałek uda, uznał, że mogło mu się trafić gorsze towarzystwo, a na myśl, że rano odzyska wreszcie manifest, poczuł się znowu dawnym sobą. Oparł głowę o zagłówek i spojrzał w okno. Wielki odrzutowiec kołował na pas, a on próbował zapomnieć o troskach czekającego go dnia. Cholera, ostatecznie chciał zapłacić za ten świstek dwa miliony dolarów! Oczywiście, że go zdobędzie.

# Rozdział 39

**Dazu**

- 
- 
- Jon i Asgar cały dzień analizowali meldunki ujgurskich zwiadowców, opracowywali dziesiątki scenariuszy tego, co mogło się wydarzyć, i grali w pokera. Asgar wygrał kilka dolarów i Smith potraktował to jako darowiznę na rzecz międzynarodowej dobrej woli. Cały czas myślał o tym, co niedługo mieli zrobić. Bardzo chciał, żeby im się udało, i tu, i tam, podczas gdy Asgar, który zaangażował w to swoją ujgurską dumę, pragnął również zadać Chińczykom cios za demokrację i wolność ojczyzny. Obydwaj martwili się, że czegoś nie przewidzieli, że coś przeoczyli. Porażka była nie do pomyślenia. Zwiadowcy donosili, że jak każdego dnia przed Śpiącym Buddą było mnóstwo turystów, którzy przyjechali tam, żeby podziwiać piękno i uduchowanie prastarej rzeźby, że przybyli tam również miejscowi kramarze, którzy napastowali zwiedzających, próbując wcisnąć im pocztówki i plastikowe figurki. Słowem, dzień jak co dzień. Jak dotąd nie zauważyli ani śladu McDermida, Li Kuonyi i Yu Yongfu, ale ponieważ wokół grot ciągnął się łańcuch wzgórz i urwistych pagórków, wypatrywani przez nich ludzie mogli przybyć w każdej chwili, w dodatku niezauważenie, zwłaszcza po zmroku, piechotą, konno, samochodem, przebrani za turystów czy za kramarzy. Za to wiadomości z farmy dodały im otuchy - odwołano blokadę. Skończyły się kipsisze i już nazajutrz więźniowie mieli wrócić do pracy. Zaczynała się pora zbiorów, na polach czekały kapusta, buraki, bok choy, pomidory, ryż i chili. Asgar przypuszczał, że właśnie to wpłynęło najbardziej na podjęcie decyzji o złagodzeniu rygorów. Gdy wzgórza i doliny otuliła ciemność, wraz z dwunastoma partyzantami pojechali na farmę. Samochody ukryli tam gdzie przedtem i teraz leżeli już na skraju ziemi niczyjej - Smith, Asgar i dwóch Ujgurów. Na więziennym podwórzu panował spokój. Kantyna była ciemna i cicha, podwójne drzwi zamknięte, zryty koleinami podjazd pusty. Od strony baraków niósł się czasem czyjś głos, posępna pieśń i makabryczny śmiech, mimo to nie pokazali się tam ani naczelnik, ani strażnicy. Ważny był każdy szczegół, ponieważ na farmie wciąż obowiązywał stan podwyższonego pogotowia. Jon i Asgar doszli do wniosku, że szansę na udaną ucieczkę będą większe, jeśli uda im się wślizgnąć za siatkę. Zamierzali wejść tam tą samą drogą, którą mieli ewakuować Thayera i Chiavellego. Leżąc nieruchomo, z każdą chwilą coraz bardziej spięci, wreszcie dostrzegli jakiś ruch. Skrzydło podwójnych drzwi uchyliło się i zamknęło. A, może to tylko złudzenie? Smith wyteżył wzrok, próbując wypatrzeć tam jakiś kształt, sylwetkę człowieka, cokolwiek. I nagle to zobaczył - przez dziesięciometrowej szerokości pas ziemi, niewidoczna dla czuwającego na wieży strażnika, smyrgała jakaś zjawą, widmo, duch, coś, co przypominało węża skrzyżowanego z kotem. Był to niski mężczyzna w szarym więziennym drelichu. Podniósł wzrok, dostrzegł Asgara i skinął głową. - To Ibrahim - szepnął Asgar. - Musimy go osłonić. Tej nocy ich największym wrogiem był hałas. Broni mogli użyć tylko w ostateczności, chociaż mieli tłumiki. To nieprawda, że pistolet z tłumikiem jest całkowicie bezgłośny. Owszem, strzela dużo ciszej, lecz każdy pocisk opuszcza lufę z głośnym „puff!”, odgłosem przypominającym wybuch taniego fajerwerku. Mieli nadzieję, że podczas tej akcji wystarczą im tylko ręce, nogi, noże i garoty, lecz na wszelki wypadek czujnie omiatali teren lufami pistoletów, podobnie jak leżący obok nich Ujgurzy. Musieli chronić człowieka, który tyle dla nich ryzykował. Serce biło Jonowi powoli i regularnie,

choć napięcie próbowało je przyspieszyć. Ibrahim zaczął rozgarniać rękami ilastą ziemię. Rozgarniał ją, rozgarniał, wykopał dziurę głębokości około trzydziestu centymetrów, wreszcie podniósł drewnianą klapę. Zanurkował pod nią i zniknął. Niemal natychmiast poruszyła się ziemia po drugiej stronie siatki. Podniosła się, zatrzęsała i wychynęła spod niej druga klapa. Ibrahim wystawił głowę, ponownie zniknął i pojawił się za ogrodzeniem. Przejście było czyste.- Nasza kolej - szepnął Asgar. Wstali, przykucnęli i nisko pochyleni podbiegli do siatki. Jon zajrzał do dziury. Było to podłużne zagłębienie przykryte dwiema kwadratowymi klapami, stykającymi się ze sobą tuż pod ogrodzeniem.- Właż - rzucił Asgar. - Ja za tobą. Smith wsunął do dziury głowę, potem resztę ciała, wyczołgał się po drugiej stronie i bryzgając wokół grudkami ziemi, popędził za Ibrahimem do kantyny. Wpadł do środka i odwrócił się z pistoletem w rękę, żeby osłonić pozostałych. Ujgurowie zamknęli już klapy, właśnie je zasypywali. Potem wyjęli z zanadru miotełki i dokładnie wygładzili ziemię, tak że po ich przejściu nie pozostał żaden ślad. Gdy dotarli do Jona, Ibrahim poprowadził ich truchtem przez kantynę i mroczną kuchnię. Przez okna widzieli oświetlone blaskiem księżyca drewniane chodniki, które łączyły trzy duże baraki z holem kantyny i pozostałymi budynkami kompleksu, dzięki czemu podczas pory deszczowej naczelnik zawsze miał suche nogi; wszystkie budynki stały na prawie metrowej wysokości podporach, co świadczyło o intensywności tutejszych opadów. Na podwórzu nie było ani drzew, ani trawy, tylko ziemia ubita setkami stóp. Patrolowało je dwóch uzbrojonych strażników z karabinami na ramieniu. Obydwaj sennie ziewali, pewnie minionej nocy też musieli tu chodzić. Ibrahim zamienił kilka słów z Asgarem. Asgar kiwnął głową i spojrzał na Jona.- Przygotuj się. Kiedy powiem: „Teraz!”, pobiegniemy w prawo i ukryjemy się pod tamtym barakiem. Oczekali, aż odwróceniu do nich plecami strażnicy dojdą do końca wyznaczonej trasy. Wtedy Asgar klepnął Ibrahima w ramię, on klepnął w ramię jego, wypadł na podwórze i popędził... w lewo. Nie próbował nawet biec cicho, wprost przeciwnie, dudnił po klepisku jak czołg. Wyrwani z półsnu strażnicy odwrócili się z wymierzoną bronią. Każdy z nich wykrzyknął po chińsku to samo słowo, zapewne: „Stój!” Ibrahim zamarł. Spuścił głowę. Strażnicy ostrożnie podeszli bliżej. I wyraźnie się odprężyli, widząc jego twarz. Szyderczo wykrzywili usta i jeden z nich rzucił:

- Znów kradniesz żarcie?
- Asgar tłumaczył ich cichutkim szeptem.
- Przecież zawsze wpadasz. Co zwędziłeś tym razem?
- Ten drugi obszukał trzęsącego się ze strachu Ibrahima i wyjął mu zza pazuchy słoik. - Znowu miód. Cholera jasna, nie wiesz, że miód nie jest dla więźniów? Odkrylibyśmy, że zniknął i od razu doszlibyśmy do ciebie. Co za głupiec. Nie ma tu głupszego od ciebie. Będziemy musieli zamknąć cię w karczerze, a rano pogada z tobą naczelnik. Ibrahim zwiesił głowę jeszcze niżej i poprowadzili go do małego budynku na skraju podwórza.
- Co mu robią? - spytał zatroskany Jon.
- Przetrzy mają go tam tydzień i wypuszczą. Ibrahim to spryciarz. To jego wkład w naszą walkę. - Asgar popatrzył w prawo i w lewo. - Teraz!

• Gdy tylko Ibrahim zniknął w karcerze, wyszli z kantyny, popędzili w prawo i schowali się pod barakiem. Przeczogli się na drugą stronę, wstali, pobiegli przed siebie, ponownie zanurkowali i ponownie wstali. Bieg, pełzanie, znowu bieg, wreszcie znaleźli się trzy baraki dalej, w innej części kompleksu. Leżeli, ciężko dysząc, pod ostatnim w rzędzie, spoglądając na sąsiednie, fen stojący najdalej od przełazu pod siatką był dokładnie naprzeciwko. Asgar sapał jak lokomotywa. Jonowi serce waliło jak oszalałe i piekła go twarz. Ale mógł myśleć tylko o jednym - w tym baraku był David Thayer. Zlustrowali okolicę. Tu też był drewniany chodnik. I dwóch strażników na przeciwległych końcach podwórza. Gdy tylko się odwrócili, Asgar kiwnął głową i ponownie pobiegli przed siebie, tym razem niezbyt szybko. Drzwi baraku uchyliły się bezgłośnie i ktoś wprowadził ich do ciemnego wnętrza. Mężczyzna. Miał około trzydziestki i bliznę od noża na prawym policzku. Przytknął palec do ust, zamknął drzwi i poprowadził ich cicho między pryzami, na których chrapali więźniowie. Bijące z wysokich okien smugi księżycowego światła, szare, posępne wnętrze - monochromatyczna scena, żywcem wyjęta z kart powieści Solżenicyna. Doszli do drzwi na końcu sali. Więzień wskazał je ręką i wrócił na pryzę. Jon i Asgar wymienili spojrzenia. Asgar lekko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Twoja kolej, jeśli chcesz”. Cela Davida Thayera. Ostatnie drzwi w ostatnim baraku w najdalej położonej części kompleksu. Cela człowieka, który od pół wieku oficjalnie nie żył. Którego żona ponownie wyszła za męża za jego najlepszego przyjaciela i zmarła. Którego przyjaciel też już nie żył. Cela człowieka, który osierocił syna. I stracił tu więcej niż jedno życie. Jon niecierpliwie otworzył drzwi. David Thayer zasługiwał na coś więcej niż współczucie. Zasługiwał na wolność i całą radość tego świata. Maleńka izdebka. I dwóch mężczyzn na drewnianych krzesłach. Podnieśli wzrok. Obydwaj trzymali latarki, które osłaniali dłońmi. Jon widział niewiele więcej. Asgar zamknął drzwi.

- Chiavelli? - rzucił w ciemność Jon.
- Smith?
- Tak.
- Tamci odsłoniли latarki. Buchnęło światło, w pomieszczeniu zatańczyły cienie. Mężczyźni byli całkowicie ubrani. Ten w więziennej koszuli i spodniach, dużo młodszy i muskularny, miał krótko ostrzyżone szpakowate włosy i podbródek porośnięty siwą szczecina. Natychmiast przeszedł na drugą stronę izby i odsunął pryzę od ściany. Ten starszy wstał. Wysoki i smukły, miał zapadnięte policzki i kościste ramiona. Był w wymiętej marynarce a la Mao, w luźnych chłopskich spodniach i w czapce, spod której wystawały gęste siwe włosy. Jego szlachetną twarz pokrywały głębokie zmarszczki, lecz nie były to zmarszczki od słońca - było to piętno czasu, ponad osiemdziesięciu lat życia. Do pasa miał przypiętą małą saszetkę. Był gotów do drogi. David Thayer.
- Asgar? - szepnął z kąta Chiavelli. Klęczał w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała pryzca. - Pomożesz?
- Jasne, staruszk.
- Asgar przykucnął i Chiavelli wyjaśnił mu, co robić. Gwoździe. Musieli wyciągnąć z podłogi kilka długich gwoździ. Rękami. Na pomarszczonej twarzy Thayera zagościł ciepły uśmiech.

- Pan pułkownik Smith, prawda? - Wyciągnął do Jona rękę. – Tak długo czekałem na tę chwilę. Chciałbym powiedzieć coś głębokiego, ale moje serce i duszę przepęłnia zbyt wielka radość.
- Moje też, panie doktorze. - Jon uściskał mu dłoń. Była sucha, ciepła i drżała, choć nieznacznie. - To dla mnie zaszczyt. Wydostaniemy stąd pana. Od tej chwili może się pan uważać za wolnego człowieka.
- Jeśli to nie za wielki kłopot, chciałbym zobaczyć się z synem.
- Oczywiście. Prezydent pana pozdrawia. Chce jak najszybciej się z panem spotkać.
- Thayer uśmiechnął się jeszcze szerzej i zaświeciły mu oczy.
- Marzyłem o tym przez ponad pięćdziesiąt lat. Jak on się miewa?
- O ile wiem, bardzo dobrze. Ma pan dwoje wnuków, Amy i Patricka. Wraca pan do wspaniałej rodziny.
- Thayer stłumił szloch.- Idziemy! - zawołał cicho Chiavelli. Jedna z desek zniknęła; Asgar wrzucił ją do otworu. Thayer powiedział im, że tunel - ten i kilka innych - wykopali przed laty Ujgurzy, żeby móc swobodnie przemieszczać się między barakami. Wszyscy razem przykucnęli w kącie izby.
- Będziemy szli jak najszybciej i jak najciszej - tłumaczył szybko Chiavelli. - Strażnicy się rozleniwili i naczelnik wydał surowsze przepisy, dlatego musimy być cholernie ostrożni. Jeżeli spróbuje nas zatrzymać któryś z nieprzekupionych, obezwładnimy - nie zabijając, jeśli się da - i żywego lub martwego ukryjemy w kantine, gdzie znajdą go dopiero po porannym apelu. Przy odrobinie szczęścia dopiero wtedy też odkryją naszą ucieczkę.
- Obyśmy byli już daleko. - Jon spojrzał na Asgara. -No i...? - spytał. - Może być?
- Tak, tylko wolałbym jednak, żebyśmy ich nie zabijali. My odejdziemy, nasi zostaną.
- Chiavelli zmarszczył brwi.- Właściwie dlaczego oni tu jeszcze siedzą? Asgar skrzywił się niecierpliwie. Spuścił do otworu nogi i wyjął latarkę.- Gdybyśmy zorganizowali masową ucieczkę, Chińczycy by nas zmiażdżyli. Lepiej już niech dalej traktują nas jak nieszkodliwe utrapienie, bo wtedy to my będziemy wybierać czas i miejsce ataku. Poza tym dzięki temu, że siedzą, możemy przemycać do więzień i wyciągać z nich, kogo tylko chcemy. Ich siatka jest bardzo pożyteczna. Chodźmy. Musimy pędzić, jakby sam diabeł deptał nam po piętach. Jon pomógł zejść na dół Thayerowi. Wilgotna, gliniasta dziura przechodziła w tunel wysokości mniej więcej stu dwudziestu centymetrów. Musieli się pochylić, ale był to luksus w porównaniu z tunelem Asgara w szanghajskim *longtang*. Chiavelli, który schodził jako ostami, przyciągnął do ściany pryczę i zasłonił nią otwór. Potem wetknął na miejsce deskę i lekko ją przekrzywił, żeby trzymała.- Nasi przybijają ją gwoździami i nikt niczego nie zauważy - powiedział Asgar. Ruszyli nisko pochyleni, niemal zgięci w pół. Asgar przodem. Za nim Thayer, Smith i Chiavelli. Pozycja była bardzo niewygodna, dlatego Smith obserwował Thayera, wypatrując oznak bólu czy wyczerpania, ale nawet jeśli coś go bolało, nie dawał tego po sobie poznać. Gliniane ściany napierały ze wszystkich stron i Jon miał wrażenie, że zaraz się udusi. Nie



odrywał oczu od pleców Thayera. Tunel wił się jak smoczy ogon - co kilka metrów na drodze stawały im topornie ciosane podpory, co kilkanaście widzieli w stropie kłapy - wejścia do innych baraków. Starali się zachować ciszę, chociaż Chiavelli dwa razy kichnął, ściskając nos palcami. W końcu poczuli podmuch świeżego powietrza. Asgar głęboko odetchnął. - To tu. - Zastygli bez ruchu. - Wyjdziemy pod ostatnim barakiem. Dalej jest kantyna. - Zerknął na zegarek. - O tej porze powinien tam być tylko jeden strażnik. Zajmę się nim. Jeśli zaskoczy nas drugi, co dzisiaj jest całkiem możliwe, weźmie go na siebie Jon.

- A ja? - spytał Chiavelli ze zmarszczonym czołem. Chciał pomóc.
- Ty będziesz osłaniał doktora Thayera.
- Nie, traktujcie mnie tak samo jak pozostałych - zaprotestował Thayer. - Albo mi się uda, albo nie. Jestem za stary, żeby ktoś ryzykował dla mnie życie.
- Tak, jest pan stary - odparł bez ogródek Jon. - Ale to znaczy, że będzie nam o wiele trudniej, jeśli spróbuje pan zrobić coś, co przekracza pańskie siły.
- A więc kapitan Chiavelli będzie moją mamką i ochroniarzem. Biedaczek. Smutny los dla tak odważnego człowieka czynu.
- Niech się pan nie przejmuje - odrzekł Chiavelli. - Cała przyjemność po mojej stronie.
- Idziemy - szepnął Asgar.
- Kłapa była już poluzowana i uchylona. Asgar pchnął ją, jeden po drugim wyszli z tunelu i wczłógali się pod barak. Thayer zrobił to niezdarnie, ale zrobił. Chiavelli zamknął kłapę i zasypał ją ziemią. Jon i Asgar podpełzli pod ścianę, skąd roztaczał się widok na słabo oświetlone podwórze i kantynę. Tak jak przewidywał Asgar, krążył tam leniwie pojedynczy strażnik z karabinem na ramieniu i sennie zwieszoną głową. Wrócili do Thayera i Chiavellego. Thayer spojrzał pytająco na Jona, lecz on pokręcił głową i przytknął palec do ust. Musieli poczekać. Noc była chłodna. Księżyc zniknął za szarą chmurą i mroczny obóz zalała upiorna poświata. Spięci, wciąż czekali. Wreszcie strażnik ruszył w ich stronę. Asgar i Jon ponownie przyczaili się pod ścianą baraku. Gdy strażnik ich minął, Asgar skoczył na niego jak puma i grzmotnął go w głowę rękojeścią pistoletu. Było po wszystkim. Zaczęli wciągać nieprzytomnego pod barak, żeby związać go, zakneblować i zawlec do kantyny. I wtedy stało się. Z sąsiedniego baraku wyszedł drugi strażnik. Zobaczył Asgara pochylonego nad jego towarzyszem. Przez długą chwilę wytrzeszczał oczy, gdyż otępiał przez rutynę, nie potrafił tego zrozumieć. Nagle wszystko do niego dotarło. Zerwał z ramienia karabin. Gdy obracał go w rękach, Jon wyskoczył spod baraku i chwycił go od tyłu za szyję. Strażnik momentalnie dźgnął go kolbą. A raczej chciał dźgnąć, gdyż Jon zrobił unik, lecz żeby go zrobić, musiał cofnąć rękę. Strażnik odwrócił się błyskawicznie z wycelowanym karabinem i zaczął zaciskać palec na spuście. W tej samej chwili, pędząc jak taran, wypadł spod baraku nisko pochylony Chiavelli i zaprawił go bykiem tak mocno, że Chińczyka odrzuciło prawie na dwa metry. Próbował mu jednocześnie wyrwać karabin z ręki, lecz tamten zdążył pociągnąć za spust. Broń wypaliła. Huknęło tak, jakby tuż obok nich uderzył piorun. Zatrzęsły się wszystkie baraki, zatrzęsło się rozgwieżdżone niebo. Jona przeszył strach. - Ukryjcie go. Szybko! - Kopnął strażnika w szczękę, pozbawiając go przytomności. Ktoś gdzieś krzyknął, zaraz potem krzyknął ktoś inny, ktoś o coś spytał. Thayer

wstał i odkrzyknął w noc silnym głosem. Jon nie miał pojęcia co, ale starzec zrobił to bardzo pewnie, z przekonaniem. Roześmiał się i z ciemności odpowiedział mu śmiech.

- Powiedziałem im, że ze mnie idiota - szepnął, gdy szybko związywali, kneblowali i przewiązywali oczy nieprzytomnym strażnikom. – Że omal nie postrzeliłem się w stopę. Prosiłem, żeby na mnie nie donieśli. - Ponownie zachichotał.
- Pięknie - szepnął Jon.
- - Super - dodał Asgar. Chiavelli tylko się uśmiechnął. Popędzani strachem, szybko powlekli nieprzytomnych strażników do kantyny. W szeroko otwartych drzwiach czekało dwóch Ujgurów. Asgar ich o coś spytał. Zanim zdążył przetłumaczyć odpowiedź, wyręczył go Thayer. - Mówią, że jeśli chcemy, to ich ukryją, że powinniśmy uciekać, zanim księżyc wyjdzie zza chmur. Smith kiwnął głową. - Słusznie. Dzięki, doktorze. Dobra, zjeżdżajmy stąd. Ruszyli truchtem tą samą trasą, którą prowadził ich Ibrahim. Przy tylnych drzwiach kantyny kolejny Ujgur ponaglił ich do jeszcze większego pośpiechu. Księżyc - tego dnia był prawie w pełni - wciąż przesłaniały chmury i wykorzystując to, szybko podbiegli do otwartego już przełazu pod siatką. Asgar zwinnie wczołgał się do tunelu, lecz Thayer nagle znieruchomiał. Zamarł i jak w transie spojrzął na ogrodzenie. Smith odwrócił głowę i poczuł, że włosy stają mu dęba. Jak dotąd sprzyjało im szczęście. Nie mogli kusić losu, nie teraz.
- Panie doktorze? - szepnął. - Pańska kolej. Teraz pan.
- Tak - wymamrotał Thayer. - Moja kolej. Niewiarygodne. Kiedyś kibicowałem Dodgersom. O ile wiem, nie grają już w Brooklynie. - Spojrzął na Jona.
- Teraz grają w Los Angeles. - Smith pociągnął go w stronę przełazu. - Giganci też wyjechali z Nowego Jorku, do San Francisco.
- Giganci w San Francisco? - Thayer pokręcił głową. - Będę musiał przywyknąć do wielu nowych rzeczy.
- Chodźmy. Na dół.
- To dziwne, ale wcale mi się nie chce. Głupie, prawda? - Thayer wyprostował się i pół wieku spłynęło z niego jak woda. Podszedł do siatki, zwinnie przykleknął i wpełznął do przełazu. Smith wczołgał się tuż za nim, na końcu zaś Chiavelli, który - znowu osłaniając ich od tyłu - najpierw rozejrzał się czujnie na wszystkie strony.
- - Da pan radę biec? - spytał Jon. Ujgurzy zasypywali już ziemią drewniane kłapy, Asgar pędził w stronę drzew. Smith i Chiavelli pomogli Thayerowi wstać i pobiegli za nim. Gwiazdy świeciły jasno jak nigdy. Za jasno, o wiele za jasno. Gdy wreszcie wpadli do lasu, Jon poczuł się tak, jakby właśnie zszedł z największej karuzeli w wesołym miasteczku. Wydostali Thayera z więzienia. Cała sztuka polegała teraz na tym, żeby tam nie wrócił, żeby bezpiecznie dotarł do Stanów. Przystanęli, by starzec trochę odsapnął. Miał zlaną potem twarz, ale szeroko się uśmiechał. Przytknął rękę do piersi i oddychając głośnym, nierównym oddechem, powiedział: - Nigdy przedtem nie udało mi się uciec. Próbowałem. Stali w grupie między drzewami, czekając, aż odpocznie, i obserwując okolicę. Spod krzaka smyrnęło jakieś zwierzę. Thayer nie przestawał się uśmiechać, chociaż wciąż brakowało mu tchu. Miał zbrązowiałe zęby, niektóre

wyszczerbione i ułamane. Dwa palce krzywe, jakby mu je złamano - może na torturach - i nie włożono ich w łupki. Smith chciałby go zbadać, lecz nie mieli czasu. Pierś Thayera przestała wreszcie gwałtownie unosić się i opadać, więc ruszyli biegiem przez las.

# Rozdział 40

## 18 września, poniedziałek Waszyngton

- 
- 
- Atmosfera w przypominającym grobowiec Pokoju Sytuacyjnym była napięta. Napięcie to podrażniało już i tak nadszarpnięte nerwy. Szefowie sztabów, szefowie poszczególnych służb, doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego, sekretarz stanu i obrony, wiceprezydent, Charles Ouray i sam prezydent przez cały ranek - czasem bardzo burzliwie - omawiali aktualną sytuację. Nadchodziła chwila podjęcia decyzji o wkroczeniu na pokład „Cesarzowej”, co groziło militarną konfrontacją z Chinami. Gdy wszyscy przedstawili już raport na temat stanu gotowości, sekretarz obrony Stanton podniósł szerszą kwestię długoterminowych strategii i budżetu. I wtedy generał Guerrero ponownie wrócił do niezbędnej według niego koncepcji armii szybszej i cięższej uzbrojonej, zdolnej do prowadzenia długich kampanii bojowych z silnym przeciwnikiem na rozległym terenie. Wymienił kilka nowych rodzajów broni, w tym ruchomy system artyleryjski Protektor, podkreślając, że wymagają natychmiastowego zatwierdzenia i wprowadzenia do produkcji. - Jest pan dzisiaj osamotniony, panie generale - odrzekł Castilla. - Grozi nam kryzys, któremu nie zapobiegnie żadna z tych broni. Guerrero kiwnął głową. - Słusznie, ma pan rację, panie prezydencie, Castilla spojrział na admirała Brose'a.
- Stevens, masz coś, co zmusiłoby Chińczyków do wycofania tego okrętu, zanim rozpęta się piekło?
- Niewiele, panie prezydencie - przyznał admirał nietypowo posępnym dla niego tonem,
- Na miłość boską, Brose! - nie wytrzymał generał sił powietrznych Kelly. - Przecież masz tam całą 5. Flotę, do cholery! Wystarczyłby jeden wiking czy nawet hornet z lotniskowca i ze strachu narobiliby w gacie!
- Panie admirale - wtrącił Stanton - czy „Crowe” ma na pokładzie śmigłowiec?
- Tak - odrzekł Brose. - Na oba pytania odpowiadam „tak”. Było i trzecie? W takim razie też „tak”. Rzecz w tym, panowie, że zdajecie się zapominać, iż nie jest to problem natury wojskowej. To koszmar polityczny. Gdybyśmy mogli zaatakować, mielibyśmy broni pod dostatkiem. Przy założeniu, że chiński okręt podwodny dysponuje możliwościami typowymi dla tej klasy jednostek, „Crowe” dałby mu radę sam, miałby z nim co najmniej równe szanse. Ale atak wyprzedzający jest dokładnie tym, czego nie wolno nam zrobić. Prawda, panie prezydencie?
- Tak, taka jest sytuacja - potwierdził Castilla. - W skrócie.
- Dlatego mogę zaproponować krążownik. Płynie tam pełną parą „Shiloh”. Jeżeli zdąży, powinien nieźle ich nastraszyć.
- Prezydent powoli skinął głową. Tego oczekiwał i nieszczęśliwie go to niepokoiło. Gdyby nie palce prawej ręki, można by powiedzieć, że bije z niego opanowanie i pewność siebie. Tak, tylko te palce. Cały czas nerwowo bębniły w stół. - Dziękuję, Stevens. Dobrze, jak stoimy?

Próba wejścia na pokład i zabezpieczenia dowodu, że „Cesarzowa” przewozi potencjalnie śmiertelny ładunek, zakończyła się niepowodzeniem. Nie możemy zaatakować pierwi, bo stracimy resztki wiarygodności jako kraj pragnący pokoju i respektujący prawo międzynarodowe. Kanały dyplomatyczne są oczywiście wciąż otwarte, ale to wyczerpuje nasze możliwości. Z wyjątkiem jednej. Zrobił pauzę, żeby starannie dobrać słowa, i bębniąc palcami w stół, kontynuował: - Wspomniałem już, że nasz wywiad prowadzi tajną operację, której celem jest zdobycie dowodu, że „Cesarzowa” przewozi nielegalny ładunek. Mogę teraz powiedzieć, że istnieją duże szanse na pomyślne jej zakończenie, i to w ciągu kilku najbliższych godzin. W sali rozbrzmiał gwar podekscytowanych głosów.

- W ciągu ilu godzin, panie prezydencie? - spytała Emily Powell-Hill.
- Tego nie wiem. Operację prowadzimy w Chinach i jest ryzykowna. Mamy z tym duże trudności ze względu na wielką odległość i na to, że Chiny są olbrzymim krajem.
- Można wiedzieć, kto tę operację prowadzi? - spytał wiceprezydent. - Jestem przekonany, że wszyscy tu obecni chcieliby pomodlić się za jej bezpieczeństwo i powodzenie.
- Przykro mi, Brandon, ale tego nie ujawnię. Mogę tylko powiedzieć, że nasz człowiek jest bliski sukcesu, ale jak bliski, tego nie wiem. Jeżeli nie otrzymam w porę meldunku z Chin, zatrzymamy „Cesarzową” i wejdziemy na jej pokład, zanim dotrze do irackich wód terytorialnych, to znaczy zanim wpłynie do Zatoki Perskiej. Za ile to będzie godzin, panie admirałe?
- Przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów spojrział na zegarek. - Za siedem, panie prezydencie. Mniej więcej za siedem.

## 19 września, wtorek Dazu

- Po wyczerpującym biegu przez las i nieustannym spoglądaniu przez ramię Jon, Asgar, dwóch ujęgurskich bojowników i dwóch byłych więźniów spotkali się z pozostałymi partyzantami. Kilka minut później cała grupa ruszyła przez pole w kierunku ukrytych samochodów. Gdy dotarli na miejsce, Asgar wskoczył za kierownicę limuzyny. Wsadzili do niej Thayera, żeby było mu wygodniej. Dołączyli do niego również Jon, Chia-velli i trzech Ujgurów, których stojące na sztorc karabiny wyglądały jak kolce wielkiego jeża. Pozostali wsiedli do land-rovera i łazika. Jechali powoli, żeby nie zwracać na siebie nadmiernej uwagi. Nieustannie wypatrywali też oznak pościgu, zdając sobie sprawę, że każde światło, każdy głaz może oznaczać niebezpieczeństwo. Jon spojrział na zegarek.
- Gdzie Alani i jej grupa? Mieli odwiedzić Chiavellego i doktora do granicy.
- Czekają w kryjówce - odrzekł Asgar. Był spięty, jakby oczekiwał kolejnych kłopotów.
- To znaczy, że<sup>1</sup> chcesz dać im wóz i ludzi?
- Taki jest plan.
- Nie, wykluczone. Nie wiemy, kogo i ilu przyprowadzą Feng i Li Kuonyi. Będą nam potrzebni wszyscy. A nie zdążą wrócić. Nie, doktor Thayer i Chiavelli zostaną z nami aż do samych gór. Ukryjemy ich gdzieś i zabierzemy w drodze powrotnej.

- Asgar przemyślał to szybko i odrzekł:
- Dobra, trzyma się kupy. Poza tym mogą się nam przydać. Umie pan strzelać, doktorze?
- Kiedyś umiałem - odrzekł z tylnego siedzenia Thayer. - Co to za operacja?
- Nie, nie możemy pana narażać - zaprotestował stanowczo Jon.
- 
- Absolutnie - dodał Chiavelli.
- Thayer westchnął.
- Dobrze, ale powiedzcie chociaż, o co chodzi.
- Jon opowiedział mu w skrócie o spotkaniu pod Śpiącym Buddą, podkreślając jego cel, stawkę i związane z tym niebezpieczeństwo.
- Traktat o prawach człowieka? - Thayer zmarszczył już i tak pomarszczone czoło. - Wielka sprawa. Jeden z najważniejszych traktatów w kadencji mojego syna.
- Właśnie - odrzekł Smith. - Tu chodzi o cały świat.
- Thayer zdjął okulary i ścisnął palcami grzbiet nosa dokładnie takim samym gestem jak prezydent Castilla. Potem odchylił do tyłu głowę i wyczerpany spojrział w okno. Na jego starej twarzy błędził słaby uśmiech. Jon odwrócił się, popatrzył na drogę, zerknął na Asgara. Wymienili pełne ulgi spojrzenia i na powrót zajęli się obserwacją okolicy. Mijali wiejskie podwórza zasłane ziarnem ryżu, który miał schnąć na słońcu, jak schła papryka w kryjówce Ujgurów. Niełuskany ryż widać było wszędzie, nawet pod płotami i ścianami chat, gdzie piętrzył się jak brązowe zasy. Widzieli też kurniki, chlewy, ogródki warzywne, ciężkie kosze pełne grzybów i jagód. No i oczywiście bawoły drzemiące z nisko zwieszonymi łbami i pyskami tuż przy ziemi. Czas płynął powoli. Stanowczo za wolno, co jeszcze bardziej zwiększało napięcie. Wjechali do jakiejś wioski i Thayer się wyprostował. Domy były tu ładniejsze, zamożniejsze, z dachami pokrytymi wygiętą, czarno-niebieską dachówką i dwoma, nawet trzema kominami. Droga przeszła w brukowany gościniec. Okazało się, że Thayera przywożono tu czasem do pracy w kancelarii. - Widzicie te krzesła na skraju chodnika? - powiedział. - Droga jest jak przedłużenie domu. Chłopi siadają przy stolikach, żeby pograć w karty, wypić herbatę i poplotkować. Kładą na chodniku ryż do wyschnięcia, a rowerzyści przejeżdżają po nim, jakby nic tam nie było. Jest im wszystko jedno. Ryż jest dla Chińczyków czymś odwiecznym. Jest jak księżyc i gwiazdy. Nic go nie zniszczy. Jon spojrział przez ramię. Thayer miał zmęczoną twarz, ale nawet tu, w tyra ciemnym wnętrzu, było wyraźnie widać, że jest szczęśliwy; I że chce się wygadać. Dobry znak.
- Jak się pan czuje?
- Dziwnie. Nieswojo. Raz tak, raz tak. Moje emocje są jak chochliki, nie mogę nad nimi zapanować. Chce mi się śmiać, a zaraz potem płakać. Boję się, że jestem już w wieku, kiedy

człowiek łatwo płacze.

- To normalne - odrzekł Jon. - A fizycznie?
- Ach, fizycznie... Byłem trochę zmęczony, ale teraz czuję się dobrze.
- Torturowano pana?
- Thayer zmarszczył czoło. Zdjął okulary i ścisnął palcami grzbiet nosa. Znowu ten sam gest. I znowu te dwa złamane palce. Smith podejrzewał, że pod ubraniem ma więcej złamanych i źle zrosniętych kości. Żebra. Ręce. Może noga. Bez dokładnego badania nie sposób było tego stwierdzić. Tak, jeśli przeżyją, Thayer będzie musiał przejść serię badań, i to jak najszybciej. Ponownie spojrzął w okno, na ciemny krajobraz. Thayer też. Mimo niebezpieczeństwa i stresu, dobrze się bawił.
- Chińczycy to fascynujący naród. Nieustannie powtarzają stare mity i tworzą nowe. Kiedyś doszło do silnego przecieku w jednym z ich górskich akweduktów. Komuniści powiedzieli żyjącym u stóp góry chłopom, że specjalnie upiększyli ją nowym wodospadem. Tym sposobem przekonali ich, że nie warto opuszczać roli, że powinni dalej uprawiać ryż, chociaż groziło im duże niebezpieczeństwo.
- Tak, w chińskiej kulturze natura zawsze splatała się z mitem - wtrącił Asgar. - I co z tymi chłopami? Przeżyli?
- - Tak. Akwedukt w porę naprawiono... Prawie każde zjawisko przyrodnicze ma tu swoją legendę. To znakomite narzędzie do utrzymywania ludzi w ciemności. Nauka jako taka tu nie istnieje. Ale jest to jednocześnie piękny sposób życia. Ci ludzie mówią jak poeci. Wielkie drzewo jest dla nich inkarnacją Boga. Tęcza powodem do radości. Niebo żyje na ziemi. Ale kiedy ta ciemnota trafiła do Pekinu, zaczęły się kłopoty.
- Mao był zwykłym chłopem i skończył tylko podstawówkę, prawda? - spytał Smith.
- Tak. On i chłopci tacy jak on kierowali całym państwem. Niektórzy byli analfabetami. Nie potrafili nawet przeczytać dokumentów, które stemplowali. Nie wiedzieli nic o masowej produkcji, o nauce, a nawet o rolnictwie poza wsią, z której pochodzili. Piąt lat po objęciu władzy przez Mao Zedonga ludzie omal nie powymierali z głodu, bo ich biuro polityczne prowadziło absurdalną politykę. W więzieniu jedliśmy dosłownie wszystko. Ptaki, owady, trawę. Po pewnym czasie na drzewach zabrakło kory. Wielu z nas umarło. - Thayer zadrżał. - Ale dość tego. Teraz, gdy niemożliwe stało się możliwe, mam powody żyć na tyle długo, żeby spotkać resztkę mojej rodziny. Pewnie robię się zachłanny, ale wszystko mi jedno. Potem będę mógł umrzeć w spokoju.
- Podczas gdy oni gawędzili, Asgar rozmawiał przez walkie-talkie z kierowcami dwóch pozostałych samochodów. Żaden z nich nie zauważył, żeby ktoś ich śledził. Nieustannie utrzymywali ze sobą kontakt, nieustannie obserwowali teren. Nieustannie trzeszczały głośniki nadajników. - Dostaliśmy wiadomość z farmy - rzucił przez ramię Asgar. - Nie znaleźli jeszcze strażników i nie wiedzą, że uciekliście. Jak dotąd mamy szczęście. - Ponownie spojrzął na drogę. Kawalkada wjeżdżała między wzgórza. Napięcie nieco opadło. Thayer opisał im okolice

Baoding Shan, dokąd zmierzali, i Śpiącego Buddę, gdzie miało dojść do przekazania manifestu „Cesarzowej”.

- Baoding Shan - mówił. - Niektórzy tłumaczą to jako „góra o bezcennym szczycie”, inni jako „góra o szczycie skarbów”. U jej podnóża wyrzeźbiono w skale Śpiącego Buddę i wiele innych figur, tak jak w Mount Rushmore. Wyrzeźbiono je i pomalowano.
- Podobno mają tysiąc lat - wtrącił Chiavelli.
- Prawie - odrzekł Thayer. - Te wokół Buddy pochodzą z XIII wieku. Ten, kto zaplanował wystrój grotty, miał poczucie prawdziwego piękna. Rzeźby wyglądają tak, jakby były naturalną częścią skał, a wokół jest pełno zieleni, drzew, krzewów, pnączy i kwiatów, zielony gąszcz.
- Jak pan myśli, to dobre miejsce na tego rodzaju spotkanie? – spytał Jon. Klein przysłał mu faksem mapy i plany, mimo to nie ma to jak relacja kogoś, kto tam był i widział wszystko na własne oczy.
- Li Kuonyi i Fengowi miejsce to daje mnóstwo możliwości. Wam będzie trudniej, bo chcecie odebrać manifest temu, kto go w końcu dostanie. Śpiący Budda to masywna rzeźba pod skalnym nawisem. Wokoło jest dużo innych postaci z buddyjskich mitów. Wiele z nich stoi na wysokości oczu i łatwo się za nimi ukryć. W ciemnych jaskiniach i skalnych świątyniach jest ich jeszcze więcej.
- Asgar szarpnął kierownicą, żeby nie przejechać dzikiego psa, który przebiegł drogę.
- Bardzo dobry opis, panie doktorze - powiedział. - Sam nie zrobiłbym tego lepiej. Ale skąd pan to wszystko wie? - spytał podejrzliwie.
- Nasi więźniowie jeżdżą tam, żeby sprzątać po turystach i konserwować rzeźby. Ciekawiły mnie, więc od czasu do czasu pozwalali mi się zabrać. Starców, nawet starych więźniów, bardzo się tu szanuje, bo przeżyli wiele lat.
- Wreszcie skręcili i wjechali między drzewa. Ujgurzy wysiedli i zaczęli maskować samochody wyrwanymi z ziemi krzewami i gałęziami. Thayer przechadzał się, żeby rozprostować nogi. Chiavelli nie odstępował go na krok.
- Pora ruszać - powiedział w końcu Smith. Dał Chiavellemu kluczyki do samochodu. - Asgar wszystko ci napisał, nie zabłądzisz. Jeśli nie wrócimy do świtu, będziesz musiał zawieźć go do kryjówki sam.
- Nie ma sprawy. A potem?
- Siostra Asgara podrzuci was do najłatwiejszej granicy.
- Rozumiem. Powodzenia. - Wymienili spojrzenia i zrozumieli się bez słów. Chiavelli poprowadził Thayera do limuzyny.
- Zna pan mojego syna, Dennis? - spytał nieśmiało starzec, gdy wsiadali. - Opowie pan mi o nim? - Odpowiedź Chiavellego zagłuszył trzask zamykanych drzwiczek.
- Samochody były już zamaskowane. Zabrali broń, latarki i mapy. Asgar poprowadził ich



ścieżką między ciemnymi drzewami i krzewami, które muskały im ręce i nogi. Zawszą dochodził zapach żywej ziemi i bujnej roślinności. Jeden z Ujgurów był pod Śpiącym Buddą i podzielił się swymi spostrzeżeniami z Asgarem, który przetłumaczył jego słowa Jonowi. Unikając uczęszczanych tras, szli gęsiego pod górę, próbując nie potknąć się o kamienie i nie spaść na porośnięte krzakami skały.

- Przy warujemy nad Buddą, trochę z boku - powiedział Jon, gdy wyszli na równiejszy teren. - Za krzewami.
- Tym razem ty rozkazujesz, przyjacielu.
- Musimy widzieć wszystkich, którzy będą schodzili schodami na dół, i wszystkich, którzy zatrzymają się pod rzeźbą. Materiały od Kleina potwierdzają to, co mówił Thayer. Między posągami i rzeźbami jest pełno kryjówek. Będzie nam jeszcze trudniej. Rozstaw ludzi tak, żeby widzieli jak największą część grotu.
- Ciężka sprawa - odparł beznamiętnie Asgar. - Ile mamy czasu?
- Nie sposób przewidzieć. Spotkanie może zakończyć się jeszcze przed świtem.
- Światło dnia to nasz wróg. Jeśli chcesz wywieźć ten manifest z Chin, o wschodzie słońca powinniśmy być w połowie drogi do granicy.
- Myślę, że sprawa rozwiąże się znacznie wcześniej. Dzień jest nie tylko naszym wrogiem, ich też.
- Zamilkli, Ujgurzy rozmawiali szeptem, ostrożnie stawiając nogi na opadającej w dół ścieżce. Tak jak mówił Thayer, zawszą otaczała ich rozbuchana roślinność, Księżyc oświetlał wierzchołki drzew i krzewy, a po ziemi pełzały, czarne, nieprzeniknione cienie. W oddali czekał Śpiący Budda, gdzie Jon będzie musiał ponownie stawić czoło Fengowi i Li Kuonyi, i gdzie misja miała dobiec końca, bez względu na jej wynik.

# Rozdział 41

## Morze Arabskie

- 
- 
- Radiowiec podniósł wzrok znad konsoly.- To „Shiloh” - zameldował. - Chcą znać naszą dokładną pozycję i pytają, gdzie będziemy za dziesięć godzin. Komandor porucznik Frank Bienas pochylił się nad jego ramieniem.- Podaj im namiary. Zaraz obliczę resztę. Ale powiedz im, że dziesięć godzin to za długo. Bienas usiadł nad mapą. Radiowiec wysłał wiadomość, usiadł wygodniej, czekając na odpowiedź, wreszcie wyciągnął się, żeby rozluźnić mięśnie bolące od długiej, na szczęście kończącej się już wachty. Bienas nakreślił przewidywany kurs, rzucił ołówek i pokręcił głową. Technik przytrzymał słuchawki, zerknął na niego i zameldował:
- „Shiloh” mówi, że wcześniej nie dadzą rady. Płyną pełną parą.
- Powiedz im, że za dziesięć godzin będziemy już w zatoce, że to za ryzykowne. Muszą tu być najdalej za sześć, a jeśli nie, niech wracają do domu piec ciasteczka. Jak ktoś będzie mnie szukał, jestem na mostku - dodał z niepokojem w głosie. Wszedł na ciemny pokład i wdrapał się na mostek, gdzie przed godziną wachtę objął kapitan Chervenko.
- Kapitan patrzył przez lornetkę na odległe światła pozycyjne „Cesarzowej”.- W ciągu ostatniej godziny przyspieszyła o jeden węzeł. Jak suka, która wyczuwa bliskość domu.- „Shiloh” mówi, że za dziesięć godzin - zameldował Bienas. Chervenko nie odwrócił się ani nie opuścił lornetki.- Brose zrobił wszystko, co mógł. Problem w tym, że 5. Flota stacjonuje za daleko na południe i że cały czas się od nich oddalamy. Nie zdążą, nie mają szans.- Niewiele by nam pomogli - odparł Bienas twardo i z optymizmem.
- Ale budzilibyśmy przynajmniej dwa razy większy respekt. - Kapitan był realistą - Co robicie za rufą?
- Trzymają prędkość i kurs. Hastings mówi, że wychwycił odgłosy wskazujące na przygotowania do ataku. Wzmoczony ruch w dziobowym przedziale torpedowym.
- Wiedzą, że to ostateczna rozgrywka. „Cesarzowa” nie może wpłynąć do zatoki, nie możemy do tego dopuścić. Wystawilibyśmy się na atak samolotów, kutrów torpedowych i Bóg wie czego jeszcze, poza tym nie wiadomo, kto poza Irakijczykami nabralby ochoty, żeby do tego dołączyć. Na przykład Teheran. Mogą dojść do wniosku, że sytuacja zagraża ich interesom, i będziemy mieli niezłą zabawę.
- Bienas posępnie kiwnął głową. Stał ramię w ramię z kapitanem, patrząc na światła pozycyjne „Cesarzowej”. Amerykańska fregata i chiński statek handlowy płynęły w noc zmierzając do nieuchronnej konfrontacji.

## Dazu

- - Jest. - Asgar powiedział to cicho, lecz z nietypowym dla niego podziwem w głosie. Przystanęli w gęstwinie rozłożystych drzew i krzewów na skraju małej przesieki. Grota

była w tej samej części zbocza, tuż pod nimi, nieco z boku. Chociaż nie widzieli stamtąd tysięcy rzeźb, wyrytych w skale na przestrzeni kilkuset metrów, Śpiący Budda i otaczające go posągi, które tonęły w żółtawym jak płomień świecy blasku księżyca, tworzyły zapierającą dech w piersi panoramę. Ujgurzy też przystanęli, żeby popatrzeć. Gigantyczny Budda spoczywał na boku pośrodku grotty, której nadano kształt podkowy. Z ginącymi w skale plecami, miał prawie sześć metrów wysokości i był wizerunkiem księcia Sakyamuni, który w stanie nirwany zasypia snem oświeconego. Małe i mizerne w porównaniu z nim posągi bodhisattwów i naturalnej wielkości posągi wysokich urzędników w kapeluszach stały tak blisko, że prawie się z nim stykały. Chroniąc się przed deszczem pod skalnym nawisem, ponadczasowy Budda stał przed nimi w widmowej krasie. Przecinka z widokiem na grotę doskonale nadawała się na punkt obserwacyjny. Jon i Asgar rozstawili Ujgurów w gęstwinie i zajęli pozycję tuż obok siebie, żeby łatwiej było wydawać rozkazy. Leżąc pod drzewem, czekali, nie wiedząc, czy czekać będą długo, czy krótko. Smith z trudem panował nad podnieceniem. Kilka razy był blisko celu, lecz manifest okrętowy „Cesarzowej” zawsze wymykał mu się z rąk. Zdawał sobie sprawę, że kolejnej szansy nie będzie. Zadrżał i skupił wzrok na rzeźbach, chcąc, żeby cała panorama wryła mu się w pamięć. Gdy nadejdą ludzie Fenga i Li Kuonyi, gdy ukryją się za statuami, szybko ich znajdzie. Nie mógł pozwolić sobie na kolejny błąd. W skalnych niszach wokół podkowiastej grotty stało też wiele innych posągów. A wstępu do mrocznych pieczar bronili skamieniali strażnicy. Większość rzeźb oddzielono od chodnika niskimi stalowymi płótkami, żeby ochronić je przed ciekawskimi turystami. Ale teraz nie było tam nikogo, ani turystów, ani kramarzy, ani szukających duchowego ukojenia, ani policji. W ciemności słychać było tylko cichutki szum wiatru, szelest czmychających w ciemności zwierząt i łopot skrzydeł nocnych ptaków. - Kiedy oni przyjdą? - szepnął Asgar. - Niedługo świt.

- Nie mam pojęcia. Mieli się spotkać przed wschodem słońca, ale coś mi mówi, że skończą na długo przedtem.
- Oby tylko nie było tu turystów.
- Oby. Ale cholera ich wie, może Li Kuonyi i Yu zechcą się wmieszać w tłum. Chociaż dobrze wiedzą, że Feng nie zawaha się zabić każdego, kto stanie mu na drodze, więc turyści im nie pomogą. Nie, znają Fenga i będą spodziewali się jakiegoś podstępu, dlatego przyjdą wcześniej, żeby niczym ich nie zaskoczył.
- Smith starannie to wszystko przemyślał, okazało się jednak, że był w błędzie. Niecałe pół godziny później dostrzegli jakiś ruch na szczycie kamiennych schodów po drugiej stronie Śpiącego Buddy. Jon chwycił lornetkę, wyregulował ostrość i zobaczył pięciu mężczyzn, w tym trzech, których pamiętał z Hongkongu i Szanghaju, ludzi Fenga. Wszyscy mieli karabiny szturmowe, chyba angielskie. Ale samego Fenga wśród nich nie było.
- Niech to szlag - syknął.
- Co? Kłopoty? - Asgar wyteżył wzrok. Tamci schodzili już do grotty.
- - Nie ma Fenga, ale... - Jon urwał i zaklął. - No proszą. A to niespodzianka... W świetle księżyca ukazał się ktoś jeszcze. On też ruszył schodami w dół ze średniej wielkości walizką w rękę. Ralph McDermid we własnej osobie.

- McDermid, ten, który to wszystko obmyślił.
- Sam szef? Czy to nie dziwne?
- Chyba nie. Feng polował na ten manifest wiele fazy, ale zawsze zawałał. McDermid mógł dojść do wniosku, że nie warto więcej ryzykować. Pewnie założył, że Li Kuonyi i jej mąż bardziej zaufają jemu. Li i Yu wiedzą, że jeśli te dwa miliony pochodzą z nielegalnego źródła, McDermid nie będzie próbował grać na czas ani ich zwodzić. A może po prostu przestał ufać Fengowi.
- Albo przekupił jego ludzi.
- To też. Cholera, nie lubię, kiedy przeciwnik robi coś nieoczekiwanego. To znaczy, że coś przeoczyłem.
- Uzbrojona grupa schodziła ostrożnie schodami. Szli zwartym szykiem, rozglądając się wokoło i wypatrując zasadzki. McDermid zatrzymał ich sześć metrów przed końcem schodów i kazał im ukryć się naprzeciwko Buddy. Sam przykucnął za krzakiem. - Założył, że Yu i Li też zejdu schodami - szepnął Asgar. - Chce ich tam zaskoczyć. Jeśli tak rzeczywiście było, McDermid bardzo się pomylił. W świetle księżyca, tuż pod posągiem Buddy, ujrzeli rosnącego, krzepkiego mężczyznę. Nie zszedł schodami, tylko wychynął z prawej strony groty, pomiędzy stojących tam rzeźb. Za pasem miał pistolet przypominający wyglądem glocka kaliber 9 milimetrów. Na chodnik przed Buddą weszła też Li Kuonyi. Przystanęła za mężczyzną i rozejrzała się wokoło. Ubrana na czarno, w kurtce z kapturem - było mgliście i dość chłodno - trzymała w ręku dyplomatkę. Jon próbował zobaczyć jej twarz, lecz kurtka miała wysoki kołnierz, a włosy zakrywał kaptur. Ale nie, nie miał wątpliwości, że to Li Kuonyi. Wciąż pamiętał, jak piła samotnie koniak w opustoszałym Szanghajskim domu. Szczupły, dobrze zbudowany mężczyzna o chłopięcej twarzy, który stanął tuż za nią, jakby bał się zostać sam, wyglądał na trzydzieści kilka lat. Widać było, że dba o figurę i bardzo się o siebie troszczy. Troszczy, a raczej troszczył, gdyż teraz z jego szklistych oczu i ze zmarszczonego czoła biło zmęczenie i napięcie. Był wyczerpany i zalękniony. Brak snu odcisnął na nim swoje piętno. Yu, mąż Li Kuonyi? Chyba tak. Był w zmiętym, pewnie szytym na miarę włoskim garniturze, w eleganckim, lecz wygniecionym i luźno zawiązanym krawacie, zniszczonych butach i wygniecionej koszuli w biało-niebieskie paski. Nerwowo strzelając wokoło oczami, trzymał się blisko żony. Z mroku wychynął ktoś jeszcze. Jakiś mężczyzna; Jon go nie znał. Szczupły, o nienaturalnie błyszczących oczach, robił wrażenie osobnika cierpiącego na psychozę maniako-depresyjną, w fazie manii. Kolejny bandzior, o wiele niebezpieczniejszy od tego pierwszego. Z Li Kuonyi na czele, całą czwórką minęli Śpiącego Buddę i spojrzeli w górę schodów. Li postawiła na ziemi dyplomatkę. - Feng?! - krzyknęła po angielsku. - Wiem, że tam jesteś. Słyszeliśmy cię. Przyniosłeś pieniądze?

**18 września, poniedziałek Waszyngton**

- 
- 
- Trzy godziny, panie prezydencie - oznajmił admirał Brose.
- Myśli pan, że nie umiem liczyć? - warknął Castilla. Szybko zamrugnął i wziął głęboki oddech. - Przepraszam, Stevens. To przez czekanie i brak wiadomości. Bywało już, że

odliczaliśmy minuty, ale wtedy atakował nas nieprzyjaciel i musieliśmy tylko ten atak powstrzymać. Teraz jest inaczej. Tę konfrontację zainicjowaliśmy my, Amerykanie, i tym razem nie możemy użyć wszystkiego, co mamy. Już wkrótce będę musiał wydać rozkaz, który pchnie nas, Chiny i resztę świata do niewyobrażalnej wojny. W Chinach jest ktoś, kto tego pragnie, i gdy tylko wkroczymy na pokład „Cesarzowej”, odpowie ciosem na cios.

- Byli sami w Pokoju Sytuacyjnym. Admirał poprosił go o spotkanie i Castilla doszedł do wniosku, że najlepiej będzie porozmawiać w miejscu, gdzie nikt ich nie usłyszy. Wyżsi oficerowie i cywilny personel wojskowy siedzieli jak na szpilkach, a zwykle gadatliwy personel Białego Domu był dziwnie milczący. Wszyscy wstrzymywali oddech.- Nie zazdroszczę panu, panie prezydencie.Castilla uśmiechnął się ponuro.
- Wszyscy mi zazdroszczą, Stevens. Nie słyszałeś? Jestem najpotężniejszym człowiekiem na świecie i wszyscy chcieliby być na moim miejscu.
- Tak jest -szepnął admirał. -„Shiloh” nie zdąży.
- W takim razie niechaj Bóg nam dopomoże. Bóg i nasz człowiek w Chinach.
- 
- 

## 19 września, wtorek Duzu

- Li Kuonyi i jej przerażony mąż czekali w elektryzującej ciszy, aż wyjdzie do nich Feng.Przez zaopatrzoną w noktowizor lornetkę Smith widział, jak McDermid wydaje ciche, lecz stanowcze rozkazy swoim ludziom. Wyglądało na to, że każe im czekać i nie robić nic bez wyraźnego sygnału.Wreszcie wstał, wyszedł zza krzaków i uśmiechnięty, z walizką w ręku ruszył w stronę schodów.Był już prawie na dole, gdy wtem Li zawołała:
- Stój, ani kroku dalej!
- Mówi po angielsku - zauważył Asgar.
- Pewnie ze względu na ochroniarzy. Nie chce, żeby wiedzieli, co się tam dzieje.
- A ty kto? - warknęła Li. - Gdzie Feng?
- Nazywam się McDermid. Ralph McDermid. To właśnie ja mam zapłacić pani dwa miliony dolarów. - Poklepał walizeczkę.
- Yu Yongfu szepnął jej coś do ucha i Li wytrzeszczyła oczy. Yu musiał potwierdzić, że to naprawdę sam McDermid.- To pieniądze? - spytała.- Owszem. A to manifest okrętowy „Cesarzowej”?Li trąciła nogą dyplomatkę.- Ale zanim przyjdzie panu do głowy, żeby odebrać nam ją przy pomocy ludzi, których pan tam ukrył, ostrzegam, że w walizce jest ładunek wybuchowy. Jeden nieopatrzny ruch i go odpalę. Jasne?McDermid uśmiechnął się, jakby miał do czynienia z najrozkoszniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Jakby robienie z nią interesów sprawiało mu autentyczną przyjemność i Jon dopiero teraz zrozumiał, że dla tego fałszywca dosłownie wszystko jest interesem, nawet przyjemność. A każdy interes to oczywiście czysta rozkosz, to gra, którą trzeba wygrać, im wyższa stawka, tym lepiej. Życie jest transakcją. McDermid reagował automatycznie, nieświadomie, tak jak nieświadomie oddychał.

- Całkowicie - odrzekł wylewnie. - Rozumiem, że zechce pani przeliczyć pieniądze.
- Naturalnie. Niech pan przyniesie tu walizkę i wróci na schody.
- McDermid zszedł na dół, położył walizkę płasko na ziemi i ani na sekundę nie odrywając oczu od Li i jej ludzi, wrócił na miejsce, wiedząc, że nad grotą czuwają jego ludzie z wymierzoną bronią. Li Kuonyi spojrzała na męża, mąż spojrzał na nią. Byli wyraźnie podekscytowani i pełni nadziei, co dostrzegli nawet ukryci na zboczu Smith i Ujgurzy. - Otwórz ją, mężu - powiedziała Li. Yu przykucnął z rozpromienioną twarzą i trzasnął zameczkami. Gdy podnosił wieko, Li i jej goryle przestali się rozglądać, bo popatrzyli na walizkę. I to ich zgubiło. Jakby na umówiony znak, zza gęstych krzewów nad miejscem, gdzie leżało pięciu ludzi McDermida, wstał Feng Dun z pistoletem maszynowym w wielkich rękach. Otworzył ogień i na skalnym zboczu naprzeciwko Śpiącego Buddy rozgorzała kanonada. Nocną ciszę zburzył potworny huk, jakby gdzieś w pobliżu wybuchł wulkan, huk i przeraźliwy jęk kul sypiących się gradem na Li Kuonyi, jej męża i dwóch ochroniarzy. Żadne z nich nie miało najmniejszej szansy. Zakrwawiona Li upadła na ziemię z przestrzeloną szyją. Yu Yongfu upadł na walizkę - kule poszatkowały mu pierś. Rosłego ochroniarza skosiły, zanim zdążył zrozumieć, co się właściwie dzieje. Zareagował jedynie ten drugi, lecz zdołał tylko sięgnąć po broń, bo już ułamek sekundy później siła uderzenia pocisków rzuciła go na Stalowy płotek przed Śpiącym Buddą. Bryzgając krwią, przeleciał nad nim jak w zwolnionym tempie i runął na skalną posadzkę. Nie żyło również pięciu ludzi McDermida, którzy przywarowali za krzakami na zboczu pod Fengiem. Nad grotą zapadła grobowa cisza. Zaszokowany McDermid zastygł bez ruchu z rozdziawionymi ustami. Z gęstwiny wypadli Feng i jego ludzie. Zbiegli schodami na dół.
- Miałeś czekać! - wrzasnął rozwścieczony McDermid z twarzą czerwoną jak burak. - Mówiłem ci, że załatwię to sam! Coś ty zrobił, krety nie!
- Co zrobiłem, tajpanie? - powtórzył Feng, podchodząc bliżej. - Dopilnowałem, żeby manifest nie wpadł w ręce Amerykanów i Chińczyków. Zarobiłem dwa miliony dolarów. I co najważniejsze, wyeliminowałem z gry pewnego bezczelnego, bezwartościowego, bogatego Amerykanina.
- Gdy puścił krótką serię, McDermid wybałuszył oczy, jakby dopiero teraz wszystko pojął. Kule przeszły mu serce i odrzuciły go do tyłu z rozpostartymi ramionami. Upadł na chodnik i znieruchomiał. Feng roześmiał się, kopniakiem odsunął zwłoki Li Kuonyi i chwycił dyplomatkę. Smith i Ujgurzy nie mieli czasu, żeby zapobiec jatce. Asgar zaklął i podniósł rękę, żeby dać znak kolegom, którzy trzymali już na muszce Chińczyka i jego zabójców.
- Nie! - szepnął Jon. - Niech nie strzelają. Niech przywarują i czekają!
- Ucieknie nam!
- Nie! - warknął Smith. - Zaczekaj!
- 
- 

## Morze Arabskie

- Kapitan Chervenko leżał na koi, lecz nie spał. Przed dwiema godzinami przekazał wachtę

Bienasowi, każąc mu zadzwonić, gdyby zdarzyło się coś nowego. Rozkaz był niepotrzebny i bezsensowny, gdyż Bienas i tak by go wezwał. Poza tym najdalej o czwartej miał złożyć mu rutynowy meldunek. Chervenko zapowiedział, że idzie spać, choć z doświadczenia wiedział, że to beznadziejne. Ale pozory normalności uspokajały załogę, a on sam miał przynajmniej czas i okazję, by starannie przemyśleć taktykę walki z chińskim okrętem podwodnym. Gdy połączono go z „Shilohem”, natychmiast podniósł słuchawkę.

- Ile wam zostało, Jim? - spytał kapitan Michael Scotto.
- Niecałe trzy godziny.
- Ogłosiłeś alarm?
- Nie. Zrobię to dopiero wtedy, kiedy będę musiał, ani sekundy wcześniej.
- Chwila ciszy.
- Cienko stoisz z czasem.
- Jest ciemno, ale na radarze widać, że wypłynęli na powierzchnię. Wszystko słyszą. Nie pociągnę za spust, dopóki nie dostanę rozkazu.
- Ryzykowne. Jeśli zaczną jako pierwsi... - Scotto zawiesił głos.
- Wiem. Trudno, zaryzykuję.
- Powodzenia, Jim.
- Dzięki. Przyplyniecie jak najszybciej.
- Przerwali połączenie. Nie musieli mówić nic więcej. Obydwaj wiedzieli, o co chodzi. Podczas starcia na morzu może zdarzyć się wszystko i niewykluczone, że „Shiloh” im jakoś pomoże. Jeżeli nie, wyłowi chociaż rozbitków, jeśli jacyś będą. Chervenko ledwo zdążył zamknąć oczy, żeby zasnąć chociaż na godzinę, gdy zapiszczał sygnał interkomu.- Panie kapitanie, Chińczycy schodzą pod wodę. Sonar mówi, że szykują się do ataku. Kapitana ścisnęło w piersi.- Już idą. Zerwał się z koi, ochlapał twarz zimną wodą, przyczesał włosy, poprawił mundur, włożył czapkę i wyszedł. Na pokładzie spojrzął za rufą, ale zobaczył tylko ciemność. Na mostku Bienas ruchem głowy wskazał światła pozycyjne „Cesarzowej”.
- Przyspieszyli. Robią prawie piętnaście węzłów.
- A ci za rufą?
- Sonar twierdzi, że torpedy są już na wyrzutniach.
- Atakują?
- Jeszcze nie.
- Ale zaatakują. Ogłoś alarm, Frank.
- Bienas dał znak czuwającemu przy interkomie technikowi. Ten nachylił się do mikrofonu i

drżącym ze zdenerwowania głosem krzyknął:- Alarm! Alarm! Alarm!



# Rozdział 42

**Dazu**

- 
- 
- Asgar rozpaczliwie pomachał ręką, w ostatniej chwili powstrzymując Ujgurów przed otwarciem ognia. Przed Śpiącym Buddą stali Feng Dun i jego ludzie. Niektórzy byli w wojskowych mundurach. Wstrząśnięty Jon patrzył na nich, Asgar na Jona.- Zwariowałeś? Feng zwieje z forsą i manifestem!Ale Smith, który uważnie obserwował rozwój wydarzeń, z niesmakiem pokręcił głową. Że też niczego się nie domyślił. Cóż, nie domyślili się też McDermid i Feng.
- Wątpię - odparł. - To podstęp, sztuczka. Na sto procent.
- Sztuczka? - powtórzył jeszcze bardziej skonsternowany Asgar. – Jaka sztuczka? Wysiekł wszystkich w pień i zaraz zwieje z dwoma milionami dolarów i manifestem!
- Smith z uporem pokręcił głową.- Nie. Każ swoim zachować czujność. I obserwować.Feng przykucnął nad dyplomatką, a jego podeksycytowani ludzie otoczyli go kręgiem. Feng ostrożnie podniósł walizeczkę. Zważył ją w rękach.Przechylił ją i delikatnie nią potrząsnął. Nagle roześmiał się i powiedział coś po chińsku. Jego ludzie też się roześmiali.
- Mówi, że nie ma tam żadnej bomby - przetłumaczył Asgar. - Walizka jest za lekka, nie przesuwają się w niej nic ciężkiego. Od samego początku nie wierzył w żadną bombę. Li Kuonyi nie zniszczyłaby przecież swojej prawdziwej broni.
- I ma rację - mruknął Smith.
- Gdy Feng położył ręce na wieku, jego ludzie cofnęli się o krok, jakby nie do końca mu ufali. Feng otworzył dyplomatkę, podniecony zajrzał do środka i... nic nie wybuchło. Mimo to Chińczyk wściekle wykrzywił twarz. Głośno zaklął i cisnął walizkę przed siebie. Wylądowała cicho w krzakach.Feng warknął coś po chińsku. Zdumiony Asgar spojrzał na Jona.
- Tam nic nie ma!
- Jon kiwnął głową.
- No jasne. Już mówiłem, to kolejna sztuczka Li Kuonyi.
- Tej nocy pod Śpiącym Buddą nie było żadnego manifestu. Feng zerwał się na równe nogi i podszedł do Yu Yongfu, który leżał nieruchomo na walizce z pieniędzmi. Przewrócił go kopniakiem na plecy i przykucnął. Poślinił palec i potarł nim jego twarz, popatrzył na opuszkę, skrzywił się i znowu zaklął.- Co on robi? - zdziwił się Asgar.Z błyskiem w zimnych oczach Feng podbiegł do Li, która leżała na plecach, patrząc w wieczność. Ponownie przykucnął i powtórzył cały rytuał. Skończywszy, opadł bezwładnie na pięty jak ktoś przegrany. Potem gwałtownie wstał i z odrazą przemówił do swoich ludzi.

- A więc to tak! - Asgar patrzył na Jona jak na czarodzieja. - To podstęp Li i jej męża. To nie oni! Ci biedacy tylko ich udawali. Pewnie jacyś aktorzy, których Li poprosiła o pomoc. Poświęciła ich, mieli być tylko rekwizytem, dekoracją, żeby Feng we wszystko uwierzył. Ale...
- Właśnie, ale.
- Feng ponownie przykucnął, obszukał martwą kobietę i wstał z czymś małym w rękę.
- Co to jest, do cholery?
- Pewnie miniaturowy mikrofon, odbiornik i głośnik. Maskarada, tak to zaplanowała. Dlatego mówiła tylko ona.
- Zdawało się, że zrozumiał to i Feng. Podniósł głowę i przeczesał wzrokiem zbocze nad Śpiącym Buddą. Widocznie nic nie zauważył, odwrócił się szybko i wydał jakiś rozkaz. - Każe im... - zaczął Asgar. Lecz w tej samej chwili Smith zerwał się na równe nogi i krzyknął: - Teraz! Ognia! Ognia!

## 18 września, poniedziałek Waszyngton

- Przez szpary w ciężkich zasłonach, odcinających od świata nową kwaterę szefa Tajnej Jedyńki, wpadały promienie nisko wiszącego słońca. Klein, wymizerowany z braku snu i regularnych posiłków, miał na twarzy sześciodniowy zarost. Przekrwionymi oczami wpatrywał się w okrętowy zegar na ścianie. Głowę przekrzywił na bok, w stronę półki z niebieskim telefonem. Ktoś, kto by go teraz zobaczył, pomyślałby pewnie, że go sparaliżowało, że jest w hipnotycznym transie, że stracił przytomność albo umarł, gdyż od długiego czasu nie poruszył nawet palcem. Tylko pierś podnosiła mu się lekko i opadała. Lecz gdy zadzwonił niebieski telefon, zerwał się na nogi tak gwałtownie, że omal nie spadł z krzesła. Podniósł słuchawkę. - Jon!
- Nie zadzwonił? - W spiętym głosie Castilli słyhać było rozczarowanie.
- Nie, panie prezydencie,
- Zostały nam dwie godziny. Albo i mniej.
- Albo więcej. Na morzu trudno to przewidzieć.
- Pogoda na Morzu Arabskim jest idealna aż do Zatoki Perskiej i samej Basry.
- Pogoda to tylko jeden z czynników, panie prezydencie.
- I właśnie to mnie przeraża, Fred.
- Mnie też.
- Klein słyszał jego oddech. I lekkie echo na drugim końcu linii. Nie wiedział, skąd Castilla dzwoni, ale na pewno był sam.
- Jak myślisz, co się tam teraz dzieje, w tym... Gdzie on teraz jest?
- W Dazu, w prowincji Sichuan - przypomniał mu Klein. - Przed posągiem Śpiącego Buddy.

- Castilla długo milczał.
- Kiedyś mnie tam zawieźli. Chińczycy. Do tych rzeźb.
- Nigdy ich nie widziałem.
- Są niezwykle, to dzieło wspaniałych artystów. Niektóre mają prawie dwa tysiące lat. Ciekawe, co my pozostawimy po sobie tym, którzy przyjdą na świat w przyszłym milenium... - Castilla ponownie zamilkł. - Która tam jest godzina? W Chinach, przed tym Buddą.
- Ta sama co w Pekinie, Sam. Chińczycy wprowadzili w całym kraju jedną strefę czasową, dla wygody. Teraz jest tani koło czwartej.
- Czy to nie powinno się już skończyć? Czy nie powinniśmy już czegoś wiedzieć? O moim ojcu też nic nie wiadomo?
- Nie, panie prezydencie. Pułkownik Smith wie, że zostało nam mało czasu.
- Klein Wyczuł, że Castilla kiwnął głową.
- Tak, naturalnie.
- Zrobi, co będzie mógł. Nie ma lepszego niż on.
- I znowu niewidoczne kiwnięcie głową, jakby prezydent wierzył, że wszystko wypali, jednocześnie bojąc się, że nie.
- Miałem zdobyć ten manifest i przekazać go Niu Jianxingowi. Ale już za późno, prawda? Nie zdążylibyśmy nawet dostarczyć go do Pekinu z nadzieją, że to wystarczy, żeby przekonać twarogłowych. Faks czy e-mail wyśmieją, bo łatwo można je podrobić. Nie, jeśli mamy rację i w Pekinie jest ktoś, kto pragnie wojny, uwierzy tylko wtedy, kiedy zobaczy prawdziwy manifest.
- Jon coś wymyśli - pocieszył go Klein, nie mając pojęcia, co by to mogło być.
- Castilla też nie miał.
- Za godzinę, może nawet niecałą, każę Brose'owi wydać rozkaz. Wejdziemy na pokład „Cesarzowej”. Nie widzę innego wyjścia. Niech to szlag. Zrobiłeś, co mogłeś, Fred. Tak jak my wszyscy. Teraz możemy tylko modlić się, żeby Chińczycy się wycofali, ale chyba nie zrezygnują.
- Nie, panie prezydencie. Chyba nie.
- I znowu cisza, jeszcze dłuższa niż przedtem.- Idiocyzm i tragedia zimnej wojny - powiedział w końcu Castilla głosem smutnym, niemal tragicznym. - Znowu to samo. Tylko że tym razem broń jest bardziej zaawansowana, a my prawdopodobnie będziemy sami. Za dwie godziny się przekonamy.

**19 września, wtorek Dazu**

- U podnóża gór, u stóp trasy widokowej do groty Śpiącego Buddy, w ciemnym wnętrzu zdezelowanej limuzyny spał David Thayer, zmęczony napięciem i niezwykłym dla niego nocnym wysiłkiem. Chiavelli obserwował go z chińskim kałasznikowem Asgara Mahmouta na kolanach. Wytrzymałość Thayera bardzo mu imponowała i podejrzewał, że bardziej zmęczyło go samo napięcie niż pełzanie, bieg i wędrówka. Napięcie, bezczynność i czekanie dawały się we znaki nawet jemu, zwłaszcza tutaj, pod duszną warstwą gałęzi i okrywających samochód krzaków. Coraz to zapadał w niespokojną drzemkę, lecz budziło go gwałtowne bicie serca. Gdy otwierał oczy, miał coraz większe kłopoty z rozróżnieniem tego, co jest snem, a co jawą. Ale tym razem obudziło go bolesne strzyknięcie w szyi i już na kilka sekund przed tym, gdy dotarło do niego, że nie śpi, usłyszał coś, co zupełnie nie przypominało głuchego dudnienia w piersi. Drogą ktoś szedł, ktoś maszerował. Dobrze znał ten wybijany przez ciężkie buciory rytm. Maszerowali w ich stronę. Thayer też to usłyszał.
- Żołnierze. Znam ten krok. Chińscy żołnierze.
- Chiavelli wyteżył słuch.
- Dziesięciu? Dwunastu? Cały oddział?
- Chyba tak - potwierdził drżącym głosem Thayer.
- Na drodze, nie dalej jak pięćset metrów stąd. Pół kilometra.
- Jesteśmy na poboczu. Pod tymi gałęziami nie powinni nas zauważyć.
- Tak, ale co robią tu o tej porze? Jest czwarta nad ranem. Nie odkryli naszej ucieczki, bo przysłałiby tu całą armię. I na pewno by nie maszerowali. Nie, oni szukają czegoś albo kogoś innego. Mam złe przeczucia, cholera.
- Starzec trochę się przestraszył, ale próbował zachować twarz.
- Myśli pan, że chodzi im o misję pułkownika i Ujgurów? Ale jak by się o tym dowiedzieli? Bardziej prawdopodobne jest to, że nie mają pojęcia, co się tam dzieje.
- Ale czy możemy ryzykować? Nic nie robić? Absolutnie nie. Jeżeli idą do groty, zaskoczą Jona, Asgara i pozostałych.
- Musimy im pomóc!
- Spróbuję ich zatrzymać. A przynajmniej spowolnić.
- A ja?
- Tu powinno być bezpiecznie. Niech pan zostanie i siedzi cicho. Jeśli nie wrócę, będzie pan musiał pojechać do kryjówki sam.
- Thayer pokręcił głową.- To nierealne. Nie prowadziłem od pięćdziesięciu lat. Poza tym, o ile pamiętam z dawnych czasów, dwa pistolety to nie to samo co jeden. To się chyba nie zmieniło. Zostawiając mnie tu, bynajmniej mnie pan nie chroni. Proszę dać mi broń. Nie strzelałem od pół wieku, ale tego się nie zapomina. Siwe włosy, pomarszczona twarz,

zdecydowane spojrzenie - Chiavelli popatrzył na niego i zagryzł wargę.- Na pewno? Najgorsze, co się może stać, to, że pana znajdą i odeślą do więzienia. Grupa ewakuacyjna Kleina powinna już być gotowa. Odbiją pana. Mądrzej by było, gdyby przywarował pan tutaj, w samochodzie. Thayer wyciągnął rękę.- Mam doktorat, Dennis. Oficjalnie uznano mnie za człowieka rozgarniętego. Poproszę o pistolet. Chiavelli myślał. Thayer robił wrażenie zupełnie spokojnego. Przez gałęzie wpadała do samochodu zbłąkana smuzka światła i widział, że ma uśmiechnięte oczy, jakby świadomość, że jest człowiekiem śmiertelnym, i śmierć jako taka były jego starymi kompanami. Kiwnął głową. Zrozumiał. Tak, starzec miał rację. Wetknął mu do sękatej ręki berettę Smitha. Potem otworzył drzwiczki, te wychodzące na las. Prześlizgnęli się przez gałęzie i przycupnęli za krzakami. Księżyc mieli dokładnie naprzeciwko. Ostrożnie wystawili głowy i na świetliście białej tasiemce drogi wkrótce ujrzeli chińskich żołnierzy. Maszerowali szybko, sprężystym krokiem. Dziesięciu żołnierzy Ludowej Armii Wyzwoleńczej pod dowództwem kapitana piechoty.

- Ilu ich jest w plutonie? -spytał szeptem Chiavelli.
- Nie wiem.
- Nie mieli czasu o tym myśleć. Chiavelli starannie wymierzył z kałasznikowa i puścił krótką serię. Żołnierz maszerujący w pierwszej dwójce przeraźliwie krzyknął i upadł. Trzymając się za nogę, wił się na ziemi. Thayer ścisnął pistolet obiema rękami i też wypalił. Kula trafiła w drogę dobre sześć metrów przed kolumną, wyrzucając w powietrze gejzer piachu. Żołnierze skoczyli za krzaki, wlokąc za sobą ранego towarzysza i kilka sekund później odpowiedzieli ogniem. Strzelali w ich stronę, ale nie w samochód.- Jeszcze nas nie wypatrzyli - szepnął Chiavelli. - Strzelają na oślep. Czekali. Wcześniej czy później tamci będą musieli zaatakować, ale im dłużej siedzieli za krzakami, tym lepiej. Thayer miał zaczerwienioną twarz. Chiavellego ogarnęło wzmożone poczucie rzeczywistości, jakie zawsze towarzyszy walce. Trochę się spocił. Szczekliwy rozkaz. Thayer zadrzał. Dziewięciu żołnierzy wstało jak jeden mąż i otworzywszy ogień, wybiegło na drogę, wypatrując przeciwnika. W ich oczach odbijało się światło księżyca. Thayer wychylił się zza bagażnika i trzy razy pociągnął za spust. Tym razem mierzył lepiej, gdyż odpowiedział mu głośny krzyk.- Może jednak uda nam się ich odeprzeć - szepnął rozradowany. Przypomniały mu się ból, i pięćdziesiąt lat niewoli i rozłąki z bliskimi. Ogarnięci paniką Chińczycy ponownie skoczyli w gęstwinę na poboczu. Żołnierz, którego trafił Thayer, próbował się za nimi czołgać. Tak jak mówili Chiavellemu koledzy z wydziału, ludzie ci nie mieli żadnego doświadczenia bojowego. Było bardzo wątpliwe, czy dowódca zmusi ich szybko do ponownego ataku. Przywarowali za limuzyną i czekali, odliczając czas: Sekundy wlokły się jak godziny. Minęło dwadzieścia minut, a tamci wciąż nie atakowali. Minuty te były bezcenne, bo zamiast pod Śpiącym Buddą, Chińczycy siedzieli tutaj, na poboczu drogi. Nagle Chiavelli dostrzegł jakiś błysk. Światło księżyca odbiło się od czegoś srebrzystego, może od tarczy zegarka. Poczul się nieswojo. Miał niejasne wrażenie, że coś tam się rusza. I nagle odległe o niecałe dziesięć metrów krzaki zaczęły sunąć w ich stronę.- Ognia! - szepnął. - Niech pan strzela! Ognia! Lufa wspartego na dachu limuzyny kałasznikowa bryzgnęła długą serią kul, huknęły wystrzały z beretty. Strzelali pod zbyt ostrym kątem i żeby dobrze wymierzyć, musieli stanąć na palcach. W samochód trzasnęły dwie kule i Chiavelli poczul gorący swąd rozgrzanego metalu. Huknęły też wystrzały z tyłu, od strony lasu. Ktoś krzyknął, ktoś inny wydał rozkaz. Twarz Thayera spopieliała w blasku księżyca.

- Każą nam rzucić broń i się poddać, inaczej nas zabiją- powiedział. - Ale moglibyśmy...
- Odpada, wykluczone - przerwał mu Chiavelli. Przyrzekł, że zadba o jego bezpieczeństwo, a powrót do więzienia był lepszy niż śmierć. Dopóki żyli, wciąż mógł go chronić i bronić.
- Przetrzyliśmy ich tu co najmniej pół godziny. Czasem jest tak, że pół godziny decyduje o wszystkim.
- Pchnął karabin i zrzucił go z dachu. Wysoko podniósł ręce. Drżąc, Thayer upuścił pistolet i splótł dłonie na czapce. Kilka godzin wolności dobiegło końca.- Niestety - szepnął.Z zarośli wyszło ośmiu żołnierzy i podtrzymywani przez nich ranni. Z uśmiechem podnieśli z ziemi porzuconą broń i w tej samej chwili spomiędzy drzew za Chiavellim i Thayerem wyszło jeszcze dwóch. W plutonie Ludowej Armii Wyzwoleńczej było ich najwyraźniej dwunastu.Oficer - kapitan z pistoletem w rąku - stanął przed nimi i powiedział coś gniewnym głosem. Thayer przetłumaczył.- Pyta, kim jesteście. Domyśla się, że jesteście Amerykanami. Pyta... O Boże! - Zerknął na Chiavellego. - Pyta, czy należymy do grupy szpiegowskiej pułkownika Jona Smitha.Żołnierze i ochroniarze Fenga - ci, którzy jeszcze żyli - zaczęli odpowiadać słabym, sporadycznym ogniem.
- Dość, wystarczy - rzucił Jon.
- Na pewno? - spytał Asgar. - Niektórzy jeszcze się stawiają. Może zejdziemy tam i posprzątamy? A przynajmniej sprawdzimy, czy Feng nie żyje. Trafiłem go, na sto procent.
- Nie! Rozstawcie się w tyralierę i przeszukajcie zbocze. Muszą tam być Li Kuonyi i jej mąż. Gdzieś się ukryli.
- Myślisz, że...
- Przywarowali z tym manifestem. Trzeba ich znaleźć.
- Asgar wydał rozkaz i partyzanci ruszyli truchtem przez zarośla, okrążając ludzi Fenga.
- Świt za niecałą godzinę, a tę kanonadę słyszeli pewnie aż w Chongqing.
- Wiem. - Jon biegł nierównym zboczem, spoglądając w lewo i w prawo na przeczesujących, teren Ujgurów. Wiedział, że mają małe szanse, poza tym gonił ich czas. Zostało im ledwie kilkanaście minut na znalezienie Li i Yu, odzyskanie manifestu i wysłanie go do Waszyngtonu.
- Nagle, niecałe sto metrów dalej, huknął wystrzał. Smith wykręcił głowę. Tam, nad Śpiącym Buddą, po lewej stronie. Wystrzał z karabinu, a w odpowiedzi pojedynczy wystrzał z pistoletu.- Stój! - szepnął i przykucnął w zaroślach.Asgar podniósł rękę i opuścił ją, każąc partyzantom przypaść do ziemi.
- Kto to? - spytał.
- Może Feng?
- Asgar wykrzywił twarz.

- Szkada. Powinniśmy byli zbiec na dół i sprawdzić, czy nie ma go wśród trupów.
- Nie było czasu. Najpierw musimy znaleźć Li Kuonyi.
- Jeśli to Feng, chyba przegraliśmy.
- Może. A może nie.
- Asgar dał znak partyzantom i powoli ruszyli przed siebie. Kilka minut później dotarli do małej polanki i niewidoczni w gęstym poszyciu, przystanęli na jej skraju. Smith ruchem głowy wskazał w lewo. Za polanką było urwisko, a pod nim grotą, tak że ten, kto by się tu przycisnął, widziałby całe zbocze, Śpiącego Buddę i biegnący przed nim chodnik.- Z tego miejsca Li miałyby ich jak na widelcu - zauważył.Asgar tylko westchnął.Z górującej nad nimi formacji skał, gdzie spomiędzy drzew i krzewów sterczały zwaliska wielkich głazów, padły trzy strzały. Do skraju polanki z widokiem na Buddę było około pięćdziesięciu metrów.Odpowiedział pojedynczy wystrzał z pistoletu, który padł z kępy drzew rosnących na końcu polany, dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie przycupnęli. Kula trzasnęła w skały, buchnął gejzer odprysków.- Spójrz - powiedział Asgar. - Tam.Pod skałami, dziesięć metrów w stronę ich miejsca, było skupisko głazów. Leżało na nich wielkie drzewo i Smith dostrzegł za nim jakiś ruch. Gdy wyteżył wzrok, ponownie huknęła seria z karabinu i z pnia posypały się drzazgi.Chwilę później rozległ się ów hipnotyzujący głos, którego Jon miał nadzieję już nigdy nie usłyszeć.
- Dobra zasadzka, pani Li. Ale widziałem już lepsze. Pani ochroniarze zabili wielu moich ludzi, lecz niestety, nie zabili mnie.
- Nie dostałam też moich pieniędzy. Pewnie masz je ty, dlatego dziwię się, że wróciłeś. - Ukrywająca się za powalonym drzewem Li Kuonyi mówiła spokojnym, melodyjnym głosem, jakby właśnie przyjmowała gościa w swoim szanghajskim salonie.
- Wciąż czekam na mój manifest, droga pani, i podejrzewam, że skończyła się pani amunicja. Gdyby nie pani przyjaciel, ten za drzewami, już dawno bym go miał, a pani by nie żyła. Swoją drogą ciekawe, kto to jest.
- Dlaczego rozmawiają po angielsku? - szepnął Asgar.
- Cholera ich wie - odrzekł Jon. - Może Feng ma tu gdzieś swoich ludzi i nie chce, żeby rozumieli, o czym mówią.
- - Nie wiesz wielu rzeczy, Feng - odparła szyderczo Li. Tuż obok niej odezwał się głos zdenerwowanego mężczyzny:
- Miałeś ten manifest i go nie upilnowałeś. Gdyby nie ty, nie byłoby tej jatki, nikt nie doznałby krzywdy.
- Aaa... Miło pana słyszeć, szefie. A ja uwierzyłem, że palnął pan sobie w łeb dla dobra rodziny. Jakież byłem głupi. Ale cóż, wyreżyserowała to wszystko madame Li, prawda? Mój błąd. Od dawna wiedziałem, kto z was dwojga nosi spodnie.
- Zawsze za dużo gadałeś, Feng - odrzekła Li. - Skoro tak bardzo chcesz mieć ten manifest, może się jakoś dogadamy.

- Nie ma to jak ruch w interesie, prawda, madame? Rozumiem, że proponuje pani tę samą umowę, dwa miliony dolarów za manifest.
- Oczywiście.
- Dobrze, zgoda. Czy zawsze mówi za pana żona, szefie? Cóż, nie każdy może być mężczyzną.
- Gwałtowny ruch za głazami. Yu Yongfu wstał i z zaczerwienioną twarzą odepchnął rękę żony, która próbowała go powstrzymać.- Jestem takim samym..Ogłuszający huk i seria kul przeszła go od szyi po krocze. Trysnęła czarna krew. Przerażliwy krzyk Li zginął w gwałtownej kanonadzie, która wybuchła na zboczu.Gdy wreszcie zapadła cisza, dały się słyszeć tylko trzy słowa:
- A więc tak. - Feng, którego wystrzelone pomiędzy drzew kule najwyraźniej nie trafiły, już się nie przekomarzał. - Teraz już pani wie, co myślę o tej propozycji. Proszę się dobrze zastanowić. Pani przyjacielowi skończy się amunicja na długo przede mną. Nie dam pani tych pieniędzy. W zamian proponuję życie. Życie za walizeczkę z manifestem.
- Osłaniaj mnie - szepnął gorączkowo Jon. - Nie otwierajcie ognia, dopóki nie krzyknę albo nie wystrzelę, chyba że nie będziecie mieli wyjścia.
- Co chcesz zrobić? - spytał Asgar.
- Zrobię kółko i zajdę Fenga od tyłu.
- Możemy zaatakować, jest nas prawie dwudziestu.
- Trudno by było wykurzyć stamtąd faceta z pistoletem maszynowym i górą amunicji. Cholera go wie, może ma tam jeszcze jakąś inną broń. Może nie jest sam. Poza tym, gdyby Li wzięła nas za nieprzyjaciół, mogłaby wpaść w panikę i spalić manifest. Za duże ryzyko.
- Zanim Asgar zdążył zaprotestować, Smith zarzucił na ramię karabin i zniknął między drzewami. Miał znacznie poważniejszy powód, żeby zlikwidować Fenga. Aby otworzyć ogień, gniewny strzelec kryjący się w kępie drzew musiał wychynąć zza pnia i widział jego twarz. Jego, a raczej jej. Była to twarz Randi Russell.Nie wiedział, jak się tu dostała, ale Feng miał rację - Randi zabraknie amunicji na długo przed nim. A gdyby jeszcze Ujgurzy ruszyli do ataku, mogłaby dostać się w krzyżowy ogień.

## **Morze Arabskie**

- Z głośnika na mostku zabrzmiał twardy głos admirała Brose'a: - Proszę mi podać ich aktualną pozycję, kapitanie.Chervenko patrzył na świetlistą sylwetkę „Cesarzowej" dwie mile przed dziobem fregaty. Szła pełną prędkością, przecinając tonące w blasku księżyca wody i utrzymując równy kurs na cieśninę Ormuz, Zatokę Perską i Basrę. Ruchem głowy dał znak Bienasowi, który wziął namiary od nawigatora i przekazał je admirałowi.
- Według naszych obliczeń, do cieśniny macie niecałe dziewięćdziesiąt minut - powiedział po chwili Brose.
- Według naszych też, panie admirale - odparł Chervenko.



- Zajęliście pozycję?
- Mamy ich na lewo od dziobu.
- A ci z tyłu?
- Torpedy na wyrzutniach. „Cesarzowa” jest na ich sterburcie, ale zeszli pod wodę i podплыnęli pół mili bliżej, tak że widzą teraz i „Cesarzową”, i nas.
- Co ze śmigłowcami? Uzbrojone w pociski do zwalczania okrętów podwodnych i gotowe do startu?
- Tak jest.
- Admirał wciąż mówił spokojnym głosem, lecz seria pytań, których w innych okolicznościach nigdy by nie zadał nieopierzonemu kapitanowi, dowodzącemu swoim pierwszym okrętem, zdradziła, jak bardzo jest zdenerwowany. Wiedząc, że Chervenko to usłyszał, szybko dodał:
  - Przepraszam, kapitanie, ale sytuacja jest parszywa.
  - Wiem, panie admirale.
  - Plan działania?
  - Podejść do „Cesarzowej”, zatrzymać ją i wysłać na pokład ludzi. Utrzymać statek między nami i okrętem podwodnym, co zmusi go do odbicia w prawo lub w lewo, i nasze śmigłowce będą mogły oddać czysty strzał. Jeśli nie, rozegramy to zależnie od sytuacji.
  - Dobrze. - Admirał lekko się zawahał. - W ciągu sześćdziesięciu minut otrzymacie rozkaz. „Shiloh” powinien dotrzeć tam mniej więcej za trzy godziny. Spróbuję dać wam osłonę z powietrza, ale trudno to zgrać w czasie. Wytrzymajcie, jak długo będziecie mogli. - Znowu lekkie wahanie, jakby nie chciał skończyć rozmowy. Wreszcie serdeczne: - Powodzenia.
- Kapitan spojrział na zegar nad stanowiskiem dowódczym i ponownie przeniósł wzrok na „Cesarzową”, która jakby nigdy nic płynęła spokojnie srebrzystym morzem. Chervenko zaczął odliczać czas.

# Rozdział 43

**Dazu**

- 
- 
- Ciemność była ciężka, przytłaczająca. Skradał się między czarnymi głazami i wielkimi skałami, wchodząc coraz wyżej i wyżej. Podeszwy płóciennych butów dobrze przywierały do kamienia, dzięki noktowizorowi mógł bezpiecznie iść skrajem rozpadlin, półek i wypłukanych przez deszcz żlebów. Czasami musiał przez nie przeskakiwać i wdrapywać się na leżący po drugiej stronie głaz. Bywało łatwiej, gdy mógł przytrzymać się pnączy.- Tracimy czas, madame Li. - Chłodny głos Fenga zabrzmiał tak blisko, jakby Chińczyk był tuż-tuż. - Twój mąż nie żyje. Twoi ludzie też. Nie masz amunicji. Twój przyjaciel jest sam i wkrótce też zabraknie mu amunicji, a wtedy nikt mnie już nie zatrzyma. To twoja ostatnia szansa. Rzuć walizkę i pozwól ci odejść.Li roześmiała się z goryczą.- Niby dokąd miałabym pójść? Jak bez pieniędzy wydostanę się z dziećmi z Chin? Wolę już spalić manifest. I spalę go, jeśli nie odejdiesz.Odwróciła jego uwagę. Smith mógł teraz iść dużo szybciej. Kilkanaście sekund później miał już niemal całkowitą pewność, że jest wyżej, nad Fengiem.Chińczyk wybuchnął złowieszczym śmiechem.- Przykro mi, madame. Tylko Amerykanom zależy na tym, żeby manifest ocalał. Proszę bardzo, niech go pani spali. Jeśli nie, spalę go ja. Ale to nie pomoże pani w ucieczce z Chin.Li wszystko zrozumiała.

- Wei Gaofan. To on za tym stoi! Dobroczynca mojego ojca. Dobroczynca mojego męża! To on kazał ci zniszczyć manifest. Dla niego pracujesz!

- Musi nam pani zaufać, madame. Inaczej wie pani, co panią czeka.

- Jon wpełzł na szczyt skalnej piramidy. Zdjął z ramienia karabin, okrążył po cichu najwyższy głaz i stanął plecami do niego. W uszach gwizdał mu wiatr, a przed nim roztaczał się widok na grotę - szeroka, cienista panorama pełna drzew, krzewów i monumentalnych posągów tonących w nieziemskim blasku księżyca i gwiazd.Niecałe sześć metrów niżej, za głazem klęczał Feng. Jego wymierzony w Li Kuonyi karabin spoczywał na skalnym wypuszcisku. Jon zdjął noktowizor i spojrzał w dół, na czubek jego głowy, na rudawo-siwe włosy.Świeciły w delikatnej poświacie. Były jedyną kolorową plamą w tej szaroczarnej scenerii.I stanowiły znakomity cel. Wystarczyła jedna kula i jego głowa roztrzaskałaby się jak melon. Jon dotknął palcem spustu. Kipiąc wściekłością, zaczął powoli go naciskać. Feng zabił tylu ludzi. Avery'ego Mondragona. Andy'ego Ana. Zabił tylu ujugurskich bojowników. Zabił tę świnię McDermida. Nawet biednego Yu Yongfu. A do tego wszystkiego lada chwila mógł wybuchnąć konflikt na Morzu Arabskim. Smith z trudem opanował furję.- To nieprawda - powiedział głośno. - Nie jesteś jedyną szansą dla madame Li. Poddaj się i przeżyjesz.Całą przewagę diabli wzięli. Przez nieskończenie długą sekundę Feng Dun nawet się nie poruszył. Nagle, szybciej niż szarżująca kobra, rozwścieczony skoczył w prawo, nie zważając na ostre kamienie. Ale zanim zniknął w mroku, pociągnął za spust, zasypując Jona gradem kul.Smith posłał w dół krótką serię. Feng zatrzymał się tak gwałtownie, jakby wpadł na czołg. Kule przebiły mu pierś i rzuciły go na skałę jak worek ryżu. Przekoziołkował przez głaz i potoczył się z boczem, wzbudzając małą lawinę.Zapadła porażająca cisza. Asgar i jego partyzanci wybiegli na otwartą przestrzeń, błyskawicznie otoczyli

powalone drzewo i głązy, za którymi kryła się Li. Wzięli ją na muszkę i podeszliby jeszcze bliżej, gdyby Asgar ich nie powstrzymał. Jona zalała fala podniecenia. Manifest okrętowy „Cesarzowej” ponownie był w zasięgu ręki. Mieli dowód, mógł zadzwonić do Kleina. Zatrzymają statek, wyładują śmiertelny ładunek i będzie po kryzysie... pod warunkiem że zdążą. Ruszył na dół, omijając głązy i kamienie, wreszcie stanął na polance i podbiegł do Ujgurów. Opierając się plecami o głąz, za powalonym drzewem siedziała Li Kuonyi. Była w czarnym kostiumie i kurtce z kapturem identycznej jak ta, którą miała na sobie jej martwa już dublerka. Ale jej kurtka była porwana i poplamiona krwią. Pani Li lewą ręką delikatnie głaskała męża po twarzy. W prawej trzymała palącą się zapalniczkę. Nie miała żadnej broni - tylko manifest leżący na zamkniętej dyplomatce tuż obok. Uśmiechnęła się na widok Jona.

- No proszę. Amerykanin z Szanghaju. Powinam była się domyślić.
- Już po wszystkim, madame Li - odrzekł Smith. - Pani mąż nie żyje. Nie ma pani z kim rozmawiać. Pozostałem tylko ja.
- Wciąż gładziła nieruchomą twarz Yu. Twarz w marmurowej masce śmierci. - Był głupcem i tchórzem, ale kochałam go... Moja propozycja jest nadal aktualna. Dwa miliony dolarów i pańscy przyjaciele pomogą mi wyjechać z dziećmi z Chin. W zamian dostaniecie manifest, na który tak długo polowaliście. - Popatrzyła na niego kamiennym wzrokiem, - Albo go spalę. Smith wiedział, że Li nie blefuje. Zerknął na zegarek. Godzina i dziesięć minut. „Crowe” był już pewnie gotowy do boju i czekał tylko na rozkaz wkroczenia na pokład „Cesarzowej”. Nie było szans, żeby zdążył dostarczyć manifest prezydentowi, żeby z kolei prezydent przesłał go do Pekinu - chyba że coś się zmieniło albo się zmieni. Sztorm. Pojawienie się innych okrętów. Czyjaś interwencja. Cokolwiek, co opóźni wypłynięcie „Cesarzowej” do cieśniny. Zbyt wiele poświęcono, żeby miał teraz zrezygnować. Gra toczyła się o zbyt dużą stawkę, żeby nie zrobić ostatniego wysiłku.
- Znaleźliście te pieniądze? - spytał.
- Tak - odrzekł Asgar. - W skalnej szczelinie niedaleko miejsca, skąd strzelał. Są w walizce. Nietknięte. I prawdziwe.
- Dajcie jej tę walizkę.
- Chyba nic z tego nie będzie, staruszk - odparł Asgar dziwnie spiętym głosem.
- Jon odwrócił głowę, poszedł za jego wzrokiem i ścisnęło go w gardle. Asgar patrzył na skraj polany. Chryste, tylko nie to. Między drzewami stało ośmiu żołnierzy Ludowej Armii Wyzwoleńczej z wycelowaną bronią. Wycelowaną w nich. Spóźnili się na pomoc Fengowi, ale nadeszli w samą porę, żeby zabić Asgara, Randi i pozostałych.

## **18 września, poniedziałek Waszyngton**

- Oczy wszystkich zebranych w Pokoju Sytuacyjnym w podziemiach Białego Domu wpatrywały się w siedzącego u szczytu wypolerowanego stołu Castillę, który nie odrywał wzroku od ściennego zegara.
- Godzina, panie prezydencie - powiedział admirał Brose.

- Niecała - poprawił go sekretarz obrony Stanton.
- Nie możemy dłużej czekać - dodał wiceprezydent Erickson.
- Castilla spojrział na niego i spytał:
- „Crowe" jest gotowy?
- Od pół godziny - odrzekł Brose.
- Castilla kiwnął głową. Raz, drugi i trzeci. Ponownie spojrział na zegar. Zhardziała mu twarz.- Wydadź rozkaz, Stevens. Wszyscy momentalnie ożyli. Brose podniósł słuchawkę telefonu.
- **19 września, wtorek Dazu**
- Asgar wykonał szybki ruch i dwudziestu Ujgurów ustawiło się naprzeciwko żołnierzy po drugiej stronie polany. Z gotową do strzału bronią, mierzyli się wzrokiem.
- Prawie dwóch na jednego, jesteście górą- szepnął Asgar. - Ale boję się z nimi zaczynać. Nie wiadomo, ilu czai się w pobliżu, poza tym gdybyśmy któregoś zabili, Ludowa Armia Wyzwoleńcza wzięłaby krwawy odwet na nas i na wszystkich Ujgurach. Gra niewarta świeczki. Przykro mi, Jon.
- Tak, rozumiem - odrzekł ze smutkiem Smith.
- Jeśli jest ich tylko tyłu, ilu widzimy, możemy przynajmniej odprowadzić cię do naszej kryjówki. Zabierzesz Thayera i nasi pomogą wam uciec z kraju.
- Dzięki, Asgar. Dlaczego oni nic nie robią? - Żołnierze wciąż stali jak posągi, nieruchomo i z wymierzoną bronią. Może i trudno by było się przez nich przebić, ale zawsze daliby radę ich obejść. Mogli też otworzyć ogień... Właśnie. Dlaczego tamci nie strzelali? Bali się, bo Ujgurów było więcej?
- Olewają nas - szepnął Asgar. - Tak jak mówiłem, pewnie jest ich więcej.
- Jon wyczuł jakiś ruch po prawej stronie. Szybko się odwrócił.
- Randi!
- Pomóc wam? - Miała ponurą twarz i ufarbowane na czarno włosy, była w wymiętym kostiumie. Ona też patrzyła na stojących naprzeciwko Chińczyków.
- Do diabła, jak tu trafiłaś? - spytał Smith, ale nie był w nastroju na słowną szermierkę. Wiedział, że tamci nie będą czekać w nieskończoność.
- Przyleciałam z McDermidem, niechaj sukinsyn smaży się w piekle. Potrzebował tłumaczki.
- Na szczęście dla nas i Li Kuonyi. Byłaś tu od samego początku?
- Po tej jatce zauważyłam, że Feng chce zająć ich z boku. Otworzyłam ogień i zapędziłam go na skały.
- Wiszę ci kielicha.

- Daj spokój. Ten manifest... tego cały czas szukałeś? – Próbowła powiedzieć to lekko, lecz nie zdołała.
- Tak. - Jon opisał jej szybko przebieg wydarzeń, kończąc na patowej sytuacji na Morzu Arabskim. - McDermid obmyślił to z Li i jej mężem. Jakimś cudem wmieszał się w to ktoś z Pekinu. Bóg wie co się teraz stanie, ale na pewno nie będzie to nic dobrego. Ani dla pokoju, ani dla przyszłości, ani dla świata. Przykro mi, że w to wdepnęłaś. Asgar ma rację - Nie może ryzykować przyszłości swego ludu. Zresztą i tak nie ma już czasu na żadne wymiany. - Spojrzał na Asgara. - Lepiej zwiewajcie, póki jeszcze czas. Jeśli w ogóle dacie radę.
- Ty nie idziesz?
- Naraziłbym was na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Nas chroni wielkie mocarstwo, was nie. - Objął go za ramię; widział, że Ujgurzy robią tak na pożegnanie. - Weź pieniądze. Wykorzystacie je lepiej niż Li Kuonyi, chiński rząd czy my.
- Przykro mi, że tak to wszystko wyszło. Kiepska sprawa, ale może kiedyś zrobimy to jeszcze raz. - Dał znak i zanim Jon i Randi zdążyli mrugnąć, on i jego ludzie zniknęli między drzewami.
- Przed chińskimi żołnierzami nie chronił ich teraz nikt.- Jon - szepnęła Randi. - Spójrz. Zamiast rzucić się w pościg za Ujgurami, Chińczycy rozstąpili się i przez polanę ruszył ku nim ich dowódca.
- Właśnie na to czekali - mruknął Smith.
- Widzisz te insygnia? To kapitan piechoty.
- Smith, Randi i Li Kuonyi cofnęli się o krok, odchodząc od powalonego drzewa. Li w jednym ręku ścisnęła manifest, w drugim zapalniczkę. Zapalniczka już się nie paliła. Kapitan szedł władczy krokiem. Spojrzał w prawo, na leżącego we krwi Fenga. Nagle zwolnił i niepewnie przystanął. Zza skał za Fengiem wyszedł pulchny oficer, też w mundurze Ludowej Armii Wyzwolenczej. Ruszył prosto w stronę kapitana.
- Biuro Bezpieczeństwa Publicznego - szepnęła Randi. – Wywiad i kontrwywiad.
- Super. Chińskie KGB.
- Major Pan Aitu obserwował cały dramat zza posągu drapieżnego smoka, strzegącego wejścia do Jaskini Pełnego Oświecenia. W miarę rozwoju wydarzeń krążył ukradkiem po zboczach nad grotą. Dzięki noktowizorowi mógł dokładnie przyjrzeć się grupie Ujgurów, którzy zaatakowali Fenga i jego bandziorów, w tym kilku żołnierzy Ludowej Armii Wyzwolenczej, co wiele mu powiedziało. Na widok ubrań, twarzy i broni dwudziestu ujugurskich partyzantów uśmiechnął się dobrotliwie. Bojownicy uzbrojeni w kałasznikowy... Od dawna podejrzewał, że pułkownik Smith uciekł z kraju dzięki pomocy nieznannej szanghajskiej komórki ruchu oporu. No i proszę, oni też tu teraz byli. Tu, w miejscu gdzie Feng Dun zamordował Yu Yongfu i tego bogatego Amerykanina, żeby zdobyć manifest okrętowy „Cesarzowej”. Skoro tak, czyż mogło z nimi nie być pułkownika Smitha? Jego podziw dla Li Kuonyi zwiększył się po tysiącokrotnie. Ale jeśli mieli pokonać Gaofana, musiał w końcu zainterweniować. Pojawienie się uszczupłego

plutonu piechoty tylko tę decyzję potwierdziło. Stanął przed kapitanem, który gapił się niepewnie na jego mundur, pagony i odznakę Biura Bezpieczeństwa Publicznego. - Major Pan Aitu - zaczął łagodnie. - Być może pan o mnie słyszał. - Otaksował go spojrzeniem od głowy po buty. W kapitanie odezwał się surowy służbista. Nie zamierzał tak łatwo ustępować.

- Kapitan Chang Doh. Tak, słyszałem o panu, panie majorze.
- W takim razie możemy darować sobie rozmowy wstępne. Służy pan, jak przypuszczam, pod dowództwem oficera zaprzyjaźnionego z Wei Gaofanem. Został pan oficjalnie skierowany do pomocy Feng Dunowi, któremu, jak widzę, nic już nie pomoże. Wykonując nielegalne rozkazy, stracił pan żołnierzy Ludowej Armii Wyzwoleńczej, ma pan zabitych i rannych.
- Kapitan pobladł.
- Nie wolno mi mówić o moich rozkazach, panie kapitanie.
- Ach tak? Między tymi drzewami czekają żołnierze pod moim dowództwem. Poza tym mam tu pismo, które upoważnia mnie do przeprowadzenia śledztwa i, w razie konieczności, do podjęcia wszelkich działań w celu zatrzymania wspomnianego już Feng Duna. Żeby uniknąć nieporozumień i rozwiać pańskie wątpliwości, oto moje papiery. – Podał mu rozkaz podpisany przez Niu Jianxinga.
- Kapitan przeczytał go powoli, jakby miał nadzieję, że dokument nagle zniknie. Ale niestety, rozkaz jednoznacznie potwierdzał, że major Pan, oficer wywiadu i kontrwywiadu, działa w imieniu ministra i członka Stałego Komitetu odpowiedzialnego za tego rodzaju operacje. Natomiast on był ledwie kapitanem piechoty i wykonywał rozkaz bliskiego przyjaciela innego członka Stałego Komitetu, który rozkazu takiego nie miał prawa wydać. Zwrócił majorowi upoważnienie, cofnął się o krok i elegancko zsalutował. - Wygląda na to, że major wygrał - mruknął Jon. Li Kuonyi trzasnęła zapalniczką. - Zdążę dać panu ten manifest, zanim tu podejdą - powiedziała. - W zamian chcę azylu w Stanach Zjednoczonych, dla mnie i moich dzieci. Jeśli nie, spalę go. - Już nie chce pani pieniędzy? Li wzruszyła ramionami.
- Pieniądze były dla mojego męża. Jestem aktorką, dobrą aktorką. W Ameryce już mnie znają. Zarobię je sama.
- Zgoda. - Smith chwycił manifest i zapalniczkę na Wypadek, gdyby nagle zmieniła zdanie.
- Major podszedł do nich z uśmiechem i przedstawił się po angielsku:
- Major Pan Aitu. Cieszę się, że nareszcie się spotykamy, panie pułkowniku. Z przyjemnością zajmowałem się pańską sprawą. Niestety, nie mamy zbyt dużo czasu. Poproszę manifest.
- Nie! - Randi wyrwała Jonowi zapalniczkę i zapaliła ją. - Nie wiem, po co jest wam potrzebny, ale...
- Zgaś to - przerwał jej Smith. - I tak nie zdążymy dostarczyć go do Waszyngtonu, a prezydent nie zdąży wysłać go do Pekinu. Najpierw wysłuchajmy pana majora.

- Pan Aitu szybko zamrugał. Wskazał ośmiu żołnierzy, którzy właśnie znikali między drzewami, i powiedział:
- Teraz są pod moimi rozkazami. Czy wie pan, że kapitan Chang aresztował dwóch ludzi? Amerykańskiego kapitana i pewnego starca. Mogę zagwarantować, że oni, obecne tu panie i dzieci madame Li zostaną natychmiast przewiezione do Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy po tej samej stronie, panie pułkowniku.
- Dlaczego chce pan pomóc Li Kuonyi? - spytała Randi.
- Powiedzmy, że podziwiam jej inteligencję, pomysłowość i talent. Przyznaję również, że madame Li stwarza nam pewne komplikacje, których nie chcemy. Wszystko to, co się tu stało, musi zostać i zostanie objęte ścisłą tajemnicą. Ale sukces wymyka się nam z rąk, panie pułkowniku, panu i mnie.
- On nie chce zniszczyć manifestu, myślał Jon. Chiny nie mogą zyskać nic więcej, chyba że naprawdę chcą, żeby nasi weszli na pokład „Cesarzowej”. Trzeba podjąć decyzję i podjąć ją mogą tylko ja. Stany nie mają nic więcej do stracenia, a mogą zyskać wszystko.
- Dacie radę zatrzymać „Cesarzową”, zanim będzie za późno? - Najważniejsze pytanie, pytanie krytyczne.
- Tak.
- Jon dał mu manifest. Pan odwrócił się i ruszył biegiem przez polanę i mały zagajnik, Jon, Randi i Li za nim. Wreszcie wypadli na przecinkę, gdzie czekał śmigłowiec z wyłączonym silnikiem. Nie zwalniając kroku, major pstryknął przełącznikiem walkie-talkie i wydał rozkaz. Ryknął silnik, ożyły wirniki.

## **Morze Arabskie**

- Księżyc świecił jak latarnia. „John Crowe” rozcinał długie, powolne fale, zbliżając się do „Cesarzowej”, która płynęła pełną parą w kierunku majaczącej w oddali cieśniny Ormuz. Grupa szturmowa czekała na zawietrznej za rufową nadbudówką, uzbrojona i gotowa spuścić na wodę łodzie. W centrum dowodzenia i łączności krążył nerwowo komandor podporucznik Frank Bienas, przystając co chwila i pochylając się to nad ramieniem technika obsługującego radar, to nad ramieniem specjalisty od sonaru. Właśnie stał nad Baumanem, gdy rozległ się krzyk siedzącego przy sonarze Hastingsa:
- Schodzą pod wodę!
- Prędkość? - warknął Bienas.
- Chyba maksymalna.
- - Kurs? Na „Cesarzową”?
- Tak, tak jakby.
- Tak jakby? Co to znaczy, do diabła?

- Płyną na skos, jakby chcieli wyjść na jej rufę.
- Na skos, a więc na naszą burtę, tak?
- Nie wiem, możliwe...
- To mów tak, do ciężkiej cholery! - wrzasnął Bienas.
- Zaszokowani technicy oniemieli. Ciszę przerwał oschły głos Hastingsa:- Nie potrafię przewidzieć, dokąd popłyną, panie komandorze. Mogę podać tylko ich prędkość i kurs. Bienas poczerwieniał.- Przepraszam, Hastings. Jestem trochę spięty.
- Jak my wszyscy, panie komandorze.
- Bienas podszedł do interkomu.
- Jim? Chińczycy wzięli kurs na naszą burtę. Idą pełną parą.
- Czuwający na mostku kapitan Chervenko poczuł, że znowu ściska go żołądki.
- Dobra, Frank. Gdy tylko zaczną, daj mi znać.
- Tak jest.
- Chervenko wyłączył interkom, popatrzył na rufę i ponownie pstryknął przełącznikiem.
- Sparks? Wywołaj ich. - Wyprostował się, patrząc na oddalony o pół mili statek.
- Nie odpowiadają, panie kapitanie - zaskrzeczał interkom.
- Próbuje dalej. Kiedy odpowiedzą, daj mi znać. - Wcisnął kolejny guzik. - Canfield? Jesteście gotowi?
- Tak jest!
- Chervenko kiwnął głową. Z głosu młodego porucznika biły zapał i wola walki. On też kiedyś taki był. Kiedyś, dawno temu.
- Poślij im jeden na dziób. Aha, Canfield?
- Tak?
- Tylko ich nie traf.
- Chwila ciszy.
- Tak jest.
- Chervenko podniósł lornetkę i spojrzął na „Cesarzową”. Huknęło pięciocalowe działko i nie więcej jak sto metrów przed dziobem statku wytrysnął spieniony gejzer. Nieźle. Powinni się trochę wystraszyć. Zaczął odliczać: raz, dwa, trzy, cztery... Zapiszczał interkom.- Odpowiedzieli



- zameldował radiooperator. - Pytają,, co to za napad.- Powiedz im, żeby przestali pieprzyć, natychmiast wyhamowali i przygotowali się na przyjęcie naszych ludzi. A jak zobaczą, że wyrzucają za burtę choćby puszkę po coli, następny pocisk wpakuję im w gardło. - Zdenerwowany Chervenko zamarł. Wbił wzrok w rufę „Cesarzowej”. Gdy zwolniła, wypuścił powietrze. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Już miał wydać rozkaz opuszczenia łodzi, gdy z głośnika interkomu popłynął wzburzony głos Bienasa.

- Chińczycy atakują! Idą w zanurzeniu, torpedy odbezpieczone! No i się zaczyna. Na czoło kapitana wystąpił pot.
- Przygotować się do uniku! - ryknął. - Wysłać śmigłowce!
- Kątem oka zauważył, że „Cesarzowa” prawie się nie porusza. Stała jak na kotwicy, sunąc powolutku przed siebie i kołysząc się na falach. Ale to go nie interesowało, przynajmniej nie teraz. Patrzył za rufę, gdzie w każdej chwili mógł pojawić się złowieszczy ślad torpedy. Lecz nic takiego nie zobaczył. Zobaczył za to, jak z głębin wynurza się gigantyczny morski potwór omywany upiornym blaskiem księżyca. Chiński okręt podwodny. Chervenko nie wierzył własnym oczom. Okręt powoli podpłynął bliżej i wyrównał prędkość pięćset metrów za rufą „Crowe'a” i tysiąc za rufą „Cesarzowej”. - Panie kapitanie, wywołują nas! - zaskrzeczał głośnik interkomu. Chervenko uniósł brwi tak wysoko, że prawie dotknęły daszka kapitańskiej czapki. Co jest, do cholery?
- Przełącz ich na mostek.
- Kapitan Chervenko, prawda? - Wyniosły, nieco gniewny głos, wyszukana angielszczyzna. - Mówi Zhang Qian, dowódca okrętu podwodnego „Zhou-Enlai” Chińskiej Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Otrzymałem z Pekinu rozkaz wejścia z wami na pokład frachtowca „Cesarzowa” w celu przeszukania go i zniszczenia nielegalnie przewożonego ładunku. Polecono mi również przejąć statek i wraz z całą załogą odprowadzić go do Chin.
- Chervenko stał jak posąg. Ze słuchawką interkomu w ręku patrzył na ciemne morze, próbując zapanować nad głucho dudniącym sercem. Koniec. Dzięki Bogu, nareszcie koniec. Ktoś zrobił swoje. Ktoś... pewnie było ich wielu. Wielu pełnych poświęcenia ludzi, którzy narażali się na niewyobrażalne ryzyko. I których pewnie nigdy nie pozna.- Jestem do usług, panie kapitanie - odrzekł z równą wytwornością. - A kiedy zniszczymy ładunek, z przyjemnością odeskortujemy was do samego Szanghaju. Byłoby niedobrze, gdyby ten wyjęty spod prawa statek wpadł w niepowołane ręce. Prawda?

# Epilog

## Pekin

- 
- 
- Dziesięciu mężczyzn siedzących wokół bogato zdobionego cesarskiego stołu w sali obrad za murami Zhongnanhai zwróciło wzrok w stronę drzwi po lewej stronie sekretarza generalnego. Wszedł nimi szczupły mężczyzna w mundurze komandora porucznika marynarki wojennej Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Szepnął coś do ucha sekretarzowi, który skinął głową. - Dobre nowiny - powiedział, gdy komandor wyszedł. - Wszystko skończyło się pomyślnie. Kapitan naszego okrętu podwodnego donosi, że jego załoga i załoga amerykańskiej fregaty „John Crowe” weszły na pokład „Cesarzowej”. Znalezione wiele ton chemikaliów, które następnie zniszczono. Oficerowie statku zostali aresztowani. „Cesarzowa” wraca do Szanghaju pod eskortą Amerykanów. Przez salę przetoczył się pomruk głosów pełnych aprobaty i ulgi.
- Mało brakowało, ale czy musieliśmy wyrazić zgodę na to, żeby chiński statek wracał do portu pod amerykańską eskortą? - spytał Wei Gaofan.
- Pewnie nalegał na to kapitan „Crowe'a” - odrzekł łagodnie sekretarz. - W tych okolicznościach nie mogliśmy przecież odmówić. - Jego czarne, maleńkie jak kamyczki oczy spojrzały na generała Chu Kuaironga, który siedział na drugim końcu stołu. - Jak mogło do tego dojść, generale? Nielegalne, niewyobrażalnie niebezpieczne przedsięwzięcie tej miary tuż pod naszym nosem? W dodatku przedsięwzięcie zorganizowane przez obywateli Chińskiej Republiki Ludowej?
- Myślę, że to ja powinienem odpowiedzieć na to pytanie - odezwał się Niu Jianxing.
- Niech każdy odpowiada za siebie - zaprotestował gniewnie Gaofan. - Jeśli któryś z nas popełnił błąd, powinien wytłumaczyć się osobiście.
- Niu nawet na niego nie spojrzał.
- Zdaje się, że Wei - odrzekł, zwracając się do kolegów - próbuje zrzucić winę na tych, którzy nie potrafią się obronić.
- Wypraszam sobie! - warknął Gaofan. - Uważam, że...
- Jeśli można to jakoś wyjaśnić - przerwał mu sekretarz - proszę, Niu, słuchamy.
- Owszem, można, i to bardzo łatwo - odparł spokojnie Jianxing. - Sprzysięgło się na to wiele różnych sił i czynników. Słaby biznesmen, podsycana przez wolny rynek chciwość, uknuty przez zachodnie korporacje spisek oraz arogancja skorumpowanego członka tego komitetu.
- Gdy Sowa wypowiedział ostatnie słowo, w sali zapadła martwa cisza. I nagle zewsząd buchnął gniewny krzyk, posypały się pytania i głosy protestu. Wei Gaofan wpadł w furję.
- Takie stwierdzenie jest równoznaczne ze zdradą! - wrzeszczał. - Niu powinien dostać naganę. Żądam głosowania!

- To pomówienie i oszczerstwo! - krzyczał Shi Jingnu. - Kogo z nas oskarżasz?
- Skandal! - dodał któryś z młodszych członków komitetu.
- Chyba że Niw potrafi to udowodnić - powiedział spokojnie sekretarz generalny.
- W sali momentalnie zapadła cisza. W powietrzu wisiało dziesiątki pytań. Ktoś mruknął:
- Nie mogę w to uwierzyć.
- To lepiej uwierz - warknął generał Chu, przesuwając nie zapalonego papierosa między cienkimi wargami.
- Niu odepchnął się od stołu i podszedł do drzwi. Otworzył je i dał komuś znak. Do sali wszedł major Pan Aitu. Był wciąż w mundurze. Niu zaprowadził go do stołu i wskazał krzesło. - Panie majorze, proszę zapoznać nas z wynikami śledztwa. Swoim łagodnym, całkowicie beznamiętnym głosem Pan przedstawił zebrany schemat całego spisku, poczynając od knowań szefów firmy Donk LaPierre, którzy zaproponowali Yu Yongfu przemysł chemikaliów do Iraku, poprzez rolę, jaką odegrali w tym Li Aorong i Wei Gaofan, aż do starcia pod posągiem Śpiącego Buddy, gdzie Jon Smith przekazał mu ostatni egzemplarz manifestu okrętowego „Cesarzowej”, który Pan przefaksował z Dazu do Pekinu. Wei Gaofan pobleadł. - Li Aorong zmarł tragicznie ledwie kilka godzin temu - burknął. - Nie żyją również wszyscy ci, których wymienił major Pan, oczywiście nie licząc mnie. Dlatego kategorycznie protestuję... Major przeszył go wzrokiem. - Nie wszyscy - odparł. - Żyje Li Kuonyi, która straciła męża i ojca. Przeżyło wielu ludzi Fenga. Żyje też kapitan piechoty, no i wasz dobry przyjaciel generał, który wysłał go na pomoc Fengowi. Wszyscy złożyli stosowne zeznania. Gaofan siedział przez chwilę bez ruchu. Twarz mu złagodniała, ale wciąż mocno zaciskał szczęki.
- Kłamali! Niu Jianxing ich zmusił!
- Nie - odrzekł w zadumie sekretarz generalny, patrząc na niego tak, jakby widział go pierwszy raz w życiu. - W tej sali jest tylko jeden kłamca.
- Twarz Gaofana nagle odzyskała dawną barwę. - Niu Jianxing i sekretarz generalny chcą zniszczyć nasz kraj - oznajmił, zwracając się do kolegów. - To, co zrobił Yu Yongfu, jest przykładem choroby, jaką zamierzają sprowadzić do ludowych Chin. Natomiast ja chciałem was obudzić, uświadomić wam, co stało się z owocami wielkiej rewolucji naszych ojców: Mao Zedonga, Zhou Enlaia, Chu Teha i Deng Xiaopinga. Nie zrezygnuję ze stanowiska. Wyjdę z tej sali z tymi, którzy się ze mną zgadzają, i przekonamy się, kogo popiera partia! Dźwignął swe masywne cielsko i na cienkich nogach ruszył do drzwi. Przez chwilę stał tam z ręką na klamce, tyłem do kolegów, i czekał. Ale nikt do niego nie dołączył. Sekretarz generalny westchnął.
- Jutro zarządzę głosowanie w Komitecie Centralnym i biurze politycznym. Zostaniesz pozbawiony wszystkich stanowisk, uprawnień i przywilejów. Zostaniesz wydalony z partii.
- Chyba że - zaproponował Sowa - zrobisz to, co Li Aorong kazał zrobić swemu zięciowi. Ale musiałbyś się pospieszyć.
- - Mógłbyś pomyśleć o rodzinie - dodał bez przekonania sekretarz. Wei nie odpowiedział.

Kiwnął głową i wyszedł.

## 18 września, poniedziałek Waszyngton

- Cztery godziny po odkryciu i zniszczeniu ładunku nielegalnie przewożonych chemikaliów Charlie Ouray zaprosił wiceprezydenta Brandona Eriksona na spotkanie z Castillą. Potem kazał przygotować Air Force One do lotu na Zachodnie Wybrzeże, odebrał telefon od ambasadora Wu, który właśnie wrócił do swojej rezydencji przy Connecticut Avenue, po czym zszedł do Pokoju Sytuacyjnego, gdzie prezydent rozmawiał z żoną przez telefon,- Wspaniale się to wszystko skończyło - mówił. Gdy do pokoju zajrzał Ouray, zaprosił go gestem do środka. - Wyrobisz się, kochanie? Przykro mi, że będziesz musiała odwołać kolację w Oaxaca, ale... Tak, wiem, że jesteś podekscytowana tak samo jak ja. A dzieci? Cudownie! Cudownie! W takim razie do zobaczenia. - Rozpromieniony odłożył słuchawkę. Ouray zaczekał, aż ponownie na niego spojrzy.
- Dzwonił ambasador Chin, panie prezydencie. Chciał panu oficjalnie podziękować i przekazać wiadomość od Niu Jianxinga, od Sowu.
- To miło z jego strony. Co to za wiadomość?
- Niu Jianxing przesyła pozdrowienia i wyraża nadzieję, że nadal cieszyć się pan będzie dobrym zdrowiem i tężyzną fizyczną.
- Castilla wybuchnął gromkim śmiechem.
- Co się stało? - spytał Ouray zaskoczony, a prezydent śmiał się coraz głośniej. Ouray rozciągnął usta w nieśmiałym uśmiechu, zachichotał, odtwarzając w myśli wiadomość od Niu, i też parsknął śmiechem, który wypełnił dźwiękoszczelny pokój, rozpędzając mroczne cienie minionego tygodnia.
- O Boże... - Castilla wytarł oczy.
- Bezcenna rzecz.
- Bardzo tego potrzebowaliśmy. Tężyzna fizyczna. Ale u nich to dowód zaufania.
- Nadzieja na przyszłość.
- Ha! Pewnie myśli, że mnie dobił i nie chce przechodzić przez to wszystko jeszcze raz, z nowym prezydentem!
- Śmiejąc się, usiedli wygodniej.
- I vice versa, panie prezydencie.
- To prawda, to prawda... - Castilla wrócił do rzeczywistości i spoważniał. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że Departament Sprawiedliwości przygotowuje akt oskarżenia Jaspera Kotta. Będzie wielki skandal.
- Nie da się tego wmieść pod dywan.
- Nie, byłoby niesprawiedliwie. - Prezydent miał do załatwienia coś jeszcze. Westchnął,

zbierając siły. - Czy wiceprezydent już tu jedzie?

- Lepiej, on już tu jest.
- Brandon Erikson wszedł do pokoju z szerokim uśmiechem na twarzy. Adiutant zamknął za nim drzwi. Wiceprezydent był jak zwykle nienagannie uczesany i miał na sobie szyty na miarę trzyczęściowy garnitur. Jak zwykle też emanował uwodzicielskim czarem i energią.- Moje gratulacje, panie prezydencie. Wspaniały pokaz dojrzałości politycznej.- Dziękuję, Brandon - odrzekł Castilla. - Mało brakowało.Erikson usiadł po jego prawej stronie, u szczytu długiego stołu, dokładnie naprzeciwko Ouraya. Skinął mu przyjaźnie głową i przeniósł wzrok na Castilla.
- Nie spytam o szczegóły, ale podejrzewam, że w naszych służbach wywiadowczych mamy kilku anonimowych bohaterów.
- To prawda. Bardzo pomogli nam również Chińczycy, w tym wysoko postawiony polityk. Nasza współpraca rokuje dużą nadzieję na dobre stosunki z Chinami.
- Jest pan za skromny, panie prezydencie - powiedział z uśmiechem Erikson.
- Castilla nie odpowiedział,Erikson zamrugał i rozejrzał się po pomieszczeniu, praktycznie odciętym od reszty Białego Domu. Było nie tylko pozbawione okien i dźwiękoszczelne, ale i nieustannie sprawdzane, żeby całkowicie wyeliminować możliwość podsłuchu czy podglądu za pośrednictwem kamer.- Spóźniają się? - spytał. - Myślałem, że mamy dziś pokryzysową odprawę. Castilla popatrzył na jego twarz, szukając tego, co kiedyś przeoczył.- Nie, nikt więcej nie przyjdzie - odrzekł. - Powiedz mi, Brandon, czy twój przyjaciel McDermid cieszyłby się z naszego sukcesu tak samo jak ty?Erikson spojrział na niego, potem na sposepniałego Ouraya i przeniósł wzrok z powrotem na prezydenta.
- Nie mam pojęcia. Prawie go nie znam.
- Czyżby? - rzucił Ouray.
- Ani „panie wiceprezydencie”, ani zwykłej uprzejmości, z jaką urzędnik niższego szczebla zwraca się do urzędnika szczebla najwyższego -Erikson natychmiast to zauważył i uniósł brwi.- Czy coś się stało?Castilla grzmotnął pięścią w stół. Ouray aż podskoczył. Erikson chyba się przestraszył.
- Dobrze wiesz, co pomyślałby McDermid - warknął Castilla. - I dobrze znasz tych anonimowych bohaterów!
- To absurd! - odparował gniewnie Erikson. - Znam... - Urwał. Słowa prezydenta dotarły do niego dopiero teraz. - „Pomyślałby”? Jak to?
- Ralph McDermid nie żyje - powiedział krótko Castilla. - Członkowie zarządu Altmana biegną teraz jak koguty z odrąbanym łbem, żeby to jakoś wytłumaczyć. Ale nic im nie pomoże. Jego brudny interes z Chińczykami wyjdzie na jaw, osobiście tego dopilnuję. Uciekną z Altmana jak szczury z tonącego okrętu.
- Nie żyje? - powtórzył wstrząśnięty Erikson. - Wyjdzie... na jaw?

- - Pański potajemny przyjaciel zginął w Chinach - wtrącił Ouray. - Podobno zamordował go jeden z jego bandziorów. Erikson szybko zamrugał i wziął się w garść.
- Straszne - odparł wymijająco. - Tragiczne. Co on robił w Chinach? Pewnie znowu jakieś interesy...
- Gówno prawda - nie wytrzymał Castilla. - Gra skończona, Brandon. Przyłapano cię na gorącym uczynku. Jutro rano chcę mieć na biurku twoją rezygnację! - Dał znak Ourayowi, który wcisnął ukryty pod stołem guzik.
- Moją... moją rezygnację? - wybełkotał Erikson.
- W pokoju rozległy się dwa bezcielesne głosy. Jeden z nich należał do wiceprezydenta.
- Niech pan skończy z tym sarkazmem. Potrzebujemy siebie nawzajem. Jest pan ważnym członkiem zespołu.
- I będę nim dalej, pod warunkiem że pozostanę w cieniu.
- Nie jest tak źle. Ostatecznie nie zaszkodzili ani nam, ani naszym interesom.
- Nie martwi pana, że CIA mogła wziąć pana na celownik? Nawet jeśli i nie chodzi im o wiadomą sprawę, część z tych przecieków mogła doprowadzić ich do pana. Na pańskim miejscu bardzo by mnie to zaniepokoiło.
- Chyba już wystarczy. - Ouray zatrzymał taśmę. - Jestem przekonany, że pan Erikson przypomina sobie resztę.
- Wiceprezydent trzymał ręce na kolanach pod stołem. Wciąż szybko mrugał, jakby nie wiedział, gdzie jest. Wziął głęboki oddech. - Mógłbym twierdzić, że to nie ja... Castilla zaniósł się ironicznym śmiechem, Ouray przewrócił oczami. Erikson powoli kiwnął głową.
- Dobrze, ale przysługa oddana ważnemu sponsorowi dla dobra przyszłej kampanii wyborczej, choć naganna, nie jest przecież zbrodnią, bo gdyby tak było, wszyscy siedzielibyśmy już w więzieniu. Możesz mnie nie lubić, Sam, i na pewno możesz odciąć mnie od wszystkiego do końca kadencji, ale wątpię, czy zmusisz mnie do rezygnacji.
- Dowody są bardziej obciążające, niż myślisz - odparł prezydent. - Jeśli przypomnisz sobie dalszą część nagrania - tak przy okazji, zrobiła je CIA - zrozumiesz, że maczałeś palce w próbie wywołania zbrojnego konfliktu z Chinami, w którym śmierć poniosłoby wielu żołnierzy. Pomagałeś również w przemyśle. Te zarzuty ocierają się o zdradę stanu. Sąd zdecyduje, które z nich można ci postawić. Wstępne oceny wskazują, że czeka cię proces.
- Ouray ściągnął usta. - Moim zdaniem to zdrada. Erickson patrzył to na niego, to na Castillę.
- Czego byś chciał, Sam?
- Nie mów mi po imieniu. Już nie. Czego chcę? Twojej rezygnacji. Ze względu na stan zdrowia. Ze względu na obowiązki rodzinne. Możesz napisać, że chcesz poświęcić więcej czasu na kampanię wyborczą. Będzie w tym trochę prawdy.

- Czy to już wszystko... panie prezydencie? - spytał z goryczą Erikson.
- Niezupełnie. Udasz, że interesuje cię kampania, ale nie wystartujesz ani w wyborach prezydenckich, ani w wyborach do senatu, ani nawet w wyborach na hycła. Nie będziesz pełnił żadnych funkcji publicznych. Nigdy, nawet jeśli cię nie oskarżą.
- A jeśli spróbuję?
- Nie dostaniesz poparcia partii, moja w tym głowa. Wierz mi, nikt nie zechce przebywać z tobą w jednym pokoju.
- Erikson przybrał kamienny wyraz twarzy i wstał.
- Jutro rano złożę rezygnację. - Odwrócił się, żeby odejść, lecz nagle przystanął. - Nie jestem taki zły. jak pan myśli... panie prezydencie. Nie zgadzałem się tylko z pańską polityką osłabienia armii. To, co zrobiłem, zrobiłem dla dobra kraju.
- Bzdura - odparł Ouray. - Zrobił pan to dla dobra niejakiego Brandona Eriksona.
- Przy okazji stracił pan również swego dobroczyńcę - dodał Castilla. - Jeśli Grupa Altmana przetrwa, na pewno pana nie zatrudnią. Nie pasuje pan do ich profilu. Łącząc interesy z polityką, omal nie doprowadził pan do wojny, a tego nie zaakceptują.

•

## • **19 września, wtorek Baza sił powietrznych Vandenberg w Kalifornii**

- Poranek był ciepły, lekko mglisty, lecz słoneczny. Wojskowy odrzutowiec leciał nad Pacyfikiem. Jon patrzył na Channel Islands otoczone kłaczkami mgły, na wystrzępioną linię wybrzeża, na białe piaski i wysokie, urwiste skały. Baza miała prawie czterdzieści tysięcy hektarów - czterdzieści tysięcy hektarów pampy, karłowatych drzewek, krzewów, wyrzutni rakietowych i silosów na szerokim cyplu wrzynającym się w błyszczące morze.- Przyjeżdżaliśmy tu czasem z mamą i tatą, żeby zbierać polne kwiaty - powiedziała Randi. Siedziała przy oknie. On siedział naprzeciwko, przy przejściu, skąd mógł spoglądać nie w jedno, lecz w kilka okien.- Ślicznie tam, prawda? - mówiła Randy. - Słońce i ocean mają w sobie coś, co zawsze mnie urzekło. Jeśli... Kiedy się wreszcie ustatkuję, wrócę tutaj. A ty? Co będziesz robił? Osiemdziesiąt kilometrów stąd na południowy wschód była Santa Barbara, gdzie razem dorastały, ona i jej siostra Sophia. Tam też lizał rany i zastanawiał się nad życiem Jon, gdy Hades zabił mu narzeczoną.
- Ustatkować się? - powtórzył! - Zamieszkać gdzieś na stałe? Ciarki mnie przechodzą. Po co?
- Właśnie, po co? - powiedział David Thayer. - Niech pani uwierzy starcowi: to przereklamowane. Co do mnie, zamierzam teraz dużo podróżować, być wolny jak ptak. Oto mój ideał życia. - Z jego uśmiechniętej, pomarszczonej twarzy biła ciekawość i żądza przygód. Miał starannie uczesane włosy i okulary w nowych szylkretowych oprawkach. - Boże, zabraniali mi tego przez ponad pięćdziesiąt lat. Resztę życia spędzę w podróży.
- Samolot wylądował i pomknął po pasie. Byli w luźnych spodniach i koszulach z amerykańskiej ambasady w Pekinie. Thayera zdumiały plastikowe zamki błyskawiczne, których

nigdy dotąd nie widział. Rzepy nowych sportowych butów go fascynowały: rozpiął je i zapinał kilkanaście razy. Nigdy w życiu nie latał samolotem odrzutowym. Pilot pokazał mu kabinę, próbując wyjaśnić, że maszyną sterują głównie komputery, wreszcie zdał sobie sprawę, że Thayer nie wie, co to komputer. Starzec zapewnił go, że kupi sobie książkę i do wszystkiego dojdzie sam. Gdy spotkali się w ambasadzie, Jon zażądał, żeby poddano go dokładnym badaniom lekarskim. Ale Thayer grzecznie odmówił - szkoda mu było czasu, wolał oglądać telewizję, o której tylko słyszał. W końcu się jednak zgodził i lekarz stwierdził u niego liczne stare złamania, anemię, wymagającą zabiegu kataraktę, no i oczywiście ubytki w uzębieniu. Jon i Randi zapakowali go potem do samolotu i polecili do Stanów. Wspomnienia z ostatniego tygodnia wciąż były świeże. I krwawe. Smith wiedział, że prędko nie wymaże ich z pamięci. Ale po powrocie do Fort Detrick zamierzał napisać długi raport dla Kleina. To zwykle pomagało. Zauważył, że od chwili ich pierwszego spotkania Randi uważnie przygląda się Thayerowi. Wreszcie, gdy samolot zwolnił i się zatrzymał, spytała: - Nie jest pan rozgoryczony, doktorze? Skradziono panu życie. Nie odczuwa pan goryczy? Thayer wyciągnął szyję i spojrzał w okno, żeby popatrzeć na prezydencki Air Force One. - Oczywiście, ale nie tylko... Jest! - Przytknął nos do szyby. - Widzę go! Mój syn... I synowa! I moje wnuki! Nie do wiary. Przyjechali. Wszyscy. Wszyscy przyjechali, żeby mnie powitać. - Zadrżał z podniecenia. Gdy maszyna znieruchomiała, rozpiął pas i ruszył do wyjścia. Jon i Randi zostali. Thayer czekał, aż drugi pilot otworzy drzwi i obsługa naziemna podstawy schodki, wtem odwrócił się, spojrzał na nich i podszedł do Randi. Miał wypieki na zapadniętych policzkach. Błyszczały mu oczy. Uścisnął im ręce i jeszcze raz podziękował.

- Mam nadzieję, że mnie pani zrozumie, panno Russell. - Poklepał ją po rękę i nerwowo zerknął w bok, żeby sprawdzić, czy drzwi są już otwarte. - Gdybym cały czas nienawidził, gdybym nienawidził w każdej sekundzie, nigdy bym nie przeżył. Spotkało mnie wiele złego, ale i dobrego. Nauczyłem się na przykład, że za pychę płaci się pokorą, że nigdy nie poznam wszystkich odpowiedzi. Gdybym mógł cofnąć się w czasie i coś zmienić, żeby nie wpakować się w to, w co się wpakowałem, na pewno bym to zrobił. Ale ponieważ nie mogę, muszę dobrze wykorzystać resztkę czasu, jaka mi została. Chińczycy mają takie przysłowie: „To, co gąsienica nazywa końcem życia, mędrzec zwie motylem”.
- To piękne - szepnęła Randi.
- Wiem. - Ścisnął jej rękę, dał kuksańca Jonowi, szybko wrócił do drzwi i spojrzał na drugiego pilota. - Otworzy pan wreszcie to cholerstwo czy nie?
- - Już otwieram, panie doktorze. - Pilot zakręcił kołem, drzwi podniosły się i wychyliły na zewnątrz. Schodki już podstawiono. Thayer ruszył w dół, odtrącając rękę stewarda, który chciał odprowadzić go do prezydenckiego samolotu. W jego cieniu czekał Castilla z żoną i dziećmi. Thayer przeszedł dziesięć kroków i nagle przystanął.
- Spójrz na jego twarz - powiedziała Randi.
- Boi się - szepnął Jon.
- Dopiero teraz do niego dotarło. Nie wie, czy im się spodoba.
- I czy oni spodobają się jemu. Czy potrafi tak żyć.



- Castilla, jego żona i dzieci wymienili spojrzenia i - jakby przekazali sobie jakąś wiadomość - bez słowa pobiegli w stronę Thayera. Starzec powoli otworzył ramiona. Castilla dobiegł do niego pierwszy i mocno się objęli. Prezydent pocałował go w policzek. Zaraz potem dołączyli do nich pozostali, śmiejąc się, rozmawiając, przedstawiając się i obejmując. Samolot pokołował na start. Randi i Jon odwrócili głowy.
  - Z powrotem do Waszyngtonu - westchnęła Randi.
  - Tak. Miło będzie pomieszkać trochę w domu.
- 

- [1] Przekład Macieja Słomczyńskiego.